ROK
2012
antologia
Rewolucja
Wydawnicza
2010

Patronat medialny
nad publikacją objęli:

po przecinku

NoweCzytanie
Odkrywamy czytanie na nowo

Oficyna wydawnicza RW2010 przedstawia:
ANTOLOGIA ROK 2012

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2012
Redakcja i korekta zespół RW2010
Redakcja techniczna zespół RW2010
Copyright © Oficyna wydawnicza RW2010
Okładka Copyright © Mateo 2012
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2012
e-wydanie I

ISBN 978-83-63598-34-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań
Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Spis treści

SŁOWO OD WYDAWCY....6
Romuald Pawlak
ARMIA ŚLEPCÓW....8
Maciej Ślużyński
BOŻY KOMANDOS....27
Andrzej W. Sawicki
BUNT SAMCÓW....51
Agnieszka Hałas
CÓRKA SZTUKMISTRZA....86
Maciej Ślużyński
CZASZKA....116
Jan Siwmir
DWIE POMYŁKI....123
Dawid Juraszek
HETMAN....138
Jan Siwmir
JEST TAKI KRAJ....197
Andrzej Rodan
MOKRE PYSKI ATAKUJĄ!....220
Joanna Łukowska
KLESZCZ, czyli BOSKIE POCZUCIE HUMORU....241
Agnieszka Hałas
KŁOPOT BARONA HOOGSTRATENA....257
Tomasz Mróz
KOSMICZNY EDEK....298
Romuald Pawlak
KRÓTKI SEN O OPISANIU ŚWIATA....336
Tomasz Mróz
M2 czyli KONIEC LENISTWA....366
Piotr Mrok
NIE ŚPIEWAJ W TOALECIE....379

Andrzej W. Sawicki
NIEZWYKŁY PRZYPADEK MARTYNY GEWALT 400
Aneta Rzepka
OBIETNICA 419
Martyna Goszczycka
OBŁĄKANA 433
Dawid Juraszek
OKO ZA OKO 463
Joanna Łukowska
OSTATNI Z RODU 508
Marian Kowalski
PEENEMÜNDE. ODWET PATRIOTÓW 524
Piotr Mrok
POLSKA NASZA, KURWA 576
Aneta Rzepka
PONAD ŻYCIE 600
Joanna Łukowska
ROMAN I JULIA NA BEZLUDNEJ WYSPIE 608
Andrzej Paczkowski
SEKRET 632
Grzegorz Krzyżewski
TERCET 643
Dariusz Kankowski
VAPAUTAN 678
Dariusz Kankowski
ŻABY i GOŁE BABY 704
NOTKI O AUTORACH....712
POSŁOWIE....717
Maciej Służyński
ROK W EBOOKACH....717
Maciej Tyran
CYFROWE WYDAWNICTWA SZANSĄ DLA EDUKACJI....720

SŁOWO OD WYDAWCY

Drodzy Czytelnicy!

Oficyna Wydawnicza RW2010 chciałaby z okazji nadchodzących Świąt ofiarować Wam najlepszy prezent, na jaki nas stać. Przedstawiamy zatem antologię opowiadań „Rok 2012”. Zawarliśmy w niej dwadzieścia dziewięć utworów, których autorami są współpracujący z nami przez ostatni rok pisarze. W ich zacnym gronie znajdują się twórcy już uznani oraz zupełni debiutanci, nestorzy pisarstwa oraz literacka młodzież. Wszystkim dziękujemy za ten wspólny czas i ze wszystkich jesteśmy szczerze dumni.

Jako wydawnictwo zadebiutowaliśmy równo rok temu, 6 grudnia 2011 roku. Dlatego wydaje nam się, że nadszedł czas na małe podsumowanie mijającego roku. Podsumowanie takie znajdziecie na końcu niniejszego zbioru; tu pragniemy tylko podziękować autorom, że zechcieli podzielić się z nami i z Wami częścią swojej twórczości.

Jeszcze tylko słów kilka o kluczu, na podstawie którego dokonaliśmy wyboru prezentowanych tutaj tekstów. Po pierwsze – w antologii znalazły się opowiadania tych autorów, którzy w ciągu minionego roku opublikowali w naszej oficynie przynajmniej jedną książkę. Po drugie – wybraliśmy te teksty, które cieszyły się największą popularnością wśród naszych Czytelników, czyli miały najwięcej „pobrań” z naszego serwisu. A jeżeli się wahaliśmy między kilkoma pozycjami, decyzję pozostawialiśmy autorowi. Po trzecie – aby uniknąć nieporozumień i nie wartościować zebranych tekstów – ułożyliśmy je w porządku alfabetycznym według tytułów.

Opowiadania w oczywisty sposób reprezentują wydawaną przez nas tematykę. Dlatego najwięcej jest w zbiorze opowiadań fantastycznych; pod względem treści, ale

też wykonania. Niemniej wielbiciele obyczaju, romansu, horroru, groteski i satyry też znajdą w naszej antologii coś dla siebie.

Zapraszamy do lektury i życzymy wszystkim… Zaczytanych Świąt!

Pozdrowienia

Zespół RW2010

Romuald Pawlak

ARMIA ŚLEPCÓW

Cisza w prywatnej komnacie cara Samuela była tak wielka, tak nieznośna, trwała tak długo, że komuś mniej cierpliwemu niż jego doradca Tiabros mogła się wydawać czymś strasznym. Mnich był jednak przyzwyczajony do tych chwil, kiedy władca zapadał w głębokie zamyślenie. Usiadł przy kominku, na którym płonęły sosnowe drwa, i obserwował swego pana ze spokojem.

Samuel wciąż milczał i milczał. Tylko drobne mięśnie grające na twarzy cara świadczyły o targającym nim napięciu.

Wreszcie mruknął z niechęcią:

– Odpraw ją. Nie muszę się uciekać do czarów, żeby rządzić państwem.

Mnich wstał. Górował teraz nad władcą – i byłaby to niebywała wprost obraza, karana gardłem, gdyby obaj nie znali się tak długo, niemal od dziecka. Samuel nigdy nie traktował swego doradcy jak innych.

– Ale ona… – zaczął Tiabros.

Władca spojrzał na niego zimnym, spokojnym wzrokiem. Lecz gdzieś tam, na dnie tego spojrzenia, wprawne oko mnicha dostrzegło rozpacz.

– I nikt nie może się dowiedzieć o tej propozycji, rozumiesz? – stwierdził Samuel tonem, jakim raczej należałoby wydawać rozkazy śmierci niż poufne dyspozycje. Choć często bywa to to samo.

Doradca zgiął się w niskim pokłonie. Żałował teraz, że nie odmówił księciu Dymitrowi, kiedy ów nakłaniał go do podsunięcia tej kobiety carowi.

– Tak, panie mój. Czym prędzej się jej pozbędę.

***

Wieszczka nie potrzebowała słów Tiabrosa. Chociaż wyglądała bardzo młodo, jakby zaledwie kilka lat temu zamieniła dziecięce szaty na strój młodej kobiety, sama domyśliła się wyniku rozmowy. Siłę swych rad i przepowiedni po równi czerpała ze świata nadnaturalnego, jak też rozumienia gestów oraz odczytywania wyrazu twarzy ludzi, którzy szukali u niej pomocy.

– Popełnił błąd – westchnęła, poprawiając czarną, prostą suknię bez ozdób. Spojrzała mnichowi prosto w oczy, uśmiechnęła się ze smutkiem, wreszcie sięgnęła po futrzany płaszcz, dar od księcia Dymitra. – Błądzi w ciemnych korytarzach, a potrzebuje choć promyka światła, który naprowadzi go na właściwą drogę…

Tiabros podszedł i chwycił ją za ramię. Ścisnął gniewnie, z całej siły, jak opierającą się kozę.

– Nie ty będziesz światłem naszego cara! Ciesz się, że nie kazał cię zabić. Wracaj do swego pana i raduj się pobytem w Ochrydzie, póki możesz.

Kobieta prychnęła cicho. Po raz ostatni rozejrzała się po komnacie. Nigdy nie była tak blisko cara. Nawet stąd czuła jego rozdzierającą samotność, smutek i potrzebę rozwiania krążących nad jego głową mgieł. Także obaw o przyszłość.

– Naprawdę powinien mnie wysłuchać… – podjęła.

Mnich z rozmachem uderzył ją w twarz. Zdziwił się własnej reakcji, może nawet trochę przestraszył, uniósł rękę, jakby chciał coś zrobić, może przeprosić zaskoczoną wieszczkę. Skończyło się na tym, że po chwili wahania wskazał jej drzwi. Pocierając dłonią bolący policzek, podążyła ku wyjściu.

„Wracaj sobie do księcia” – pomyślał Tiabros z nagłą złością.

***

Zostawszy sam, car wreszcie mógł przestać udawać. Był zmęczony, czuł się stary niby biblijny prorok, którego imię nosił. I jak on, spoglądając w przeszłość, mógł

rzec: „Moją zasługą jest ich zjednoczenie. Jak Samuel biblijny zjednoczył Izraelitów przeciw Filistynom, tak ja zebrałem plemiona i ziemie przeciw ciemiężcy, dałem swym ludziom własne państwo”.

Teraz jednak to wszystko wymykało mu się z rąk. A winien temu był ów przeklęty władca Konstantynopola, Bazyli II.

Obaj młodo wstąpili na swe trony. Wojnę toczyli od kilku dekad, niby w imieniu państw, ale było w tym coś osobistego, jakaś gra sił i charakterów, mocowanie się niby w zapasach. Zacięci wrogowie, którzy nigdy nie spojrzeli sobie w twarz…

Pośród osobistych rzeczy w jednej ze skrzyń Samuel trzymał medalion z obliczem Bazylego. Był to portret władcy, który porzucił już hulaszczy i lubieżny tryb życia, z jakiego ongiś słynął. Portret mężczyzny surowego, podejrzliwego i drażliwego. Skupionego na jednym celu: rozszerzeniu granic Cesarstwa tak bardzo, jak to tylko możliwe za życia jednego człowieka.

Czasem Samuel przeklinał go, jak podczas tej greckiej wyprawy, kiedy został ranny w bitwie z bizantyńskim wodzem Niketasem Uranosem na ziemiach Peloponezu. Częściej jednak patrzył w oblicze władcy Bizancjum z triumfem, pytając: „No i co, stary głupcze? Co teraz powiesz?”.

Ich drogi po raz pierwszy skrzyżowały się, kiedy młody bazileus poprowadził swą inauguracyjną wyprawę prosto na bułgarskie ziemie przeciw młodemu, ledwie obdarzonego insygniami władzy carowi. Wtedy najeźdźca dotarł aż do Serdyki, sięgnął serca słowiańskiego państwa. Jednak miasta, mimo oblężenia, nie udało mu się zdobyć. I to Samuel był wtedy górą, bo we Wrotach Trajana zastawił pułapkę na powracającą bizantyńską armię, dokonał istnej rzezi. Do dziś na wspomnienie tamtego triumfu staremu carowi lśniły oczy. Och, ależ ci Grecy uciekali! Wytoczoną z nich krwią można by wykreślić szlak aż do Konstantynopola, ha!, nawet dalej, aż ku Doryleum…

Była to zapłata za wcześniejsze upokorzenie, kiedy to władca bułgarskiego państwa, Borys II, spętany więzami niewoli uświetnił triumf Jana Tzymiskesa w stolicy. Samuel zmazał tę hańbę.

Pragnął jednak osiągnąć więcej. Chciał być niby Symeon, którego z honorami przyjęto w Konstantynopolu, który z rąk tamtejszego patriarchy przyjął koronę bazileusa Bułgarii, a wreszcie niemal został uznany za współcesarza, co drogą sukcesji otworzyłoby mu drogę do tronu Bizancjum.

Niemal. Dworskie intrygi zniweczyły plany Symeona. Młody Samuel, połykając kolejne ziemie słabego Cesarstwa, zamierzał naprawić ten błąd.

Stary car gorzko śmiał się z tych planów żądnego greckiej krwi młokosa, jakim był niegdyś. Być może gdyby trafił na kogoś innego po drugiej stronie, jakiegoś malowanego paniczyka bojącego się doradców, skupionego na czytaniu ksiąg i dworskich zabawach…

Czemu los skrzyżował jego drogi z tym człowiekiem, który jak on nie znosił cudzej potęgi u własnego boku? Przyszło mu walczyć z wilkiem, cesarzem-żołnierzem, nie zaś, jak to zwykle tam u nich bywało, cesarzem-erudytą oderwanym od spraw ziemskich, błąkającym się pośród oparów teologicznych czy prawnych dogmatów.

Bazyli na początku z trudem wytrzymywał napór bułgarskich armii. Te docierały nawet pod mury Adrianopola. Lecz z czasem przezwyciężył własne słabości, przebudził się w nim prawdziwy wojownik. Ostatnich dziesięć lat to były triumfy Bizantyjczyka. Cesarz już zdołał oderwać Macedonię i Tesalię, odbierał miasto po mieście, twierdzę za twierdzą, a teraz zamierzał wydać Bułgarom walną bitwę pośrodku ich ziem. Car nie miał złudzeń: w lecie wszystko się rozstrzygnie.

Tak… wszystko wymykało mu się z rąk. A co gorsza, jego jedyny syn, Gabriel Radomir, nie nadawał się na następcę. Brakowało mu charakteru, umiejętności rozmawiania z ludźmi, a wreszcie najzwyklejszego rozumu, aby mieć w trudnych

sprawach własne zdanie. Szkoły, do których Samuel posyłał syna, nauczyły go ogłady, lecz ani męstwa, ani przenikliwości władcy. Car z obawą spoglądał w przyszłość i nie pocieszał go fakt, że Bazyli ma podobne problemy ze schedą.

Obaj byli teraz starzy i schorowani. Jeden pragnął zachować to, co z takim trudem stworzył, drugi pragnął to odebrać, aby ze swej potęgi stworzyć pomnik na wieczność.

I to Samuel wciąż się cofał w tej grze, tracił siły. Bazyli triumfował.

Car podszedł do skrzyni, wygrzebał medalion. Otworzył go i popatrzył z nienawiścią na posępne, podobne do wrony oblicze swego wroga.

– Jak cię pokonać? – mruknął.

Naraz ogarnęła go fala gorąca, atak niepohamowanej wściekłości. Rzucił medalionem o podłogę. Podniósł, rzucił jeszcze raz… i jeszcze… dopiero wtedy się uspokoił. Kopnął go pod sofę. „Tam jest twoje miejsce – pomyślał mściwie. – W proch i kurz, w niepamięć!”

Brzęk zwabił Tiabrosa. W jego spojrzeniu widać było niepokój.

– Nic się nie dzieje! – uspokoił go Samuel, uśmiechając się gorzko.

Mnich odpowiedział równie kwaśną miną.

– Bardzo głośno myślisz, panie.

Car tylko niecierpliwie machnął ręką.

– Lepiej mi powiedz, co sądzisz w takiej sprawie: twoim zdaniem, ze złej matki może się zrodzić dobry syn?

Doradca dobrze znał swego pana, bez trudu podchwycił tok jego myśli.

– Myślisz, panie, o Teofano, jego matce? Może i zaczynała jako prosta kobieta, może i była morderczynią, jak wieść niesie, ale dla swych dzieci chciała dobrze. I on też może dla Bizancjum jest dobry, choć nam niesie klęskę za klęską.

Samuel skrzywił się. Nic jednak nie rzekł, bo w słowach Tiabrosa kryło się sporo racji, a cenił go za prawdę, nie za głupstwa wypowiadane ze strachu lub umysłowej nędzy.

– Jak do niego dotrzeć? – spytał z rozpaczą. – Próbowałem go szpiegować, otruć, a nawet zawiązać tajny sojusz przeciw niemu z serbskimi góralami. I wszystko na nic. A teraz nęka nas, wiosną znów spróbuje zaleźć za skórę, wygnieść z gniazda, w którym siedzimy.

Mnich westchnął.

– Prawdziwy dziedzic Teofano z niego, panie mój. Trzyma władzę i nie puści, gotów posunąć się do wszystkiego. Nie wiem, czy ktokolwiek ma na niego wpływ. Przecież wiesz, że z nikim niemal się nie spotyka, a decyzje podejmuje sam. Może się boi, a może nie ufa. Trzeba go będzie pobić w polu, nie ma innej drogi.

– To wiem i bez ciebie – wzruszył ramionami zawiedziony Samuel. – Szukałem łatwiejszego sposobu.

Tiabros zawahał się.

– Panie, mogę ją przy…

Uniesiony w niemym ostrzeżeniu palec cara sprawił, że doradca zamilkł w pół słowa. Bezradnie rozglądał się po komnacie. Była niemal pusta. Wystawniej wyglądały pokoje choćby księcia Dymitra, a nawet – co mnich konstatował z pewnym wstydem – jego własna izba. Samuel nie lubił przepychu. „To też łączy go z tym ascetycznym starcem rezydującym w Konstantynopolu” – pomyślał z nagłym zaskoczeniem Tiabros.

– Odejdź – nadspodziewanie łagodnie poprosił jego pan. – Chcę się pomodlić w samotności.

***

Rankiem, ledwie wstał, posłaniec od Dymitra przyniósł list. Książę prosił o spotkanie w cztery oczy.

Samuelowi również to odpowiadało. Chciał bez świadków porozmawiać o zbliżającej się kampanii. Wczoraj, w środku ciemnej nocy, przebudził się z krzykiem, a później wstał i wypił kilka łyków wody. Nie mogąc spać, przemyślał sprawę. Bitwa w otwartym polu była ryzykowna, ale można spróbować zwabić starego lisa w pułapkę.

Dymitr wkroczył do komnaty niczym do zbrojowni. Krok miał sprężysty, postawę wojowniczą. Przyklęknął na kolano, chyląc głowę, ale gdy car dał znak, żeby porzucili ceregiele, w spojrzeniu dowódcy bułgarskich wojsk natychmiast pojawił się twardy błysk.

– Odprawiłeś ją, panie? – zaczął.

W pierwszej chwili car nie bardzo wiedział, o co chodzi księciu. Dopiero po chwili domyślił się, kogo Dymitr ma na myśli.

– Odprawiłem – potwierdził. – Przecież wiesz, że nieraz korzystałem z wieszczek i nie uchroniło nas to od klęsk…

Książę spochmurniał.

– Ona jest inna. Sprawdzona.

Samuel zrobił kilka szybkich kroków po komnacie. Roześmiał się ochryple.

– Sprawdzona jak ta, która kazała nam iść na Adrianopol, w drugą stronę świata, podczas kiedy Bazyli oblegał nasz Widyń? Musi to odciągnąć Bazylego, twierdziła zapatrzona w żywą wodę. Cesarz na pewno ruszy ratować swe miasto… A tymczasem osiem miesięcy oblegał naszą twierdzę, aż padła, i cóż nam dało splądrowanie Adrianopola? Od dziesięciu lat próbujemy odzyskać Widyń, bezskutecznie. Tyle nas kosztowała porada owej kobiety.

Przerwał, by po chwili dodać jeszcze:

– Tak, pamiętam, że nie ty wtedy dowodziłeś wojskami. Ba, nie ty proponowałeś mi tamtą wieszczkę…

– Ona już parę razy przepowiedziała prawdę – mruknął zaczepnie czerwony na twarzy książę. – Można by jednak z tego skorzystać… co szkodzi?

Car podszedł do okna. Na dziedzińcu wymiecionym ze śniegu, którego w nocy napadało po kolana, grupka wyrostków ćwiczyła się w walce na drewniane miecze. Samuel gestem zaprosił Dymitra, wskazał mu dzieciaki.

– Nam są potrzebne męstwo i rozum. Może szpiedzy. Wszystko rozstrzygnie się latem, jak znam życie, za sprawą miecza i łuku.

Westchnął, podszedł do stolika przy jednej ze ścian. Nalał wina do dwóch srebrnych pucharów, jeden podał księciu, drugi zbliżył do ust i upił łyk trunku.

– Dymitrze, chłopcze, ty naprawdę wierzysz w jej brednie? – spytał wreszcie. – Jesteśmy tu sami, nikt nie słucha, to ci powiem wprost: kiepski byłby z ciebie dowódca, gdyby zamiast żołnierzy musiała walczyć za ciebie baba! A przecież cenię cię, bo żeś waleczny i wygrałeś dla mnie niejedną bitwę bez pomocy wróżek czy demonów, samym tylko solidnym żołnierskim rzemiosłem!

Książę jeszcze mocniej poczerwieniał na twarzy, zagryzł wargę tak bardzo, że zdało się – jeszcze chwila i tryśnie krwią. Nic jednak nie odrzekł.

***

Tej nocy w komnacie księcia Dymitra świece płonęły długo, a wokół unosił się zapach ziół.

– Musi się strzec Radomira – jęczała wieszczka. – Powiedzcie mu… kiedy na niego spojrzy… jego zimny oddech przyniesie carowi śmierć…

Książę wzruszył ramionami. Nie było w otoczeniu cara nikogo, kto by się tak zwał, poza odesłanym z dworu jego synem. Trzeba będzie o tym pamiętać… w

stosownej chwili. Dymitr uśmiechnął się okrutnie, samymi wargami, nie odsłaniając zębów.

Sięgnął po przyszykowany powróz.

Być może powinien obawiać się skutków tego, co zamierzał uczynić. Był jednak jeszcze niestary, miał dopiero trzydzieści dwa lata. I łaknął władzy, którą nie będzie musiał się z nikim dzielić.

***

Dwa dni później psy na przedmieściach wygrzebały ze śniegu ciało wieszczki. Obok leżał okuty kij podróżny i tobołek z rzeczami.

Byli tacy, co się zdziwili, czemu kobieta opuściła stolicę i samotnie powędrowała zimowym szlakiem.

Znaleźli się jednak i tacy jak Tiabros, których modlitwa tego dnia była gorliwsza niż zwykle, jakby ich winy były większe.

***

To było coś znacznie gorszego niż porażka z ręki Niketasa Uranosa na Peloponezie! Tamta była przypadkowa, zadana w czasie łupieżczego rajdu, na obcej ziemi. Tu wpadli w sidła szczwanego lisa, który pozwolił im wleźć na przełęcze Biełasicy, niby to uciekając… i naraz okazało się, że jego wojska są wszędzie, po prostu wszędzie, zaciskają pierścień okrążenia wokół armii Samuela! Jakim cudem bazileus przeprawił swe oddziały przez rwący, wezbrany Strymon?! Jakim cudem, zamiast wpaść w pułapkę, sam zdołał ją założyć?!

Gdyby nie poświęcenie Dymitra, stary car już by nie żył, nie uszedłby z zasadzki. Wykpił się poważną raną uda. Leżał teraz bezsilnie na wozie skaczącym na wertepach niby kozica, jęczał, gdy koło trafiało na większą nierówność i wóz podskakiwał, wyrzucając w powietrze miękkie koce wraz z Samuelem.

Ucieczkę prowadził jeden z tutejszych, znający te góry jak własną kieszeń. Wysforował się naprzód, dając grupce towarzyszącej władcy sposobność zamienienia kilku poufnych słów.

– Książę Dymitr walczy jak nigdy dotąd, jak sam diabeł wcielony! – Tiabros, jadący konno obok wozu, próbował pocieszyć cara. – Jeszcze nie wszystko stracone! Jakoś wycofa się z ludźmi. Bazyli nie zdoła przecież całej armii przerzucić byle jakimi przeprawami, a mosty pozrywane!

Samuel pokręcił głową. Był coraz bardziej blady. Z rany wciąż sączyła się krew.

– To nie wystarczy – stęknął. – Ocali ćwierć armii, jak Bóg da.

Naraz zakręciło mu się w głowie. Zamknął oczy i zapadł w niespokojną drzemkę.

Spoglądając na rannego cara, doradca zastanawiał się, czy dowiozą go żywego do Prilepu oddalonego o dwa dni ostrej jazdy.

Zbliżył się do przewodnika i zagadnął go o to.

– Te góry niejednego zmogły – ten chwilę się wahał, nim odpowiedział. – I myśma też się cudem wyrwali. Ale skoro już, damy radę dotrzeć do miasta, moja w tym głowa. Czy cara żywego dowieziem, to inna rzecz, Bóg jeden wie.

Tiabros wzruszył ramionami. Każda góra, u stóp której się przegrywa, jest zła dla pokonanego. I dobra dla zwycięzcy. Mnich miał nadzieję, że nigdy, przenigdy już tu nie wróci.

W dali ponad masywem wznosił się wysoki szczyt nakryty śniegową czapą, gdzieniegdzie tylko odsłaniający granitowe żebra sterczące niczym szkielet kościotrupa. Mijali go z lewej, schodząc do długiej doliny, w której leżał Prilep.

Przewodnik uśmiechnął się do własnych myśli. Widząc strach mnicha, nie podzielił się wiedzą, że tutejsi, mimo iż dobrze znali straszliwe lawiny schodzące z owej góry, nadali jej miano Radomir.

W tutejszym dialekcie *pogadać z Radomirem* oznaczało śmierć w górach.

***

Samuela obudziło słońce. Przez zasłony ożywczy, przesiany przez materię blask docierał do łoża cara, rozgrzewając jego słabe ciało.

Dłuższą chwilę stary władca leżał bez ruchu, przypominając sobie, kim jest, gdzie jest i co tu robi. Potem pamięć podsunęła pogrom w białasickim paśmie, ranę, paniczną ucieczkę…

Skrzywił się z niesmakiem i zdecydowanym ruchem odrzucił skórę nakrywającą go po brodę.

Udo obwiązane było grubym opatrunkiem, spod którego wyciekała lecznicza maść. Nie bolało, nie wyczuwał również zapachu gangreny. „Będzie dobrze” – pomyślał. Gdzieś zza ściany dobiegał szmer rozmów, jednak Samuel był jeszcze senny i słaby, nie paliło mu się do towarzystwa.

Po chwili usłyszał szmer zawiasów i ktoś przestąpił próg komnaty. Car odwrócił się w tamtą stronę, ale opończa zawieszona nad wejściem skrywała postać wchodzącego.

– Kto? – rzucił półgłosem, odruchowo rozglądając się za jakąkolwiek bronią.

– Ja, panie – uspokoił go Tiabros. Mnich wszedł do środka, starannie zamykając za sobą drzwi. Przysiadł na prostym, drewnianym zydlu przy łożu swego władcy, spoglądając na niego badawczo.

– Jak długo leżę? – spytał Samuel.

– Trzy dni – z wahaniem odparł doradca. – Rana dosyć ciężka, sporo krwi straciłeś, panie…

Car pomilczał chwilę. Trzy dni… a więc jak nic sześć od bitwy.

– A Dymitr? Co z armią?

Tiabros poruszył się niespokojnie. Zydel zatrzeszczał, jakby miał się rozpaść pod jego ciężarem, choć mnich był szczupły, by nie rzec – chudy. „Cóż, meble tu

takie, jak i miasto: biedne – pomyślał Samuel. – Nie to, co w Ochrydzie". Prilepski zamek, gdzie się teraz znajdowali, w niczym nie przypominał fortecy w stolicy.

– Nie wiem. Wróciły jakieś luźne grupki, reszta pono pod wodzą Dymitra wciąż się bije…

– Nie chcę żadnego „pono"! – przerwał mu zniecierpliwiony władca, podrywając się z łoża. Wysiłek był zbyt wielki, znów opadł na poduszki. – Na co czekasz? Aż tu umrę?! Jak nie wiesz, gońców pchnij, uczyć cię mam?! Do diabła, czemu wcześniej tego nie zrobiłeś?!

Doradca prawie wybiegł z komnaty.

Zaraz potem, jakby przywołany przez Tiabrosa, wkroczył do niej medyk, starszy brodaty mężczyzna o spojrzeniu pijawkarza, który odruchowo szuka u chorego miejsca na ciele, gdzie mógłby ulokować swe oślizgłe stworzenia. Obejrzał ranę, pokiwał głową, wreszcie orzekł, że za tydzień Samuel będzie mógł wstawać.

Później służba przyniosła posiłek. Car wypił trochę rosołu, poskubał pieczystego, wmusił w siebie jabłko, wreszcie gniewnym ruchem ręki odprawił całą tę hałastrę.

– Precz! Muszę pomyśleć!

Poczuł się na siłach, aby podumać nad kolejnym ruchem. Bazyli wygrał bitwę. Ale czy wygrał wojnę – oto pytanie!

Nie potrafił się jednak skupić. Ciągle wracało do niego to samo pytanie, które niby robak drążyło jego umysł od lat.

„Przecież nie jestem tak okrutny jak Krum, nie pijam z czaszki żadnego bizantyjskiego cesarza – pomyślał z rozpaczą Samuel, bezsilnie mnąc pościel. – Chcę tylko dobra swego państwa. Chcę, żeby trwało. Boże mój, czy to naprawdę zbyt wiele?"

Gdzieś tam Bazyli zapewne triumfował. A w sercu cara nienawiść mieszała się z goryczą.

„On byłby gotów zmienić swe obyczaje. Skorzystałby z mojego czerepu zamiast ze stołowego srebra, gdyby zaszła taka potrzeba – ciągnął swe ponure rozważania władca Bułgarów. – Przecież już zmienił zwyczaje wojenne. Zamiast rozpoczynać kampanię w pełni wiosny i powracać na swe ziemie w końcu lata, jak przystało cesarzowi, ten wściekły wilk gotów zimować tutaj, walczyć, póki nie osiągnie celu!”

I chwytał się każdego sposobu, nawet podłej zdrady. Dracz przecież nie padł po strasznym oblężeniu, mury nie zostały zrujnowane. Bizantyjczyk przekupił ludzi, miasto bez choćby dnia walki przeszło na jego stronę.

„Czy teraz taki los czeka Prilep? Ja tu leżę, czekając na Dymitra, a może już kupczą mną jak kurą na targu? Może gwarancje dla miasta są warte dla Bazylego widoku starego cara prowadzonego na postronku niby rzeźne cielę, jak inny bazileus prowadził ongiś Borysa II?”

Wreszcie, nie wymyśliwszy niczego poza kolejną próbą skrytobójczego zgładzenia bazileusa, usnął.

***

Kiedy znów wyrwał się z otchłani bólu promieniującego z rany i mroków niespokojnego snu, dzień zmierzał ku końcowi. Słońce zniknęło już z okna.

Uderzyła go cisza.

I to właśnie ona naprawdę zaniepokoiła władcę. Życie w zamku nigdy nie cichnie, a teraz było tak, jakby przez Prilep przeszła zaraza i tylko starego cara Bóg oszczędził.

– Tiabros! – krzyknął.

Głucho… Gdy tylko umilkł jego głos, w komnacie zaległo przykre milczenie. Władca nie słyszał ani szczura czy myszy, jakby wszelka żywina poukrywała się w dziurach.

Dopiero po dłuższej chwili niepewnie skrzypnęły drzwi. Samuel uniósł się ciężko na łokciu, jęknął, bo udo znów ogarnął płomień bólu.

– Leż, panie – poprosił mnich, podchodząc. – Nic… nic się nie dzieje, naprawdę – zapewnił.

Ale jego mina świadczyła o czymś wręcz przeciwnym. Nie umiał kłamać. Może dlatego car zaufał mu kiedyś i nigdy się na nim nie zawiódł.

– Klęska? – stęknął teraz boleśnie, próbując podnieść się z łoża. – Nie kłam mi! Miasto wzięte? Pomór? No mów, przebrzydły klecho, mów, nie oszczędzaj mi prawdy! – Jego ręka mocno zacisnęła się na ramieniu Tiabrosa.

Doradca w milczeniu pomógł Samuelowi stanąć na nogi, widząc, że nie zdoła utrzymać go w łożu niby chorego dziecięcia. Chwiejąc się lekko na nogach, sycząc z bólu, jakim promieniowała rana na udzie, stary władca zrobił kilka kroków, sięgnął po leżący na niskiej ławie pod ścianą płaszcz z rysich skór.

– Mów, co się dzieje! – podniósł głos. – Natychmiast!

Tiabros z trudem przeciskał słowa przez gardło:

– Nasza armia wraca… pobita…

Na Samuelu nie zrobiło to wielkiego wrażenia. Uciekając z biełasickich przełęczy, wiedział przecież, że bitwa przegrana. Skoro część armii wraca, trzeba czym prędzej organizować obronę, bo za uciekinierami może już ciągnie Bazyli ze swym wojskiem.

– Wyjdźmy… trzeba im pokazać, że car żyje… natchnąć nową nadzieją… – rzucał rwane przez ból słowa.

Tiabros próbował coś powiedzieć, ale Samuel nie dał mu dojść do słowa. Pierwszy wyszedł z komnaty.

Wszędzie było pusto, jakby wszyscy pouciekali z zamku. Tiabros pamiętał, do której z bram miało dotrzeć wojsko i tam poprowadził cara.

Zdążył się tu już zebrać spory tłum ciekawskich. Wierzeje były otwarte, krata podniesiona. Do środka wkraczała właśnie pierwsza grupa żołnierzy, a droga prowadząca do warowni była czarna od głów postępujących za nimi towarzyszy.

Szli jeden za drugim, niepewnie wystawiając przed siebie ręce jak ślepcy. Car z początku nie rozumiał dlaczego, ale tylko z początku… Niemal wszyscy naprawdę byli ślepcami. Im więcej wkraczało ich na wielki plac zaraz za bramą, tym straszniej to wyglądało. Tylko gdzieniegdzie któryś z żołnierzy błyskał jedynym ocalałym okiem i prowadził innych dalej w głąb twierdzy, tak jak wcześniej prowadził ich do Prilepu.

W świetle zmierzchu ta karawana ociemniałych oraz ich jednookich przewodników wyglądała gorzej niż senny koszmar. Bo w tym pojawia się zwykle kilka, kilkanaście mrocznych postaci i groźny opar strachu. A tu… przed oczyma Samuela przechodziła niemająca końca armia ślepców, tłocząc się na dziedzińcu, powoli wsiąkając w prilepskie uliczki i bramy. Stary car nie mógł się przebudzić i otrząsnąć z narastającej w nim grozy, wciąż stał na schodach wiodących od zamku ku dziedzińcowi, podtrzymywany przez Tiabrosa.

Gapie milczeli. Tłum wojaków wlewał się wciąż w bramy miasta, powłócząc nogami, z wyciszonym, zrezygnowanym jękiem. Stało się jasne, że Bazyli odesłał wszystkich pochwyconych na przełęczy Biełasicy, wcześniej trwale ich okaleczywszy. Setki, tysiące ślepców.

Samuel do bólu zaciskał zęby. Posłał tę armię na ryzyko wojenne, sam też się przed nim nie uchylił, rwąca rana w udzie świadczyła o tym najdobitniej. Gdyby ci ludzie po prostu zginęli, jak to zwykle ma miejsce – cóż, zniósłby to tak, jak władcy znosili to od początku świata i jak będą to znosić zawsze.

Lecz człowiek, którego tak nienawidził, odesłał mu ich niby żywych, a jednak niezdatnych do niczego, w pewnym sensie już martwych. Wróciły do Samuela słowa

pomyślane jakiś czas temu, „No i co, stary głupcze? Co teraz powiesz?”. Wróciły ciężkie jak kamień.

„Teraz trzeba będzie zaopiekować się tymi ludźmi – myślał z rozpaczą, gniewem i bezsilną wściekłością car. – Tyloma tysiącami ludzi! Jakie to koszty! Już by lepiej było im zginąć w jakimś wąwozie!”

Co gorsza, przecież gdziekolwiek pójdą, będą tam obniżać morale, podrywać wiarę w sens walki. Także morale obecnych żołnierzy, bo który z nich chciałby zostać tak okrutnie potraktowany zamiast zginąć z honorem, jeśli już trzeba?

I wtedy w stronę Samuela skręciło dwóch ludzi. Jednym był jednooki przewodnik. Drugim… całkiem ślepy Dymitr.

Wspierający się na Tiabrosie władca zrobił kilka kroków w kierunku księcia. Współorganizatora wyprawy. A teraz ofiary tej wojny.

Kilka niezwykle ciężkich kroków. Jakby pokonywał wściekły nurt rzeki.

Przewodnik szepnął coś Dymitrowi, a gdy car i jego doradca byli już na wyciągnięcie ręki, zgiął się w kornym pokłonie. Mnich pomyślał, że zaraz oszaleje, zacznie krzyczeć. Zaczął bezgłośnie modlić się do Boga – nie, wcale nie o cud dla tych nieszczęśników, żeby mogli wrócić do zdrowia. Prosił o łaskę szybkiego zapomnienia tej przerażającej sceny.

Dymitr stał sztywno jakby w obawie, że kiedy zrobi jakiś ruch, przewróci się i ośmieszy. Krwawymi oczodołami spoglądał na Samuela, który nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Czas zdawał się zastygnąć – przynajmniej dla tych kilku osób.

Wreszcie książę spróbował coś powiedzieć. Poruszył bezgłośnie ustami raz i drugi, jednak zamiast słów wydobył się z nich cichy, prawie niesłyszalny szloch. Opuścił głowę i zrobił dwa niepewne kroki w bok. Jego przewodnik poderwał się z kolan, podtrzymał swego wodza…

Władca także nie był w stanie wyrzec ani słowa. Dyszał tylko ciężko, coraz głośniej. Na czoło wystąpiły mu grube żyły.

Naraz krzyknął niezrozumiale, ochryple, bardziej gniewnie niż z bólu – i bez czucia padł na śnieg.

***

Tiabros czuwał przy łożu umierającego dzień i noc. Odchodził tylko na mszę do cerkwi. Raz poszedł też do Dymitra, który zamknięty w swej komnacie z nikim nie chciał rozmawiać. Doradcę cara jednak wpuścił. I, może powodowany okrucieństwem i złośliwością – ponurymi towarzyszami rozpaczy – a może chęcią powierzenia komuś swego straszliwego sekretu, wyznał, co kiedyś uczynił i za co do końca swego nędznego życia będzie pokutować. Po tym spotkaniu mnich wyszedł wstrząśnięty. Myślał dotąd, że wieszczkę zabił jakiś rabuś, choćby dla cennego futra, które podarował jej książę.

Modląc się, doradca umierającego cara zwykle płakał. A ludzkie współczucie, spojrzenia pełne podziwu i szepty, jak bardzo kocha swego władcę, sprawiały mu ból tak nieznośny, że chciał krzyczeć pośród tej boskiej ciszy, rozerwać ją na strzępy, zbezcześcić.

Któregoś dnia wieczorem po mszy zaczepiła go jakaś babina zakutana w szmaty, odstręczająca, śmierdząca biedną starością. Chciał ją odpędzić, by szybciej wrócić do swego władcy, ale ona uczepiła się szaty jak rzep. Przystanął w końcu, pojmując, że prędzej się jej pozbędzie, jeśli wysłucha, co ma do powiedzenia.

Dyszała chwilę zmęczona walką z Tiabrosem, wreszcie spod sukni wyjęła zawiniątko. Ze środka błysnęło kolorowe szkło.

– Straciłam na tej przełęczy syna – wychrypiała. – Ale nasz car dobry był, nie ma we mnie gniewu… Niech tu weźmie tę żywą wodę z cudownego źródła, namaści mu skronie – wetknęła mnichowi buteleczkę w dłoń, zacisnęła troskliwie jego palce, żeby nie upuścił. – Pomagało na straszne choroby, niech spróbuje, nie zaszkodzi… –

zamilkła, bo cóż prosta baba może więcej zrobić, jak dać to, co chowała najcenniejszego. Trzymała dla syna, ale temu już co innego przecież pisane.

Patrząc na tę starą, pomarszczoną kobietę o oczach ongiś niebieskich, teraz wypłowiałych jak niebo w bezchmurny letni dzień, doradca przypomniał sobie naraz twarz tamtej wieszczki w Ochrydzie. I jej słowa.

Teraz dopiero pojął, że brzmiały jak prośba.

Tymczasem nagle w mieście zaczęły bić dzwony.

Mógł nadciągać Bazyli ze swymi wojskami. Albo gdzieś wybuchł pożar, chociaż doradca nigdzie nie dostrzegał warkoczy dymu.

Nie potrafił jednak okłamywać sam sobie. Wiedział dobrze, co naprawdę zwiastuje to bicie dzwonów: to car umarł.

Ukrył twarz w dłoniach. Szklane naczyńko wypadło mu z ręki.

Zabłysło światłem gasnącego dnia, nim utonęło w śniegu.

***

W dwa tygodnie po pogrzebie Samuela mnich Tiabros postanowił poszukać sobie jakiejś pieczary w niedostępnych górach, tam pościć, medytować, a wreszcie umrzeć.

Zrazu próbowano go zatrzymać, tłumaczyć, że zły los się odwróci, a wojnę z bizantyjskim cesarstwem wciąż można wygrać. Radomir, nowy car, chciał go nawet więzić, trzymać w zamkniętej komnacie, póki duchowny nie wyjdzie z najgłębszej rozpaczy. Następcą Samuela powodowało nie tyle współczucie, co świadomość, że stary mnich był doradcą ojca, więc ma wiedzę, jakiej Radomir długo nie posiądzie.

Tiabros jednak uparcie wszystkim tłumaczył to samo: że nie chce oglądać upadku swego państwa. Nie wyjaśniał, że miał w swym ręku nić lepszego losu wszystkich Bułgarów i pozwolił jej się wymknąć z bezwładnych palców. We własnych oczach ponosił winę. Powinien był bardziej nalegać. Zrozumiał to wreszcie, choć zbyt późno.

W końcu uznano, że bezpowrotnie oszalał z rozpaczy, a jego słowa sieją tylko ferment pośród ludzi. Pozwolono mu więc wyjechać. Pobłogosławił mieszkańców Prilepu i ruszył w swą ostatnią drogę.

Kto wie, może sam Bóg miłosierny wysłuchał jego próśb o łaskę szybkiego zapomnienia? Nie dotarł daleko. Zaraz w drodze dopadły go wilki i rozszarpały na ćwierci, pożywiły się, a część kości rozwłóczyły nieopodal.

Twarz jednak pozostawiły nietkniętą. I ci, co znaleźli mnicha, zdziwili się, bo zamiast grymasu przerażenia na obliczu starego ujrzeli… ulgę.

Maciej Ślużyński

BOŻY KOMANDOS

Taksówka trzęsła niemiłosiernie, bo też cóż to była za droga! Więcej dziur niż gładkiego asfaltu, a i asfalt już całkiem zszarzał i pewnikiem kruszył się na potęgę. Ale posuwali się mimo wszystko naprzód, choć o wygodach nikt nie myślał.

– Czy daleko jeszcze? – zapytał niecierpliwie jeden z pasażerów, niewidomy czterdziestoletni ksiądz w sutannie i z koloratką poluźnioną pod szyją.

– Kilometrów kilka zaledwie, dobrodzieju – odrzekł ze śpiewnym kresowym akcentem kierowca, zerkając ciekawie w tylne lusterko.

W odpowiedzi ksiądz tylko jęknął i o nic już nie pytał, pogrążając się w swoich myślach. Siedząca obok niego młoda dziewczyna z ciekawością wyglądała przez okno, tak jakby ją akurat ta podróż co najmniej bawiła. Od samych Suwałk nie odezwała się ani słowem.

Po jakichś paru minutach kierowca dostrzegł zabudowania.

– Ot i Kaletnik już przed nami – oznajmił zadowolony.

– Kaletnik – powiedziała dziewczyna, patrząc przez przednią szybę – to duża wieś o cechach miasteczka, położona w południowej części gminy Szypliszki. Istniała jeszcze przed rokiem 1780, jako dożywotnia dzierżawa jednego z urzędników królewskich. W pobliżu był folwark, przy którym dziedzic Strzyżewski wzniósł drewniany kościółek. Król Stanisław August stworzył w Kaletniku parafię i kościółek Strzyżewskiego został właśnie tu przeniesiony. Niestety spłonął w 1915 roku, podczas działań wojennych. Na jego miejscu wzniesiono nowy, w stylu neoklasycznym; jest murowany, otynkowany na biało, posiada dwie wieże.

– A plebanię posiada? – wtrącił ksiądz.

– Tak – odparła dziewczyna.

– No to, panie kierowco, my właśnie tam poprosimy.

Mimo tej prośby taksówkarz jakby zwolnił nieco i obejrzał się za siebie.

– A panienka to uczona jakaś? – zapytał z nieskrywaną ciekawością.

– Nie – odrzekła zapytana. – Jestem tylko przewodnikiem.

– Znaczy… turystycznym przewodnikiem? – indagował dalej, coraz mocniej zaintrygowany.

– Niezupełnie – odburknęła i zamilkła.

Taksówka zatrzymała się na podjeździe przed niskim parterowym domem, stojącym w samym środku wsi, nieopodal wspomnianego przez dziewczynę kościoła. Budynek był nowy, ale zaprojektowany na kształt miniaturowego szlacheckiego dworku. Na progu stał już proboszcz z szeroko rozpostartymi ramionami.

– Witamy, witamy! – zawołał jowialnie, gdy pasażerowie po zapłaceniu uzgodnionej kwoty wysiedli z auta. – Ksiądz Marek, jak przypuszczam, wraz z przewodnikiem, czy raczej przewodniczką! Prosimy! Prosimy gości w nasze niskie progi!

– Uwaga, trzy stopnie – ostrzegła dziewczyna.

– No, to nie takie niskie te progi – zaśmiał się niewidomy ksiądz, przez proboszcza nazwany Markiem, ostrożnie zbliżając się do schodów. – Pewnie zabytkowe?

– Do zabytków należą brama i kaplica cmentarna zbudowana na początku XX stulecia – śmiertelnie poważnie odpowiedziała dziewczyna, podając mu ramię. Po pokonaniu stopni weszli do środka.

Prezentacja, która odbyła się w sieni, była krótka – ksiądz Marek z Kurii Metropolitalnej i Ania, jego przewodniczka, przywitali się z proboszczem Stępniewskim, wymieniając uściski dłoni. Z gośćmi przywitał się również starszy

mężczyzna, przedstawiony im jako wójt Kaletnika. On zachował nieco więcej rezerwy w obejściu.

– Dziwny z was ksiądz – wypalił znienacka.

– Dlaczego dziwny?

Proboszcz poruszył się niespokojnie, ale wójt brnął dalej, jakby w ogóle nie słyszał pytania.

– I z dziewczyną podróżujecie. Młodą… – Pokręcił głową z dezaprobatą.

– Czy bardziej do zaakceptowania byłaby dla was sytuacja, gdybym podróżował z chłopcem? Młodym? – w głosie księdza Marka zabrzmiała wyraźna drwina. Wójt zamilkł natychmiast.

– Ania jest moim przewodnikiem, moimi oczami. Nikim więcej – zapewnił ksiądz Marek. Dyskusję na ten temat można było uznać za zakończoną.

Gościom pokazano ich pokoje, gdzie mogli się rozpakować i przygotować do uroczystego, wydanego na ich cześć obiadu. Gospodyni proboszcza stanęła na wysokości zadania, co czuło się w całym domu. Ksiądz Marek z dużą niefrasobliwością cisnął swoją torbę na podłogę tam, gdzie stał. Wyciągnął jedną dłoń i powoli ruszył przed siebie, szurając nogami po podłodze. Kiedy dotarł do ściany i dotknął jej, obrócił się w lewo i powoli obszedł cały pokój dookoła, szczególną uwagę poświęcając oknu. Starannie zbadał sposób jego zamknięcia, otworzył je, wychylił się, a potem cofnął z powrotem do pokoju. Z kieszeni wyciągnął mały kamyczek, wychylił się znowu i upuścił go tuż pod oknem. Kamyk bezgłośnie upadł w trawę, a on uśmiechnął się pod nosem i dokładnie zamknął okno.

Ania powoli i z namysłem rozpakowywała swoje rzeczy, pieczołowicie układając je w szafie i w komodzie. Pokojowi nie poświęciła ani odrobiny uwagi, ale zanim wyszła, żeby pomóc się rozpakować swojemu towarzyszowi, obejrzała bardzo dokładnie drzwi. W zamku brakowało klucza, a odkrycie tego faktu sprawiło, że

zmarszczyła z niezadowoleniem brwi. Widać nikt tu niczego przed nikim nie musiał zamykać. Westchnęła ciężko i przeszła ze swojego pokoju do sąsiedniej sypialni.

– Pomóc ci się rozpakować? – zapytała.

– Jasne. Ciekawe, co dzisiaj będzie na obiad?

Pociągnęła nosem.

– Kurczak – mruknęła bez specjalnego entuzjazmu.

– Mylisz się, moja droga – odparł ksiądz Marek i również głęboko wciągnął powietrze przez nos. – Zaufaj ślepemu: to drób, ale bardziej szlachetny. Stawiam na bażanta…

Podczas obiadu, którego rzeczywiście główną atrakcją był faszerowany pasztetem pieczony bażant, proboszcz nadal zachowywał się uprzejmie, ale od czasu do czasu zerkał ciekawie na swoich gości. Również drugi z gospodarzy, wójt Kaletnika, nie krył swojego zainteresowania, choć pomny reprymendy podczas powitania nie kwapił się z ujawnianiem jakichkolwiek swoich przemyśleń. Rozmowa aż do deseru toczyła się wokół spraw dość ogólnych; kiepskiego urodzaju w tym roku z powodu suszy, fatalnego stanu drogi do Kaletnika, zwłaszcza na jej ostatnim odcinku, i połowów ryb w miejscowym jeziorze. Ale przy deserze lodowym własnej roboty, przygotowanym – a jakże – przez gospodynię proboszcza, neutralne tematy skończyły się i na chwilę zapadła cisza.

– A może zapytam wprost? – zagaił niewidomy ksiądz. – Czemu zawdzięczam wasze zaproszenie, przekazane mi przez Jego Eminencję biskupa?

Proboszcz i wójt spojrzeli po sobie, jakby dopiero teraz ustalali, który z nich udzieli niezbędnych wyjaśnień. Wreszcie, jako rzeczywisty gospodarz, głos zabrał proboszcz:

– To w sumie trochę dziwna historia, a w skrócie można by ją zamknąć w jednym zdaniu. Otóż w pobliskiej wsi, Bobrowisku, straszy… Wiem, że to brzmi

dość idiotycznie – dodał szybko, nie zważając na nieśmiałe protesty gościa – zwłaszcza gdy jedna osoba duchowna mówi o tym innej osobie duchownej.

– A czyż osoby duchowne nie powinny się zajmować właśnie duchami? – zapytał znienacka ksiądz Marek, czym wprawił proboszcza w wesoły nastrój, który nijak nie przystawał do opowiadanej historii.

– Osoby duchowne raczej zajmują się duszą, a nie duchami – wyjaśnił, uśmiechając się szeroko.

– A czymże jest duch, jeśli nie duszą potępioną, która błąka się po ziemi w poszukiwaniu wiecznego spoczynku? – nie ustępował przybysz, a proboszczowi nieco zrzedła mina.

– Chyba ksiądz… ksiądz nie wierzy w duchy?

– O! Ja nie tylko w nie wierzę. Ja je wiele razy widziałem.

– Ale… – zająknął się wójt, a gość zwrócił ku niemu swoją twarz.

– Tak. Widziałem je. Przecież nie jestem ślepy, tylko niewidomy. A to jednak różnica.

– Niby jaka? – dopytywał się wójt.

– Istotna, ale pomijając szczegóły, niewidomy nie widzi rzeczy fizycznych, a ślepy… jest ślepy na wszystko. Więc – zwrócił się z powrotem do proboszcza – we wsi straszy. Jak straszy?

– To może różnie straszyć?! – przesadnie zdziwił się wójt, który za nic nie chciał zrezygnować ze swojego aktywnego udziału w dyskusji.

– Może bardzo różnie, ale zbyt długo byłoby o tym opowiadać. Jak straszy w tym konkretnym przypadku?

– No, chciałoby się rzec, że jakoś tak dziwnie – proboszcz podrapał się z zafrasowaniem po łysej głowie – ale co ja wiem o straszeniu. W każdym bądź razie młyn jest opuszczony, a wokół niego dzieją się rzeczy dość niezwykłe…

– Od dawna młyn jest opuszczony? – zainteresował się ksiądz.

– Jakby to powiedzieć… Mieszkańcy wynieśli się z młyna po tym, jak zaczęło w nim straszyć. Wygląda to tak, jakby coś ich stamtąd przegoniło.

– Robi się coraz ciekawiej… A kiedy to się zaczęło?

– Jakoś tak na wiosnę – wtrącił się wójt. – Synowie młynarza najęli się na przednówku do prac przy pogłębianiu jeziora, bo tu u nas ma powstać stanica wędkarska, a jezioro zarosło i zabagniło się, torfowcem zarastając. Powiadają… – tu zniżył głos – powiadają, że synowie młynarza skarb w jeziorze znaleźli i do domu ponieśli nocą, nic nikomu nie mówiąc i nikomu go nie pokazując. A nocy następnej przyszła zjawa, która tego skarbu z jeziora pilnowała, w okiennice zaczęła walić, wyć jak dusza potępiona, w obejściu przewracać wszystko… I tak było co noc, aż młynarz z żoną nie wytrzymali i wynieśli się do mnie do chałupy. Od tej pory niby jest spokój, ale do młyna za dnia wejść nie można, jakby jakaś niewidzialna siła odgrodziła budynek od świata. A znowu w nocy tam podejść – strach, bo ciągle się coś dzieje niedobrego. Zupełnie jakby… – tu się zawahał, ale ksiądz Marek go wyręczył:

– Jakby ta zjawa pilnowała młyna – podpowiedział.

– Tak. Jakby pilnowała i nikogo do środka wpuścić nie chciała.

Wójt chciał nerwowo zastukać palcami w stół, ale ubiegł go letni deszcz, który niespodziewanie zabębnił w okna i dach plebanii.

– Czy macie panowie jakieś podejrzenia? – zapytał ksiądz Marek.

– Podejrzenia względem czego?

– No z czyim duchem możemy tu mieć do czynienia.

Przy stole zapanowało niezręczne milczenie. Wreszcie odezwał się proboszcz:

– To ja opowiem, bo chyba rzeczywiście może chodzić o konkretną osobę. Otóż na długo przed drugą wojną żyła we wsi stara kobieta, zdaje się Cyganka albo Żydówka. Zajmowała się trochę ziołami, trochę leczeniem i pewnie trochę też wioskowymi czarami. Ludzie się jej bali, ale po rady i zioła przychodzili, choć w wielkiej tajemnicy. Za to wszyscy z Bobrowiska i okolicznych wsi obwiniali ją

zawsze o to, co najgorsze; jak się kury nie niosły – to winna była cyganicha, jak ktoś zaniemógł – żydówica urok rzuciła, i tak dalej przez wiele, wiele lat. Potem doszło do samosądu, bo oskarżono tę biedną kobietę, że kogoś otruła, ale żadnych bliższych szczegółów nie znam, bo jestem tu zaledwie od ośmiu lat i jeszcze nie wszystko mi mówią.

– Czy ja dobrze zrozumiałem? – dopytywał się ksiądz Marek. – Obwiniano ją o czary i o wszelkie złe rzeczy, a potem zabito?

Proboszcz niechętnie przytaknął.

– A to ciekawe… Kozioł ofiarny, który stał się demonem.

– Kozioł ofiarny – zaczęła Ania – to jeden z kluczowych mechanizmów antropologicznych, który prawdopodobnie występuje we wszystkich kulturach. Grupa społeczna w momencie kryzysu, dezintegracji czy zagrożenia, by powrócić do stanu utraconej równowagi, obiera sobie ofiarę, która staje się najpierw obiektem drwin, a potem obiektem zbiorowej agresji ze strony całej grupy.

– Zrozumcie, panowie – wtrącił ksiądz Marek – że zawsze kozłem ofiarnym zostaje osoba zupełnie niewinna, co nie przeszkadza członkom społeczności obarczać ją odpowiedzialnością za urojone przewiny. U takiej osoby, wyklętej, wykluczonej z grupy, może to doprowadzić do zmian w świadomości. Jeśli taki proces trwa odpowiednio długo, ona sama zaczyna czuć się winna.

– A kto się może stać takim… takim kozłem?

– Cechy, które powodują, że wybór społeczności pada na daną osobę, mogą być rozmaite – tłumaczyła Ania – ale zawsze posiadają jeden wspólny mianownik: inność. Obce pochodzenie i nierzadko związana z tym odmienność fizyczna, czyli na przykład inny kolor czy odcień skóry, w dodatku połączony z odmiennością psychiczną – to wystarczy.

– Jedna rzecz mnie tylko zastanawia – zauważył ksiądz Marek – zwykle mamy do czynienia z sakralizacją ofiary, zwłaszcza jeśli jej złożenie przyczynia się w

oczach społeczności do poprawienia ogólnej sytuacji. A tutaj nastąpiło zjawisko odwrotne – demonizacja. O takim przypadku jeszcze nie słyszałem…

– Tak, to faktycznie może i jest ciekawe, ale ja się pytam, co ksiądz zamierza z tym zrobić? – Wójt zdradzał pierwsze oznaki zniecierpliwienia.

– Najpierw zamierzam pozwiedzać. – Pytany uśmiechnął się tajemniczo, podziękował i wstał od stołu.

Proboszcz miał starego rozklekotanego Wartburga, więc podróż do oddalonego o dwa i pół kilometra Bobrowiska nie była może komfortowa, ale dość krótka. Dojechali tylko na skraj wsi, gdzie auto się zatrzymało i cała czwórka wysiadła.

– O, to tutaj – rzekł wójt, wskazując na ruinę małej chałupki ze ścianami z dobrze wypalonej gliny. Po chwili zmieszał się nieco, bo przypomniała mu się ułomność księdza Marka, ale Ania natychmiast zaczęła beznamiętnie opisywać:

– To musiała stać kiedyś jakaś stara chałupa. Teraz tylko dwie ściany z gliny zostały i puste otwory po oknach, jak oczodoły w czaszce… Chwasty wokół i jaszczurek mnóstwo. Dzika malina też tu rośnie, ale chyba wody ma mało, bo jagód żadnych nie widzę, a to już pora najwyższa…

– Wody mało, bo rzeka innym korytem teraz idzie – wtrącił wójt. – Przedtem szła o tu, przed górką.

– A czemu teraz nie idzie? – zapytał ksiądz Marek.

– Bo koryto nowe wykopane, aby do młyna był większy spad.

– To i malina nie rodzi…

– Ano – nie rodzi.

– Co ciekawe – wtrąciła Ania – żadnych ptaków ani owadów tutaj w powietrzu nie ma i nie słychać ćwierkania czy brzęczenia. Nic nie słychać. Cisza taka, że…

– …że nawet i ja ją widzę i słyszę – mruknął ponuro ksiądz Marek. – Ale wydaje mi się, że ta historia miała bardzo, bardzo ponure zakończenie. Ja to po prostu

czuję. A tutaj, w tym miejscu, rozegrała się pierwsza część dramatu… Czy możemy podjechać teraz do młyna?

– Za jasnego można, choć też strach – mruknął przyzwalająco wójt, więc wsiedli z powrotem do Wartburga i powoli przejechali przez całą, liczącą zaledwie dwanaście chałup, wieś.

Rzeka zaraz za zrujnowaną chałupką ginęła gdzieś wśród pól, aby po ominięciu wioski szerokim łukiem powrócić przy samym jej końcu, gdzie na małej stromiźnie, schodzącej w dół do stawu, stał młyn – potężny budynek z widocznym już z daleka nadsiębiernym kołem, które furkotało jak oszalałe, przewalając hektolitry bezużytecznej teraz wody. Koło obracało się wartko, bo spadek rzeczki rzeczywiście był spory, ale nie napędzało żadnych urządzeń. Panującą wokół ciszę mącił tylko turkot jałowo obracającej się osi i bulgot wody w stawie poniżej. Sam zaś budynek młyna wyglądał na nieruszony, cichy, spokojny i opuszczony. Ale w żadnym z okien nie ostała się ani jedna cała szyba.

Powoli szli w jego stronę, aż nagle wójt stanął jak posąg.

– Ja… kroku dalej nie zrobię… – wysapał.

– Boicie się, kumie? – zażartował dobrotliwie proboszcz.

– Pewnie, że się boję, choć ze świętymi osobami nie strach iść nawet przeciw siłom nieczystym. Ale ja… ja dalej iść nie mogę. Coś mnie trzyma i nie pozwala kroku naprzód zrobić.

– Atak paniki może objawiać się czasowym, częściowym lub całkowitym paraliżem… – zaczęła Ania, ale wójt przerwał jej gwałtownie:

– Nijakiej paniki nie mam! – wrzasnął. – Iść po prostu nie mogę! Próbuję, ale… o! Jakbym przed ścianą stał.

– To i stójcie tutaj sobie dalej – proboszcz wzruszył ramionami – a my wejdziemy do środka.

Młyn podzielony był na parterową część mieszkalną, do której wchodziło się z wysokiego ganku, i na położoną poniżej podbudówkę, z wejściem prawdopodobnie od drugiej strony, w której znajdowały się maszyny i urządzenia. W części mieszkalnej panował nieopisany wprost bałagan. Sprzęty były powywracane, krzesła połamane, podarte zasłony walały się na podłodze. Wszystko wyglądało jak po przejściu wichury, co beznamiętnym głosem Ania opisywała księdzu Markowi. Ten stał nieruchomo w korytarzu, a dziewczyna podchodziła kolejno do drzwi poszczególnych pomieszczeń.

– O, a kuchnia jaka… Wszystkie naczynia pobite… W pokoju krzesło połamane i drugie też… Telewizor rozbity…

– A lustra? Lustra całe? – dopytywał się ksiądz Marek.

– Pobite wszystkie co do jednego, tak jak szyby w oknach. Ale oprócz tego bałaganu to nic dziwnego tutaj nie widzę…

Proboszcz stanął w samych drzwiach, tak na wszelki wypadek. Wyglądał, jakby był gotów do natychmiastowej ewakuacji, choć dokonałby jej z godnością i bez wielkiego pośpiechu, tak żeby nikt nie mógł jej nazwać ucieczką. Ksiądz Marek wciąż trwał nieruchomo na środku korytarza i z uwagą słuchał relacji dziewczyny.

– Czy są tu jakieś schody na strych? – zapytał.

– Tak, są – Ania przerwała rekonesans i podprowadziła niewidomego do poręczy schodów, które zaczynały się w połowie korytarza, a których koniec pogrążony był w ciemnościach.

– To… – powiedział – …to jest na górze.

Zaczął wchodzić po drewnianych, skrzypiących stopniach. Powoli, tak powoli, że gdyby zwolnił jeszcze odrobinę, stanąłby w miejscu. Pozostali widzieli jego zgarbione plecy i niemal czuli opór powietrza, jakby sama natura broniła wstępu na strych. Ale ducha tu nie było, a w każdym razie – oni go nie dostrzegali. Kiedy ksiądz dotarł na szczyt schodów, z wysiłkiem pokonując każdy kolejny stopień, zamiast na

zagraconym – wiejskim zwyczajem – strychu stanął w obszernym i zupełnie pustym pomieszczeniu. Podłoga była starannie zamieciona, bo kiedy przesuwał się, szurając nogami, wyraźnie pod podeszwami lekkich półbutów czuł strukturę drewna równo przyciętych desek leżących na podłodze.

Niespiesznie obszedł całe pomieszczenie, dotykając cały czas lewą dłonią ściany, a prawą wyciągając przed siebie w badawczym geście. Nie natknął się jednak na żadną przeszkodę, choć wyraźnie odbierał, że coś tu jest; jakaś przeszkoda właśnie, ale nie w sensie fizycznym. W każdym razie – nie tylko.

– Macie jakąś wodę? – zawołał w dół schodów. – Coś do picia?

– Ja mam butelkę wody mineralnej w samochodzie! – odkrzyknęła Ania.

– To przynieś ją tutaj na górę i sama też wejdź. Księdza proboszcza również zapraszam – będę potrzebował pomocy.

Dziewczyna bez wahania wybiegła na dwór. W drodze do Wartburga minęła wójta, który stał koło auta i nerwowo palił papierosa. Nie zaszczyciła go nawet jednym spojrzeniem, tylko porwała butelkę z wodą i pędem wróciła do młyna. Z rozpędu dotarła do podnóża schodów i stanęła jak wryta, jakby trafiła na niewidzialną barierę.

– Nie mogę wejść! – zawołała z rozpaczą.

– Spróbuj teraz! – usłyszała głos z góry i niewidzialna bariera zaczęła przed nią ustępować.

Nie bez wysiłku, pokonując opór gęstego powietrza, wdrapała się na sam szczyt. Ksiądz Marek klęczał tuż przy schodach i modlił się żarliwie. Duszne i ciężkie powietrze wokół poczynało jakby rzednąć, unosiło się w górę wraz z niewidzialną zasłoną. Obejrzała się za siebie i usłyszała sapanie; to proboszcz człapał jej śladem i wkrótce dołączył do nich, ocierając pot z czoła wielką, kraciastą chustką.

– Gorąco tutaj – poskarżył się. – To pewnie przez ten blaszany dach.

– To nie dachu wina – wyjaśnił ksiądz Marek. – Daj mi tę wodę, Aniu. – Kiedy dziewczyna podała mu butelkę, odkręcił ją, wylał nieco na rękę i powiedział: – Niech ksiądz proboszcz pobłogosławi tę wodę.

Duchowny zdumiał się, unosząc brwi w niemym pytaniu, ale przypomniawszy sobie, że ksiądz Marek nie może zobaczyć wyrazu jego twarzy, westchnął ciężko i uczynił nad jego dłonią znak krzyża.

– Już – powiedział.

Marek wziął mały zamach i chlusnął całą garść wody tuż pod swoje nogi. Potem nalał na dłoń nową porcję.

– Jeszcze raz – zażądał, przesuwając się dwa kroki do przodu. Proboszcz, chcąc nie chcąc, postąpił za nim i powtórzył znak krzyża.

Marek znowu chlusnął wodą święconą pod swoje nogi. Znowu nic się nie stało.

– Jeszcze.

Trzeci zamach, trzecie chlapnięcie.

Posuwająca się za nim krok w krok Ania wstrzymała oddech. Woda opadła na podłogę, ale już nie tak zwyczajnie. W miejscu najbardziej oddalonym od nich zaczęła syczeć i parować, tak jakby trafiła na rozgrzaną blachę. Niewidomy ksiądz usłyszał ten dźwięk i stanął w miejscu.

– Jeszcze! – rozkazał zduszonym głosem.

Tym razem podstawił do wyświęcenia całą butelkę. Kiedy proboszcz po raz kolejny wykonał znak krzyża i powiedział „już”, zaczął nią wymachiwać w górę i w dół, w prawo i lewo, skrapiając całą przestrzeń przed sobą; już nie podłogę, ale powietrze. Wytworzyły się w tym miejscu kłęby pary, a pośród nich…

– Widzicie coś? – zapytał ksiądz Marek chrapliwym głosem.

– Tak – powiedziała Ania. – Zarys prostokątnej skrzyni, która jakby trochę świeciła swoim własnym światłem, a trochę pochłaniała światło z otoczenia. Dziwnie wygląda…

– Czy ona jest, czy jej nie ma? – zapytał z trwogą proboszcz Stępniewski.

– Jest, ale wy jej tak naprawdę nie widzicie – odpowiedział tajemniczo ksiądz. – Albo raczej jej nie ma, ale wy ją widzicie.

Para przestała się unosić, a kształty, i tak dość niewyraźne, zaczęły jeszcze bardziej się rozmazywać, aż wreszcie, z ostatnią smużką pary wodnej, zniknęły. Jakby ich nigdy nie było. Albo inaczej – jakby dziwna skrzynia istniała, ale poza zasięgiem ich zmysłów. Poza ich światem.

W gospodzie panowała trudna do opisania atmosfera. Niby wszyscy byli serdeczni, ale wyczuwało się niemal namacalne napięcie. Wejście obcego, w dodatku księdza, na dokładkę niewidomego i pod rękę z młodą dziewczyną, sprawiło, że wszyscy zamilkli, gwar ustał jak nożem uciął, a trzydzieści par oczu skierowało się na nich. Ania poprowadziła księdza Marka do wolnego stolika, ale on pociągnął ją za rękę i wybrał inny, stojący bardziej na uboczu i też wolny. Usiadł, a ona podeszła do bufetu, zamawiając herbatę dla swojego podopiecznego i butelkę Pepsi dla siebie.

– Wyście goście księdza proboszcza? – zapytała domyślnie bufetowa, podając napoje do stolika.

Oboje potakująco skinęli głowami.

– A co to, na plebanii zabrakło napojów? – zdziwiła się kobieta.

– My tu czego innego szukamy – powiedział ksiądz tak głośno, żeby wszyscy słyszeli.

– Czego mianowicie?

– Końca pewnej historii… i najstarszego mieszkańca w okolicy.

– Czy jakiś koniec tu znajdziecie, tego nie wiem. – Bufetowa wzruszyła ramionami. – A najstarszy z naszych, to chyba będzie Maksym Kimszal. Ale go jeszcze tu nie widzę.

– Czy jak przyjdzie, poprosi pani, żeby się do nas dosiadł?

W odpowiedzi zaśmiała się serdecznie.

– Prosić go nie będzie trzeba – odparła. – Siedzicie przypadkiem przy jego stoliku.

– W życiu nie ma czegoś takiego jak przypadek – stwierdził filozoficznie ksiądz. – Jest za to szczęście, a ja mam wyjątkowe szczęście. Ależ pyszna ta herbata!

Po pół godzinie do ich stołu podszedł staruszek z kufelkiem piwa. Uprzedzony przez bufetową nie okazał cienia zdziwienia, zastając przy swoim stoliku nieproszonych gości.

– Wyście od księdza proboszcza… – zapytał, siadając.

– Tak.

– I końca historii szukacie? Tej historii?

– Właśnie.

– A co z początkiem?

– Początek już chyba znamy. Teraz chcemy poznać zakończenie.

Staruszek pociągnął tęgi łyk, tak że w kuflu zostało na dnie nieco tylko piany, otarł wierzchem dłoni sumiaste wąsy i zaczął:

– Jeden z gospodarzy…

– Młynarz? – przerwał mu ksiądz z ciekawością.

– Ano, młynarz, dobrodzieju. Skąd żeście wiedzieli o tym? – zdziwił się dziadek.

– Czemu to zawsze musi być młynarz? – ksiądz mruknął pod nosem sam do siebie, a ręką machnął do Maksyma, żeby mówił dalej.

– …i ten młynarz kiedyś poszczuł cyganichę psami. Ona zaś w zemście rzuciła urok na jego dobytek; kury przestały się nieść, krowy straciły mleko i tak dalej. Kiedy zaniemógł sam gospodarz, ludzie z wioski poszli pod jej chałupę – zamilkł na chwilę i pociągnął łyk piany z prawie pustego już kufla. – No i masz ci los, piwo się skończyło, a jeszcze tyle do opowiedzenia…

Ksiądz dotknął ramienia dziewczyny; ta bez wahania wstała i poszła po nowy kufel. Zanim dziadek się wysapał, postawiła przed nim pełne naczynie. Upił z wdzięcznością, tym razem mały łyczek, i sięgnął po papierosa.

– Przyszli po nią pewnej ciemnej nocy majowej – ciągnął staruszek z przejęciem, puszczając nosem siwy dym. – Zebrali się na drugim końcu wsi i szli w milczeniu przez całe Bobrowisko. I nawet ani jeden pies nie zaszczekał. Pochowały się pewnie ze strachu, że po nie też przyjdą, gdyby szczekały. Stanęli wokół jej chałupki, ze trzydziestu dorosłych chłopów, i tak stali przez chwilę. Gdyby wtedy księżyc wyszedł choć na chwilkę zza chmur, może by się opamiętali jakoś, ale tak stali w ciemnościach. I – ciężko powiedzieć dlaczego – nagle strach w nich taki się pojawił, że aż pobledli. A potem zamiast strachu przyszło coś takiego na nich, że już się bać przestali. Drzwi wyważyli, może też i okna wyłamali, wleźli do środka, pojmali wiedźmę, ręce wykręcili, za włosy przytrzymali i powlekli na zewnątrz.

– Mówicie tak, jakbyście na własne oczy widzieli – ni to zapytał, ni to stwierdził ksiądz.

Staruszek właśnie zwilżał gardło i aż się zakrztusił.

– Ale tam! – zaprotestował, odstawiając z hukiem kufel. – W życiu nigdy! Toż ja dopiero osiemdziesiąt lat mam, a to było we dwudziestym jakoś tak roku… A wiem dokładnie stąd, bo to wszystkie tu wiedzą. – Potoczył wzrokiem po sali. Miejscowi w milczeniu jęli potakiwać głowami. – U nas to się opowiada każdemu, kto posłuchać zechce. Ja od ojca słyszałem nieraz tę historię, stąd wiem.

– Czyli ojciec pana tam był?

– Ojciec nieboszczyk, Panie świeć nad jego duszą, to może i był. Mnie tam się nie spowiadał…

– No i co było dalej? – ponaglił ksiądz.

– Doprowadzili ją aż do młyna i tam się odbył sąd. Za wszystko złe, co się działo we wsi po wojnie, obwinili ją i skazali na śmierć. A potem… potem wsadzili ją

żywcem do drewnianej trumny ze srebrnymi okuciami i obitej ołowianymi blachami. Trumnę załadowali na łódź i popłynęli rzeką aż do jeziora. Tam ją utopili. Ot i wszystko…

Staruszek dokończył swoją opowieść równo z piwem, westchnął, otarł usta i z uprzejmym podziękowaniem wstał od stolika. Oni zaś po chwili, potrzebnej bez wątpienia na wstępne choćby przetrawienie uzyskanych informacji, także wstali i skierowali się ku wyjściu.

Ogarnęła ich ciepła sierpniowa noc. Ania ujęła księdza Marka pod ramię i skierowała w stronę plebanii, ale nagle za ich plecami drzwi od gospody otworzyły się i usłyszeli trwożliwy szept:

– Proszę księdza… halo… proszę księdza…

Z jasnego wnętrza wychynął ku nim człowiek, którego Ania oceniła na jakieś dwadzieścia lat.

– Czy ja mogę coś dopowiedzieć do tej historii, którą usłyszeliście od starego Maksyma? – zapytał z jakąś taką błagalną nutą w głosie, że ksiądz Marek natychmiast skinął potakująco głową.

– Bo ja, proszę księdza… i proszę panienki, rzecz jasna… bo ja jestem synem młynarza – wyznał z początku trochę nieśmiało, ale po przyzwalającym i pełnym zrozumienia ponownym skinieniu głową w wykonaniu księdza nabrał głębiej powietrza w płuca i wypalił: – I ja wiem, czemu ta zmora ze młyna nas wygnała i czemu tam nikogo nie dopuszcza!

– Wobec tego – zaproponował Marek – przejdź się z nami. Odprowadzisz nas do plebanii i wszystko opowiesz.

– E, tam… – Młodzieniec lekceważąco wzruszył ramionami. – Ta opowieść na drogę do plebanii za krótka. Bo my z braćmi, proszę księdza, jak z jeziora wyciągaliśmy na wiosnę zielsko, żeby potem można było z dna muł wybrać, natrafiliśmy na coś i żeśmy to na hakach do łodzi wciągli.

– A cóż to było takiego?

– Trumna.

Marek przystanął i uważniej nadstawił ucha.

– Trumna? Taka zwykła?

– Nie, nie taka zwykła, tylko wielka ciężka dębowa skrzynia, ze srebrnymi okuciami i cała jeszcze blachą ołowianą obita. Jakeśmy trałem ciągli po dnie, to jeden z haków musiał o nią zaczepić, bo nagle kołowrót stanął i liny nie szło już wybierać. Więc my ciągli, aż mało łódź nie poszła pod wodę, ale nagle na linie zrobił się luz, a pod wodą… pod wodą coś jakby się zagotowało. I taki wizg usłyszeliśmy, ale taki straszny, że wszyscyśmy się przelękli. Potem z jeziora wystrzelił słup wody takiej spienionej i coś błysło, i z tej wody poleciało do góry… A że lina całkiem się nie poluzowała, to wyciąglimy trał z wody i się pokazało, że jeden z haków zaczepił o wieko tej właśnie trumny i ją jakoś tak rozwarł przy wyciąganiu z mułu, że się szpara zrobiła, a zawiasy puściły. I myśmy tę trumnę wyciągli z wody, jeno otwartą i pustą w środku.

Zamilkł, spodziewając się jakiejś reakcji ze strony słuchaczy, ale nic takiego nie nastąpiło. Zdziwił się nieco, ale opowiadał dalej:

– No i myśmy tę trumnę do dom przywlekli i na stryszku schowali, żeby ją sprzedać albo komuś pokazać. Bo tu wszyscy znają legendę o złej żydówicy, a teraz się pokazało, że to nie legenda, tylko prawda. A może i nieprawda – zasępił się. – Bo jakby prawda była, to by w tej trumnie jakieś kości chociaż leżały…

– O, święta naiwności! – Ksiądz Marek westchnął. – Idź, synu, z Panem Bogiem, ale wiedz, że ta historia rzeczywiście jest prawdziwa. I że ty też do niej dopisałeś swój rozdział.

Zostawili oniemiałego chłopaka na drodze przed gospodą i wrócili na plebanię.

– No i teraz już wiemy, czemu zjawa tak pilnuje młyna – powiedział poważnym tonem ksiądz Marek po przekazaniu całej historii proboszczowi. – Bo strzeże swojej trumny i nie chce do niej dopuścić żadnego człowieka ze wsi. Boi się, żeby jej znowu w niej nie zamknęli… Dlatego mnie, wam i Ani udało się wejść na strych, a wójt nie dał rady. Bo on jest tutejszy…

– Jezusie Nazareński… – westchnął proboszcz i przeżegnał się z trwogą. – Co za straszna historia…

– I co za straszni ludzie – dodał ksiądz Marek.

– Ludzi trudno czasami zrozumieć, ale łatwo ich potępiać – zganił go surowo proboszcz.

– Przykro mi, księże proboszczu, ale w tej konkretnej sytuacji ja stoję po stronie… ducha – powiedział twardo. – No bo proszę sobie wyobrazić – dodał po chwili nieco łagodniejszym tonem – co musiała czuć ta biedna kobieta, uwięziona w trumnie, wieziona łodzią i wreszcie utopiona żywcem w jeziorze. Żywcem! Jak długo żyła jeszcze, jak długo wołała o pomoc, jak długo, oszalała ze strachu, cierpiała niewymowne katusze? Cierpiała nie za swoje winy! I może być ksiądz dobrodziej… – to słowo zabrzmiało niezwykle ironicznie – może być ksiądz proboszcz święcie pewien, że dopóki żyła, dopóty przysięgała zemstę swoim oprawcom. W każdym razie ja na jej miejscu tak właśnie bym robił.

– Ludziom należy się miłosierdzie, należy się litość i wyrozumiałość… – zaczął proboszcz, ale ksiądz Marek przerwał mu natychmiast.

– Wiem. Ja to wszystko wiem. Ale wy widzieliście tę trumnę – albo raczej jej kształt – tylko z zewnątrz. Ja… – dodał cicho – ja ją widziałem od środka. Widziałem ślady paznokci na twardym dębowym drewnie. Widziałem ślady zębów tej biednej kobiety, która za wszelką cenę próbowała się z niej wydostać. Wtedy jej się to nie udało, a teraz… teraz pomógł jej przypadek.

– Ale przecież to nie może być ona?! To tylko duch…

– Tylko duch? – Ksiądz Marek zaśmiał się bez cienia wesołości. – No to gratuluję dobrego samopoczucia…

Była już głęboka noc, gdy proboszcza obudziło walenie w drzwi. Rozespany zwlókł się z łóżka i otworzył drzwi. Na progu stała Ania, więc proboszcz nerwowo począł rozglądać się za jakimś szlafrokiem.

– Ksiądz Marek zniknął! – wysapała.

– A któraż to godzina, panienko?

– Trzecia w nocy.

– Od dawna go nie ma?

– Nie wiem. Spałam. Nagle coś mnie obudziło. Wyszłam z pokoju, zajrzałam do sąsiedniej sypialni, a tam łóżko puste i nikogo w pokoju.

– Gdzież on mógł pójść po nocy?

– Do młyna.

Proboszcz spojrzał na nią podejrzliwie.

– Czy wy naprawdę ciągle myślicie, że to jakiś tam ślepy ksiądz, który tylko łazi po wsi i słucha opowieści? – wykrzyknęła dziewczyna.

– A tak nie jest?

– To nie jest zwykły ksiądz. To taki… boży komandos…

– Żołnierz Jezusa? – zapytał ironicznie proboszcz.

– Jezus nie miał żołnierzy, tylko apostołów. A oni, idąc – dosłownie i w przenośni – za swoim mistrzem i nauczycielem, głosili miłość. Jezus walczył miłością. Bóg ma do walki inne narzędzia. Jednym z tych narzędzi jest ksiądz Marek. Najlepszym z tych narzędzi – poprawiła się po chwili.

– A mnie biskup powiedział, że przysyła do nas swojego najlepszego egzorcystę, żeby wyjaśnił sprawę…

– A przy mnie ksiądz biskup powiedział, że wysyła go, żeby sprawę rozwiązał!

– I co mamy teraz robić?

– Jedziemy do młyna. Może potrzebować naszej pomocy.

Droga w nocy dłużyła się im niemiłosiernie, zwłaszcza że proboszcz kierował swoim Wartburgiem bardzo ostrożnie. Dziewczyna na początku próbowała go popędzać, ale gdy przy pierwszym, dość ostro wziętym zakręcie, zakopali się w piach na polnej drodze i stracili cenne minuty na skomplikowane manewry – dała spokój. Siedziała nieruchomo, wbijając wzrok w ciemność za przednią szybą, i tylko nerwowo zaciskała dłonie. Wreszcie dotarli do Bobrowiska. Wieś wyglądała na zupełnie opuszczoną, w żadnym z okien nie paliło się najmniejsze choćby światełko, nie zaszczekał ani jeden pies podwórzowy, a o tym, by ktoś wyszedł im na spotkanie, nie było nawet mowy. Jechali między stojącymi tuż przy drodze zabudowaniami bardzo powoli, aż wreszcie dotarli do celu.

Przed młynem, w świetle reflektorów, ujrzeli klęczącego księdza Marka. W wysoko uniesionych w górę dłoniach trzymał krucyfiks. Wyskoczyli z samochodu i wtedy do ich uszu dotarł wściekły jazgot, przerywany pojedynczymi zdaniami wypowiadanymi przez egzorcystę. Otaczała go jasna poświata. Podobna, ale nieco bledsza i o innym, bardziej zimnym odcieniu bieli, otaczała cały młyn. Ksiądz klęczał nieruchomo, ale powietrze wokół niego drgało i wirowało na zmianę.

W pewnym momencie do ich uszu dotarł rozdzierający krzyk:

– Daj mi ich!!! Wydaj!!! Oni zabili!!! Wydaj ich!!!

Nie dosłyszeli odpowiedzi Marka. Zamiast tego ujrzeli, jak z poświaty wokół młyna odrywa się świetlisty kształt i sunie z zadziwiającą ociężałością w jego kierunku.

– Wydaj ich!!! Do mnie należą!!! Wydaj!!! Nagrodę dostaniesz!!!

Znowu nie dosłyszeli odpowiedzi. Ale zjawa widać dosłyszała, bo zaczęła rechotać.

– Targujesz się, klecho? Co ja ci mogę dać, pytasz? Mogę ci dać… oczy! Dostaniesz swoje oczy z powrotem, chcesz? Ale przyprowadź ich do mnie! Jesteś nam coś winien!!! Jesteś to winien nam wszystkim!!!

Gdy zjawa zaczęła mówić o sobie w licznie mnogiej, Marek zerwał się z kolan. Przez długą chwilę wyraźnie widzieli, że ramiona mu drgają, jakby się wahał, jaką podjąć decyzję. A od poświaty wokół młyna odrywały się kolejno pojedyncze plamy światła i podpływały bliżej, niejako stawiając się przed jego oblicze. Otoczyły go kręgiem, ciągle ich przybywało, krąg stawał się coraz ciaśniejszy. Wszystko to odbywało się w absolutnej ciszy, co potęgowało grozę sytuacji.

Krąg świetlistych postaci – bo teraz wyraźnie widzieli, że to są postacie – zaczął wirować, zrazu powoli, a potem tak szybko, że stały się jedną białą ścianą, która skryła księdza Marka przed ich wzrokiem. Nagle – wirujący krąg uniósł się pomału w górę, na wysokość prawie dwóch metrów, tak że ujrzeli od dołu nogi wiszące w powietrzu, a potem runął w dół, tak jakby chciał się zapaść pod ziemię razem ze swoją ofiarą. Krąg rzeczywiście zniknął pod powierzchnią, ale ciało księdza zostało na powierzchni. Znieruchomiałe.

Ania skoczyła ku niemu na pomoc, ale proboszcz był szybszy. Złapał ją za ramiona i mocno przytrzymał w miejscu.

– Nie przeszkadzać! – warknął. – Przeszkadzać nie wolno! Ty tu nic nie zdziałasz!

– Ale ja muszę!

– Nie – odparł twardo proboszcz. – Ty nie musisz. Ja muszę…

Popchnął ją, wcale nie lekko, w tył, w kierunku samochodu. A sam postąpił dwa kroki w kierunku leżącej postaci. Potem jeszcze trzy kroki, dwa kroki, potem jeden – i już klęczał przy księdzu Marku, unosząc mu głowę.

– Synu – zapytał cicho. – Poradzisz sobie?

Marek z wysiłkiem uniósł powieki.

– Hostia… – wychrypiał. – Daj mi hostię…

– A skądże ja ci hostię wezmę? Myślisz, że noszę przy sobie?

– Ja… ja noszę… ale rękę mam złamaną – odrzekł Marek już nieco pewniejszym głosem. – Mam ją tu, na piersi, w srebrnej papierośnicy. Wyjmij jedną.

Proboszcz sięgnął pod jego sutannę i wyjął metalowe pudełko. Wewnątrz zamiast papierosów leżały równiutko w rzędzie hostie. Wyjął jedną i chciał mu ją wsadzić w usta.

– To nie dla mnie – zaprotestował ksiądz Marek.

– To co mam zrobić?

– Daj mi ją do ręki. Do lewej, prawą nie dam rady.

– Proszę, synu. I co teraz? Lepiej?

– Teraz… lepiej niech ksiądz odejdzie kawałek. One… one wracają…

Proboszcz jak oparzony poderwał się, dając kilka potężnych susów w tył. Wtedy usłyszał, czy raczej wyczuł pod stopami powrót na powierzchnię wirującej świetlistej karuzeli…

Wystrzeliła spod ziemi i wzniosła się na pięć metrów ponad leżącego księdza Marka, a po chwili zaczęła obniżać się ku niemu. Mężczyzna wyglądał z daleka na bezbronnego i pokonanego. Przynajmniej na pozór… Kiedy świetlisty krąg zrównał się z leżącym i jakby w parodii zatroskania zaczął się nad nim pochylać, zamykając od góry, ksiądz zerwał się na równe nogi i wyciągnął przed siebie lewą dłoń, w której jak miecz i tarczę trzymał hostię.

– Ciało Chrystusa! – zawołał mocnym, dźwięcznym głosem, a wirujący tuż nad jego głową krąg zafalował i stracił nagle cały swój impet. Pojedyncze odblaski-zjawy odrywały się od niego, ale zamiast wracać w kierunku młyna zapadały się pod ziemię. Znikały jedna po drugiej, aż wreszcie zniknęły wszystkie.

No, prawie wszystkie. Jedna została.

Ksiądz Marek opadł na kolana, tak jakby siły z niego uszły już bezpowrotnie. A zjawa, będąca do tej pory jednym ze świetlistych odblasków, zaczęła się nagle materializować, przybierając coraz bardziej realny, kobiecy kształt. Wreszcie stała przed nim niemłoda, lekko przygarbiona kobieta. Wyglądała tak niewinnie i tak bezradnie…

– Dlaczego? – zapytała szeptem. – Dlaczego zrezygnowałeś z tego, co mogły ci dać?

Podniósł głowę.

– Bo cóż za korzyść ma człowiek, jeśli cały świat zyska, a siebie zatraci lub szkodę poniesie? – zacytował z pamięci. – Łukasz, rozdział dziewiąty, werset dwudziesty piąty – dodał. – Żebyś nie trwała dalej w błogim przeświadczeniu, że to ja jestem najmądrzejszy na świecie. – Uśmiechnął się beztrosko.

– Nie przyprowadzisz ich do mnie? – zapytała, choć wiedziała, jaką usłyszy odpowiedź.

– Nie. Nie mogę tego zrobić. Oni wszyscy już dawno nie żyją.

– A ja?

– A ty… też już nie żyjesz od dawna.

– Więc co ja tutaj robię? Na co czekam?

Uśmiechnął się znowu.

– Na mnie. I na to, co mam dla ciebie. – Wyciągnął przed siebie lewą rękę. Na jego dłoni spoczywała nieco sfatygowana hostia.

A potem udzielił jej komunii i… zjawa zniknęła. Ale nie zapadła się, tak jak poprzednie, pod ziemię. Uleciała do góry. Zaraz potem zniknęła migotliwa poświata wokół młyna.

Serdeczność pożegnania w wykonaniu proboszcza Stępniewskiego w dwójnasób wynagradzała pełen szacunku dystans, jaki w tej ostatniej wspólnej chwili

zachowywał wójt Kaletnika. Mimo gipsu na prawym nadgarstku, założonego niezbyt fachowo, ale bardzo solidnie, przez weterynarza z nieodległych Szypliszek, uśmiechnięty ksiądz Marek długo ściskał się z proboszczem, i wymienił męski uścisk lewej dłoni z pochylonym w niskim ukłonie wójtem. Ania ochoczo nadstawiała do całowania oba policzki.

Do Suwałk wracali tą samą taksówką, która ich tu przywiozła. Do kierowcy najprawdopodobniej jeszcze nie dotarły nowiny, bo zamiast zacząć ich wypytywać o szczegóły przeprawy z duchem, co w tej sytuacji byłoby rzeczą zupełnie naturalną, prowadził pojazd w całkowitym milczeniu i tylko raz po raz ciekawie zerkał w tylne lusterko. Ale nawet gips, widoczny na prawym nadgarstku niewidomego księdza, nie skłonił go do zadania żadnego pytania. Cóż, wypadki się zdarzają, zwłaszcza gdy się jest ślepym.

– Czy nigdy nie miałeś pokusy, aby przestać walczyć z siłami, które kiedyś mogą się okazać potężniejsze od ciebie? – zapytała w pewnym momencie dziewczyna. – Nie myślałeś, aby się do nich przyłączyć, skoro oferują ci tak wiele? Ja chyba nie potrafiłabym się oprzeć…

Przez chwilę jechali w ciszy. Nagle ksiądz odwrócił się w stronę dziewczyny, a ta odniosła wrażenie, jakby na nią spojrzał.

– Pamiętaj – powiedział, kładąc jej w przyjaznym geście dłoń na głowie – nie sprzedawaj duszy diabłu. Nigdy…

– Dlaczego? – zapytała.

– Bo Bóg da ci za nią więcej…

Andrzej W. Sawicki

BUNT SAMCÓW

Podróż do klasztoru okazała się drogą przez mękę. Matka Inez odbyła ją z pokorą, niedogodności traktując jako początek pokuty mającej trwać być może do końca życia. Musiała zapłacić za popełnione błędy, pełniąc funkcję przeoryszy w małym klasztorze, o którym mało kto pamiętał. Musiała zniknąć, a oddelegowanie do mnisiego zgromadzenia o surowej regule, z definicji odciętego od świata, było najlepszym rozwiązaniem.

Ostatni etap podróży odbyła koleją. Pociąg wlókł się niemiłosiernie i trzy razy odstał kilka godzin w polu, przez kłopoty z elektrycznością. Stan sieci trakcyjnej pozostawiał wiele do życzenia, nie mówiąc o awariach w elektrowniach i stacjach przesyłowych, które ostatnio zdarzały się coraz częściej i miały znaczący wpływ na funkcjonowanie archaicznej komunikacji. Awarii nie spowodowały bandy buntowników z dogasającego powstania. Samcze oddziały zostały rozbite i trwało już tylko wyłapywanie niedobitków, przerwy w dopływie prądu nie miały więc związku z uśmierzonym zrywem. Z pewnością władze winę za wszystko i tak zwalą na głupich mężczyzn, ale to nie oni winni byli postępującemu upadkowi cywilizacji technologicznej.

Inez wysiadła na dworcu w jakimś hałaśliwym polskim mieście, którego nazwy nie potrafiła wymówić. Bała się, że na końcu świata, na którym się znalazła, nikt nie będzie znał cywilizowanej mowy, ale się myliła. Miejscowi posługiwali się angielskim jako podstawowym językiem. Rodzimą mowę traktowali już tylko jako etniczną ciekawostkę.

Po krótkich targach Inez wynajęła rikszę zaprzężoną w rowery napędzane siłą mięśni dwóch chudzielców o twarzach ukrytych za błazeńskimi maskami. Powożąca trzasnęła lejcami po plecach samców i pojazd pomknął żwawo, podskakując na dziurach w asfalcie. Zakonnica z uwagą oglądała miasto, czyste i bardzo zadbane, z górującymi nad dachami kamienic z poprzedniej epoki drzewobitami o rozłożystych koronach pełnych kwiatów. Wśród modyfikowanych bioinżynieryjnie żywych konstrukcji, porośniętych symbiotycznymi grzybami i kłębowiskami lian, ciągnęły się archaiczne kable sieci elektrycznych i telefonicznych. Rośliny wrastały w stare budynki, ich konary pełzały po murach, rozsadzając je i pochłaniając, w wielu miejscach jednak współistniały z betonowymi, przeszklonymi biurowcami i budynkami użyteczności publicznej, otaczając je opiekuńczo kłębowiskami liści. Metropolia była zatem typowa dla dzisiejszych czasów. Stara architektura i pozostałości dawnej technologii, pamiętającej samcze czasy, mieszały się w niej z cudami współczesnej bioinżynierii.

Inez po raz kolejny sięgnęła do swojej podróżnej torby i wyciągnęła wiekowego notebooka. Otworzyła go, wstrzymując oddech, i kliknęła w przycisk uruchamiający urządzenie. Nadal pozostawało martwe. Wysiadło cztery dni wcześniej, niemal na początku podróży i nie dawało znaku życia mimo ładowania baterii i gorących modlitw. Możliwe, że spalił się jakiś przeklęty układ scalony i było już po wszystkim. Do cyfrowego nieba odeszły gigabajty danych, łącznie z dokumentami tyczącymi klasztoru, który miała przejąć. Nie było szans, by reanimować urządzenie. Odkąd trzydzieści lat temu zamknęła się ostatnia chińska fabryka, zasoby elektroniki kurczyły się w zastraszającym tempie i co za tym idzie, kosztowały fortunę. Inez nie stać na drugie takie cacko, a na świecie prawdopodobnie i tak nie było części zamiennych, by dało się naprawić ten egzemplarz. Następny artefakt odchodzącej do historii cywilizacji mężczyzn dołączył do swoich braci.

Zakonnica wyszeptała krótką modlitwę, tłumiąc bezsilną złość. Powinna była pobrać dokumenty jako papierowe wydruki, a nie upierać się przy gadżetach z przeszłości. Spotkała ją kara za pychę. Nie tylko straciła masę ważnych dla siebie prywatnych danych, ale nie miała wglądu w historię klasztoru. Nie wie teraz nawet tego, kim są jej podopieczne i jaki jest stan zgromadzenia. Wie tylko, że ma zająć miejsce matki przełożonej, która zmarła dwa miesiące temu. Od dziś będzie przeoryszą niewielkiego klasztoru kamedułek. Jednego z najsurowszych zgromadzeń, o charakterze ściśle pokutniczo-pustelniczym. Zamknie się za wysokimi murami razem z garstką mniszek spędzających czas na pracy w milczeniu i nieustannej modlitwie. Od dziś jej głównym zadaniem i zmartwieniem będzie Lectio Divina – kontemplacyjna lektura Biblii. To coś zupełnie innego niż życie i problemy, do których przywykła.

Riksza wyjechała na przedmieścia z lekką, rozproszoną zabudową i wielkimi, rozległymi parkami. Kilka kilometrów dalej natknęli się na patrol. Grupa amazonek siedziała na trawie pod starą jabłonią i jadła owoce. Ich konie łaziły samopas po łące. Młode dziewczyny poderwały się na widok rikszy i zastąpiły jej drogę. Prócz lanc, opartych o drzewo, uzbrojone były w pejcze zakończone stalowymi zadziorami błyszczącymi lepką neurotoksyną i w budzące respekt staroświeckie karabinki. Dowodząca podjazdem rotmistrz zajrzała do rikszy i bez ogródek zażądała od Inez dokumentów. Zakonnica zauważyła przypiętą do pasa kobiety makabryczną ozdobę. Nanizane na stalową obręcz, pomarszczone tulejki z ludzkiej skóry – odcięte prącia zabitych samców.

Kiedy rotmistrz przeglądała dokumenty, jej amazonki oglądały sobie siedzących na rowerach chudzielców, napędzających rikszę. Dziewczyny śmiejąc się i pohukując niczym goryle, szturchały i podszczypywały przerażonych mężczyzn, którym widoczność ograniczały skórzane maski. Jeden z samców zaczął łkać i bełkotać coś nieskładnie. Zwinął się na siedzeniu, wciskając głowę w ramiona. Szarpał się,

próbował uwolnić ręce przykute do ramy. Woźnica krzyknęła na niego ostrzegawczo i trzasnęła batem przez plecy. Samiec zawył. Biedny idiota.

Inez syknęła na rotmistrz władczym tonem, każąc jej się pośpieszyć. Zakonnica nie nosiła habitu, a w dokumentach figurowała jako starszy inspektor etyczny Rady Wyznaniowej Zgromadzenia Europy. Nie byle jaka persona. Amazonka zasalutowała niedbale i kazała woźnicy jechać. Nie interesowała się, co na tym pustkowiu robi europejska urzędniczka. Riksza nie wydawała się podejrzana i zdecydowanie nie miała nic wspólnego z powstańcami.

Inez pokręciła głową, patrząc na pedałujących samców. Nadal dygotali z przerażenia. Nie znosiła, kiedy ktoś pastwił się nad takimi żałosnymi istotami. Oczywiście nic nie rozumieli, obaj cierpieli na upośledzenie umysłowe, co natychmiast rzucało się w oczy. Jeden i drugi byli nienaturalnie wysocy o nieharmonijnie długich nogach i rękach, do tego sylwetki mieli gynoidalne. Wyglądali jak groteskowo zniekształcone kobiety, a nie prawdziwi samcy. Twarze zasłaniały im maski, ale Inez domyślała się, że ich gęby również są charakterystycznie zniekształcone. Zespół Klinefeltera, bez wątpienia w wersji nie podstawowej, ale tej gorszej, powiązanej z innymi mutacjami. W komórkach kolarzy znajdowała się większa liczba chromosomów płciowych, żeńskich chromosomów rzecz jasna. Męski chromosom – Y zdarzał się coraz rzadziej i od trzech pokoleń nigdy w klasycznej sekwencji: XY. Wszystkie przychodzący na świat samcy byli zdeformowani na poziomie genetycznym. Od stulecia zamiast mężczyzn rodziły się mutanty, kobietopodobni hermafrodyci, zdegenerowane obojnaki i zniekształcone potwory. Przepowiadany przez naukowców stopniowy zanik chromosomu Y nadszedł z dnia na dzień, i to z iście apokaliptycznym rozmachem. Czynniki odpowiedzialne za katastrofę do dziś nie zostały rozpoznane. Podejrzewano wpływ wszechobecnych chemikaliów, transgenicznej żywności i zanieczyszczenia środowiska, ale właściwie niczego nie udowodniono. Po prostu płeć męska zaczęła ulegać lawinowej

degeneracji. Gdyby nie dostatecznie rozwinięty poziom medycyny i genetyki ludzkość dawno spotkałaby zagłada. Na szczęście kobiety sobie poradziły, uciekając się do dzieworództwa. Nie ustawały jednak w wysiłkach i nadal część z nich próbowała się rozmnażać bardziej tradycyjnie, korzystając z zasobów banków z naturalną spermą lub w partenogenezie świadomie decydując się na chłopców. Samcy nadal więc przychodzili na świat. A właściwie ich zdeformowane odpowiedniki. Rodzaju męskiego w jego pierwotnej postaci jak dotąd nie udało się reanimować.

Nie spędzało to Inez snu z powiek. Urodziła się wiele lat po upadku dawnego porządku, po ostatecznym zniknięciu patriarchatu, nie znała go i wcale za nim nie tęskniła. Osobiście martwiło ją tylko to, jak kobiety traktują nieszczęsnych samców. Początkowo rodzącymi się mutantami opiekowano się z niebywałą troską, jak wszystkimi kalekami. Z czasem jednak, kiedy cywilizacja zaczęła się zmieniać przez brak mężczyzn, okazało się, że darmowa siła robocza, jaką przecież stanowili, jest zbyt kusząca, by z niej nie korzystać. Wielu z nich było silnie umięśnionych i mimo defektów psychicznych nadawało się do ciężkiej pracy. Z biegiem lat nowi mężczyźni znaleźli swoje miejsce w społeczeństwie jako niewolnicy wykorzystywani do prac fizycznych. Doszło do tego, że w stacjach położniczo-rozpłodowych „produkowano” ich z pełną premedytacją, starając się poddawać dodatkowym mutacjom i uczynić jeszcze bardziej przydatnymi. Kościół walczył z tym barbarzyństwem od lat, ale jak na razie bez większego powodzenia. Lobby przemysłowo-gospodarcze potrzebowało samców i stanowiło na tyle silną frakcję, by zepchnąć etykę i wpływy grup wyznaniowych na margines, tłumacząc swoje postępowanie potrzebą ocalenia ludzkości.

Rozmyślania nad żałosnym stanem cywilizacji zajęły Inez dalszą drogę do klasztoru. Otrząsnęła się dopiero, kiedy riksza stanęła przed budowlą otoczoną wysokim murem i zabezpieczoną solidną bramą. Była u celu.

Siostry zebrały się na obszernym dziedzińcu wybrukowanym archaicznymi kocimi łbami. W białych habitach z czarnymi czepcami wyglądały nadzwyczaj czysto i schludnie, jak stado białych gołębi, do których od stuleci najczęściej były porównywane. Wszystkie trzymały głowy pokornie pochylone, a wzrok skromnie spuszczony. Stały w absolutnej ciszy, ustawione w nierówny szereg. Inez przywitała się z nimi i wygłosiła krótką mowę o radości, którą czuje od chwili, gdy się dowiedziała, że pokieruje klasztorem. O tym, jak bardzo się cieszy, że resztę życia poświęci dawaniu świadectwa o Bogu nieustanną modlitwą i medytacją. Potem poprosiła, by siostra pełniąca funkcję asystentki i sekretarki poprzedniej przeoryszy zaprowadziła ją do celi.

Anna służyła pomocą Matce Jolancie przez osiem lat. Była niewysoką, krępą kobietą w okolicach czterdziestki, nosiła absurdalnie wielkie, mocne okulary nadające jej aparycję sowy. Sama zaproponowała, że oprowadzi Inez po klasztorze, pozwoliła jej tylko zostawić torbę i niemal siłą wyciągnęła na rekonesans. Siostra Anna okazała się osobą niezwykle energiczną, przysłowiowym żywym srebrem.

– Zwykle o tej porze siostry mają poobiednią godzinę czasu wolnego, większość wykorzystuje ją na samodzielną modlitwę i rozmyślania, potem spotykamy się przy wspólnej pracy na polu za klasztorem. Ja najbardziej lubię zajmować się warzywnikiem, szczególnie naszą szklarnią. Uprawiamy tam transgeniczne pomidory, ogórki i paprykę, te ostatnie niemal w całości sprzedajemy na targu, zyski ze sprzedaży upraw są właściwie naszym jedynym dochodem. Złożyłam propozycję, by zbudować tak modne ostatnio platformy do plantacji hydroponicznych i wprowadzić inne gatunki. Najlepiej przyprawy, algi i grzyby, które mają zastosowanie w koszmarnie drogiej kuchni molekularnej. Niestety brakuje nam funduszy na inwestycje… – Anna trajkotała jak nakręcona, zdawałoby się bez przerw na złapanie oddechu.

Było to nieco zaskakujące, bo w tym surowym zgromadzeniu milczenie uważano za największą cnotę, a gadulstwo za grzech. Kamedułki ze sobą właściwie nie rozmawiały, koncentrując się na modlitwie. Inez szła obok korpulentnej, rozgadanej siostry i z uwagą wszystko oglądała. Nie próbowała przerywać kobiecie słowotoku, miała nadzieję, że ta sama wyjawi wszystkie konieczne informacje, a może nawet zdradzi coś ponad to, jakieś tajemnice zakonnic, grzeszki czy coś w tym rodzaju. W końcu jednak zaczęła dyskretnie pociągać Annę za język.

– Tak, mieliśmy problem z dwiema dziewczętami będącymi na postulacie… – Pulchne policzki zakonnicy pokryły się rumieńcem. – Zbłądziły, biedne owieczki, a my zbyt późno to spostrzegłyśmy. Zamiast skoncentrować się na miłości do Boga i modlitwie, poczuły się samotne i zbytnio się zbliżyły do siebie. Siostra Gertruda przyłapała je razem w celi. W jednym łóżku. Trzeba je było wydalić z klasztoru. A jedna nasza nowicjuszka… Ehem! – Anna kaszlnęła teatralnie, zawieszając głos. – Okazało się, że przez kilka miesięcy chodziła nocami do miasta i oddawała się cielesnym przyjemnościom z samcami pracującymi w przetwórni. Kopulowała z tymi biednymi, okaleczonymi istotami.

– Też ją wydalono?

– Sama się przyznała do grzechu i okazała skruchę. Matka Jolanta wybaczyła jej i pozwoliła złożyć śluby. W chwili obecnej siostra Samoa oddaje się pokucie poprzez medytacje i modlitwę w całkowitej izolacji. Od roku przebywa w rekluzji.

Inez pokiwała głową ze zrozumieniem. Uleganie słabościom przez młode zakonnice nie było niczym nadzwyczajnym i zdarzało się wszędzie.

– Czy to jedyne problemy, z którymi się borykacie? – spytała, schylając się przy przejściu przez portyk prowadzący z budynku klasztornego do ogródka.

– Nie, to nic w porównaniu z problemami finansowymi. – Anna lekceważąco machnęła ręką. – O, niech matka przełożona spojrzy! Tu wiosną topniejący śnieg zerwał rynnę na całej długości. Nie mamy grosza, by kupić nową, od dwóch miesięcy

woda leje się po ścianach. Tynk odpadł tam i tam, a tu zaczyna już rosnąć grzyb. Dach wymaga wymiany właściwie na całej powierzchni, hydraulika na górnych piętrach jest dziurawa jak sito, musieliśmy odciąć część instalacji, ale to nie koniec. Wprowadzenie we wszystkie szczegóły zajmie mi trochę czasu, może przełożymy to na kiedy indziej… – Anna poprawiła zsuwające się na nos okulary. – Jest jeszcze kwestia opodatkowania, w tym dodatku wojennego. Do klasztoru prócz zabudowań należą pola na zachód od miasta, za które zalegamy z podatkiem gruntowym od trzech lat. Nie zapłaciłyśmy też należnego dodatku wojennego, liczonego od mieszkańca. Jest nas w sumie trzydzieści pięć sióstr, powinnyśmy więc przekazać do kasy naczelniczki regionu trzydzieści pięć tysięcy!

– Jaki jest stan kasy? – Inez poczuła dziwny niepokój.

– Tragiczny. Obecnie mamy jakieś dwie setki w gotówce, a do tego niespłacone w tym miesiącu raty dwóch kredytów, po dwa tysiące każda.

– Matka Jolanta brała pożyczki, nie mogąc ich spłacić?

– Nie było wyjścia. – Anna wzruszyła ramionami. – Potrzebowałyśmy pieniędzy na bieżące utrzymanie klasztoru i na budowę domu rekolekcyjnego oraz kaplicy. W mieście nie ma ani jednego kościoła…

– Ile jest tego długu?

– Jeden na czterysta sześćdziesiąt tysięcy pod hipotekę zabudowań klasztornych i drugi na trzysta pięćdziesiąt pod zastaw pól.

Inez zakręciło się w głowie. Za taką kwotę Jolanta mogła zbudować cały kompleks edukacyjny i jeszcze by zostało na kościół. Ciekawe, co tak naprawdę się stało z pożyczonymi pieniędzmi? Po co skromnej zakonnicy taka fortuna?

– Waszym jedynym źródłem dochodów pozostają zyski ze sprzedaży własnych upraw? – Inez spojrzała uważnie na Annę.

– Także skromne datki wiernych, ale w dzisiejszych czasach mało kto jest dla nas hojny. Bunt samców boleśnie doświadczył mieszkańców regionu. Dlatego tak

mocno nalegałam na powiększenie upraw i wprowadzenie mniej wymagających roślin transgenicznych.

– Chce siostra spłacić niemal milion długu, sprzedając paprykę i ogórki na targowisku?

– Również ciastka i tarty siostry Anieli oraz kwiaty siostry Katsumi – odparła niezrażona Anna. – Pokładamy wiarę w Bogu, że wszystko będzie dobrze. Modlimy się o to gorąco.

– Modlicie się… – Inez pokiwała głową. – To świetnie.

Wyglądało na to, że zesłanie do pokutniczego klasztoru wcale nie ograniczy się do umartwiania i rozmyślań. Inez nie zamknie się w pustelniczej celi, nie zniknie dla świata. Będzie miała za to masę roboty, choć pewnie i tak niezbyt długo. Uśmiechnęła się nieświadomie do swoich myśli. Zanosiło się na to, że nie zagrzeje tu miejsca. Zgromadzenie stało na skraju bankructwa i lada dzień mogło zostać zlicytowane, a siostry wygnane.

Następnego ranka Matka Inez po raz pierwszy poprowadziła Godzinę Czytań i Jutrznię, modlitwy o świcie. Potem mszę odprawiła przybyła z miasta kanoniczka Krystyna. Kobiety w całkowitej ciszy zjadły wspólnie skromne śniadanie i wyruszyły do pracy. Inez usiadła w swoim gabinecie nad dokumentami. Matka Jolanta nie używała cyfrowych nośników danych i wszystko notowała na papierze. Sterty dokumentów wypełniały cały regał zajmujący jedną ze ścian gabinetu. Poustawiane w skoroszytach, opisanych datami i krótkimi hasłami po łacinie, wyglądały dość oryginalnie. Trochę czasu Inez poświęciła, by zorientować się według jakiego klucza przeorysza segregowała papiery. Nie prosiła jednak o pomoc Anny, chciała sama dojść do wszystkiego.

Do gabinetu zapukała siostra Gertruda, wyprężona jak struna kobieta po pięćdziesiątce o surowym obliczu i wiecznie zachmurzonej minie. Przyniosła do przymiarki habit dla nowej przeoryszy. Inez nie miała chęci na przebieranki i

odprawiła zakonnicę. Nigdy nie nosiła habitu i źle by się w nim czuła. Poza tym nie chciała przywiązywać się do zgromadzenia, które i tak pewnie wkrótce opuści.

Wróciła do pracy. Przetrząsała segregatory podpisane lapidarnie – *Oeconomia*. Najbardziej interesowały ją finanse. Na co Matka Jolanta wydała grubo ponad pół miliona? Niestety przejrzenie kilkudziesięciu ksiąg nie było takie proste. W skrupulatnie rozrysowanych tabelach wynotowano wszystkie wydatki na przestrzeni ostatnich stu lat, łącznie z takimi drobiazgami, jak zakup papieru toaletowego czy biletów komunikacji miejskiej. Znajdowało się tu morze faktur, paragonów, weksli i świadectw sprzedaży. Wreszcie przed południem Inez dokopała się do sprawozdań i rozliczeń z kolejnych remontów i przebudów budynków klasztornych.

Musiała przerwać na wspólną Modlitwę w Ciągu Dnia i Modlitwę do Miłosierdzia Bożego. Do gabinetu wróciła po obiedzie i znów zanurkowała w papierach. Przed Nieszporami odnalazła plany mającej powstać kaplicy i domu rekolekcyjnego. Odkładała na bok wszystkie faktury i rachunki ich się tyczące, a potem cierpliwie je zliczyła. Budowa odbyła się w ubiegłym roku i wydano na nią sto dwanaście tysięcy. Wertowała papiery do późnej nocy, ale o tym, co się stało z resztą pożyczki, w segregatorach poświęconych gospodarce klasztoru nie było ani słowa.

Nikol Badowska piastowała funkcję naczelniczki regionu czwartą kadencję. Góra ufała jej już na tyle, że od trzech miesięcy – odkąd trwał stan wojny – Nikki pełniła także cywilne zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi działającymi w całej południowej Polsce, zachodniej Ukrainie i większej części Słowacji. Dodatkowa władza dawała naczelniczce niezwykłe możliwości, między innymi korzystania z wywiadu wojskowego, a przede wszystkim swobodnego operowania siłami, które jej powierzono. Od trzech miesięcy trzęsła swoim dominium, pełniąc w nim despotyczną władzę. I to w majestacie prawa.

Zdawała sobie jednak sprawę, że tyrania nie potrwa wiecznie i prędzej czy później wszystko wróci do normy. Jako osoba zapobiegliwa nie zaniedbywała więc pracy u podstaw, jak zawsze dbała o najmniejsze drobiazgi. Nie umknął więc jej uwadze fakt przybycia do miasta nowej przeoryszy. Pewnie inna naczelniczka, zadufana w sobie i dumna jak wielu oficjeli, zlekceważyłaby tak nieistotne wydarzenie. Niewart uwagi, biedny klasztor nie pełnił istotnej społecznie ani gospodarczo roli. Wegetował sobie gdzieś na marginesie życia w mieście, a jego przeorysza była równie nieważną osobą, jak szefowa kuchni w bufecie ratusza.

Nikki jednak nie lekceważyła nikogo. Właśnie dzięki temu podejściu zaszła tak wysoko i tak pewnie trzymała się na stanowisku. Zakonnice też trzeba było mieć na oku, jak wszystkich w tym mieście. Naczelniczka znalazła więc czas, by przyjrzeć się nowej przeoryszy, a nawet wezwać ją na krótką rozmowę.

Inez stawiła się punktualnie o wyznaczonej porze. Ku zaskoczeniu Nikki nie była ubrana w habit, lecz w prostą, szarą garsonkę. Ciemne włosy nosiła krótko ścięte, wyglądała też młodziej, niż wynikało to z jej metryki. Naczelniczka patrzyła w milczeniu na wysoką, smukłą kobietę po czterdziestce, która wyglądała na trzydziestolatkę. Mierzyła ją surowym spojrzeniem, nie proponując, by usiadła. Zresztą, specjalnie z myślą o mniej ważnych interesantach, z gabinetu naczelniczki usunięto krzesła. Odrobina poniżenia miała z miejsca określić relacje i dać przewagę Nikki.

Cisza się przedłużała. Zakonnica nie wyglądała na speszoną, stała nieruchomo, odpowiadając śmiałym spojrzeniem. Naczelniczka przyglądała się jej wygodnie rozparta za biurkiem. Asystentka podeszła do Nikki bezszelestnie niczym cień i rozłożyła przed szefową sprawozdanie z wywiadu. Ta spojrzała w podane dokumenty dopiero po dłuższej chwili siłowania się wzrokiem z zakonnicą.

– Witam panią w moim dominium, Inez Tárrega – powiedziała, podnosząc wzrok znad papierów. – Mam nadzieję, że będzie nam się dobrze układała

współpraca. Panuje tu taki zwyczaj, że przełożeni wszystkich formalnych i nieformalnych organizacji muszą sprawozdawać mi o swojej działalności. To dla bezpieczeństwa nas wszystkich i po to, by utrzymać wysoki stopień komunikatywności na linii władza – lud.

Inez nie odpowiadała, milczała grzecznie, jak przystało na zakonnicę.

– Ciągle cały rejon objęty jest stanem wojny – kontynuowała naczelniczka. – Oczekujemy po wszystkich obywatelkach pełnej współpracy i zaangażowania w zwalczanie bandytów. Tylko wspólnymi siłami szybko zakończymy konflikt i przywrócimy porządek. Ciągle tropimy niedobitki buntowniczych band, nie udało się też jak dotychczas ująć ich przywódców. Szczególnie myślę o tym mutancie, generale Spartakusie.

– Mój klasztor działa w ramach klauzury – po raz pierwszy odezwała się przeorysza. – Jesteśmy zakonem zamkniętym i właściwie nie kontaktujemy się ze światem. Jedyne co możemy zrobić, to modlić się, by rozruchy skończyły się jak najszybciej i w jak najmniej krwawy sposób.

– Nie jesteście zamknięte szczelnie, siostrzyczki, proszę mnie nie mamić bzdurami o murach oddzielających was od świata! – Naczelniczka zmarszczyła groźnie brwi. – Kilka sióstr udziela nauk w domu rekolekcyjnym, ma tam kontakt z obywatelkami z nizin społecznych, z biedotą. Z pewnością spotykacie się z szacunkiem prostych ludzi, budzicie ich zaufanie. Dam sobie rękę uciąć, że przychodzą do was po rady i pociechę. Może któraś z odwiedzających was obywatelek ukrywa poszukiwanego samczyka, może pomaga jakiejś bandzie i gryzie ją sumienie? Może jej brat lub syn poszli do powstania, a ona ciągle ma z nim kontakt? Wie, gdzie bandyci się ukrywają, gdzie mają swoje bazy?

– Jeśli któraś z moich podopiecznych znajdzie się w posiadaniu informacji ważnych dla bezpieczeństwa publicznego, natychmiast poinformuję o tym władze. – Inez nawet nie mrugnęła.

– Właśnie tego oczekuję, Matko Inez – naczelniczka pokiwała głową – ale to nie wszystko. Musicie bardziej się starać, siostry. Musicie pokazać, że wasza obecność w mieście ma jakiś sens.

– Nie rozumiem.

– Nie możecie spoczywać na laurach. Chcę wiedzieć, że mogę na was polegać. Dobrze wyglądałyby cotygodniowe sprawozdania z działań ze szczegółowym spisem uzyskanych informacji o mieszkańcach. Postarajcie się. Interesuje mnie, co trapi prosty lud, a wy jesteście mu najbliższe. Nie patrzcie na mnie jak cielę, wykażcie jakąś inicjatywę. Może wypada zamontować podsłuch w konfesjonale kaplicy? I dostarczać mi co ciekawsze nagrania? No! To byłby dobrze widziany gest.

Inez patrzyła na naczelniczkę nieruchomym wzrokiem. Ciągle nie okazywała najmniejszych emocji niczym doświadczony pokerzysta.

– Odpowiadam jedynie przed generał swojego zakonu – powiedziała spokojnie. – Zgodnie z konkordatem władze świeckie nie mają prawa ingerować ani zmuszać…

– Trwa wojna. – Nikki groźnie zmarszczyła brwi. – Wymagam od was absolutnego posłuszeństwa, tak jak od wszystkich organizacji działających na podległych mi terenach. Nie potrzebuję tu darmozjadów, nic niewartych, rozmodlonych dewotek. Nasze społeczeństwo ma działać jak szwajcarski zegarek. Każdy trybik ma idealnie pasować do reszty i być przydatny. Jeśli się nie przyłożycie i nie udowodnicie mi, że możecie być pomocne… – Naczelniczka zawiesiła głos. – Hm. Spójrzmy w dokumenty. Zalegacie z podatkiem gruntowym i wojennym, a wasze nieruchomości obciążone są hipoteką. Jak zamierzacie spłacić dług? Mogę w każdej chwili wysłać do was komornika. Może to też zrobić bank, w którym macie kredyt.

– Liczę na dobrą wolę władz, a do banku lada dzień wystosuję pismo z prośbą o zawieszenie spłat do chwili, kiedy przedstawię nasze tragiczne położenie władzom kościelnym. – Inez wreszcie spuściła wzrok.

– Nie liczyłabym, że problem sam się rozwiąże. – Nikki uśmiechnęła się w myślach. Miała przeoryszę w garści. – Musicie się wykazać. Nie pożałujecie. Za pomoc w ujęciu zbuntowanego samczyka wyznaczona jest nagroda wysokości pięćdziesięciu tysięcy. Od łebka! Za głowę Spartakusa okrągły milion. Jeśli dostarczycie informacje, które pozwolą namierzyć powstańców, wasza sytuacja może ulec zmianie z dnia na dzień. Potrafię się odwdzięczyć za współpracę. Weźcie się do roboty, a nie pożałujecie. A teraz idźcie już, Matko, pewnie musicie się pomodlić. Ale pamiętajcie: albo się zaprzyjaźnimy, albo w ciągu miesiąca wasz monastyr przestanie istnieć.

Zakonnica dygnęła i wyszła bez słowa. Nikki westchnęła i wstała od biurka. Skinęła swojej asystentce, która natychmiast stanęła z tyłu i zaczęła masować jej ramiona.

– Widziałaś, jakie to proste? – mruknęła naczelniczka. – Od dawna ostrzyłam sobie zęby na ten klasztor i przejmę go prędzej czy później. Spory, tradycyjny kompleks z zapleczem gospodarczym, idealnie położony na wylocie z miasta. W sam raz na stylowy hotel z obsługą przebraną za męskich kamerdynerów. Można go ewentualnie przebudować na kurort SPA, otoczyć pierścieniem drzewobitów, zamienić ogrody w nowoczesne, ekskluzywne habitaty roślinne. Nasze miasto potrzebuje czegoś takiego. Ale do tego zabierzemy się, gdy się rozprawimy z samczykami, na razie można tylko wykorzystać pingwinice do szpiegowania.

– Świetne posunięcie, Nikki. – Asystentka przytuliła się do pleców szefowej, musnęła ustami jej szyję i pocałowała za uchem. – Wydaje mi się jednak, że jesteś zbyt pewna siebie i lekceważysz przeciwniczkę. Nawet nie przeczytałaś całego sprawozdania z wywiadu, a tyle się nad nim napracowałam.

– Co przegapiłam, kurczaczku? – Nikki wygięła się i pogładziła dziewczynę po włosach, pozwalając jej przytulić się jeszcze mocniej.

– Inez Tárrega nie jest cichą i skromną kamedułą. To jezuitka przysłana tu na zesłanie za jakieś nieustalone jeszcze przewinienie. Nad tym, co takiego zbroiła, dopiero pracuję.

– Jakie ma znaczenie, z jakiego zgromadzenia pochodzi? Tu i tak jest nikim.

– Jezuitki rekrutują swoje członkinie spośród najinteligentniejszych kandydatek o mocnych osobowościach. Do tego główny nacisk kładą na ich wszechstronne kształcenie i umiejętność radzenia sobie w każdej sytuacji. Szkoli się je, by mogły być jak najbliżej rządzących i choćby pośrednio uczestniczyć w sprawowaniu władzy świeckiej. To polityczne i intelektualne ramię Kościoła, mające umacniać i zwiększać jego pozycję. Najlepsze z najlepszych. Agentki do zadań specjalnych.

– Ciekawe… – Nikki nie sprawiała wrażenie przejętej. – Sądząc po pozycji Kościoła w dzisiejszym świecie, niezbyt dobrze wychodzi im to umacnianie wpływów. Zdecydowanie nie obawiałabym się jakiejś wyklętej przez swoich zakonnicy. Choćby nawet była super zakonnicą.

Wściekłość ogarnęła Inez dopiero po opuszczeniu budynku ratusza. Wredna jędza przyparła ją do muru i zmusiła do całkowitego posłuszeństwa. To było niczym gwałt! Naczelniczka zastosowała dość prymitywną socjotechnikę, na przemian prośby i groźby, poniżenie i obietnice. Tylko że to zadziałało. Stłamsiła ofiarę i powaliła ją na kolana. A najgorsze, że Inez nie miała możliwości się obronić! Atak był zupełnie niespodziewany i nie pozostawiał szans na kontrę.

Inez udało się zapanować nad gniewem i stłamsić go w sobie. Miała ochotę wrzasnąć na całe gardło, ale wokół rynku kręciła się masa ludzi. Przystanęła więc tylko i wyciągnęła z kieszeni różaniec. Zaczęła szeptać modlitwę, obracając w palcach koraliki koronki. Uspokoiła się niemal natychmiast.

Wracając pieszo do klasztoru, rozmyślała intensywnie. Zanim weszła do gabinetu naczelniczki, w nosie miała dalsze losy monastyru. Właściwie nawet się

cieszyła, że nie zagrzeje tu długo miejsca. Likwidacja zakonu była jej na rękę, bo gdziekolwiek zostałaby przeniesiona, nie mogła trafić gorzej. Zesłanie na koniec świata zapowiadało się na krótkie i właściwie bezbolesne. Upadek monastyru nie był przecież jej winą, zastała na miejscu sytuację beznadziejną i mogła tylko czekać, aż wierzyciele rozpoczną windykację długów i przejmą klasztor.

Rozmowa z naczelniczką wiele jednak zmieniła. Dawno nikt tak nie nadepnął Inez na odcisk. Nikol Badowska nie miała pojęcia, jak wielki błąd popełniła, pomiatając nią i zmuszając do tak obrzydliwej i nieetycznej współpracy. Nie pozwoli sobie założyć kagańca i nie będzie szpiegować wiernych. Nie ulegnie tej cwanej despotce!

Po drodze zaszła na pocztę, by skorzystać z telefonu. Sieci komórkowe padły kilkanaście lat temu przez problemy techniczne. Pozostała jednak klasyczna telefonia przewodowa oparta w znacznej części na archaicznych liniach, pamiętających jeszcze erę samców. Dostęp do niej był jednak coraz trudniejszy, wszystko przecież się psuło, a serwis z trudem dawał sobie radę z coraz częstszymi naprawami.

Dodzwonienie się do Wiednia zajęło jej niemal pół godziny. Głos w słuchawce był stłumiony i dodatkowo zagłuszany przez szumy i trzaski, ale odebrała ta osoba co trzeba – Edyta Wiechert, specjalistka w dziale informacji Europejskiej Izby Kontroli. Inez natychmiast przeszła na niemiecki, mając nadzieję, że w ten sposób utrudni trochę życie podsłuchującym rozmowę szpiegom naczelniczki. Nie podlegało bowiem wątpliwości, że pracowniczki poczty śledziły wszystkie rozmowy.

– Kochanie, masz kogoś w Warszawie? Potrzebuję danych o lokalnym banku. CBL Cash Bank. Praktyki tyczące kredytowania, historia działalności. Może robili jakieś świństwa. Tak. I wszystkie nieoficjalne dane też. Wyślij na mój nowy adres. Nie słyszę, powtórz! Tak, to wszystko. Też całuję!

Zapłaciła krocie za połączenie i szybkim krokiem pomaszerowała do klasztoru. Zdążyła akurat na Kompletę, modlitwę kończącą dzień, po której obowiązuje

całkowite milczenie. Siostry znikły w swoich celach, zaledwie jedna została w kaplicy na adorację Przenajświętszego Sakramentu. Po korytarzu niósł się tylko trzask chodaków siostry Gertrudy, niestrudzenie patrolującej klasztor. Surowa zakonnica czuła się odpowiedzialna za bezpieczeństwo i porządek w monastyrze.

Inez znów zamknęła się w gabinecie i po raz kolejny zanurkowała w papierach. Odnalazła i skrupulatnie przeczytała umowy kredytowe, które Matka Jolanta podpisała z Cash Bankiem. Wysokość hipoteki wzbudziła jej podejrzliwość – wartość klasztornych posiadłości była w rzeczywistości o jakieś pięćdziesiąt procent wyższa, niż wycenił je bankowy rzeczoznawca. Kredyt został też za wysoko oprocentowany, jednym słowem wyglądał na fatalnie niekorzystny dla zakonnic. Jolanta musiała bardzo potrzebować pieniędzy, skoro zgodziła się na taki układ. Pożyczki wzięła w odstępie dwóch dni. Prawdopodobnie początkowo myślała, że pierwsza suma okaże się wystarczająca. Potem w desperacji poprosiła o kolejną.

Na co tak bardzo potrzebowała gotówki? Co skłoniło ją do tak niefrasobliwych kroków?

Wskazówki powinny znajdować się w tych papierach. Jakiś rachunek, notatka, cokolwiek, co skierowałoby poszukiwania w odpowiednim kierunku. Jakiś punkt zaczepienia. Inez próbowała wczoraj wyciągnąć coś z Anny, ale asystentka uparcie twierdziła, że nic nie wie. Matka Jolanta trzymała ją na dystans i nie zdradzała swoich tajemnic. Anna mogła kłamać, choć sprawiała wrażenie osoby nadzwyczaj prostolinijnej, a jej gadatliwość nie pozwoliłaby utrzymać długo języka za zębami. Pozostałe siostry były tak skoncentrowane na pracy i modlitwie, że pojęcia nie miały o problemach klasztoru. Jolanta nigdy z nimi nie rozmawiała o podobnych sprawach. Cokolwiek zatem zrobiła z pieniędzmi, zrobiła to sama, w tajemnicy przed siostrami.

Nie wiedzieć kiedy nadeszła północ. Inez zaczynała głowa boleć ze zmęczenia, a od kurzu dostała kataru. Stwierdziła, że ma stanowczo dość na dzisiaj: pora zakończyć śledztwo. Pociągając nosem, zabrała się do odstawiania segregatorów na

regał. Weszła na krzesełko i wciskała jeden po drugim na górną półkę. Chmura kurzu dmuchnęła jej prosto w twarz, wywołując łzawienie i gwałtowne kichnięcie. Przeorysza straciła równowagę. Zachwiała się, balansując na krzesełku. Odruchowo cisnęła trzymane segregatory, które z łomotem grzmotnęły o podłogę tuż obok biurka. Jeden z nich uderzył kantem w drewnianą klepkę parkietu i wcisnął ją w głąb. Sąsiednie klepki uniosły się z kliknięciem i odsłoniły prostokątną skrytkę.

Inez zeskoczyła na ziemię i opadła na klęczki. Skrytka była płytka i niezbyt pojemna. Przeorysza bez wahania sięgnęła do środka. Wewnątrz nie było żadnych dokumentów, tylko kilka przedmiotów: dziecięce ubranko pajacyk, grzechotka, smoczek, wyleniały ze starości miś, kastet, elektryczny paralizator i jakaś dziwna część garderoby, którą Inez musiała oglądać dłuższy czas, zanim wpadła, co to takiego. Przedmiot był wykonany ze wzmacnianej czarnej skóry, nabity srebrnymi ćwiekami i zaopatrzony w pasek z klamrą.

Suspensorium! Ochraniacz na męskie genitalia. Skąd to u zakonnicy? Szczególnie tak dziwacznie wyuzdany? Inez widziała takie gadżety zakładane najbardziej zwyrodniałym samcom lub najbardziej jurnym, trzymanym przez próżne, bogate obywatelki jako ozdoba lub erotyczna zabawka.

– Kim byłaś, Matko Jolanto? – mruknęła głośno przeorysza, obracając w ręku suspensorium.

Podeszła do biurka i otworzyła szufladę z kartoteką personalną. Teczki ułożono według alfabetu, w dodatku w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat w klasztorze mieszkała tylko jedna osoba o tym imieniu, odnalezienie papierów Jolanty nie okazało się więc trudne. Zmarła przeorysza była Polką pochodzącą z Gdańska. Uzyskała doktorat z historii i zanim została zakonnicą, pracowała na uniwersytecie. Wstąpiła do zakonu dwadzieścia trzy lata temu, miała wtedy trzydziestkę. Nie odbywała postulatu, za to przepisowo spędziła rok w nowicjacie, a potem od razu złożyła śluby wieczyste. Wyglądało na to, że uciekła do klasztoru i od początku była

nastawiona, by zamknąć się w nim na zawsze. Sądząc po pokutniczym charakterze zgromadzenia, pewnie chciała odbyć w nim karę, którą sama sobie wyznaczyła.

Znajdowały się tu jeszcze zapiski poprzedniej przeoryszy, oceniające Jolantę jako cenny narybek. Wykształcona i bardzo religijna, do tego zdyscyplinowana i bez reszty oddana służbie Bogu. Po jakimś czasie zaangażowała się w prowadzenie klasztornej biblioteki, potem została asystentką przeoryszy i pomagała jej prowadzić klasztor. Dziesięć lat temu przejęła obowiązki matki przełożonej klasztoru. Na tym jej kartoteka się kończyła.

Tknięta jakimś przeczuciem Inez sięgnęła po teczkę siostry Anny. Po chwili wahania wyciągnęła teczki pozostałych zakonnic, które zdążyła już poznać i zapamiętać. Dwanaście kobiet – osiem Polek, dwie Ukrainki, Niemka i Japonka. W różnym wieku, z różnym wykształceniem, przybyłe do zakonu na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat. Żadnych cech wspólnych, żadnego punktu zaczepienia.

Inez westchnęła i pomasowała czoło. Ból głowy dokuczał coraz bardziej, zegar wskazywał już trzecią w nocy. Przeorysza wstała od biurka i ruszyła do wyjścia. Pora spać.

Celę miała na tym samym piętrze co gabinet, na drugim końcu korytarza. Brak żarówek i problemy z elektrycznością powodowały, że już dawno całkiem zrezygnowano z oświetlania przejść i holi, zadowalając się blaskiem wpadającym przez okna. Inez nie wzięła roślinnej lampy bioluminescencyjnej, szła zatem po omacku w całkowitej ciemności. Udało się jakoś dotrzeć do celu; właśnie kładła rękę na klamce, gdy wydało się jej, że słyszy stłumione głosy. Zastygła w bezruchu. Odruchowo wstrzymała oddech. Panowała cisza, tylko wiatr szumiał w gałęziach drzew. Inez zauważyła, że najbliższe okno jest otwarte. Podeszła, by je zamknąć, wyglądając przy tym na zewnątrz.

Na pogrążonym w mroku dziedzińcu poruszały się dwa białe kształty. Habity zakonnic. Czyli głosy nie były złudzeniem, mimo zakazu dwie siostry rozmawiały, idąc dokądś w środku nocy. Inez bez chwili zastanowienia doskoczyła do schodów i starając się stąpać jak najciszej, pomknęła nimi w dół. Po paru chwilach dotarła do wyjścia. Drzwi były uchylone. Ostrożnie wyjrzała na zewnątrz.

Ciemno. Po zakonnicach ani śladu. Za to w oddali rozległo się głuche dudnienie, jakby upadło coś ciężkiego. To gdzieś w ogródku, na tyłach klasztoru. Inez przemknęła wzdłuż ściany, ostatni odcinek do portyku prowadzącego poza kompleks przebyła, stąpając ostrożnie niczym kotka. Szkolenie wojskowe i częste fizyczne ćwiczenia czasami się przydawały. Prześliznęła się przez portyk i dała susa w krzaki porzeczek.

Intruzów było kilkunastu. Stali wokół trzech zakonnic: Anny, Gertrudy i pulchnej kucharki – siostry Anieli. Jeden z nich musiał upuścić drewnianą skrzynię pełną owoców. Pojemnik pękł, jabłka, gruszki i morele rozsypały się po trawie. Kilku samców klęczało, zbierając owoce, jeden stał z pochyloną głową i płakał, pociągając nosem. Bełkotał przy tym niewyraźnie.

– Pszszeplaszam, pszeplaszam. Nie chciaaałem, nie chciałem – mamrotał.

Anna pogłaskała go po głowie.

– Nic się nie stało. Pomóż chłopcom pozbierać owoce, no już, szkoda czasu.

Mężczyźni wyglądali jak typowi zdeformowani samcy. Kaleki umysłowe, co widać było po tępych gębach. Kilku miało charakterystyczne, kobiece sylwetki i nienaturalnie długie odnóża, stało tam też dwóch karłów, inna odmiana zdefektowanego zestawu chromosomów. Pakowali do plecaków owoce i warzywa pochodzące z klasztornej spiżarni, o czym świadczyły znajome, drewniane skrzynie. Większość z nich żuła pokarm, jeden z idiotów obślinił się przy tym, inny chrupał marchew upiornie głośno, mlaskając jak zwierzę. Nosili wojskowe kombinezony z kamuflażem, kilku na głowach miało hełmy z koślawym symbolem Marsa –

kółeczkiem ze strzałką. Uzbrojeni był po zęby w osadzone na sztorc kosy, szable, a także broń palną, pistolety maszynowe i lśniące nowością karabinki.

– Nieźle wyposażeni ci buntownicy – szepnęła do siebie Inez.

Żałowała, że nie wzięła choć paralizatora świętej pamięci Matki Jolanty. Przeliczyła samców. Dwunastu. Po pięćdziesiąt tysięcy za sztukę. Do tego trzy zdrajczynie kobiecego rodzaju. Jeden donos i jutro sprawa klasztornych długów zostanie rozwiązana, a naczelniczka Nikol będzie wdzięczna i da spokój wiernej przeoryszy.

– Zaciął się. Robiłem, jak kazałaś, ale i tak się zaciął… – Karzeł wyciągnął do siostry Gertrudy swój pistolet.

Zakonnica westchnęła i wzięła broń. Jej ręce poruszały się płynnie, wyuczonymi odruchami. Błyskawicznie odpięła magazynek, przeładowała pistolet i przestrzeliła go. Wreszcie wyciągnęła zamek i obejrzała go przy świetle trzymanej latarni.

– Zabiorę to – powiedziała. – Trzeba naprawić. Weźmiesz pistolet po Krzysiu, niech spoczywa w pokoju.

Anna poklepała kolejno kilku mężczyzn po policzkach.

– Zbierajcie się, dzieci – powiedziała. – Do zobaczenia w następny poniedziałek. O tej samej porze. Uważajcie na siebie. Jeszcze dwa, trzy tygodnie i wyjedziecie daleko w góry. Tam będziecie bezpieczni.

– I wolni? – spytał karzeł.

– Jasne – na twarzy Gertrudy, po raz pierwszy odkąd Inez ją poznała, pojawił się uśmiech. Smutny i przelotny.

Samcy zaczęli gasić swoje lampy luminescencyjne i kolejno znikać w ciemności. Przeorysza wycofała się bezszelestnie i przemknęła przez dziedziniec. Życie w klasztorze znów ją zaskoczyło. Nie było wcale takie monotonne.

Po porannej mszy, a jeszcze przed śniadaniem Inez wzięła siostrę Annę pod ramię i zatrzymała ją w kaplicy. Obie przyklęknęły przed katafalkiem, pod którym chowano prochy zmarłych zakonnic.

– Matka Jolanta miała nieco ponad pięćdziesiątkę, mogła jeszcze długo służyć Bogu jako przeorysza – powiedziała Inez. – Na co zmarła?

– Od wielu lat cierpiała na nerki. W ciągu ostatniego roku choroba bardzo się posunęła, Matka Jolanta ostatni miesiąc życia spędziła przykuta do łóżka. Hospitalizacja i tak nic by nie dała, poza tym przeorysza nie chciała iść do szpitala. Czuła, że odchodzi, i chciała zrobić to wśród swoich.

– W tym samym miesiącu opuściły nas jeszcze trzy siostry – zauważyła Inez.

– Maria odeszła ze starości, miała niemal dziewięćdziesiątkę, Korin i Hanna zginęły w nieszczęśliwym wypadku. – Anna tkwiła z pochyloną głową i złożonymi do modlitwy rękoma. – Katastrofa komunikacyjna. Ich riksza zderzyła się z ciężarówką. Niech Bóg ma je w swojej opiece.

Inez pokiwała głową, przeżegnała się i wstała. Anna otarła załzawione oczy i dołączyła do przeoryszy.

Na poczcie czekała na Inez depesza. Edyta zaszyfrowała ją przytomnie według znanego tylko im dwom klucza. Zakonnica przeleciała wzrokiem pismo, wyłapując zbitki liter układające się w sensowny tekst. Nie zaskoczył jej wynik wywiadu dokonanego przez przyjaciółkę. Cash Bank był prywatnym, lokalnym i niewielkim interesem. W jego zarządzie zasiadała Nikol Badowska, mająca jedną trzecią udziałów. Pozostałymi właścicielkami okazały się jej dwie dawne kochanki: burmistrz miasta i miejscowa agentka nieruchomości.

– A to wstrętne larwy – mruknęła Inez. – Udzielają kredytów pod hipoteki, a potem niszczą dłużników, by ci nie byli w stanie spłacać zobowiązania. Następnie po prostu przejmują nieruchomości. Agentka je upłynnia, zwykle sprzedaje miastu. I tak

kasa krąży między trzema wiedźmami. A niech mnie! Chcą zrobić sobie z regionu prywatne państwo?

Mamrocząc pod nosem, Inez nadała swoją depeszę. Zaszyfrowała ją w identyczny sposób. Pozostawała nadzieja, że szpiedzy naczelniczki nie rozgryzą kodu zbyt łatwo. Treść odpowiedzi składała się z kilku nazwisk: Jolanta Babinicz, Anna Poruta, Gertruda Hertel, Aniela Różycka. Po chwili zastanowienia dopisała jeszcze Korin Jones i Hannę Tuszyńską. Na koniec jedno zdanie: *Sprawdź je w Centralnym Rejestrze Rodzicielek*.

Zapłaciła kolejną astronomiczną kwotę i pomknęła do lokalnego Biura Informacji. Jedno z niewielu miejsc, gdzie z pewnością znajdował się działający komputer podłączony do Sieci. W dodatku za opłatą dostępny zwykłym obywatelkom. Inez stanęła na końcu monstrualnej kolejki i wodząc z nudów spojrzeniem, ku własnemu zaskoczeniu zauważyła, że w instytucji znajdują się także staroświeckie przeglądarki do mikrofilmów i klasyczne archiwum.

Zrezygnowała z komputera. Pobrała losowo garść kopii papierowych gazet z kilku ostatnich lat i zasiadła do lektury. Przeglądała kroniki kryminalne i lokalne wiadomości. Szukała trochę na oślep, nie wiedząc, czego dokładnie powinna wypatrywać. Chyba chciała dotrzeć do faktycznych przyczyn buntu samców, bo te oficjalne właściwie niczego nie tłumaczyły.

Według lokalnych władz samiec nieco bardziej inteligentny niż przeciętna, powodowany wrodzoną nadagresją związaną ze zbyt wysokim poziomem testosteronu we krwi, popełnił jakąś zbrodnię, prawdopodobnie zgwałcił swoją opiekunkę, i uciekł. Przyjął pseudonim Spartakus, nawiązał kontakt z robotnikami z przetwórni żywności i przekabacił tych najbardziej samczych, organizując z nich bandę. Przeprowadził kilka napadów na posterunki policji, ograbił jakieś magazyny, kogoś zastrzelił, kogoś znów zgwałcił. Wyłapywał przy tym kolejnych samców i głosił wśród nich powrót starych czasów, nadchodzące odrodzenie rodzaju męskiego.

Banda szybko się powiększyła. Złupiła kilka wiosek, spaliła jakieś miasteczko z wojskowym garnizonem. Stoczyła nawet jedną większą bitwę i odniosła w niej sukces. Krok po kroku została jednak osaczona i rozbita. Ogólnie nic nadzwyczajnego, takie bunty zdarzały się raz na jakiś czas. Inicjowali je ponadprzeciętnie męscy samcy, którzy potrafili łatwo zapanować nad swoimi pobratymcami, dotkniętymi upośledzeniem umysłowym. Tworzone przez nich bandy degeneratów nie należały do specjalnie trudnych do zniszczenia. Bunty wybuchały coraz rzadziej i były coraz słabsze, atrofia rodzaju męskiego postępowała bowiem nieustannie.

Ostatnie powstanie okazało się jednak zaskakująco duże i krwawe. Odbiło się szerokim echem w świecie i pobudziło do wystąpień kilka organizacji humanitarnych. Żądano objęcia samców szczególną ochroną, zaprzestania używania ich jako darmowej siły roboczej i zniesienia nieformalnego niewolnictwa. Rząd Europy powołał komisję do zbadania przypadków dręczenia samców, ale ta skończyła obrady, zanim jeszcze powstanie upadło, nie znajdując żadnych dowodów, by mężczyźni byli na kontynencie źle traktowani.

Inez przewijała fotokopie cierpliwie, nie zwracając uwagi na upływ czasu. Wreszcie zatrzymała się przy niewielkim artykule sprzed dwóch lat. Aresztowano kobietę ukrywającą swego syna przed komisją kwalifikującą męskie osobniki według stopnia degeneracji do różnych zastosowań. Chłopca odebrano i przekazano do zakładu wychowawczego, przygotowującego samców do życia w społeczeństwie. Matka stawiała czynny opór, histeryzowała, że zabierają jej dziecko, by zamienić je w niewolnika. Oskarżała władze o handel samcami i nieludzkie ich traktowanie. Nazwała zakład wychowawczy obozem koncentracyjnym. Aresztowano ją za pobicie policjantki i publiczne oczernianie legalnej władzy.

Potem rzucił się Inez w oczy artykuł o zbiorowej ucieczce samców z zakładu wychowawczego. Trzech z nich zginęło nieszczęśliwie w czasie pościgu, sześciu

zostało ciężko rannych w niewyjaśnionych okolicznościach. Zdementowano pogłoski, jakoby wychowawczynie użyły broni palnej. Kolejny tekst tyczył zaginięcia samców pracujących w przetwórni. Następny traktował o ataku mężczyzny, ubranego w wyuzdany strój z odsłoniętymi genitaliami, w centrum handlowym. Jego opiekunki nie znaleziono, samiec został przypadkowo zastrzelony przez ochronę sklepu. Tuż przed zamknięciem archiwum Inez zatrzymała się jeszcze przy reportażu o nocnym życiu miasta, w którym wspomniano o plotce, że istnieją nielegalne kluby, z walkami samców i handlem żywym towarem.

Te informacje w pełni zadowoliły Inez. Wracała do klasztoru, uśmiechając się do swoich myśli. Zagadki powoli zaczynały się wyjaśniać.

Następny tydzień spędziła, poznając bliżej swoje podopieczne. Próbowała z każdą porozmawiać, choć panująca w klasztorze reguła milczenia nie ułatwiała jej zadania. Wzywała siostry do swego gabinetu pod pozorem robienia porządków w archiwum osobowym i przesłuchiwała je po kolei. To były dobre, ciche kobiety, rozczarowane świeckim życiem lub od dzieciństwa niezwykle religijne. Powołanie spotykało je w trudnych momentach życiowych, a klasztor dawał upragnione schronienie. Spotkała się z trzydziestoma zakonnicami, w różnym wieku, pochodzącymi z różnych środowisk. Większość osiągnęła już wiek średni, choć były też dwie młodziutkie dziewczyny w postulacie.

Nie udało jej porozmawiać tylko z Samoą. Ta nadal siedziała w rekluzji, odcięta od świata. Podawano jej jedzenie przez specjalny otwór w drzwiach. Inez nie próbowała przeszkadzać jej w pokucie. Nie niepokoiła też czterech osiemdziesięciolatek nieopuszczających już swoich cel.

Tymczasem co dzień chodziła na pocztę i korespondowała z Edytą. Przynosiła coraz dłuższe depesze do klasztoru, bo ich rozszyfrowywanie na miejscu było nieco kłopotliwe.

Dostała też dwa wezwania od naczelniczki, oba ręcznie kaligrafowane na czerpanym papierze. Pierwsze zignorowała. Drugie pismo okazało się ostre w tonie i znajdowała się w nim zapowiedź przysłania do klasztoru komornika, jeśli natychmiast nie zostaną zapłacone zaległe podatki. Inez odpisała, że przygotowuje dla naczelniczki specjalne sprawozdanie i poprosiła o cierpliwość. Grała na zwłokę. Spokojnie zbierała dane, które wyszukiwała dla niej Edyta. Nie chciała iść do Nikol z byle jakimi plotkami, zebranymi przez siostry wśród wiernych. Szykowała dla niej prawdziwą niespodziankę.

Inez ubierała się akurat w swoją ulubioną, szarą garsonkę, by wyjść do kaplicy na wspólne odmówienie Jutrzni, kiedy dobiegło ją głuche dudnienie i podniesione głosy. Ktoś dobijał się do bramy klasztoru. Na korytarzu załomotały chodaki siostry Gertrudy. Inez odruchowo spojrzała na zegar – piąta trzydzieści. Doskoczyła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Na korytarzu stało kilka przestraszonych i oszołomionych zakonnic, niektóre jeszcze bez habitów lub bez czepców. Inez pomknęła po schodach w dół i po chwili wybiegła na dziedziniec. Przy furcie stała Gertruda z Anielą, kobiety dyskutowały ze sobą zawzięcie. W drzwi ciągle ktoś łomotał wściekle, domagając się wpuszczenia do środka. Zanim przeorysza dotarła na miejsce, ktoś złapał ją za ramię.

– To suki z antysamczych bojówek. – Siostra Anna była blada jak ściana. – Pewnie jakaś prowokacja. Pod żadnym pozorem nie wpuszczajmy ich do środka, bo splądrują klasztor.

– Same wejdą – mruknęła Inez, marszcząc brwi.

– Matko Przenajświętsza, miej nas w swojej opiece… – Anna wzniosła oczy ku niebu.

Łomotanie zmieniło się w równomierne dudnienie. Taran? Okuta metalem furta zadygotała.

– Gdzie nie mogą zajrzeć? – spokojnie spytała Inez.

Anna odpowiedziała zdumionym spojrzeniem.

– Gdzie trzymacie broń? – sprecyzowała przeorysza. – Gdzie ukrywacie towar przeznaczony dla buntowników? No już! Nie rób takiej miny! Mów, do diabła!

– Cele rekluzyjne w północnym skrzydle – wydukała wreszcie zakonnica.

Pięknie. Inez powinna sama na to wpaść. Część kompleksu, do której nigdy się nie zagląda. Tylko siostra Aniela nosiła tam żywność dla Samoi, jedynej pokutnicy zupełnie odizolowanej od świata. Kilkanaście pozostałych cel stało pustych.

Furta z łomotem gruchnęła o ziemię, wyrwana z zawiasów. Na dziedziniec z wrzaskiem wpadła gromada amazonek. Policyjny taran do wyważania drzwi targało dwóch samców w czarnych maskach zakrywających twarze i w kolczatkach wrzynających się w szyje. Po zrobieniu przejścia obaj zostali powaleni na kolana szarpnięciami smyczy przypiętych do najeżonych kolcami obroży. Na gołych plecach skamlących mężczyzn widniały czerwone pręgi po biczu, a na ramionach wypalono im piętna Czerwonej Lilii – symbolu formacji wojskowej, której byli własnością.

Amazonki w ciemnoczerwonych mundurach z krzyżującymi się na piersiach białymi pasami z amunicją, wymierzyły karabinki w zakonnice i wrzeszcząc, kazały im ustawić się pod ścianą. Nie obyło się bez brutalnego przepychania i obsypania sióstr wulgarnymi wyzwiskami. Inez spokojnie stanęła z resztą, plecami opierając się o mur. Bez strachu patrzyła w wykrzywione grymasami złości twarze agresorek. Lilie słynęły z okrucieństwa i wojowniczości. To była elitarna jednostka szczycąca się zarówno udziałami w misjach stabilizacyjnych na Bliskim Wschodzie i w Afryce, jak i krwawym uśmierzaniu samczych buntów. Ich godło miało symbolizować wierność i czystość. Wierność wobec oficjalnej władzy i dbałość o czystość ludzkiego gatunku. Wielokrotnie oskarżano je o fanatyczny antysamczyzm i rasizm, ale nie dało się też ukryć, że były niezwykle skuteczne w boju i zawsze wypełniały zadanie.

– Która to przeorysza? – spytała amazonka z gwiazdką kapitana na piersi.

Dowodząca Liliami nosiła błyszczące czerwienią, wysokie oficerki, a przez jej twarz biegła brzydka, biała blizna. W ręku od niechcenia obracała rękojeść Szponu Bólu – zakrzywionej białej broni o ostrzu z rowkiem wypełnionym neurotoksyną. Na pierwszy rzut oka znać w niej było zaprawioną w boju twardzielkę. Największe wrażenie robiły jednak jasne, zimne oczy. Oczy morderczyni.

Inez wystąpiła bez wahania.

– Co ma znaczyć ta napaść? Protestuję przeciw podobnemu traktowaniu! Stan wojny nie usprawiedliwia barbarzyństwa.

Kapitan zmierzyła ją lodowatym spojrzeniem i wykrzywiła pogardliwie wargi.

– Wyszczekana jesteś, pingwinico – syknęła. – Zobaczymy, czy nadal taka będziesz, kiedy skończymy rewizję i pociągniemy cię na powrozie do aresztu. Niech tylko znajdziemy jakikolwiek ślad samców w tym monastyrze, cokolwiek, co by świadczyło o pomocy buntownikom…

Część amazonek ruszyła do środka budowli. Po chwili otworzyły się okna cel na parterze i zaczęły wylatywać z nich rzeczy należące do zakonnic: bielizna, Pisma Święte, jakieś cywilne ubrania. Pozostałe Lilie wyciągały z klasztoru przerażone zakonnice, kopiąc je i popychając. Inez czuła rosnący lawinowo gniew. Zacisnęła zęby, widząc dwie Lilie niosące jedną ze staruszek, które nie opuszczały już swoich cel. Rzuciły zapłakaną kobietę pod ścianę. Śmiały się przy tym jak obłąkane. Przeorysza podejrzewała, że znajdują się pod wpływem narkotyków. Wystąpiła dwa kroki, stając twarzą w twarz z kapitan.

– Wynoście się stąd, suki – wycedziła. – Natychmiast opuśćcie klasztor albo mnie popamiętacie! Nie zamierzam znosić…

Kapitan wyszczerzyła zęby i bez zamachu grzmotnęła pięścią w brzuch Inez. Cios był wymierzony przez zawodowca, przeorysza złamała się wpół, wypuszczając całe powietrze z płuc. Amazonka złapała ją za włosy i pociągnęła. Pochyliła się nad ofiarą i szepnęła jej do ucha:

– Pozdrowienia od pani naczelnik. To ostatnie ostrzeżenie.

Odepchnęła Inez. Przeorysza usiadła ciężko na ziemi. Ciągle nie mogła złapać oddechu, ból był paraliżujący. Kapitan skinęła na dwie swoje amazonki, pochylone nad przeoryszą.

– Tylko żeby nie było śladów – rozkazała oficer.

Jedna z kobiet z przeciągłym wyciem wymierzyła Inez kopniaka w pierś. Druga parsknęła śmiechem i poprawiła kolbą karabinka. Przeorysza zwinęła się w kłębek, chroniąc głowę ramionami. Spadły na nią kolejne ciosy. Siostra Anna doskoczyła do jednej z amazonek i objęła ja oburącz, próbując odciągnąć od ofiary. Oberwała głową w twarz i usiadła na ziemi. Gertruda objęła drugą Lilię za szyję i szarpnęła do siebie, fachowo sprowadzając przeciwniczkę do parteru. Niemal natychmiast dostała jednak w bok kolbą od innej amazonki i z sykiem opadła na kolana.

– Wystarczy – cicho rozkazała kapitan.

Zasalutowała pogardliwie do Inez i odwróciła się na pięcie. Nie patrząc za siebie, opuściła klasztor. Oddział zniknął razem z nią.

Przeorysza usiadła i zaczęła obmacywać obolałe boki. Zarobiła kilka potężnych sińców, ale Lilie nic poważnego jej nie zrobiły. Żebra miała całe, mogła swobodnie oddychać. Po chwili wstała o własnych siłach. Anna krwawiła z rozciętej wargi, która dodatkowo spuchła i zrobiła się purpurowa. Gertruda trzymała się za bok, ale poruszała się o własnych siłach.

– Dziękuję, Matko. – Z powagą malującą się na twarzy ukłoniła się przeoryszy. – Wiem, że sprowokowałaś je celowo, by odciągnąć uwagę od klasztoru i tego, po co tu faktycznie przyszły. Ocaliłaś nas wszystkie.

– Anna i Gertruda za mną – surowo rozkazała Inez. – Idziemy do rekluzji. Już!

Zakonnice posłusznie ruszyły za przełożoną. Anna zalewała się łzami bólu i po raz pierwszy nie gadała. Siostry przeszły korytarzem do zachodniego skrzydła oddzielonego od pozostałej części klasztoru masywnymi drzwiami okutymi żelazem.

Inez otworzyła je z wysiłkiem i weszła do środka. Spowity mrokiem hol wyglądał ponuro i nieprzyjaźnie.

– Skąd wiedziałaś? – niepewnie spytała Gertruda.

– Moje rodzime zgromadzenie to *Societas Desu.* Jestem jezuitką, potrafię zdobywać informacje, nawet te ukryte – odparła krótko Inez. – Wiem, że kilkanaście zakonnic z tego klasztoru dostąpiło łaski zostania matką. I wszystkie powiły synów. Wy dwie też, prawda? Twój syn miałby teraz dwadzieścia trzy lata, Gertrudo. Żyłby, gdybyś nie zgodziła się oddać go do zakładu, skąd zniknął bez śladu. Prawdopodobnie został zabity w nielegalnych walkach gladiatorów lub sprzedany i zużyty jako seksualna zabawka, mógł też trafić na stół operacyjny i zostać ofiarą eksperymentów medycznych. To na zawsze pozostanie tajemnicą. Nie mogłaś znieść myśli, że oddałaś własne dziecko na haniebną śmierć, dlatego wstąpiłaś do klasztoru. To tę winę chciałaś tu odpokutować. – Inez spojrzała ostro na pobladłą zakonnicę.

Anna załkała, znów zalewając się łzami. Tym razem nie spowodowanymi bólem skaleczeń.

– Ty też przeżyłaś podobną tragedię, Anno. – Inez pokiwała głową. – Nie walczyłaś o syna, pozwoliłaś go sobie odebrać. Sumienie nie dawało ci spokoju. Pocieszeniem okazała się pokuta w klasztorze. Ale do czasu. Na wieść o tym, co się wyprawia w mieście, gdy zaczęły do was docierać opowieści o podziemnych klubach i handlu samcami, o okrucieństwie i mordach, wróciły do was stare koszmary, otworzyły się zabliźnione rany. Postanowiłyście zrobić coś więcej, niż tylko się modlić. Wzięłyście sprawy w swoje ręce.

Inez otworzyła pierwszą celę. Wewnątrz panował mrok, trzeba było chwili, by wzrok do niego przywykł. W pomieszczeniu stały drewniane skrzynie. Broń, amunicja, mundury? Może żywność? Przeorysza ruszyła dalej.

– Postanowiłyście pomóc tym nieszczęśnikom. Wyzwolić ich i zapewnić wolność. Samców należało uzbroić i wskazać im drogę. To na to potrzebna była

fortuna, którą pożyczyła Matka Jolanta – kontynuowała. – Osobiście wzięła udział w buncie, razem z kilkoma innymi siostrami, prawda? Korin i Hanna poległy w czasie walk, a nie w wypadku. Hm? Wyzwoliłyście wychowanków zakładów zamkniętych i innych nieszczęśników więzionych w podziemnych klubach i ośrodkach rozrywki. Chcecie przerzucić ich gdzieś w góry, z dala od cywilizacji. Może do jednej z opuszczonych wsi gdzieś na Ukrainie? Może w Karpaty? Odkąd zaczęła się obniżać populacja, te rejony stały się zupełnymi pustkowiami, samce mogą tam spokojnie żyć.

– Wiesz o nas wszystko, Matko… – Gertruda z pokorą pochyliła głowę. – Co teraz zrobisz?

– Jeszcze się zastanowię – odparła zimno przeorysza. – Zanim podejmę decyzję, chcę porozmawiać z pewną osobą. Którą celę zajmuje siostra Samoa?

Anna posłusznie wskazała drzwi. Inez podeszła do nich śmiało i otworzyła je energicznie. Stała chwilę w bezruchu, patrząc na postać skuloną na łóżku. Kobieta siedziała bokiem do wejścia, opatulona w koc. Na nocnym stoliku leżały czyste opatrunki i buteleczki z medykamentami. Ranna obracała w dłoni różaniec.

– Witaj, Matko Jolanto – przywitała się Inez.

Kobieta odwróciła głowę i spojrzała z ciekawością, mrużąc oczy przed światłem. Inez wciągnęła powietrze zaskoczona. Na łóżku siedziała naczelniczka Nikol Badowska.

Pełzające Ogrody słynęły na całym kontynencie jako jeden z najpiękniejszych tworów bioinżynierii. Tworzyły żywy organizm powstały ze zrośniętych ze sobą drzewobitów, krzewów, modyfikowanych grzybów i lian. Poruszały się leniwie na zdrewniałych wypustach, ciągnąc za sobą warkocze korzeni i wijących się w poszukiwaniu wody macek. Ogrody zaprojektowano jako luksusową rezydencję, mogącą przemieszczać się w poszukiwaniu najlepiej oświetlonych i nawodnionych

terenów. W pewien sposób można było nimi kierować, by nie poczyniły szkód w uprawach. Ponadto cały czas pełnił w nich służbę zespół inżynieryjno-ogrodniczy, nadający kształt pałacowi, sadzący w nim kwiaty i przycinający pędy, tak że rezydencja nieustannie ewoluowała, zmieniała się, rosła i piękniała.

Naczelniczka Badowska kupiła Ogrody za prywatne pieniądze i używała go tylko w weekendy. Najczęściej dla odpoczynku, rzadziej, by urządzać w nich biznesowe i reprezentacyjne przyjęcia. Uważała, że posiadanie czegoś takiego wymusza jej pozycja społeczna. Współczesny arystokrata powinien stawiać na bioinżynierię, bo to ona była przyszłością ludzkości. Poza tym była po prostu modna.

Nie przyjmowała interesantów w Ogrodach, szczególnie w sobotni ranek po suto zakrapianej kolacji w gronie przyjaciółek. Tym bardziej zdziwiło ją, gdy służąca zaanonsowała ponoć bardzo ważnego, niespodziewanego gościa. Nikol nie zdążyła się nawet zastanowić, jak ów gość dostał się do Ogrodów. Miała raptem czas, by wyjść spod prysznica będącego naturalnym wodospadem, o wodzie podgrzewanej słonecznymi promieniami w roślinnych zbiornikach. Owinęła się tylko szlafrokiem i opadła w obszerny, wiklinowy fotel. Asystentka czujnie pojawiła się za jej plecami. Czuć od niej jeszcze było alkohol, a nosiła tylko roślinną przepaskę biodrową.

Przez kwietną bramę przeszła, powiewając połami habitu, wysoka kobieta. Inez Tárrega, ubrana w oślepiający biały strój z czarnym czepcem, wyglądała zaskakująco dostojnie. Wcale nie sprawiała wrażenia skromnej zakonnicy, głowę trzymała uniesioną i groźnie marszczyła brwi. Zmierzyła zaskoczoną naczelniczkę surowym spojrzeniem i zatrzymała się na skraju basenu, w którym wczoraj odbyła się pijacka i seksualna orgia.

– Jakim cudem ta pingwinica została tu wpuszczona? – syknęła Nikki do asystentki. Nie czekając na odpowiedź, uśmiechnęła się do zakonnicy. – Sądząc po stroju, wreszcie zrozumiałaś, jaka jest twoja pozycja, Tárrega. Rozumiem, że masz

mi do przekazania ważne informacje? Ale czy naprawdę nie mogłaś z tym zaczekać do poniedziałku? Są aż tak pilne?

– Tak, są pilne. Mam kilka uwag nie cierpiących zwłoki – odparła zakonnica.

Za jej plecami pojawiły się dwie Lilie, dzierżące w dłoniach rzemienne bicze. Naczelniczka powstrzymała je nieznacznym gestem. Jeszcze będzie czas, by wymierzyć pingwinicy karę za zawracanie głowy o tak nieludzkiej porze.

– Chcę cię tylko poinformować, że Jolanta żyje – powiedziała Inez. – Nie poległa w ostatniej bitwie z samcami, jak miałaś nadzieję. Została ranna, ale szybko dochodzi do siebie.

Nikol poderwała się na równe nogi. Przeorysza nie pozwoliła jej jednak nic powiedzieć.

– Wiem wszystko, przeklęta dziwko – poinformowała. – Chcesz? Opowiem ci pewną historię. O dwóch siostrach, dobrej i złej. Od młodości obie zapowiadały się na wybitne postaci. Zdolne i inteligentne wspierały się wzajemnie, jak to bliźniaczki. Z czasem ich drogi się rozeszły, jedna została naukowcem, a druga zajęła się biznesem i karierą polityczną. Wszystko układało się idealnie, ale ta pierwsza nagle zdecydowała się na dziecko i nawet nie zadbała o wybór płci. Urodziła chłopca, a w dodatku zdecydowała się sama go wychować, wbrew prawu i rozsądkowi. Narażała w ten sposób karierę siostry, co trwało aż kilka lat. Siostra piastowała wysokie stanowiska i siostrzeniec mutant był jej bardzo nie na rękę. Wreszcie zadbała, by dyskretnie odebrano dziecko i umieszczono je w ośrodku. Złamała swoją siostrę i wymogła na niej milczenie. Zrozpaczona matka nie mogła otrząsnąć się z tęsknoty i poczucia winy. Uciekła do klasztoru, w którym znikła na długie lata. Do czasu, kiedy dowiedziała się, że jej syn został wytresowany na zabawkę uczestniczącą w orgiach i zakazanych walkach. Wraz z innymi matkami zorganizowała bunt i wyzwoliła kilkuset dręczonych samców.

– Też mi rewelacje – warknęła Nikki. – Zwykłe bajeczki. Zabierzcie ją sprzed moich oczu, rozprawię się z nią, jak tylko…

Amazonki doskoczyły do zakonnicy. Inez obróciła się wokół własnej osi. Zawirowała. Odepchnęła wojowniczki. Poły jej habitu zafurkotały, uniosły się niczym białe skrzydła. Trzasnęło dwa razy i Lilie runęły na ziemię w drgawkach. W dłoni zakonnicy błysnęło błękitne wyładowanie staroświeckiego, elektrycznego paralizatora.

– Jak myślisz, w jaki sposób na te bajeczki zareagują w Zgromadzeniu? – Inez ciągle mówiła spokojnie. – Kiedy dowiedzą się, że słynny w całej Europie samiec przewodnik nazywany generałem Spartakusem to tak naprawdę Jolanta Babinicz alias Badowska, siostra naczelniczki regionu wschodniosłowiańskiego? Co zrobią z naczelniczką, której prywatny bank sfinansował bunt? Czy uwierzą, że nie wiedziała, na co jej siostra przeznaczy fortunę? Jak to wytłumaczysz? Że chciałaś tylko przez zwykłą, plugawą lichwę przejąć klasztor, tak jak kilkadziesiąt innych nieruchomości? Jesteś odpowiedzialna za robienie interesów w czasie piastowania stanowiska publicznego, wykorzystywanie swojej funkcji do pomnażania swojego majątku, sfinansowanie buntu samców, który tak dzielnie zwalczasz, i przymykanie oka na bezprawne dręczenie mężczyzn, które doprowadziło do tegoż buntu.

– Ty sprytna małpo – syknęła asystentka. – Nie opuścisz żywa tych Ogrodów!

– Jeśli spadnie mi choć włos z głowy, już jutro rano cała dokumentacja dowodowa trafi do Zgromadzenia – spokojnie odparła Inez. – Macie mnie za idiotkę? Przyszłabym tu niezabezpieczona? Moja współpracowniczka w Europejskiej Izbie Kontroli czeka na telefon. Jeśli nie zadzwonię dziś wieczorem, ujawni dokumenty.

– Czego chcesz? – Naczelniczka opadła z powrotem w fotel.

Na razie zakonnica miała ją w garści, ale prędzej czy później to się zmieni. Trzeba przeczekać i uderzyć, kiedy wróg niczego nie będzie się spodziewać. Dopaść dziwkę i zgnieść jak pluskwę. Uśmiechnęła się do Inez przymilnie.

– Natychmiast anulujesz dług i zdejmiesz hipotekę z klasztoru. Oficjalnie zwolnisz nas też z podatków gruntowych i wojennych. – Przeorysza odpowiedziała uśmiechem. – Rozkażesz amazonkom zaprzestać polowań na samców i skupić się na wytropieniu i likwidacji nielegalnych klubów rozrywki. Pozwolisz buntownikom wycofać się z regionu. Opuszczą go w ciągu tygodnia, razem z generałem Spartakusem, i znikną na zawsze. Twoja siostra nie będzie cię już więcej kłopotać.

– Co jeszcze?

– Będziesz co miesiąc przysyłać mi raporty z działalności. Dopóki będę przeoryszą w lokalnym klasztorze, zamierzam patrzyć ci na ręce – odparła Inez. – Skończyła się prywata i despotyzm, pani naczelnik. Będziesz mi posłuszna albo cię zniszczę.

Nikol nie odpowiedziała. Siedziała nieruchomo w fotelu i siłowała się wzrokiem z zakonnicą. Obie milczały dłuższą chwilę. Po raz kolejny naczelniczka uległa i odwróciła wzrok.

Przeorysza odwróciła się bez słowa. Jej habit znów załopotał malowniczo, kiedy znikała w kwietnej bramie. Zeskoczyła zwinnie z platformy Ogrodów i wsiadła na oparty o pobliskie drzewo rower. Pomknęła w stronę klasztoru przy akompaniamencie terkotania krzywych kół.

Uśmiechała się do swoich myśli. Habit nawet jej pasował, był elegancki i dawał poczucie przynależności do zgromadzenia. Wreszcie poczuła się na tym końcu świata jak u siebie. No i była tu naprawdę potrzebna. Odtąd to ona będzie sprawować nieformalną władzę w regionie. Dała dziś przecież miejscowym watażkom czytelny komunikat:

Przeorysza przybyła do miasta. I uznała je za swój nowy dom.

Agnieszka Hałas

CÓRKA SZTUKMISTRZA

Mgła spowijała ulice Ziegelbergu; nieliczni o tej porze przechodnie wyłaniali się z niej i znikali. Mżył deszcz, widoczny w świetle gazowych latarni. Stella Fenchel przyspieszyła kroku, z determinacją brnąc przez błoto w starych, dziurawych trzewikach. Jej pończochy już dawno zdążyły przemoknąć, a stopy – zdrętwieć z zimna.

Pod pachą niosła nieduży pakunek, owinięty w chustę.

Lombard Mechlera mieścił się w zaułku na tyłach brzydkiej czynszowej kamienicy, jednej z wielu podobnych. Z szyldu oblazła farba, ale właściciel nie kwapił się go odnawiać. Kto miał tu trafić, trafiał i tak.

Wewnątrz nieprzyjemnie pachniało stęchlizną i naftaliną, ale było ciepło. Na półkach oraz ladzie stały liczne pudła, których zawartości Stella mogła się jedynie domyślać. Właściciel grzał się przy piecyku, z nogami wspartymi na stołeczku. Kartkował rejestr klientów, od czasu do czasu stawiając ołówkiem znaczek przy tym czy owym nazwisku.

– A, to ty – mruknął nieprzyjaźnie, nie wyjmując fajki z ust. – Słuchaj, ta wasza srebrna tabakierka poszła w zeszły czwartek. Mówiłem, że jak jej nie wykupicie…

– Ojciec już nie używa tabaki – powiedziała cicho Stella. Przestąpiwszy próg, ściągnęła beret i teraz żałowała, bo wiedziała, że z potarganymi, sterczącymi we wszystkie strony włosami wygląda jeszcze niechlujniej i żałośniej. Starała się nie spoglądać w stronę uchylonych drzwiczek piecyka, za którymi tak przyjaźnie czerwienił się żar.

– Nie stójże tak, pokaż, co przyniosłaś – przywołał ją do rzeczywistości lichwiarz.

Położyła zawiniątko na ladzie. Palce miała tak zgrabiałe, że nie mogła sobie poradzić z rozsupłaniem węzła. W końcu zniecierpliwiony Mechler odłożył księgę i dźwignął się z fotela, żeby jej pomóc.

Spod chusty ukazał się zwinięty czarny frak. Lichwiarz podniósł go, strzepnął i obejrzał krytycznie.

– Mankiety wytarte. – Skrzywił się. – I krój już niemodny. Pięć marek.

– Pięć… – powtórzyła mimo woli Stella.

Mechler tylko wzruszył ramionami, ssąc ustnik fajki.

– Gałganiarz nie da więcej – skonstatował flegmatycznie.

Stella przygryzła wargę. Frak miał jedwabną podszewkę i – choć używany – był w dobrym stanie, bez jednej plamki. Można byłoby go sprzedać znajomemu handlarzowi za dziewięć, jeśli nie dziesięć marek – tak jak Klotylda sprzedała swoje suknie. Ale to był ukochany frak Fredrika, jego duma. I Fredrik oczywiście łudził się, że jeśli odda go w zastaw, to prędzej czy później frak do niego wróci.

***

Wracając, owinęła chustą głowę i twarz dla ochrony przed coraz silniejszym wiatrem. Chodniki opustoszały, zniknęli nawet żebracy, którzy zwykle przesiadywali pod katedrą. Mżawka przerodziła się w zacinający deszcz ze śniegiem. O włos unikając potrącenia przez przejeżdżającą dorożkę, Stella przebiegła przez ulicę, by schronić się w narożnym sklepiku. Pospiesznie zamknęła za sobą drzwi, na których od wewnętrznej strony przyczepiony był spłowiały plakat z pajacem w fartuchu, reklamujący Magiczny Proszek Do Szorowania Frau Fleiss.

Właściciel, gruby i dobroduszny pan Ackermann, nachmurzył się na jej widok.

– To ty? Nic więcej u mnie nie dostaniesz na kredyt! Powiedz swojemu ojcu…

– Przepraszam – szepnęła Stella, kładąc pieniądze na ladzie. – Przyszłam uregulować rachunek.

Sklepikarz jakby trochę się skonfundował. Chrząknął, licząc monety, po czym popatrzył na nią łagodniej.

– Co podać?

– Chleb i paczkę herbaty. Tej najtańszej – dodała ciszej.

– Uważaj na siebie – mruknął pan Ackermann, wręczając jej zakupy i kilka miedziaków reszty. – Co za parszywa pogoda! Niech diabli porwą taką jesień!

Wychodząc ze sklepu, Stella drgnęła, gdy do jej uszu dobiegł odległy, głuchy huk. Raz, potem drugi i trzeci. Czym prędzej podbiegła do wylotu uliczki, skąd było widać rzekę i książęcy zamek na drugim brzegu.

Znad murów unosił się dym – strzelano z dział. I nietrudno było się domyślić, dlaczego.

Ponad zamkiem niczym upiorny motyl zawisła mglista sylwetka człowieka w kapeluszu i długim płaszczu.

Włóczęga.

Spłynął nisko i wyciągnął rękę, jakby chciał pochwycić flagę łopoczącą na szczycie najwyższej z wież. Stella patrzyła z otwartymi ustami, zapominając o zimnie.

Na murach zamku błysnął ogień, a od wzgórz odbiło się echo kolejnej salwy. Włóczęga poszybował wyżej, znikając w szarości. Nie pojawił się już. Pojmując, że widowisko skończone, dziewczyna z żalem ruszyła w stronę domu.

***

Na ciemnej klatce schodowej cuchnęło stęchlizną i kocim moczem. Schodząc do sutereny, Stella z daleka usłyszała podniesione głosy. Fredrik i Klotylda kłócili się, co

nie zdarzało się często. Zaciekawiona zatrzymała się za drzwiami, żeby posłuchać, o co chodzi.

– Nie ma mowy! – dotarł do jej uszu gniewny krzyk macochy. – Nigdy w życiu! Zgłupiałeś? Przecież to jeszcze dziecko!

Sztukmistrz wymamrotał odpowiedź. Klotylda rąbnęła pięścią w stół.

– Dość! Nie chcę więcej o tym słyszeć! Skoro jesteś taki mądry, czemu nie sprzedasz Conchity?

Zapadła cisza; Fredrik widocznie uznał, że nie ma siły kontynuować dysputy. Stella pchnęła drzwi.

– Wróciłam – oznajmiła wesoło, udając, że nie zauważa wiszącego w powietrzu napięcia. Stojąca przy piecu Klotylda zamruczała pod nosem, energicznie mieszając łyżką w garnku; Fredrik leżał w łóżku twarzą do ściany i nie odwrócił się. Tylko Conchita, złoty rajski ptak – ostatnia pamiątka szczęśliwszych dni, gdy jeszcze istniał ich cyrk – powitała dziewczynę melodyjnym ćwierkaniem z wnętrza klatki.

Stella wyplątała się z chusty i płaszcza. Spojrzawszy w pęknięte lustro, przeczesała dłońmi krótkie ciemne włosy. Nie minął tydzień, odkąd sprzedała warkocz perukarzowi. Nawet nie żałowała aż tak bardzo; odrosną.

Z westchnieniem ulgi zrzuciła trzewiki i przysiadła na zydlu, żeby ściągnąć mokre pończochy.

– Widziałam Włóczęgę – oznajmiła, wyciągając bose stopy w kierunku pieca.

Zapominając, że jest obrażony na Klotyldę i cały świat, Fredrik usiadł.

– Gdzie?!

– Nad zamkiem. Strzelali z armat, żeby go odpędzić.

– Ot, zabobony – mruknęła Klotylda, nadal zawzięcie mieszając w garnku.

– Nie żadne tam zabobony – zaprotestował z błyskiem w oku sztukmistrz. – Jeśli Włóczęga zawiśnie na dłużej nad czyimś domem, zwiastuje śmierć. Cały Ziegelberg o tym wie. Ciekawe, kto umrze tej nocy na zamku.

– Słyszałam parę dni temu, jak pan Ackermann mówił klientce, że Włóczęga zeszłego lata przepowiedział zgon burmistrza i kilku radców, kiedy w mieście grasowała cholera – podchwyciła dziewczyna. – I że wiele by dali, żeby go stąd przepędzić, ale nie potrafią. Książę prosił już o pomoc czarodziejów i astrologów z Nurenbergi, Prah, a nawet z Krakovu, obiecał nagrodę… Ale bez skutku.

– Stello, wyjmij łyżki – poprosiła Klotylda, zestawiając kaszę z ognia.

Fredrik dostał swoją porcję na jedynym talerzu, jaki im się jeszcze ostał; one dwie jadły przy stole, prosto z garnka. Stella była tak głodna, że do głowy by jej nie przyszło grymasić na rzadką, pozbawioną smaku, szarą breję. Gdyby Klotylda ugotowała tę kaszę jak należy, zamiast ją rozklejać w dużej ilości wody, na pewno nie starczyłoby dla trojga.

Sztukmistrz nie miał apetytu. Niemrawo grzebał łyżką w talerzu, gdy one już dawno skończyły jeść.

– Bez soli – zauważył markotnie.

Klotylda, która krzątała się teraz wokół samowara, wzruszyła ramionami.

– Skończyła się. Nie kupiłaś soli? – zwróciła się do pasierbicy. Ta potrząsnęła głową.

– Nie starczyło mi pieniędzy.

– Ale byłaś u Mechlera?

– Tak. – Stella zmarkotniała na samo wspomnienie.

– Ile dostałaś?

– Pięć marek.

Na chwilę zapanowała cisza.

– Cholerny złodziej – wymamrotał w końcu Fredrik. – A żeby go pokręciło!

– Przepraszam – dorzuciła cichutko dziewczyna.

– Nie przepraszaj, to nie twoja wina. – Klotylda podała jej kubek. – Pij, póki gorące. Jeszcze tego brakuje, żebyś i ty się rozchorowała.

Stella upiła łyczek parującego płynu. Słaba, niesłodzona herbata nie była smaczna, ale przynajmniej rozgrzewała.

– Mogę dostać jeszcze kawałeczek chleba? Taki malutki?

Macocha ze smutkiem potrząsnęła głową.

– Chleb trzeba zostawić na jutro, kotku. Kasza też już się nam kończy.

***

Chmury wisiały nisko nad dachami. Mżyło.

Co za beznadziejny dzień, myślała Stella, mechanicznie podrzucając i łapiąc skórzane piłeczki. Co i rusz traciła rytm, upuszczała którąś. Diabelnie trudno się żonglowało, mając zgrabiałe palce.

Było zbyt zimno i mokro, żeby założyć trykot i pokazywać na bruku sztuki gimnastyczne. Śpiewać nie miała siły, bolało ją gardło. Stała więc w swoim wysłużonym codziennym ubraniu i żonglowała tak niezdarnie, że jej samej było wstyd.

Przechodnie mijali ją obojętnie. Na rynku panował zresztą mniejszy ruch niż zazwyczaj – część przekupniów wcześniej zwinęła kramy.

Nie przestając żonglować, Stella uniosła głowę, żeby sprawdzić godzinę na zegarze zdobiącym fronton ratusza. I drgnęła. Ponad dachami szybowała niewyraźna postać w płaszczu i kapeluszu, ledwie widoczna na tle szarego nieba.

Dziewczyna zagapiła się nań. Z łatwym do przewidzenia skutkiem. Ktoś z przechodzących zaśmiał się drwiąco, ktoś inny zagwizdał.

Włóczęga odpłynął z wiatrem, znikając za linią dachów.

Zaciskając zęby, Stella pozbierała piłeczki. I omal nie upuściła ich znowu, kiedy zobaczyła, kto nadchodzi.

Klown Albert, dla swej niezwykłej chudości ochrzczony przez Fredrika Pająkiem. Ich Albert, który na występy zakładał kuse czerwone portki, rudą perukę i

przyprawiał sobie drewniany nos. Umiał naśladować głosy wszelkich możliwych zwierząt, znał niewyczerpany zasób pieprznych żarcików, potrafił rozbawić i rozruszać najbardziej niemrawą publiczność.

Ledwie go poznała; był elegancko ubrany, przytył i zapuścił modną, krótką bródkę.

Uśmiechnęła do niego, pomachała ręką. Była pewna, że Pająk roześmieje się z daleka, przywita ją, może zaprosi do kawiarni na herbatę i ciastko.

Myliła się. I to jak. Popatrzył na nią i bez słowa przeszedł obok. Stella najpierw zaniemówiła, potem cisnęła piłeczki na ziemię i pobiegła za nim.

– Albert! Hej, Albert!

Już myślała, że ją zignoruje, ale nie. Przystanął, odwrócił się.

– O, Stello, to ty? Nie poznałem cię – skłamał bezczelnie. – Witaj. Jak się miewa Fredrik? Wyzdrowiał?

– Nie, nadal choruje. Jest z nim coraz gorzej – dodała, patrząc Pająkowi w oczy z nadzieją, że jednak zbudzi się w nim sumienie. Zawiodła się.

– O, to fatalnie. – Albert nie wyglądał na zmartwionego. – No cóż, pozdrów go ode mnie. Wybacz, spieszę się.

***

– **T**aka niewdzięczność. – Klotylda potrząsnęła głową, bardziej ze smutkiem niż z gniewem. – Przygarnąłeś go z ulicy, pamiętasz?

Fredrik tylko wzruszył ramionami, udając, że całkowicie pochłania go układanie pasjansa na kołdrze. Conchita zakwiliła smutno.

Stella otworzyła drzwiczki klatki, żeby wstawić do środka miseczkę ze świeżą wodą i drugą z ziarnem. Ptak popatrzył na nią mądrymi, ciemnymi oczami. Wyraźnie dało się w nich odczytać zapytanie, czy jest szansa na coś jeszcze.

– Nic innego nie mamy – powiedziała przepraszająco dziewczyna. I jak za każdym razem Conchita skinęła łebkiem, jakby rozumiała, że nie stać ich na owoce i orzechy.

Stella ze smutkiem zauważyła, że jej złote pióra wyraźnie straciły blask, zmatowiały, a w niektórych miejscach zaczęły zmieniać barwę. Okazały niegdyś ogon zwisał smętnie, podobny do wystrzępionej miotełki.

– Conchita szarzeje – szepnęła do macochy, upatrzywszy dogodną chwilę, gdy Fredrik bez reszty zajęty był swoim pasjansem.

– Wiem, zauważyłam już jakiś czas temu – westchnęła Klotylda, która cerowała przy oknie stertę pończoch. Cudzych. Dostawała za to grosze, ale te grosze w połączeniu z tym, co przynosiła Stella, od biedy starczyły przynajmniej na czynsz. Inaczej dawno wylądowaliby na ulicy. – Nic na to nie poradzimy, kotku.

– Co jej jest?

– Za mało słońca, za zimno, za marne jedzenie. Może szkoda, że ten handlarz jej wtedy nie kupił… U niego miałaby lepiej.

– Co tam szepczecie? – Fredrik zgarnął karty w stosik, przetasował. – Stello, chodź tu – polecił, nie czekając na odpowiedź. – Nauczę cię tej sztuczki z trzema damami i asem.

Stella w pierwszej chwili ucieszyła się – do tej pory ojciec uczył ją tylko najprostszych sztuczek. Potem poczuła ukłucie niepokoju, bo przypomniała sobie, co często mawiał półżartem – że przed śmiercią zadba o to, aby przekazać komuś swoje zawodowe tajemnice.

– Jutro mi pokażesz, teraz już się ściemnia. Lepiej opowiedz coś – poprosiła, siadając w nogach łóżka. Wiedziała, że ojciec nie da się długo namawiać.

– Dobrze, trzpiocie. O czym chcesz posłuchać?

– Opowiedz mi o Włóczędze.

– Jesteś pewna? – zdziwił się. – To smutna historia, Stello. I nie znam jej w szczegółach.

– Nie szkodzi. Opowiedz mi to, co wiesz. Kim on właściwie jest, czy raczej był?

Fredrik potarł czoło, syknął z cicha, gdy przy nieostrożnym ruchu guz pod pachą odezwał się bólem.

– Z tego co mi wiadomo, Włóczęga nazywał się kiedyś Arne Tilsen i był czarodziejem. Ani dobrym, ani złym, po prostu czarodziejem. Pochodził z daleka, aż z Danmarku. Kształcił się w Kobenhavn oraz Nurenberdze i z biegiem lat szeroko zasłynął swoim kunsztem. Podobno umiał przemieniać zwierzęta w ludzi, a ludzi w zwierzęta, konstruować latające kufry, gadające szkatułki i inne fantastyczne przedmioty.

– Mistrzowie lalkarscy z Prah umieją konstruować tańczące lalki i nie potrzebują do tego żadnej magii – wtrąciła ni w pięć, ni w dziewięć Klotylda znad pończochy z wielką dziurą na pięcie.

– Tańczące lalki! – prychnął Fredrik. – Bawiąc na dworze królowej englandzkiej, Włóczęga ofiarował jej drzewko ze złota, które na wiosnę kwitło rubinowymi kwiatami, a także słowika wysadzanego diamentami, który śpiewał piękniej niż prawdziwe słowiki. Nie muszę wam mówić, że i złoto, i klejnoty zostały wyczarowane z powietrza.

– Nie, to już chyba bajki – uśmiechnęła się Stella.

– Tak głosi wieść, nie wiem, ile w tym prawdy. Pewnego razu, gdy Włóczęga zjawił się tu w Ziegelbergu, książę poprosił go o przysługę. Musiało to być coś sprzecznego z honorem czarodzieja, bo Tilsen odmówił. I poniósł tego konsekwencje.

– Zabito go?

– Tak i nie. Pierwszy czarodziej dworu wyzwał go na pojedynek, pokonał i pozbawił mocy, a Tilsen jeszcze tego samego dnia popełnił samobójstwo. Jedni mówią, że wypił truciznę, inni, że rzucił się z zamkowej wieży, dość że zabił się, bo

nie mógł znieść perspektywy życia bez daru. Teraz jest podwójnie przeklęty – jako czarodziej, który postradał dar, i jako samobójca. I w pochmurne dni dryfuje nad Ziegelbergiem, zwiastując nieszczęście, gdziekolwiek się pojawi.

– Nadworni czarodzieje nie przewidzieli takiego obrotu spraw?

– Ależ przewidzieli, a jakże. Od początku było jasne, że z tej śmierci wynikną same kłopoty. Nawet próbowano przedsięwziąć, jak by to rzec, środki zapobiegawcze. Wiesz, co zrobili z jego ciałem?

– Przestań jej opowiadać takie okropności! – zniecierpliwiła się Klotylda, ale Fredrik zignorował ją.

– Wzdragali się dotykać zwłok, bo bali się, że jego duch kogoś opęta. Więc oblali jego ciało naftą, obłożyli drewnem i podpalili. Ogień podtrzymywano w tym miejscu przez kilka dni i nocy, a popiół wymieszano z solą i rozsypano na cztery strony świata.

– Ale on i tak powrócił. – Stella odruchowo popatrzyła w górę. Za brudnym okienkiem sutereny szarzał zmierzch.

– Powrócił. Choć trudno dociec, ile w nim zostało z tego, kim był wcześniej.

– Dosyć tej gadaniny – oświadczyła stanowczo Klotylda, która odłożyła pończochy, bo zrobiło się za ciemno, żeby dłużej nad nimi ślęczeć, i właśnie przebierała się w nocną koszulę. – Stello, szykuj się do spania, póki cokolwiek widać. Nie mamy już ani jednej świecy.

***

Tej nocy Stella śniła, że tonie.

Pogrążała się coraz głębiej w czymś lepkim, co zalewało jej usta i zaklejało powieki. Próbowała krzyczeć, szamotać się, lecz maź uniemożliwiała ruchy, tłumiła dźwięki… Dziewczyna ocknęła się z bijącym sercem i już do rana nie mogła zasnąć.

Leżała z otwartymi oczami, słuchając, jak Klotylda pochrapuje miarowo, a ojciec oddycha ciężko, od czasu do czasu przewracając się z boku na bok.

W następnych dniach stan Fredrika gwałtownie się pogorszył. Guz pod pachą powiększył się i stwardniał. Sztukmistrz jęczał i uskarżał się na bóle, nie mógł jeść ani spać. Laudanum nie pomagało, a na lekarza nie było pieniędzy.

– Nie mamy wyboru – stwierdziła w końcu Klotylda, odwoławszy pasierbicę na stronę. Po kolejnej nieprzespanej nocy obie ledwie trzymały się na nogach. – Idź po handlarza. Musimy sprzedać Conchitę.

Stella wyszła z ciężkim sercem. Wiedziała, że Fredrik, gdy tylko poczuje się lepiej, zacznie je obie zadręczać wymówkami. Na domiar złego Conchita przez ostatnie dni zszarzała tak, że trudno było ją poznać. Handlarz, ledwie przyszedł i rzucił na nią okiem, złapał się za głowę.

– Jak można trzymać rajskiego ptaka w takich warunkach? Czym wyście ją karmili?! Teraz miną miesiące, zanim odzyska złotą barwę!

Choć poprzednio oferował osiemdziesiąt marek, teraz nie chciał dać więcej niż dziesięć, i to za ptaka razem z klatką. Stella była pewna, że macocha straci cierpliwość i pogoni go do wszystkich diabłów. Ale Klotylda zgodziła się bez targów, z rezygnacją świadczącą, że jest u kresu sił.

Klatka została zestawiona z szafy na podłogę, a handlarz wyjął pieniądze. Przełykając łzy, Stella przyklękła, żeby się pożegnać.

– Conchito, proszę, stań się znowu złota – szepnęła, wsuwając dłoń przez pręty, żeby po raz ostatni pogłaskać ptaka po miękkim łebku i dotknąć pięknego niegdyś, a teraz doszczętnie zmarniałego ogona.

Conchita zakwiliła, patrząc smutno na Fredrika, który leżał bez ruchu, z wykrzywioną cierpieniem twarzą.

***

Lekarz, który ich znał, zażądał zapłaty z góry, zanim w ogóle wybierze się do chorego. Na widok dziesięciu marek początkowo zmarszczył brwi i pokręcił głową, ale uległ, widząc łzy w oczach Stelli.

– Tylko dlatego, że mam córkę w twoim wieku – mruknął, pakując instrumenty do torby.

Badał Fredrika długo, a na koniec poklepał go po plecach, zalecił laudanum cztery razy dziennie oraz rosół i grzane wino. Stella z trudem powstrzymała się, żeby mu czegoś nie powiedzieć.

Gdy lekarz już miał wychodzić, wywołał Klotyldę na korytarz. Wróciła blada, z zaciśniętymi ustami.

– Mówi, że to już niedługo potrwa – szepnęła.

***

Pan Ackermann na widok Stelli potrząsnął ze smutkiem głową.

– Nie, kotku, nie sprzedam wam chleba. Jesteście mi winni czterdzieści marek. Przykro mi, dziecko.

Może gdyby błagała go z płaczem, dałby się uprosić. Ale w sklepie byli jeszcze inni klienci i coś w Stelli zaprotestowało przeciwko urządzaniu scen. Nie umiała się tak upokorzyć, jeszcze nie. Skinęła pokornie głową i wybiegła stamtąd, żeby nie wdychać dłużej zapachu pieczywa, przypraw i słodyczy.

Z braku lepszego pomysłu ruszyła w stronę rynku. Nie jadła nic od poprzedniego wieczora i miała uczucie, że wiatr przewiewa ją na wylot. Kałuże szkliły się lodem, w powietrzu wirowały płatki śniegu, a sądząc po wyglądzie nieba, wkrótce miało spaść go więcej.

Na rynku panowały pustki. Stella jak zwykle miała piłeczki w kieszeni, ale ogarnęło ją takie zwątpienie, że nawet ich nie wyjmowała, tylko usiadła pod murem

pierwszej lepszej kamienicy, nie dbając ani o to, że bruk jest mokry i zimny, ani o to, że zabrudzi i tak już niezbyt czysty płaszcz. Z nawyku postawiła przed sobą miseczkę, nie łudząc się jednak, że ktoś wrzuci do niej choć jednego feniga.

Patrzyła, jak śnieg pada coraz gęściej, a myślami była bardzo daleko. Wspominała szczęśliwe dni, kiedy jeszcze całą trupą jeździli od wioski do wioski, od miasta do miasta. Trzy kolorowe wozy, szyld z królikiem w cylindrze. Występy, oklaski tłumu. Wieczory, gdy rozbijali obozowisko gdzieś w lesie albo w polu…

Przełknęła łzy, gdy przed oczami stanęła jej cała kompania zebrana przy ognisku. Fredrik, wtedy jeszcze nie tak wychudzony i blady jak śmierć, lecz zdrów, przystojny, tryskający humorem. Klotylda, jego piękna asystentka, z którą ożenił się w rok po śmierci pierwszej żony. I reszta. Klown Albert, woltyżerka Nina, siłacz Igor… Kristoff, wytatuowany na całym ciele żongler i połykacz noży… Tresowany niedźwiedź Bodo, który umiał tańczyć walca i chodził za Klotyldą jak pies… Manfred, gruby opiekun Boda, który składał Klotyldzie nieprzyzwoite propozycje przy wszystkich, mimo że kiedyś za szczególnie bezczelną odzywkę zdzieliła go po głowie warząchwią…

Stella zmusiła się, żeby odepchnąć wspomnienia, zanim rozpłacze się i nie będzie mogła przestać.

Nagle jej uwagę przykuł mężczyzna nadchodzący ulicą. Wysoki, w czarnej pelerynie, miał w sobie coś niesamowitego, zmuszającego, żeby na dłużej zatrzymać na nim wzrok. Jego oblicze o żółtawej cerze i czarnych zmarszczonych brwiach, zeszpecone śladami po ospie, było posępne niczym wieko trumny.

Ku jej zaskoczeniu nie przeszedł obojętnie obok. Pochylił się, wrzucił do miseczki złotą monetę. Ale zamiast się wyprostować i pójść dalej, popatrzył jej z bliska w oczy.

– Nazywasz się Stella Fenchel, prawda? Słyszałem, że twój ojciec jest umierający. – Zniżył głos do szeptu. – Powiedz mu, że Markus Wachs ponawia ofertę.

***

– **J**ak ty wyglądasz! – przywitała ją od progu Klotylda. – Co ci przyszło do głowy, dziewczyno, żeby tkwić na rynku w taką pogodę?!

Stella chciała odpowiedzieć, ale złapał ją kaszel. Ręce miała tak zmarznięte, że z trudem radziła sobie z guzikami płaszcza. Macocha pomogła jej szybko.

– Marsz do łóżka, ale już! Stello, czyś ty postradała rozum? Co pocznę, jeśli i ty się rozchorujesz?

– Przyniosłam coś. – Dziewczyna wyjęła z kieszeni monetę, którą dostała od człowieka w pelerynie. Oczy Klotyldy rozbłysły.

– Dziesięć marek?! Kto ci dał tyle?

– Ktoś, kto się przedstawił jako Markus Wachs.

– Wysoki, ospowaty, ubrany na czarno? – Radość Klotyldy natychmiast znikła. – Cholera, tylko nie to! Po co brałaś od niego pieniądze?

– A skąd miałam wiedzieć, że nie powinnam? – obruszyła się Stella, ściągając pończochy. – Kim jest ten cały Wachs?

– To stary znajomy Fredrika. Ma sklep z lalkami w zaułku niedaleko katedry. Mniejsza z tym, Stello. Rozdziewaj się, wskakuj pod kołdrę. Zaraz ci zrobię herbaty, to się rozgrzejesz.

Zakrzątnęła się wokół samowara i dziewczyna wkrótce dostała kubek z herbacianą lurą. Jednak tym razem gorący napój nie pomógł. Dygotała, szczękając zębami.

– Masz gorączkę – stwierdziła macocha, dotykając jej czoła. – I co teraz? Widzisz, co narobiłaś?

– Może do jutra mi przejdzie. – Stella przełknęła ślinę; drapało ją w gardle. – Czego od nas chce ten cały Wachs? Kazał powtórzyć Fredrikowi, że ponawia ofertę.

– Już ja mu ponowię, jak go spotkam! – wybuchnęła Klotylda, ale zreflektowała się i zniżyła głos, żeby nie zbudzić chorego. – Co za bezczelność! Mam nadzieję, że nie postanowi znowu tutaj przyjść. A zresztą niech spróbuje, to się dowie, co o nim myślę. Nie waż się mówić Fredrikowi, żeś go widziała.

– To on już był u nas?

– Był, a jakże. Nie dalej jak miesiąc temu. Tego dnia, kiedy poszłaś zanieść Mechlerowi frak.

Dziewczyna przypomniała sobie podsłuchaną kłótnię. Zaczęło jej świtać niejasne podejrzenie.

– O co się wtedy kłóciliście z Fredrikiem? O jakiej ofercie mówił Wachs?

– Wachs zainteresował się tobą, Stello. Widział cię już wcześniej podczas występów i, co tu dużo mówić, wpadłaś mu w oko. Zaoferował, że się tobą zaopiekuje. Rozumiesz już?

Stella, wychowana w cyrkowej trupie, a nie w rygorach mieszczańskiego domu, pojęła w lot i w pierwszym odruchu miała ochotę się roześmiać.

– Poważnie? I co na to mój ojciec?

– Fredrik? Ach, szkoda gadać, wiesz, jaki potrafi być naiwny. Uroił sobie, że Wachs się z tobą ożeni i będziecie szczęśliwi. Za trzysta marek oddałby cię temu ospowatemu prykowi. – Macocha przytuliła ją mocno. – Może niepotrzebnie ci to wszystko powiedziałam. Stello, nie martw się. Nie pozwolę, żebyś wpadła w łapy tej kreatury.

Za jej plecami sztukmistrz poruszył się, jęknął z cicha. Klotylda obejrzała się, przestraszona, że słyszał ich rozmowę, ale wyglądało na to, że nie, że wciąż jeszcze śpi po ostatniej dawce laudanum.

Stella otuliła się kołdrą. Nadal dygotała od dreszczy, ale równocześnie czuła, że powieki coraz bardziej jej ciążą.

– Co zrobimy, kiedy Fredrik umrze? – zaszeptała sennie. – Dokąd pójdziemy?

– Najmiemy się do służby w jakimś porządnym domu. Poradzimy sobie, kotku, wszystko będzie dobrze, zobaczysz. – Klotylda pogłaskała jej krótkie włosy. – Nie myśl teraz o tym. Śpij. Obyś mi tylko nie dostała zapalenia płuc.

***

Tej nocy Stella miała dziwny sen.

Śniła, że frunie. Czarne niebo mrugało gwiazdami, a ona w nocnej koszuli szybowała wysoko nad miastem. Na ulicach i dachach bielił się śnieg, lecz nie czuła chłodu.

Potem miasto zostało za nią. Leciała dalej nad zimowym, odrealnionym krajobrazem, zalanym księżycową poświatą. W końcu opadła na ziemię na skraju lasu, w cieniu ośnieżonych świerków. I ujrzała, że nie jest sama.

Ktoś czekał nieopodal, patrząc w kierunku miasta. Najpierw zdawało jej się, że to Markus Wachs w swojej czarnej pelerynie. Ale gdy się zbliżyła, a on się odwrócił, z biciem serca poznała płaszcz, kapelusz i szal zasłaniający twarz.

– Nareszcie jesteś – powiedział Włóczęga, wyciągając ręce. – Chodź.

Podeszła bez lęku, wiedząc, że nie musi się bać, bo przecież tylko śni.

Objął ją i przytulił. Zadrżała, ale nie ze strachu. Tu, we śnie, Włóczęga nie był postacią z mgły. Był materialny, tak bardzo rzeczywisty. Wyraźnie czuła ciepło jego ramion.

– Ze mną byłabyś bezpieczna – szepnął. – Ja też jestem samotny, Stello.

– Czego ode mnie chcesz, Arne? – spytała, patrząc mu w oczy, odważna odwagą snu. – Przecież od dawna jesteś martwy.

– Nie przeczę – uśmiechnął się. – Ale nie straciłem do końca mojej mocy. Udowodnię ci to. Obudzisz się zdrowa.

***

Stella otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że nie ma gorączki. Czuła się zupełnie dobrze.

Gdy przypomniała sobie swój sen, zrobiło jej się odrobinę nieswojo. Ale nie rozmyślała nad tym długo, bo jej uwagę przykuł leżący na stole nadkrojony bochenek chleba. Na sam widok ślinka napłynęła jej do ust.

– Klotyldo?… – zawołała z niedowierzaniem. – Skąd mamy chleb?

– Klotylda wyszła do apteki – odezwał się słabym głosem sztukmistrz. Nie spał; leżał wsparty o poduszki, z ręką odchyloną tak, by nie urażać chorego miejsca. – Jedz na zdrowie. Przyniosłaś wczoraj dziesięć marek, nie pamiętasz?

Stella nie dała sobie dwa razy powtarzać – czym prędzej odkroiła pajdę. Jedząc, zaczęła się ubierać. Perspektywa spędzenia kolejnego dnia na zimnie nagle stała się dużo mniej przerażająca.

– Słyszałem wczoraj, jak rozmawiałyście – przemówił z wahaniem Fredrik. – Stello, mam prośbę. Nie wyrabiaj sobie opinii o Markusie na podstawie tego, co mówi Klotylda. To porządny człowiek. Znałem go, gdy był jeszcze czeladnikiem. Zaprzyjaźniliśmy się po tym, jak jego mistrz… zresztą nieważne. Grunt, że znam Markusa z dawnych lat.

– Ale z tą ofertą to prawda?

– Owszem. Czemu tak cię to dziwi? Jesteś śliczną dziewczyną, spodobałaś mu się. Ale przyjąłby cię pod swój dach również ze względu na mnie. Bo nie chciałby, żeby córka Fredrika Fenchel głodowała i marzła w tym parszywym Ziegelbergu.

– I uważasz, że powinnam się zgodzić?

– Uważam, że powinnaś to rozważyć. – Fredrik westchnął. – Wierz mi, nie byłoby ci u niego źle.

– A gdybyśmy się najęły do służby, tak jak mówi Klotylda…

– Klotylda tak mówi, ale to nie będzie łatwe, Stello. Zwłaszcza w twoim przypadku. Pamiętaj, że nie macie referencji, a każdy, kto popatrzy na twoje ręce, od razu pozna, że nie wyszorowałaś w życiu zbyt wielu podłóg. Klotylda to co innego, zanim przystała do naszego cyrku, imała się różnych zajęć. Teraz bieduje tylko przez nas, przeze mnie, bo jestem dla niej kulą u nogi, a gdyby została sama, poradziłaby sobie. Jak Albert, Igor i cała reszta kompanii.

Stella zawahała się, zanim zadała na głos pytanie, które chodziło jej po głowie już od jakiegoś czasu.

– Boisz się, że Klotylda mnie zostawi, kiedy umrzesz?

– Nie, córeczko. – Fredrik popatrzył jej prosto w oczy. – Ona cię nie zostawi. I tego właśnie się boję. Że jeśli będzie zmuszona troszczyć się o ciebie, obie skończycie na ulicy.

Nie znalazła na to odpowiedzi.

– Ile lat ma ten cały Wachs?

– Mniej niż ja. – Sztukmistrz uśmiechnął się blado. – Wiesz, jestem pewien, że spodobałyby ci się jego dzieła. Markus kilka lat terminował w Prah i umie robić zadziwiające rzeczy. Jego lalki wyglądają jak żywe, spacerują, uśmiechają się… Książę zakupił kilka dla swoich córek. Jest księciem, więc go stać.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie, Stello. – Fredrik spoważniał. – Przyrzeknij mi, że się zastanowisz, dobrze?

– Dobrze – skłamała, czując nagły ucisk w gardle.

W jakiś czas później, idąc na rynek z piłeczkami w kieszeni, odwróciła się na rogu ulicy i zamarła.

Włóczęga. Nad naszą kamienicą.

Szara sylwetka trwała w bezruchu tuż nad krawędzią dachu. Nawet z tej odległości Stella miała wrażenie, że czuje na sobie jego wzrok.

Usłyszała stuk kopyt, turkot i cofnęła się pospiesznie na chodnik przed nadjeżdżającym dyliżansem. Gdy ponownie podniosła oczy, widmo zniknęło. Już nie była pewna, czy to naprawdę on, czy tylko kłęby dymu buchające z komina sąsiedniego domu ułożyły się na moment w zarys postaci.

***

Fredrik zmarł tej samej nocy.

Śmierć zabrała go cicho i zdradziecko. Wieczorem był jeszcze przytomny i w stosunkowo dobrej kondycji. Zjadł kilka łyżek kaszy, ułożył pasjansa, przekomarzał się z Klotyldą. Stella jak zwykle pocałowała go na dobranoc i położyła się spać w przekonaniu, że wszystko jest w porządku. A po kilku godzinach obudził ją pełen rozpaczy krzyk macochy.

To, co nastąpiło potem, zapamiętała jak przez mgłę. Lekarz, jakieś papiery do podpisania. Najtańsza trumna, ponury grabarz, wóz zaprzężony w kulawą szkapę. Cmentarz, cichy i posępny w zapadającym zmierzchu; płatki śniegu osiadające na grudach ziemi, krakanie wron. Fredrik Fenchel został złożony na wieczny spoczynek we wspólnym, bezimiennym grobie dla biedoty.

Dopiero po powrocie do domu uderzyła w nie pustka. Płakały razem, skulone na łóżku w przeraźliwie zimnej izbie; nie miały za co kupić opału, bo wszystkie pieniądze, jakie im jeszcze zostały, poszły na opłacenie pogrzebu.

***

Było tak, jak przepowiedział Fredrik. W poszukiwaniu pracy odwiedziły wiele mieszczańskich domów, ale bez skutku.

Cztery dni później do ich drzwi zastukał gospodarz i od progu oznajmił, że jeśli w ciągu tygodnia nie zapłacą czynszu za ostatnie dwa miesiące, mają się wynosić, bo bez trudu znajdzie lokatorów, którzy będą mu płacili w terminie. Ośmielony zmęczonym milczeniem Klotyldy, dorzucił jeszcze parę słów na temat lekkoduchów, co to zdychają bez grosza przy duszy. Kiedy w końcu wyszedł, zapadła cisza. Stella udawała, że jest całkowicie pochłonięta przyszywaniem urwanego guzika. Jej macocha usiadła na krawędzi łóżka i patrzyła przed siebie otępiałym wzrokiem.

Stella sprawdziła, czy guzik mocno się trzyma, przegryzła nitkę i w końcu podjęła decyzję.

– Pójdę do tego całego Wachsa – powiedziała powoli.

Klotylda drgnęła, jakby ją ktoś ukłuł.

– Nie, dziecinko. Nie ma mowy.

Dziewczyna podeszła i uklękła przy niej.

– Jaki mamy wybór? Powiedz mi, gdzie on mieszka. Proszę.

Macocha długo milczała, potem przytuliła ją mocno.

***

Raz podjętej decyzji nie było sensu odwlekać. Stella spakowała do węzełka kilka drobiazgów i wzięła z wieszaka płaszcz.

Śnieg padał coraz gęściej, jakby chciał zamknąć miasto w białej trumnie.

Odnalazła dom znajdujący się pod wskazanym adresem. Był to stary drewniany budynek z pomalowanymi na czarno okiennicami. Nad wejściem kołysał się wyblakły szyld przedstawiający lalkę w koronkowej sukience. Dziewczyna długo chodziła tam i z powrotem po ulicy, bojąc się zastukać do drzwi.

Musisz, powiedziała sobie twardo.

Już prawie zdobyła się na to, żeby ująć kołatkę, kiedy usłyszała za sobą głos.

– Pst! Panienko!

Ktoś nieduży i od stóp do głów okutany łachmanami wychylał się z pobliskiej bramy, dając jej znaki, żeby podeszła. Stella zbliżyła się nieufnie. Wzdrygnęła się na widok czerwonej, pokrytej krostami skóry i wyłupiastych ślepi stworzenia, które tylko z grubsza przypominało ludzkie dziecko.

Podrzutek. Na południu, w rodzinnych stronach Fredrika, te nieszczęsne istoty zabijano tuż po urodzeniu, uważając je za dzieło diabła. W Ziegelbergu często można było napotkać wyrośnięte podrzutki grzebiące w śmietnikach albo żebrzące na rogach ulic. Stella bała się ich. Nie tylko dlatego, że szokowały brzydotą. W ostatnich miesiącach nieraz myślała z dreszczem, że niedługo sama może nie mieć domu i żyć tak jak one.

– Panienko, nie chodź tam – powiedział podrzutek. Na ile dawało się stwierdzić, nie miał zębów, jego usta były szeroką szparą bez warg. Wymawiał słowa z dziwaczną, mlaszczącą intonacją, tak że ledwie można było go zrozumieć.

– Czemu?

– Włóczęga – odparło stworzenie. Zadarło głowę, wpatrując się w jakiś punkt w górze. Stella także uniosła wzrok i poczuła dreszcz.

Włóczęga siedział na kalenicy domu, ledwie widoczny w padającym śniegu. Jego oblicze jak zawsze zasłaniał szal, ale dziewczyna mimo odległości dostrzegła utkwione w sobie blade punkciki oczu.

– Czego chcesz? – spytała, zebrawszy się na odwagę. Milczał, nie odrywając od niej wzroku.

Kątem oka dostrzegła ruch – to podrzutek wybiegł z bramy. Nogi miał zbyt krótkie w stosunku do reszty ciała, przez co poruszał się niezgrabnie, kaczkowatym chodem.

Czyjaś ręka opadła na ramię Stelli; ta aż podskoczyła ze strachu.

– Cieszę się, że zdecydowałaś się przyjść – oznajmił Markus Wachs. – Wejdź do środka. Na pewno zmarzłaś.

Ujął jej dłoń, uśmiechając się zapraszająco. Stella zamarła.

Włóczęga…

– Włóczęga – szepnęła niemal mimo woli.

– Co takiego? – Wachs podniósł głowę i twarz mu się zmieniła. Wysyczał kilka niezrozumiałych słów, chyba w obcym języku. Włóczęga oderwał się od dachu i poszybował w noc.

– Zapraszam – powiedział lalkarz jakby nigdy nic. Oszołomiona Stella usłuchała.

W nieczynnym sklepie było ciemno, tylko przez półotwarte drzwi zaplecza wpadała smuga światła, w której można było dostrzec dziesiątki lalek – od zwykłych małych, poustawianych rzędami na półkach, po takie rozmiarów człowieka. Stella odniosła wrażenie, że wszystkie mają na sobie wytworne stroje.

Wachs wprowadził ją na zaplecze, gdzie pachniało farbą, klejem i wiórami. W podłodze czerniał otwór z uchyloną klapą; dziewczyna domyśliła się, że niżej, w piwnicy, znajduje się warsztat lalkarza. Przechodnie pomieszczenie za sklepem pełniło najwyraźniej funkcję magazynu. Stały tu skrzynie, klocki nieobrobionego drewna, leżało trochę narzędzi. Pod ścianą Stella ujrzała kilka manekinów różnej wielkości, ubranych w przypadkowe części odzieży; największy miał na sobie kurtkę od czerwonego huzarskiego munduru i damski kapelusz ozdobiony pękiem sztucznych róż. Na starym stole walały się porcelanowe i drewniane główki, jedne z włosami, inne bez. Obok paliła się naftowa lampa. Wachs zabrał ją i wszedł na schody prowadzące na górę, dając dziewczynie znak, żeby szła za nim. Piętro wyżej odryglował kolejne drzwi.

– Zapraszam – powtórzył.

Mieszkanie nad sklepem od progu tchnęło dziwną aurą – mieszaniną dostatku i zaniedbania. Wszystko przepajał zastarzały zapach dymu tytoniowego. W

przedpokoju na stoliku pod zakurzonym lustrem stały dwie lalki w kostiumach baletnic.

– To Stina i Lina – powiedział Wachs. – Daj mi płaszcz.

Pomógł jej wyplątać się z zimowego okrycia. Stella przygładziła włosy, boleśnie świadoma, jak bardzo widać po niej biedę.

Lalkarz wprowadził ją do salonu, gdzie w kominku płonęły drwa. Tu również panował nieład; Klotylda określiłaby ten pokój jako potrzebujący kobiecej ręki. Z popielnicy na stole wysypywały się niedopałki cygar, obrus był poplamiony, mebli nie wycierano od dawna. W oczy rzucały się też przejawy ekscentrycznego gustu właściciela. Na ścianie wisiał zegar z kukułką pomalowany we wszystkie barwy tęczy oraz obraz przedstawiający obdarte dziecko ze skrzydłami anioła. Przy drzwiach stała oszklona gablota z kolekcją ołowianych żołnierzyków, a w kącie naprzeciwko, obok pianina – lalka ubrana jak elegancki paź, w żółtym kubraku z wielkimi mosiężnymi guzikami.

Wachs zapalił gazowe lampy po obu stronach kominka, po czym podniósł stojący na komodzie dzwonek i zadzwonił nim donośnie.

– Kurt, chodź tu! – zawołał.

Stella zatrzymała się, żeby popatrzeć z bliska na chłopca w żółtym kubraku. Jego ciemnoblond włosy wyglądały na prawdziwe, a delikatnie pomalowaną porcelanową twarz niemal można było pomylić z obliczem żywego człowieka. Poczuła podziw dla kunsztu lalkarza.

Do pokoju wsunął się zgarbiony młodzieniec w zniszczonym, powalanym farbą ubraniu. Gdy podniósł głowę, Stella z trudem powstrzymała się od krzyku, widząc sterczące z czoła nieregularne narośle i nos niemal pozbawiony części chrzęstnej, o wielkich, małpich dziurkach. Młody mężczyzna był podrzutkiem.

– To Kurt, mój czeladnik – powiedział Wachs. – A to Joachim. Joachimie, ukłoń się panience.

Chłopiec w żółtym kubraku wyprostował się z cichym zgrzytem mechanicznych części. Jego powieki uniosły się, odsłaniając wypukłe brązowe oczy. Ukłonił się, szurając nogą. Ruchy miał zaskakująco płynne.

– Joachim to mój majstersztyk – wyjaśnił lalkarz. Końcami palców zmierzwił grzywkę chłopca. – Liczy sobie już prawie dwadzieścia lat. Usiądź, Stello, czemu stoisz? Chłopcy, podajcie panience kolację. Ja muszę zajrzeć do warsztatu.

Wyszedł. Kurt i Joachim zakrzątnęli się i stół w mig został nakryty; stanęły na nim ser, wędlina i pokrojony chleb, masło, talerz pachnącego drożdżowego ciasta (Stella poczuła, że ślina napływa jej do ust), imbryk z herbatą oraz filiżanki.

– Smacznego, panienko – powiedział Kurt. – Pan jest zajęty, wróci dopiero za jakiś czas.

Posiłek smakowałby Stelli bardziej, gdyby obaj nie obserwowali jej, gdy jadła. Zwłaszcza beznosy czeladnik budził w niej obrzydzenie. Biła od niego woń zatęchłego potu, farby, kleju i nie wiedzieć czego jeszcze. Dziewczyna odetchnęła z ulgą, gdy w drzwiach salonu znowu stanął Wachs, a Kurt, jakby w odpowiedzi na milczący rozkaz, wysunął się z pokoju.

Lalkarz zajął miejsce przy stole.

– Jeszcze herbaty? – spytał. Nie czekając na odpowiedź, napełnił jej filiżankę oraz nalał sobie.

– I jak, czujesz się już troszkę lepiej? – spytał, patrząc na Stellę z życzliwym uśmiechem, który sprawił, że jego ospowata twarz wydała się dziewczynie nieco mniej brzydka.

– O tak, dziękuję. – Stella zaczerwieniła się, wyczuwając, że jego wzrok po raz kolejny prześliznął się po jej ostrzyżonych włosach i znoszonej sukience. Ale odniosła wrażenie, że lalkarz patrzył raczej ze współczuciem niż z litością. Pomyślała, że być może Fredrik miał rację – może mogłaby z czasem polubić

Wachsa, nawet jeśli miał dziwny dom i dziwnych służących. W końcu był przyjacielem jej ojca, a to coś znaczyło.

Dopiła herbatę. Pierwszy od dawna solidny posiłek rozleniwił ją, zaczynała się robić senna.

Wachs skinął na chłopca w żółtym kubraku.

– Joachimie, zagraj nam coś. Może tę sonatinę, której uczyłeś się ostatnio?

Joachim posłusznie odrzucił pokrywę pianina i zasiadł na okrągłym stołeczku. Chwilę trwał w bezruchu, a gdy jego porcelanowe palce zatańczyły po klawiszach, zdawało się, że nawet ogień w kominku przygasł w lirycznym zamyśleniu.

Stella poczuła narastającą senność. Melodia, ciepło wypitej herbaty oraz cichy trzask płomieni splatały się w hipnotyzującą kołysankę.

Dziewczyna przymknęła oczy. Nawet nie wiedziała, kiedy oparła głowę na stole.

***

Obudziło ją zimno i głuchy bulgot. Zanim do końca odzyskała przytomność, już wiedziała, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

Nie mogła się poruszyć.

Z trudem uniosła dziwnie ciężkie powieki i zalał ją mróz. Była rozebrana do bielizny i przykuta do metalowego fotela, wyposażonego w obejmy na szyję, nadgarstki i kostki. Pomieszczenie, w którym się znajdowała, pozbawione okien i oświetlone migoczącym płomieniem lampy gazowej, wyglądało jak piwnica. Ze ścian łuszczył się tynk, a byle jak zbite z desek schody prowadziły do zamkniętych drzwi.

Głuchy, nieprzyjemny dźwięk zabrzmiał znowu. To lepka bursztynowa ciecz pulsowała bąblami w dużej szklanej bani. Z naczynia brały początek liczne rurki.

Jedna z nich zakończona była długą igłą, której koniec – Stella wzdrygnęła się – tkwił wbity w żyłę na grzbiecie jej dłoni.

Zabrzmiał metaliczny odgłos, jakby przekładanych sztućców. Dziewczyna z wysiłkiem przekręciła głowę.

Najpierw zobaczyła, że na posadzce wokół fotela wymalowano czerwoną farbą symbole układające się w skomplikowany wzór. Potem ujrzała niewielki stolik, nad którym pochylał się Markus Wachs. Szczękał drobnymi metalowymi narzędziami, rozkładając je na tacy.

– O, zbudziłaś się – stwierdził obojętnie. – Ale to już bez znaczenia.

– Co chcesz ze mną zrobić? – wykrztusiła Stella.

Na ospowatej twarzy lalkarza wykwitł złowróżbny uśmieszek.

– Trzeba ci wiedzieć, drogie dziecko, że sam car Russevii raczył niedawno złożyć u mnie specjalne zamówienie. Pragnie ofiarować swojej najmłodszej córce piękny prezent na siódme urodziny. – Wachs uniósł nóż o cienkim ostrzu i delikatnie przesunął wzdłuż niego kciukiem. – Umiem sporządzać lalki na sposób praski: figury z drewna i porcelany, które tańczą i wykonują proste czynności, ale to pracochłonne i prymitywne. Dla najdostojniejszych klientów mam coś lepszego: lalki, których na pierwszy rzut oka nie da się w ogóle odróżnić od ludzi. Sam opracowałem autorską recepturę na podstawie pewnego egipskiego papirusu. – W jego głosie zabrzmiała duma. – Wprowadzam do krwi specjalny, bardzo kosztowny płyn, który po zastygnięciu utrwala tkanki. Znaki i zaklęcia służą do tego, żeby uwięzić duszę w ciele, które dzięki temu zachowuje zdolność ruchu i mowy. Wymieniam tylko oczy na szklane, bo oczy zbyt trudno zakonserwować.

Stella zamrugała, czując wzbierające łzy.

– Ty oszuście! Mój ojciec ci zaufał!

– Ależ nie okłamałem Fredrika. Będziesz bardzo szczęśliwa. Lalki nie czują głodu, zimna ani smutku.

Drzwi zaskrzypiały i do warsztatu wsunął się Kurt. Zszedł po schodach i popatrzył obojętnie na spętaną dziewczynę. Wachs odwrócił się do niego.

– Tu masz klucz od kasy pancernej. Zanieś Klotyldzie Fenchel trzysta marek i ten list.

Czeladnik kiwnął głową i wyszedł, powłócząc nogami.

Stella nie umiała dłużej powstrzymać szlochu, który dławił ją w gardle. Markus Wachs podszedł do fotela i musnął jej policzek końcami palców.

– Nie płacz. Będziesz śliczną lalką.

Przekręcił dźwignię przy bani i poziom bursztynowej cieczy zaczął się obniżać. Stella poczuła zimne, bolesne mrowienie w dłoni, które szybko rozszerzyło się, obejmując przedramię, potem rękę aż po bark.

Chciała krzyczeć, ale nieprzyjemne uczucie rozlewało się już po całym ciele i płuca nie chciały jej słuchać, nie mogła złapać tchu. Palący ból wybuchł za mostkiem i straciła przytomność.

***

Płynęła, opadała przez obrazy, niewyraźne, rozmyte jak rysunek atramentem na zalanej wodą kartce.

Szyld z królikiem w cylindrze i stojący pod nim roześmiany Fredrik.

Dorożki sunące ulicą, obojętni przechodnie.

Klotylda wyciągająca ręce w otwartym oknie kamienicy.

Blade oczy Włóczęgi – nikną wśród wirującego śniegu….

Tylko sen…

– Panienko, panienko – usłyszała pełen nacisku szept. – Słyszy mnie panienka?

Stella ocknęła się. Nic jej nie bolało, czuła się dziwnie lekka.

Nad sobą ujrzała schyloną twarz o dużych brązowych oczach i namalowanych rumieńcach.

– Ty… mówisz? – szepnęła osłupiała.

Joachim, wyraźnie przestraszony, zignorował pytanie.

– Prędko, proszę wstać! Mamy mało czasu!

Przecież nie mogę... jestem przykuta... Ale odruchowo, na wpół świadomie Stella spróbowała usłuchać – i oderwała się od fotela.

Chwilę trwało, zanim pojęła, co się stało, spojrzawszy na swoje ręce. Była już tylko istotą z mgły, ledwie widocznym zarysem. Duchem.

– Ale jak…? – wyjąkała, patrząc na porcelanowego chłopca.

– Uszkodziłem wzór. – Joachim wskazał wymalowane na posadzce znaki. Kilka zostało zamazanych; obok stało wiaderko z farbą i pędzel. – Nie wiedziałem, czy to wystarczy, ale się udało. Proszę, panienko, uciekaj! On zaraz wróci.

Do Stelli jakby nie dotarło, co powiedział. Podpłynęła do sylwetki przykutej do fotela, przykrytej teraz po szyję poplamionym czerwienią prześcieradłem. Z niedowierzaniem popatrzyła na twarz, do niedawna swoją. Oczy zostały już usunięte, w ich miejscu ziały krwawe dziury.

Chciała zamknąć martwej dziewczynie powieki, ale jej niematerialne palce przenikały przez przedmioty, zamiast ich dotknąć.

– Uciekaj! – syknął Joachim. – Prędko, na co czekasz? Nie wiesz, jaka to męka tkwić w ciele lalki!

Stella popatrzyła na niego uważniej, tknięta budzącą chłód myślą.

– Ty jesteś…?

Spuścił głowę.

– Może ta porcelanowa skorupa to jego majstersztyk sprzed dwudziestu lat, ale ja jeszcze pół roku temu byłem człowiekiem jak ty, ulicznym muzykiem bez grosza przy duszy. Wachs zwabił mnie tu, obiecał kolację, pieniądze… Uśpił mnie, dosypując czegoś do jedzenia, a nazajutrz ocknąłem się już w tej postaci. – Jego głos

drżał z emocji. – Ostrzegłbym cię, gdybym wiedział, co zamierza, ale on się tak świetnie maskuje… Zorientowałem się dopiero, kiedy zapadłaś w sen.

– Wachs nie domyśli się, że to ty mnie uwolniłeś? Nie ukarze cię?

Oblicze porcelanowego chłopca zastygło w wyrazie smutnej zawziętości.

– Och, niech się wścieknie i mnie zniszczy! O niczym innym nie marzę.

Nagle rozległy się ciężkie kroki i w zamku drzwi zazgrzytał klucz.

– Uciekaj! – krzyknął Joachim, a Stella tym razem usłuchała. Wzbiła się jak smuga dymu; bez trudu przepłynęła przez sufit warsztatu do sklepu pełnego milczących lalek, a stamtąd przez zamknięte okiennice na zewnątrz. I w górę, w górę, ku wolności, ku niebu.

Zupełnie nie czuła mrozu. Śnieg przestał padać, chmury rozstępowały się, czarny przestwór migotał gwiazdami.

Gdy Stella wzleciała wysoko, zatrzymała się olśniona pięknem tego, co rozciągało się w dole. Morze ośnieżonych dachów, gdzieniegdzie dymiące kominy, szpice dzwonnic.

Jak w moim śnie.

Z ukłuciem w sercu pomyślała o Klotyldzie, być może czytającej właśnie list od Wachsa. O trzystu markach, które przynajmniej pozwolą jej zacząć życie od nowa.

A ja? Dokąd się udam? Śmiało, dziewczyno! Cały świat stoi przed tobą otworem! Stella miała ochotę się rozpłakać i roześmiać jednocześnie, targnięta histeryczną, wisielczą wesołością kogoś, kto nie ma już nic, ale to nic do stracenia.

I wtedy go wypatrzyła; płynął majestatycznie, spowity peleryną i szalem, oddalając się wraz z odpływającym wałem chmur.

– Zaczekaj! – zawołała, przekrzykując wiatr. – Arne, zaczekaj! Proszę!

Włóczęga odwrócił się i zawisł bez ruchu. Blado świecące oczy widoczne ponad skrajem szala wydawały się przewiercać ją na wylot.

Stella zbliżyła się do niego, pełna wątpliwości, czy dobrze robi. Zasłonięte oblicze budziło w niej dreszcz, ale pamiętała swój sen.

– Weź mnie ze sobą, Arne – powiedziała nieśmiało.

Gdy już prawie straciła nadzieję, że odpowie, on przemówił ledwie słyszalnie, głosem podobnym do podzwaniania sopli.

– Nieszczęsne dziecko… Tam, dokąd odchodzę wraz z chmurami, czeka tylko pustka. Kim jesteś? Nie znam cię.

Stella poczuła, że ogarnia ją rozpacz, gorzka i ostateczna. *Mój sen kłamał, bo i czemu miałoby być inaczej.*

Ale nie spuściła wzroku.

Patrzyli na siebie bardzo długo. Włóczęga poruszył się pierwszy.

– Chodź – powiedział, wyciągając rękę. I choć dłoń wydawała się przejrzysta jak dym, Stella poczuła, że jego palce są ciepłe.

Dwie sylwetki odpłynęły w zimową noc. Ciemność zamknęła się za nimi jak kurtyna.

Maciej Ślużyński

CZASZKA

Kiedy w jednym z krajów Ameryki Południowej znaleziono we wspólnym grobie szkielety matki i dziecka, po pobieżnych oględzinach przekazano je do stolicy. Tamtejsi uczeni od razu zauważyli, że mają do czynienia z tajemnicą, która może ich przerosnąć, więc odesłali znalezisko do Stanów Zjednoczonych, celem dokładnego zbadania. I taki był początek.

***

– **N**ie będziesz mieć dzieci – orzekli mędrcy. – Nigdy.

– Dlaczego? – zapytała kobieta. – Przecież jestem jeszcze młoda, a moje biodra i lędźwie zbudowane są prawidłowo.

– Miałaś kilku mężczyzn, ale żadnemu się z tobą nie powiodło. A z innymi kobietami mają dzieci, więc to musi być twoja wina.

– Będę miała dziecko. Modlę się o to codziennie do bogów.

– To może nie wystarczyć…

Ale kobieta nadal modliła się do bogów, prosząc, żeby dali jej dziecko. I bogowie wysłuchali jej modlitw.

***

– **M**amy przed sobą wyjątkowe zadanie. Nadesłane szkielety najprawdopodobniej należą do matki i jej dziecka. Pochowano je razem. – Profesor Anthony Willboury-Smith spojrzał znad okularów na swój zespół. – Archeologom od razu rzuciły się w oczy pewne… hmmm… anomalie w budowie kostnej dziecka, więc odesłali

eksponaty do stolicy. Tam zdecydowano, że najlepiej będzie przekazać je nam – do dalszych badań.

– Co pan sugeruje? – zapytał doktor Milligan.

– Po pierwsze – badanie DNA. Pan się tym zajmie. Po drugie – wszechstronne i kompleksowe badania czaszki dziecka. Doktor Merrill, to pani zadanie. Po trzecie wreszcie – rekonstrukcja twarzy. Prześlemy gipsowe odlewy do Kanady. Wiem, że w Rosji są lepsi specjaliści, ale profesor Robinson da sobie radę. A poza tym… – profesor znacząco zawiesił głos – nie chciałbym wciągać w to Rosjan… Na razie…

***

Kobieta prawie traciła nadzieję, kiedy przyszedł do niej bóg.

– Ja jestem Viracocha – odezwał się głos w jej głowie.

Kobieta nie bała się go wcale.

– Wiem… – wyszeptała.

– Dam ci dziecko, ale po sześciu latach będę je musiał zabrać od ciebie.

– Daj mi dziecko. Pragnę go najbardziej na świecie – powiedziała kobieta, kładąc się na łóżku. Bóg położył się obok niej. I dał jej dziecko.

***

– **C**o takiego niezwykłego jest w tym znalezisku? – zapytał jeden z asystentów. – Przecież zdarzały się już przypadki grobów rodzinnych…

– Tak. Ale ten jest inny… Z pobieżnych oględzin wynika, że grób jest typowy dla kultury Tiahuanaco. Jednak pewne anomalie w budowie czaszki dziecka każą nam się zastanowić…

– A nad czym się tu zastanawiać? – zapytał ponownie asystent. – Zbadać, zanalizować, opisać…

– No. To życzę powodzenia. – Profesor uśmiechnął się tajemniczo.

***

Żołnierze przyszli do niej wczesnym rankiem.

– Ubieraj się, kobieto – powiedział ich dowódca.

– Dokąd mnie zabieracie?

– Do twierdzy Sacsahuamán, do pałacu króla.

– Po co mam iść z wami?

– Król chce poznać kobietę, która będzie mieć dziecko, choć nie ma mężczyzny. Ubieraj się.

***

– **B**udowa czaszki tego dziecka wykazuje tak daleko posunięte anomalie, że trudno nad nimi przejść do porządku dziennego – referowała doktor Merrill. – Po pierwsze, niezwykle powiększona puszka mózgowa o niespotykanym kształcie. Po drugie, rozstaw oczu. Oczy są umieszczone bardzo blisko siebie; tak blisko, że praktycznie wyklucza to możliwość widzenia stroboskopowego.

– Budowa czaszki jest rzeczywiście nietypowa i zgoła zaskakująca…

– Może to po prostu dziecko z wodogłowiem? – zapytała doktor Merill.

Profesor przecząco pokręcił głową.

– Zrobiliśmy lateksowy odlew wnętrza czaszki. Jak pani zapewne wie, układ naczyń krwionośnych wewnątrz puszki mózgowej we wszystkich znanych nam i zbadanych przypadkach wodogłowia znacznie różni się od układu u dzieci zdrowych. Znacznie. W tym jednak przypadku nie stwierdziliśmy żadnych zmian w układzie naczyń krwionośnych…

– A więc…

– A więc to dziecko na pewno nie miało wodogłowia – powiedział profesor Willboury-Smith i zasępił się głęboko.

***

Wielki Inka przyglądał się jej długo i z zaciekawieniem.

– Nie miałaś mężczyzny?

– Nie przez ostatni rok – odparła kobieta.

Władca spojrzał znacząco na jej brzuch.

– Więc…

– Stało się tak z woli bogów.

– Z woli bogów, powiadasz? Tak, to wszystko wyjaśnia. Możesz odejść.

***

– **N**ie możemy wytłumaczyć kształtu jego czaszki chorobą, to wiadomo na pewno…

– Przecież w tej kulturze znane były przypadki modelowania czaszek u niemowląt! Wiązało się to z kanonami ówczesnej estetyki.

– Zgadza się. Weźmy na przykład płaskowyż Nazca – prawie wszystkie czaszki tam znalezione są zdeformowane w taki sam charakterystyczny sposób. Ale tamta deformacja jest inna niż w przypadku dostarczonej czaszki. Problem polega także na tym, że badamy szczątki sześcioletniego dziecka, a w tym wieku proces zrastania się wszystkich dwudziestu siedmiu kości tworzących czaszkę – a konkretniej proces zarastania szwów czaszkowych – nie jest jeszcze zakończony. Innymi słowy nie pozostaje nam nic innego, jak stwierdzić, że tę czaszkę ukształtował naturalny rozwój osobniczy…

– Ale… to przecież niemożliwe!

– Tak. To niemożliwe.

***

Urodziła dziecko niepodobne do innych. Ale kochała je i pielęgnowała najlepiej, jak umiała. Kiedy dorastało, stawało się coraz mniej podobne do innych dzieci. Ale jej to nie przeszkadzało. Była matką.

***

– **S**ą już materiały od profesora Robinsona z Vancouver – powiedziała asystentka, wchodząc do pokoju. Położyła plik zdjęć na stole i wyszła, lekko kołysząc biodrami.

„Czy ona myśli, że ja mam dwadzieścia pięć lat?" – zapytał sam siebie profesor Willboury-Smith, niecierpliwie rozrywając kopertę Fed-Ex, z której wysypało się na biurko kilkanaście zdjęć. Wszystkie przedstawiały rekonstrukcję wyglądu twarzy, dokonaną na podstawie odnalezionej czaszki. Ale to nie była twarz człowieka…

***

Kiedy dziecko miało trzy lata, kobieta zaprowadziła je do świątyni. Pokazała mu wizerunki bogów i wskazując na jednego z nich, powiedziała cicho:

– To twój ojciec.

Dziecko długo przyglądało się w milczeniu malowidłu, a potem spojrzało na matkę. A ona przytuliła go mocno do piersi.

***

Zdjęcia wywołały prawdziwą sensację na posiedzeniu grupy naukowców.

– Do diabła, to jakiś pieprzony ET! – wyrwało się mimowolnie jednemu z laborantów, którzy oglądali zdjęcia.

Komentarz nie był wprawdzie naukowy, ale bardzo obrazowy i precyzyjny. Ze zdjęć patrzyła na nich twarz kosmity; wizerunek spopularyzowany przez filmy

fantastyczno-naukowe. Bardzo wąsko osadzone oczy, olbrzymia puszka mózgowa przy bardzo małej twarzoczaszce, szczątkowy nos, usta małe i wąskie.

***

Minęło sześć lat. Dziecko zachorowało. Uczeni lekarze nie wiedzieli, co mu jest. Po prostu gasło w oczach.

– Nie ma dla niego ratunku – powiedzieli i odeszli, zostawiając kobietę samą.

I wtedy po raz drugi w jej życiu zjawił się bóg.

***

– **P**anie profesorze… – doktor Milligan był wyraźnie speszony. – Z całego szkieletu udało nam się uzyskać zaledwie pięć pikogramów materiału do analiz…

– Przecież to może nie wystarczyć do określenia profilu genetycznego! – przeraził się profesor. – Naprawdę tylko tyle?

– Tak. Wygląda na to, jakby… jakby jego DNA… wyparowało… – Milligan zachichotał nerwowo.

– A DNA matki?

– W normie. Materiału starczy na wszystkie niezbędne badania.

– Bardzo dziwne. Przecież pochowano ich w tym samym czasie…

– W przypadku materiału pobranego od dziecka możemy zastosować wzmocnienie próbki metodą PCR… – zaproponował nieśmiało Milligan.

– Dobrze. To powinno wystarczyć do odnalezienia sekwencji repetetywnych i do wyselekcjonowania jego DNA. Ciekawe, czym tym razem nas zaskoczy ten mały…

***

– **P**rzyszedłem po niego. – Jego słowa paliły jej mózg jak ogień.

– Nie – powiedziała kobieta stanowczo. – Nie oddam mojego dziecka nikomu.

– Nie zapominaj – zabrzmiał w jej głowie głos Viracochy – że to także moje dziecko.

– Ale nie byłeś z nim przez sześć lat. Jesteś nasieniem – ale nie ojcem…

– Ono umrze, jeśli zostanie z tobą – odpowiedział Viracocha.

– Ale gdy je zabierzesz – umrę ja… A moja śmierć obciąży twoje sumienie.

– Ja nie mam sumienia. Oddaj mi dziecko!

– Nie mogę. Ono właśnie umiera…

– Ono zaczyna się zmieniać. Ale zmiana nie nastąpi, jeśli go nie zabiorę. Tylko w moim świecie będzie mogło przejść zmianę i będzie mogło dalej żyć. W twoim świecie umrze…

***

– **P**odsumujmy: mamy szkielet kobiety i dziecka. Analiza DNA wykazała, że to jest jej dziecko – wskazuje na to równopostaciowość chromosomu X, pobranego od obojga. Ale chromosom Y, pochodzący od ojca, jest… obcy. Dalej – anomalie w konstrukcji czaszki są najprawdopodobniej pochodzenia naturalnego, bo nic nie wskazuje na jakąkolwiek chorobę. Rekonstrukcja twarzy pokazuje nam rysy istoty, która może nie być człowiekiem… A z całego szkieletu udało się pobrać tak znikomą ilość materiału genetycznego, że nie mogliśmy nic ustalić, poza jego płcią.

***

A kiedy dziecko zmarło, kobieta nie chciała już dłużej żyć. Nie dość, że nie posłuchała rozkazu boga, to jeszcze straciła dziecko. Jej dziecko. A kiedy zmarła zaraz po swoim dziecku, uszanowano jej niewypowiedzianą wolę i pochowano ich razem.

I taki był koniec.

Jan Siwmir

DWIE POMYŁKI

Głowa bolała go potwornie. Najwyraźniej wczoraj stanowczo przeholował. No tak, butelka po „Jasiu Wędrowniczku" poniewierała się pusta po podłodze. Po kobiecie nie było ani śladu.

– Pij, będziesz łatwiejszy – mówiła.

– Nie boisz się, że nie będę mógł? – Kostka lodu na pół szklanki. Właściwe proporcje.

Dziki chichot w odpowiedzi mile połechtał jego męskie ego.

Najpewniej jak zawsze przed piątą nad ranem wyśliznęła się bezszelestnie, kiedy padnięty po nocnych szaleństwach spał najmocniej. Po miesiącu znajomości bez cienia obawy dał jej klucze do swojej kawalerki. Zresztą, czego niby miał się obawiać? Nie miał nawet telewizora. Co by ukradła? Zawartość szafy lub lodówki? Niczego nie kupował na zapas. Natomiast laptopa, narzędzie pracy, zawsze nosił przy sobie, a w domu kładł do sejfu. Sicher ist sicher. Nigdy w życiu niczego na stałe – tak postanowił dwa lata temu, po rozprawie rozwodowej. Porozumienie stron. Zostawił wszystko. Dom w podwarszawskich Łomiankach, a w nim całe wcześniejsze życie. Sam nadzorował prace budowlane i wykończeniowe. Ekipy klęły go w żywy kamień.

– Pan to by chciał, żeby my tak robili jak dla siebie w domu! – oburzył się jeden z majstrów.

– Zgadza się, robicie dla mnie i w moim domu. Więc ma być przynajmniej tak, jakbyście robili dla siebie! – odpowiedział.

Pobrali się rok po maturze. Tak jak w piaskownicy razem stawiali babki z piasku, tak po skończeniu Technikum Ekonomicznego poszli razem do pracy w warszawskim oddziale ZUS. Przyszły przemiany gospodarcze i społeczne. Zaczęło

się od sąsiada, który prowadził kwiaciarnię przy Górczewskiej. Źle rozliczył podatek i poprosił go o pomoc. Udało się. Rok później mieli już zarejestrowaną firmę „Porady podatkowe" i obsługiwali ponad połowę kupców z bazarów na Kole, przy Górczewskiej i Powstańców Śląskich. Jedno z nich musiało ukończyć prawo. Ciągnęli zapałki. Padło na nią. Rozpoczęli już budowę. Przez dziesięć lat żegnali się o szóstej rano, a spotykali o dwudziestej drugiej. Kiedy wprowadzali się do własnego domu, przyszedł czas na aplikację adwokacką. Ten dzień będzie pamiętał do końca życia. Właśnie odebrał świeżutkie pozwolenie na prowadzenie działalności gospodarczej pod nazwą „Kancelaria adwokacka – porady podatkowe i prawne".

Zadzwonił telefon. Klient z Gdańska z powodu mgły, zamiast w Warszawie, wylądował w Krakowie. Umówił się z nim na jutro, kupił szampana i pognał do domu. To miała być niespodzianka. Po raz pierwszy od dwudziestu lat wrócił wcześniej! Delikatnie jak włamywacz przekręcał klucze w zamkach. W kuchni błyskawicznie wyciągnął z opakowania dwadzieścia tulipanów. Tyle, ile lat upłynęło od ślubu. Jego bezszelestny sposób poruszania dziwił nie tylko Myszkę, jak pieszczotliwie nazywał żonę. Jeszcze kiedy pracował jako urzędnik, nieraz doprowadzał do zawału kolegów i koleżanki, materializując się znienacka obok. Dorobił się nawet przezwiska „cicha stopa". Z bukietem i szampanem wśliznął się przez uchylone drzwi do pokoju gościnnego.

Zamarł. Ledwo miesiąc temu, w galerii, gdzie byli na wernisażu jakiegoś malarza, który w dodatku grał piosenki Kaczmarskiego, kupili za piętnaście tysięcy fotel o fikuśnych, przypominających lekko rozpłaszczony chromosom X kształtach. Myszka pojękiwała, leżąc w poprzek fotela. Oczy przymknięte, odchylona do tyłu głowa opierała się na obłym podłokietniku, natomiast jej lędźwie, uniesione lekko w górę, w pozycji niemalże ginekologicznej, wgniatały się raz po raz w miękkie obicie drugiego podłokietnika z zielonej alkantary. Pomiędzy rozrzuconymi na boki udami poruszał się rytmicznie męski zadek. Burza kłębiących się do połowy pleców,

rudawych włosów jednoznacznie zdradzała tożsamość poznanego przed miesiącem artysty, najwyraźniej na wskroś wszechstronnego.

„Zabiiiić!" – zawyło mu pod czaszką, prawa ręka zgniotła kruche łodyżki kwiatów. „A na jaką cholerę ci to potrzebne?" – przebiło się przez nawałnicę emocji. W jednej chwili jakby ciekły hel ściął zazdrość i nienawiść. Coś pękło i zgasło. Cały świat, który budował, rozpadł się. Uczucia przestały istnieć, pozostał tylko umysł, który tak samo jak zwykł rozwiązywać najbardziej pokręcone spory prawne, zaczął rozwikływać powstałą sytuację. Równie bezszelestnie jak wszedł, wycofał się z pokoju. Kochankowie w miłosnym ferworze nawet go nie zauważyli. Tulipany wrzucił do kosza na śmieci, szampana zostawił na stole w kuchni. Wstąpił do gabinetu, zabrał laptopa i notes, gdzie pomiędzy zwykłymi zapiskami ukrywał kody dostępu do pięciu kont, na których lokował zyski. Odkładał na wymarzoną chatkę w górach, gdzie zamierzali spędzić starość, z dala od zgiełku miasta i zobowiązań. Teraz miał to wszystko… tam, gdzie jego „szczęście" miało teraz kutasa innego faceta.

Norbert Sweratowski otrząsnął się z przykrych wspomnień sprzed niespełna dwóch lat. Dokończył golenie, ściągnął T-shirt i narzucił na siebie termoaktywną bluzę wykończoną pod szyją zapinaną na błyskawiczny zamek stójką, wystarczająco wysoką, by ukryć kolejną malinkę. Zawsze tym bardziej purpurową, im bardziej namiętną była miniona noc. Narzucił długi, czarny, skórzany płaszcz i ruszył do pracy.

***

Michał Maria Erewański, nazywany przez wszystkich w biurze prokuratora okręgowego Dzielnicy Warszawa Bemowo Maryśką, z hukiem zrzucił na blat biurka stos teczek z aktami. „Zrób porządek z zaginięciami" – polecił mu Tomasz Wołk, prokurator, który nadzorował przebieg praktyk młodego aplikanta. Chłopak wertował

dokumentację, segregując teczki na trzy stosy: do zamknięcia, do wyjaśnienia i te bez jakiejkolwiek szansy na rozwiązanie, które niedługo zostaną umorzone i ze względu na brak poszlak powędrują „ad acta”. Od pewnego czasu na biurku praktykanta rosła kolejna sterta dokumentów; chłopak przerwał wertowanie nieposegregowanych akt i wrócił do przejrzanych stosów, wybierając co jakiś czas teczkę i dorzucając do czwartego stosu.

– Na co tym razem wpadłeś? – zainteresował się Tomasz Wołk. O tym, że Maryśka „ma nosa” wiedzieli wszyscy w Prokuraturze od dawna. Już jako dwunastolatek przychodził tu z ojcem i pomagał właśnie w ten sposób – segregował akta. Ile teczek trafiło do działu spraw zamkniętych tylko dlatego, że wpadły w ręce ciekawskiego nastolatka, który zaczynał swoje dywagacje od „a ta sekretarka to miała chłopaka?” Miała, był w gangu pruszkowskim…

– Zauważyłem pewną dysproporcję. Po pierwsze, większość niewyjaśnionych zaginięć dotyczy mężczyzn między czterdziestym trzecim a pięćdziesiątym piątym rokiem życia. Po drugie, połowa to faceci już po przeprowadzonym rozwodzie, którzy ułożyli sobie życie, a nawet powodziło im się całkiem nieźle. Tu już nie dostrzegam powodu, dla którego mieliby „znikać”. Coś tu nie gra.

– Wiem, że w twoim przypadku „raz dziewczynka, raz chłopaczek”. Jesteś młody i możesz jeszcze nie zdawać sobie sprawy z presji, jaką wywiera na facetów otoczenie. Wielu woli zupełnie zerwać wszystkie dotychczasowe powiązania, niż bez przerwy znosić kpiące, czy wręcz współczujące uśmieszki kolegów albo narażać się na „pocieszające” awanse koleżanek.

– Aż tak zielony w tych sprawach nie jestem. To też brałem pod uwagę. Tak czy inaczej rozkład statystyczny nie jest normalny, musi istnieć dodatkowy czynnik, posiadający istotny wpływ. I mam ochotę go poszukać.

– Dobra, główkuj, jeśli masz na to ochotę, tylko nie odciągaj mi policjantów od już wyznaczonych zadań. Chyba że któryś zgodzi się pomagać poza swoją robotą. I

na koniec tygodnia chcę widzieć teczki posegregowane, te „podejrzane” też do tej pory mają znaleźć się na właściwych miejscach.

***

Tinsel – ni imię, ni nazwisko, raczej pseudonim „artystyczny”. Tak się przedstawiła i niczego więcej nie udało mu się od niej wyciągnąć. Przez cały rok, odkąd się poznali. Tylko raz powiedziała, że jest łańcuszkiem łączącym go z tym światem i że gdziekolwiek los go rzuci, jej zadaniem jest go odnaleźć, by dać mu szczęście i doprowadzić tam, gdzie jego miejsce. Patrzyła potem zlękniona, jakby zdradziła jakąś tajemnicę; uspokoiła się dopiero wtedy, gdy ze śmiechem zauważył, że szare, marokańskie wino, które tak jej dziś smakowało, musiało być naprawdę mocne.

Niedługo po rozprawie rozwodowej zaczęło go nosić. Dziwną satysfakcję sprawiało mu odmawianie byłym klientom. Cieszyło go, kiedy jeden czy drugi, odchodził zgarbiony i zdruzgotany po jego stanowczym: „Teraz nie prowadzę firmy i nie posiadam uprawnień ani możliwości, by panu pomóc”. Co ważniejsze, w ogóle nie miał ochoty komukolwiek pomagać, za to chętnie zrobiłby coś, co pościerałoby uśmieszki z twarzy otaczających go ludzi. Tylko Tinsel pozwalał śmiać się do siebie; innych podejrzewał o politowanie albo sarkazm.

Znalazł w końcu zajęcie. Nie musiał, bo odsetek ze zgromadzonego kapitału z naddatkiem wystarczało na spartańskie życie, jakie teraz prowadził. Kiedy wyrejestrowywał działalność w ZUS-ie, kolega z sąsiedniego biurka, a teraz Kierownik Oddziału, zszedł na dół i zaproponował mu pracę. Miał „poprawić ściągalność składek”.

– Rozumiesz, mamy potężny dług. Wymyśl coś, wiem, że potrafisz. Znajdź tylko podstawę prawną, a nasza głowa w tym, w jaki sposób ściągniemy należność. Dwadzieścia procent wygenerowanej sumy dla ciebie jako premia lub zlecenie. Wchodzisz?

– Jasne! – odpowiedział.

Na pierwszy ogień poszli drobni przedsiębiorcy sezonowi, którzy zawieszali działalność w okresach, gdy firmy nie miały kontraktów. „Brak podstawy zawieszenia działalności, nakaz zapłaty niezapłaconych składek za okres (tu następowała stosowna wyliczanka) wraz z odsetkami karnymi".

– Nie mogę wypłacić ci jednorazowo pół miliona na zlecenie, nie jesteś firmą komputeryzującą ZUS, połowę przepuszczę przez nich, jako twoje konsultacje, a drugą dopiero w przyszłym roku, kiedy już sprawa ucichnie, bo niektórzy się odwołują do sądów – wił się kolega.

– Nie ma problemu. – Uśmiechnął się szeroko. Bo pieniądze naprawdę nie były ważne. Czuł w sobie coraz większą żądzę niszczenia i zaczął się rozglądać za nowymi możliwościami deptania ludzi.

Kupił „Toyotkę"; wystarczała na dojazdy do pracy, a nie wzbudzała zawiści sąsiadów z bloku. Z centrum, gdzie robił po drodze zakupy w delikatesach, przywiózł wachlarz reklamówek agencji towarzyskich, pozostawionych za wycieraczką. Jedna z nich przywarła do spoconej dłoni i za nic nie chciała się odczepić, dał więc spokój, przez oporny papier zacisnął dłoń na uchwycie aktówki z laptopem. W sobie tylko znany sposób operował jednocześnie pilotem od auta i wyciągał torbę z zakupami. Jak zawsze skutecznie. Wbiegł na trzecie piętro niczym dwudziestolatek. Tu dopiero udało mu się pozbyć reklamówki: zmiął ją i rzucił w kąt. Zakupy włożył do lodówki, nalał sobie szklaneczkę whisky, rozsiadł się wygodnie w poprzek łóżka – opierając poduchę o ścianę, uzyskiwał potężne siedzisko, komfortem w niczym nieustępujące fotelowi, jaki miał kiedyś w gabinecie. Jego wzrok padł na zgnieciony przed chwilą świstek papieru. „Może to znak, że się przykleił do mojej dłoni? Właściwie, czemu nie? Stać mnie, przynajmniej będę wiedział, za co płacę – na pewno nie za wątpliwą przyjemność wysłuchiwania zwierzeń, jacy to paskudni byli jej poprzedni faceci i jaki czarujący jest jej siedmioletni synek". Przerobił taką jedną randkę i „upojna"

kolacja kosztowała więcej niż jedna noc spędzona z namiastką dziewczyny z reklamówki. Uśmiechnął się z przekąsem i wybrał numer zaczynający się pod szpilką bucika, a kończący pod tym, co wypinała blondyna ze zdjęcia na sfatygowanym karteluszku.

***

– **S**kąd wytrzasnąłeś ten adres? Chłopaki mieli tam kiedyś niezły sajgon. Ledwo się z usiłowania gwałtu wywinęli. Młodzi, głupi, napaleni, filmów się naoglądali… Ukrainka obstawia jedną trzecią rynku, w tym więcej niż połowę usług, że tak powiem, bardziej ekskluzywnych, dla forsiastych. Do ochrony zatrudnia wyłącznie rodaków, zresztą jak nie będziemy uważać, sam się przekonasz. Wyglądają jak niedźwiedzie, nawet Pruszków czy Wołomin w swoich pamiętnych dobrych czasach trzymał się od Ukrainki na dystans.

– Przeprowadziłem wnikliwą analizę i podszedłem do sprawy naukowo. Przyjąłem, że w przypadku znikających facetów nie działa prawo serii, założyłem równy statystycznie rozkład czynnika w populacji i stochastycznie…

– Kurrrwa, po ludzku! Jeśli chcesz, żebym z tobą poszedł! – Wołk wbił wzrok w młodego praktykanta. – Chcę wiedzieć, pod co tym razem będę łeb nadstawiać!

– Pomyślałem sobie, że gdzieś po roku ci rozwiedzeni faceci muszą chyba zacząć odczuwać braki w dziedzinie seksu. Mają pewnie te swoje niepotrzebne zahamowania, a do dyspozycji jedynie połowę populacji, która na dokładkę niedawno dopiekła im do żywego. Prawdopodobnie, nie życząc sobie żadnych zobowiązań, staną się zatem potencjalnymi klientami agencji towarzyskich. Przez ostatni tydzień parkowałem w centrum. W różnych miejscach. Przy okazji nawiązałem bliskie stosunki z niesamowicie wygadanym osobnikiem. Pomagał mi zaparkować, luj taki, moczymordek bagienny, ale…

– Do rzeczy, chłopie, nie mamy całej wieczności przed sobą.

– No tak… znaczy… zebrałem powyżej dwóch tysięcy ulotek. Wyselekcjonowałem z nich agencję, której numer powtarzał się najczęściej, a tym samym, gdzie statystycznie najprawdopodobniej trafiliby rzeczeni faceci. Umówiłem nas na dzisiejszy wieczór.

– Boże, co ja się z tobą mam, Maryśka!

– Ale awans też ci się już przydarzył przeze mnie, he,he. Auć! – Zakończył Erewański, trzymając się za ucho, w które po przyjacielsku trzepnął go przyjaciel ojca.

***

– **T**ak. Mam preferencje. Mała, szczupła, włosy ciemne. A, jest możliwość przedłużenia pobytu masażystki na całą noc. To miło, ale pozwoli pani, że podejmę decyzję dopiero… Normalna praktyka? Cóż, ja pierwszy raz… Nie, byłem żonaty. Dobrze, o dwudziestej pierwszej.

Kiedy ją zobaczył, poczuł dziwny spokój. Zwykle był nieśmiały wobec kobiet. Oczywiście, pociągały go, lecz do tej pory zawsze odczuwał po fakcie bolesny niedosyt. Jakby czegoś zaniedbał i dlatego zabrakło prawdziwego uniesienia i pełnej satysfakcji.

– Mam na imię Norbert, a ty?

– Mów do mnie Tinsel.

– Napijesz się? Wino, wódka?

– Szare wino, to z Maroka. Jak zawsze. Oczywiście, żartuję, bo skąd miałbyś wiedzieć i mieć…

Zaskoczony sięgnął po butelkę, którą dostał od szefa na urodziny. Przełożony wrócił właśnie ze szkolenia zorganizowanego w tym egzotycznym kraju.

– Dziwne, ale przez przypadek akurat mam. Skąd wiedziałaś?

– Może trafiłam. Przez przypadek.

Przyjrzał się dziewczynie uważniej. Szczupła, niska, krucha, wręcz zwiewna. Wielkie piwne oczy, prawie czarne, a w nich zaskoczenie, nadzieja, zainteresowanie i iskry rozbawienia. Niesamowita cera, jasna, bez śladu opalenizny, drobne, niemal dziecięce rysy i kaskada kruczoczarnych włosów spływająca miękko do nasady pleców. Poczuł dotyk drobnej dłoni na ramieniu.

– Zadzwonię – szepnęła. Wyciągnęła komórkę i przytknęła do ucha. – Wszystko w porządku, niech Wasyl podjedzie rano.

Odłożyła telefon i zwinnym ruchem wsunęła się na jego kolana, równocześnie oplatając ramionami szyję. Zareagował natychmiast, zszokowany tym, że jego ciało odpowiada tak chętnie. Jakby znali się od lat. Pocałunek za pocałunek, pieszczota za pieszczotę, jedno wiedziało, czego oczekuje drugie. Zatopili się w sobie bez opamiętania, jak kochankowie po długim rozstaniu.

Rano już jej nie było. Nie pamiętał, kiedy zasnął, ale wiedział jedno. Była jego dopełnieniem. Jej nieobecność bolała i coś z tym musiał zrobić.

***

– **P**anowie sobie usiądą, przejrzą katalog, wybiorą masażystkę. – Kobieta poczekała na sprecyzowanie oczekiwań obu mężczyzn po czym powiedziała – To jest Nina, a młodszy pan jak widzę wybrał Tinsel. Zawołam dziewczęta, w międzyczasie proponuję herbatkę. Gabinety będą gotowe za jakiś kwadrans. Sugeruję, żeby zacząć od delikatnego masażu karku.

Recepcjonistka dość potężnych rozmiarów podniosła się zza biurka i poszła… czy raczej – wionęła w stronę zaplecza. Prawdopodobnie nadal czuła się o piętnaście lat i tyleż samo kilo młodziej. Erewański i Wołk usiedli na barowych stołkach, podziwiając pokrętną fantazję projektanta, który wymyślił kształt blatu służącego klientom salonu jako bar. Dwie dziewczyny stanęły za ich plecami. Wprawne paluszki poluźniły krawaty, rozpięły po trzy guziki koszul, odchyliły kołnierzyki i

zaczęły delikatnie masować spięte mięśnie. Michał, czując dotyk ciemnowłosej dziewczyny, coraz silniej zaczynał odczuwać dziwną słabość. Palce zdawały się wtapiać w skórę szyi, wnikać przez rdzeń kręgowy aż do mózgu, przesiewać myśli, budząc te bardziej męskie, wywołując tęsknotę za miękkim kobiecym ciałem, sącząc obietnicę spełnienia. Obudziły też tę drugą część jego natury, która ciągnęła go do mężczyzn… Nagły lodowaty impuls przeszył mu umysł. Ta kobieta go oszukiwała, jakimś cudem dostała się do jego umysłu i sączyła ubezwłasnowolniającą truciznę. Dłonie nadal gładziły go po szyi i ramionach, ale przestały emanować ciepło i słodycz. Stawały się coraz chłodniejsze.

– Herbatka dla panów. – Puszysty „motylek” z recepcji postawił na blacie przed wywiadowcami po dzbanku ze wrzątkiem, filiżance, łyżeczce, a między nimi pudełeczko z kilkunastoma rodzajami herbaty do wyboru. – Panowie słodzą? Tylko pan? – Zauważyła skinienie głowy Wołka. Jednocześnie czarnowłosa dziewczyna szepnęła jej coś na ucho, odrywając dłonie od karku Michała. – Dobrze, zaraz przyniosę cukier. – Z przyklejonym uśmiechem pofrunęła ponownie na zaplecze.

Dłonie masażystki znów odnalazły kark Erewańskiego. Chłopak wzdrygnął się lekko; nie były lodowate, raczej nieprzyjemnie zimne. „Trupie” – podpowiedziała intuicja, a rozum stwierdził, że ten przymiotnik doskonale oddaje odczuwane w tej chwili wrażenie.

– Coś jest nie tak… – szepnął Wołk do ucha Michała.

– Co się stało, Tinsel? – zapytała Ukrainka, wracając z pokaźnych rozmiarów cukiernicą.

– On nie potrzebuje kochać. On nie tylko mężczyzna. Kocha inaczej. Kobiety też kocha, ale rzadziej. Na pewno nie dziś. Dziś on i ten drugi przyszli wiedzieć, szukać. Boję się go, ma w głowie coś, o czym sam nie wie. To go broni i jest niedobre dla mnie.

Nogi zaczęły uginać się pod Michałem. Takiego scenariusza nie przewidywał. Bliższe spotkanie z „misiami" Ukrainki stanowczo mu się nie uśmiechało.

– Spokojnie, dziecko, panowie przyszli do nas przez pomyłkę. Policja już nie raz sprawdzała moje salony. – Kobieta w jednej chwili z recepcjonistki przeistoczyła się w boksera wagi ciężkiej, który poczerwieniał na twarzy i zaczął podnosić głos. – Panowie policjanci płacą za masaż karku i zrelaksowani wychodzą. Spieszą się. Łapać złodziei, morderców, tych co bezbronne kobiety biją. I nie nachodzą więcej spokojnych obywateli, co uczciwie swój interes prowadzą. Jak chcecie czegoś się dowiedzieć, niech wasz szef normalnie zadzwoni i zapyta, a nie wysyła was niepotrzebnie. Sama zresztą go zapytam. Do widzenia panom.

***

– **N**ie, Tinsel u nas już nie pracuje. Właśnie dziś rano zdecydowała się wrócić do Rumunii, do domu. Nie zostawiła kontaktu, naprawdę nie potrafię panu pomóc.

Cóż, tego właśnie się spodziewał. Po powrocie z pracy wsiadł w autobus, powłóczył się po Starym Mieście, wypił trzy piwa. Znów godzinkę popałętał się bez celu, na koniec w jednym z pubów strzelił sobie butelkę tequili. Pod drzwiami kawalerki pojawił się dopiero przed dwudziestą trzecią. Usiłował trafić kluczem do niesfornej dziurki, która uporczywie zmieniała swoje położenie. W tych warunkach trafienie graniczyło z cudem.

– Daj, otworzę. Długo kazałeś na siebie czekać.

– Tinsel, jak się cieszę!

***

Trzech mężczyzn siedziało w ciasnym gabinecie bemowskiej prokuratury. Byli to pechowi „wywiadowcy" z salonu masażu oraz ich bezpośredni przełożony.

– No, nie powiem, fantazję to ten twój chłopak ma. Niby mieliby być wywabiani przez panienki za granicę, tam dostawali w czapę i byli obrabiani z forsy, tak? Przyłożyliśmy się tym razem i ponownie dokładnie sprawdziliśmy wytypowaną przez ciebie, Erewański, dziesiątkę. I już nie zawsze drogą oficjalną. W ten sposób osiem teczek możecie spokojnie odłożyć. Trzech delikwentów znaleźliśmy w Londynie. Od piętnastu lat migali się od alimentów. Jeden nawet zmienił nazwisko. Dwóch trafiło do Włoch, w tym jeden zginął, bo trafili przez podejrzaną agencję pośrednictwa pracy do któregoś z tych parszywych obozów, gdzie ludzi traktuje się gorzej od zwierząt. Że też zawsze się taka agencja znajdzie, co jakąś zlikwidujemy, na jej miejsce wyrasta kilka innych. Następnego delikwenta namierzyliśmy na platformie wiertniczej. Od siedmiu lat, co zarobi, rozpieprza w Amsterdamie. Jak się spłucze doszczętnie, wraca na platformę. I tak w kółko Macieju. Wracając do Amsterdamu, kolejny wyciera tam bruki. Urwał się do Holandii z panienką od Ukrainki, ale forsy wystarczyło im ledwie na trzy lata. Panna miała fach, powiedzmy, w ręku, a pijusa zostawiła… Przy okazji, co się nie nasłuchałem od Ukrainki, że ona nie zamierza dobrym dziewczynom szczęścia psuć, to moje. Może i coś w tym jest. A na koniec trochę optymizmu. Znaleźliśmy jednego na Krymie. Wyjechał z Tatarką. Dorobił się z nią już piątki dzieciaków. Są najbogatsi we wsi. Ludzie opowiadają legendy, jak to dziewczyna po całym świecie szukała „tego jedynego", aż znalazła. Przysiadłem się do niego, gdy w świąteczny dzień wstąpił do baru. „Dobra, zgadza się, jestem tu na lewych papierach, ale niech pan nic nie robi, żadnego przestępstwa w kraju nie popełniłem, ale powiedziałem Inez, że muszę się ukrywać. I poniekąd jest to prawda. Gdyby się moja pierwsza dowiedziała, przyjechałaby, żeby zatruć mi życie. A tu jest raj. Ogrody, winnice, kozy, krowy, konno nauczyłem się jeździć. Wygrywam czasem w tutejszych wyścigach, a moja patrzy wtedy we mnie jak w święty obrazek. No i tak między nami facetami, jak żeś pan tu dotarł, to wiesz, gdzie pracowała. W łóżku potrafi wszystko. I powtarza, że teraz może to robić z miłości. Dlatego idź pan i nie

wracaj, bo prędzej trupem padnę, niż pozwolę komukolwiek zniszczyć takie szczęście".

Na chwilę zapadło milczenie. W końcu odezwał się prokurator Tomasz Wołk.

– Czyli pozostały tylko dwie teczki. Mam nadzieję, że to podobne przypadki.

– Przepadli jak kamień w wodę, ich konta dalej istnieją w bankach. Od zaginięcia żadnego ruchu. Może powtórzył się ostatni przypadek, tylko faceci dokładniej się zamaskowali?

– Albo zostali ukatrupieni, zanim wyciągnięto od nich forsę, albo… no tak, potrzebne były jakieś ich narządy…

– Maryśka, spokojnie, bo zaraz dojdziemy do mitu o czarnej wołdze i jeżdżących nią wampirach. A, i do końca tygodnia posegreguj wreszcie te teczki.

***

– **N**a urlop do Rumunii? Czemu nie. Chyba nie odmówią, a jakby co, to się zwolnię.

Kiedy zaczął mówić o wymianie pieniędzy, Tinsel tylko prychnęła.

– Kiedy wrócimy do domu, nie będą potrzebne.

– Jakiego domu? – zdziwił się.

– Naszego, pokażę ci, sam zobaczysz.

Samochód zostawili we wsi u podnóża góry, w którą niewiele poniżej szczytu wpijało się stare, na wpół zrujnowane, jednak niesamowicie malownicze zamczysko. Stary, pomarszczony Rumun odsunął bramę; zaparkowali w podwórzu i wysiedli.

– Pani, napaliłem w kominku, moja żona jest na górze i szykuje kąpiel. Konie osiodłane i gotowe – odezwał się starzec.

– Nie umiem jeździć konno! – zaprotestował Norbert.

– Tak jak nie umiesz mówić po rumuńsku. – Dziewczyna zaśmiała się. – Zobaczymy, jak dosiądziesz konia. – I znów zadźwięczał śmiech, do którego dołączył niski, basowy rechot starego służącego.

– Pan jeszcze nie wie, że jest Panem? – zapytał.

– Już niedługo; nie traćmy czasu, pora jechać – zakomenderowała dziewczyna. – Zostaw bagaże, niepotrzebne, na górze masz wszystko, czego potrzebujesz, po co na darmo obciążać zwierzę.

Lekko skołowany automatycznie poprawił popręg, lekko, jak lubił, skrócił strzemiona, i bez problemu, płynnie wskoczył na grzbiet. Ruszyli.

Przestronny salon, sypialnia, dwie garderoby, kuchnia, wielka łaźnia z okrągłą wanną, spokojnie mieszczącą nawet sześć osób, nawet pokój gościnny był.

– Uważałam, że tyle wystarczy zachować w dobrym stanie, by w tych czasach niczego nam nie brakowało. Pozostałym częściom zamku pozwoliłam popaść w ruinę. Dostatecznie wygodnie, a nie drażni przepychem. Poza tym wygląda bardziej romantycznie.

Poszli do sypialni, gdzie kochali się do północy. Księżyc w pełni rozświetlał całe pomieszczenie, nadając skórze ich ciał niesamowity niebieskawy poblask. Ciało Tinsel, która znienacka poderwała się z łóżka i stanęła na tle okna, wydawało się niemal przezroczyste.

– Idziemy, już czas! – Zaskoczony siłą jej uścisku na nadgarstku, pozwolił wyciągnąć się z posłania. Zdołał tylko narzucić na nagie ciało ciemnozielony ciepły szlafrok i klapiąc kapciami, zaczął schodzić krętymi schodami w dół. Trochę to trwało. Zauważył, że schody zagłębiały się w wykutym w litej skale szybie. Na samym dole szyb rozszerzał się w olbrzymią pieczarę. Dno jej wypełniały rzędy trumien. Druga z kolei była otwarta, zmumifikowane zwłoki wewnątrz zostały sprofanowane. Czaszka spoczywała między stopami, na wysokości serca ział w klatce piersiowej otwór. Narzędzie profanacji leżało w pobliżu: spróchniały, zaostrzony drewniany kołek.

– Ponad sto lat temu go wyciągnęłam, byś się mój Panie odrodził. – Dziewczyna zwróciła swoją twarz w kierunku Norberta. – Tyle szukałam, tyle czekałam. Dwa razy się pomyliłam, wybacz mi. – Palce dziewczyny coraz mocniej zaciskały się na jego nadgarstku. Druga dłoń wpiła się w ramię. Tinsel przywarła wargami do jego szyi. Poczuł, jak dwie lodowate igły wkłuły się w jego ciało. Działo się z nim coś dziwnego. Wypluł niepotrzebny już prawy górny mostek. Miał tam imponujące śnieżnobiałe kły.

– Teraz ty, kochanie. Pij, tylko proszę, nie do końca. Polubiłam to wcielenie, mam nadzieję, że ty też. – Przyssał się do bielutkiej szyi i pociągnął. Blisko pół tysiąclecia wspomnień wdarło się w jaźń. Nikt normalny by tego nie zniósł, ale on nie był normalny. Znowu był sobą.

– Auuuuuuu! – zawył z przenikającej go ekstazy. Wiedział, że gdzieś tam w górze księżyc jeszcze nie zaszedł.

– Dzięki, Panie. Dobrze, że znowu jesteś – szepnęła Tinsel.

***

– **H**mmm, zauważyłem pewne rozbieżności w statystycznym rozkładzie zaginięć kobiet i dziewcząt w wieku od piętnastu do trzydziestu lat. Liczba ta wydaje mi się…

– Nieproporcjonalnie wysoka w stosunku do danych z lat ubiegłych. – Tomasz Wołk dokończył wypowiedź Michała. – Po prostu nasiliły działalność gangi handlujące żywym towarem i zaopatrujące agencje towarzyskie. Szczególnie w krajach arabskich… Skończ wreszcie segregowanie tych cholernych teczek! – zażądał zdecydowanym tonem, lecz w myślach dopowiedział: „Drugi raz nie będziemy sobie robić burdelu…”

Dawid Juraszek

HETMAN

Pośród szeroko nad różaną tonią Vistuli rozciągnionych pagórków i łąk, pośród wymanganowanych astropszenicą i potytanowanych kosmożytem pól, gdzie fluorescencyjny świerzop, gryka jak glin biała, gdzie stroboskopowym rumieńcem dzięcielina pała, tam wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą opalizującą, na której z rzadka ozdobne *animalia* siedzą. Otóż śród takich właśnie pól przed laty, nad brzegiem laserowo wyżłobionego jeziora, na wzgórzu makroinżynieryjnie usypanym, w egzopalmowym gaju, stał pałac magnacki, z miejscowego surowca, lecz nanotechnologicznie przekreowany; czerniły się z daleka pokryte fotoelektryczną farbą ściany. Pałac rozmiarów gargantuicznych, lecz w stylu skromnie neoneorenesansowym, hangar miał wielki, a przy nim trzy stogi zimnofuzyjne. Widać z liczby plazmowych posągów mitologicznych oraz kaczek – prawdziwych, sprowadzonych wielkim kosztem z Ziemi, nie zrobotyzowanych – pływających po jeziorze, widać po przepysznie zaprojektowanych ogrodach w stylu starolitewskim, że w tym domu posesjonat mieszka zasobny w gotowiznę i nie bojący się tego okazywać. Brama na oścież otwarta przybyszom ogłasza, że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza. A gdyby komu tego było mało, zapobiegliwy gospodarz zadbał o usunięcie wszelkich wątpliwości przy pomocy szpaleru hajduków i pajuków w kapiących od ozdób liberiach, uprzejmymi gestami zapraszających licznych gości na comiesięczny obiad środowy.

Właśnie aerobryką nadleciała młoda panna i zniżywszy się ponad dziedziniec, zajęła ostatnie wolne miejsce parkingowe. Wysiadła z powozu, którym z miejsca zajęli się magnaccy słudzy, i dołączyła do sznura dostojnych gości, w powodzi

uśmiechów i powitań przechodzących przez bramę. Gdy skan neutrinowy, pikając profesjonalnie, sprawdzał jej tożsamość na podstawie unikalnego wzoru pofałdowań mózgu, przymknęła oczy. Tak na wszelki zabobonny wypadek.

– Witamy najuniżeniej Zofiję Dociekliwską z Kurjera Kasjopejskiego – powiedział hajduk nienagannie uprzejmym tonem, ale pokłonił się jakby nie tak nisko, co pozostałym gościom.

Niezrażona Zofija stanęła na szemrzącej cicho, wysypanej hodowlanym żwirkiem dróżce. Wkrótce sunęła już wraz z resztą gości ku imponującej bryle pałacu, zastanawiając się, co czeka ją na miejscu. Nie trwało to długo; zwodniczemu eskalatorowi nie zbywało na chyżości.

– Witamy najserdeczniej w naszych skromnych progach – zgiął się w ukłonie kolejny sługa. A potem Zofija weszła do jasno oświeconej sieni i ujrzała jaśnie oświeconego magnatowicza.

Tadeusz Koniecgalaktycki siedział rozparty w fotelu w otoczeniu dostojników pałacowych. Skinięciem dłoni – które podpatrzył był najwidoczniej u swego zmarłego w tajemniczych okolicznościach ojca – witał wchodzących, bez względu na to, czy jego siedzibę zaszczycił senator przybyły prosto z Varsovii z ważnymi wieściami, czy zbezcześcił podstarości, który wkręcił się tu, podczepiając się pod znaczniejszą personę. Albo też – co tu kryć – podrzędna dziennikarka pisząca dla nie największego próżniowca o wydarzeniach w świecie arystokracyji lokalnego układu gwiezdnego. Mniejszemu posesjonatowi takie zrównywanie personata z hreczkosiejem nie wyszłoby na dobre, ale synowi Kanclerza Wielkiego Koronnego Świętopełka Koniecgalaktyckiego można było więcej wybaczyć, a nawet poczytać sobie taką nonszalancką poufałość za honor, choć pewnie każdy wolałby usłyszeć z ust magnatowicza własne nazwisko i parę słów świadczących, że wyróżnia ich spośród szlacheckiej rzeszy – nie wspominając o zwykłym powstaniu przy witaniu. Niestety, gościom pozostawało tylko podkręcić zawadiacko wąsa i udając, że nic się

nie stało, stanąć za fotelem magnatowicza, by gęstą miną witać kolejnych wchodzących.

Obszerna, obita syntzłotogłowiem sień wypełniona już była oczekującymi na zakończenie długotrwałego rytuału gośćmi. Wchodząca na ostatku Zofija zapłoniła się, widząc na sobie ciężkie spojrzenia. „Powinni się cieszyć, żem już ostatnia" – pomyślała i podeszła do magnatowicza. Ten po raz n-ty skinął dłonią i ku uldze wszystkich zgromadzonych wstał.

– Zapraszam! – rzekł krótko.

„Nawet nie stara się udawać, że kontynuowanie tradycyjnej gościnności Koniecgalaktyckich to dlań przyjemność" – pomyślała Zofija.

Obszerne sale kapały wprost od przepychu, stoły uginały się pod ciężarem potraw, a nad tym wszystkim z łopotem przelatywał tam i sam sędziwy genomodyfikowany raróg, siwy jak gołąbek, ulubieniec wielu pokoleń Koniecgalaktyckich. Wyczekanym i wygłodzonym gościom ciekła już ślinka, ale czekali, aż sam magnatowicz stanie za stołem, sięgnie po flaszę i nalawszy kusztyczek wódki, wypije. Tak się i stało. Następnie magnatowicz nalał następny i podał razem z flaszą sąsiadowi. Kolejka obeszła cały stół i nie raz, i nie dwa słudzy musieli dopełniać flaszy. Wreszcie ostatni gość, wypiwszy swoje, oddał kusztyczek podczaszemu, który spełnił go godnie i odteleportował flaszę. Wtenczas wszyscy siedli i chołodziec litewski, milcząc żwawo, jedli. Potem szły raki, jendyki, półgęski, kumpia, skrzydliki ozoru, słowem, wszelakie mięsiwa, którym towarzyszyły kielichy węgrzyna i kasjopejanina. Najłakomiej jadł magnatowicz – młodzieniec dość jeszcze szczupły zamiarował najwidoczniej jeśli nie wzrostem, to choć wagą dorównać postawnemu rodzicielowi.

W tej jednak całej hałaśliwej konsumpcyji brakło najważniejszego, tego, co jest kwintesencyją biesiady – gadania. Czy to nieśmiałość jednych gości, czy uraza

drugich, czy wreszcie zatroskanie sprawami kraju wszystkich, dość, że wieczerza odbywała się w nieznośnym dla wielu milczeniu.

Mlaskliwej ciszy znieść nie mógł nade wszystko stary Wojski, znany swego czasu nawet i na Ziemi ze swych niegdysiejszych czynów sprzed ustatkowania się, a teraz zażywający zasłużonego wywczasu na Dalekopolsce.

– Śmiem upraszać młodzieży, ażeby po staremu bawić u wieczerzy. Nie milczeć i żuć… – zaczął; wszystkim się zdawało, że gadać chce jeszcze, ale się nie dało.

– Otóż to! – rozległy się znienacka liczne głosy. – Niech kto co gada! Chętnie posłuchamy!

Na wąsatej twarzy Podkomorzego odmalowały się sprzeczne emocyje: złość, że mu przerwano, ale i radość, że powiodło się werbalne rozruszanie zgromadzonych. Wprawdzie na razie w powietrzu krążyły tylko apele o to, by zaczęły krążyć i gawędy, ale lepsze takie apele, niźli martwa cisza.

Wobec braku własnej inicjatywy, wszystkie oczy tymczasem jęły zwracać się ku postaci siedzącej w rogu stołu, pośród samych opasłych wąsaczy, których obecność na przyjęciu u magnatowicza sprowadzała się głównie do pałaszowania podawanych potraw z niezważającym na nic apetytem. Ten ostatni nie tyle udzielał się innym, co był w stanie obrzydzić pozostałym biesiadnikom wszelkie jedzenie na czas dłuższy, ale dla pałaszowników nie był to żaden impedyment.

Posiadaczem największego apetytu był posunięty już w latach neoszlachcic, gruby jak piec fuzyjny, z bezczelną, czerwoną twarzą warchoła, wąsami zwieszającymi się w długich pasmach aż pod wydatną żuchwę, blizną na czole zapewne po wybuchu akceleratora hiperprzestrzennego i jednym okiem lśniącym rogówką z prawdziwego ziemskiego dyjamentu. Za taki optyczny gadżet można by wystawić regiment piechoty kosmicznej, ale posiadacz ani na wielkiego bogacza, ani na czynnego wojskowego nie wyglądał. Mocno podgolona i takoż posiwiała

czupryna czekała tylko, by po kilku pucharach wina jęło się z niej dymić, a w przekrwionym własnym oku igrał jakiś ni to złośliwy, ni to wesoły ognik.

Zofija znała go. Nawet sama napisała jedną czy dwie – w ferworze rozpoczynającej się wieczerzy nie pamiętała dokładnie – notki o jego hulaszczym życiu, kiedy zaszczycił swoją personą jakieś spotkanie towarzyskie godne odnotowania w takiejże kronice. Był to niesławny Onufry Brzękalski herbu Sepulka, wielki opój i hulaka, ale i mąż zasłużony swego czasu w wielu bitwach na polach dawno zapomnianych międzygwiezdnych bitew. Przynajmniej tak twierdził, a nikt jakoś nie chciał ani jego, ani siebie wyprowadzać z błędu, jako że neoszlachcic zawsze miał coś ciekawego do powiedzenia – choćby o niezliczonych okazyjach, kiedy to srodze gromił ufoków kupy swawolne.

I tym razem nie zawiódł.

– Słuszność ma imć Wojski, druh mój i człek wielkiej mądrości – zaczął, czując na sobie oczy wszystkich, a i czując się z tym dobrze. – Dawne to dzieje, ale zdarzyło mi się raz wieczerzać w pewnym zamczysku na Kresach *universum*, pośród milczenia bardziej przystającego sarkofagowi hibernacyjnemu. Rzecz skończyła się okrutną bitwą, z której tylko ja wyszedłem cało. I jeśli nie opowiadam często tej historyji ku przestrodze, to jeno dlatego, że serce mię boli na wspomnienie poległych wtedy towarzyszów. Jeśli wszak szanowny gospodarz pozwoli, a i smarowidła gardlanego ze swych piwnic użyczy, tedy co i opowiem ku uciesze gości.

Tadeusz Koniecgalaktycki skinął podczaszemu; ten wnet przyteleportował flaszę najlepszego miodu, prawdziwego, uwarzonego z wydzieliny miejscowych insektów skrzyżowanych w poczciwą ziemską pszczołą. Szlachcic posmakował, pokiwał głową i potoczył po sali zagadkowym wzrokiem.

– Nie dalej jak onegdaj – zaczął tonem, od którego wszystkim po grzbiecie przebiegł dreszcz ekscytacyji rozpoczynającą się opowieścią – zaszczyciłem swym udziałem polowanie w pasie asteroidów przy pobliskim czerwonym karle, na

krańcach posiadłości samego księcia wojewody. Otóż kryją się tam jak wiecie ostatnie kosmoloty Wielkiej Krabiej Armady. Po bitwie pod Wielkim Wozem niedobitki ufoków nie oparły się aż w tutejszej prowincyji galaktycznej i jak zapadły pośród kosmicznego śmiecia, tak do dziś co czas jakiś opuszczają kryjówki. Nie mając po co wracać do Mgławicy Kraba, którą ku przestrodze wszystkim kosmicznym rozbójnikom rozproszyliśmy na cztery wiatry kosmiczne, jęły naprzykrzać się astrokarawanom. Widać ich ogniwa energetyczne wielką moc mają, bo wciąż dają się nam we znaki, i o ile się ich nie wygniecie, to wciąż turbować nas będą. Przybyłem tedy na polowanie z księciem wojewodą wraz z wieloma znakomitymi łowcami, których sama sława winna rzucić ufoków na kolana, czy też co tam one mają wpół odnóży. A był pośród nas pewien Asesor, człek niepozorny, lecz ponoć śmiały i równego sobie w polowaniu na polach asteroidowych niemający, a i ostry język z reputacyji, czym mię ujął, bo i ja nie od tego, żeby dykteryjką czy krotofilą kogo poczęstować. Zrazu swą kompaniją zaszczycić go chciałem, ale akurat jakem podchodził do ścigaczy uwiązanych przy pasie startowym, usłyszałem, że sobie ze mię dworuje. I jak bezczelnie! Imaginujcie sobie, waćpaństwo, że przytyki do mego wieku czynił, śmiejąc wątpić, czy jeszczem na tyle *activus*, żeby w polowaniu brać udział, a nie jeno w *observatorium* z lunetą siedzieć! A przecie ja dwanaście kozłów mógłbym jeszcze naokół niego machnąć, przy tem z niegwintowanego fazera do robopatw strzelając i pokotem je kładąc! Tak tedy jakem to usłyszał, pomyślałem sobie, to ty tak, bratku? Już ja ci odpłacę! Alem nic po sobie poznać nie dał. Jak do polowania przyszło, tak do ścigacza wsiadłem, naumyślnie głośno na pedogrę i ischias utyskując. Gdym na jego twarzy złośliwy uśmiech dojrzał, tom już wiedział, że poszedł w sidła. – Pan Onufry ku niecierpliwym pomrukom słuchaczy spełnił kielich; podczaszy szybko dopełnił. – Tak więc ruszyliśmy w pole grawitacyjne i dalej, w pas asteroidów. Wystarczyło jeno czekać, aż ufoki się pokażą. Ja niby to z niedołęstwa, niby to ze strachu z tyłu zostawałem,

patrząc jeno, jak by tu Asesorowi nosa utrzeć. Tak i się doczekaliśmy. Jak wtem nie dadzą z garłacza, jak nie siekną morofalami! Ledwośmy się wymknęli. I zaczęła się gonitwa. Tu się pokazało, że na sławę Asesor samym językiem nie zarobił. Jak się wysforował do przodu, to i nie dał się wyprzedzić, co i rusz strącając przy tem jakiego ufoka. Dałem ścigaczowi ostrogę i ruszyłem w pogoń. Wkrótce pędziliśmy tak we dwóch na przedzie, strącając ufoka za ufokiem, a reszta polowania jeno sekundowała nam daleko z tyłu. Liczniki podawały na bieżąco ilość trafień. Szliśmy czub w czub, aż miło było popatrzeć. Wreszcie został już tylko jeden ufok, a obaj mieliśmy po tuzinie ustrzelonych. Tu dopiero wzięliśmy się za łby, aż dym szedł z asteroid. A wtem ufok jakby zapadł się pod ziemię! Skanuję przestrzeń ja, skanuje Asesor, obajśmy się poznali, że ten musiał mieć lepszy statek i salwując się ucieczką, poszedł w nadświetlną. Tośmy popatrzyli na siebie przez bulaje. Nie ma zmiłuj! Ten jeden ufok oznaczał wiktoryję. Ja ostatecznie pognębiłbym Asesora za język nadto ostry, a on zemściłby się na mię za żart, jaki sobie zeń zrobiłem. W jednym momencie walnęliśmy w czerwone przyciski! Jak się niebiosa nie rozświetlą! Znaleźliśmy się w innym sektorze kosmosu, ale i tu po ufoku śladu nie ma. W jednej chwili pojęliśmy, że tym razem to on sobie z nas zażartował i zamaskował się przemyślnie pośród asteroidów, niby to w nadświetlną czmychając. W jednej chwili dla honoru ratowania wróciliśmy się przez kosmos i zapadliśmy między asteroidami. Czekamy godzinę świetlną, czekamy dwie, aż wreszcie coś drgnęło między asteroidami. Wyczha! Puściliśmy się razem, ja i Asesor, jakoby dwa przyciski jednym kciukiem wciśnięte u jednej fotonorurki. Wyczha! Nasze ścigacze jak nie pomkną, a ufok jak kometa smyk w nadświetlną, tą razą naprawdę! My tu, ufok tu, my znów tu, aż od czerwonego karła odsadziliśmy się kawał. Asesor smyk naprzód, rączy myśliwiec, ale zagorzalec. Wysunął się przede mię o tyle, o palec! Wiedziałem, że spudłuje! Ufok gracz nie lada, gna prosto w czarną dziurę, za nim Asesor, już celuje, gracz ufok! Skoro poczuł, że Asesor już-już będzie strzelał, fajt w lewo, koziołek,

beczka, ewolucyja, akrobacyja, ekwilibrystyka, fajt w prawo, jak wytnie dwa susy, Asesor za nim, jeden, drugi strzał, lecz pudło, bo zagięcie grawitacyjne, a ja czekam z palcem na kurku lasera! Zapędził się Asesor, ale i zagapił się ufok, zapędził, jakby wręcz kutasem mignął, tak się swego pewny poczuł, lecz mój laser w tejże chwili jak nie świśnie! Błysnęło, buchnęło i po ufoku jeno pył międzygwiezdny został, który ścigacz Asesora tak gęstą warstwą pokrył, że ów musiał w miejscu zawisnąć i czekać na pomoc próżniową. A ja syt pomsty i chwały…

Zofija stłumiła ziewnięcie. Opowieści Brzękalskiego o jego niegdysiejszych przewagach mogły frapować uczestników przyjęcia, ale nie czytelników kroniki towarzyskiej Kurjera Kasjopejskiego. Nie takiego materiału oczekiwała redaktor naczelna, baronowa Pudelkowska, gdy delegowała Zofiję na przyjęcie w pałacu Koniecgalaktyckich. Młoda dziennikarka musiała coś wynaleźć, a w ostateczności wymyślić. Inaczej…

Brzękalski skończył i umilkł, zatapiając usta, nos i twarz całą w pucharze miodu. Znać było po poziomie kurzenia się z jego podgolonego łba, że żadnej składnej opowieści dziś już odeń oczekiwać nie można. Słuchacze jeszcze czas jakiś wymieniali uwagi i komentarze o tym, co właśnie wysłuchali, ale gdy nikt po starym szlachcicu gawędziarskiej schedy przejąć nie chciał, gwar – czy raczej pogwarek – przycichł, a wreszcie umilkł na dobre, oblicza zaś jeszcze przed chwilą zarumienione żarem opowieści powlekły się chłodem zmartwienia.

Tym razem to Podkomorzy stary, człek w kwiecie wieku, bywały i zasłużony, postanowił widać, że dość już milczenia o tym, o czym gadać trzeba.

– Wiem, wiem, o co tu idzie – rzekł, powstając. Wszyscy wpatrzyli się weń pytająco. – Ta czarnych trosk chmura pono z Robakowego wzniosła się Kaptura…

Jakiś szum ponury przemknął po sali. Oto ktoś przełamał zmowę milczenia, biorącą się nie tyle ze złych zamiarów, ile z jeszcze gorszego strachu.

– Boicie się o los planety! Prawdę powiem, że i ja poczułem na starym grzbiecie dreszcz, gdy doszły do mię wieści o losie górników z górskich żup. Ale niech was strach nie pali. Znałem planety gorsze od Dalekopolski, a jakośmy przeżywali. W każdym zakątku wszechświata, któryśmy kolonizowali, czyhało na nas jakieś niebezpieczeństwo. Nie inaczej jest i tu. I jak zwyczajnie, tak i tu damy sobie ze wszystkim radę. A teraz wypijmy za zdrowie znakomitego gospodarza!

– Vivat! Vivat! – rozległo się do wtóru brzękania kielichów, ale próżno było doszukiwać się w tych okrzykach nuty beztroskiej radości. Przeciwnie; krzepiące słowa Podkomorzego rozwiązały trzymane dotąd w ryzach języki.

– Ale jak się tu, dobrodzieju, nie martwić – zaczął jakiś stary szlachcic – skoro mówi się, że w sztolniach natrafiono na ślady wcześniejszego osadnictwa…

– Mówiło to się wczoraj! – przerwał jego sąsiad, grubas dotąd na pozór beztrosko pałaszujący półgęsek. – Dziś już wyszło na jaw, że przed nami tę planetę zasiedlała wysoka cywilizacyja!

– Gdzież tam dopiero dziś! – żachnął się siedzący naprzeciwko wąsacz, który ze swego przetykanego planetynowymi niciami pasa słuckiego był tak dumny, że podciągnął był go prawie pod same pachy, na pół przykrywając szkaplerz z Matką Boską. – Toż od lat całych znajdowano ślady poprzedników. A to mury jakieś, a to jakby drogi, a to wreszcie resztki zapór na rzekach…

– Same kopalnie przecie! – włączył się kolejny szlachcic. – Nigdy byśmy na te złoża planetyny nie natrafili, gdyby nie gotowe dukty dojazdowe i lądowiska przeładunkowe!

– Byłem przy tem! – ozwał się nagle Brzękalski, unosząc obrzmiałą twarz znad dzbana; końce wąsisków zlepione miał słodką cieczą. – Jakem rekognoscencyję w tychże górach odbywał, patrzę: nic, jeno ufocka robota! Bo oto wyimaginujcie sobie, waćpaństwo, skłon góry, co ją potem Robakowym Kapturem nazwano, do równa wygryziony, a w tym dziura okrągła jako księżyc w pełni. Com się w czub nadrapał!

Ale cóż było robić, z samą gołą wieścią do oddziału wracać nie chciałem, więcem się przyjrzał temu dziwu dokładnie i długo, aż naszła mię iluminacyja. Toż to było idealne wprost lądowisko dla dzialotów, a nawet i co mniejszym lotorumakiem husarskim wlecieć tam by i można! Tak tedy dałem znać ekipie i nie minął miesiąc, a żupy furczały aż miło…

– Takich złóż w całej galaktyce nie masz – westchnął ktoś.

– Żyła planetyny! – dodał drugi.

– Ponoć starczy, żeby wyrobić nadprzestrzenioodporne pancerze dla wszystkich okrętów Rzeczypospolitej! – doprecyzował trzeci.

– I to na dwa millenia latania po całym znanym wszechświecie jak obszył! – nie dał sobie odjąć głosu drugi.

– Że o biżuterii dla naszych dam nie wspomnę! – szybko zripostował trzeci.

– Ufoki gdy to odkryły, musiały wielce się ukontentować – przebił go drugi.

– Nic dziwnego, że pierwej od nas jęły wojażować *in universo*! – do gry włączył się z powrotem ów pierwszy.

– Właśnie – mruknął znienacka ktoś zupełnie inny głosem, który w jednej chwili uciszył rozkręcającą się rozmowę. – I myślą, waćpaństwo, że odkrywca zostawiłby takie bogactwo bez protekcyji?

Zofija przechyliła się nad stołem, by lepiej widzieć mówcę. Był to starosta Kasandrycki, człek w kwiecie wieku i u szczytu sił, ale niedążący do zaszczytów, na które bez ochyby zasługiwał. Gdyby chciał, zaszedłby naprawdę wysoko, ale wolał obejmować posady starościańskie na nowokolonizowanych światach, zaprowadzać porządek, a potem oddawać urządzony kraj następcy i szukać kolejnego wyzwania. Postać dość zajmująca, bo przystojna, lecz stanu wolnego. Teraz był właśnie w drodze do kolejnej planety, daleko na Kresach, a po drodze zatrzymał się u magnatowicza, któremu był dalekim krewnym, chociaż po kądzieli.

– Cóż, wasze, masz na myśli? – zapytał, marszcząc brwi Podkomorzy.

– Ano to – odpowiedział spokojnie pan Kasandrycki – że nie powinno nas dziwować, iż tajemnicza katastrofa pochłonęła całą jedną kopalnię i życie kopy górników. Takich katastrof będzie więcej, o ile nie porzucimy Dalekopolski…

– Jakże to? – rozległy się głosy.

– Co, wasze, mówisz!

– Czy podobna?

– …albo – ciągnął spokojnie starosta – nie zdusimy w zarodku odradzającej się potencyji dawnych jej mieszkańców.

Zapadła martwa cisza, przy której poprzednia zdawała się całkiem ożywiona. Wszyscy sponurzeli do szczętu. Oto myśl, która krążyła im dotąd gdzieś po zakamarkach umysłu, zepchnięta do mentalnego lamusa, padła tu głośno i wyraźnie.

Zofija uniosła brew. Tuż obok starosty siedziała młoda ślicznotka, której dziennikarka nigdy wcześniej nie widziała. Czyżby była to jego metresa? Z uczuciem ulgi i zgoła nieprzystającym do powszechnego zasępienia uśmiechem odchyliła się w krześle, myśląc, że jednak będzie miała o czym napisać notkę. Gdyby tak jeszcze ktoś siedział koło magnatowicza… Przecie chodziły słuchy, że swatano mu księżniczki angielskie i francuskie. Gdzież one teraz?

Rzuciła okiem. Młodzieniec sam na szczycie stołu zajadał w najlepsze chrapy łosia, nie przejawiając zainteresowania ani sprawami planety, ani płcią nadobną.

– Zali wisi nad nami groźba? – dopytywał Podkomorzy.

Starosta westchnął.

– Ciężkie pytanie, a i odpowiedź lekką nie będzie! Nie ma wątpliwości, że poprzednia cywilizacyja dobrze zabezpieczyła kopalnie przed cudzą eksploatacyją. *Miraculum* to prawdziwy, że tyle czasu użytkowaliśmy kopalnie nieniepokojeni. Teraz jednak rzecz ma się tak, iż nasza coraz dalej posunięta działalność uaktywniła dawno uśpione systemy naszych poprzedników. Teraz trwa rozruch i z tego, co już

wiadomo, potęga tych urządzeń ochronnych jest olbrzymia. Zagłada jest niechybna. Powiadam waćpaństwu otwarcie: uchodźcie póki czas!

Goście, wszyscy co do jednego okrutnie *consternati*, spojrzeli po sobie. Tutaj, teraz, przy obiedzie, wobec tak wspaniałego gospodarza, starosta namawiał do ucieczki?

Zofija zamrugała. Jakieś dawno zapomniane struny zagrały w jej duszy. Zanim została dziennikarką miejscowego próżniowca, chciała pisać o sprawach poważnych, a nie o tym, jakie giezło miała na sobie jaka szlachcianka i z kim kto wymienia znaczące spojrzenia. A teraz oto starosta Kasandrycki, człek o szerokich znajomościach i głębokiej wiedzy, informował uczestników wąskiego przecie zgromadzenia o czyhającym na wszystkich niebezpieczeństwie! Czy nie o czymś takim chciałaby donosić Zofija Dociekliwska, reporterka Kurjera Kasjopejskiego?

Jakby wiedząc, co kłębi się teraz w głowie młodej dziennikarki, głos zabrał siedzący obok magnatowicza Podkomorzy. Zofiji się zdawało, że okamgnienie wcześniej Tadeusz Koniecgalaktycki szturchnął starca, ale mogło jej się przywidzieć.

– Wieść to doniosła – chrząknął Podkomorzy – ale nie powinna wyjść poza te mury, dopóki głosu nie zabierze sam książę wojewoda. Jeśli istotnie grozi nam tak poważne niebezpieczeństwo, to trzeba nam spokoju, rozsądku, rozwagi…

– Trzeba nam Hetmana – mruknął ktoś nagle.

– Hej, słusznie prawi! – zawtórowały mnogie głosy.

– Otóż to właśnie!

– Hetmana! Hetmana nam trzeba!

W sali zapanował gwar, jakiego tego dnia jeszcze tu nie było. Na twarzach grały emocyje, dłonie gestykulowały z ekscytacyją, napitki pryskały ze wstrząsanych bez nijakiej konsyderacyji kielichów.

– Hetmana! Hetmana! – wołały wszystkie usta.

– On tu nie przyjdzie! – ponad hałas podniósł się naraz głos Wojskiego. – On tu nie przyjdzie – powtórzył, gdy towarzystwo ucichło – próżno wzywać Hetmana. Od lat nie daje znaku życia, choć niegdyś z taką ochotą niósł pomoc ludziom w potrzebie. Wszyscy pamiętamy jego nadludzkie wyczyny, gdy pękła zapora na Vistuli, albo gdy wieżowiec Zamoyskich chylił się ku upadkowi. Ale gdy ostatnimi laty inne katastrofy nękały obywateli Dalekopolski, nie pojawiał się już, nie nadlatywał z niebios w furkocie skrzydeł, nie wyciągał zbrojnej a pomocnej ręki. Może zginął, a może zmienił profesyję. Tak więc porzućmy nadzieję. Hetmana nie ma pośród nas!

– Ale co się z nim mogło stać? – pytał ktoś.

– Dlaczego zniknął?

– Taki mocarz!

– Człek to był jako i my – powiedział Podkomorzy – jeno niezwykłej przedsiębiorczości i siły. Działał od wielu lat, może przyszedł naturalny koniec jego działalności. A może po prostu sprzykrzyło mu się? Bo przecie…

– Nie szanowaliśmy go – pociągnął ktoś nosem.

– Nie respektowaliśmy – jęknął ktoś inny.

– Nie okazaliśmy wdzięczności!

– Może dlatego odszedł…

– Próżno gadać – zawołał wybudzony Brzękalski. – Zwłaszcza nad próżną szklenicą!

Odpowiedział mu ryk aprobaty. Wszystkie oczy zwróciły się na magnatowicza. Ten skinął na podczaszego. Wnet do stołu doniesiono wina, miodu i wódki. Ocierając łzy za Hetmanem, pito na umór, kojąc strach, w jaki wpędziła nieustraszonych zwykle szlachciców dziwna katastrofa. I pito, aż podczaszy nerwowy się zrobił, jakby bał się, że wkrótce w piwnicach trunków zabraknie. Ale wtedy czuwający nad satysfakcyją gości nadczaszy uznał, że wszyscy mają już dość. Goście nie zdążyli

jeszcze paść twarzami na stół, gdy w ruch poszła ostatnia kolejka kielichów – wspaniałych roztruchanów z prawdziwego wenusjańskiego kryształu, których cienkie niczym płatki kwiecia ścianki oplatały włosowej grubości planetynowe filigrany, rzeźbione przemyślnie w hologramowe wzorki. Nachylone pod odpowiednim katem cudeńka rzucały na stół i ściany cienie przedstawiające bitwy najsłynniejszych interstelarnych kampanij, którym z podziwieniem przyglądali się teraz goście, odwlekając ile się da to, co nieuniknione.

– Vivat Hetman! – krzyknął wreszcie ktoś, ale syki i przekleństwa uciszyły go szybko. Nie można już było jednak dłużej zwlekać. Obyczaj wymagał tego, czego wymagał, jeno przedmiot wiwatowania trzeba było dobrać cokolwiek stosowniejszy.

– Vivat nasz gospodarz, Jego Miłość Tadeusz Koniecgalaktycki! – huknęła cała sala jak jeden mąż.

Pośród żywiołowych wiwatów magnatowicz spełnił pierwszy puchar. Przez mgnienie zawahał się, jakby wzbraniając się przed wypełnieniem obyczaju. Ale powaga niezliczonych minionych generacyj szybko przeważyła. Uniósł wzrok i puchar, a potem palnął się owym bez ceny cackiem w głowę. Kryształ rozprysnął się po sali, skronie młodziana krwią się oblały. Był to niezwykle energiczny wyczyn jak na człeka, co dotąd ograniczał się jeno do wątłych gestów i potężnego jedzenia. W jego ślady poszli pozostali. Sala zatrzęsła się od brzęku rozbijanych kielichów i stukotu czół padających ciężko na blaty. A potem w sali zaległa cisza, gdy rozpylone przezornie przez służbę neosole trzeźwiące wykonywały swoją podłą robotę. Niebawem pierwsi goście jęli podnosić głowy. Wkrótce znów zaczęły się rozmowy, lecz spokojniejsze już i cichsze, choć nadal wesołe.

Przyjęcie miało się ku końcowi. Tym razem magnatowicz stał przy wyjściu, zamieniając z każdym kilka słów na stojąco. Rychło poczęto szemrać, że prosi wszystkich o dyskrecyję i nieroznoszenie wieści o niebezpieczeństwie, póki książę

wojewoda nie ogłosi ewentualnego planu ewakuacyji. Kiedy przyszła kolej na Zofiję, stanęła przed nim lekko drżąca.

– Tak znakomity gość wychodzi na ostatku – rzekł zaskakująco głębokim głosem i w równie głębokim ukłonie zamiótł posadzkę wylotami kontusza.

– Ależ… – zaczęła Zofija, ale kiedy podniósł na nią stalowe oczy, umilkła.

Z bliska magnatowicz sprawiał zgoła odmienne wrażenie. Rozlazły łakomy młodzian miał w oczach nadspodziewaną rezolucyję i determinacyję, choć wyglądała zza niej jakaś nieokreślona desperacyja. „Czy to efekt uboczny toastów?" – pomyślała Zofija. Na wygolonych skroniach magnatowicza widać było cienką warstewkę żelowego neochleba z syntpajęczyną; za kwadrans po zadanych roztruchanem zacięciach miało nie być nawet śladu. A może po prostu nie podzielał gościnnych zapędów ojca?

– Śmiem prosić – nachylił się – byś zechciała waćpanna nie informować nikogo o sprawach wagi planetarnej, o których była tu mowa. Przynajmniej do czasu, aż władza nie zajmie stanowiska i nie ogłosi, co czynić.

– Wasza Miłość wie, jaka jest moja profesyja? – spytała.

– Tak, wiem. Tym usilniej proszę. Jeśli słowa starosty są prawdziwe, potrzeba nam wszystkim rozsądku, nie paniki.

Zofija zawahała się. Jeszcze przed chwilą chciała lecieć do redakcyji i przekazać zespołowi czym prędzej wieść, która bez wątpienia mogła zelektryzować całą Dalekopolskę. Teraz jednak poczuła, że może niekoniecznie powinna to robić. „Chyba nie nadaję się do tej pracy" – pomyślała.

– Mam propozycyję – mruknął magnatowicz, widząc, że dziennikarka toczy wewnętrzną walkę. – W zamian za milczenie w tej sprawie zdradzę jeden sekret towarzyski. Tylko jeden! – powtórzył, widząc w oczach Zofiji błysk zawodowej chciwości informacyjnej. – Ta młoda kobieta, która przyszła dziś ze starostą Kasandryckim, to…

Kiedy Zofija wsiadała do podstawionej pod bramę aerobryki, serce jej łomotało. Oto miała wieść, z której pozyskania baronowa Pudelkowska będzie zadowolona, a która zarazem nie narazi planety na tragedie wynikłe z powszechnej paniki.

Czegóż chcieć więcej?

Przypomniała sobie oczy magnatowicza patrzące na nią z tak bliska i poczuła słodki dreszcz.

***

Z ganku dworkowca przy Mickiewicza 44 roztaczał się widok nad Povistulem aż hen, ku gajom brzozowym, posadzonym na okolicznych wzgórzach w miejsce lasów pierwotnych, bardziej cierniste chaszcze przypominających. Zofija wystawiła twarz do słońca i przymknęła oczy. Jak miło było pomyśleć, że nie musi iść do pracy, że może tak sobie siedzieć i siedzieć, aż jej się znudzi…

Czy raczej, aż przestanie mieć z czego płacić dzierżawę.

Westchnęła, przymknęła oczy. Jeszcze nie do końca dotarło do niej, że od wczoraj jest bezrobotna. Trudno się dziwić – zwolnienie przyszło tak nagle i nieoczekiwanie, że wydawało się raczej jakimś złym snem, niż jeszcze gorszą rzeczywistością. Ledwo kilka dni temu zajmowała niezbyt wysokie stanowisko w redakcyji drugiego czy trzeciego, zależnie, jakiemu rankingowi wierzyć, najbardziej opiniotrujczego próżniowca w układzie gwiezdnym. Narzekała na nie – czy raczej na fakt, że na nim utknęła – a także na panujące w redakcyji stosunki, nie wspominając o szefostwie, ale mimo wszystko lubiła tę pracę. A teraz zaczynała się zastanawiać, czy wpierw sprzedać elegancką aerobrykę, czy ścigłego dzialota. Bo coś spieniężyć musiała.

Myślami wróciła do rozmowy z baronową Pudelkowską. Do biura wezwana została w trybie pilnym. Już od progu wyczuła, że będzie źle. Redaktor naczelna patrzyła na nią najsurowszym ze swoich spojrzeń – a miała takowych całą paletę.

Rychło się okazało, co było przyczyną tak podłego humoru. I w jaki sposób baronowa zamierza go sobie poprawić.

Zofija otworzyła oczy, gdy jedna z tuzinów bielutkich chmurek na moment przesłoniła słońce. „Jak długo jeszcze czekać na sygnał z Factum?" – zastanawiała się. Lider na rynku próżniowców już na pewno wie, że dziennikarka Kurjera Kasjopejskiego jest aktualnie bez zajęcia. „Kiedy zdecydują się ze mną skontaktować? A może to ja powinnam otwarcie rozgłosić, że szukam pracy?…"

Wstała i przechyliwszy się przez poręcz ganku, wciągnęła w płuca wiatr niosący zapach okolicznych wzgórz. Ale przyjemność trwała tylko chwilę. Wyczuła na sobie czyjś wzrok. Spojrzała w bok. To sąsiad z ganku obok obserwował ją z wyraźnym zainteresowaniem. Nie czynił tego po raz pierwszy, ale za to po raz pierwszy Zofija poczuła, że bardzo jej to przeszkadza. Dotąd tolerowała jego nieudolne zaloty, nawet sprawiały jej niejaką przyjemność. Ale teraz nie była w nastroju. „Czas, żeby zjadł harbuza" – pomyślała.

– Mam wezwać pachołków miejskich, czy waść sam tego poniechasz? – spytała na pozór spokojnie, ale targające nią emocyje przebiły się w postaci piekącego zjadliwością tonu.

Szlachetka zamrugał oczyma, a potem otworzył usta, jakby sposobiąc się do retorty, lecz tylko bladł coraz bardziej. Zofija, marszcząca dotąd brwi, uniosła je teraz. „Czyżbym za ostrego zadała mu dzięgielu z kminem? – pomyślała. – Cóż on tak na mię patrzy i patrzy?"

A potem, nanosekundę później, niż uświadomiła sobie, że mężczyzna nie patrzy na nią, jeno za nią, jakieś drżenie przeszyło powietrze. Wtem rozległ się srogi huk, pod którego naporem kopopiętrowy dworkowiec zadrżał w posadach. Zofija złapała za poręcz i odwróciła się.

Nad wzgórzami unosiły się już nie barankowe obłoczki, lecz rdzawosine chmurzysko olbrzymich rozmiarów.

Rozległ się powszechny rejwach, gdy mieszkańcy dworkowca wylegli na ganki, sprawdzić, co się dzieje. Słuchając gorączkowych nawoływań i histerycznych krzyków, patrzyła na chmurę wciąż rosnącą i kłębiącą się niczym żywa a złowroga istota.

A więc się dokonało!

Instynkt dziennikarza – nawet zwolnionego dyscyplinarnie – zadziałał; Zofija szybciej niż sąsiedzi otrząsnęła się ze wstrząsu. Wiedziała, co teraz nastąpi: chaotyczna akcyja ratunkowa, powszechna panika, której próbować nieudolnie będą zaradzić władze, oblężenie kosmodromów…

Musiała wykorzystać swoje kontakty, by się salwować.

Ganki wciąż uginały się pod ciężarem wylegających na nie mieszkańców, ale Zofija już zatrzaskiwała za sobą drzwi.

Na stole leżało wczorajsze wydanie Factum. Wiodący próżniowiec wysunął się jeszcze dalej przed Kurjera, który nie mógł już mieć nadziei nawet na deptanie mu po piętach. Gdyby Zofija powiedziała była baronowej, czego dowiedziała się u Koniecgalaktyckich, role być może by się odwróciły. Tymczasem to z pierwszej strony Factum wystawała twarz starosty Kasandryckiego, a nagłówek krzyczał – po wyciszeniu już tylko niemo – wszem wobec: „Wszyscy sczeźniemy! Straszliwa prawda ujawniona na magnackim przyjęciu!”.

Jeno przyzwyczajeniu publiki do krzykliwych nagłówków zawdzięczać można było, że dotąd nie wybuchła panika. Wieść wyniesiona z przyjęcia wbrew złożonej przez wszystkich magnatowiczowi obietnicy była już wiadoma każdemu Dalekopolaninowi. Zofija domyślała się tylko, ile sprawca przecieku otrzymał od pisma. Jej informacyja, że kochanka starosty Kasandryckiego to córka z nieprawego łoża księcia wojewody. okazała się nie mieć w porównaniu z tą wieścią prawie żadnego ciężaru gatunkowego.

Zwłaszcza teraz, gdy przekalkulowany na nice z marketingowego punktu widzenia nagłówek okazał się trafiać w sedno. Bo oto wzgórzami, pod którymi znajdowały się prastare kopalnie, zatrząsł wybuch.

Za twarzą starosty, w głębi trójwymiarowego obrazu, widniała twarz tego, którego nieoczekiwanemu czarowi uległa. Magnatowicz uśmiechał się do kogoś poza kadrem. A Zofija nagle zerwała się, narzuciła kubrak i wybiegła z mieszkania.

Świat wokół się rozpadał, ale ona czuła coś podobnego już od wczoraj. „Skoro przez magnatowicza straciłam pracę, to i on powinien mi teraz przyjść w sukurs" – myślała, wskakując na gniadego dzialota metalic.

Ruch uliczny i powietrzny przejawiał już pierwsze oznaki nadciągającej masowej histeryji.

***

– **Z**awracać! Proszę zawracać, jeśli łaska!

Pachołek z duktówki próbował opanować chaotyczniejący ruch uliczny, zachowując przy tym dobre maniery, ale na razie nie mógł poczytywać sobie tego za sukces. Dukt napowietrzny wiodący do kosmodromu był już zapchan do tego stopnia, że zamiast galopować, wehikuły sunęły nieledwie stępa, choć knykcie zaciśniętych na lejcach i cuglach rąk bielały wszystkim z napięcia.

– Zawracać! Zawracać, do diaska!

Pachołek sięgnął po środek przymusu werbalnego, ale nadal bez skutku. Zlokalizowane na skrzyżowaniu dróg wylotowych prezydium straży miejskiej okazało się nieprzygotowane na sytuacyję nadzwyczajną, jaką był bez wątpienia powszechny *exodus* mieszkańców miasta. Rozkaz z centrali nakazywał załodze odprawiać uciekinierów z powrotem do miasta, by uniknąć oblężenia kosmodromu i zablokowania tras dolotowych, ale *nec Hercules contra plures*. Pachołek mógł sobie do woli wołać i gestykulować – wehikuły omijały go wąskim łukiem i parły dalej, na siłę pakując się w tężejącą z każdą minutą tłuszczę.

Zofija zgrzytała zębami i walczyła z chęcią, by skręcić poza wyznaczony pas ruchu. Otwarta przestrzeń kusiła, ale za puszczenie się w swobodny lot poza wyznaczoną trasą groziły nie tylko kary pieniężne.

Właśnie jakiś zniecierpliwiony do imentu towarzysz niedoli wdusił ostrogę gazu i na karym bachlocie puścił się cwałem poza trasę, w kierunku widocznej w oddali rozległej sylwetki kosmodromu. Zrazu zdawało się, że mu się uda – smukły wehikuł wystrzelił przed siebie jak bełt i malał w odległości jak mknący solarokół. Ale nie uleciał i ćwierć stajania, gdy pomknęły ku niemu drapieżne neogary. Bezdusznie skuteczne automaty osaczyły go błyskawicznie i niemiłosiernie. Uwięziony w lepkiej sieci promieni przechwytujących targnął się tylko raz i znieruchomiał w powietrzu. Miał tak wisieć, patrząc jak opodal sunie rzeka wehikułów, aż przybędą pachołkowie i go uwolnią. Zważywszy wszak na ilość zadań, jaka spadła nagle na barki straży miejskiej, nie mógł spodziewać się tego w najbliższym czasie.

Zofija przebierała tedy nogami na swoim dzialocie, czekając, aż opieszały nurt zawiedzie ją do skrzyżowania. Tam zamiarowała odbić w bok, ku siedzibie magnatowicza. Pas wiodący do kosmodromu był zajęty, ale w drugą stronę nie kierował się nikt. „Będą patrzeć na mię jak na obłąkaną – pomyślała – ale zobaczymy, kto koniec końców szybciej umknie przed zagładą…”

Wtem krótki błysk rozświetlił niebo. Powietrze zadrżało, a potem w rzekę pojazdów runął przeciągły grzmot. Zofija – jak i wszyscy – spojrzała przerażona tam, skąd dobiegł hałas i huk.

Czyli w kierunku Robakowego Kaptura.

Nad obły grzbiet wzbijało się oto nowe nienawistne chmurzysko.

Konwulsyja przebiegła cielsko drogowego węża, a potem wehikuły prysnęły na boki jeden tysiąc za drugim. Napowietrzna autostrada rozproszyła się i przemieściła skosem ku kosmodromowi. Zbiegowie pędzili przed siebie na wyścigi, byle szybciej, byle dalej przed neogarami. A te, choć wyskoczyły hurmem z aerobud i choć dawały

z siebie wszystko, były zwyczajnie zbyt mało liczne, by położyć tamę naporowi strachu. Niepowstrzymana fala uchodźców popędziła ku kosmodromowi, walcząc z targającymi powietrzem falami posteksplozyjnymi i znacząc szlak rzucającymi się w zwojach promieni przechwytujących pechowcami, którzy padli łupem neogarów.

Zofija poczuła dziką, irracjonalną chęć, by podążyć ze wszystkimi w tym ślepym pędzie ku ratunkowi. Zwalczyła ją jednak i skręciła w pusty pas wiodący w kierunku posiadłości magnatowicza – i rozciągnionych nad różaną wstęgą Vistuli wzgórz. Nie musząc liczyć się z żadnymi współużytkownikami duktu, rozwinęła maksymalną prędkość. Co rusz rzucała okiem na wirujący obłok zagłady i serce w niej drżało na widok szaroburego ogromu, który prężył się coraz bliżej. Zagryzała wszak zęby i pędziła przed siebie.

– Albo zaraz będę leciała w luksusie na orbitę – mruczała, wypatrując sylwetki pałacu Koniecgalaktyckich – albo jestem największą gamońką planety.

Wtem kolejny błysk, kolejny dygot i kolejny huk obwieściły, że rzeczy mają się jeszcze gorzej, niż się dotąd zdawało. Zofija była teraz bliżej wzgórz, więc i impet odczuła silniej. O mało nie zgubiła rytmu, gdy fala uderzeniowa omiotła jej rączego dzialota.

– Najświętsza Panienko! – zawołała, w ostatniej chwili odzyskując równowagę. Zdjęta nagłą zgrozą, przekonana, że jednak strzeliła straszliwe głupstwo, byłaby może i zawróciła, ale w tej chwili ujrzała imponujące kształty siedziby rodowej Koniecgalaktyckich. Spięła dzialota i skierowała się w pierwszy zjazd. Niebawem widziała już staromodne czerwone dachówki i sposobiła się do lądowania. „Czemu tu tak spokojnie” – pomyślała…

…i gdyby nie jakiś instynkt, pewnikiem rozbiłaby się o elegancko zamaskowane wizualnie odgórne ogrodzenie. O włos wyminęła materializującą się dopiero teraz bramę napowietrzną i zatrzymała się, czekając na kontakt.

– Pan nikogo nie przyjmuje – ozwał się z głośnika suchy głos odźwiernego.

– Jam jest Zofija Dociekliwska, byłam na ostatnim przyjęciu, mam ważną informacyję dla pana! – wyrzuciła z siebie jednym tchem, próbując opanować wierzgającego między sprzecznymi trybami ruchu dzialota.

– Pan nikogo nie przyjmuje – powtórzył beznamiętnie głos. – Fora ze dwora.

– Proszę choć przekazać panu, że przybyłam! – zawołała z nutką paniki w głosie. – Nie będzie to bez nagrody!

Odźwierny umilkł. Zofija z bijącym sercem czekała, co się stanie. „Albo rozmawia z magnatowiczem – myślała gorączkowo – albo właśnie nasyła na mię hajduków!"

Nie czekała długo, choć każda sekunda zdawała się jej minutą. Wreszcie głośnik zatrzeszczał. Wstrzymała oddech.

– Pan prosi.

Po chwili stawiała dzialota przed pałacem. W towarzystwie sług weszła do środka.

– Proszę łaskawie zaczekać.

Usiadła na krześle i próbowała pozbierać myśli. Cisza i spokój po chaosie i hałasie desperackiej jazdy oszołomiły ją, co jeszcze pogłębił fakt, że w pałacu nikt nie wydawał się poruszony straszliwymi wybuchami, które przecie musiało się tu odczuć mocniej jeszcze, niźli w bardziej oddalonym mieście. Spodziewała się, że zastanie magnatowicza w ferworze przygotowań do wylotu, że pod pałacem gotowy do drogi stać będzie kosmolot, że na jej widok Tadeusz Koniecgalaktycki rzuci krótko: „Proszę do środka, porozmawiamy na pokładzie"… Tymczasem gdyby na własne oczy i uszy nie widziała i nie słyszała wybuchów ani paniki w mieście, mogłaby pomyśleć, że przybyła do magnackiej posiadłości w dzień jak co dzień.

Syknęła śluza. Zofija podniosła wzrok, spodziewając się sługi, lecz oto z głębi domu wyszedł on – magnatowicz. Miał na sobie luźny podomowy żupan z czerwonego złotogłowiu wyszywanego złotą nicią w mleczne dróżki, a na nogach

żółte barankowe kapcie z metalowymi podkówkami. Czuba rozczesał był na skronie, młodemu zaś wąsowi pozwolił spływać swobodnym łukiem wokół ust.

– Witam w skromnych progach – rzekł, kłaniając się.

Z jakiegoś powodu ta grzeczność zdała się nagle Zofiji tanim pozerstwem.

– Straciłam pracę – rzuciła od razu, nawet dygnięciem nie okazując szacunku. Coś w niej protestowało przeciwko udawaniu, że kurtuazyją można cokolwiek załatwić. – Ktoś inny nie usłuchał waszmości i rozniósł wieść. Ten ktoś pławi się teraz w gotowiźnie, a ja nie mam za co opłacić dzierżawy. Zresztą zapewne moje mieszkanie w dworkowcu wnet obróci się w proch. Co waćpan na to?

Tadeusz patrzył na nią przez chwilę, a potem ukłonił się i wykonał uprzejmy *gestus*.

– Proszę do środka.

Wprowadzana na pokoje przez samego właściciela Zofia czuła sprzeczne emocyje. Ni to złość, ni to konfuzyja, ni to strach wreszcie targały nią, gdy wchodziła na pokoje wspaniałego pałacu Koniecgalaktyckich. Dopiero co skarciła tego panicza z antenatów jak byle szlachciurę, ba, wręcz jak ciurę. A tymczasem on traktował ją uprzejmie i zapraszał do środka. Czy pod tą kurtuazyją kryły się złe zamiary? Nie tak to jeszcze dawno i nie daleko, gdy ojciec księcia wojewody batogiem potraktował naprzykrzającego się mu cześnika. Zofia była zaś tylko dziennikarką… wróć! Była bezrobotną ubogą szlachcianką. Jak mogła się nie bać?

Tymczasem jednak Tadeusz Koniecgalaktycki zachowywał się jak na Angielczyka-dżentelmena przystało. Poruszona takim traktowaniem, i to w takim domu, nie mówiła już nic, tylko potulnie dała się posadzić na rozległej otomanie. Otoczył ją przepych godny nie tylko księcia wojewody, ale i króla samego. Jej wzrok przeskakiwał to ku obiciom z najcudniej zsyntetyzowanych złotogłowiów i adamaszków, to ku teleportowanym wielkim nakładem kosztów meblom z prawdziwego ziemskiego drewna, ku antycznym trójwymiarowym portretom pokoleń

znakomitości rodu Koniecgalaktyckich, ku posążkom wreszcie mitologicznym i ku ultranowoczesnej a wielkiej telepikturze panoramicznej.

Na blisko pięciołokciowym ekranie widać było rzecznika prasowego księcia wojewody, stojącego przed tłumem korespondentów.

– Proszę łaskawie posłuchać – rzekł magnatowicz i pogłośnił dźwięk.

– …ostatnie potencyjalne ognisko groźnego gazu zneutralizowawszy – mówił wymuskany szlachcic w eleganckim popielatym kontuszu i z gustownie oksydowaną szablą dekoracyjną – zapewnić mogę, że choć potęga eksplozyji *visibiliter* olbrzymie wywołała w narodzie poruszenie, to nie bez kozery powiadali starożytni, iż trwoga zły to *consiliarus*. Moimi usty książę wojewoda zapewnić pragnie, że niebezpieczności nijakiej nie ma, a nawet gdyby do kolejnych eksplozyj doszło, po czemu jak rzekłem nie ma przesłanek nijakich, to dotkną one jeno rejonu Robaczego Kaptura i dla miasta, choć na pozór tak bliskiego, są *totaliter* niegroźne.

Obraz przeskoczył.

– Tyle rzecznik – mówił młody prezenter o lśniąco nażelowanym czubie. – Sam książę wojewoda w celu zapobieżenia powszechnej panice podjął postanowienie o opuszczeniu swej orbitalnej rezydencyji. – Pojawiła się migawka krążącego nad błękitno-zieloną kulą Dalekopolski czwórgankowego dworu. – Jego przylot do Varsovii spodziewan jest w każdej chwili. Tymczasem prawa ręka księcia wojewody, podkomorzy Poduszczalski, zapowiedział podjęcie wobec władz dziennika Factum kroków prawnych.

Obraz przeniósł się na grubego wąsacza w szkarłatnym kontuszu, z rękojeścią ceremonialnej szabli podciągniętą prawie pod samą szyję na szerokim opalizującym pasie.

– O ile hrabia redaktor Kunik – mówił podkomorzy z wyraźną ekscytacyją, prawie przy tem pomimo tuszy podskakując – nie da Jego Miłości księciu wojewodzie lub mię *in* jego *persona* satysfakcyji w ciągu dni trzech, będziem

zmuszeni podać go do Trybunału za propagacyję paniki w narodzie, a i w wątpliwość podać jego szlachectwo!

– Książę wojewoda zwoła konferencyję prasową niezwłocznie po wylądowaniu w Varsovii – ciągnął prezenter. – W celu udowodnienia, że Dalekopolsce niż nie grozi, przelot orszaku aerokolasek księcia planowany jest tuż nad pasmem Robakowego Kaptura. *Naturaliter* będziemy transmitować całe wydarzenie z pokładu Karmazynowego 29.

Magnatowicz na powrót wyciszył dźwięk. Zofija oderwała wzrok od od ekranu, na którym korespondent zagalaktyczny donosił o rebelii na Kresach i spojrzała w emanujące dziwnym spokojem oczy młodzieńca.

– Waćpanny mieszkaniu nic nie grozi – rzekł ten powoli, uśmiechając się ciepło – jak i całemu miastu. Nie ma powodu do paniki, nie ma powodu uciekać.

– A te wybuchy? – przerwała, ale on tylko szerzej się uśmiechnął.

– Eksplodowały nagromadzone gazy. Następnych wybuchów nie będzie, a nawet gdyby były, to przecie miastu jak dotąd nic się nie stało.

– Kto za to zaręczy?

– Nie byle kto uznał, że niebezpieczeństwa nie ma. Książę wojewoda zasięgnął rady najznamienitszych uczonych. Dlatego zamiaruje przybyć tu *personaliter*. Zatem *repeto*: dworkowcowi waćpanny nic nie grozi. Jak i żadnemu innemu.

Zofija zagryzła wargi, prawie przekonana. Miała już nawet pokiwać głową, gdy wtem przypomniał jej się starosta Kasandrycki.

– A starosta Kasandrycki? – rzuciła. – Tu, w tym domu wieszczył tak strasznie…

Magnatowicz westchnął.

– Starosta Kasandrycki wiele w życiu przeszedł. W głębiach *universum* widział rzeczy, które nas kosztowałyby utratę zmysłów. Człek to mądry, lecz do jego słów należy podchodzić nader ostrożnie.

– Czyli te słowa o nieuchronnej zagładzie to były bredzenia waryjata? – rzuciła Zofija z bezpośredniością dziennikarza czującego krew.

Magnatowicz zmarszczył brwi.

– To za wiele. *Sufficit* rzec, że słów jego nie należy nadto uważać.

– Czy-li waćpan się nie lęka? – spytała wprost.

Zdawał się wahać przez sekundę, lecz kiedy się odezwał, jego głos brzmiał niewzruszoną pewnością.

– Nikt w Varsovii i na całej Dalekopolsce niczego lękać się nie musi.

Zofija poczuła, jak z serca spada jej jeden kamień. Nie miała powodu nie wierzyć magnatowiczowi. Po prawdzie to nie miała powodu mu i wierzyć, lecz coś w jego postawie i sposobie, w jaki z nią rozmawiał, przywróciło jej równowagę ducha i spokój wewnętrzny.

Przynajmniej w materyji losu planety – bo o swój los indywidualny bała się nadal.

Otwierała już usta, by skierować rozmowę właśnie na te tory, lecz Tadeusz Koniecgalaktycki ją uprzedził.

– Pozostaje kwestia własnego dobrostanu waćpanny. Powiem tak: jeszcze nie teraz, ale pewnikiem wnet podejmę działania także w tej mierze. Proszę się nie lękać o swą pracę. Proszę mi zaufać, a nie będzie waćpanna żałować.

Zofija prawie się uśmiechnęła – prawie, bo uświadomiła sobie nagle, że przyszła tu wyładować się na nim, a on wytrącił jej z rąk wszelką broń. Nie miała się o co martwić, więc nie miała się także o co złościć.

– Pora na mię – westchnął magnatowicz nieoczekiwanie i podniósł się z otomany. – Proszę łaskawie wybaczyć, ale są kwestyje, które choć nie tak ważne, jak wizyta waćpanny, wszelako domagają się atencyji. Proszę zostawić dane kontaktowe u sługi. Niech waćpanna przyjmie wyrazy mojego uszanowania – wypraktykowanym ruchem ujął dłoń Zofiji i pocałował szarmancko. – Do obaczyska.

Tym razem dygnęła jak grzeczna dziewczynka. Uśmiechnął się czarującym uśmiechem, w którym widać było jednak jakiś smutek, i zniknął w sąsiedniej sali.

Dosiadając dzialota, Zofija próbowała poukładać sobie pączkujące bezładnie myśli. Teraz, poza murami, w promieniach słońca trudno jej było uwierzyć, że jeszcze przed momentem rozmawiała w cztery oczy z tak potężnym człowiekiem – ona, dziennikarka prosta, a do tego była. „Cóż to za dziwny młodzian" – myślała, oglądając się przez ramię na oddalający się coraz szybciej pałac. Jakie działania zamierzał podjąć w kwestii jej „dobrostanu"? I czy mogła mu zaufać, jak o to prosił?

„Trzeba go było bardziej pociągnąć za język – myślała – sunąc po wjeździe ku pasowi ruchu". W dali widziała nadal korek utworzony przez uciekinierów, ale jakby już nie tak ciasno wbity w wąską szyjkę duktu. „Albo istotnie nie ma się czego obawiać, albo popisałam się dziecinną naiwnością…"

***

W drodze powrotnej do dworkowca Zofija kupiła wyborowy kwas chlebowy dojrzewający w butelce. Zanosiło się na wieczór przy kieliszku i przed telepikturą. Cóż miała do roboty jako bezrobotna dziennikarka po pełnym wrażeń dniu?

Miasto wciąż było zalterowane, ale apel księcia wojewody o spokój, ewidentność faktu, że kosmodrom i tak nie jest w stanie obsłużyć tylu ludzi w tak krótkim czasie, i brak kolejnych eksplozyj trochę ostudziły nastroje. Pachołkowie z duktówki sprawnie kierowali ruchem, który teraz w przeważającej części kierował się do miasta, zamiast byle odeń dalej. „Dziw, że tak łatwo poszło" – pomyślała Zofija, parkując dzialota w zagrodzie na trzydziestym piątym piętrze dworkowca. Jeszcze nie tak dawno mogło się wydawać, że pełne przerażonych uciekinierów dukty pozostaną zakorkowane na amen i na Bóg wie jak długo. Tymczasem przejechała przez centrum z nie większymi trudnościami, niż w zwykły dzień pracy w godzinach szczytu.

Z ganku rozciągała się panorama podwieczornej cyrkumferencyji. Zamęt na ulicach z góry był wciąż widoczny, ale złowrogie kłęby nad wzgórzami rozwiał już wiatr. Gdyby nie wryty głęboko w pamięć obraz, Zofija mogłaby obserwować skąpany w złotym blasku zachodzącej gwiazdy dziennej krajobraz z pewną przyjemnością.

Na ganku obok nie było nikogo. „Szlachetka wystraszył się wybuchów? – pomyślała z rozbawieniem, choć niedawno sama bała się tak samo. – A może to moje słowa tak podziałały?" – przyszło jej nagle do głowy i uśmiechając się do siebie, wróciła do środka.

Otwarta butelka kwasu chlebowego rozniosła po pokojach rześki zapach. Zofija szybko przewdziała się w miękkie podomowe giezło i z ulgą usiadła na otomanie. Pociągając pierwszy łyk trunku, włączyła telepikturę.

– …modyfikuje trasę, by zgodnie z życzeniem księcia wojewody przelecieć nad pasmem Robakowego Kaptura – głos niewidocznego reportera relacjonował widok z pokładu Karmazynowego 29. – Sam sławny szczyt widać już na horyzoncie. To właśnie ta okolica jeszcze tak niedawno spowita była kłębami dymu po eksplozyjach. Teraz jak widać powietrze jest czyste. Orszak księcia wojewody zniża się już, podchodząc do ostatniej fazy lotu… – Kamera skierowała się na łukowato wygiętą linię szybko rosnących kropek, spadającą z nieba ku płożącym się gdzie nie spojrzeć wzgórzom. – W którejś z tych aerokolasek siedzi sam książę. W której dokładnie, nie wiemy, gdyż jest to ściśle strzeżone *secretum*. Takie obostrzenia wprowadzono od czasu, gdy pewien paliwoda próbował zemścić się na księciu wojewodzie za utratę dożywocia na jednej z asteroid, którą to decyzyję podjął był książę wojewoda, kończąc żmudny proces porządkowania praw własności na Dalekopolsce i okolicznych satelitach. Tym, którzy byli podówczas dzieciątkami w kołysce, trzeba wiedzieć, że w pierwszym okresie kolonizacyji naszego układu gwiezdnego wielu szlachty niepewnego powodzenia pozajmowało rozmaite działki, nie bacząc na dobro

publiczne. Powołując się na starożytną zasadę „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie", oponowali się zmianom, przewlekając procesy, aż dopiero książę wojewoda *pro publico bono* położył temu kres…

Zofija przestała słuchać, znudzona beznamiętnym głosem reportera, wyciągającego lada starą sprawę, byle jeno załatać dziurawą relacyję.

– Pewnie o ile zaraz się co nie zdarzy, zacznie opowiadać o pojedynku księcia z lordem Pembrok – mruknęła z przekąsem.

Nie otrzymała wszak szansy weryfikacyji swej przepowiedni, bo coś się zdarzyło.

I to nie byle co.

– Pogoda chyżo się niestety deterioryzuje – zmienił nagle temat reporter. – Wiatr się wzmaga, lecz książę wojewoda dysponuje od niedawna aerokolaskami andromedzkiej roboty, doskonale resorowanymi, tuszę więc, że mimo onych turbulencyj… – jakby dla ilustracyji, Karmazynowym 29, a więc i obrazem nagle zatrzęsło – …które, jak waćpaństwo widzą, okrutnie są srogie, komfortu jego książęcej mości nic nie…

Zofija nalewała właśnie sobie kwasu, gdy wtem rozległ się hurkot jakby kamiennej lawiny i ze szczytu widocznego w kącie obrazu pagórka, pod którym przelatywał orszak księcia wojewody, trysnął gejzer piachu. Reporter z pokładu Karmazynowego 29 zaczął wołać coś podniesionym głosem, lecz zagłuszył go hałas. Zdawało się, że to sztorm na morzu tak ryczy, lecz na morzu nie z wody, a z kamieni złożonym. Sznur podchodzącego do lądowania orszaku wojewody zniknął za welonem pyłu. „Kolejny wybuch?" – pomyślała Zofija, lecz sama wnet odrzekła sobie, że być to nie może – zamiast eksplozyji i olbrzymiej chmury z pagórka trysnęła fontanna kurzu, który rozwiał się między szczytami. Ale skąd u licha ów hurkot ogłuszający?

Wtem z kolejnego pagórka trysnął drugi kamienisty gejzer. A potem z następnego. I następnego. Karmazynowy 29 zatoczył się, gdy rozbryzg skalnego gruzu przeszył powietrze ledwo kilkadziesiąt sążni od maszyny. Ekran na moment pociemniał. A kiedy się rozjaśnił…

Zofija ścisnęła w dłoni butelkę, aż szkło trzasnęło w jej smukłych palcach, a mieszanina trunku, krwi, okruchów szkła i chleba skalała perseuski dywan. Oto na jej oczach działo się coś, czego nie mogłaby wyśnić w najgorszych koszmarach.

Góry ożywały.

Szczyty, z których przed momentem wystrzelały pod niebo strugi kamieni, drżały, roztaczając hałas tak straszliwy, że mikrofony Karmazynowego 29 nie zdzierżyły obciążenia. Telepiktura Zofiji zadrżała od huku, a potem umilkła. Kobieta z otwartymi usty patrzyła, jak wzgórza rozchylają się jakby rozpierane od środka przemożną siłą. Coś zdawało się wypełzać z wnętrza, niczym szkaradne robaki z niewiele ładniejszego kwiatu.

– Proszę wacpaństwa, jesteśmy właśnie świadkami… – zadrżał głos prezentera, który ze studia przejmował głos od tragicznie zamilkłego reportera na miejscu akcyji. – Jesteśmy świadkami… Czegoś, czego nikt się nie spodziewał… Być może to jakieś nieznane nam dotąd zjawisko fizyczne lubo geologiczne… Możemy być pewni tylko tego, że książę wojewoda chyba nie jest nadto kontent z takiego obrotu sprawy. Gdy decydował się na przelot tą trasą…

Prezenterowi głos uwiązł w gardle, bo oto czubek jednego ze wzgórz opadł na wszystkie strony w postaci lawiny, a z wnętrza szczytu wynurzyła się…

…wielobarwna, wieloodnóżowa, wielgachna maszyna. A przynajmniej jej górna połowa. Minęło kilka chwil, nim ciężki twór wydostał się w całej okazałości ze skalnego zwaliska. A potem wystarczyło, że machnął jedną z macek, która pomknęła na spotkanie Karmazynowemu 29 – i obraz zniknął.

– Przerywamy relacyję… – jęknął prezenter, ale Zofiji już przed telepikturą nie było.

Nie tylko ona wpadła na myśl, że lepszy *prospectus,* niż na czarnym ekranie, znajdzie na ganku. Zalterowana, w ostatnim momencie przypomniała sobie, że próg jest za wysoki i przeskoczyła go zgrabnym susem. Kiedy wybiegła na zewnątrz, cały dworkowiec huczał od tupotu i krzyków. Razem z kilkoma setkami najszybszych mieszkańców wpatrzyła się we wzgórza.

Tak. Wzgórza ożywały, a dokładniej mówiąc, były rozwalane od środka przez potworne maszyny. Gołym okiem widać było dalekie, lecz i tak olbrzymie sylwetki straszliwych istot, wydobywających się z wnętrza pasma Robakowego Kaptura. Jedna po drugiej olbrzymie postacie kaziły swoimi szpetnymi kształtami łagodne krzywizny wzgórz. I nie było im końca.

We wrzawie podniesionej przez mieszkańców dworkowca, która rozbrzmiała, gdy pierwszy szok minął, Zofija rozróżniała złorzeczenia pod adresem księcia wojewody i modły do Najświętszej Panienki. Sama milczała. Najchętniej rzucałaby klątwy na Tadeusza Koniecgalaktyckiego, który wykazał się pożałowania godną naiwnością, wierząc w zapewnienia władz. A może… Zofija poczuła chłód w piersi i gorąc na policzkach. „A może zadrwił sobie, obełgał mię, że donikąd się nie wybiera, gdy tymczasem po moim odjeździe wsiadł w aerokocz i pomknął na kosmodrom drogą uprzywilejowaną?!”

Poczuła, że robi się jej słabo. Tak, była już pewna, że została wystrychnięta na dudka. Strach, ba, przerażenie na widok straszliwych machin, powstałych nagle z górskiego łona, łączyło się w niej w dzikiej konkokcyji ze wstydem i gniewem. Zarazem to jednak one nie pozwoliły jej wpaść w panikę, która ogarnęła pozostałych mieszkańców dworkowca. Krzyki wzbiły się pod niebo, gdy do przekleństw i modłów dołączyły inne wołania.

– Bij, kto w Boga wierzy! – skrzypiał jakiś weteran, któremu przypomniały się dawno pogrzebane w bazach danych interstelarne okazyje.

– Tomasz, karabelę! – wołał inny bojowo nastawiony szlachcic.

– Hej, Gerwazy, daj gwintówkę! – krzyczał kolejny raptus.

Zofija gryzła wargi, miotając się wewnętrznie od jednej targającej nią emocyji do drugiej. Wreszcie przeważył strach. Oderwała dłonie od filarów ganku i wróciła do wnętrza, znów prawie zapominając o zdradzieckim progu.

Ekran był już wypełniony obrazami, a głośniki huczały od podnieconych głosów. Pokazywano właśnie zdjęcia z satelity – zbliżenia wykonane przez orbitalne kule-szpiegule ukazywały rosnącą wciąż armię machin. Wszystkie po wyswobodzeniu ze skalnych objęć ruszały w jednym kierunku.

– Ich celem jest niechybnie Varsovia! – sapał jeden podniecony komentator.

– Z czegóż, waść, wnosisz? – dopytywał rozbieganooki prezenter.

– Z dyrekcyji, w jaką zmierzają!

– Jakież mogą mieć zamiary? – pytał prezenter drugiego eksperta.

– Oczywista oczywistość, że złowrogie! Dość popatrzeć na ich posturę. To machiny bojowe!

– Dziw, że książę wojewoda wyszedł bez szwanku – wyjąkał prezenter.

Dalszą rozmowę przerwały ujęcia znad wzgórz, nakręcone przez podlot wojskowy, o czym świadczył furkoczące z grzyw pancernych bachlotów czerwone proporczyki z orłem. Dzielni wojacy podlatywali nad same maszyny, które na razie zdawały się ich ignorować. Zofija z niedowierzaniem patrzyła na grube płyty barwnych pancerzy, na potężne hydrauliczne muskuły, na otwory sterczących groźnie dział i działek, wreszcie na wieżyczki – bo przecie nie głowy! – najeżone lśniącymi złowrogo kamerami. Dopiero wypowiadający się ekspert zwrócił jej uwagę na inny szczegół.

– Proszę waćpaństwa zwrócić uwagę, że owe maszyny są jak prosto z manufaktury. Ani śladu zadrapania, ani jednego wgniecenia, lakier aż lśni!

– Jak to możliwe? – podskoczył prowadzący.

– Są nowe, nigdy nieużywane. Zamontowano je tu specjalnie z myślą o zaatakowaniu obcych. To znaczy nas. To ich jedyna rola…

– Jest i druga możliwość – wtrącił drugi gość. – Mogą być wykonane z materiałów całkowicie niezniszczalnych, jakich nie zna jeszcze nasza cywilizacyja. *Consequenter* mogą być przeznaczone do innych celów, na przykład do robót górniczych, i mieć już za sobą wiele zadań…

– Jedno drugiego nie ekskluduje…

– Chwileczkę, mamy połączenie z kolejnym ekspertem, professorem Uniwersytetu Uniwersalnego, imć Konstantym Żakowskim, ze studia w Cracovii. Co waćpan na to?

– Jest i trzecia opcyja – odezwał się wiekowy brodacz. – Mogły zostać wykreowane dopiero teraz w procesie nanosyntezy…

– Waść żartuje!

– Bynajmniej. Niedawne eksplozyje mogły uwolnić do atmosfery nanocząsteczki, które wykorzystały materiał skalny do wytworzenia…

– Ależ wyłaniając się ze skał, musiałyby się w takim razie pokancerować!

– Nie, jeśli tylko były wykonane z materiałów niezniszczalnych, jak to już tu powiedziano.

– Cóż nam teraz czynić, mości panowie? – pytał roztrzęsiony prezenter. – Proszę o krótkie wypowiedzi.

– Walczyć do ostatniej kropli krwi.

– Czmychać byle dalej.

– Modlić się.

– Dziękuję za rozmowę.

Zofija poderwała się z otomany i zaczęła chodzić w tę i we w tę po pokoju, próbując pozbierać myśli. Chęć ucieczki była w takiej sytuacyji zrozumiała, ale nawet jeśli w obliczu inwazyji władze zliberalizują ruch powietrzny, nie oznaczało to bezpieczeństwa. Jeśli maszynowe bestie rozpełzną się po okolicy, nawet rączy dzielot może nie wystarczyć. Zanim dotrze do najbliższej potężnej twierdzy, może wpaść w szpony, czy raczej chwytaki bestii o nieznanych jeszcze, ale prawdopodobnie straszliwych potencyjach. Zresztą Varsovia jako stolica kolonii była najlepiej wyposażona i broniona. Gdzież można się było czuć bezpieczniej niźli tutaj? Chyba tylko na orbicie – choć kto wie, czy machiny nie potrafią także dostać się i tam… Więc byle dalej w kosmos! Tak mówił rozum, ale Zofija czuła przemożną chęć, by czmychnąć dokądkolwiek, choćby w mysią dziurę, byle nie być tutaj.

Wtem w jej myśli wdarł się podniecony głos prezentera. Spojrzała na telepikturę.

– Informacyja z ostatniej chwili! Chorągwie pancerne pod przewodem hetmana polnego koronnego Franciszka Bohomolca formują się właśnie na błoniach! Nasz reporter Marcin Wroński jest na miejscu. Marcinie?

Na ekranie ukazały się potężne sylwetki bułanków i gniadoszy husarskich, do których wsiadali właśnie towarzysze w tradycyjnych mundurach w lamparcie cętki. Na widok tych śmiałków w czapkach z piórkiem Zofija poczuła, jak jej serce roście. „Będą się monstra miały z pyszna! – pomyślała. – Nasi pokażą im, gdzie raki zimują!”

Chorągiew, moderowana na astralny ład, jęła się formować. Pancerze powietrznych rumaków błysnęły w słońcu pokrzepiająco, a tytanowe lotki skrzydeł świsnęły groźnie, gdy eskadra poderwała się w powietrze i pomknęła ku zbliżającym się maszynom. Zofija z zapartym tchem patrzyła, jak pułk pędzi ku wrogowi…

Nie, nie pędzi. Lotna husaria zmierzała na spotkanie dziwnie powoli, wręcz nieomalże ślimaczo. „Czy oni chcą zmarnotrawić element zaskoczenia?" – pomyślała strapiona.

W tej jednak chwili przerzucono na obraz z lotu satelity. Chorągiew przyspieszyła nagle i zwarła szeregi, gotując się do natarcia na przeciwnika zmasowanym ogniem fazerowym. „Zmiotą ich jak burza" – pomyślała Zofija, patrząc, jak dystans między husarią a pierwszymi machinami maleje w oczach. Wyrojone z gór pstrokate szeregi kroczyły nieświadomie na spotkanie zagłady.

Ale wtedy okazało się, że nie tylko husaria zna znaczenie elementu zaskoczenia.

Wtem, nagle, znienacka, maszyny zatrzymały się na mgnienie, a potem zmieniły w przyprawiające o zawrót głowy chmury migających w słońcu części i kolorów. Nie minęło pięć sekund, gdy zamiast paskudnych i groźnych, ale już oswojonych kształtów, na górskich graniach stanęło coś innego.

Stanęła eskadra lotnych rumaków niemal identycznych jak husarskie.

Nieporuszony obiektyw satelity gapił się obiektywnie, gdy przeistoczone machiny śmignęły w powietrze i wbiły się w prącą wciąż ciężko przed siebie husarię. Rozbłysnęły fazery, powietrzem wstrząsnęły fale akustyczne, których drżący obraz komputer analizujący dane z satelity przeistoczył na powrót w słyszalne dźwięki. Zofija zakryła uszy, tak straszny był szczęk zderzonych pancerzy i skwierk przenikających się promieni fazerowych. Zakotłowało się, zawirowało, aż zewsząd do miejsca bitwy ściągnęły obłoki i zakryły widok. A kiedy się rozwiały, na placu boju pozostały tylko…

Nie pozostało nic.

Niżej, pod miejscem bitwy, na wzgórzach, widać było strzaskane skorupy husarskich lotorumaków. Dalej, a raczej bliżej miasta, widać było kroczące potwory, jakby jeszcze większe, czy może raczej bardziej rozczłonkowane. Wymachując

bojowo wielosegmentowymi odnóżami, sunęły niepowstrzymane w kierunku bezbronnej Varsovii.

Zofija odkryła uszy, słysząc, że hałas bitwy ustąpił rejwachowi dyskusyji. Dolną połowę ekranu wypełnił przekaz ze studia. Nowy zaproszony do studia gość na gorąco komentował wydarzenia.

– Jak państwo widzą, te maszyny mają zdolność transformacyji. Zali mają też zdolność stanowienia dla nas zagrożenia? – pytała rzeczowo doświadczona prezenterka Justyna Kabotyńska, jak zwykle w białej bluzce i z wyrazem profesjonalizmu na obliczu, która w międzyczasie zastąpiła nazbyt emocjonującego się młodego kolegę.

– Bez wątpienia kapacytują się, by wyrządzić wiele… – zaczął gość w elegancko skrojonym kontuszu z Wólczanki.

– Zali nie sądzi waćpan – przerwała prezenterka – że wobec tego zagrożenia powinniśmy pierzchać?

– Być może jest na razie zbyt…

– Proszę mi pozwolić zacytować słowa waćpana wygłoszone dwa lata temu, kiedy protuberancyje słoneczne nieomal sięgały naszej stratosfery. Powiedział waćpan wtedy: Nie ma co czekać, trzeba uciekać!

– Tamta sytuacyja była *totaliter* odmienna i…

– Czy aby na pewno? I wtedy, i teraz grozi nam całkowita zagłada, nasza kolonia może zostać zmieciona z powierzchni planety. Co wówczas?

– Na razie zbyt wcześnie wyrokować. Potrzebna nam *patientia*. Należy pierwej ujrzeć, jak nasze siły zbrojne…

– Waćpan sobie dworuje. Wszyscyśmy widzieli, co się stało z naszymi siłami zbrojnymi…

– Jeśli waćpani pozwoli mi dokończyć…

Gościowi tą razą dokończyć nie pozwoliły nowe obrazy z satelity. Oto machiny dotarły na skraj wzgórz i stanęły nad miastem. Groźne, wielorękie postaci przez chwilę jak gdyby rozglądały się po okolicy, choć nic w ich ruchach, czy raczej w ich bezruchu bezpośrednio na to nie wskazywało. Zofija powodowana dziwną konkoncyją strachu i ekscytacyji wybiegła z powrotem na balkon. O mały włos nie dostała palpitacyj serca – częściowo była to wina ledwo przeskoczonego progu, a częściowo ohydnie już bliskich sylwetek na wzgórzach. To już nie była telepiktura, to był widok chłonięty własnymi oczy. Poczuła, że kręci się jej w głowie.

A potem machiny jęły schodzić ku Varsovii. Sparaliżowana strachem, a może przykuta fascynacyją Zofija patrzyła, jak to niewyobrażalne istoty suną ku miastu, jej miastu, depcząc metalowymi stopy dworki, parki, chałupy, obory, zasiewy…

A potem zaskwierczały stołeczne fazery przeciwmeteorytowe i ku najezdnikom pomknęły śmiercionośne promienie.

A potem machiny zawirowały kolorami i kształtami, i zmieniły się w takież same działka. Rozgrzmiała obustronna palba.

A potem Zofija miała dość i zataczając się, wróciła do wnętrza, ledwo łapiąc równowagę po zaczepieniu stopą o próg.

Do przedstawiciela wojewody dołączyło tymczasem dwóch posłów na Sejm, skorych do zabrania głosu.

– Jak nazwaliby waćpanowie to, czego jesteśmy świadkami? – pytała dziennikarka. – Zagładą planety? Upadkiem cywilizacyji? Kresem ludzkości?

– To egzageracyja – sprostował poseł neomazowiecki. – Jeszcze nasza kolonia nie zginęła, poza tym nie jesteśmy jedyni…

– Może waćpana pociesza, że nie cała ludzkość zginie, lecz wyborcy domagają się czegoś więcej – przejął pałeczkę poseł neoinflancki.

– Maszyny zbyt mądre nie są – nie dał się wybić z rytmu Mazovianin. – Transformują się w to, co staje im na przeszkodzie. Kiedy atakowały ich nasze siły

powietrzne, przeistoczyły się w lotorumaki; kiedy stanęły pod ostrzałem dział, same przyjęły ich formę. Mogłyby już dawno zniszczyć miasto, gdyby pozostały w formie eskadry lotniczej, ale nie pomyślały o tym. Musimy tedy baczyć, co przeciw nim wystawiamy. *Generaliter* tuszę, iż wyjdziemy z tych terminów obronną ręką.

– To optymizm, na który nas nie stać. Nawet jeśli siła ognia owych transformujących się machin nie przekracza naszej, to wiemy jedno: że nasze zapasy energii są wyczerpywalne, ich zaś niekoniecznie. Trudno zakładać, że na wzór naszych dział przetransformują się w działa wyczerpane.

– Tak czy owak, wnet przekonamy się, zali owe „transformanty" dokonają transformacyji naszego życia w nasz skon – podsumowała błyskotliwie Kabotyńska. – Proszę zostać z nami.

Kanonada nie ustawała. Gdyby ku miastu opadała choćby cała chmara meteorytów, asteroidów i komet, zmieniłaby się już w niegroźną chmurę pyłu. Niestety, to nie ciśnięte ślepymi siłami przez bezkres kosmosu pociski uderzały na Varsovię, jeno zaawansowane technologicznie machiny z celem i sposobem jego osiągnięcia. Ich pola siłowe i pancerze opierały się ciosom obronnych fazerów; szczęściem ich postępy zostały wyraźnie zahamowane. Miasto zyskało czas, by zorganizować obronę i uzyskać dodatkowy sukurs.

– Proszę waćpaństwa – obwieściła naraz prezenterka, poprawiając w uchu słuchawkę – wiadomość z ostatniej chwili. Krążowniki pancerne ORP Bucefał i ORP Kasztanka zmierzają już ze swoich orbitalnych leży nad Varsovię. Możemy się ich spodziewać w ciągu kilkudziesięciu sekund…

Zofija, niewiele myśląc, znów wyskoczyła na balkon, boleśnie obijając się o próg. Myśl o tym, że kolejnym razem już pewnikiem się przewróci, nie zdążyła się wszelako zalęgnąć w jej głowie ani ból rozognić się w jej małym palcu, gdy wydała z siebie okrzyk zdumienia – i rozkaszlała się nagle.

Wysoko nad wzgórzami z chwili na chwilę powiększały się dwie czarne kropki, ale nie widziała ich dobrze przez napływające jej do oczu łzy. W zdumieniu zbyt głęboko wciągnęła powietrze przesycone wyziewami pofazerowymi. Pochyliła się i dłuższą chwilę próbowała kaszlem ukoić palenie w płucach. Podniosła wzrok dopiero, gdy z sąsiednich ganków dobiegły podniecone okrzyki:

– A zadajcie psubratom bobu!

– Rozpędźcie ich na cztery wiatry!

– Skrójcie im takie kurty, żeby popamiętali!

Zofija zacisnęła dłonie na poręczy ganku. Krążowniki z kropek przeistoczyły się w potężniejące z każdą chwilą smukłe trójkąty.

– To Bucefał i Kasztanka! – powiedziała, a raczej wychrypiała, patrząc, jak okręty kosmiczne nadciągają od tyłu na niczego się niespodziewające machiny. Groźne kształty spiętrzyły się nad Robakowym Kapturem, jakby napawając się przewagą nad transformantami, które jak gdyby nigdy nic raziły nadal miasto z dział bliźniaczo podobnych do baterii broniącej stolicy.

Nie! Już nie. Bo oto machiny wirują znów i jaskrawią się, a potem naprzeciwko dwóch krążowników w powietrzu staje dwadzieścia takich samych. W jednej nanosekudzie wywiązała się bitwa, zażarta i metalowa; stopione okrutnym żarem promieni śmierci pancerze lały się na ziemię strumieniami. Gdy oba kosmoloty Rzeczypospolitej legły wreszcie w rozżarzonych tęczowych kałużach pośród wzgórz, transformanty jak gdyby nigdy obróciły się z powrotem w działa i podjęły mozolne posuwanie się w kierunku miasta.

Z sąsiednich ganków dobiegło zgrzytanie zębów.

– A bodaj was psi zeżarli!

– Szelmy! Niech wam kat świeci!

– Jechał was sęk, takie syny!

Zofija poczuła nagle strach. Prawdziwy strach. Już wcześniej się bała, ale dopiero teraz poczuła strach w głębi swego jestestwa. „Nie damy im rady – pomyślała z bolesną jasnością, patrząc jak pomimo zmasowanego ognia dział przeciwmeteorytowych, transformanty prą łokieć po łokciu ku Varsovii. – Przedrą się – zagryzła wargi. – Dojdą do miasta. A wtedy…”

Powietrze stało się nieznośnie cuchnące. Tłumiąc kaszel, Zofija wróciła do mieszkania. W telepikturze Justyna Kabotyńska przedstawiała komputerowe symulacyje destrukcyji, jaką w stolicy wyrządzić mogą machiny. Niewiele było do oglądania.

– Skąd wypatrywać ratunku? – spytała prezenterka, zwracając się do nowego gościa, astriańskiego mnicha w habicie z cycu w gwiazdki. – Kolejne krążowniki nadlatują z dalszych rejonów układu, ale jakeśmy widzieli, na niewiele się zdały…

– Módlmy się – odparł astrianin – by przybył *defensor fidei et patriae* i ocalił nas od zguby

– Co waćpanowie na to? – Kabotyńska spojrzała znacząco na pozostałych.

– Trudno zanegować te mądre słowa – pokiwał zamaszyście głową poseł po prawej. – Bez cudu nie podołamy.

– Na szczęście nie musimy liczyć na cud – odparł od razu poseł po lewej. – Nie zapominajmy o pospolitym ruszeniu…

– Gdy pospólstwo się ruszy – przerwał mu oponent – miasto upadnie, zanim jeszcze transformanty postawią w nim nogę!

Obiecującej wymianie zdań tamę położyły nowe ujęcia. W zasięg wszedł właśnie Gżegżółka – najnowszy i najnowocześniejszy satelita cywilny – i z uderzającą jakością ukazał poziom destrukcyji, jaką stołeczne działka siały pośród transformantów. Był niski, wręcz symboliczny. Mogło się wydawać, że tym, co spowalnia machiny, jest wyłącznie rozpęd promieni fazerowych, odpychający najezdników w tył. Na palcach jednej ręki można by policzyć uszkodzone

transformanty. I byłaby to ręka, która weszła w bliski kontakt z szablą świetlną. Niejeden raz.

Nawet prezenterka straciła zwykły rezon. Obrazy postępujących powoli, lecz niepowstrzymanie machin skłaniały do myślenia, co w telepikturze zwykle nie idzie w parze z mówieniem.

Ale tym razem stało się inaczej.

– Był czas – zaczęła dziwnie refleksyjnym głosem Kabotyńska – gdy w podobnych sytuacyjach mogliśmy na kogoś liczyć. Dlaczego dziś tak już nie jest?

Goście spojrzeli na prezenterkę skonfundowani. Pytanie zdawało się nadto filozoficzne. Nawet, gdyby jednak chcieli na nie odpowiedzieć, przerwałby im podekscytowany głos reportera, który nieproszony wskoczył na wizyję.

– Proszę waćpaństwa, pilne wieści! Na razie rzecz jest niepotwierdzona, ale relacyje napływają cały czas: nad Povistulem pojawił się obiekt latający, którym według wszelkiego prawdopodobieństwa jest…

Zofija nie słuchała dalej, bo biegła już na balkon. Wstrząśnięta, zaskoczona, nie zdołała tym razem ustrzec się zdradliwego progu. Potknęła się z głośnym stękiem, ale jeszcze dobrze nie upadła, a już się podnosiła. Ignorując ból stłuczonego kolana, spojrzała w niebo. Znów targnęło nią zdumienie, ale przykrywszy dłonią usta, zdołała powstrzymać się od wciągnięcia w płuca piekącej duchoty. Tego nie bali się sąsiedzi, krzyczący ile sił w płucach:

– To bocian!

– Nie, to kosmolot!

– Nie! To…

– Hetman!!!

Zofija wytrzeszczyła oczy. Tak. Nie było wątpliwości. Ta postać w czapce z piórkiem na hełmie, w lśniącej przyłbicy z dosztukowanymi sumiastymi wąsami, w czerwono-niebieskim kontuszu przewiązanym frędzlastym pasem słuckim, z

potężnym szkaplerzem z wizerunkiem Michała Archanioła, z szablą laserową na światłowodowych rapciach i husarskimi skrzydłami u ramion, na ulicach miasta nie zwracałaby na siebie większej uwagi. W powietrzu wszelako mogła oznaczać tylko jedno.

Heros wrócił, a teraz wykręcał beczki, korkociągi, pętle, spirale i świece na niebie nad Varsovią. Rozcinając powietrze, pióra skrzydeł wydawały przenikliwy, przejmujący irracjonalnym strachem dźwięk. Tysiące, dziesiątki twarzy spojrzały z ganków i okien w niebo. Drobna, lecz emanująca siłą i energią sylwetka jakby chciała się pokazać, jakby chciała dodać otuchy.

– Wrócił… – szepnęła Zofija.

A Hetman z upodobaniem wywijał akrobacyje właśnie nad jej dworkowcem. Z zaskoczeniem przechodzącym w zachwyt patrzyła na tę postać, to drobną jak łebek od szpilki, to znów nieomal nadludzkich rozmiarów. Gdybyż tę siłę, tę żwawość obrócić przeciwko transformantom…

Właśnie. Zofija zmarszczyła brwi. Czemuż Hetman nie uderza na najezdników, zamiast tego parając się tym imponującym, lecz jałowym pokazem umiejętności? Tak długo mieszkańcy Varsovii i całej Dalekopolski pozbawieni byli jego protekcyji; jeśli myślał, że po niespodziewanym powrocie oczekują właśnie pokazu akrobacyj lotniczych, to grubo się mylił. Ludzie oczekiwali czegoś więcej…

– I czemuż, u licha, tak się uczepił mojej dzielnicy? – powiedziała głośno, gdy Hetman po raz wtóry przemknął prawie na wyciągnięcie ręki od ganków dworkowca. Dziecko mieszkające w duszy Zofiji chciało podskakiwać, klaskać i śmiać się w głos, ale jej drugie oblicze – wciąż niepogodzonej ze swą byłością dziennikarki – szukało wyjaśnienia.

I znalazło je, gdy Hetman po raz kolejny przeleciał koło jej ganku. Zofiji wydało się, że zza przyłbicy mrugnęły na nią oczy.

„Chce, żebym za nim leciała” – pomyślała. Przez mgnienie szok i podniecenie walczyły w jej duszy. A potem odwróciła się, jednym susem przesadziła próg i pobiegła po dzialota.

Kiedy ruszała z tarasu startowego w powietrze, Hetman wywinął jeszcze jedną ewolucyję i pomknął w kierunku pola bitwy. Serce Zofiji biło niczym dzwon Zygmunta, gdy dawała dzialotowi ostrogę i włączała kamerę. „W co ja się pakuję” – myślała, lecąc ku potwornym istotom za furkoczącą odrzutowymi wylotami kontusza figurką Hetmana. Im była bliżej, tym machiny były większe, i to bardziej, niż wyjaśnić mogła prosta optyka. W powietrzu gęstym od fazerowych wyziewów można by zawiesić siekierę, błyski miotanych przez działa promieni oświetlały krwawe kłęby i zwodniczo kolorowe korpusy machin, skwierczenie i huk rozrywały bębenki uszne. Strach ciągnął Zofiję w tył jak za ogon, ale podniecenie i czyste szaleństwo parło ją przed siebie.

– Zginę ja i pchły moje! – jęczała, gdy promienie prześwistywały zbyt blisko, ale nie przykrócała dzialotowi cugli. Chciała być tam, dokąd wiódł ją nieustraszony Hetman. Jakby wiedząc, że raz złapana w system kontrolny dróg już się zeń nie wyrwie, wywiódł ją na manowce, a ona ochoczo za nim podążyła. Chciała być przy tym, gdy zacznie siać pośród transformantów spustoszenie. Chciała zobaczyć wszystko – a potem pisać relacyje dla prestiżowych pism, udzielać wywiadów, występować w telepikturze. Zimno spojrzeć w oczy baronowej Pudelkowskiej, gdy ta będzie błagać ją o powrót. I krótko rzucić: „nie”.

Hetman zagłębił się w szczególnie gęsty kłąb dymu. Zofija wstrzymała oddech i zagłębiła się za nim. „Teraz na nich runie – myślała, gdy otoczył ją nieprzenikniony tuman. – Teraz im pokaże!”

Dym przerzedził się – a potem przed oczyma Zofiji wyrosło pasmo Robakowego Kaptura. Tu powietrze było czyste; wiejący od wzgórz wiatr przeganiał bitewny kurz nad miasto. Zofija spojrzała pod siebie. Jej oczom ukazały się podnóża

wzgórz usiane tragicznym śmieciem. Potem podniosła wzrok i zobaczyła podkówki żółtych butów lecącego byle dalej Hetmana.

W pierwszej chwili nieomalże wydała machinalnie dzialotowi komendę głosową „Prrr!", ale zdumienie sparaliżowało ją na chwilę dość długą, by zdołała zebrać myśli. Potem jeszcze bardziej spięła rumaka. Chciała być jak najdalej od pola bitwy, zwłaszcza teraz, gdy miała widomy znak, że Hetman wcale nie chce stawiać najezdnikom czoła. „Po co zachęcał mię, bym za nim leciała? – zastanawiała się, patrząc na jego wyciągniętą w locie sylwetkę. – Ku czemu zmierza?"

Tymczasem smród, hałas i rozbłysk pola bitwy zostały w tyle. Lecieli coraz dalej nad wzgórza. Błądząc wzrokiem po śladach brutalnej ingerencyji w ekosystem, Zofija błądziła też myślami po ewentualnościach. „Czy on potrzebuje świadka? Czy chce udzielić mi wywiadu na osobności? Czy chce mię uwieść? I najstraszniejsze: czy przywidziało mi się, że na mię mrugnął?"

Wyobraziła sobie, co czuć musieli mieszkańcy miasta, widząc na obrazach satelitarnych czmychającego herosa, i poczuła wstyd za niego, ale i dlaczegoś za siebie…

Tymczasem minęli wnijścia do sztolni, ziejącą ranę kamieniołomu, jezioro pełne sadzistoczarnej wody, i wlecieli ponad dziewicze wzgórza. Zofija obejrzała się raz i drugi. Wysokie czuby transformantów znikały właśnie za pagórkami; już tylko kłęby dymu przesłaniające wysokościowce Varsovii świadczyły, że bitwa nadal się toczy. Ale bez udziału Hetmana.

Znów spojrzała w kierunku łopoczącej wylotami postaci. Lotki husarskich skrzydeł świeciły jasno nawet w palących promieniach słońca. Była to zminiaturyzowana wersyja napędu gwiezdnego. Przynajmniej tak mawiali niegdyś eksperci, opierając się na fotografiach i analizach widma, ponieważ rzecz jasna nikt dotąd nie miał okazyji *personaliter* zapoznać się z kostiumem nieuchwytnego Hetmana. W jaki sposób temu herosowi udało się zminiaturyzować technologię

napędową kosmolotów do rozmiarów pozwalających użyć jej w napędzie osobistym, wiedział tylko on sam. No i jego współpracownicy. A przede wszystkim księgowy.

Lecąc tak w nieznane za nieznajomym, Zofija próbowała przypomnieć sobie wszystkie fakty dotyczące Hetmana. Było ich wiele, ale zanim przestała być dzieckiem, Hetman największe wyczyny miał już za sobą. Za jej pamięci ten tajemniczy heros, pojawiający się wcześniej zawsze tam, gdzie wątłym ludzkim koloniom na planecie groziło niebezpieczeństwo, interweniował tylko raz czy dwa, i to niezbyt skutecznie. Ostatni raz widziano go, gdy próbował salwować młodą kobietę, która rzuciła się lub spadła – brak było pewności – do wodospadu w paśmie Koloidowego Wierchu. Żadne z nich nie wynurzyło się już z omglonych odmętów. Dla jej pokolenia był reliktem przeszłości, którym emocjonowały się generacyje będące już na wylocie. Wiedziała, że musiał być człowiekiem bogatym – to pewna. Musiał być altruistą – lub zdrowo stukniętym pomyleńcem. Tak czy owak, oddał kolonistom wielkie usługi. A potem zniknął bez śladu, choć katastrofy, te naturalne i te spowodowane przez człowieka, wciąż od czasu do czasu zbierały żniwo. I nikt nie wiedział, co się z nim stało.

A teraz wrócił, w momencie nieoczekiwanego i niewyobrażalnego niebezpieczeństwa. Zofija nie miała wątpliwości, że nikt nie miał wątpliwości, że Hetman wrócił zalać machinom sadła za pancerze. Tymczasem jednak sam wziął nogi za pas…

„Tylko po co w takim razie wlecze mię na ogonie? – zachodziła w głowę. – Przecie wie, musi wiedzieć, że za nim lecę. Gdyby tego nie chciał, już by się mię pozbył. A zatem po co to wszystko? Gdzież tu sens, gdzie logika?”

Wtem Hetman obejrzał się na nią, a potem skręcił pod kątem prostym i przeleciawszy jeszcze kilkanaście sążni, zanurkował. Zaskoczona, z bijącym sercem, skręciła za nim ostrym łukiem. Lecieli jakby prosto w zbocze niskiego wzgórza o piramidalnym kształcie. Hetman nie zwalniał; przeciwnie, zdawał się nawet

przyśpieszać. Zofija przez kilka chwil próbowała dotrzymać mu tempa, ale strach przemógł. Zwolniła w chwili, gdy miał już roztrzaskać się o skały. Zamknęła oczy i się w sobie, spodziewając się zderzenia, gdy wtem błysk rozświetlił powietrze, a wizg wprawił w drżenie posady wzgórz. W następnej chwili ujrzała w zboczu idealnie okrągły otwór i zagłębiającą się w dymiącej ciemności wirującą sylwetkę Hetmana.

Leciała dalej i zahamowała dopiero tuż przed otworem. W głąb wzgórza prowadził tunel regularny niczym nawiercony gigantycznym wiertłem. Gdzieś w głębi zdawało się pełgać jakieś światełko.

„Lecieć? nie lecieć?" – zachodziła w głowę Zofija, próbując zwalczyć strach ekscytacyją. Kamera na czole dzialota pikała cieniutko, powiadamiając, że wciąż kręci. „Te zdjęcia warte będą milijony czerwonych złotych obrączkowych" – pomyślała Zofija, a potem zagryzła wargi i spięła rumaka. Po chwili otoczyła ją ciemność, w której jedynym przewodnikiem było jej dalekie światełko. Potem światło. A wreszcie świetlisko. Zmrużyła oczy, wylatując z ciemnego tunelu w bezkres jasności. Kiedy zewsząd otoczyła ją oślepiająca biel, zatrzymała dzialota i drżąc, czekała na Bóg wie co.

Jej oczy nie przyzwyczaiły się jeszcze całkiem do warunków oświetleniowych, gdy u jej boku pojawił się ciemny kształt.

– Tędy proszę – wychrypiał seksownie i chwycił ją za łokieć. Poczuła przepływający przez jej ciało prąd elektryczny. A może było to pole magnetyczne? W każdym bądź razie ścisnęła dzialota łydkami i ruszyła u boku unoszącego się swobodnie Hetmana w blask.

Ten ostatni słabł jakby; pełnotłuste mleko zmieniało się stopniowo w zabielaną wodę, w której majaczyło coraz więcej kształtów. Wkrótce Zofija wiedziała już, że suną przez ni to halę, ni to stadion zagracony nieznanego przeznaczenia i wszelakich gabarytów przedmiotami. Jedyną stałość w tym obcym świecie stanowił zarazem

mocny i delikatny ucisk dłoni Hetmana na jej łokciu. Teraz miała już pewność – to nie elektryczność ani magnetyzm, tylko słodycz zaprawiona pikantną nutą sączyła się z kończyny na kończynę.

Źrenice Zofiji nie mogły już bardziej się zwęzić, ale i nie musiały – widziała już *sufficit*, no i światło też już jakby przygasło. Jej oczom ukazały się olbrzymie filary podtrzymujące wysokie sklepienie, a między nimi zwaliska niewiadomych przedmiotów, w których nagle z terrorem i abominacyją rozpoznała fragmenty transformantów. Hetman wyczuł targaninę emocyj towarzyszki i jeszcze bardziej krzepiąco zacisnął palce się na jej ręce. Zwróciła ku niemu twarz, ale w tej chwili puścił ją i podleciał naprzód, na spotkanie olbrzymiej ścianie światła, która na ich oczach podzieliła się na setki prostokątów.

Zofija patrzyła, jak Hetman podpływa do ściany. Próbowała ogarnąć ją wzrokiem, ale prostokąty po bokach rozpływały się w odległości. Poczuła, że kręci się jej w głowie. Czy podobna, że to piramidalne wzgórze kryło komnatę tak olbrzymią? Przypomniała sobie wypalony przez Hetmana tunel – wiódł w dół, pod wzgórze. Poniżej pasma Robakowego Kaptura, między kopalniami planetyny kryło się…

…centrum dowodzenia wrażej cywilizacyji?!

Patrzyła, jak Hetman przepływa wzdłuż ściany. Jaśniejące prostokąty migotały, rozbłyskiwały, ciemniały, bez ładu i składu. A potem Hetman uderzył dłonią w bok jednego z prostokątów, ten zaś przeistoczył się w… ekran.

Dalej uderzać nie trzeba było. Raptem oczom Zofiji ukazały się setki, jeśli nie tysiące jaskrawych obrazów, a z niewidocznych głośników ryknął infernalny jazgot. W powodzi obrazów i dźwięków Zofija przez chwilę rozpaczliwie walczyła o rozeznanie, a potem uświadomiła sobie, na co patrzy.

Na bitwę pod Varsovią widzianą oczyma machin.

– *Transformantes ante portas* – mruknął Hetman.

Istotnie: w międzyczasie wróg zdołał podejść bliżej stołecznych bram. Dużo bliżej. Dystans dzielący niektóre machiny od rogatek dałoby się wyliczyć już chyba w krokach, i to ludzkich. Jeszcze chwila, a transformanty przejdą za linię dział fazerowych, coraz rozpaczliwiej zasypujących je przereklamowanymi promieniami. A wtedy…

Zofija wolała o tym nie myśleć.

Hetmanowi obrót sytuacyji też musiał się nie spodobać; uszu Zofiji dobiegły jego przepełnione gniewem pomruki. Poczuła niepewność jeszcze głębszą niż wcześniej. „Jeśli on się denerwuje – pomyślała – to co mam rzec ja?”

Ale Hetman najwidoczniej nie zamierzał poprzestawać na jałowej werbalizacyji swoich uczuć, bo oto odwrócił się ku Zofiji.

– Odsuń się, waćpanno!

Słowa wypowiedziane zduszonym przez emocyję albo przyłbicę głosem poparł gestem. Zofija skinęła głową i cofnęła dzialota, póki heros nie skinął głową. Tam zatrzymała się i patrzyła.

Nie czekała długo. Hetman odsunął się od epatujących przemocą ekranów, dobył szabli świetlnej, a potem jak nie puści się w morderczy tan! Sala, już i tak jasna, jeszcze rozbłysła malowniczymi erupcyjami iskier. Buch! Ekrany eksplodowały jeden za drugim, a niestrudzony Hetman śmigał tam i sam, gasząc je jak świeczki. Ściana wizyjna była prawie bezkresna, ale zwijał się jak fryga albo i cyga. Już dziesięć procent prostokątów mroczniło się pustką, już piętnaście, już dwadzieścia pięć, już prawie czterdzieści… Zofija przestała kalkulować około kopy. Ogromna sala wypełniła się cuchnącym dymem z rozbitych ekranów, który zmusił ją do odsunięcia się jeszcze dalej. Zrobiło się ciemniej i straszniej, brakowało jej krzepiącego dotyku Hetmana, ale zaciskając zęby, trwała – i nagrywała wszystko.

Już tylko pojedyncze ekrany świeciły w dymiącej czerni ściany. Schowawszy szablę do pochwy, Hetman wybił je kopniakami, a potem odwrócił się do Zofiji.

Choć nie miała prawa widzieć niczego pod przyłbicą, zdało jej się, że dostrzega uśmiech…

A wtedy z porażającym hurgotem, paraliżującym rumorem i przerażającym łoskotem sklepienie runęło im na głowy.

***

Gorący wiatr tchnął Zofiji w twarz i wyniósł ją z zimnych otchłani bezprzytomności na palące światło dnia. Z trudem uniosła powieki i syknęła, gdy promienie zawieszonego w błękicie słońca boleśnie przeszyły jej oczy i mózg. Opuściła je na powrót i dłuższą chwilę dochodziła do siebie, próbując zorientować się, gdzie jest i jak się tu znalazła.

Była w ruchu – nie tylko świszczący w uszach wiatr, ale i przeciążenie członków mówiło jej to wyraźnie. Wisiała w przestrzeni – bezwładnie zwieszone ręce i nogi nie natrafiały na żadną powierzchnię. Ktoś ją trzymał – czuła wokół ciała silne ramię…

Wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie ogromną salę transformantów i zapadające się sklepienie. Potem była tylko ciemność, którą uświadomiła sobie dopiero teraz, w promieniach słońca. Ponownie, lecz tym razem powoli, uchyliła powieki.

Słońce akurat skrywało się za obłokiem. Pierwszy w oczy Zofiji rzucił się pas słucki, pas lity, przy którym świeciły gęste kutasy jak kity. W następnej sekundzie ujrzała czerwono-niebieski kontusz z odrzutowymi wylotami, masywny szkaplerz i charakterystyczną przyłbicę, ale już po samych kutasach wszędzie poznałaby Hetmana.

Heros poznał, że dzierżona przezeń pasażerka odzyskała przytomność. W szczelinach przyłbicy ujrzała wpatrzone w nią oczy, ale zanim rozpoznała ich barwę,

nie wspominając o kryjącej się w nich emocyji, Hetman skinieniem głowy zwrócił jej uwagę na krajobraz.

A ten był rozległy. Zofija aż się zatchnęła, gdy przekręcona ruchem silnego ramienia twarzą w dół zobaczyła ogrom roztaczającej się pod nią panoramy. Zbliżali się do Varsovii, przepływając nad polem bitwy – czy raczej pobojowiskiem. Zofija patrzyła ze ściśniętym gardłem na bezwładne korpusy potwornych machin. Kiedy spotkały swą śmierć, czy raczej awarię krytyczną, od rogatek dzielił je ledwie rzut rogatywką. Teraz pośród kolorowego złomu uwijały się mrówkopodobne sylwetki ludzi obdzierających machinowe trupy.

Łzy pociekły z oczu Zofiji i spadły na wesołe cmentarzysko niczym ciepły majowy deszczyk. „Zwyciężyliśmy" – pomyślała. A potem coś ją tknęło. Odwróciła głowę i spojrzała w zamaskowaną twarz Hetmana. „Czy to on?…"

Nie zdążyła go zapytać, gdy wlecieli nad Varsovię. Hetman zniżył lot i jął wywijać łamańce między wieżowcami, aż Zofiji zaćmiło się w oczach i zaparło dech. Heros pędził tuż nad ulicami i obok okien, jak gdyby chciał się pokazać, jak gdyby chciał zatrzeć wrażenie, które musiał wywrzeć swą mniemaną ucieczką. Nie była pewna, bo w szalonym pędzie wzrok i słuch odmawiały jej posłuszeństwa, ale chyba spotykały go głównie złorzeczenia i potrząsanie szabelkami. „Nie wiedzą, że był w centrum dowodzenia transformantów – pomyślała. – Sądzą, że zjawił się już po wszystkim, gdy machiny z jakichś powodów same wyzionęły ducha…"

Nie dokończyła procesu myślowego, bo Hetman z piskiem lotek zatrzymał się przed gankiem dworkowca przy Mickiewicza 44. Przeciążenie nieomal pozbawiło ją przytomności, ale zdzierżyła. Wokół rozległy się krzyki; to sąsiedzi nie posiadali się z emocyj na widok herosa. Czy były to emocyje pozytywne, to inna rzecz.

Hetman postawił ją na ganku. Dopiero teraz poczuła, jak srodze jest sturbowana. Uśmiechnęła się blado, oczekując, że odleci, zarzuciwszy wyloty kontusza, ale on wciąż unosił się na wyciągnięcie ręki od poręczy ganku i patrzył na nią w milczeniu.

Kiedy cisza zakłócana tylko krzykami sąsiadów stała się krępująca, sięgnął w zanadrze i wyjął kamerę z dzialota.

– Nie trza dziękować, waćpanno – wychrypiał zmysłowo, zanim zdążyła choćby półotworzyć usta i odleciał z furkotem. Dopiero teraz ujrzała, że jedna ręka zwisa mu bezwładnie. Czyżby złamana?…

Nie zdążyła pozbierać myśli, gdy zagłuszył je niezgodny chór sąsiedzkich krzyków. Zamachała niepewnie ręką i wtulając głowę w ramiona, schroniła się w środku. Było nie było była byłą dziennikarką, wiedziała więc dokładnie, co ją teraz czeka.

Ale całe życie sposobiła się do takiej właśnie chwili. I zamierzała to wykorzystać.

***

– **A** każcie z takich fotografii psom szyć buty! – mruknęła Zofija, patrząc na wieści w telepikturze. Wszyscy dysponowali tylko zdjęciami z satelity, a i tak mocno przebranymi, bo hetmanat, sparaliżowany skonem Franciszka Bohomolca, nadal odmawiał upublicznienia wszystkich nagrań, zasłaniając się a to tajemnicą, a to dobrem, a to wreszcie przepisami unijnymi. Dziennikarze logoreą nadrabiali braki w relacyjach, ale za kulisami wydawcy i producenci programów starali się jak mogli, by uzyskać nowe rewelacyjne materiały.

Materiały, które były w posiadaniu Zofiji.

Przed chwilą wyszła z balii, odświeżona się po szaleńczym locie. Tak jak się spodziewała, w interwiciach czekały już dziesiątki odpowiedzi na rozesłaną wcześniej propozycyję sprzedaży nagrań z akcyji Hetmana. Teraz siedząc na otomanie w bawełnianym gieźle, jednym okiem patrzyła w ekran telepiktury, a drugim przeglądała kolejne oferty. Na razie stosunkowo najlepiej wyglądały kondycyje zaoferowane przez Kanał 29, ale to tylko dlatego, że oferta Factumu

okazała się rozczarowująco niska. O pozostałych mniejszych graczach nie warto było nawet wspominać.

Miała właśnie iść do kuchni, gdzie w fotonopiecyku odgrzewała podpłomyk piastowski z podwójnym oscypkiem, gdy przyszła następna oferta. Zmarszczyła oczy, widząc logotyp Kurjera Kasjopejskiego. „Pudelkowska ma czelność?…" – pomyślała i z drżeniem serca kliknęła.

Zamrugała oczami.

Przełknęła ślinę.

Potarła czoło.

Półtora miliona czerwonych złotych galaktycznych przyćmiewało wszystkie inne oferty razem wzięte.

„Muszą naprawdę łaknąć spostponowania Factumu" – pomyślała. Wstała, wyjęła z fotonopiecyka podpłomyk i stanęła przy oknie. Jedząc, nie baczyła, że okruszki spadają na dywan. Patrzyła na późnopopołudniową panoramę stolicy i kontemplowała decyzyję.

Stolica dochodziła do siebie po traumie, jaką była napaść transformantów. Wprawdzie miasto wyszło z opresyji obronną ręką, ale zupełna rujnacyja, niwecz i perzyna były o krok. Jak tu rychło wrócić po czymś takim do normalnego żywota?

Tymczasem Zofija była o krok od normalnego żywota – bez strachu o dzierżawę, a za to z majątkiem zapewniającym długie i dostatnie życie. Wszelako w zamian za tak olbrzymie honorarium baronowa Pudelkowska żądała podpisania stanowiącej integralną część listu umowy na wyłączność – nie tylko na nagrania, ale i na wywiady oraz wszelki kontakt Zofiji z mediami. „Weźmie mię w istny jasyr – myślała. – Ust nie będę mogła otworzyć bez jej konsensu. Czy dependencyja akurat od tej baby to moje marzenie? Czy tego właśnie pragnę?

Wszelako ileż będę mogła sobie porobić sprawunków…"

Podjąwszy decyzyję, niedojedzony podpłomyk zostawiła na oknie dla frubli i wróciła na otomanę. W kilka chwil później westchnęła i posłała do baronowej odpowiedź z apendyksem. Tę pierwszą krótką i stawiającą na nogi, ten drugi duży i zwalający z nóg.

W tej chwili wydawca nadawanych właśnie w telepikturze wieści uznał, że wiadomość z ostatniej chwili jest na tyle porażająca, iż obliguje do podwyższenia intensywności sygnału.

– Proszę waćpaństwa, jesteśmy właśnie świadkami ekstraordynaryjnej sytuacyji! – wołał prezenter, podkręcając wąsa. – Korpusy transformantów na naszych oczach ulegają destrukcyji!

Zofija rozwarła szeroko oczy i patrzyła, jak reporterzy na pobojowisku uciekają przed osypującymi się wydmami piachu, w które zmieniały się barwne pancerze transformantów. Na oczach kamer w proch obracała się potęga straszliwych machin.

– Mamy połączenie z professorem Konstantym Żakowskim! Waszmość panie professorze, czy to, na co teraz spoglądamy, oznacza, że machiny powstały w procesie nanosyntezy?

Na ekranie pojawił się znany już Zofiji sędziwy brodacz.

– Jam to, nie chwaląc się, suponował…

Zofija wyłączyła telepikturę i wstała. Pełen wrażeń dzień trza było zakończyć. Miała przed sobą noc pełną zastanawiania się nad przyszłością. Czuła w sercu zadrę – w końcu musiała znów wejść w komitywę z Pudelkowską i jej dworem – ale cóż zadra znaczy dla serca, z którego spadł właśnie ciężki kamień? Miała oto zapewniony dobrostan i nie musiała nawet palcem kiwać, by…

Hola, hola. Przewinęła swoje myśli. „Dobrostan”? Kto ostatnio wypowiedział przy niej to zabawne słowo?

– Mmmm – mruknęła, przystając na progu alkierza. – Czy to nie…

Nagle wróciły do niej słowa magnatowicza:

„Pozostaje kwestia własnego dobrostanu waćpanny. Powiem tak: jeszcze nie teraz, ale pewnikiem wnet podejmę działania także w tej mierze. Proszę się nie lękać o swą pracę. Proszę mi zaufać, a nie będzie waćpanna żałować".

„Już go nie potrzebuję – pomyślała. – Varsovia jest bezpieczna, a ja mam za co żyć. Wszelako zaoferował pomoc, a przynajmniej okazał, że zna, co to dobre maniery. Powinnam mu podziękować i powiedzieć, że już nie potrzebuje się dla mię fatygować. Chyba nie jest jeszcze za późno na rozmowę?"

Zerknęła za okno, a przekonawszy się, że na niebie wciąż widać zorzę dopiero co zaszłego słońca, sięgnęła po telefon.

– Tu mówi Zofija Dociekliwska. Byłam niedawno z wizytą u pana – powiedziała słudze z wystudiowaną pewnością siebie. – Czy mogę…

– Pan jest niedysponowan – przerwał sługa.

– Niedysponowan? Jakże to?

– Kontuzyja. Będzie zdrów w ciągu kilku dni.

– Przecie jeszcze…

– Proszę zadzwonić za kilka dni.

Sługa rozłączył się. Zofija jeszcze przez chwilę trzymała słuchawkę przy uchu, a potem odłożyła ją krzywo.

Coś, jakieś przeczucie przeniknęło jej jestestwo. „Kontuzyja? – pomyślała. – Jaka kontuzyja?…"

Oszałamiające podejrzenie dotknęło granicy pewności i przekroczyło ją. Była to wszakże pewność chwili, którą trzeba rozniecić, by nie wygasła. Zofija zawróciła i klapnęła z powrotem na otomanę. Po chwili żeglowała już po interwiciach, wyszukując co się dało na temat Hetmana. W zalewie informacyj szukała czegokolwiek, co mogłoby potwierdzić jej szalona tezę.

I znalazła ją.

Ścisnęła skronie palcami. Tajemnicza kontuzyja Tadeusza i bezwładna ręka Hetmana. Prośba Tadeusza o dane kontaktowe Zofiji a pojawienie się Hetmana przy jej dworkowcu. Zapowiedź Tadeusza, że zatroszczy się o jej dobrostan *versus* umożliwienie jej przez Hetmana nakręcenia wyjątkowego filmu oraz uratowanie kamery z katastrofy. Nieprzebrane bogactwo Tadeusza *contra* wymagająca nieprzebranego bogactwa technologia wykorzystywana przez Hetmana. A teraz jeszcze to…

Patrzyła na dwie daty – datę ostatniego publicznego pojawienia się Hetmana w ryczących rozbryzgach wodospadu i datę ogłoszenia skonu Kanclerza Wielkiego Koronnego Świętopełka Koniecgalaktyckiego, którego okoliczności nigdy nie podano do wiadomości publicznej.

Były tożsame.

Kiełkujące w jej duszy ziarenko podejrzenia zmieniło się w dąb pewności.

Świętopełk Koniecgalaktycki był Hetmanem, a teraz, po dłuższym interwale, jego syn, dziedzic olbrzymiej fortuny, Tadeusz, przejął po nim herosową schedę.

Serce jej łomotało, gdy biegła do aerobryki. Prócz sąsiadów drogę zachodzili jej i dziennikarze, ale nawet gdyby nie zakaz kontaktów z mediami, na który zgodziła się w umowie z Kurjerem, nie miałaby czasu na rozmowy. Machając przepraszająco ręką, wsiadła do aerobryki i ruszyła z maksymalną dozwoloną prędkością.

Miała nadzieję, że zgubi dziennikarzy.

***

– **P**an nie przyjmuje gości.

– Jestem Zofija Dociekliwska, byłam tu…

– Pan jest chory, nie przyjmuje nikogo.

– Proszę mu powiedzieć, że w sprawie filmu! To ważne!

Cisza. Gryząc wargi, Zofija czekała na powrót odźwiernego. „Może po prostu nie chciał już ze mną gadać" – myślała, drżąc z antycypacyji, ekscytacyji i zimna. Wybiegając, zdążyła tylko wzuć trzewiki, a teraz nocny chłód z łatwością przenikał cienkie giezło.

– Pan prosi – rozległy się wreszcie upragnione słowa. Niebawem Zofija stąpała już przez przepyszne sale pałacu ku bibliotece, gdzie oczekiwać ją miał Tadeusz Koniecgalaktycki.

Kiedy wstąpiła do wnętrza drzwiami uchylonymi zamiast przez fotokomórkę, to staroświecko przez żywego sługę, ujrzała Tadeusza. Na widok bandaża spowijającego rękę półleżącego na szezlongu młodziana poczuła targnięcie serca. „A więc to prawda – pomyślała. – A więc Koniecgalaktyccy to Hetmani".

– A więc wiesz, waćpanno, wszystko – powiedział magnatowicz swoim normalnym głosem, w którym Zofija wyczuła jednak teraz seksowne niskie nutki charakterystyczne dla sposobu wysławiania się Hetmana.

– Wiem – szepnęła, choć chciała rzec głośno. Właśnie wszystko potwierdził.

– Skąd?

– Domyśliłam się – rzuciła drżącym głosem. – Interwici też pomogły.

Pokiwał głową, a potem wstał i podszedł do otwartego okna. Stała, czekając, sama nie wiedziała na co.

– Wiesz, waćpanno, że musi to pozostać między nami?

Chciała odpowiedzieć, że rzecz jest jasna, lecz nieoczekiwanie dla samej siebie zmieniła zdanie.

– Ja powiem tak, ale ktoś inny uzna inaczej – rzuciła pozornie beznamiętnym głosem.

Odwrócił się i spojrzał na nią bacznie.

– Źle na tym, waćpanno, nie wyszłaś.

– Wiem. – Zapłoniła się. – I dziękuję.

– To ja dziękuję – wyrzucił z siebie. – Dzięki tobie zmieniłem zdanie. Nie chciałem być Hetmanem, choć ojciec mię do tego przygotowywał. Widziałem, co ta praca z nim robi. Nie wracał ranki i wieczory, a ja we łzach go czekałem i trwodze. W ostatnich latach życia zmienił się okrutnie. Nie dość, że postradał kondycyję i potencyję; na domiar złego wspaniałą technologię, którą wcześniej wykorzystywał dla dobra ludzkości, zaczął wykorzystywać do podrywania panienek. Zginął właśnie przez jedną taką. Ja ślubowałem tedy, że nie będę Hetmanem i nie dam się zwieść kobietom. Gdy wszakże odziedziczone po ojcu ultraczułe instrumenty powiadomiły mię, co czyha pod wzgórzami… Gdy jeszcze do tego ujrzałem ciebie, wtedy, podczas tamtego nudnego przyjęcia, gdy Kasandrycki wieszczył, na które przyszłaś spóźniona…

Zofija żachnęłaby się, gdyby nie to, że jej zdumienie narastało zbyt szybko. Przed oczyma stanął jej magnatowicz tamtego wieczora – znudzony, zblazowany młodzian. Czy to możliwe, że już wtedy?…

– Wiedziałem, co się szykuje – podjął, opanowując niemęskie drżenie głosu. – Wiedziałem, że muszę coś zrobić. Wszelako wiedziałem też, że ogólnonarodowa panika jest dla Dalekopolski nie mniej *periculosa*. I że muszę ocalić tajemnicę mej rodziny. Więc nie mówiłem nic, a pilnie się sposobiłem. Serce mi krwawiło, gdy musiałem kłamać. Najbardziej, gdy kłamałem…

Urwał i spojrzał Zofiji głęboko w oczy. Czuła, co chce rzec, ale on musiał powiedzieć to głośno. Nie zamierzała mu przeszkadzać. Czy naprawdę on ją…

Tadeusz nie zdążył dokończyć wypowiedzi, a Zofija myśli, gdy stał się dziwny omen. Oto raróg, wcześniej latający swobodnie po zamku, lecz teraz, pewnie za przyczyną nocnej pory, drzemiący z dziobem spuszczonym na kwintę, zleciał nagle z wbitego w ścianę drążka i wpadłszy między oboje, jedną nogę postawił na dłoni panny, a drugą ucapił zdrową rękę magnatowicza. Zdumieli się, a on począł kwilić

radośnie i przyciągać do siebie ich ręce tak silnie, że musiały się zetknąć. Po obojgu przeszło mrowie. Zofija pokraśniała, magnatowicz zbladł. Milczeli ciężką chwilę.

– Czytałaś? – mruknął na koniec tkliwie.

– Streszczenie – przyznała skromnie, spuszczając wzrok.

Znów zamilkli. Jedwabne frędzle oczu eks-dziennikarki podniosły się wreszcie i wzrok jej padł na twarz magnatowicza jakoby jasny, ciepły promień słoneczny. Poczuł, że serce mu taje jako śnieg na wiosnę.

W tej akurat chwili siwy raróg kimnął się znów i byłby rymnął jak długi na ziemię, gdyby Tadeusz nie podniósł go i nie postawił z powrotem na drążku. Kiedy się oddalił, Zofija zdołała się pozbierać. „Muszę zachować się godnie" – pomyślała. Kiedy odwrócił się z powrotem do niej, miała już gotową przemowę.

– Jestem ubogą szlachcianką – zaczęła – urodzoną, wychowaną i mieszkającą w komunalnym dworkowcu. Nie dorównuję Waszej Miłości ni fortuną, ni urodzeniem, ni…

– Ciii… – Tadeusz podszedł w dwóch krokach i położył jej palec na ustach. Oniemiała spojrzała z bliska w jego oczy i nagle zadała sama sobie pytanie, jak wcześniej mogła ich nie poznać za przyłbicą. Teraz czuła, jakby znała je od lat. – Pozwól, waćpanno, że zaneguję. Naprzód, nie myślę ja tego, aby polska szlachcianka czymś podlejszym od angielskich i francuskich być miała. Po wtóre, nie pierwszyzna to Koniecgalaktyckim ze szlachciankami się żenić, jako interwici liczne podają tego przykłady. Po trzecie wreszcie…

Teraz to on nie dokończył, bo odtrąciła jego dłoń, wspięła się na palce i zmiażdżyła mu usta w gorącym pocałunku. Przebudzony cmoknięciem raróg rozkwilił się skrzypliwie, a Tadeusz, wciąż szczepiony pocałunkiem z Zofiją, sięgnął zdrową ręką ku najbliższemu regałowi. Szczeknął ukryty mechanizm i otwarła się garderoba, z której młodzian wydobył husarskie skrzydełka. Nałożywszy je

niezdarnie, porwał zdrowym ramieniem nienasyconą kochankę i wyfrunął przez okno ku skąpanym w świetle księżyców wzgórzom pasma Robakowego Kaptura.

Mieszkańcy Dalekopolski byli bezpieczni pod skrzydłami Hetmana, a Zofija w jego ramionach.

Jan Siwmir

JEST TAKI KRAJ

Gdzieś daleko płynie rzeka…

To był dla Waldka pechowy dzień. Nie tyle gorący, ile duszny. Pełno rozbrykanych dzieciaków, na których trzeba było skupić całą swoją uwagę, zapomniał zegarka, a przy wychodzeniu z domu stłukł lampkę. Niby nic wielkiego, ale kilkanaście złotych będzie to pewnie kosztowało. Idąc rano na swój samotny posterunek przy wydzielonej na dojście do kąpieliska plaży, zastanawiał się, jakich użyć argumentów, by Agnieszka zdecydowała się zjeść z nim kolację. Najlepiej połączoną ze śniadaniem.

Grupka rozbawionego towarzystwa, mijając go, tak się zachowywała, jakby był bezpańską puszką znalezioną przy śmietniku, którą można rozegrać podwórkowy mecz. Waldek wylądował na parkanie. Wysoki jasnowłosy mężczyzna popchnął go w kierunku drzewa, ale na szczęście wysportowany Waldek zdołał zrobić unik, odwinął się i przyłożył tamtemu w zęby. Obrzucili go taką wiązanką, że z samego jadu, jakim ociekało każde słowo, można by porobić szczepionki dla kilku społeczeństw. Pewności nie miał, ale sądząc z opisu, dołożył właśnie kręcącemu się wokół Agnieszki facetowi.

Popatrzył na niebo. No tak, nie zejdzie dziś z pracy wcześniej. Plażowicze do zmierzchu będą chcieli się kąpać.

Wyjął kamizelkę ratownika, wciągnął białą flagę i przygotował lornetkę. Czujność była wpisana tłustym drukiem w jego umowie o pracę. Nie odrywając wzroku od kilkunastu wyrostków wykonujących salta w wodzie, podświadomie zarejestrował coś dziwnego pod swoimi stopami. Omiótł jeszcze wzrokiem

niewysoką dziewczynkę, zawzięcie pertraktującą z rodzicami o pozostanie w wodzie, popatrzył na kajaczek z dwiema biuściastymi nastolatkami wypływający zza szuwarów i dopiero spojrzał w dół. Piasek zapadał się nie pod nim, ale obok. Maleńkie ziarenka samodzielnie wędrowały w dół, a później wjeżdżały windą w górę. Pokręcił głową. Dziwne zjawisko. Zwłaszcza ta winda. Powrócił do obserwowania ludzi. Uderzony z tyłu nadmuchiwaną plażową piłką westchnął i obrócił się. Dwójka chłopców z tatusiem przepraszała zawzięcie. Nic nie szkodzi. Zdarza się.

Agnieszka jak zwykle przyszła około dwunastej. Zakryła mu z tyłu oczy i kazała zgadywać, kto to.

– Caryca Katarzyna? – zaryzykował.

– Nie. Zgaduj dalej, masz trzy szanse.

– Jeszcze trzy, czy liczysz łącznie z tą pierwszą?

– Łącznie, szanowny panie księgowy, łącznie.

– Profesorka od matematyki?

– Nie. – Przeczeniu towarzyszył kopniak kolanem w plecy.

– Wiem, już wiem, to pewnie Aga, moja Pretty Woman. – Waldek przyśpieszył zgadywanie, bo ratownik bez oczu kojarzył mu się z budynkiem bez okien. I nawet schronem nie można by go było nazwać.

Agnieszka przesłała mu całusa na odległość i rozłożyła obok niego ręcznik. Lodowaty wietrzyk musnął ich oboje po plecach. Waldek schował głowę w ramiona i podniósł lornetkę.

Piasek przesypywał się coraz szybciej.

– Nie zamontujesz tego zabezpieczenia? – Dziewczyna patrzyła na odpiętą od metalowej rury klamrę.

Kiedy ojciec dowiedział się, że syn zamierza pracować jako ratownik, wyłożył niemało pieniędzy na specjalistyczne urządzenie, które po przyciśnięciu jednego guzika z niezwykłą siłą wyciągało przepasanego liną człowieka na brzeg.

– Montuję, montuję. – Chłopak westchnął i podniósł się z miejsca. Kolejna rzecz, o której zapomniał.

– Możesz spojrzeć na moje plecy? – jeszcze raz zagaiła Agnieszka. – Chyba za bardzo się spiekłam.

– Nie jest źle – Waldek był trochę rozkojarzony – ale dziś lepiej wystaw do słońca twarz. – Znowu zrósł się z urządzeniem do podglądania.

Dziewczyna zirytowała się. Cholerny pracuś. Popatrzyła wrogo na siedzącego obok chłopaka. Wyraźnie dojrzewał do powiedzenia czegoś.

– Zdecydowałaś już, którego z nas wolisz? – Pytanie padło zza parawanu lornetki. Waldek nie znał swojego konkurenta, ale słyszał o nim dużo. Głównie od Agnieszki. Teraz trochę było mu wstyd, że wypowiedział te słowa łamiącym się głosem.

– Może – zimno odpowiedziała dziewczyna, zgarniając do torby kosmetyczkę z olejkiem. Otrzepała ręcznik. – Przyjdę, gdy będziesz bardziej mną zainteresowany.

– No coś ty, Aga! – Ratownik zerwał się.

– See you – dobiegło go z drugiej strony drogi.

Waldek obrócił się w kierunku rzeki. *To nie jest mój dzień*.

Ziarenka piasku ułożyły się w kształt klepsydry. Nadciągnęły chmury. Krajobraz lekko poszarzał. Słońce mówiło do widzenia.

Okrągłe okna lornetki pokazywały w polu widzenia coraz więcej kajaków, rowerów wodnych, a nawet, ku swojemu zdziwieniu, Waldek zobaczył ponton. Szerokie rozlewisko rzeki sprzyjało wszelkiego rodzaju rekreacji. Coś pacnęło na grzbiet trzymanego przez niego urządzenia. Biała śmierdząca plama zirytowała chłopaka. Wytarł ją chusteczką.

Piasek wirował, tworząc lejek. Wielkie cienie przemknęły cicho pod wodą, robiły rozpoznanie, węszyły w poszukiwaniu ofiar. Chmury na niebie sczerniały.

Nagła i potężna różnica temperatur dotarła do kąpiących się beztrosko ludzi. Zapadła cisza. Drobinki piasku pomknęły w górę przerażone. Rzeka spęczniała, wody przybywało coraz więcej, drgało już wszystko, wibrowały drzewa, ptaki masowo odlatywały w popłochu. Panika ogarnęła wszystko, co żyło.

Waldek przed chwilą zmienił flagę, przez megafon nakazał wszystkim opuścić wodę i jak najszybciej odjechać.

– Zostawcie wszystko, nie zabierajcie rzeczy, nie przyczepiajcie kajaków. Musicie natychmiast opuścić to miejsce! – wrzeszczał ochryple.

Spuszczony ze smyczy strach leciał na oślep, tratując po drodze wszystko. Legenda o utopcu mieszkającym w gardle Starej Wiedźmy, jak nazywano rzekę, ożyła.

Samotny mężczyzna w bejsbolowej czapeczce wiosłował rozpaczliwie do przeciwległego brzegu. Waldek obserwował go przez moment, ale kiedy zauważył, że jego ponton okręca się niczym nadmuchiwany bączek, zawiązał sobie linę wokół pasa i skoczył na ratunek. Czeluść rzeki przypominała mulisty labirynt. Na nos, na intuicję, na doświadczenie, na nie wiadomo co, ratownik pruł do przodu. Wiry pętały mu nogi, jęcząc: „chodź, chodź, zabawimy się”. Wpłynął w bulgoczącą, rozwartą naprzeciw niego paszczę. Gorejące ślepia patrzyły na niego z wściekłością.

– Czekaj, Stara Wiedźmo. Ja ci jeszcze pokażę. – Odbił się w kierunku powierzchni, żeby zaczerpnąć powietrza i zanurkował z powrotem.

Dotknął ręką pikującego w dół pontonu. Obok, wsysany jeszcze szybciej, przepływał obły, bezwładny, ludzki kształt. Trochę poprawiła się widoczność. Waldkowi wydawało się, że zobaczył długie jasne włosy chłopaka, z którym rano się bił. Rzeka zaświszczała ironicznie. Podziemny grzmot o mało nie wyrwał mu trzymanego za koszulę człowieka. Smród przetrawionego piwa zmieszał się z

gardłowym rzężeniem przyrody. Woda śmiała się głosem Agnieszki. Okazja – szeptała – okazja, okazja.

Jak łatwo byłoby skręcić mu kark – pomyślał Waldek.

Obrócił się i owinął wokół trzymanej postaci. Wsunął rękę pod rozpuszczone, falujące w wodzie włosy. Lina napięła się przerażona. Zacisnął palce…

Piasek na brzegu rozpoczął rytualny lament.

Niedbale zamontowana w południe klamra zabezpieczenia otworzyła swoje metalowe bolce. Błysk zdumienia, akt skruchy, kropla żalu, błaganie o litość. Za późno. Stara Wiedźma, parskając i bekając, pochłonęła swój pierwszy od wielu lat, podwójny posiłek. Zawarczała jeszcze groźnie, zachichotała i ułożyła się wygodnie w korycie. Trawiła.

Część ludzi powoli wracała nad wypogodzoną plażę, część bezpowrotnie odjechała, złorzecząc. Grupka pijanych studentów zdecydowała się pójść do namiotów. Pomyśleli, że Zbyszek z pontonem pewnie już tam jest. W kawiarni na starówce Agnieszka popijała niezwykle słodką kawę. Koło niej siedział wysoki jasnowłosy mężczyzna.

Gdzieś daleko rośnie ziele…

– **W**yskocz i dociągnij ją do brzegu. – Artur okazał się urodzonym przywódcą. – Tylko tym razem porządnie zawiąż linę. Nie mam ochoty na nocną kąpiel i zabawę w poszukiwanie łódki.

Bartek wykonał zadanie nadzwyczaj sprawnie i szybko. Był zmęczony, chciał się położyć, a w ogóle to miał dosyć tej kompletnie nieudanej eskapady z facetem w roli obozowego kapo. Teraz też usłyszał:

– Nie żryj tego, do cholery. Wszystko co zielone musisz sobie do pyska wsadzić? Kto cię będzie ratował, jak się strujesz? Ja?

Króciutko ostrzyżony chłopak wzruszył ramionami. Zmierzchało się. W oddali słychać było pierwsze odgłosy burzy. Rozbicie namiotu stało się ważniejsze niż jakiekolwiek kłótnie.

Ledwie zdążyli upchnąć ostatni bagaż, gdy pojawiły się pierwsze krople deszczu. Pojedyncze, ale wielkie niczym groch. Plaskały nieprzyjemnie o cienką tkaninę namiotu. Z czasem deszcz zaczął wypróbowywać swoje muzyczne zdolności. Largo, allegro, presto. Werble dudniły o napięty materiał, drzewa dorzucały szumiący akompaniament, ziemia, mlaskając, podrzucała w górę pecyny nutek.

Arturowi takie odgłosy z niczym się nie kojarzyły. Zasnął niemalże natychmiast. Jego kolega zazdrościł mu tej niewrażliwości. Dla niego burza w lesie stanowiła przeżycie ekstremalne. Wsłuchiwał się czujnie we wszystkie odgłosy i z przerażeniem notował najmniejszą w nich zmianę. Przez chwilę płynęła równa, kojąca melodia szemrzącego strumienia. Bartek patrzył na mocną, gładką szyję śpiącego chłopaka, na jego wąskie przeguby rąk, na tętniącą życiem żyłkę na skroni. Płynęli razem przez tydzień, a każdy dzień był gorszy od poprzedniego. Agresja Artura narastała. Jakby chciał swego partnera sprowokować, sprawić, żeby choć raz mu się przeciwstawił, zbuntował. Bartek nie potrafił.

Wczoraj mieli dotrzeć do wsi, z której można było złapać autobus do Warszawy. Zamierzał wrócić. Co poszło nie tak? Kiepska mapa, brak rozeznania w terenie? A może Artur uparł się go zatrzymać?

Podniósł głowę do góry, bo wydawało mu się, że coś się na zewnątrz zmieniło. Łopot skrzydeł? Niemożliwe. Uniósł się na ręku i nasłuchiwał. Las ożył. Wolne, miarowe kroki zbliżały się do namiotu, cichy jęk wplatał się w korony drzew. I te skrzydła! Ocieniały ich schronienie raz po raz. To nagarniały wodę, to rozgarniały ją na wszystkie strony. Ich szum powoli pełznął lodowatym zimnem po ciele chłopaka. Chciał obudzić Artura, lecz nie mógł się ruszyć. Patrzył na niego bezradnie i prosił oczyma „wstań, pomóż mi”. Odpowiadał mu spokojny oddech.

Przez Bartka przepłynęła fala nienawiści. Drań.

Maleńka kropelka deszczu przedarła się przez impregnaty i spadła mu na twarz. Czyjeś mgliste, mokre palce wsunęły się przez okienko. Poczuł słodki, mdlący zapach krwi. Odzyskał zdolność ruchu…

Drżącymi rękoma mozolnie rozsupływał kolejne zabezpieczenia przy wyjściu. Pragnął uciec. Uciec od tego potwornego krzyku, który rozsadzał mu wnętrze.

Z lasu dobiegł go pusty śmiech. Przywoływał. Bartek oparł się o drzewo, wzrok miał martwy. Pojął, że to koniec. Nie wyrwie się. Coś przeleciało nad jego ramieniem, deszcz otulił go ciepłym kaftanem. Patrzył, jak strużki wody żłobią swoje własne koryta wzdłuż łysej czaszki Artura, jak przemywają jego otwarte, oszołomione niedowierzaniem oczy. W desperackiej nadziei ruszył w kierunku rzeki, trzymając kurczowo odciętą głowę kolegi. Krople deszczu nabrały purpurowego koloru.

Gdzieś daleko stoi dom…

Anna była córką policjanta. Na swoje szczęście czy nieszczęście – trudno powiedzieć. Chronił ją, jak mógł, był na każde skinienie, otaczał opieką, kupował wszystko, co chciała, nie dał skrzywdzić. Nikomu. Była jego klejnocikiem, księżniczką, ukochaną maskotką, bez ucałowania której nigdy nie wyszedł do pracy. Nie gardził żadną propozycją zarobku, byle tylko żyła w luksusie. Dwa lata temu rozpłynął się w nocnej ciszy niemal na oczach uwielbianej córki. Tak po prostu. Zamknął za sobą drzwi i w ułamku sekundy zniknął. Jedna kropelka krwi na przesiąkniętym wodą liściu ogrodowej szałwii sprawiała wrażenie bezradnej poszlaki, niemogącej się zdecydować, czy znikniecie było dobrowolne, czy nie. Przygarnięty tuż przed tym zdarzeniem kot także odszedł, a razem z nimi część duszy Ani. Zupełnie jakby ktoś podłączył odkurzacz do jej trzewi i wyssał całą życiową

energię. Bała się. Dopiero od kilku miesięcy rumieńce pojawiły się na jej twarzy, zaczęła dostrzegać promienie słońca i intensywne zapachy wiosny w powietrzu. Wraz z Anią rozbudził się jej ogród. Do tej pory zaniedbany, przywiędły i jakiś taki… smutny. Teraz rozkwitał z każdym wejściem Kornela do ogrodu. Obiecał, że będzie jej bronił. Wierzyła w to. Bardzo.

– Gwiazdeczko ukochana. – Mężczyzna wbiegł z impetem do pokoju. – Już jestem.

Odpowiedział mu radosny pisk Ani i Rudzika. Tak nazwali rudowłosego kocura, którego znaleźli kilka dni temu na progu domu. Poobijany, nadgryziony gdzieniegdzie, z wytartym na brzuchu futrem odzyskał u nich zdrowie, starając się za to odwdzięczyć na swój własny, koci sposób. Podpatrywał, co robią i naśladował we wszystkim. Oboje rzucili się na Kornela.

– Dzwonili z agencji. Ach, nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę. Mają dla nas dom, taki jak chcieliśmy. Pięć pokoi, dwie łazienki, salon. Przesłali faksem zdjęcie. – Dziewczyna tak szybko chciała przekazać wiadomość, że zabrakło jej tchu. – Jutro możemy go obejrzeć. Cena też jest przystępna…

– Na pewno nie będzie ci żal opuszczać tej okolicy? – Kornel ucałował roześmiane, ogromne oczy.

– Na pewno nie będzie. Te ściany przesiąkły moim cierpieniem. Im szybciej się stąd wyrwę, tym lepiej. Niech ten wstrętny dom żyje swoim własnym życiem. Mam go dość. Ale nie chciałabym sama wybierać. Pojedziesz ze mną?

– Jasne, Perełko. Wezmę wolny dzień i wybierzemy się na wycieczkę. Daleko?

– Koło Piotrkowa Trybunalskiego. Na wsi. – Ania spuściła oczy, popatrując spod rzęs na swojego chłopaka. – Nie masz nic przeciwko temu?

– Nie jest to może szczyt moich marzeń – śmiech beztrosko tańczył pośród ścian – ale przecież wiesz, że ja za tobą na koniec świata pożegluję.

Przygarnął „swój skarb” do siebie i łaskotał po plecach i karku. Kot stał, patrząc ponuro. Szparki oczu zwęziły się. Coś usłyszał. Coś wyczuł. Zadzwonił telefon. Jego dźwięk był nie na miejscu. Szkodliwy. Toksyczny dla ucha. Kornel słuchał, a jego czoło marszczyło się i pochmurniało z minuty na minutę.

– Tak. Będę…

– Co się stało? Nie chcesz powiedzieć, że wychodzisz?

– Katastrofa na Polach Mokotowskich. Potrzebują rąk każdego chirurga. Siedemnaście ofiar, dwustu czterdziestu rannych. Samolot się rozbił. Obejrzysz ten dom sama, kochanie, i zdecydujesz. Zgadzam się na wszystko. – Zaczął się szybko ubierać.

Kot słuchał czegoś za oknem. Lekko zapukały o szybę gałęzie. Zrywał się wiatr. Rudzik zastrzygł uszami i otrząsnął się.

– Nie wiesz, gdzie rzuciłem kluczyki od wozu?

Ania podała kluczyki i pilota do bramy. Zdawało się jej, że wielki cień przysłonił resztki zachodzącego słońca. Okna pociemniały złowrogo.

– Nie jedź obok parku – poprosiła cicho. – Zdaję sobie sprawę, że to głupie, ale bardzo cię proszę, nie jedź.

– Dobrze. – Kornel z roztargnieniem ucałował czubek jej nosa.

Wiedziała, że jej nie posłucha. Zapomni o jej prośbie już za progiem. Liczyli się tylko pacjenci, przysięga Hipokratesa, misja niesienia pomocy itd. *Ciekawe, czy kiedy już uzna mnie za wyleczoną, to zostawi? Zdrowi ludzie są tacy nudni* – przypomniała sobie jego słowa. Patrzyła, jak wiąże buty. Zupełnie inaczej niż wszyscy. Najpierw pętelka, później druga i dopiero przewlekał. Czubek głowy też miał inny niż wszyscy. Dopiero teraz to zauważyła. Bardziej płaski, prawie bez włosów i taki intensywnie czerwony.

Nagle poczuła strach. Potężna dawka adrenaliny sprawiła, że zachwiała się na podobieństwo targanych wiatrem drzew za oknem. Kot zaczął powoli wpełzać pod

kanapę. Kornel złapał za klamkę, ale przypomniał sobie o swojej torbie lekarskiej. Nigdy nic nie wiadomo. Może się przyda. Zbiegł z piętra. Jeszcze raz ucałował swoją dziewczynę, okręcił ją ze dwa razy wokół siebie i wyszedł za próg.

Trzasnęły drzwi.

Głucho zawył wiatr.

Liście zaczęły swoje szepty.

Nie wróci. Umrzesz. Nie powiemy nikomu – huśtały się gałęzie…

Ania zobaczyła otaczające jej dom świetliste kręgi. Wybiegła do ogrodu. Zakryła uszy rękoma i zaczęła histerycznie krzyczeć:

– Na pooomoc. Raaatunku!

Poczuła, jak na jej gardle zaciska się gruby sznur. Wielkie kosmate łapy dławiły krzyk. *Nie chcę umierać* – wyrywała się rozpaczliwie. *Walcz* – myślała – *walcz do upadłego.* Udało się jej na chwilę wyswobodzić. Pobiegła w groźną ciemność, ale przeciwników było coraz więcej. Otaczali ją, szarpali, bili. Pośliznęła się na czymś i upadła. Podnosząc się, miała w ręku kamień. Uderzyła z całej siły w gryzącą ją po nogach furię. Odpowiedzią było nieludzkie wycie.

W świetle latarek dało się zobaczyć ciemne ludzkie postacie – kilkanaście osób z namiotów rozbitych nieopodal posiadłości zaginionego policjanta. Patrzyli na pokrwawiony, ludzki strzęp.

– Pomóżcie mi – szeptała przerażona Ania. – Pomóżcie.

***

Zainstalowane przez Kornela kamery, dyskretnie rozmieszczone wokół posesji, zarejestrowały wszystko bardzo drobiazgowo. Kuchenny nóż w rękach dziewczyny, ogromne przedśmiertne zdziwienie na twarzy Kornela, szaleństwo broniącego go kota i obłąkańczy bieg morderczyni przez krzaki malin i bzu. Sznur od bielizny powoli kołysał się na gałęzi dębu.

Poprzednim razem nikogo na tym odludziu nie było.

Obok wykopanego dołu leżał ogrodowy wąż. Według prognozy pogody następnego dnia miało padać.

Gdzieś daleko snuje się mgła…

Budynek opleciony był imponującym bluszczem. Kaskada napęczniałej deszczem zieleni pięła się, omijając okna, aż po sam dach. Stare mury nie nagrzewały się tak łatwo. Chłód, jaki obiecywały, zapraszał do środka. Wabił. Innego zdania byli pensjonariusze Domu Spokojnej Starości. Zimno, jakie odczuwali w swoich pokojach nawet w najbardziej upalne dni, wyganiało ich na zewnątrz i powodowało, iż wracali niechętnie, z trudem akceptując konieczność spożywania posiłków w jadalni. O ileż przyjemniej byłoby na dworze!

Z samego rana, jeszcze przed śniadaniem, młoda dziewczyna zbierała śmieci z otaczającego budynek parku. Resztki jedzenia, papierki po landrynkach, fragment czasopisma, butelki po sokach, papierowe kubki. Rodziny, które odwiedzały przebywających tu ludzi, przynosiły łakocie, dodatkowe jedzenie, nierzadko alkohol. Jak dzieci. Nie rozumieli, że starsi ludzie nie wszystko mogą zjeść i wypić. Tylko wieści ze świata były pożyteczne. Każdego dziadka, każdą babcię bardziej interesowało, kto się urodził wnuczce Halinki, jaką sukienkę do ślubu miała siostrzenica Marysi, a czy ten średni chłopak Goździakowej wyszedł już z więzienia. Lustracja, deubekizacja czy aborcja to były tylko erzace.

Dziewczyna przykucnęła i wyciągnęła spod ławki sztuczną szczękę. Schowała ją do kieszeni fartucha. Co dzień to samo. Zastanawiała się, czy któregoś dnia nie znajdzie szczęki w łóżku, a jej właściciela, miłego, wąsatego Zygmusia, obok fontanny. Tu wszystko było możliwe. Jej matka, pracująca w Domu Starców od dwudziestu lat, opowiadała, jak przy pełni księżyca zdarzało się spotykać lunatyków,

jak w czasie burz kobiety krzyczały, bijąc rękoma i głowami w ściany. Jak znajdowano wisielców w ogrodzie, kiedy deszcz i słota zbyt długo nie odchodziły, wyczekując ofiar.

Zbliżał się koniec posiłku, wobec czego dziewczyna przyspieszyła. Należało zejść do kuchni, pomóc w sprzątaniu, a przede wszystkim zejść z drogi rozgadanej, sapiącej czeredzie opuszczającej jadalnię.

Ochłodziło się potężnie. Dziewczyna popatrzyła na kilkuosobową grupę kobiet, odłączających się od reszty towarzystwa. Krótkie rękawki, spódnice, lekkie cukierkowe sweterki przewieszone przez ramię, wełna i druty do robótek wepchnięte niedbale w sizalowe torebki. Jedna, wstrząśnięta zimnym pazurem wiatru, zawróciła do budynku. Pozostałe poczłapały w kierunku altanki. Nie miały daleko. Kilkanaście metrów. Nikt tam ostatnio nie lubił chodzić, bowiem budowla zarosła niemiłosiernie i trzeba było przedzierać się przez zieloną ścianę pokrzyw. Ogrodnik od trzech tygodni leżał w szpitalu.

Kobiety jednak się uparły. Laskami wygniotły przed sobą przejście. Rozłożyły gazety na ławkach, rozejrzały się dookoła, ponasłuchiwały trochę, aż w końcu jedna z nich, z małego, obdartego woreczka, wyjęła łup. Pozostałym zaświeciły się oczy. Pomasowały sobie ramiona wstrząśnięte dreszczem podekscytowania. Na umiejscowionym pośrodku pomieszczenia stoliku leżało pięć widokówek. Właściwie zdjęć, kolorowych, wykonanych na błyszczącym papierze. Każda z nich chciała chociaż przez chwilę dotknąć lśniących prostokątów.

Powietrze zwilgotniało. Sapanie stało się bardziej przejmujące. Od pola sunęła mętna, brejowata, gęsta mgła zatykająca łapą oczy wszystkiemu, co żywe. Lizała po drodze płot, liście na ścieżkach, gałązki krzaków. Wsysała małe żuczki, czające się pod resztkami kory gąsienice, ledwie oddychające tłustym, skraplającym się powietrzem jeże.

Do altany doszła niepostrzeżenie. Wdarła się tam powoli, kapiąc do środka jak trucizna. Ale kiedy już się pojawiła, szybko spowiła w swą mglistą suknię cztery postacie przyciskające do piersi zdjęcia.

Oziębiło się jeszcze bardziej. Chmury, poczerniałe jak spalona trawa, schodziły coraz niżej. Ptaki oniemiały na chwilę. Cisza dźwięczała w uszach, krew przejmująco łomotała w skroniach, wyrywając się na wolność.

Mgła nieznacznie zmieniła kolor, westchnęła i poczęła odpływać. Dalej i dalej…

Gdzieś znienacka zakukała kukułka. Odpowiedział jej przerażony krzyk pawia.

Czerwona rosa skropliła się na podłodze altany. Trzy ludzkie, bezwładne postacie zastygły w jej wnętrzu na wieczność.

Czwarta kobieta wytarła drut do dziergania o spódnicę. Przykucnęła, zbierając swoje szczęście. Podniosła do góry widokówki. Na lśniącym gładkim papierze odcisnęła ślad swoich mocno umalowanych, pomarszczonych ust. Potem drąc zdjęcia na maleńkie kawałeczki, zjadała je, delektując się smakiem i dygocząc z rozkoszy. Z każdego strzępu patrzył na nią inny fragment wysmarowanych oliwką mężczyzn. Blondyni, bruneci, łysi…

Wszyscy byli nadzy.

Gdzieś daleko żyje ptak…

T*ylko nie to!* – pomyślał młody zwalisty mężczyzna, wtulając szyję w ramiona. Utkwił wzrok w iskierkach ognia wydobywających się z nielegalnie rozpalonego ogniska. Nielegalnie, bo w trzecim tygodniu upałów zabroniono nie tylko rozpalania ognia, ale też palenia papierów czy wyrzucania pustych butelek. Sama obecność w środku Rezerwatu stanowiła powód do wymierzenia wysokiej grzywny.

Kilka siedzących przy ogniu osób pomyślało chyba to samo, bo nagle wykazali się przeraźliwą aktywnością. Aśka zaczęła grzebać w plecaku, Patryk wybrał się na mały spacer, Ala postanowiła obejrzeć swój profil w lustrze wody. Wszystko za sprawą dopiero co przybyłej kobiety z dzieckiem. Nie wiadomo jakim cudem Karolina dowiedziała się, że jej znajomi spędzą tu weekend, ale fakt pozostawał faktem – znalazła ich i pewnie zaraz zaczną się gorzkie wyrzuty. Żal o pozostawienie jej samej w mieście, wymówki.

Co mieli jej powiedzieć? Utop swojego bachora, to przyjmiemy cię z powrotem do towarzystwa? Brutalna prawda nie przechodziła nikomu przez usta.

Gówniarz już z daleka zaczął swoje popisy.

– Ty, ty, gruby, dołóż do ogniska. Ja chcę postrzelać z szyszek. Mamo, powiedz tej flądrze, żeby mi drewienek nazbierała!

– Zaraz, kochanie, ja ci nazbieram.

– Nie chcę. – Czupryna siedmioletniego Adasia energicznie zafalowała w sprzeciwie. – Niech ona to zrobi. Jak się ponachyla, to nie będzie taka obwisła. – Gnojek zarechotał.

Tomek i Grzesiek, najodporniejsi z paczki studentów, trzymających ze sobą od czasów liceum, też nie zdzierżyli. Zabrali swoje plecaki, krzyknęli: „No to cześć. My pójdziemy tym drugim szlakiem”, i znikli wśród drzew. Dzieciak pokazał za nimi środkowy palec.

Karolina nie czuła się najlepiej w taki upał. Nawet nie miała siły robić wymówek koleżankom i kolegom. Sprawiała wrażenie, że słońce wpełzło pod jej brwi i sącząc się w głąb mózgu, przepalało traumatyczne tunele. Co chwila brała spazmatyczny oddech, z jednej strony bojąc się, że jej serce przestanie bić, a z drugiej strony, że tlen nagle zamieni się w trujące opary gazu. Nie miała najmniejszej ochoty na tę eskapadę, ale Adaś rozkazująco tupnął nogą. Trzeba było iść. Usiadła przy ognisku, licząc na odrobinę spokoju. Chłopak kopnął ją w nerki.

– Idziemy, krowo. Chcę na tamtą górę.

– Za chwilę – słabo zaprotestowała.

– Natychmiast, ja chcę natychmiast! – darł mordę szczyl, okładając ją pięściami.

Kobieta podniosła się i westchnęła. Szli na pozbawione prawie wszelkiej zieleni bezludne wzgórze. W taką pogodę nikt się nie zapuszczał w tamtym kierunku. Żadnego cienia.

– Patrz, cholera, jaki śliczny ptaszek – dobiegło z przodu. – Złap mi go, słyszysz? Będę miał czerwone pióra w pióropuszu.

Ptak przycupnął na drodze, zrobił kilka kroków w kierunku dzieciaka i parę razy zakołysał dziobem. Adaśko dał się sprowokować. Podbiegł do niego i już, już miał go chwycić, gdy ptak odskoczył kilka metrów dalej. Znowu potrząsnął dziobem. Dzieciak ponownie podbiegł, wyciągnął rękę, a ptak jeszcze raz odfrunął. Ale tylko odrobinę. Z jego gardła dobiegł niski, chrapliwy dźwięk. Szydził z polującego.

Tym razem mały potwór podskoczył najszybciej jak potrafił i wziął zamach nogą. *Skopię bydlaka* – pomyślał.

Karolina siedziała na olbrzymim głazie, wpatrując się tępo w krajobraz. Było niezwykle cicho. Jakby wszystko, co żywe skryło się, wypatrując burzy. Narastała w niej wściekłość. Na brak świeżego powietrza, na upał, na całe to przetrącone życie…

– Miałaś mi go złapać – usłyszała wrzeszczącą pretensję. – Do niczego się nie nadajesz.

Ptak usiadł na rachitycznej gałęzi. Padające z wysoka promienie słoneczne nadawały krwisty wygląd nie tylko jego piórom, lecz także wyschniętemu badylowi, na którym siedział. Huśtał się powoli, hipnotyzująco. Adaśko spojrzał w jego oczy. Ptak oderwał się od krzaka i poszybował przed siebie. Nie za szybko, odwracając się i patrząc, czy ten dziwny, dwunożny stwór podąża za nim. Podążał.

Czerwonopióry usiadł na kamieniu. Takim zwykłym, polnym, ostro zakończonym z każdej strony. Nagle poderwał się z przenikliwym piskiem, załopotał

maleńkimi skrzydłami i zaczął kołować nad głowami matki i dziecka. Coraz szybciej i szybciej. A pod nim, coraz szybciej i szybciej leciały krople krwi, wąską strużką, strumyczkiem, później całą rzeką. Aż utworzyła się wielka, czerwona plama. Nie powstrzymało to ręki Adaśka. Młócił kamieniem w głowę swej matki, dopóki nie upadł zmęczony. Zobaczył lądującego przed nim ptaka.

– Ty, skurwielu, jeszcze cię dopadnę. – Poderwał się i rzucił w pogoń za odlatującym stworzeniem. Miał go już w ręku. Śliskie pióra musnęły jego dłoń i wyśliznęły się spod palców. Nogi nie znalazły podpory. Stały grunt przepadł gdzieś w otchłani.

Ziemia, przerażona morderstwem, rozstąpiła się.

Z głębokiego, wilczego dołu raz po raz dobiegało rozpaczliwe wołanie:

– Mamo, mamooo!

Czerwonopióry siedział na krawędzi rozpadliny i przekrzywiał dziób. Raz w jedną, raz w drugą stronę. Siedział tak przez kilka godzin. Kilka godzin palącego słońca, morderczego upału.

Aż wołanie ustało.

Potem rozwinął skrzydła i poszybował w kierunku wielkiej tarczy życiodajnej gwiazdy. Na niebie długo jeszcze było widać ciągnącą się za nim czerwoną smugę.

Gdzieś daleko leży śnieg…

Szedł wolno, jakby nie miał już sił. Jak okiem sięgnąć rozpościerał się bezkres pól, zwieńczonych na horyzoncie lasem. Śnieg skrzypiał pod jego butami niczym zasuszone liście, wiatr popychał w stronę ledwo zarysowanych drzew. Nie wiedział, gdzie jest.

Rano pokłócił się ze swoim uczniem. Wybrali się razem na polowanie, które było tylko pretekstem do porozmawiania o długu wdzięczności. W końcu załatwił

uczniowi najwyższą nagrodę literacką w kraju. Pomimo braku talentu, pomimo astygmatyzmu, szpetoty (na twarzy miał odstręczającą narośl, która zamykała przed nim serca kobiet) i pomimo obrzydliwego zapachu, jaki wydzielało jego ciało, stał się nagle najbardziej pożądaną partią w kraju. Rozumiało się samo przez się, że powinien teraz pociągnąć za sobą swojego Mistrza. A jednak nie chciał. Nie czuł się zobowiązany. Zanim wypakowali z samochodu broń i prowiant, doszło niemalże do rękoczynów; padające słowa świadczyły o całkowitym zerwaniu znajomości.

Wściekłość odebrała mu rozum. Wyciągnął ręce do nieba i zaczął prosić o krwawą karę dla niewdzięcznika. Klął i złorzeczył.

Szedł w gniewie przez las, aż zorientował się, że nie wie, jak wrócić. Dotykał kory i mchu, potykał się na resztkach gałęzi, ocierał o kikuty krzewów, a potem zwiodła go otwarta przestrzeń. Gdy zapadał się po pas w śnieg, musiał się cofać i wchodzić na bardziej ubity grunt. Taka „droga” go prowadziła.

Po kilkunastu godzinach zaczął jeść śnieg. Na początku tylko przykładał do ust i smakował czubkiem języka, potem zrobił z niego kulkę i traktował jak zmrożony, wytrawny deser. W wyobraźni pojawiła się cała paleta smaków. Przypomniał sobie, jak kiedyś odmówił zjedzenia czekoladowych lodów. To było dawno temu; do jego miasta przyjechał tabor Cyganów z karuzelą, a on nie chciał przejechać się ani na łabędziu, ani na koniku. Nie pozwolił ciotce kupić cukrowej waty, pogardził kremówką i lodami… Dziś wiele by dał, by znaleźć się z powrotem w bezpiecznej, sytej krainie dzieciństwa.

Było mu przeraźliwie zimno. Wilgotne rękawy zwisały smętnie prawie do kolan; skulił się w sobie, zapadł. W dodatku zgubił okulary, a bez nich niewiele widział. Tylko tyle, żeby zorientować się, że zapadł zmrok. Nic więcej.

Mróz coraz bardziej chwytał go w swoje szpony. Znowu wszedł w las, ale tym razem trzymał się jego skraju, nie chciał wchodzić głębiej; wędrował po omacku, ocierając się ramionami o gałęzie drzew. Śnieg pod butami już nie chrzęścił,

rozpływał się bezdźwięcznie. W pewnej chwili poczuł na sobie czyjś palący wzrok. Nie było słychać żadnego westchnienia przyrody, ale martwa cisza tylko potęgowała dziwne, nieprzyjemne wrażenie.

Przystanął. Nasłuchiwał.

Nic.

Po kilkunastu krokach doszedł go specyficzny zapach krwi, coś szybko śmignęło w bok, a on wylądował na kolanach przy ciepłym jeszcze kawałku mięsa. Poczuł głód. Tak wielki, że aż się zawstydził. Ścierwo cuchnęło obrzydliwie, ale to nie miało znaczenia. Nie wiedział, czy to sarna, czy inne zwierzę, w tej chwili zjadłby nawet skunksa, byle przeżyć. Z mozołem, nie chcąc odchodzić zbyt daleko od łupu, zaczął zbierać gałęzie. Cieszył się, bo choć wielu naciskało, by rzucił palenie, nie uległ im i teraz mógł wyczarować z pudełka zapałek swoje zmartwychwstanie. Nie bez trudu rozpalił ogień. Potem nadział na patyk poszarpany kawał mięsa i zaczął opiekać w płomieniach. Nigdy przedtem jedzenie tak mu nie smakowało; rozrywał zębami mięśnie, które jeszcze niedawno rączo spinały ciało do ucieczki przed napastnikiem, wysysał żyły i tłuszcz. Z lubością oblizywał palce, coraz bardziej rozgrzane, coraz bardziej sprawne. Powoli cały organizm przestawił się na trawienie. Senność nadchodziła powoli, nieśmiało. Znowu poczuł, że ktoś lub coś mu się przygląda. Dobiegło go ciche warczenie.

O właśnie, pies, może nawet z myśliwym, albo ekipa poszukiwawcza…

Wstał i poszedł w kierunku warkliwych odgłosów. A one oddalały się, wabiąc, chcąc gdzieś zaprowadzić. Twardo podążał za nimi. Potykał się, wywracał, lecz wstawał wciąż z nowymi siłami i biegł za psem, dalej i dalej. Za którymś razem, gdy się pośliznął, nabrał w dłoń śniegu i znowu zaczął jeść. Ale to był już inny śnieg, lekko słodki i mdlący. Wtedy odległe warczenie ustało i przerodziło się w bliższy skowyt. Pozostał na kolanach i zaczął macać rękoma na oślep. Przesunął się w prawo i dotknął kamienia.

Nie, nie kamienia, to była głowa.

Ludzka.

Wyczuł pod dotykiem palców zarost, koło nosa narosl wielką jak orzech laskowy, na nosie jeszcze trzymały się okulary. Ten sam dojmujący zapach, którego nie mógł zidentyfikować, teraz wdarł się w trzewia z całą siłą.

Jego uczeń.

Teraz już wiedział, skąd wzięło się mięso.

Pobożne życzenia zawsze spełniają się w krzywym zwierciadle, drwiąc z każdego, kto chciałby równać się z Bogiem.

Las umilkł. Biały puch zaczął przygarniać skostniałe, przerażone ciało.

Ścielące się wokół milczenie sprawiło, że nie mógł krzyczeć. Dławiąca dłoń zamarłego w przerażeniu świata, zaciśnięta na jego gardle, pozbawiła go woli walki. Zgwałcone prawa natury upomniały się o okup.

Mężczyzna osunął się bez siły i powoli pogrążał w nicości. Minuta po minucie bezwolną sylwetkę wchłaniały warstwy leżącego śniegu. Chwilę później wiatr zamiótł i wyrównał śnieżne pagórki, zakamuflował ślady krwi, zakrył resztki zwłok. Pole znów wyglądało niewinnie, jak gdyby nic się nie stało. Dopiero nad ranem można było zobaczyć odciśnięte na nim łapy zwierzęcia. Nikt wcześniej nie widział takich śladów, ale też nikomu nie przyszło do głowy, by się nad tym zastanawiać.

Gdzieś daleko wieje wiatr…

Rodzina Pawła zginęła dwa lata temu. Zaszlachtował ich seryjny zabójca.

Ot tak, bez powodu. Do tej pory, słysząc dźwięk telefonu, Paweł zstępował do piekła, czując swąd palącej się skóry i lepkość krwi w ustach. Zabójca dzwonił do niego od czasu do czasu. Jeszcze go nie złapali.

Paweł przeniósł się na drugą stronę kraju.

Komisariat, który go przyjął, nie był ani lepszy, ani gorszy od innych. Współpracował z pozostałymi policjantami w miarę bezkonfliktowo. On sporządzał portrety psychologiczne przestępców, oni to ignorowali, prowadząc swoje śledztwa, i tak to szło. Nie miał do nikogo pretensji ani nie zgłaszał zastrzeżeń. Miał puste serce.

Konflikt przebiegał gdzie indziej. Dwóch zawzięcie kłócących się mężczyzn weszło właśnie do jego mikrego pokoiku, w którym było miejsce zaledwie na jedną małą szafkę i komputer. Grube słowa latały w powietrzu niczym tłuste, opasłe, bzyczące bąki. Żądliły. Karol i Piotr nigdy nie mogli dojść do porozumienia. Nie tylko w sprawach służbowych. Karol miał niezwykłej urody żonę, a Piotr… cóż, delikatnie ujmując, nie miał zahamowań. Jeden z nich rzucił Pawłowi grubą teczkę akt. Wyszli, pyskując, jakby w ogóle nie zauważyli siedzącego w pokoju człowieka. Mieli dostarczyć akta – dostarczyli. O co chodzi?

Paweł zaczął przerzucać kartki. Skręcony kark topielca, dwa trupy w obejściu jego kolegi po fachu, zamarznięty na śmierć chłopak trzymający w objęciach głowę swojego kolegi. Do tego irracjonalny, masowy mord w Zakładzie Opieki i dwa trupy na odludziu. Matka i dziecko.

W ciągu jednego dnia.

Jego dziadek snuł kiedyś opowieści o krainach, gdzie oślizłe macki Nieszczęścia zbierają swój plon, a potem idą dalej. Albo zostają.

Są takie kraje. Wybrane. Namaszczone.

W nich jedzenia jest tyle, że Nieszczęście może okrakiem rozsiąść się na siołach, lasach, łąkach, miastach i ssać ożywczą siłę. Takich okolic należy się strzec. Uciekać czym prędzej.

Bajanie.

A nawet jeśli nie, to Paweł nie miał ochoty uciekać. Przypomniało mu się to wszystko, gdyż przerażeni świadkowie wydarzeń, o których właśnie czytał, mówili jak to nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczynało drżeć niebo, serca paskudnie łomotały w

piersiach i każdy czekał, zmartwiały ze zgrozy, wiedząc, że stanie się coś nieodwracalnego. I przypomniał sobie doniesienie sprzed pół roku o dwójce mężczyzn zaginionych w tutejszym lesie. Paweł miał w okolicy opinię szamana. Potrafił leczyć ziołami, dłonią oddalać ból, a z nic nikomu niemówiących znaków odczytać pogodę. Nie dziwił się, takie akta musiały trafić do niego. Wziął kurtkę przeciwdeszczową, plecak, namiot i wyszedł. Dokładne obejście miejsc budzących grozę wydarzeń nie powinno zająć więcej niż dwa, trzy dni. Leżały blisko siebie. Zimą zaginęli w okolicy dwaj myśliwi. Już za drzwiami usłyszał natarczywy dźwięk telefonu. Oparł się o ścianę, przyłożył głowę do szyby. Nie wrócił.

Zapuścił się w gęsty las. Świergolenie ptaków rzeczywiście było inne. Przytłumione i jakby niepewne. Poczuł nieśmiały dotyk zimnego wiatru. Liście zatrzepotały. Kroki same skierowały go tam, skąd dolatywał zapach palonych gałęzi. Grupa gimnazjalistów, jak zwykle, na skraju lasu paliła ognisko. Wiatr delikatnie zaganiał go w ich stronę. Paweł zatrzymał się. Nie ich szukał. Zawrócił w głąb ciemnozielonych zarośli. Niezadowolony wiatr dmuchał mu prosto w twarz, coraz bardziej smagając policzki. Mężczyzna dotarł do wzgórza. Łysa przestrzeń wzmogła intensywność podmuchów. Przeszedł nad niewsiąkniętą plamą krwi, obejrzał głęboki dół, w którym podobno znaleziono dzieciaka. Kilkanaście metrów dalej potknął się o kości, przy których leżały zniszczone okulary. Poszedł dalej. Wiatr zmienił zdanie, pchał go teraz przed siebie – szybciutko do domku z rozświetlonym gankiem. Dwóch siedzących tam ludzi chlało wódę, głośno drąc się i przeklinając. Przed nimi leżał wór wypełniony srebrnymi kielichami z pobliskiego kościoła. Tacy ludzie nie powinni mieć prawa do życia. Powietrze za nim syczało: podejdź, zabij, zabij. Paweł odetchnął głośno. Skręcił w maleńką, polną dróżkę kończącą się jeziorem. Rozbił namiot w tym samym miejscu, w którym biwakowali nieszczęśni studenci.

Wiatr, nie mogąc podjudzić go do morderstwa, wycofał się, zgrzytając zębami. Począł tarmosić czubkami jałowców, zamiatać szyszkami i żołędziami.

W oddali rozległy się podniesione, kłótliwe głosy. Dziewczyny płynęły kajakiem. Wyjdź do nich, zawołaj – rozległ się szept wśród konarów. – Uciekły z domu, łatwa zdobycz.

Paweł skulił się w swoim śpiworze. Niemal namacalnie odczuwał czyjąś obecność. Spod brezentowej płachty wydobył się gorący podmuch. Całował go wilgotnymi wargami, łaskotał kark i dłonie.

– Odejdź – wyszeptał mężczyzna, patrząc w jego mokre oczy. – Mam puste serce.

Rano spakował się i poszedł dalej. Nad rzeką gwar o mało nie przyprawił go o mdłości. Wiatr znowu zrobił gęstą pętlę wokół jego szyi. Wybić ich wszystkich, wrzeszczących, depczących i zabijających naturalne środowisko. Śmiecących, kopcących cywilizacyjnych mutantów.

Sięgnął ręką po broń. Poprawił kaburę. Zerwał źdźbło trawy i zaczął rozgryzać między zębami.

Poszedł dalej do domu na odludziu. Puste okna szczerzyły bezzębne wargi. Dwa rozkopane groby w ogródku oplatał już zielonymi mackami rozłożysty powój. Trzasnęły drzwi. Paweł wzdrygnął się przestraszony. Znowu rozhulał się wiatr. Drogą szli jacyś ludzie. Zarośnięte twarze, ponury wzrok. Spojrzeli na niego wrogo i odeszli z powrotem. Wiatr usiłował rozpalić iskierkę ognia w sercu policjanta. Daremnie.

Zawrócił. Do Domu Starców nie było po co iść. Wiedział już, czemu tu jest tak niebezpiecznie. Dlaczego będzie zdarzać się więcej „wypadków”.

Na skraju lasu przysiadł, wyjął z plecaka kanapkę i sok pomidorowy. Przegnał ręką czerwonego ptaka. Zza jego piór zobaczył Piotra i Karola. Szli wprost na niego z naburmuszonymi minami. Zostali wyznaczeni do zbadania pewnego zdarzenia. Na brzegu jeziora wylądował pusty, odwrócony do góry dnem kajak. Nie wiadomo, czy byli w nim ludzie. Wrogość obu mężczyzn wisiała w powietrzu ciemną chmurą. Minęli go bez słowa. Weszli w gęstwinę drzew.

Paweł popatrzył na nich przeciągle.

Jeszcze mógł się odwrócić.

Zawołać.

Nie wchodźcie tam. Nie wy! Nie wyjdziecie stamtąd żywi. Pochłonie was wiatr albo mgła.

Zebrał sztywnymi palcami swoje rzeczy. Poszedł w kierunku komisariatu, żując kolejne źdźbło trawy.

Miał puste serce.

Andrzej Rodan

MOKRE PYSKI ATAKUJĄ!

Co to są Mokre Pyski?

Mokre Pyski to polska wieś.

Gdzie się znajduje?

Wszędzie, czyli Nigdzie.

Ta wieś i jej mieszkańcy to jakby przekrój społeczeństwa polskiego z jego wadami, zaletami, fobiami, dążeniami, fanaberiami, marzeniami, pracowitością, nieróbstwem, chaotycznością, otwartym szczerym sercem, bezdusznością, próżniactwem, zbijaniem bąków, z dewizą „Wódka powoli zabija! A komu się, kurwa, spieszy?!", życiem z dnia na dzień, bo jakoś to będzie, i poczuciem humoru, co to bach, buch, łup, łubudu, ryms, trach, trzask, prask, chrum chrum, mniam mniam, bajery, rowery, damskie swetery, ptaki, szpaki, widelce, kłaki, pisz pan Hiszpan, landzbery po cztery i w ogóle, i w szczególe, i pod każdym innym względem.

Jednym zdaniem: typowo polska nieznośna lekkość bytu.

Moi bohaterowie to:

Józek Oblatywacz – ksywka „Oblatywacz" stąd, że Józek do godziny trzynastej obleci wszystkie knajpy w pobliskim miasteczku. Napije się, pogada, a potem wraca lekko skotłowany do naszej gospody, bierze parę bronxów i prowadzi niezwykle śmiałe dyskursy na każdy temat. Józek to wielki filozof jest. Największy we wsi. Pozory czasem mylą, bo Józek jest jednak samarytaninem i mile mnie zaskoczył, kiedy tak sympatycznie powiedział o Kaczyńskim:

– Jarek, nie martw się, świat jest piękny – zrobisz prawo jazdy, założysz konto w banku, kupisz komputer, wyprowadzisz się od mamusi, pojedziesz na kurs, gdzie poznasz uroczego agenta CBA.

Mówi też o sobie krytycznie: „Piję z rozpaczy politycznej. Najpierw byłem w ZOMO, teraz jestem w PiS-ie, ale pojebało mi się!".

Józek ma żonę Franię, ale ona go nie rozumie i Józek nad tym ubolewa. Józek lubi seks, a jego żonkę często boli głowa i najchętniej wysłałaby słonia do Ustronia. Często nam się chłopina zwierza:

– Ale, chłopy, u mnie erotyka jest ciutek porąbana i bez żadnej poezji. I ja się modlę, do Boga ateistów, o porozumienie, bo moja żona mnie nie rozumi. Ja na przykład mówię romantycznie do mojej Frani: Najdroższa, ukochana, patrzaj, leżę u twych stóp!

A ona mi na to:

– Wstawaj już, ty pijana świnio!

Jadźka Bufetowa – Jak Sahara w gardle, to my wszyscy do Jadźki jak w dym do gospody. Codziennie. Nie ma sałaty, kapitału, czyli szmalu – Jadźka da na krechę i zapisze w specjalnym kajecie. Jadźka to nie żaden shrek, ale smerfna laska, chociaż mnie podoba się ona dopiero po litrze i dziesięciu piwach. Jadźka mówi o sobie, że jest „filigranową osóbką". No może i jest, bo ma tylko 185 centymetrów wzrostu, a waży zaledwie 140 kilogramów.

Piersiątka ma jak dwa balony na uwięzi i aż strach się bać, co by się stało, gdyby się urwały. Powiem szczerze: jakby Jadźka zamachnęła się tymi cyckami, to Giewont by rozwaliła. Słowo!

Betoniarka, czołg i walec drogowy to przy Jadźce zwiewne tancerki i mogą zatańczyć „Jezioro łabędzie".

Jadźka ma jednak bardzo dobre serducho, bo kiedy Jarek Kaczyński zażądał większej ilości ochroniarzy, to powiedziała: „Jarkacz, ty osobniku nienachalnego

wzrostu, ja cię, kurwa, z dobroci i dla zdrowotności informujem: podobno najlepsza ochrona jest w zakładach psychiatrycznych!”.

Jak ktoś Jadźce podpadnie, to długo się nie gniewa, tylko wdzięcznie i bezpruderyjnie mówi do takiego delikwenta:

– Nie piskuj, skurwielu, pókim dobrze wychowana… Zrób mi loda, będzie zgoda!

Major Gienek – Dlaczego major Gienek? Bo jak siedział w kiciu, to mu na ramionach wytatuowano dystynkcje majora. Gienek twierdzi, że jak znów trafi do pierdla, to wróci pułkownikiem. Taki jest ambitny. Poza tym jest apodyktyczny i elokwentny, macha łapami i gada bez przerwy jak Mańka, co na piegi umarła. Major Gienek jest także wrażliwy. Sam słyszałem, jak przeżywał dramat swojej teściowej. Powiedział wówczas:

– U mnie w domu tragedyja i schiza. Teściowa w szpitalu na reanimacji. Przez nieostrożność przygryzła język i zatruła się własnym jadem!

Major Gienek nie lubi Rydzyka. Nie wiem, dlaczego nie lubi tego świętego spaślaka. Oto przykład: w gospodzie było smutnawo. Chłopy siedziały jak to po wykopkach. Zmęczone. Otępiałe. Spocone. Piwo też było za ciepłe. Forsy nie było i zaczęli kopać Rydzyka, że śpi na szmalu. I wtedy Gienek powiedział:

– Rydzyk ma, ponieważ ciężko na to zarobił… To męczennik motoryzacji. Macie wąty, to na Giewonty! Chłop zarobił biadoleniem w radiu, jak mu ciężko i smutno na tym świecie… A każdemu głupiemu, co wpłaca im pieniądze – ON osobiście dziękuje. Każdy więc, kto wpłacił choć jedną złotówkę, myśląc, że to na „odpuszczenie grzechów" – dołożył się poniekąd do maybacha, och kulturwa wasza mać, wy buce!

Zwiadowca Szoguna – Właściwie jest to Zdzicho. Ale ma takiego zeza, że może obejrzeć sobie pryszcze na plecach i własną dupę bez używania lusterka. No i stąd ksywka: Zwiadowca Szoguna. On niby ci patrzy w oczy, a dokładnie przegląda

szuflady szafy. Zwiadowca uwielbia człowieka, który nazywa się Antoni Macierewicz (ksywka: Antek Policmajster lub Don Pedro – szpieg z krainy Deszczowców) i jest zbrojnym ramieniem Pisiołków Wesołków.

Ale niestety Zdzicho nie jest stały w swoich poglądach i sympatiach. Kiedyś, jak to zwykle piliśmy w gospodzie, a Zwiadowca Szoguna wychwalał sprytne, bystre oczy Macierewicza i nagle (po piątej szklance) zmienił zdanie i powiedział: „Jeśli ktokolwiek ma wątpliwości, że człowiek pochodzi od małpy, to niech spojrzy na Antka. Moje wy kochane chłopy, Maciarewicz ze swej yntelygentnej buźki jest bardzo podobny do Louisa de Funes, co nie, kulturwa? Jednak, jako ludzie kulturalne, za porównanie Maciarewicza do Louisa de Funes serdecznie przeprośmy rodzinę i przyjaciół tego wybitnego francuskiego komika. Jędruś, ty człowiek w świecie bywały, ty po francusku lubisz, to przeproś!”.

Co niniejszym czynię: Madame et Monsieur, za to porównanie to ja was szczerze pardon! Mademoiselle, ja też was bardzo pardon!

Sołtys Heniek – Wieśmen, sęp i do tego sepleni, i nie wymawia „r”. Zamiast „r” mówi „j”, na przykład „tjaktoj”, „tjamwaj”, „zamojdowali go i tjup”. Albo „czajna kjowa w kjopki bojdo gjyzie tjawę, kjęcąc mojdą”.

Jak kiedyś krzyknął po swojemu „hurra, hurra!”, to bez kitu, ale nawet wrota od stodoły pękały ze śmiechu.

Sołtys Heniek nie jest specjalnie wierzący, ale do Kościoła lata, bo liczy na poparcie księdza Eustachego w wyborach na wójta. Ksiądz Eustachy z ambony zaagituje: „ludzie, głosujcie na Heńka. Wprawdzie to świnia, ale to nasza świnia z Mokrych Pysków!” i sołtys Heniek zostanie wójtem.

Sołtys Heniek ma uczulenie na pociągi PKP, od czasu kiedy jechał z księdzem Eustachym do Torunia na rocznicę Radio Ma Ryja. Wszedł na drugi peron przy torze trzecim i usłyszał głos z megafonu (gong, bang, bing, gong): „Uwaga, uwaga! Pociąg do Torunia z wagonami do Zakopanego odjechał z toru trzeciego przy peronie

drugim. Proszę wsiadać – drzwi zamykać! Matko, pamiętaj – dziecko twój skarb. Odsuń je od toru!”.

Zdezorientowany Heniek ryknął:

– Kurwa, powtórz!

A głos z megafonu:

– Powtarzam: pociąg do Torunia z wagonami do Zakopanego odjechał z toru trzeciego przy peronie drugim. Proszę wsiadać – drzwi zamykać!

Hela, żona sołtysa – Lepiej na nią uważać. Jest inteligentna inaczej. Wieślumen i plotkara. Jest przewodniczącą parafialnego koła „Radia Maryja”, a radyjko i telewizja TRWAM, której skrótowa nazwa pochodzi od **T**adeusz **R**ydzyk **Wam,** lecą u niej na cały regulator w stereo i kolorze. Nawet w oborze Hela puszcza krowom świętojebliwe rydzykowe słowa. Podobno wtedy mniej żrą, a więcej mleka dają. Hela jest przeciwna aborcji oraz optuje za zakazem środków antykoncepcyjnych i tako rzecze na ten temat: „Oczywiście, trzeba kategorycznie zakazać! Przecie używanie prezerwatyw prowadzi do antykoncepcji, a antykoncepcja w prostej linii do aborcji!”.

Ksiądz Eustachy (ksywka Belzebub) – Ma młodą „siostrzenicę” Dziuńkę, która mu prowadzi dom, sprząta, gotuje, opiera ciuchy, a nockami stuka się z plebanem. Teraz jest ona w ciąży i cały czas jedzie na wstecznym (rzyga). Eustachy mówi, że Dziuńkę zapłodnił duch święty i że jego fujara nie miała nic z tym wspólnego. Kurczę, jeszcze jedna Niepokalana i to w Mokrych Pyskach. Jaki to wstyd przed całą gminą.

Nikogo księżulo nie lubi i nikt go nie lubi. Niedawno ksiądz Eustachy-Belzebub dostał rozkaz od biskupa i ma tworzyć drużynę piłkarską na EURO PARAFIADĘ im. Św. Józefa Kalasancjusza pod hasłem: „piłka kopana rzeźbi ruch, serce i ciało dla Królowej Niebios”. Ale wybiliśmy mu to ze łba.

Niekiedy okazuje prawie ludzką twarz. Ongiś w gospodzie Eustachy-Belzebub już spasował, wypił pół literka z gwinta, zakąsił trzema browarkami plus zimne nóżki i opowiedział nam taki dowcip (a śmiał się jak głupi):

„Dziadek siedzi z wnukiem na ławce. Jest zachód słońca. Dziadek mówi do roześmianego i ucieszonego chłopca:

– Jak dobrze, wnuczku, że potrafisz tak cieszyć się z tego płomienno-czerwonego zachodu słońca.

A uśmiechnięty wnuczek na to:

– Dziadku, to nie zachód. To plebania się pali!”.

***

Pozostali mieszkańcy Mokrych Pysków – podobnie jak wyżej wymienieni – od rana do wieczora piją najtańsze wino „Arizona” (straszna berbelucha, ale da się pić), browce w dużych ilościach, przesiadują w gospodzie, lub na ławeczce pod kościołem, i dyskutują, plotkują, filozofują, śmieją się, krytykują Kościół, polityków, i żyją pełnią życia, bo kto wie czy ten pojebany świat nie potrwa jeszcze dwa tygodnie. Po nich choćby potop. Ani w Boga nie wierzą, ani się diabła nie boją.

W Mokrych Pyskach furorę robi siarczyste wino „Arizona”, straszny mózgojeb. Dlaczego „siarczyste”? Bo tyle jest w nim siary. Swoją moc ma, a Jadźka Bufetowa często na krechę daje, bo litościwe serce posiada ta „filigranowa” osóbka.

Skąd Mokre Pyski mają takie upodobanie do wina „Arizona”, że wolą je niż własne kobiety? Sprawa jest niezwykle prosta i nie trzeba tu prowadzić badań naukowych nad różnicami między „Arizoną” a kobietą.

Można podać dwadzieścia jeden powodów, dla których wino jest lepsze od kobiety.

1. Wino „Arizona” nie ma teściowej.

2. Wino „Arizona” razem z tobą ogląda mecz piłkarski.

3. Nie narzeka, że pijesz.
4. Jedyną rzeczą, o jakiej mówi ci „Arizona”, jest to, że musisz iść do WC.
5. Winem możesz się rozkoszować przez cały dzień i całą noc.
6. Wino nigdy się nie maluje ani nie spóźnia.
7. Wino nigdy nie narzeka na ból głowy.
8. Wino nie zrobi ci awantury, gdy przyjdziesz do domu po piwie.
9. Wino zawsze wchodzi gładko.
10. Wino jest zawsze wilgotne.
11. Wino zawsze cię zadowoli.
12. Wino nie mówi dla żartów, że jest w ciąży.
13. Wina nie obchodzi, ile zarabiasz.
14. Wino nie będzie ci miało za złe, jeśli zaśniesz zaraz po jego wypiciu.
15. Wino rano wygląda tak samo jak wieczorem.
16. Wino nie wariuje raz w miesiącu.
17. Wino nie domaga się legalizacji waszego związku.
18. Wino nigdy nie chce zmieniać kanału telewizyjnego.
19. Wino nigdy nie mówi: „Nie, dziś nie mam ochoty”.
20. Wina nie obchodzi to, że nie masz kultury lub manier.
21. Wino „Arizona” nigdy nie płacze.

C.b.d.o., czyli: co było do okazania. I wszystko jasne.

***

Mamy w naszej wsi własną drużynę piłkarską. Zwie się: Barcelona Mokre Pyski (kapelanem zespołu jest ksiądz Eustachy). Mecze głównie są rozgrywane z sąsiednią wioską Suche Pyski, która ma drużynę o wdzięcznej nazwie: Chelsea Suche Pyski (kapelanem jest także Eustachy). Nasze kibole zawsze się naparzają z kibolami z

Suchych Pysków. I wtedy jest demolka, i szydera do kwadratu, aż serducha pęcznieją z dumy.

Mokre Pyski to filozofia chłopska, zdrowy chłopski rozsądek i zdrowy humor.

Szczególnie Jadźka Bufetowa i Józek Oblatywacz mają specyficzne poczucie humoru. Opowiadano mi, że kiedy pierwszy raz miałem przyjechać do Mokrych Pysków, to zapanowało tam ogólne poruszenie i prowadzono bardzo interesujący dyskurs na mój temat.

Józek Oblatywacz otarł buźkę z piany piwnej, rzekł: „Kopsnij szluga dla pasera, bo cię paser sponiewiera!", zapalił skręta, a potem zapytał Jadźki Bufetowej:

Józek Oblatywacz: – Znasz Andrzeja Rodana?

Jadźka Bufetowa: – Kogo?

– Rodana.

– A jak on się nazywa?

– Kto?

– No ten Rodan.

– A wiesz, kurwa, że zapomniałem!

Józek Oblatywacz jest również autorem ciekawego spostrzeżenia o zabarwieniu filozoficznym. Powiedział kiedyś w gospodzie:

– Wszystko co dobre jest nielegalne, na ten przykład: marihuana. Wszystko co dobre jest niemoralne, na ten przykład: seks. Wszystko co dobre powoduje tycie, na ten przykład: alkohol. Ja chcę utyć!

Młodym mieszkańcom Mokrych Pysków spodobało się moje imię Andrzej. W żargonie małolatów Andrzej oznacza: amfetamina, czyli amfa, biała dama, feta, kryształ, siupa, ścierwo, śnieg, proch, przyspieszacz.

Większość tych męskich młodniaków to anabole (od zażywania środków farmakologicznych rozbudowujących mięśnie i rzeźbę ciała) i stąd ich ksywki, jak:

Paker, Steryd, Szwarceneger, Szafa, Byku, Kaban, Koksiarz, Mięśniak, Karczycho itp.

Oni to na zabawie w sąsiedniej wsi potrafią zrobić taką rozpierduchę, taki rozpiździaj, taki sajgon, taki bangladesz, że starym mokropyszczaninom duma serca rozpiera i mówią w gospodzie: „Dzień morning, kumie! Dobrze my dzieci wychowały, dotlenione są i potrafią zrobić łomot i a'kuku!".

Dziewczęta z Mokrych Pysków też dorodne laski są, a nie jakieś kaszaloty, pasztety, raszple, ufo, koczkodany, czy jakieś inne poczwary-kałamarnice. Można śmiało powiedzieć o nich z najwyższą atencją, że to niekiepskie lasencje, dupencje, sztuki, sztachety, maniurki, lachociągi, kicie i, przepraszam za pardon, dupy.

Mają niezłe warunki, to znaczy balony, zderzaki, smerfne uszy, a jak ich nie mają, to se sprytnie wypychają cyckonosz watą albo podpaskami i szafa gra.

Doprawdy na ich widok można dostać szału penisa.

Młodziaki z Mokrych Pysków lubią muzykę, a najbardziej utwór:

Cztery razy po dwa razy, osiem razy raz po raz
O północy ze dwa razy i nad ranem jeszcze raz.
Czy normalnej zdrowej pannie można zrobić dziecko w wannie?
Ależ owszem czemu nie, pannie też należy się.
Cztery razy po dwa razy, osiem razy raz po raz
O północy ze dwa razy i nad ranem jeszcze raz.

Jak jest zabawa całonocna w Mokrych Pyskach, to takie perwersy odchodzą, że głowa mała: wszyscy się bzykają, dymają, grzmocą, pindolą, posuwają, ciupciają, kotłują, gżą, grzmocą, rypią, a ci, co już nie mogą, to dynamizują ślimaka, czyli trzepią kapucyna i walą gruchę.

A starsze panie z Mokrych Pysków też czają bajerkę, kąsają fabułę i delikatnie paluszkami pieszczą kuciapkę, czyli brochę i niezły jest fucking, czyli dżigi-dżigi bara-bara. Doprawdy jest lajtowo i bez ograniczeń, bo w Mokrych Pyskach nie ma żadnej ściemy i kaszany.

Żadnej maniany, tylko wykurwisty full wypas i joł joł joł!

A wszyscy na takiej balandze są zdrowo nabzykani, nawaleni, nabuzowani, na gazie, a nawet można powiedzieć urżnięci i ubzdryngoleni na amen i do imentu.

Uff, serce rośnie, jaką dorodną młodzież i starszawych mamy w Mokrych Pyskach. Doprawdy, powiadam wam, z tej radości można się pochlastać gumką myszką.

***

Już dawno razem z chłopami mojej wsi Mokre Pyski doszliśmy do wniosku, że nikomu z modlących się Stwórca nie dogodzi z wyjątkiem monopolu spirytusowego.

Dlaczego?

No bo producenci futer modlą się o to, żeby zima była sroga, producenci lodów modlą się, aby lato było upalne, producenci parasoli modlą się o deszcz, a tylko producenci wódki się nie modlą – nie mają czasu, muszą produkować.

A teraz powaga i dajcie se na wstrzymanie.

Mieszkańcy Mokrych Pysków wyznają fundamentalne zasady (jest ich ponad sto, ale podaję tylko trzydzieści), można powiedzieć o wydźwięku sentencji grecko-rzymskich, albo i nawet lepiej:

1. Nie zna życia, kto nie był w Mokrych Pyskach.
2. Alkohol pity w miarę nie szkodzi nawet w dużych ilościach.
3. Rozpusta to zdrowie.
4. Choć nie masz pieniędzy, nie pokazuj nędzy.
5. Korzystaj z czasu, póki czas.

6. Ten nie grzeszy, co się grzechu nie wstydzi.

7. Czasem z żartu dochodzi się do prawdy.

8. Człek raz umiera, raz żyje – tyle jego, co użyje.

9. Dawniej łotr na drewnianym krzyżu, teraz złoty krzyżyk na łotrze.

10. Dewotka i nad gównem krzyżyk robi.

11. Dzieci i długi rosną jak grzyby po deszczu.

12. Gdzie czterech Polaków – tam cztery partie.

13. Habit nie czyni mnicha, sutanna nie czyni mądrego.

14. Jeden osioł więcej zaprzeczy, niż stu filozofów dowiedzie.

15. Choć rozumu nie sprzedają, i chłopkowie rozum mają.

16. Pijany i dziecko prawdę powie.

17. Praca życie skraca.

18. Próżniak nigdy nie ma czasu, a robota nie zając.

19. Bardzo mały człowiek może rzucać bardzo duży cień.

20. Piwo to nasze paliwo.

21. Szczęśliwy to dom, gdzie alkohole są.

22. Pijaństwo nie hańbi.

23. Bomba cyka u Rydzyka.

24. Czy się stoi, czy się leży, „Arizona” się należy.

25. Cnota jak zapałka, służy tylko raz.

26. Światem rządzi seks, ale my w Mokrych Pyskach bardziej lubim wypić.

27. Wino dostarcza człowiekowi mądrości, wódka wesołości, piwo wolności, a woda… bakterii.

28. Balzakowski wiek u kobiet zaczyna się wtedy, kiedy jedyny realny facet, który mógłby je wydymać, to Balzak!

29. Lekko dźwigajmy swój ciężki los.

30. Mokre Pyski to nie wypryski, ale wytryski.

***

Mieszkańcy Mokrych Pysków z czasem się tak „rozzuchwalili", że sami wysyłali wiadomości na FB. Tak jak np. te cytowane poniżej:

„Zakładamy w Mokrych Pyskach partię Perwersja i Seks (w skrócie: PiS). Szukamy nowych członków, he, he, he. Informacje na nowym poście Andrzeja Rodana w piątek (15 kwietnia) o godzinie 19 czasu polskiego.

Podpisano: Józek Oblatywacz (w opozycji przeciw Endrju Rodanowi i Jadźce Bufetowej i ks. Eustachemu) oraz Jadźka Bufetowa (też w opozycji – przeciw Endrju Rodanowi i Józkowi Oblatywaczowi, i ks. Eustachemu). Ksiądz Eustachy (ksywka: Belzebub) chce partię Liga Przyjaciół Rydzyka (LPR). Czterech Polaków – cztery partie! Młodzież z Mokrych Pysków domaga się partii pod nazwą „Młodzież Weszpolska" i jest przeciwko Żydom, komunistom, masonom, gejom (tfu!), lesbijkom (ŁoJessu, Łomatko moja po co nas rodziła), cyklistom, kominiarzom, listonoszom, myciu nóg i różnym pieprzonym sektom zwalczającym nasz święty Kościół Katolicki. Zwiadowca Szoguna, Major Gienek i sołtys Heniek z żoną Helą – jeszcze nie wiedzą, czego chcą, ale piją od rana, jak my wszyscy z Rodanem na czele. Piwo to nasze paliwo.

CO ROBIĆ? (to cytat z Lenina). Pomożecie?!"

„Jadźka Bufetowa i Józek Oblatywacz uprzejmie informują Sianowne Państwo, że otwieramy w Mokrych Pyskach AKADEMIĘ SEKSU. Szczegóły dzisiaj w piątek, 6 maja, o godzinie 8 wieczorem czasu polskiego w poście Endriu Rodana prezydenta Mokrych Pysków, który nam gościnnie na swojej tejbl (to po angielsku tak się gada) wypożyczył miejsce na reklamę. On tera pisze jakiś scenariusz filmowy, to ni ma czasu na fejsa.

Pozdrawiamy was: Du ju hau hau (to też po angielsku, a znaczy: „jak się masz, pieprzony piesku!"). Angielskiego nas uczy Rodan, ale on po francusku też lubi. W

językach jest oblatany, skurczybyk. Z zawodu nasz Endriu jest fizjologiem, czy, kurwa, fizjonomem (albo filozofem, ale to chyba wszystko jedno) oraz histerykiem kultury. Histeryk jest taki, że kulturwa! Mać! Tera to my trochi żartowały, bo wypilim połówkę! A gdzie, zapytacie, druga połówka? Też wypilim! A trzecią zostawili dla naszego histeryka Endriu! I jeszcze mamy 50 browarów dla niego. Ony są dobre na nerki. Tak nam mówił sołtys Heniek, a on się zna, bo ma brata weterynarza. Ksiądz Eustachy jest wkurzony, bo jego gospodyni Dziuńka znów jest z nim w ciąży i ma grymasy. Chce żreć truskawki, a ony są drogie! Jakaś się z niej zrobiła Księżniczka. Kapusta już jej nie smakuje! Tfu!"

„Jadźka Bufetowa, Józek Oblatywacz, ksiądz Eustachy (ksywka: Belzebub) z Mokrych Pysków zapraszają na dyskusję na temat 10 kwietnia, Święta Narodowego i Kościelnego, Świętej Procesji pod Pałacem Prezydenckim, Świętego Marszu z Pochodniami i Moherami oraz Święta błogosławionego Jarka Kaczyńskiego Wielkiego Patrioty i Jedynego Polaka, który wie wszystko. Dyskusję inauguruje Andrzej Rodan, prezydent Mokrych Pysków, na swoim poście, który ukaże się dzisiaj (piątek) o godz. 19 czasu polskiego. Alleluja i do przodu!"

Niekiedy pisali z takimi potwornymi błędami ortograficznymi, że mi wstyd było za nich. Tak jak na przykład ta informacja:

„Jaćka Bófetowa oraz Juzek Oblatywacz z Mokrych Pyskuw ópszejmie informują, rze Andrzej Rodan jurz wrucił z Leśniczufki, gdzie pisał swojom ksionrzke. Dzisiaj (t.j. w piontek, dnia 1 kwietnia) o godzinie 19 czasu polskiego Endrju da na swojej strące nowy post.

Z najlepszymi rzyczeniami Jaćka i Juzek w zastempstfie Imperatora Endrju. Jeźli zrobilymy jakieś błendy ortopedyczne w tym liźcie, to to działa liter wudy wypitej, co ją pszywiusł z leśniczufki nasz Szew!"

SŁOWO NA NIEDZIELĘ

(Ewangelia św. Rodana z Mokrych Pysków)

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Zawsze Dziewica. Drodzy Parafianie, jeżeli dzisiaj wyjątkowo sięgam w kazaniu po dwa tematy z książki heretyka, seksisty, antychrysta, łajdaka, kreatury, arcyłotra, skurwiela, łachudry i zboczeńca Andrzeja Rodana pt. „Czy Bóg istnieje?" – to wiedzcie, że coś się dzieje!

Przypowieść pierwsza: Bóg postanowił sprawdzić, co dzieje się na Ziemi. Wziął z sobą anioła. Dochodzą do wsi, gdzie rolnik orze pole, a w domu obok rodzi kobieta i krzyczy.

– Czemu ci ludzie tak się męczą? – pyta Bóg.

– Czyż nie powiedziałeś: „I w pocie czoła pracować będziesz. I w bólu swe potomstwo na świat wydawać będziesz"?

– No tak, ale ja żartowałem!

Dochodzą pod kościół, gdzie stoją luksusowe mercedesy, maybachy, i kręci się paru mężczyzn w czarnych strojach do kostek.

– Tu mi się podoba! – mówi Bóg.– Kim są ci mężczyźni w czarnych sukienkach?

– To ci, co wiedzą, że żartowałeś.

Przypowieść druga: Pewnego dnia w rajskim ogrodzie, Ewa zwróciła się do Boga:

– Mam problem.

– O co chodzi, Ewo?

– Ja wiem, że dzięki Tobie istnieję i mam ten przepiękny ogród, wszystkie zwierzęta, tego zabawnego węża, który jest lepszy od wibratora, ale ja po prostu nie jestem szczęśliwa.

– Dlaczego, Ewuniu, mój skarbie?

– Jestem samotna i po prostu rzygać mi się chce jabłkami, bo nic innego nie ma do jedzenia.

– No, Ewo, w takim wypadku stworzę ci mężczyznę.

– Co to jest „mężczyzna”?

– Mężczyzna będzie wadliwym stworzeniem, mającym wiele złych cech; niezdolny do słuchania i empatii, za to z przerośniętym ego. Agresywny i próżny, będzie kłamał, oszukiwał, zdradzał, tak czy inaczej będziesz miała z nim ciężkie życie. Ale… będzie większy, szybszy i silniejszy, dobry do walki i polowania. Będzie wyglądał głupio, kiedy się obudzi, ale odtąd nie będziesz narzekać. Stworzę go w taki sposób, aby dostarczał ci fizycznej satysfakcji. Trochę jak dziecko: będzie zabawiał się kopaniem piłki, piciem piwa, puszczaniem bąków i oglądaniem telewizji. Będzie nierozsądny i niezbyt sprytny, więc będzie również potrzebował twojej rady, aby nie wyjść na głupka.

– Brzmi wspaniale – powiedziała Ewa z ironicznym uśmiechem – ale w czym tkwi pułapka?

– Hm… możesz go mieć pod pewnym warunkiem.

– Jakim?

– Będzie on głupawy, prostacki, arogancki, egocentryczny, więc musisz wmówić mu, że został stworzony pierwszy. Pamiętaj, to nasz sekret… Tak między nami kobietami…

A teraz, drodzy parafianie, zapalmy fajkę, bo skończyłem bajkę: mam kobietę, trójkę dzieciaków i jadę mercem na obiad! A wy, do kurwy nędzy, głupie ciołki, wierzta w co chceta, nawet w Zeusa, Jowisza, zmartwychwstanie, diabły, dziewictwo Maryi, piekło, niebo i coś tam coś tam!

Móóódlmy się! Przekażmy sobie znak pokoju! Amen!

A teraz komunikat pierwszy: dawajcie więcej na tacę, bo mój Merc ma już pełne popielniczki. Muszę go zmienić! Komunikat drugi: zbliżają się wybory. Głosujcie na

PIS – partię Prawdziwych Polaków! Komunikat trzeci: pod groźbą ekskomuniki zabrania się opowiadać idiotyczne dowcipy, jak na przykład ten: Jak wyglądałby Kaczyński w spodniach Giertycha? Przez rozporek! :)

SŁOWO BOŻE NA WEEKEND

(Ewangelia św. Rodana z Mokrych Pysków)

W dzisiejszym kazaniu mówić będziemy o seksie, ale nie takim, o jakim pisze ten lubieżny, pojebany szatan Andrzej Rodan w swej bluźnierczej książce HISTORIA EROTYKI, ale o takim, co podoba się Bogu. Stosujcie seks po chrześcijańsku, jak nakazuje Bóg. Jeżeli zrobicie to inaczej, to wiedzcie, że coś się dzieje!

Żono! Podziękuj Bogu już teraz za każdy fragment swego ciała, także swoich narządów płciowych! A także – jeśli jeszcze nigdy tego nie zrobiłaś – Kościół ma dla ciebie zadanie: obejrzyj sama swoje łono (to poniżej z włoskami i otworkiem) w lusterku i pozwól dokładnie obejrzeć mężowi swój „Ogród" (to określenie z biblijnej Pieśni nad Pieśniami, oznaczające żeńskie narządy płciowe). A Ty, mężu, dokładnie obejrzyj swojego Dawcę Życia (to Twój narząd, inaczej kutas). Kiedyś już se obejrzycie, więcej w życiu tego nie oglądajcie, nawet przy sikaniu, bo to jest grzech ciężki.

Mężu i Żono, podziękujcie Bogu, że nie uczynił was romantycznymi. Romantyczność jest: paradoksalna, nierozsądna, niepraktyczna i jest grzechem. A w akcie zespolenia płciowego chodzi nie o przyjemność, ale o zapłodnienie i stworzenie nowego człowieka chwalącego Pana Naszego i Maryję Zawsze Dziewicę. I dającego na tacę, bo to katolicki obowiązek.

I zapamiętajcie: współżycie poza małżeństwem i przedmałżeńskie jest grzechem. Pieszczoty między mężem i żoną też są grzechem. Możesz ją pocałować w rękę, a nawet w usta, ale bez pożądliwości. Nie wolno ci całować jej piersi, cipki, stopy, pupy, ud. A ty mu nie bierz do buzi! Wszelkie zachowania mają być zgodne z

naturą – fizjologiczną budową i funkcjonowaniem organizmu człowieka (np. seks analny czy oralny jest niedopuszczalny, uprawianie go jest grzechem ciężkim i niegodnym katolika). Wasze ciała są świątynią. Słowo Boże kontynuuje w 1 Kor 3,17: „Jeśli kto zniszczy świątynię Boga, tego zniszczy Bóg. Świątynia Boga jest święta, a wy nią jesteście".

Żono, nie ubieraj się do łóżka jak ladacznica, nie zakładaj np. pończoch, ani powabnych peniuarów, nie perfumuj się, nie kręć zalotnie dupą, nie machaj cyckami, nie używaj wibratora! Włóż długą koszulę nocną do kostek, najlepiej lnianą, bo nie podrażnia sromu. Mężu, załóż piżamę, przeżegnaj się, zgaś światło! Jeśli tego nie zrobicie, to wiedzcie, że coś się dzieje!

Nie wolno wam mówić np.: „włóż kutasa w moją cipkę i tryśnij spermą!". Należy mówić: „włóż Dawcę Życia w mój Ogród i nawodnij go w imię Boga!". O prezerwatywach zapomnijcie, jak nakazuje Jan Paweł 2. On też nie używał.

Przed stosunkiem odmówcie modlitwę, klęcząc przed łóżkiem. Modlitwę świętą zakończcie zdaniami: „Niech szlag trafi zboczeńców, gejów, lesbijki, wszystkie sekty nieuznające Maryi Zawsze Dziewicy oraz tych wszystkich, co nie preferują seksu po Bożemu (brzuch na brzuchu). A my przyrzekamy, że nie będziemy zespoleni w Panu stosować pozycji „na jeźdźca", od tyłu, na boku, w kuchni, na stole, w wannie, w kiblu, w taksówce, minety, wzajemnej masturbacji, nie będziemy wypowiadać słów pożądliwych w rodzaju „głębiej, szybciej, o jak cudownie, o jaka rozkosz, wal mnie, spuść się, uuuuuu…", bo to obraża Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, Ducha Świętego, Maryję Zawsze Dziewicę, błogosławionego Tadka Rydzyka oraz Episkopat!"

Przy stosunku zawsze pamiętajcie o słowach: „Bądźmy sobie wzajemnie ulegli w bojaźni Chrystusowej", jak mówi Ef 5, 21!

Kochane Parafiany, jeżeli nie zastosujecie się do tych wskazań, to wiedzcie, że coś się dzieje!

Móóóóóódlmy się! Przekażmy sobie znak pokoju! Amen!

A ja teraz, wasz pasterz, moje wy barany, idę poczytać książkę Rodana „Historia Erotyki" (dzisiaj czytam rozdział o sadomasochizmie i filmach porno, tfu!), aby wiedzieć, czego jeszcze nie wolno robić kurewskiego! Moja gospodyni Dziuńka czytała Rodana „Historię erotyki" i przez tego przeklętego skurwiela mam ciężkie noce, bo jej się zbiera na niemoralne pieszczoty i perwersyjne propozycje, a ja już, niestety, nie jestem taki Brad Pitt.

SŁOWO NA NIEDZIELĘ

(Ewangelia św. Rodana z Mokrych Pysków)

Moi Drodzy Parafianie. Dzisiaj zamiast „Listu do Koryntian" św. Pawła odczytamy z ambony list Jędrusia do swojego ojca Józka Oblatywacza. Mamy na to specjalne zezwolenie z uwagi na pierwszą rocznicę objęcia władzy przez naszego prezydenta błogosławionego Tadeusza Rydzyka, dumy Torunia i chrześcijańskiego świata, oraz zgodę naszego umiłowanego premiera, słoneczka Żoliborza, Jarosława Kaczyńskiego. A oto list:

„W pierwszych słowach mojego listu pozdrawiam cię, Józku Oblatywaczu, mój kochany tatusiu i spermodawco, w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego oraz powiadamiam, że u nas w Mokrych Pyskach wszyscy zdrowi, czego i tobie życzymy. Odnieśliśmy zwycięstwo pod sztandarem naszego Prezydenta Tadeusza Rydzyka oraz Premiera Jarosława Kaczyńskiego. Naszą chałupę zabrali katoliccy hunwejbini i wysiedlili nas karnie pod Mokre Pyski (tam na bagna, gdzie kiedyś nam się krasula utopiła), bo jesteśmy rodziną „wroga kleru", czyli ciebie. Polska teraz nazywa się Wolska-Katoland. Nawet ładnie.

Kochany tatusiu! Tu nawet jest fajnie. Kościół otwierają raz na kwartał, bo się księdzu Eustachemu nie opłaca. Więcej wyda na benzynę do mercedesa, niż zbierze na tacę. Z tych samych powodów pogrzeby są zbiorowe raz na pół roku, a ślubów nie

ma w ogóle, bo młodzi nie mają kasy i żyją na kocią łapę. Prezydenta Rydzyka i Premiera Jarosława Kaczyńskiego wieś już nie ogląda w telewizorze, bo proboszcz zasłonił okno firanką. Rydzyjka też babcia nie słucha, bo we wsi wyłączyli prąd i „Maryja" u nas padła.

Nie ma już w ogóle aborcji, bo starej Walczakowej podpierdolili pogrzebacz oraz sekator ogrodowy i nie ma czym operować. Wszyscy tylko czekają, jak dzieci poczęte się narodzą i do piachu z nimi. I problema nie ma.

Donald Tusk i Bronisław Komorowski siedzą w pierdlu (dostali dożywocie) na podstawie „Białej Księgi" Ministra Inkwizycji Antoniego Macierewicza i na torturach przyznali się do paktu z diabłem. Podobno Lechu Wałęsa wywalił się z łódki na rybach, wpadł do wody, podtopił się i śmichu było w wiosce tyle, że ta jedna krowa – co nam została na cztery wsie – wystraszyła się i przestała dawać mleko.

Dobrze, że mamy jeszcze dwa króliki, to może się rozmnożą. Srać chodzimy nadal za stodołę, ale bez „Gazety Wyborczej" do podtarcia, bo zbankrutowała.

Minister Sprawiedliwości Zbigniew Ziobro wydał dekret, że o klerze albo bardzo dobrze, albo do pierdla.

Roboty nadal nie mam, no bo bezrobocie przekroczyło 94,6 proc. A te pozostałe procenty co pracują, to parlament, rząd i czarne eksperty z Watykanu.

Baśka sprząta na plebanii za razowca i michę kartoflanki. Przynajmniej głodna nie chodzi, i dobrze, bo jest w ósmym miesiącu. Jak będzie chłopak, to mu damy Jan Paweł Drugi, podobno przy chrzcinach ksiądz daje za to cukierka. Jak będzie dziewczynka, to jej damy na imię Matka Teresa z Kalkuty.

Mamusia dalej choruje, ale do szpitala jej nie przyjęli, bo biorą tylko z własnym łóżkiem, a nasz materac, wypchany sianem, wsiokami im śmierdział. Pytasz też, co u dzieciaków. Wicuś do szkoły nie chodzi, bo gimnazjum jest 80 kilometrów od nas, a pekaes nie jeździ. Stację kolejową zlikwidowali pięć lat temu, a szyny, szlabany i semafory sprzedali na złom. Zresztą kolej już prawie nie istnieje, jeżdżą tylko dwa

pancerne pociągi z Kaczygrodu (dawniej: Warszawa) do Rydzykogrodu (dawniej Toruń).

Ja, kochany tatuśku, trochi handluje prezerwatywami, bo ich się w Polsce już nie produkuje, odkąd prezydent Rydzyk uznał je jako narzędzie zbrodni na dzieciach nienarodzonych. Jak u kogoś znajdą kondoma – to kara śmierci bez sądu. Jadźka Bufetowa też handlowała kondomami, ale ją przyłapali. Świeć Panie nad jej duszą. Egzekucja była publiczna i spędzili wszystkie wioski. Jadźka ważyła 180 kg, to i szubienica się zarwała. Musielimy na rozkaz spalić ją w stodole. Trochi szkoda tej jej Jedwabnej kiecki.

Ja w tym tygodniu idę z chłopakami na obowiązkową pielgrzymkę do Częstochowy. W tym roku już pielgrzymowałem tam 26 razy, do Torunia 33 razy i 14 razy do Lichenia. Jak ktoś odmawia pielgrzymki, to przyjeżdża po niego Moherowa Policja Maryjna, to jest takie kościelne KGB, albo ZOMO!

Są też smutne wieści: umarła ciotka Stefka. Bo jak to te wszystkie lekarze i pielęgniarki pouciekali do Unii, to ostał się jeno weterynarz Zenek no i mu się dawki zastrzyku z koniem pomyliły, i ciotka kopnęła w kalendarz.

A co się dzieje z Endrju Rodanem? Nie wiadomo. Ostatni raz go widziano na Bałtyku, jak płynął wpław do USA po azyl. Ślad po nim zaginął. Antek Macierewicz go poszukuje od Smoleńska do Pekinu. Wydano za Rodanem list gończy: „Żywy czy martwy” itp. Szukają go jak jakiegoś Brudnego Harry czy Rambo.

A w ogóle to coraz lepiej u nas, kochany tatusiu, wszystkie chłopy z Mokrych Pysków modlą się o drożdże z nieba całymi dniami, ale jakoś nie chcą spadać. Zresztą cukru też nie ma, to po co drożdże.

Prezydent Rydzyk i Premier Jarosław Kaczyński obiecują, że praprawnukom naszych dzieci będzie lepiej, ale chyba gówno z tego wyjdzie, bo się Białoruś nie zgodziła na unię z Wolską. Teraz premier Kaczyński, Macierewicz, Ziobro i

Ministerka Spraw Zagranicznych Fotyga jadą do Albanii i Kongo, to może nam dadzą jakąś pożyczkę albo ludzie będą mogli tam do roboty jeździć.

Mówi się, że Kaczory wydadzą wojnę Ruskim, żeby Smoleńsk przyłączyć do Wolski. Nasza armia pójdzie tam uzbrojona w krzyże, sztandary religijne, różańce i broń chemiczną, czyli w wodę święconą. Podobna Matka Boska pójdzie na czele z granatami w ręku. Putin jest w szpitalu. Jak się o tym dowiedział, to brzuch mu pękł ze śmiechu. Ziobro ucieszył się i powiedział: „Ten pan już nigdy nikogo więcej w Smoleńsku nie zamorduje".

A jak ci tam, tatuśku, w gułagu na Żuławach? A mówiłem ci, żebyś proboszcza Eustachego całował w rękę i modlił się do Rydzyka, to nie posłuchałeś i teraz masz za swoje! A te 25 lat, co ci słusznie przysądzili, minie i wrócisz do nas, do Mokrych Pysków, i wspólnie będziemy bronić naszej tożsamości narodowej, naszej ukochanej religii, Świętego Kościoła, Episkopatu i chrześcijańskich wartości.

Baśka też Cię pozdrawia, ale teraz rzyga (jak to w ciąży), potem to zbiera z podłogi i z tego na kolację sałatkę robi. Dopóki jest w ciąży, to mamy co jeść!

Rydzyk rządzi, Rydzyk radzi, Rydzyk nigdy cię nie zdradzi! Całuję cię mocno, twój na wieki wieków, amen,

Jędruś Oblatywacz numer 2.

Nie mogę dalej pisać, bo mi się złamało gęsie pióro, a naftę do lampy żemy już dawno wypiły…"

Joanna Łukowska

KLESZCZ, czyli BOSKIE POCZUCIE HUMORU

Najpierw przyplątały się sny. Wkrótce po tym, jak skończyłam brać penicylinę. Podczas wakacyjnego biwaku kleszcz użarł mnie w pośladek; wokół ugryzienia wykwitł niepokojący rumień. Teodor, prywatnie mąż mojej matki, a zawodowo lekarz internista, nie patyczkował się.

– Z kleszczami nie ma żartów. Roznoszą różne świństwa, jak kleszczowe zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych czy boreliozę. Lepiej nie ryzykować.

I zaaplikował mi penicylinę, którą łykałam przez dwa tygodnie, dwa razy dziennie. Antybiotyk, nawet w typowej pięciodniowej kuracji, wyjaławia organizm. Ja po czternastu dniach brania takiej kobyły jak penicylina byłam jałowa niczym gaza. Ale dzielnie trzymałam fason, umysł też mi nie szwankował. W każdym razie do czasu…

Bo później przyplątały się te sny.

Niby nic niezwykłego, każdemu zdarza się je miewać. Tyle że do tej pory po obudzeniu niewiele z nich pamiętałam – prócz niejasnych wrażeń i obrazów. Teraz rankiem głowa mi pękała od natłoku barwnych wizji. Śniłam w stereo i w kolorze, co wcale nie znaczy, że miłe to były sny. Pojawili się w nich ludzie, których nie znałam, których w życiu na oczy nawet nie wiedziałam, ale jeszcze długo po tym jak odpłynęli spłoszeni krzykiem budzika, mogłam opisać ich twarze z dokładnością co do jednej zmarszczki, co do najmniejszego pieprzyka.

Nie podobali mi się. Ani oni, ani ich natarczywe spojrzenia. Gapili się, jakby czegoś chcieli, oczekiwali… sama nie wiem, na mannę z nieba, na cud? Ale dlaczego zrobili sobie poczekalnię na boski zrzut akurat w moich snach? I czemu

prześladowali mnie nawet po obudzeniu? Nie mogłam zapomnieć ich głodnych oczu, smutnych twarzy. Dręczyły mnie cały dzień, chodziły za mną krok w krok, by zniknąć wraz z nastaniem nocy… zastąpione przez inne twarze, inne oczy, które znowu patrzyły, błagały, żądały. Czego? Czemu ode mnie?! Miałam ochotę powiedzieć: Sio! Wynocha! Dajcie mi spokój! Żeby to było takie łatwe… Nie jestem tchórzem, zwykle walę prawdę prosto z mostu, tyle że na jawie. W tych snach czułam się zaledwie obserwatorem; jedynym widzem w pustym kinie. Seans odgrywano specjalnie dla mnie. Miałam rozkazać aktorom, by zeszli z ekranu, czy co? Jeszcze nie zwariowałam. Nawet we śnie umiałam oddzielić nierealne od absurdalnego. Co ciekawe, wiedziałam, że śnię. Próbowałam nawet samą sobą wstrząsnąć.

– Obudź się, Majka. Raz, dwa, trzy i budzimy się w naszym ciepłym łóżeczku, w pachnącej wiosenną świeżością pościeli. No, postaraj się, dziewczyno!

Nic z tego. Sen się musiał dośnić, postacie przedefilować przez ekran, ciągnąc za sobą cienie i obrazy, którym wolałam nie przyglądać się zbyt uważnie. Seans mijał za seansem, a ja, wyczuwając narastające napięcie, zamykałam oczy – jak na horrorze. Nie moje koszmary, nie moja sprawa, powtarzałam sobie w kółko. Aż kiedyś uderzyła mnie porażająca myśl, że te sny istotnie… nie są moje! Wtedy po raz pierwszy obudziłam się w środku nocy zlana potem ze strachu.

Co jest grane? Czemu to się dzieje? Czyżby penicylina wyjałowiła nie tylko moje ciało, ale umysł, id, ego czy co tam we mnie siedziało? Stałam się na nowo czystą, białą kartką, kusiłam, by po mnie bazgrać… Niedoczekanie! Nie zamierzałam służyć jakimś tajemniczym graficiarzom za byle ścianę.

Następnej nocy, tuż przed zaśnięciem obiecałam sobie, że powiem „aktorom” do słuchu. Miałam dosyć roli biernego widza.

Zasnęłam… Pojawiła się. Kobieta o długich włosach, wyzywającym stroju oraz makijażu, ustach wykrzywionych w przesłodzonym grymasie zachęty. Patrzyła i oskarżała.

– Czego ode mnie chcesz? – warknęłam. – Co robisz w moim śnie? Wracaj do własnego piekiełka.

– To mój sen. – Westchnęła, poprawiając włosy wystudiowanym gestem. – Już to wiesz. Nie podoba ci się, to nie patrz, jak zwykle zresztą… – Wzruszyła ramionami.

– Co jak zwykle? Kim ty jesteś, o co ci chodzi?

– Nie wiesz? – zapytała, chowając oczy pod wymalowanymi powiekami.

– Nie wiem – rzuciłam krótko.

– Czyli Boga nie ma – westchnęła – a dla mnie… nadziei.

Odwróciła się i odeszła, kołysząc zmysłowo biodrami. Za nią czołgało się coś… małego, nie do końca ukształtowanego… Nie chciałam patrzeć, odwracałam głowę, zaciskałam powieki, ale wciąż widziałam jak… pełznie, brocząc krwią, otwierając usta do krzyku, którego nikt nigdy nie usłyszał i już nie usłyszy!

Znowu obudziłam się sparaliżowana grozą.

Wiedziałam, że więcej takich nocy nie zniosę. Poszłam do Teodora.

– Kiepsko sypiam, wciąż się budzę, dręczą mnie jakieś koszmary. Poradzisz coś?

– Zapiszę ci relanium. Po piątce będziesz spała jak kamień, bez żadnych snów.

– Dzięki – mruknęłam.

Poplotkowałam z mamą, ale na odchodnym, zdając sobie sprawę, że przypuszczalnie tylko się ośmieszę, zapytałam:

– Teo, czy penicylina mogła spowodować te problemy ze spaniem? Może wyjałowiła mnie bardziej, niż przewiduje statystyka. Dlatego odbieram… – zawahałam się nad doborem słów – jakby cudze sny. Bo one nie są moje, nie znam ludzi, którzy w nich występują – mówiłam coraz szybciej. – Czegoś ode mnie chcą, proszą, żądają, nie wiem czego, prześladują mnie nawet po obudzeniu. Mam

wrażenie, że ich zawiodłam, że coś jestem im winna… – Umilkłam, speszona ich spojrzeniami.

– Majeczko, chyba za dużo pracujesz. – Mama objęła mnie ramieniem.

– Wiesz, mam kolegę psychiatrę, dobry jest… – Teodor wciąż przyglądał mi się uważnie. – Może nie zaszkodzi, gdybyś się z nim spotkała.

– Po co? – Parsknęłam udawanym śmiechem. – Wszędzie wietrzysz chorobę. Mama ma rację, jestem przemęczona i tyle. No to cześć, lecę.

– Pa, córcia… – Mama przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała w czoło; tak jak kiedyś, w dzieciństwie, gdy sprawdzała, czy nie mam gorączki.

– Cześć, Majka – mruknął Teodor. – Jakby co, dzwoń.

Wyraźnie przejęli się moim stanem. Cóż, ja też nie byłam nim zachwycona.

Dlatego wieczorem dla pewności zażyłam aż dwie tabletki relanium. Rano, po przebudzeniu, zajrzałam w głąb siebie i nie zlazłam śladu sennych wizji. Jeżeli coś mi się śniło, przepadło w mrokach niepamięci. Hip, hip, hura!

Szkoda tylko, że potem zaczęłam słyszeć głosy…

Jechałam do pracy zatłoczonym autobusem. Stałam wciśnięta między poręcz, brzuchatego faceta z teczką a paniusię z dużym biustem i napompowaną fryzurą. Z trudem łapałam oddech, ale aż promieniałam doskonałym humorem. Dzieliłam się z towarzyszami podróży uśmiechem niczym opłatkiem. Drgnęłam, niemile zdziwiona, gdy zamiast życzliwej odpowiedzi usłyszałam:

– Śmieje się, jakby było z czego. Widać życie nie dokopało jej tak jak mnie…

Popatrzyłam po twarzach pasażerów. Mur obojętności – żadnego nieprzychylnego spojrzenia, zmrużenia powiek czy ironicznego wygięcia ust.

– Ciekawe, ile ma lat? Ze trzy dychy jak nic, choć nieźle się trzyma…

– Pan coś do mnie mówił? – zagadnęłam faceta z teczką.

– Skądże! – obruszył się i mocniej przycisnął do siebie teczkę.

– A pani? – zwróciłam się do biuściatej z tapirem.

– Co ja? – Uniosła wyskubane drwi.

– Przepraszam, wydawało mi się, że pani coś powiedziała, do mnie, chyba się przesłyszałam… – bąkałam nieskładnie.

– Ja myślę – parsknęła i wymieniła z brzuchaczem znaczące spojrzenia. Miałam wrażenie, że stałam się bohaterką ukrytej kamery; brakowało, żeby ktoś zaczął mnie obmacywać. Natężyłam zmysły w oczekiwaniu na atak… Mało nie krzyknęłam, gdy ponownie rozległ się czyjś głos.

– Przestała się szczerzyć. I dobrze. Zmarszczki jej się robią. Powinna najpierw spojrzeć w lustro, zanim… – Głos dobiegał jakby z tyłu.

Obróciłam się. Za mną była tylko ściana autobusu.

– Chryste, ależ się wierci!

Zamarłam. Włosy uniosły mi się na karku. Ktoś mówił, a ja owszem słyszałam go z tyłu… ale z tyłu czaszki, wewnątrz głowy! Zrobiło mi się niedobrze. Rzuciłam się do wyjścia. Nie zważając na trącające mnie łokcie, na rzucane za mną oburzone spojrzenia, parłam do drzwi, na powietrze, na wolność. Uciekłam przed goniącymi za mną okrzykami:

– Gdzie lezie!… proszę uważać…. nie po nogach!… ale zielona… zaraz puści pawia… może w ciąży?… dlaczego on mi to zrobił?! Zabiję go, zabiję i każdy sąd mnie uniewinni…

Dyszałam z przerażenia. Zatkałam uszy dłońmi. Niektóre głosy umilkły, ale inne wciąż rozbrzmiewały w mojej głowie, rozsadzając ją niczym młot pneumatyczny.

– Wariatka, tylko tego mi brakowało… zabiję go, zabiję!… wariatki w autobusie… albo siebie, wtedy pożałuje…

Autobus stanął, drzwi otworzyły się z cichym sykiem. Wypadłam na zewnątrz, wciąż trzymając się za głowę.

– Oddychaj, oddychaj, powoli, głęboko, uspokój się, już dobrze… – przemawiałam do siebie jak do dziecka.

Odjęłam dłonie od uszu. Wszechobecny gwar miasta i znajomy zapach spalin były jak balsam na moje porażone zmysły. Wciągnęłam głęboko w płuca smród śródmieścia, napawałam się warkotem samochodów, stukotem obcasów po chodniku, zwykłym hałasem toczącego się obok życia. Usiadłam na ławce pod wiatą. Obok przycupnęła jakaś staruszka.

Zamknęłam oczy, pogrążyłam się w sobie. Już po wszystkim, spanikowałaś, wydawało ci się… nikt nie czyta w cudzych myślach. Na pewno nie ty. Jesteś rozsądna, praktyczna, nie wierzysz w takie rzeczy… czterysta złotych, owoc żywota Twojego… to przemęczenie, stres, Krzysztof martwi się zwolnieniami w firmie… czterysta złotych to za mało, módl się za nami… niepotrzebnie, jego przecież nie zwolnią, takiego dobrego pracownika… nie starczy! Maryjo, łaski pełna… Nie starczy mi… Wezmę wolne, pójdę do tego psychiatry, którego poleca Teodor, to stres, po prostu stres albo zwykły zespół przedmiesiączkowy… Czterysta złotych mi nie starczy… teraz i w godzinę śmierci… syn nie pomoże, bo sam na bezrobociu, tyle lat pracy, trzydzieści, a teraz czterysta złotych na cały miesiąc, nie starczy… Amen. Zdrowaś Maryjo…

Otworzyłam oczy. Spojrzałam na staruszkę obok; siedziała cichutko, przesuwając w palcach koraliki różańca. Modliła się… jej usta poruszały się bezgłośnie. Patrzyłam na nią jak zahipnotyzowana.

Chleba naszego powszedniego daj nam Panie… nie starczy, chleba nie starczy…

Uniosła głowę znad różańca. Przeszyła mnie błagalnym wzrokiem.

– Aniele, Boże, Stróżu mój… Ty wiesz, nie starczy, czterysta złotych mi nie wystarczy…

Świat zawirował. Zemdlałam.

– **C**o ona tam mamrocze?

– „Mąż mówi do mnie czasami aniele, ale to nie znaczy, nie znaczy…” – ktoś mnie zacytował rozbawionym tonem. Uchyliłam powieki. Dookoła stał tłumek ciekawskich. Młody mężczyzna w kolorowym kasku pochylał się nade mną, spryskując mi twarz wodą z bidonu. Drugi rowerzysta mierzył mi puls.

– Już okej! – Poderwałam się z ławki, siadając prosto.

– Witamy w realnym świecie, aniołku. – Ten od bidonu uśmiechnął się. – Zemdlała pani. Wezwaliśmy pogotowie.

– Po co? Jestem zdrowa. Nic mi nie…

– Nie zaszkodzi sprawdzić – przerwał mi drugi z młodzieńców.

– Tak, tak! – potaknęła staruszka. – Przeraziłam się, gdy ona tak nagle osunęła się na ławkę. Czy to przeze mnie…? – zapytała drżącym, starczym głosem. Ujęła mnie jej troska. Miała tyle własnych problemów, a martwiła się o obcą kobietę z przystanku.

– Nie, to nie pani wina – złapałam ją za rękę i… znowu prawie nie zemdlałam od napływu nie swoich myśli.

Suchy chleb i ziemniaki… Jaka biedna, jaka blada… Na nic więcej nie starczy. Suchy chleb i ziemniaki… To nie jej wina, że nie rozumie, kim jest…

Powstrzymałam mdłości. I nagle wiedziałam, co powiedzieć. Przytuliłam ją i szepnęłam w siwe włosy:

– Zagraj w szczęśliwy numerek. Postaw na swoją szczęśliwą liczbę. Wygrasz, obiecuję.

– Naprawdę?

– Zaufaj mi, przecież modliłaś się o cud. Po prostu, zaufaj…

– Ufam, ty też powinnaś. – Pogłaskała mnie po ręce. – Ty też…

Nie poszłam tego dnia do pracy. Ani następnego. Musiałam zastanowić się, co dalej. Czytałam w myślach, wchodziłam w cudze sny i umiałam przewidywać przyszłość. Na niewielką skalę, jak w przypadku tego szczęśliwego numerka, ale jednak. Określenie, że byłam śmiertelnie przerażona, nie oddaje w pełni tego, co czułam. Cała dygotałam od środka. Miałam wrażenie, że wariuję! Do tego byłam wściekła. Skoro posiadałam takie… cudowne moce, czemu objawiły się dopiero teraz? Czemu nie wcześniej, gdy wygryzano mnie z roboty, a mój chłopak zdradzał mnie z najlepszą przyjaciółką?! Gdybym wtedy umiała czytać w myślach, nie pozwoliłabym się ośmieszyć ani upokorzyć.

Ale nie, dziwne talenty musiały ujawnić się w chwili, gdy prowadziłam w miarę szczęśliwe życie. Mąż mnie kochał, dzieciaki rosły zdrowo, niedawno w pracy dostałam awans i podwyżkę. Włażenie w cudze umysły i sny było mi w tym momencie potrzebne jak dziura w bucie. Jak miałam wykonywać swoje obowiązki żony, matki i kierowniczki działu obsługi kredytów dla firm, gdy znajdowałam się w stanie kompletnej rozsypki? Już to widzę, prowadzę rozmowy z klientem i w tym samym czasie „słyszę", co on myśli o moich nogach albo co gorsza o moich kompetencjach. A świadomość, że stanę się nagle szpiegiem własnej rodziny, budziła mój głęboki niesmak. Każdy ma prawo do prywatności, do tajemnic. Osobiście nie chciałabym, żeby ktoś, nawet kochany, podsłuchiwał mnie dniem i nocą.

Oczywiście istniała jeszcze jedna możliwość – naprawdę zwariowałam. Postanowiłam się gruntownie przebadać. Teodor, jako nasz lekarz rodzinny, wypisał mi zwolnienie i skierowania do swoich znamienitych kolegów. Przeszłam przez ręce psychiatry, neurologa, nawet hipnotyzera, który cofnął mnie do czasów dzieciństwa. Nic nie znaleźli. Nie w tym rzecz, że chciałam być poważnie chora, że marzył mi się guz mózgu albo schizofrenia; ale wolałbym, żeby moje problemy miały konkretną, namacalną przyczynę, którą dałoby radę wyleczyć pigułkami, skalpelem albo poważną rozmową z matką. Nie udało się. Zapisano mi jedynie więcej środków

nasennych i uspokajających. Przez trzy dni grzecznie je brałam; łykałam ich tyle, że z trudem odróżniałam północ od południa, jednego synka od drugiego, a sny i głosy, choć wytłumione, odległe, i tak tylko czyhały, żeby znowu zaatakować…

Od prawie dwóch tygodni nie chodziłam do pracy, od trzech dni leżałam w łóżku i gapiłam się w sufit sypialni. Chłopcy chodzili wokół mnie na palcach, szepcząc, że „mama naprawdę musi być ciężko chora, skoro nie krzyczy, gdy oglądamy głupie bajki i gramy w te idiotyczne gry". Mąż też popatrywał na mnie z niepokojem; mimo sporej dawki pigułek, gdybym się wysiliła, usłyszałabym, co myśli. Nie chciałam tego robić, nadwerężać jego zaufania, nawet jeżeli nie wiedział, co potrafię. Powiedziałam mu o koszmarach, ale do czytania w myślach się nie przyznałam; bałam się, jak zareaguje.

Dlatego tylko leżałam i kontemplowałam spękaną farbę na suficie.

Potem zaczęło mnie swędzieć między łopatkami. Potwornie! Do tego stopnia, że uspokajające tabletki przestały działać, a ja prawie zdarłam sobie skórę do krwi, szorując się szczotką do mycia pleców.

– Co ty robisz?! – Krzysztof wyrwał mi z ręki zbrodnicze narzędzie.

– Swędzi mnie, okropnie! Nie wytrzymam, podrap mnie, bo ja nie mogę dosięgnąć! – Wiłam się w wannie.

– Nie będę cię drapał i tobie nie pozwolę. Jeżeli to uczulenie, drapanie tylko pogorszy sprawę.

– To zobacz, czy mam tam jakieś krosty, zaraz szału dostanę, tak mnie swędzi! Jakbym miała wietrzną ospę.

Krzysztof pochylił się nad moimi plecami.

– Są czerwone, jednak żadnej wysypki nie widzę. To pewnie z nerwów.

– Zrób coś! – zażądałam. – Podrap, podmuchaj, bo z tych nerwów zaraz mnie szlag trafi!

– A przestaniesz brać te głupie pigułki? Zachowujesz się po nich jak zombie.

– Przestanę, tylko coś zrób! Znowu zacznę mieć koszmary, ale już wolę je od tego okropnego swędzenia.

Mąż odprowadził mnie z powrotem do łóżka. Kazał położyć się na brzuchu; plecy obłożył ręcznikiem wypełnionym lodem.

– Lepiej… – Westchnęłam. – Wciąż swędzi, ale da radę wytrzymać.

Przy kolejnej wymianie lodu, Krzysztof chrząknął niepewnie.

– Skarbie, tylko nie denerwuj się… bo masz tu jakąś gulkę…

– Jaką gulkę?! Gdzie? – Zdenerwowałam się natychmiast.

– Na plecach…

– Chcesz powiedzieć, że garb mi rośnie?

– Zaraz tam garb, zaledwie mały garbek, to pewnie tłuszczak…

Na szczęście nie umiałam jeszcze zabijać wzrokiem, bo inaczej mój mąż padłyby jak rażony gromem. Za karę obraziłam się i przestałam się do niego odzywać. Obróciłam się w łóżku tak, by leżąc na brzuchu, móc oglądać telewizję. W ten mało oryginalny sposób spędziłam dwa kolejne dni. Oglądałam i spałam. Byłam tak przejęta swędzącym garbem, że chociaż zgodnie z przyrzeczeniem nie brałam pigułek, nic mi się nie śniło.

Na trzeci dzień obudziłam się z głową całą w pierzu.

– A niech to, chyba poduszka pękła – mruknęłam, gramoląc się z łóżka i potykając o mokry ręcznik, leżący na podłodze. Widać spadał ze mnie w nocy. Skierowałam się do łazienki; przechodząc przez korytarz, odruchowo spojrzałam w lustro wiszące na ścianie. Lubiłam oglądać się w półmroku świtu; moje trzydziestopięcioletnie ciało wyglądało wtedy całkiem zadowalająco. Ginęły zmarszczki, nadprogramowe fałdki, brzuch wydawał się bardziej płaski, a biust wydatniejszy. Mrugnęłam do siebie i ruszyłam dalej, by… stanąć jak wryta! Z bijącym sercem zrobiłam dwa kroki w tył. Z obawą zerknęłam w lustro. Niby ta

sama, co wczoraj – potargana, nieumalowana, prawie goła, wyłącznie w czarnych majtkach… Tylko jeden szczegół się nie zgadzał. Wieczorem miałam plecy z garbkiem, rankiem w jego miejsce wyrosły mi… skrzydła. Nowiutkie, pokryte białym, mięciutkim pierzem skrzydełka!

Z wrażenia usiadłam na podłodze. Patrzyłam na siebie, na wystające mi znad ramion pióra, z szeroko otwartymi ustami. Po doświadczeniach ostatnich tygodni myślałam, że nic nie już w stanie mnie zaskoczyć… ale to?! Co to ma być, do diabła?! Spróbowałam nimi poruszyć. Jedno skrzydło uniosło się odrobinę, drugie zwisło bezwładnie. To jak z chodzeniem, trzeba się najpierw nauczyć z nich korzystać, jak z nóg… – pomyślałam; w tym samym momencie uznałam, że się jeszcze nie obudziłam. Albo cierpiałam z powodu odstawienia pigułek. Wstałam, poszłam do łazienki, zrobiłam siku i nie spoglądając więcej w lustro, wróciłam do łóżka. Położyłam się na plecach; nie bolało, co wzięłam za dobry omen. Jak coś ci świeżo wyrasta, powinno boleć. Niemniej, nie było mi zbyt wygodnie, jakbym leżała na skotłowanej kołdrze. Przewróciłam się na brzuch i postanowiłam poczekać, aż się obudzę…

Pochylił się nade mną. Wiedziałam, że to On i że mi się przygląda. Otworzyłam oczy. Zawsze zastanawiałam się, jak może wyglądać. W tej wersji, w której raczył mi się ukazać, był mężczyzną w nieokreślonym wieku. Niby dojrzały, brodaty i siwowłosy, taki… ojcowski, ale w kącikach jego pełnych, niemal kobiecych ust igrał przekorny uśmiech. Oczy, te czarne, głębokie jak najgłębsza głębia oczy widziały wieczność. One ją stworzyły… Zadrżałam.

– Chyba się nie boisz, co? – Zachichotał.

– Nie, po prostu mi zimno. – Okryłam się kołdrą.

– Czyżbyś się mnie wstydziła? – Znowu zaśmiał się cicho, intymnie.

– W końcu jesteś facetem – wypaliłam.

– Nie pozwalaj sobie, aniołku. – Pogroził mi dobrotliwe palcem.

Po chwili siedzieliśmy na czymś, co było miękkie i wygodne jak wysłużony fotel, a wyglądało jak obłoczek w pogodny dzień. Tyle że to nie mogła być zwykła chmurka; chmury to para wodna, uczyłam się o tym w szkole i widziałam naocznie, bo leciałam kiedyś samolotem – nie da się na nich siedzieć.

– Nie analizuj, aniołku, odczuwaj. Lepiej na tym wyjdziesz.

– To przestroga?

– Dobra rada.

Umilkliśmy. Zapatrzyliśmy się w światy pod nami. Sporo ich było…

– Czemu ja? – zadałam pytanie, które dręczyło mnie od samego początku.

– A czemu nie? – Wybuchnął tubalnym śmiechem. – Wieczność to bardzo długo, lubię ją sobie urozmaicać.

– Nie mogłeś poczekać, aż umrę?

– Kto powiedział, że skrzydła można dostać dopiero po śmierci? Na pewno nie ja.

– Tu mnie masz. Ty ustanawiasz reguły

– Istotnie, ale nie ja podejmuję decyzje.

– Nie miałam nic do gadania – burknęłam. – Robiłam wszystko, by odciąć się od tych… dziwnych zdolności. Nie udało się, wygrałeś. Sądzę jednak, że trzeba było wybrać kogoś innego, bardziej podatnego i chętnego.

– Mylisz się. Nie znasz się tak dobrze, jak ci się wydaję. Gdybyś nie chciała, gdybyś się nie nadawała, nie usłyszałabyś modlitwy tamtej staruszki, nie znalazłabyś rozwiązania tak szybko. Widzę cię na wskroś, ale nawet ja byłem zdziwiony, że zareagowałaś tak entuzjastycznie na zmianę. Tamta kobieta w autobusie…

– Ta, która mówiła, że zabije jego albo siebie…

– Widzisz, jaka jesteś zdolna. W wypełnionym po brzegi autobusie momentalnie wyczułaś osobę, która najbardziej cię potrzebowała. Notabene będziesz musiała ją odnaleźć.

– Wiem – odparłam machinalnie, bo nawet mnie wydawało się to oczywiste.

– I ja miałem czekać kilkadziesiąt lat, aż umrzesz? Zwykłe marnotrawstwo. Masz dar.

– Możliwe – odparłam nieuważnie, zrywając trawkę i wkładając ją sobie w usta. Żułam ją niczym gumę; obok grały świerszcze i pachniały zioła. Znowu sceneria się zmieniła.

– Lubię to miejsce. – Westchnął, kładąc się na plecy i zakładając ręce pod głowę.

– Ładne. Tamto też było niebrzydkie, choć ciągnęło po nogach. Tu jest z kolei trochę za gorąco… – Powachlowałam się skrzydłami, jakbym robiła to od zawsze. – Można na nich latać?

– Sama się przekonasz.

– Bo jak nie można, to po co mi one. Jak je ukryję? Mogę zapomnieć o bluzkach bez pleców, opalaniu i pływaniu. Mam nadzieję, że warta skórka wyprawki. Swoją drogą, jak się je czyści? Na sucho czy na mokro, a może chemicznie? Kobieta z pralni zdębieję, gdy przyniosę jej parę skrzydeł. O ile da radę je jakoś odczepić.

– Nie marudź.

– Nie marudzę, tylko pytam. Jak do tego doszło?

– Pamiętasz biwak… i kleszcza…

– Jeszcze by nie!

– Właśnie tak.

– Zaraziłam się nadprzyrodzonymi mocami od jakiegoś kleszcza?! Żartujesz…?

– Bardzo często. Gdybym nie miał poczucia humoru nie wymyśliłbym żyrafy, żółwia ani słonia.

– Hemoroidy i miesiączka to też przejaw Twojej skłonności do żartów?

– Pyskata jesteś, ale to akurat żaden grzech…

– Czemu teraz?

– Musiałaś dojrzeć. Do wszystkiego trzeba dojrzeć.

– Jak to będzie…?

– Poradzisz sobie.

Obudziłam się. Wciąż leżałam na brzuchu. A więc to było tylko sen… Szkoda… Z drugiej strony, jakbym się wytłumaczyła przed rodziną z tych skrzydeł i w ogóle. Przeciągnęłam się. Skrzydła rozprostowały się na całą szerokość. Sięgały od ściany do ściany. Ale heca!

– **M**ama, nie śpisz już, ubrałaś się?! – Chłopcy wpadli do sypialni jak bomba. Typowe. Jakby podsłuchiwali pod drzwiami, czekając na pierwsze oznaki porannego życia. Ale zamiast wskoczyć między nas do łóżka, stanęli oniemiali w progu. – Mama… – powtórzyli nabożnym szeptem, gapiąc się na mnie jak na zjawisko. Nie na moje nagie piersi, których nie zasłoniłam, choć zwykle nie paradowałam przed chłopcami goła. W obecnej sytuacji miałam jednak znacznie większy problem do ukrycia niż swój skromny biust rozmiaru A.

– Majka… – Krzysztof siedział obok i przecierał oczy; wolno wyciągnął rękę i dotknął białego pióra. – Masz skrzydła!

– Co ty powiesz? – Uśmiechnęłam się z przekąsem. – Od razu uprzedzam, żeby później nie było, umiem wchodzić w sny, czytam w myślach i trochę przewiduję przyszłość.

– Ale bajer! – Chłopcy byli pod wrażeniem.

– Nie powiedziałbym. Macie przerąbane. Nic się przede mną nie ukryje. Nie przeszkadza wam, że jestem…

– No co ty, mama, jak powiem kumplom…! – Młodszy synek aż podskakiwał z emocji.

– Ani się waż! – Zerwałam się z łóżka; skrzydła załopotały groźnie. – Nikt postronny nie ma prawa wiedzieć. Nikt!

– No to jesteś uziemiona w chacie na amen – bystro zauważył starszy synek – bo niby jak schowasz pod ubraniem te swoje pióra?

– Hm… – Fakt, to był pewien problem. Skupiłam się, nakazałam skrzydłom… wstąpić się? zwinąć, opaść?… Chwilę szukałam w myślach właściwego terminu… Jest! Znalazłam. „Skrzydła stul", wydałam sobie rozkaz i… znowu miałam gładkie plecy. Poza małym swędzącym leciutko garbkiem. – Może tak… – Uśmiechnęłam się do synów, patrzących na mnie z rosnącym respektem.

– Ekstra mama! – westchnął młodszy. – A możesz znowu je rozwinąć?

– Proszę uprzejmie. – Teraz wystarczyło samo pragnienie i skrzydła rozpostarły się na pół pokoju. Ciasno się zrobiło, zrazem powiało boską grozą i powagą. Zrozumiałam. „Skrzyła lot", „skrzydła święć" – te nakazy były zarezerwowane na poważne sprawy, z gatunku dramatów i tragedii, nie na popisy przed ciekawską rodziną. I niech tak zostanie, Panie Boże. Obym nigdy nie musiała korzystać ze swych nowych mocy dla ratowania czy wspierania najbliższych. Dla nich chcę pozostać zwykłą żoną i matką. O nic więcej nie proszę w zamian za oddaną służbę. Byle innym… Mamy umowę? Śmiech w moich myślach był jedyną odpowiedzą na tę bezczelną modlitwę.

Wzruszyłam ramionami, opuszczając skrzydła wzdłuż pleców, na kształt krótkiej, wąskiej pelerynki. Spokojnie mogłem się teraz ubrać. Nie stuliłam ich całkiem, bo ten swędzący garbek trochę mi jednak przeszkadzał. Może z czasem przestanie albo przywyknę.

– Co teraz? – mój mąż zadał zasadnicze pytanie.

– Powiedział, że sobie poradzę. – Wskazałam kciukiem sufit. – Sądząc po szybkim opanowaniu skrzydeł, jak zwykle miał świętą rację. Od dziś, poza innym obowiązkami, będę… Stróżem.

– Jasne… – pokiwał głową ze zrozumieniem. – Nigdy nie miałem wątpliwości, że żenię się z prawdziwym Aniołem. To była wyłącznie kwestia czasu, kiedy Szef upomni się o ciebie.

Agnieszka Hałas

KŁOPOT BARONA HOOGSTRATENA

1.

– **T**ędy, panie Rorick. Zapraszam.

Gruby właściciel menażerii prowadził klienta, wytwornie odzianego szlachcica, przejściem między dwoma rzędami klatek. Uwięzione stworzenia – zmory, harpie, barwne zamorskie ptaki – skrzeczały, skwirzyły i łopotały skrzydłami.

– Tu ich trzymam. Niech tylko otworzę…

Namozoliwszy się z kłódką, grubas pchnął okute drzwi. Ciasne pomieszczenie wypełniał trudny do opisania zaduch; na ziemi walały się kości, ochłapy i odchody. Pod ścianą majaczyły skulone sylwetki.

– Tak wyglądają najciekawsze egzemplarze, jakie masz do zaoferowania, Jepho? – W głosie Roricka dał się słyszeć sceptycyzm.

– Dobrze prawicie – potwierdził Jepho, unosząc latarnię. – Oto, dla przykładu, Szakłak. Pochodzi z puszcz dalekiego Południa.

Podobne do małpy stworzenie o czarnym futrze spojrzało na nich lękliwie. Jego szyję otaczała obroża, do której umocowany był łańcuch zaczepiony o wbite w ścianę kółko.

– Umie zaklinać wzrokiem węże i ptaki. Jalash… – grubas wskazał siedzącą obok Szakłaka istotę o szarej skórze i włosach przypominających naręcze gałązek – to półkrwi żywiołak ziemi…

Oczy Jalash wyglądały jak dwa kuliste szmaragdy. Patrzyła nimi obojętnie w przestrzeń.

– Co potrafi?

– Żebym tak zdrów był, panie Rorick! To niemowa, ale raz w miesiącu, gdy księżyc jest w pełni, zaczyna śpiewać. A jeśli dać jej wtenczas do ręki suchą gałąź, czy jaki bądź kawał drewna, natychmiast okryje się ono liśćmi i zakwitnie…

– Hm! – Szlachcic z namysłem pogładził brodę. – No dobrze, a kogóż tu mamy? – Czubkiem buta trącił zwinięte w kłębek stworzonko, pokryte kolorowymi łuskami.

– Aaa, to moje maleństwo zakupione od piratów nad Morzem Syrenim. Zwie się Goryczka. Uważajcie, panie; jej skóra wydziela truciznę, której kropla wystarczy, by na długo pozbawić was wzroku. Lecz nie widzieliście jeszcze chluby mej menażerii. Za Zbója właściciele szkoły gladiatorów w Othlonie dawali mi swego czasu… ech, nieważne ile. Wam byłbym gotów go sprzedać za jedyne sześć tysięcy leri.

– Sześć tysięcy? – Rorick zagwizdał. – Chybaś rozum postradał, Jepho.

– Raczcie choć rzucić na niego okiem. Zbój! – Grubas odstawił latarnię i klasnął w ręce. Potężny odmieniec podniósł się wolno, pobrzękując łańcuchami. Mierzył dobre siedem stóp; musiał się pochylić, żeby nie uderzyć głową o sufit budy. Mimo chłodu odziany był jedynie w przepaskę na biodrach. Pod sinawą, pozbawioną pigmentu skórą prężyły się mięśnie, jakich nie widuje się nawet u zapaśników. Jednak nieproporcjonalnie mała czaszka i cofnięte czoło mówiły same za siebie.

– Unieś ramię, Zbój! Pokaż wielmożnemu panu biceps!

Odmieniec powoli, jak przez sen wykonał polecenie.

– Spójrzcie na jego klatkę piersiową, panie. Obmacajcie plecy, uda. On jest niczym żywy głaz…

– Szkoda tylko, że ma akurat tyle rozumu, co głaz. – Szlachcic pogardliwie pociągnął nosem. – Smród w tej budzie zaczyna mi działać na nerwy, Jepho. Czy w twojej kolekcji są jeszcze jakieś interesujące okazy?

– Jest ona. – Grubas pstryknął palcami w kierunku postaci siedzącej w kącie.

– Jak się wabi?

– Księżniczka.

Mimo plugawego otoczenia, mimo brudu, który pokrywał jej odzież i ciało, poza Księżniczki tchnęła nieuchwytnym dostojeństwem. Szlachcic uważnie przyjrzał się istocie. Miała ciało filigranowej dziewczyny, grzywę pozlepianych włosów o trudnej do stwierdzenia barwie i dziwną, zdeformowaną twarz o spiczastych uszach. Szarawe, jakby wyblakłe oczy bez lęku odwzajemniły jego spojrzenie.

– Co to za jedna?

– Prawdę rzekłszy, sam nie wiem. Przybłąkała się do nas przed miesiącem. Półżywa z głodu była, z nogami w ranach. Nie opierała się, gdym jej obrożę nałożył. Je to samo co reszta, posłuszna jest, jeszczem jej ani razu batem nie tknął.

– Umie mówić?

– Rozumie ludzką mowę. Słucha poleceń. Nigdy nie słyszałem, by przemówiła, ale – grubas uniósł palec – nie dałbym głowy, że nie potrafi. Wiecie, z odmieńcami nigdy nic nie wiadomo.

– Ciekawe, ciekawe… – Rorick z założonymi do tyłu rękami przechadzał się tam i z powrotem. Nagle przystanął. – Ubijmy interes, Jepho. Pięćset leri gotówką za tę twoją Księżniczkę. Co ty na to?

– Panie… – Grubas rozpromienił się, jak każdy chytrus, kiedy zwietrzy okazję. – Sprzedam ją wam, ale za czterykroć tyle!

Po targach stanęło na tysiącu.

2.

Porcelanowa małpka, potrącona nieostrożnym ruchem miotełki, spadła ze stolika na podłogę. Z łatwym do przewidzenia skutkiem.

Młodziutka służąca zbladła. Zerknęła w stronę uchylonych drzwi do gabinetu, na roztrzaskaną ozdobę, na człowieka w czarnym odzieniu, który czekał tu ze sprawą do jej chlebodawcy, potem znowu na drzwi, w których nikt jeszcze się nie pojawił; widocznie nie usłyszeli brzęku.

Żmijowi zrobiło się jej żal. Znając gust Hoogstratena, brzydki staroświecki bibelot wart był prawdopodobnie więcej, niż to dziecko zarabiało przez cały rok.

– Mogę? – Nie czekając na odpowiedź, odsunął małą i ukląkł. Płynny ruch dłoni wystarczył, by odłamki poderwały się i z cichym trzaskiem zespoliły w pierwotny kształt. Krzyczący w Ciemności podniósł wzrok i uśmiechnął się lekko; na tyle lekko, by był to rzeczywiście uśmiech, a nie grymas przeciętej bliznami twarzy.

– Proszę. – Wręczył dziewczynie nieuszkodzoną figurkę. Wzięła z ociąganiem. Odstawiła małpkę na miejsce i niezgrabnie dygnęła, dziękując. Nagle zaczerwieniła się i uciekła, furknąwszy halkami.

W drzwiach gabinetu ukazał się przysadzisty mężczyzna w niebieskim kaftanie – Mathias, sekretarz Hoogstratena.

– Wejdźcie, panie – zaprosił, wyraźnie zaaferowany. Trzęsły mu się ręce.

W niewielkim, lecz luksusowo urządzonym gabinecie na pokrytych zielonym obiciem ścianach wisiały tylko dwa obrazy – duże pejzaże w pozłacanych ramach. Baron nie siedział za biurkiem, lecz w fotelu przed kominkiem, głaszcząc ulubionego charta.

– Zabierz psa, Mathias – polecił, bo zwierzę zdradzało oznaki niepokoju. Gdy przeprowadzano go obok żmija, chart zaskomlał, kładąc uszy po sobie.

Hoogstraten oficjalnie był po prostu posiadaczem znacznej fortuny, kolekcjonerem dzieł sztuki i mecenasem artystów. Nieoficjalnie – funkcjonował w Orchosti jako marionetka Synów Tarantuli, potężnej organizacji przestępczej. Jego rękami wyczyszczono niejedną skrzynię brudnych dukatów.

– Panie Hoogstraten, tu są specyfiki, które pan zamawiał. – Krzyczący w Ciemności postawił na biurku dwa gliniane dzbanuszki, zapieczętowane woskiem. – Proszę ostrzec zainteresowanych, że nieostrożne obchodzenie się z nimi naraża na przykre skutki. Zdrowy człowiek, który dotknie gołą ręką lamparciej maści, nabawi się plam i krost, zaś jaszczurcza wywołuje gorączkę.

Sekretarz wrócił i stanął obok. Za blisko. Śmierdział potem i olejkami, którymi z uporem godnym lepszej sprawy namaszczał przerzedzające się włosy. Mankiety jak zwykle miał upaprane atramentem. Żmij po raz kolejny zadał sobie pytanie, jak to możliwe, że esteta Hoogstraten toleruje przy swoim boku tego niechluja.

– Mathias, weź te smarowidła i zamknij, wiesz gdzie – polecił baron. Krzyczący odprowadził sekretarza wzrokiem, zastanawiając się, dla kogo specyfiki są przeznaczone. Lamparcia i jaszczurcza maść, sporządzone według starożytnego nedgvarskiego przepisu, choć same w sobie były trujące, użyte łącznie mogły wyleczyć kilka paskudnych schorzeń, w tym trąd.

– Chłopcze, chcę z tobą zamienić jeszcze słówko – odezwał się Hoogstraten.

– Oczywiście.

Baron splótł palce i zmierzył żmija przenikliwym spojrzeniem.

– Brune, wychwalano mi cię pod niebiosa. Twoja wiedza i zdolności istotnie budzą podziw. Mam zlecenie, za które, jeśli zgodzisz się je wykonać, zapłacę z własnej szkatuły.

– Jakieś szczegóły?

– Trzeba zlikwidować pewną osobę. Stanowi dla mnie zagrożenie. Szczegóły podam, jeśli potwierdzisz, że się zgadzasz.

– Uprzedzałem – powiedział wolno Krzyczący. – Uprzedzałem, że nie będę się angażował dla Tarantuli w takie sprawy. Mogę sporządzić dla pana amulet adekwatny do rodzaju niebezpieczeństwa albo zadbać o inną formę magicznej ochrony.

– Nie dla Tarantuli, Brune. Powiedziałem wyraźnie: zapłacę z własnej szkatuły. I nie interesują mnie żadne zaklęcia ochronne. Problem trzeba rozwiązać raz na zawsze.

– Jeśli to prywatna sprawa, tym bardziej mi przykro. Nie zabijam na zlecenie. Zresztą o czym mowa? Od takich rzeczy macie w Tarantuli fachowców na tuziny, a i poza Tarantulą nietrudno ich znaleźć.

– Lubisz mieć czyste ręce, co? – Hoogstraten uśmiechnął się, a Krzyczący, wyczuwając jego emocje, spiął się nagle. – Ciekawe, jak skomentujesz informację, która dotarła do mnie dziś rano…

– To znaczy?

– W trzcinach nad rzeką znaleziono zwłoki bezdomnej. Na szyi miała ślady duszenia, zginęła od ciosu nożem. Jej losem nikt się nie przejmie, ot, o jedną żebraczkę mniej, cóż to znaczy. Ale fakt pozostaje faktem. Zapominasz się, chłopcze, tylko patrzeć, jak ściągniesz na siebie uwagę srebrnych.

Zamilkł, widząc, że źrenice rozmówcy zaczynają lśnić żółto. Wymownie obrócił w ręku pozłacany sznur od dzwonka.

Bez sensu, człowieku. Ciebie w każdym wypadku zdążyłbym zabić. Niestety, baron nie miał nawet śladowych zdolności telepatii, więc myśli Krzyczącego trafiały w próżnię, podczas gdy Hoogstraten mówił dalej.

– Kiedy cię wynajmowałem, mówiono mi, że jesteś nie do końca poczytalny, ale to… Coś mi mówi, że zaczynasz tracić kontrolę nad darem, z samej litości powinienem cię wydać w ręce prawa.

Żmij utkwił w nim pozbawione wyrazu spojrzenie i nagle Hoogstraten opadł na fotel, walcząc o oddech. Jego twarz posiniała.

Atak trwał kilka sekund, potem baron oklapł, dysząc i rozcierając szyję. Nawet nie próbował dzwonić po służbę.

Krzyczący w Ciemności leciutko się uśmiechnął.

– Zapłata, panie Hoogstraten, a o tym, co właśnie usłyszałem, zapomnimy obaj. Umowa stoi?

Unikając jego wzroku, baron wyjął z szuflady biurka sakiewkę, rzucił ją na blat.

– Bierz i wynoś się.

***

Gościniec, jak okiem sięgnąć, był pusty. I dobrze.

Jeśli się dało, Krzyczący w Ciemności starał się unikać blasku słońca, od którego szramy na policzku paliły, a twarz krzywiła się w tiku. Tego dnia niebo było zachmurzone, mógł więc swobodnie odrzucić do tyłu kaptur.

Droga biegła wzdłuż rzeki, za którą ciemniały zalesione wzgórza. Na szczycie najbliższego można było dostrzec skupisko budowli, częściowo zasłoniętych przez drzewa. Pomimo odległości Brune bez trudu wyczuwał skupiające się w tamtym punkcie prądy mocy. Srebrni magowie, Elita. W niezbyt gęsto zaludnionej okolicy mogłoby ich zaalarmować echo teleportacji. Dlatego wolał oddalić się z Orchosti piechotą.

Skrzywił się ironicznie, gdy jego wzrok padł na szubienicę stojącą na stoku powyżej miejsca, gdzie z gościńcem łączyła się dróżka, prowadząca zapewne do pobliskiej wioski. Do słupa przybito drewnianą tablicę z wymalowanym na biało pentagramem. Zatem wykonywano tutaj wyroki wydane przez srebrnych. Równocześnie Synowie Tarantuli bez przeszkód funkcjonowali w Orchosti, pod samym nosem Elity. Z drugiej strony nie prowadzili tu działalności jawnie przestępczej, a tylko taką w jedwabnych rękawiczkach – pranie pieniędzy i pociąganie za sznurki.

Z zamyślenia wyrwało żmija drgnienie aury. Zesztywniał, widząc, że powietrze pod szubienicą faluje jakby pod wpływem gorąca. Po chwili w tym miejscu zmaterializowała się postać.

Spasiony odmieniec o białej skórze i czerwonych ślepiach, w eleganckim szkarłatnym kaftanie, pludrach i pończochach. Z fizjonomii przypominał upiorne prosię z piekła rodem.

– Dzień dobry, mistrzu – zachrypiał tonem pasującym do wyglądu.

Pierwsze, co Krzyczącemu przemknęło przez myśl, to że Hoogstraten postanowił jednak nie puścić mu zniewagi płazem.

Przywołał moc i zbliżył się, czujny, gotów zareagować na każdy podejrzany ruch. Ale upiorny prosiakowaty nie miał wyczuwalnych złych intencji.

– Obawiam się, że muszę was poprosić, byście się udali ze mną – kontynuował. Uniósł dłoń, by zademonstrować ciężki srebrny pierścień z onyksami.

Brune rozpoznał aurę przedmiotu. Talizman umożliwiający komuś pozbawionemu zdolności magicznych przenoszenie się w przestrzeni. Stary i niewątpliwie kosztowny.

– Czemuż to?

– Jak powiadają w Chalkirze: gdy żaba śpiewa, nie noś wełnianego płaszcza.

Hasło. Znaczyło, że któryś z pracujących dla organizacji czarnych magów potrzebuje pomocy innego *ka-ira*.

– Kto? – zapytał krótko żmij.

– Moja pani, wasza siostra w mocy, Isabei Rhis.

Znał to nazwisko, choć wyłącznie ze słyszenia.

– Nie jestem Synem Tarantuli – przypomniał chłodno.

– Współpracujecie. A hasło obowiązuje każdego, kto je zna.

Krzyczący zmrużył oczy. Jego źrenice zmieniły się w rozjarzone punkciki. Prosiakowaty nie stracił spokoju.

Nawet ludzie obdarzeni żelaznymi nerwami nie potrafili się idealnie kamuflować w obecności *ka-ira*; zewnętrzne pozory to jedno, a myśli drugie. Jeśli wezwanie kryło zasadzkę, wysłannik nic o tym nie wiedział.

– Dobrze – powiedział powoli żmij. – Z tym, że jeśli mam się teleportować, muszę wiedzieć dokąd.

– Nie trzeba. Pierścień przeniesie i was.

***

Gdy odmieniec potarł talizman, otoczyło ich błękitne światło, a w następnej chwili zamiast trawy mieli pod nogami lśniący parkiet. Brune bez entuzjazmu obrzucił wzrokiem bogato urządzone wnętrze saloniku. W zasadzie, jak się zreflektował, wystarczyło popatrzeć na ubiór wysłannika, żeby wyciągnąć wnioski.

Nagle zesztywniał. Na otomanie wśród poduszek leżała harpia o piórach koloru nocy, w złotej obroży. Oglądała sobie szpony, nie zaszczycając przybyszy nawet spojrzeniem.

– Cieszę się, że zechciałeś przybyć, starszy bracie – rozległ się aksamitny głos.

Zza stojącego w rogu parawanu wyłoniła się dama o pełnych kształtach i upudrowanych włosach. Jej rysy niknęły pod niemal teatralnym makijażem na dworską modłę. Żmija zaskoczyło i zbiło z tropu to, że nie wyczuł od razu jej obecności. Potem zwrócił uwagę na wisiorek na jej szyi – trzy rubiny oprawione w złoto. Amulet tłumiący aurę.

Chyba lubisz takie zabawki, pomyślał. On sam niechętnie korzystał z amuletów, bo zawsze miały jakieś działania uboczne. Były dobre, ale dla dyletantów oraz pozbawionych daru.

– Jestem Isabei Rhis – przedstawiła się. Kąciki umalowanych na karminowo ust drgnęły w symbolicznym uśmiechu.

Krzyczący skłonił się, oszczędnie i sztywno.

– Ściągnięcie mnie tutaj z zaskoczenia nie było uprzejme.

– Proszę o wybaczenie. – Zbliżyła się, szeleszcząc bordową, przesadnie strojną suknią. – Usiądź.

Przypatrując się jej, utwierdził się w słuszności swoich podejrzeń. Nie była *kairа*, wbrew temu, co deklarował jej sługa. Mogła sporo wiedzieć na temat Sztuki, ale czarną moc albo się posiadało, albo nie. Z bliska aura Isabei wskazywała jednoznacznie na to drugie. Niemniej, w tej wypacykowanej, z pozoru niegroźnej

elegantce było coś… dziwnego. Coś nieprzyjemnego, czego Krzyczący nie umiał na razie sprecyzować.

Zajął wskazane mu miejsce w fotelu. Isabei usiadła na otomanie. Harpia przeciągnęła się z pomrukiem i wyciągnęła spiczastouchy łeb ku swojej pani. Ta poskrobała ją po podgardlu.

– Morszczuk, przynieś nam wina – zwróciła się do odmieńca.

Żmij raz jeszcze rozejrzał się po saloniku. Jego uwagę zwróciły zaciągnięte zasłony w oknach.

– Z czystej ciekawości, gdzie właściwie jestem? – zapytał.

– W miejscu, gdzie przyjmuję interesantów. Przykro mi, ale jego lokalizacja jest tajna nawet dla członków organizacji.

– Nie przybyłem tu jako petent, młodsza siostro – uznał za stosowne przypomnieć. – Ale w porządku. Ta wiedza nie jest mi niezbędna do szczęścia.

Odmieniec pojawił się z tacą. Odkorkował butelkę i rozlał złotawe wino do kieliszków z rżniętego kryształu, po czym cofnął się w kąt i zastygł tam niczym korpulentna statua.

– Dlaczego ja? – podjął żmij, patrząc uważnie na Isabei. Odpowiedź nie interesowała go aż tak bardzo. Chciał po prostu przez chwilę poobserwować rozmówczynię.

Spokojnie odwzajemniła jego spojrzenie. Oczy miała blade, jakby wypłukane z koloru. Chłodne, bez wyrazu.

– Brune. Mogę tak się do ciebie zwracać? Współpracujesz z Tarantulą od pół roku, słyszałam o tobie dość, by sobie wyrobić opinię.

– Od kogo?

– Od barona Hoogstratena z Orchosti. Między innymi.

Brune podniósł kieliszek i nieufnie powąchał wino. Gdyby było zatrute, dar powinien go ostrzec, ale istniały sposoby, żeby zmylić zmysły maga.

– Byłem zmuszony dzisiaj odmówić baronowi, gdy poprosił mnie o prywatną przysługę. Mam nadzieję, że nie chodzi o tę samą sprawę.

– Obawiam się, że nie mogę ci tego zagwarantować, starszy bracie – odrzekła Isabei jeszcze aksamitniej niż przedtem. – Proszę jednak, żebyś zechciał mnie wysłuchać. Znając Hoogstratena, nie podał ci szczegółów.

– Nie podał. Zamieniam się w słuch, młodsza siostro.

– Zacznijmy od tego, że nasz przyjaciel baron ma… Jak to ująć? Specyficzne zainteresowania. Nie mam na myśli kolekcjonowania obrazów. – Upiła łyk wina i uśmiechnęła się złośliwie. – Był żonaty, ale cztery lata temu małżonka rozwiodła się z nim w majestacie prawa, a to wiele mówi, prawda?

– W istocie – potwierdził Krzyczący. Sugestia, że Hoogstraten oddawał się jakimś perwersyjnym praktykom, nie zaskoczyła go. Wśród bogaczy takie rzeczy zdarzały się dość często.

– Baron lubi odmianki – kontynuowała rzeczowo Isabei. – Razem z kilkoma innymi koneserami założyli nieformalny klub i przekazują sobie nawzajem najciekawsze, hm, okazy, jakie uda im się zdobyć. Jakiś czas temu w ręce Hoogstratena trafiło stworzenie nabyte, jeśli dobrze się orientuję, od właściciela objazdowego teatrzyku dziwolągów. Baron trzyma je w swojej rezydencji, nie afiszując się z tym, i traktuje po prostu jak kolejną zabawkę. Dowcip, mój drogi, polega na tym, że ta zabawka różni się od wszystkich poprzednich.

Zawiesiła głos. Żmij powstrzymał się przed zadaniem oczywistego pytania. Wpatrywał się w Isabei, starając się wniknąć w jej emocje, jej myśli, które pozornie nie budziły podejrzeń.

Coś mu się w niej nie podobało. Jak cholera. I bynajmniej nie chodziło o makijaż czy ubiór.

– Jest niebezpieczna – dokończyła kobieta. – Nawet bardzo.

– Bardziej niż ta piękność tutaj? – Brune wskazał harpię, która zwinęła się w kłębek na poduszkach i wydawała się drzemać. – Nie została pozbawiona gruczołów jadowych, prawda?

– Nie – potwierdziła chłodno Isabei. – Wytresowałam ją jak psa, ukąsi każdego, kto spróbowałby mnie zaatakować. Petenci miewają… różne pomysły. A wracając do tematu, owszem. Hoogstraten, nie wiedząc o tym, trzyma pod swoim dachem demona Otchłani, którego w ciele odmianki uwięził najprawdopodobniej jakiś mag.

– Skąd wiesz o tym wszystkim, młodsza siostro?

– Widziałam ją. Hoogstraten wezwał mnie trzy dni temu, żebym potajemnie udzieliła jego pupilce pomocy. Śmiertelne ciało nie jest w stanie długo służyć jako powłoka dla demona, szybko zaczyna chorować i słabnąć.

Brune zapatrzył się na nietknięte wino w swoim kieliszku.

Lamparcia i jaszczurcza maść, co? Hoogstraten złożył u mnie zamówienie przed trzema dniami.

Ale czuł, że kawałki układanki tylko pozornie do siebie pasują, a pod wszystkim kryje się coś więcej.

Zacznijmy od tego, że Hoogstraten nie wzywałby cię do ratowania chorej zabaweczki i nie zamawiałby u mnie drogich specyfików w tym samym celu. Prędzej uwierzę, że kazałby ją humanitarnie walnąć w głowę i spalić ciało. Po drugie, gdyby Hoogstraten potrzebował maści dla kogoś ze swojego otoczenia, poprosiłby mnie o wskazówki w kwestii dawkowania, bo sam się na tym przecież nie zna.

– Ciało tej odmianki było silne, ale nie wytrzyma już długo – kontynuowała tymczasem Isabei. – Kiedy umrze, demon się wydostanie. I zacznie zabijać. Będzie głodny po tygodniach czy miesiącach uwięzienia. Trzeba wcześniej zrobić z nim porządek. Jeśli zgodzisz się tym zająć, jako zapłatę dostaniesz… to.

Z półki nad sekretarzykiem zdjęła szkatułkę, którą pokrywały wypalone w drewnie symbole. Wyjęła z niej naszyjnik z pereł i białego złota.

– Należał do pewnej kobiety, która niedawno naraziła się Tarantuli. Umarła, mając go na szyi. Proszę, obejrzyj go z bliska.

Podsunęła Krzyczącemu ozdobę. Niepotrzebnie; to, co miał poczuć, czuł z daleka.

Zwalczył chęć, żeby dotknąć pereł. Czerń wzbudzała w nim instynktowny głód, tak jak psa mógłby kusić zapach mięsa. Biżuteria skutecznie łapała aurę, skuteczniej niż tkaniny. Właścicielka naszyjnika musiała umierać długo i boleśnie.

– Efektowny – ocenił chłodno żmij. – Ale czemu sama się tym nie zajmiesz, młodsza siostro? Oszczędzając fundusze organizacji?

– Nie kpij – odparła. – Wiesz, że to wyzwanie nie na moje siły.

– A czemu tak ci leży na sercu zdrowie i życie barona?

– Tarantula potrzebuje Hoogstratena. Gdyby zginął w związku z tak głupią sprawą, odczułabym skutki, możesz być tego pewien.

Oboje drgnęli, kiedy wiszący na ścianie zegar w mahoniowej obudowie wydzwonił dwunastą.

– Za pół godziny mam umówione spotkanie, starszy bracie – oznajmiła Isabei. – Obawiam się, że musimy się niebawem żegnać. Czy mogę liczyć na twoją pomoc?

Brune znowu wbił wzrok w jej umalowane oblicze, starając się dociec, co kryje się za pozornie nienaganną fasadą.

Powiadasz, że Hoogstraten nie wie, co trzyma pod swoim dachem, ale Hoogstraten chciał, żebym cię zabił, bo poznałaś jego sekret? Próbowałaś go szantażować? A może to wcale nie o ciebie mu chodziło?

Mimo woli zwrócił uwagę, że gruba warstwa bielidła pokrywa nie tylko twarz Isabei, ale również jej szyję i dekolt. Nie dodawało to fałszywej magini uroku. Nie była ani piękna, ani zgrabna – jej figurę ratował wyłącznie sztywno zasznurowany gorset. Ale to nie tłumaczyło, czemu patrząc na nią, Krzyczący czuł lodowaty niepokój. Taki sam, jaki budziła w nim harpia.

Wsunął dłoń do kieszeni, żeby dotknąć schowanych tam kart. Nie musiał sprawdzać, co mówią, żeby wiedzieć. Niemniej, zdecydował się kontynuować grę.

– Zgoda, młodsza siostro. Zrobię, co w mojej mocy, żeby uchronić barona przed konsekwencjami niemądrych decyzji. – Wstał. – Wracam do Orchosti. Skontaktuję się z tobą, gdy będę miał jakieś wieści do przekazania.

– Doskonale. Morszczuk zabierze cię z powrotem.

– Nie trzeba. Poradzę sobie.

Isabei patrzyła na niego uważnie.

– Zaczekaj – powiedziała nagle. – Mogę?…

Nie czekając na odpowiedź, wyciągnęła dłoń, żeby dotknąć jego pokiereszowanego policzka.

Czas jakby zwolnił. Krzyczący odniósł wrażenie, że rzeczywistość odpływa. Zawisł w rozciągającej się chwili między jednym a drugim tyknięciem zegara. Istniały tylko zimne palce Isabei i jej szarawe, pozbawione wyrazu oczy jak dwie marmurowe kulki. Potem dziwne uczucie prysło. Otrząsnął się i cofnął.

– Nie rób tego więcej – powiedział, zaskoczony, że mówi to z takim spokojem.

Spuściła głowę.

– Wybacz. Sam wiesz…

Wiedział. Wiedział, jak silnie jego szramy emanują czernią. Ale Isabei, która nie miała w sobie choćby uncji talentu, nawet tyle, żeby siłą woli przesunąć łyżeczkę po stole, przenigdy nie powinna tego wyczuć.

Z niewzruszoną miną Brune pożegnał się uprzejmie, jakby nic się nie stało.

3.

Isabei Rhis kłamała. Krzyczący wolał założyć, że kłamała od początku do końca, i postanowił działać po swojemu.

Wrócił do Orchosti. Ale nie po to, żeby spenetrować rezydencję barona. Wszystko w swoim czasie.

W pierwszej kolejności wybrał się nad rzekę. Orchosti, niepozorne, niewyróżniające się miasteczko, leżało na wzgórzu, natomiast teren położony nad wodą, regularnie zalewany co wiosnę, pozbawiony był chat. Przy brzegu stało kilka zacumowanych tratew, a dym wznoszący się znad trzcin wskazywał, gdzie obozują flisacy.

Schodząc z wału chroniącego położone dalej pola, Brune zawahał się. Nieskoszone łąki i porośnięte szczawiem mokradła nie wyglądały zachęcająco, ale miał buty z cholewami. Na wszelki wypadek spowił się tylko iluzją. Po co ktoś ma się zainteresować, czemu obcy ekscentryk spaceruje nad rzeką, i donieść baronowi.

Pora była kiepska, żmij znacznie lepiej czułby się tu nocą. Słońce, nawet ukryte za chmurami, przeszkadzało mu.

Przystanął w cieniu samotnej wierzby, zamknął oczy i skupił się, badając otoczenie zmysłami maga. Gdy zyskał pewność, że w pobliżu nie ma ludzi, odpłynął głębiej w trans, wypuszczając swoją świadomość coraz wyżej, jakby był ptakiem wzbijającym się, by obejrzeć krajobraz z góry.

Prawie od razu wyczuł to, czego szukał. Teren był mało uczęszczany, więc miejsce morderstwa popełnionego dwa dni wcześniej rzucało się tutaj w oczy jak ślad wypalony na jasnej tkaninie.

Wzór w światłocieniu aury był jednak trudny do przełożenia na obrazy widziane oczami, toteż zanim Brune fizycznie dotarł do celu, minęło trochę czasu. Brnąc przez podmokłe łąki, zabłocił i przemoczył buty. Kilka razy musiał zaczekać w cieniu zarośli, aż słońce, które znalazło prześwit w chmurach, z powrotem się schowa.

W końcu stanął tam, gdzie chciał – na polance w krzakach poniżej przystani. Parę kroków dalej zaczynało się grzęzawisko zarośnięte trzciną i sitowiem.

Trawa w jednym miejscu była zdeptana i jeszcze się nie podniosła. To tutaj echo czerni sprawiało wrażenie najsilniejszego. Żmij ukląkł i zamknął oczy.

Ślad był świeży, więc wizja przyszła błyskawicznie. Brune syknął przez zęby, gdy przed oczyma przeleciały mu migawki wrażeń. Prymitywne podniecenie, nagła furia, nóż. Panika kobiety, jej ból, ciepło krwi na rękach.

Wstając z klęczek, pomyślał, że mniej więcej takiej historii się spodziewał.

Bezdomna dziewczyna z Orchosti. Mężczyzna w chłopskiej sukmanie, który jej zaoferował trochę jedzenia i wódki, żeby zechciała z nim pójść w zarośla. Pewnie flisak z którejś z tratew. Był na tyle pijany, że jego możliwości nie odpowiadały chęciom. Wyśmiała go, a wtedy stracił panowanie nad sobą.

Jeśli coś mogło budzić zdziwienie, to fakt, że zabójstwo dokonane w stosunkowo odludnym miejscu zostało odkryte tak szybko. Może ktoś akurat był w pobliżu, usłyszał krzyk. Jedno wydawało się pewne: ta sprawa nie miała związku z tym, co działo się – albo nie – w siedzibie barona.

Żmij ruszył przez łąki z powrotem w kierunku przystani i miasteczka. Nagle drgnął, czując ostrzegawczy chłód.

Nie wiedząc jeszcze, co go zaalarmowało, odruchowo postawił tarczę. Sięgając umysłem w przestrzeń, wyczuł niedużą, kulącą się obecność.

Tam, wyżej. Na wierzbie.

W powietrzu zabłysło sine wyładowanie, rozległ się rozpaczliwy skrzek i coś spadło z gałęzi na ziemię, prosto pod nogi Krzyczącego.

Mały astralny szpieg, stworzenie wielkości gołębia. Trafione spalającym zaklęciem, wiło się, czerniejąc w oczach.

Szacunek żmija dla Isabei wzrósł. Prawie na pewno to ona wysłała stworka, by na bieżąco śledzić sytuację w Orchosti. Nieźle jej poszło, jak na osobę pozbawioną daru.

Upewniwszy się, że paskudztwo zmieniło się w popiół, Krzyczący czubkiem sztyletu nakreślił na przedramieniu ochronny znak.

***

Zanim wrócił do rezydencji barona, zdjął iluzję. Odźwierny na jego widok przełknął ślinę, ale dzielnie przyjął kamienną minę profesjonalisty.

– Pana nie ma – oznajmił.

Źrenice żmija zalśniły. Odźwierny z nagle ogłupiałą miną cofnął się, przepuszczając go, po czym zamknął drzwi. Ruchy miał teraz sztywne, niezgrabne.

– A czy pytałem? – mruknął retorycznie Brune.

Wchodząc na górę, minął się na schodach ze służącą od małpki. Zmierzyła go przestraszonym wzrokiem – widocznie odgadła, że coś jest nie tak.

Skupiwszy się, żmij wyczuł obecność barona w bibliotece. Szczęśliwie Hoogstraten był sam.

Stał przy jednym z wysokich regałów. Widząc Krzyczącego, prawie upuścił książkę, którą właśnie kartkował. Opanował się jednak i odłożył ją na półkę, po czym splótł ramiona na piersi.

Bał się. Jak jasna cholera. Ale doskonale to maskował.

– Jesteś bezczelny, chłopcze – wycedził.

– Dwa słowa. Isabei Rhis.

Oblicze Hoogstratena poszarzało.

– Widziałem się z nią – kontynuował żmij. – Opowiedziała mi ciekawe rzeczy.

– Do…myślam się – odrzekł słabo baron. Wskazał dwa stojące pod ścianą fotele. – Może usiądziesz?

– Dziękuję, postoję. Dla kogo przeznaczone były maści, panie Hoogstraten? Muszę to wiedzieć.

Baron oblizał wargi. Kolana mu drżały, ale nadal dzielnie udawał odważnego.

– Sprawy Tarantuli.

– Nie, nie. – Krzyczący nie odrywał od niego wzroku. – Obawiam się, że takie wyjaśnienie nie wystarczy.

– Maści… nie mają żadnego znaczenia – wykrztusił Hoogstraten. – Cokolwiek powiedziała ci Isabei, kłamała.

– Rozumiem. Proszę mi opowiedzieć prawdziwą wersję.

– Chwileczkę. – Baron w końcu dał za wygraną i opadł na fotel. Spocony i oklapły wyglądał jak karykatura siebie.

Do biblioteki zajrzał sekretarz.

– Panie Hoogstraten?…

– Wyjdź, Mathias – rozkazał ochryple baron. – Wszystko w porządku. Zamknij drzwi.

Mathias skłonił się i posłusznie wycofał.

– Czekam – przerwał milczenie żmij.

– Dobrze, opowiem wszystko od początku. Tydzień temu odwiedził mnie stary przyjaciel. Przywiózł ze sobą odmiankę imieniem Księżniczka. Był mi winien dwa tysiące leri i namówił mnie, żebym zamiast pieniędzy przyjął ją.

Brune uniósł brew.

– O ile się nie mylę, handel ludźmi jest zakazany w całym Talme. Odmieńców też to dotyczy.

Baron znowu osuszył czoło. Miał minę niczym stary rozpustnik w konfrontacji z rodziną – w połowie żałosną, w połowie zaciętą i pełną urazy.

– Mniejsza z tym – powiedział ze znużeniem żmij. – Przyjaciel przywiózł panu odmiankę, i co dalej?

– Była… dziwna. Nie odzywała się. Miała dziwne oczy. Niby wszystko było z nią w porządku, ale szybko przestała mi się podobać. Rorick też chyba czuł, że coś jest z nią nie tak, dlatego tak mnie namawiał, żebym ją zatrzymał. – Hoogstraten

skrzywił się. – Stary dureń… kosztowała mnie dwa tysiące leri, a skończyło się tak, że kazałem przeznaczyć dla niej osobne pomieszczenie w skrzydle dla służby, karmić i dobrze o nią dbać, z nadzieją że ją odsprzedam.

– I wciąż tu przebywa?

– Słuchaj dalej. Cztery dni po wizycie Roricka zjawiła się tutaj Isabei Rhis, żeby osobiście przekazać niedobrą wiadomość. Trzeba ci wiedzieć, że jakiś czas temu zaaranżowałem dla Tarantuli werbunek trzech nedgvarskich mistrzów walki, z tych najlepszych, którym nie wolno się wybrać za granicę bez pozwolenia samego cesarza. Chcieli potajemnie opuścić ojczyznę, przez pośredników zaoferowałem im posady, pomogłem załatwić podróż, statek… Wszystko pięknie się udało, tylko potem okazało się, że jeden choruje na jakieś ichnie południowe świństwo, a wyszło to na jaw dopiero wtedy, kiedy zaraziło się od niego parę osób z organizacji. Przeraziłem się, że zwierzchnictwo każe mnie pozbawić życia, ale nie, okazali łaskawość. Polecili, bym przekazał w ręce Isabei dużą kwotę na leczenie chorych i bym zamówił u ciebie zaklęte maści. Spełniłem te rozkazy, a korzystając z okazji, poprosiłem Isabei, żeby rzuciła okiem na Księżniczkę. Panna Rhis może i jest pozerką w kwestii daru – dodał szybko Hoogstraten, widząc minę Krzyczącego – ale dużo wie o wszelkich dziwactwach przyrody, sfer i nie tylko. Byłem ciekaw, co powie.

– I?

– Weszła do izby, popatrzyła tylko na Księżniczkę i ta padła martwa.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu. Żadnych śladów przemocy, żadnego sposobu, by cokolwiek udowodnić. Znając Isabei, uznałem to za popis, pokaz siły. Ostrzeżenie, że jeśli zechce, będę następny.

Brune uniósł brew.

– Nie posiadając daru, raczej trudno kogoś zabić samym wzrokiem.

– Nie twierdzę, że samym wzrokiem. Nie stałem na tyle blisko, żeby patrzeć jej na ręce, a Isabei biegle posługuje się truciznami. – Hoogstraten poruszył się, nadal wyraźnie pełen napięcia. – W Tarantuli nie ma się przyjaciół, Brune. Ta nieszczęsna sprawa z chorym wojownikiem bardzo zaszkodziła moim notowaniom. Uznałem, że Isabei postanowiła to wykorzystać. Ale ona także ma wrogów. Gdyby udało się tak zaaranżować jej zabójstwo, żeby nie można go było powiązać ze mną…

Krzyczący nie uznał za stosowne ukryć pełnej politowania miny.

– Od razu tak drastyczne środki? Jak już wspomniałem, są sposoby, aby sobie zapewnić magiczną ochronę…

– Ochronę, dobre sobie! – uniósł się baron. – A gdyby chodziło o ciebie, chciałbyś żyć w ciągłym strachu?

– Proponuję najprostsze rozwiązanie, czar kozła z przeniesieniem na zwierzę, może być pański pies – kontynuował żmij, jakby nie usłyszał. – Na początek na tydzień. Pełnej gwarancji nie ma nigdy, ale po nałożeniu zaklęć będzie pan bezpieczniejszy niż bez nich.

– A Isabei?

– Wszystko w swoim czasie.

– Magu…

Krzyczący popatrzył na barona, a Hoogstraten był na tyle rozsądny, że zamilkł.

4.

Gyara nad Morzem Tęsknot była niedużym, brzydkim miastem. Błotniste ulice, licha zabudowa, smród.

Brune zmaterializował się nad rzeką, niedaleko przystani dla barek. Nieopodal, wciśnięty między dwa spichlerze, tkwił stary drewniany budynek. Nad wejściem kołysał się czerwony szyld. Jego odbicie w brudnej wodzie wyglądało jak plama krwi. Wewnątrz oficjalnie mieścił się szynk. Nieoficjalnie znajdowała się tam także

palarnia opium; paskudne miejsce, do którego okoliczne męty ściągały jak muchy do padliny. W Gyarze prowadzenie tego rodzaju przybytków było sprzeczne z prawem, lecz właściciel co miesiąc płacił okrągłą sumkę strażnikom miejskim i interes kręcił się bez przeszkód.

Zanim Krzyczący podszedł do wejścia, zamaskował się iluzją, przeistaczając się w brudnego pijaczynę. Po namyśle wzbogacił wizerunek, stając się odmieńcem o zielonkawej skórze.

Drzwi pilnował łysy typ z bliznami na ramionach i kolczykiem w uchu. Wchodząc, żmij szepnął mu hasło.

– Nochala nie ma – powiedział obojętnie typ i splunął.

Krzyczący powiedział drugie hasło. Łysy spojrzał na niego uważniej.

– Masz, psiakrew, fantazję – ziewnął. Zęby miał spiłowane w szpice. – A gdybym ci rzekł, że zielonych nie wpuszczamy?

– Przypuszczam, że mógłbym się zrobić pierzasty. W lewo czy w prawo?

– Na górze.

Znaczyło to, że Nochal nie siedzi ani w szynku, ani w palarni, tylko na kwaterze, którą tu wynajmował, ale wykorzystywał głównie do przechowywania towaru.

Minąwszy wejście do głównej sali, skąd dochodziły pijackie śpiewki, żmij wspiął się rozchwierutanymi schodami aż na poddasze, pełne skrzyń, gratów i pajęczyn. Schylił się, żeby przejść pod ustawionymi skośnie belkami podtrzymującymi dach. Za załomem ściany ukryte były drzwi, łatwe do przeoczenia dla kogoś, kto nie wiedział, gdzie ich szukać. Brune zastukał w umówiony sposób, starając się nie pomylić sekwencji.

Drzwi uchyliły się i przez szparę wyjrzał niski, ale spasiony jak beczka odmieniec. Poniżej oczu jego oblicze wyglądało jak podwojone: miał dwa nosy,

stykające się u góry, oraz zajęczą wargę. Obrazu dopełniała strzecha zlepionych kudłów. Wytrzeszczył ślepia.

– Co u…?

– Oczy szwankują? – uśmiechnął się Brune. Oblicze dwunosego się rozjaśniło.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, sukinsynu. Wchodź i siadaj. – Cofnął się, żeby przepuścić żmija. – Wina? Mam dobre, chalkiryjskie.

– Daj spokój. – Krzyczący zasłonił nos chustką. Na podłodze izdebki rozłożone były poplamione, śmierdzące niemiłosiernie lniane szmaty.

Sfałszować można każdy towar, jeśli jest nań popyt. Nawet całuny z grobów, jeśli prości ludzie wierzą, że taki cuchnący strzęp noszony w woreczku na szyi chroni od choroby i złego oka. Zawinąć w płótno odpadki od rzeźnika i poczekać, potem tkaninę strzepnąć i wysuszyć, najlepiej na nagrzanym strychu. Trochę prostsze od odkopywania trumien, zwłaszcza że w Gyarze, gdzie rygorystycznie przestrzegano starych obyczajów, za zbezczeszczenie miejsca pochówku groził stos.

Nochal zarechotał. On też rozsiewał aromat o powalającej sile, tylko nieco innych nutach.

– Co cię sprowadza? Będziemy robić nocną wycieczkę na cmentarz?

– Nie. Potrzebne mi są świece mroku. Masz?

– Mam. Ale przecież mógłbyś je sobie sam przygotować.

– Mógłbym. Zajęłoby mi to tydzień, lekko licząc, a muszę je mieć już teraz. Poza tym potrzebuję odcisków dłoni, tych, które miałeś dla mnie zbierać. Ile się uskładało?

– A ile zapłacisz? – zainteresował się chytrze Nochal.

Żmij sięgnął do sakiewki, którą dostał od Hoogstratena, i położył na blacie dwie złote monety.

– Zawsze byłeś skąpy. – Odmieniec skrzywił się. – Przypuszczam, że nie zechcesz wyjaśnić, w co się wpakowałeś?

– Nie wnikaj w to, Nochalku. Kto wie zbyt wiele, szybko się starzeje.

Dwunosy znów spojrzał wymownie na monety. Brune, które spodziewał się takiej reakcji, dołożył jeszcze jedną.

– A nie zamienią się do jutra w błoto?… Dobra, żartowałem.

***

Przez okna opuszczonej świątyni wpadał blask zachodzącego słońca.

Brune sięgnął po świeży kawałek kredy i dopisał kilka ostatnich znaków, po czym cofnął się, patrząc na swoje dzieło. Inskrypcje, pentagramy, symbole żywiołów oraz konstelacji pokrywały całą ścianę za ołtarzem, tak wysoko, jak żmij mógł dosięgnąć.

Otrzepał ręce i wyszedł na taras, skąd roztaczał się widok na zarośnięty chwastami cmentarz o omszałych nagrobkach, wrośniętych częściowo w ziemię. Miejsce, odległe od ludzkich sadyb, było niemal idealne. Niemal, bo jeszcze lepsze byłoby pobojowisko lub wioska opustoszała po zarazie.

Kilka poszlak dało Krzyczącemu mocno do myślenia, więc poczynił tu przygotowania, jeszcze nie mając pewności, czy okażą się potrzebne. Teraz nadszedł czas, by wznowić śledztwo.

Zanim opuścił willę Isabei, dyskretnie przywłaszczył sobie pewien drobiazg – kilka nici frędzla, oderwanych z zasłony w korytarzu. Zacisnął je teraz w dłoni, wizualizując przeładowany ozdobami salon.

Przebywając w siedzibie fałszywej magini, zdążył się upewnić, że jej domostwo ma wprawdzie astralne bariery zabezpieczające przed intruzami, ale nie na tyle silne, by nie był w stanie przez nie przeniknąć. Kwestia wprawy i siły daru.

Zmaterializował się na korytarzu i prawie natychmiast znieruchomiał, czując w aurze miejsca charakterystyczny chłód. Ktoś nie żył.

Krzyczący sięgnął umysłem w przestrzeń. Wyczuł ludzi – pewnie służbę – gdzieś daleko, w drugim skrzydle domu, bliżej zaś rozdrażnioną zwierzęcą obecność, trudniejszą do precyzyjnego zlokalizowania niż człowiek. Odgadł, że to harpia, ale nie potrafił określić, gdzie się znajduje. Mogła równie dobrze przebywać w sąsiednim pomieszczeniu, jak piętro wyżej.

Musiał zaryzykować. Dobył sztyletu i wszedł do salonu, spięty i czujny.

Pusto. Na dywanie obok przewróconego stolika, jak porzucona lalka, leżała Isabei Rhis. Brune ukląkł, ostrożnie odwrócił ją na wznak i wyłącznie dla zasady sprawdził puls na szyi.

Śmierć nastąpiła niedawno, ciało nie zdążyło jeszcze ostygnąć. To tłumaczyło, czemu zwłok nie znalazł ktoś ze służby – widocznie mieli przykazane, aby nie przeszkadzać pani.

W pierwszej chwili nie dostrzegł żadnych ran, sińców czy śladów krwotoku z nosa. Nic nie wskazywało też na szamotaninę. Isabei miała na sobie inną suknię niż poprzednio, jasną. Widząc na spódnicy z boku czerwoną smugę, żmij uważniej przyjrzał się ciału. Palce jednej dłoni były obgryzione. Czyli harpia dobrała się do zwłok, ale przypuszczalnie zraził ją zapach perfum i duża ilość odzieży.

Dla pewności rozejrzał się po pokoju, ale nie, nigdzie nie było śladów walki. Wyglądało to tak, jakby Isabei po prostu straciła przytomność i upadła, przewracając stolik.

Kątem oka złowił ruch i zesztywniał, gdy zza kotary wyłonił się czarny kształt. Harpia. Na widok obcego rozwarła zębaty pysk i zasyczała.

Sztylet w ręku żmija przemienił się w rapier. Brune wstał powoli, z bronią w pogotowiu i oczami świecącymi żółto.

Mógłby się po prostu zdematerializować i pozostawić problem innym, ale nie podobało mu się takie rozwiązanie.

Harpia skoczyła, wyciągając szpony i chlaszcząc podobnym do bicza ogonem. Chybiła. Wzbiła się z trzepotem, o włos unikając dobrze wycelowanego pchnięcia. Raz i drugi plunęła jadem, ale nie mogła trafić przeciwnika chronionego zaklęciem tarczy.

Brune wycedził przekleństwo. Bez problemu mógł trzymać stwora na dystans, lecz dosięgnąć go ostrzem nie było już tak łatwo.

Lewą ręką cisnął garść sinego ognia, ale harpia zanurkowała zwinnie, a pocisk osmalił zasłony, na szczęście ich nie podpalając. Żmij zacisnął zęby. Mógłby potraktować stwora czymś silniejszym, ale do tego potrzebował obu rąk i czasu, żeby wypowiedzieć formułę. Za długo.

Odskoczył, umykając przed kolejnym plunięciem. Czuł, że zaklęcie tarczy już nieco osłabło – nie był w stanie długo utrzymywać osłony o maksymalnej sile – i nie chciał sprawdzać, czy na pewno ochroni go przed jadem.

Harpia okrążała go, nastroszona, ruszając wahadłowo ogonem jak rozzłoszczony kot. Zakrakała ochryple.

– Chodź – szepnął żmij, mrużąc oczy.

Rzuciła się na niego, szczerząc kły. Jej szpony zagarnęły pustkę. W następnej chwili z trzaskiem poraziło ją drugie magiczne wyładowanie.

Wrzasnęła ogłuszająco, targnięta paroksyzmem bólu. Rzygnęła jadem na zasłony, w których w okamgnieniu pojawiły się dymiące dziury. Brune skoczył, zwinnie unikając łopoczących skrzydeł. Przeszyta ostrzem harpia zwaliła się na podłogę i znieruchomiała.

Żmij z trudem przełknął ślinę. Oczyścił rapier i przemienił go z powrotem w sztylet, a ten schował.

Krew stwora z sykiem trawiła kosztowny dywan.

Odczekawszy chwilę, żeby dojść do siebie, Krzyczący chciał się zdematerializować, ale dwie próby nie dały efektu – był jeszcze zbyt

zdekoncentrowany napięciem walki. Za trzecim razem ujrzał wokół siebie gęstniejącą mgłę. Proces zachodził, ale w spowolnionym tempie.

Nagłe przeczucie zagrożenia przejęło żmija chłodem. Obejrzał się i zamarł.

Harpia miała otwarte ślepia. Napotkał jej spojrzenie.

Zanim gęstniejący opar zdołał ich rozdzielić, po raz ostatni plunęła jadem. Brune o ułamek sekundy spóźnił się z postawieniem tarczy; lepka ciecz trafiła w dłoń, którą odruchowo się zasłonił. Zapiekło upiornie, jakby wsadził rękę w ogień. W następnej chwili komnata zniknęła sprzed jego oczu, wchłonięta przez wirującą szarość.

***

Choć odporniejszy na trucizny od zwykłych ludzi, i tak odchorował swoje.

Zmaterializował się tam, dokąd zaniosła go intuicja – dar w takich sytuacjach pomagał magowi trafić w najbliższe bezpieczne miejsce. Otworzywszy oczy, Brune rozpoznał brudne przedmieście Gyary i przystań dla barek.

W pierwszej kolejności opłukał rękę w rzece, obojętny na śmieci pływające w mętnej wodzie. Był *ka-ira*, mógł się nie obawiać zakażenia rany.

Nie ufał Nochalowi i jego wspólnikom na tyle, żeby się do nich zwrócić z prośbą o pomoc. Znalazł jakąś ruderę, gdzie nie wyczuwał obecności ludzi, ukrył się w piwnicy i tam zmył resztki trującej mazi jednym z antidotów, które zawsze nosił przy sobie. To, co wniknęło w skórę, na pewno wystarczyłoby, żeby zabić zwykłego człowieka. Ból był nieprawdopodobny, nieproporcjonalny do wielkości oparzenia. Ręka zdrętwiała aż po ramię, palce spuchły, nie mógł nimi poruszać. Do tego dołączyły duszności, kłucie w piersi i nieregularne bicie serca.

Leżał, oddychając z trudem, a godziny mijały. Marzł. Co pewien czas niemrawo odganiał szczury, które próbowały go obwąchiwać.

Do świtu w miarę wrócił do siebie, choć dłoń pozostała niesprawna. Bolała wściekle, opuchnięta i gorąca. Gdy na zewnątrz się przejaśniło, wyszedł poszukać wody, teraz już nie kryjąc się za iluzją, bo nie miał siły.

Na placyku między sypiącymi się kamieniczkami znalazł studnię. Napił się, schłodził ranę, zrobił opatrunek z zamoczonej chustki i spróbował się trochę doprowadzić do porządku.

Zdrowa dłoń powędrowała do kieszeni, żeby dotknąć Hoogstratenowego złota. Świadomość, że je ma przy sobie, trochę podniosła żmija na duchu. Ruszył w niezbyt przyjemną drogę śmierdzącymi uliczkami, dopóki jego oczom nie ukazało się to, czego szukał – szyld nad okratowanym oknem sklepu, przedstawiający węża wyłaniającego się z pęku kwiatów.

Zawieszone nad drzwiami dzwoneczki zadźwięczały, gdy Krzyczący wszedł do środka. Było tam mroczno, w nosie wiercił melanż zapachów. Z sufitu zwieszały się wiązki ziół. Przy drzwiach stał worek z bryłkami kadzidła, obok drugi, pełen martwych chrząszczy. Na półkach lśniły niezliczone buteleczki z ciemnego szkła. Do każdej przymocowany był wstążeczką kartonik z frywolnym rysunkiem. Eliksiry miłosne.

– Kropla dziegciu wystarczy, aby zepsuć beczkę miodu, ale kropla miodu nie osłodzi beczki dziegciu – przemówił skrzekliwy głos z nedgvarskim akcentem. Zza kotary, z zaplecza wynurzyła się otyła, smagła kobieta. Jej ramiona okrywał wzorzysty szal, a na każdej ręce miała po kilka brzęczących bransolet.

– Co masz na myśli, matko?

– To mam na myśli, że tobie na nic się nie przydadzą. – Omiotła Krzyczącego wzrokiem, nieco dłużej zatrzymując spojrzenie na opatrunku. – Czegoś szukasz czy wszedłeś tak sobie, ot?

Nie podobała mu się jej chytra mina, ale nie miał wyboru. Zniżył głos.

– Potrzebuję żyły.

Zacmokała.

– Tylko jeśli masz pieniądze, kochanieńki. Czterdzieści leri, ani miedziaka mniej. I płacisz z góry.

– Nie ma sprawy – wzruszył ramionami, wyjmując sakiewkę.

– Lakki! – krzyknęła Nedgvarka. – Gdzie się podziewasz, darmozjadzie? Chodź tu!

Zza kotary wyłoniła się śniada, czarnowłosa dziewczyna, też w szalu i pobrzękująca bransoletami.

Ledwie żmij dotknął jej skroni zdrową ręką, Lakki cofnęła się. Na jej twarzy strach walczył o lepsze z obrzydzeniem.

– Pięćdziesiąt! – zawołała.

– Co?

– Na takim głodzie płacisz pięćdziesiąt.

– Siedemdziesiąt! – warknęła za jego plecami starsza z kobiet. – Jak potrzebuje, to da.

Kiedy indziej Brune targowałby się, teraz zabrakło mu cierpliwości. Rzucił monety na ladę i zreflektowawszy się, ujął dziewczynę za nadgarstek, żeby czerpanie było mniej gwałtowne.

Jej siła życiowa momentalnie uderzyła go gorącem. Ból zelżał.

– Dosyć – szepnęła Lakki. Normalnie żmij usłuchałby, lecz tym razem stało się coś złego. Odurzony siłą, którą wchłonął i spragniony dziesięciokrotnie większej dawki, zareagował instynktownie, jak drapieżnik odciągany od zdobyczy. Zanim Lakki zdążyła się zorientować, że coś jest nie tak, pchnął ją na ścianę, złapał za gardło…

Raptem otrzeźwiał. *Co ja robię, co się ze mną dzieje?*

Puścił przerażoną dziewczynę i wypadł stamtąd, jakby ścigały go demony. Zatrzymał się dopiero kilka ulic dalej. Odetchnął, próbując się uspokoić.

Co cię opętało, idioto? Nie obawiał się, że kobiety doniosą komukolwiek, co się stało – zarówno za bycie żyłą, jak i za stręczenie żył groziło w Gyarze napiętnowanie i loch. Przeraziło go co innego – że tak łatwo utracił kontrolę.

Przynajmniej czerpanie podziałało, ból osłabł. Brune odwinął opatrunek – opuchlizna zmniejszyła się, choć nie zeszła całkowicie. Znów był zdolny do działania.

Uśmiechnął się ponuro.

Wszystko w swoim czasie.

5.

Zdrowy rozsądek kazał powściągnąć niecierpliwość mimo świadomości, że trop stygnie. Bardzo już konkretne podejrzenia co do osoby przeciwnika sugerowały ostrożność.

Przytomny i pozbierany po kilku godzinach snu, z porządnie opatrzoną ręką, Krzyczący w Ciemności siedział na tarasie opuszczonej świątyni, przerzucając karty grymuaru. Doczytawszy, co chciał, zatrzasnął księgę.

Oparzona lewa dłoń paliła mimo bandaża i warstwy kojącej maści. Świetnie. Ból dawał siłę, choć nie w każdych warunkach. Nie tuż po odniesieniu obrażeń i nie wtedy, kiedy ciało było słabe – wówczas osłabiał je jeszcze bardziej. Jednak od zadania rany minęło już dostatecznie dużo czasu i gdy Brune skupiał na niej myśli, czuł, jak jego żyły wypełnia ciepło.

Pora brać się do roboty.

Łatwiej mu było zwizualizować osobę niż mgliste wrażenie, a tożsamości był w zasadzie pewien, postanowił więc zaryzykować. Zamknął oczy i przywołał z pamięci blade, nalane oblicze Morszczuka.

Zdematerializował się łatwo i niemal w tej samej sekundzie znów stał na ziemi. Lecz coś było nie tak. Uderzyło go znajome, parzące zimno i serce podjechało mu do gardła.

Srebrni.

Zareagował instynktownie, nim jeszcze ocenił sytuację. Spowić się cieniem, zniknąć.

Pierwszym, co ujrzał, były zwłoki albinosa… leżące na kamiennym stole, jednym z kilku. Obszerna, pozbawiona okien sala, oświetlona sinawymi kulami lamp, wyglądała na prosektorium. Śmierdziało tu octem i trupią zgnilizną. Golem służebny powolnymi, niezgrabnymi ruchami mył posadzkę. Na jego klatce piersiowej widniał wymalowany białą farbą pentagram.

Brune w myślach pogratulował wrogowi sprytu. Nie chciał się nawet zastanawiać nad tym, ile miał szczęścia. Gdyby w pomieszczeniu, gdzie wylądował trup Morszczuka, znajdował się akurat jakiś srebrny mag albo choćby adept…

Kiedy na powrót otoczyły go wirujące barwy, żmij wiedział już, że prawie na pewno jest bezpieczny. Iść za echem dematerializacji można było tylko w ciągu paru sekund od jej dokonania.

Odzyskał fizyczną postać gdzieś na bagnach, daleko od zamieszkanych okolic. Zaklął w myślach. Dwie dematerializacje – dość, by go osłabić w wyczuwalnym stopniu, a potrzebował jeszcze dwóch. Co najmniej dwóch. Nie stać go było na kolejny błąd.

Zacisnął powieki, koncentrując się. Jego twarz wykrzywił skurcz.

Pamiętam cię.

Blade, obojętne oczy. Dotyk zimnych palców. Chłód wzdłuż pleców, przeczucie zagrożenia.

Płynąc przez przestrzeń między wymiarami, nadal koncentrował się na tym obrazie. Przeszedłszy z powrotem do materialnego świata, drgnął, widząc pokryte

zielonym obiciem ściany i pejzaże w pozłacanych ramach. Czego jak czego, ale tego się nie spodziewał.

Tłok w gabinecie zdziwił go już mniej. Hoogstraten w aksamitnym szlafroku i czapeczce, jego sekretarz z lichtarzem w ręku i dwóch służących – wszyscy pochylali się nad martwym odmieńcem w łachmanach. Mała pokojówka stała z boku z przerażoną miną.

Ujrzawszy żmija, Hoogstraten nie wyglądał na zaskoczonego.

– Mathias znalazł go tu dosłownie przed chwilą – oznajmił szorstko, wskazując trupa. – To twoja sprawka, tak?

Mathias pod wzrokiem Krzyczącego poruszył się niespokojnie, lecz w jego oczach żmij ujrzał jedynie to, co zawsze – strach i niechęć do *ka-ira*.

– Odpowiadaj, kiedy pytam!

Krzyczący przeniósł na barona chłodne spojrzenie. Nie omieszkał przy tym odnotować, że oczy Hoogstratena również mają normalny kolor. To akurat go nie zdziwiło.

– Panie Hoogstraten, zapomina się pan.

– Tak? A wiesz, o czym doniesiono mi po południu? W miasteczku znaleziono zwłoki chłopaka w niebieskich szatach, jednego z tych, co służą srebrnym magom, nie mając daru. O tym też nic ci nie wiadomo, jak mniemam?

– Teraz już wiadomo. Martwy sługa Elity? Ciekawe.

Oblicze Hoogstratena nabrało buraczanej barwy. Baron wyglądał, jakby lada chwila miał dostać apopleksji.

– Staramy się dobrze żyć z Elitą! Jeśli wyjdzie na jaw, że to ty, Tarantula nie puści ci płazem tej samowoli, słyszysz?

Brune nie odpowiedział. Znieruchomiał, wpatrując się w punkt poza plecami barona.

Dziewczyna.

Jej oczy. Jeszcze poprzedniego dnia były piwne, przestraszone. Teraz – zimne i blade, jakby wypłukane z koloru.

Przez ułamek sekundy patrzyli na siebie.

Wiem, że ty wiesz.

Jej rysy skurczyły się brzydko. Nagle skoczyła na żmija, wyciągając nie wiadomo skąd nóż. Brune złapał ją za nadgarstek i wykręcił rękę, podciął kopniakiem nogi, przytrzymał szamoczącą się, zanim upadła. Błysnęły sine iskry czaru paraliżującego. Jedno wyładowanie, drugie – aż zwisła w jego uścisku. Ludzkie ciało szczęśliwie miało swoje ograniczenia.

Krzyczący popatrzył na barona, który zamarł w niemym szoku.

– Proszę o wybaczenie. Kiedyś wyjaśnię.

Nie mógł się zdematerializować razem z nią, więc otworzył portal. Gdy ogarnęła ich mglista pustka, dziewczyna jęknęła, poruszyła głową. To, co w niej tkwiło, już zaczynało się budzić, dużo wcześniej, niż powinno po potraktowaniu taką dawką magicznej energii.

W lodowatej astralnej przestrzeni znikąd spadły na nich trzepoczące istoty. Stworki wielkości gołębia, takie same jak ten, który śledził żmija na łące. Powieki dziewczyny uniosły się, wargi drgnęły, jakby próbowała coś wymamrotać. Przyciągała je.

Brune szepnął słowo i na sekundę otoczył ich huczący wir płomieni. Stworki pierzchły; te, które nie zdążyły, obróciły się w popiół.

Po chwili znaleźli się na tarasie świątyni, pod nocnym niebem. Krzyczący wniósł dziewczynę do środka i złożył przed ołtarzem. Sprawnie skrępował jej ręce i nogi sznurem, który przewidująco tu przygotował. Korzystając z tego, że jeszcze nie oprzytomniała, obszukał jej kieszenie i tak jak się spodziewał, znalazł ozdobiony onyksami talizman. Odłożył go na razie w kąt, dla bezpieczeństwa obrysowując

dwoma symbolami. Nie chciał, żeby magia przedmiotu zakłóciła to, co zamierzał zrobić.

Zakreślił wokół dziewczyny szeroki krąg kredą, na jego obwodzie wypisał kilka znaków. Z przygotowanych gałęzi ułożył w obrębie kręgu stosik i gestem nakazał mu zapłonąć, następnie zaś pozapalał stojące na ołtarzu świece mroku. Dwanaście, tak jak nakazywał grymuar.

Za sobą usłyszał głos – w połowie jęk, w połowie przekleństwo.

Dziewczyna podniosła głowę i obrzuciła wzrokiem wnętrze świątyni, uprzątnięte, omiecione z pajęczyn. Inskrypcje pokrywające ścianę, ołtarz nakryty czarną tkaniną, świece i ogień.

– A więc wiesz – powiedziała z rezygnacją.

– Owszem – przytaknął Krzyczący. Podszedł i przykląkł, żeby spojrzeć jej w twarz. – Choć miałbym do ciebie kilka pytań. Przyznasz mi się, z którego dominium astralnego pochodzisz?

– Obyś zgnił, magu – warknęła. Głosem Morszczuka. Brune pokręcił głową.

– Kulturalni ludzie umieją kulturalnie rozmawiać. Liczyłem, że mi wyjaśnisz kilka spraw.

Odpowiedzią był charkot, jaki – zdawałoby się – nie powinien się wydobyć z ludzkiego gardła.

Brune wyjął z kaletki przy pasie buteleczkę, odkorkował ją i spokojnie zwilżył palce pachnącą hyzopem miksturą, po czym dotknął nimi czoła.

– Nie chcesz mówić? Dobrze, w takim razie ja zacznę.

Dziewczyna splunęła w jego stronę. Zignorował to.

– Oprócz wolno żyjących stworzeń astralnych istnieją też pasożyty. Potrafią one przenikać do materialnego świata i przejąć władzę nad ciałem śmiertelnika w taki sposób, że otoczenie nie ma szans się zorientować. Nie zmienia się ani wygląd, ani głos, ani aura. Gospodarz po jakimś czasie… krótszym lub dłuższym, zależnie od

indywidualnej odporności… zaczyna słabnąć, wtedy pasożyt szuka sobie nowego żywiciela. Przeskakuje z ciała na ciało poprzez… coś w rodzaju hipnozy. Wprowadza ofiarę w trans, żeby unieczynnić bariery jej umysłu. Wystarczy, że przez chwilę popatrzy jej w oczy. – Żmij uśmiechnął się. – Najlepszym, bo najbardziej odpornym żywicielem będzie mag, ale najtrudniej go skutecznie zaatakować, prawda? Na drugim miejscu są, jak się zdaje, odmieńcy, przynajmniej sądząc po twoich preferencjach. Jeśli trafnie odgaduję, przybyłeś do Orchosti w tej całej Księżniczce, a więc musiałeś w niej siedzieć dość długo. Czy musiałaś, wybacz, jeśli mylę twoją płeć. Masz w ogóle płeć?

Specjalnie dobierał słowa tak, żeby prowokować istotę, i nie zawiódł się.

– Niech cię Otchłań pochłonie – warknął stwór ustami ofiary.

– Jednak będziesz ze mną rozmawiać po ludzku? Świetnie. To jak mam się do ciebie zwracać?

Odpowiedzią był znowu charkot, a w zasadzie szwargot w nieznanym żmijowi języku. Znaczenie słów dawało się odgadnąć z intonacji.

– Grzeczniej, proszę – westchnął Brune. – Nie w obecności damy.

Ponownie zwilżył palce miksturą i nakreślił znak nad czołem dziewczyny. Zawyła i targnęła się w więzach, jakby ją oblał wrzątkiem.

– Jestem F’hirrel, wygnaniec z królestwa sylfów! – zaszlochała chłopięcym falsetem.

– Tak już lepiej.

Sylf przestępca, atakujący śmiertelników? Duchy powietrza były na ogół przyjaźnie nastawione do mieszkańców materialnego świata, ale w sumie czemu nie – wśród ludzi także trafiają się mordercy bez sumienia.

– Nawyczyniałeś brewerii, F’hirrelu, że i demon Otchłani by się nie powstydził.

– Nie każdemu jest pisane być świętoszkiem. – Stwór znów przemówił głosem Morszczuka. – Jak myślisz, za co mnie wygnano z dominium powietrznej królowej? Zresztą mniejsza z tym. Jakich wyjaśnień oczekujesz?

– Dotyczących wydarzeń z ostatnich dni. Spróbuję odtworzyć wszystko po kolei, a ty popraw mnie, jeśli gdzieś się mylę. Przybyłeś do Orchosti w ciele odmianki imieniem Księżniczka, którą lekkomyślnie kupił baron Hoogstraten. Gdy nadarzyła się okazja, z Księżniczki przeskoczyłeś w Isabei Rhis, a później miałeś nadzieję, że się uda ze mną. *Ka-ira* byłby świetnym żywicielem, dużo lepszym niż fałszywa magini, nieprawdaż? Od Hoogstratena wiedziałeś, że zjawię się w Orchosti za trzy dni, żeby mu przekazać maści. Wysłałeś Morszczuka, żeby mnie sprowadził, i ustami Isabei opowiedziałeś mi przekonującą bajeczkę w charakterze wyjaśnienia. To oczywiste, że najłatwiej wymyślić kłamstwo częściowo oparte na prawdzie. Tak naprawdę chodziło tylko o pretekst, żeby móc się ze mną spotkać twarzą w twarz. Chwilę porozmawiać, wyczuć słabe punkty, zanim zaatakujesz, bo od początku wiedziałeś, że z *ka-ira* nie pójdzie ci łatwo. Jednakże pokusa dobrania się do mnie była zbyt silna. Dobrze mówię?

– Dobrze – przyznał niechętnie F'hirrel. – Choć śmiem twierdzić, że z niejednym *ka-ira* bym sobie poradził. Może nawet z większością? Przyznam, że po kimś, kto sporządza maści dla przestępców, nie spodziewałem się aż takiego potencjału. No cóż, popełniłem błąd, każdemu się zdarza.

– Zaspokój moją ciekawość i powiedz: a czemu nie Hoogstraten? Albo nie ten jego przyjaciel, który kupił Księżniczkę?

– A czemu jedne kobiety ci się podobają, a inne nie? To kwestia osoby. Niektórzy… powiedzmy, że mi nie smakują. Inni… – Usta dziewczyny wykrzywił obleśny uśmiech. – Wróciłem do domu barona specjalnie po to, żeby odszukać tę słodką istotkę tutaj. Isabei była lepsza i od niej, i od Księżniczki, a ty byłbyś lepszy od Isabei… Ale gdy się nie ma, co się lubi, trzeba łapać, co się da.

– A ta niełądna zmyłka z Morszczukiem i srebrnymi? Jeśli po naszej rozmowie wiedziałeś, że się zorientowałem, czemu nie opuściłeś ciała Isabei wcześniej?

– Nie wiedziałem – westchnął F'hirrel. – Domyśliłem się dopiero, gdy skontaktował się ze mną Mathias, sekretarz Hoogstratena, by donieść, że widziałeś się z baronem po raz drugi.

– Isabei płaciła mu za informacje?

– Oczywiście.

Cała Tarantula, pomyślał Krzyczący.

– Wtedy już nie marnowałem dłużej czasu – podjął stwór. – Morszczuk był dobrym obiektem, założyłem, że to wydedukujesz. Lubię kobiety i lubię odmieńców. Postarałem się, by jego ciało wylądowało w takim miejscu, żeby ci utrudnić życie, gdybyś ruszył moim śladem, a żeby dodatkowo się zabezpieczyć, wykonałem szybko jeszcze dwie wolty. Nie sądziłem, że mimo wszystko uda ci się nie zgubić tropu. Jesteś lepszy, niż sądziłem.

– Potraktuję to jak komplement.

– No cóż, mój sprytny *ka-ira*, zatem schwytałeś mnie, gratuluję… I co teraz?

– Teraz zadam ci jeszcze jedno pytanie. – Brune nakreślił nad czołem dziewczyny kolejny znak, ignorując jej pełen bólu jęk. – Uważaj, F'hirrelu, bo wyczuję, jeśli skłamiesz. Zdążyłeś się rozmnożyć w świecie ludzi, pasożycie? Rozdwoić się? Wysiać zarodniki? Złożyć jajo?

– Nie – wykrztusił stwór. – Nie, przysięgam na latające lasy Etherei!

– Jesteś pewien? Nie poczyniłeś żadnych… kroków w tym celu?

Powietrze rozdarło coś pośredniego między kwikiem a kobiecym wrzaskiem.

– Świetnie. – Krzyczący wstał z klęczek. – W takim razie zaraz cię poślę tam, gdzie twoje miejsce.

– Takiś pewien? – zaśmiała się cicho dziewczyna.

Brune znieruchomiał.

Jej twarz puchła w oczach. Oczy wybałuszyły się, rysy zniekształciły nie do poznania. Spomiędzy warg wysunął się czarny język – już nie ludzki, lecz rozwidlony.

– Jeszcze nie wiesz, co potrafię – wycharczał F'hirrel, po czym wydał niesamowity, modulowany wizg.

Zabrzmiał furkot i piski. Żmij wyrzucił ręce do przodu, otaczając siebie i dziewczynę sferą tarczy. W samą porę – ciemność pod sklepieniem ożyła, zaroiła się od łopoczących paskudztw. Kręciele, *volantes* oraz inne, których nie znał. Wrzeszczały niczym papugi w ptaszarni, wyzywając go.

Odkorkował drugą z przygotowanych buteleczek i wylał na posadzkę ciemnoczerwoną ciecz. Następnie wziął z ołtarza plik pergaminów, na których widniały odciski dłoni wykonane czymś, co wyglądało jak brązowa farba. Miał naiwną nadzieję, że nie okażą się potrzebne, dlatego nie użył ich wcześniej. Recytując w mowie magów, rozłożył je teraz przed sobą.

– Wy, którzy nie możecie odejść, przybądźcie – zaintonował cicho. – Spełnijcie mój rozkaz, a będziecie wolni.

Mgliste sylwetki umarłych pojawiały się jedna po drugiej, zawisając w powietrzu. Dusze ludzi, którzy zginęli gwałtowną śmiercią, przez co trudniej było im odejść w zaświaty. Znając odpowiednie formuły, można było zażądać od nich pomocy, jeden jedyny raz.

– Zaklinam was na rozlaną tutaj krew, strzeżcie kręgu.

Stanąwszy wewnątrz obszaru zakreślonego wcześniej kredą, zdjął tarczę. Buchnął ogłuszający zgiełk, stwory zakotłowały się, nie mogły jednak przeniknąć przez barierę, którą tworzyli umarli.

Brune spokojnie przemienił sztylet w rapier i wsunął czubek klingi w ognisko, między żarzące się kawałki drewna.

W księgach można było znaleźć sprzeczne informacje, ale pamiętał hipotezę wysuwaną przez niektórych badaczy – że pasożyt zabija ofiary, gdy je opuszcza, ponieważ potrzebuje całej energii życiowej jednego ciała, żeby przenieść się w następne. Zatem gdyby dobrze wycelowanym atakiem zniszczyć pasożyta, gdy ten jeszcze siedzi w żywicielu… Pytanie, czy z jego ofiary przetrwało coś poza cielesną powłoką. Lecz opętania, dokonujące się według podobnego mechanizmu, nigdy nie wiązały się ze zniszczeniem jaźni opętanego, a jedynie z jej stłumieniem i przejęciem przez intruza całkowitej kontroli. To mogło oznaczać, że dla dziewczyny jest jeszcze szansa.

Żmij zaczął po kolei recytować znane mu egzorcyzmy przeciwko bytom ze sfer. Kiedy skończył, był mokry od potu, ale w świątyni panowała cisza. Fruwające paskudztwa zniknęły, rysy dziewczyny zaś wróciły do normalnego wyglądu. Oczy miała zamknięte. Krzyczącemu przemknęło przez myśl, że może się udało, lecz wtedy egzorcyzmowana uniosła powieki, ukazując blade tęczówki.

– Bardzo dobrze, magu – syknęła głosem Isabei Rhis. – Próbuj dalej. Zmęcz się, wyczerp do cna. Wtedy się tobą zajmę.

Twarz żmija wykrzywiła się w uśmiechu.

– A założymy się?

Zerknął na umarłych – cierpliwie trwali na posterunku. Wyciągnął rapier z żaru i rozgrzanym ostrzem zaczął kreślić w powietrzu znaki. Dziewczyna przewróciła oczami tak, że widać było same białka, a potem zadygotała w drgawkach.

***

Za oknami świątyni szarzał świt. Brune zdmuchnął świece mroku, po czym dołożył do ognia.

Służąca Hoogstratena leżała bez ruchu na posadzce. Trwała jeszcze w czymś pośrednim między omdleniem a letargiem; jej ciało odzyskiwało siły.

Żmij musiał walczyć ze sobą, żeby również się nie położyć i nie usnąć. Głowa pękała mu z bólu.

Wygrzebał z kieszeni fiolkę z nalewką z lucyferii i kapnął odrobinę na język. Smakowało ohydnie, ale prawie od razu poczuł się lepiej. Napił się wina z manierki, żeby spłukać gorycz stymulanta.

Pozbierał arkusze z odciskami dłoni i wrzucił je do ognia, szepcząc odpowiednie słowa. Skłonił się umarłym w geście podziękowania, oni zaś rozwiali się.

Ukląkł przy dziewczynie, rozciął więzy, potem odgarnął z jej twarzy mokre od potu włosy. Śmiertelnie blada, na policzku i górnej wardze miała zaschnięty ciemny zaciek – pozostałość krwotoku z nosa. Ale oddychała.

Dla pewności uniósł jej powiekę, żeby sprawdzić kolor oczu. Odetchnął z ulgą – wróciły do pierwotnej barwy.

Elja Klaas.

Pamiętał aż za dobrze, w którym momencie poznał jej imię.

Mimowolnie wrócił myślami do chwili, kiedy wypowiedział ostatni, najpotężniejszy egzorcyzm. Jaźń stwora zapłonęła jak pochodnia, a uwolniona Elja na kilka kluczowych sekund znalazła schronienie w umyśle Krzyczącego. Ogłupiała, siejąca emocjami i urywkami wspomnień, które człowiekowi przewijają się przez głowę, gdy sądzi, że umiera.

Przed oczami żmija na nowo zjawiły się strzępki tego, co wtedy ujrzał. Chaty nad brzegiem morza, obdarte dzieciaki, kobiety naprawiające sieci – rybacką wioskę, w której dziewczyna się wychowała. W nędzy i głodzie; dotąd zresztą dawało się to wyczytać z jej twarzy.

Leżała bez ruchu, nadal nie odzyskując przytomności. Trochę go to zaniepokoiło.

Na wszelki wypadek ujął ją za rękę, żeby sprawdzić puls. I zamarł, bo dopiero teraz spostrzegł tatuaż na jej nadgarstku.

Napuszczony siną farbą kwiat magnolii. Musiał być wcześniej zasłonięty iluzją, która rozwiała się w trakcie egzorcyzmów. Krzyczący najpierw zagapił się nań, potem zaczął się śmiać, bo nic innego mu nie pozostało.

Biedne, bezbronne dziewczątko. Agentka Białego Kwiatu – chalkiryjskiej organizacji przemytników i piratów, rywalizującej z Synami Tarantuli.

Toś się popisał, Brune.

W końcu żmij spoważniał. Pozostała mu do załatwienia jeszcze jedna rzecz. Korzystając z tego, że Elja była nieprzytomna, podwinął jej rękaw i zaczął szeptać formułę. Przynajmniej teraz nie miał już wyrzutów sumienia, że musi to zrobić.

W miarę jak recytował, po wewnętrznej stronie przedramienia dziewczyny otwierały się krwawiące skaleczenia, które po sekundzie zasklepiały się, przechodząc w czerwonawe linie blizn.

Skończywszy, usiadł z powrotem przy ogniu i czekał, aż panna Klaas odzyska przytomność.

Nie trwało to długo. Zakaszlała i otworzyła oczy. Drgnęła; Krzyczący wyczuł strach, który na nią spłynął jak lodowata woda.

– Co… Co się stało…?

– To długa historia.

– Jesteś z Tarantuli – rzuciła drżącym głosem.

– Nie całkiem. Ale to i tak bez znaczenia.

Elja usiadła chwiejnie. Włosy znowu opadły jej na czoło.

– Głowa mnie boli – poskarżyła się.

– Nic dziwnego. Masz, napij się – podał jej manierkę. Dziewczyna zawahała się. – To nie trucizna – uspokoił ją cierpko. – Wierz mi, nie mam żadnego interesu w tym, żeby cię teraz pozbawić życia.

– Co ze mną zrobisz?

– Po kolei. Obawiam się, że twoja ostatnia posada to przeszłość.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Moja ostatnia…?

– Hoogstraten – westchnął. – Mówię o Hoogstratenie.

Elja potarła czoło. Wyglądała fatalnie, co Krzyczącego nie dziwiło. Sam czuł się tak, jakby go przeżuto i wypluto.

W końcu wzięła od niego manierkę i pociągnęła łyk, tylko po to, żeby się malowniczo zakrztusić.

– Nie zrobię ci krzywdy, bez obaw – podjął żmij, gdy przestała kaszleć. – Co więcej, nie zamierzam cię tu zostawiać. Za godzinę czy dwie mogę cię zabrać portalem, gdziekolwiek zechcesz.

– Świetnie – powiedziała wolno Elja. – Gdzie tkwi haczyk?

– A jak sądzisz? *Ka-ira* nie pomagają za darmo.

Dziewczyna dopiero teraz spostrzegła podwinięty rękaw oraz blizny na przedramieniu, układające się w znaki pisma magów. Rozszerzonymi oczami wpatrzyła się w żmija, a ten skinął głową.

– Masz wobec mnie dług, Eljo Klaas. W swoim czasie upomnę się o zwrot.

Tomasz Mróz

KOSMICZNY EDEK

– Pijmy szybciej, bo się ściemnia!

– No to co?

– Tak się mówi, to jest dowcipne…

Słońce, jak w każdej kiczowatej powieści, zachodziło krwawo nad zarysem sklepu nocnego, wydłużając cienie ławeczek przy skwerze, cienie postaci tkwiących wokół tych ławeczek, a nawet cienie i tak już podłużnych butelek dzierżonych przez owe postacie w dłoniach. Zapadał zmierzch, a wraz z nim miarowym pulsem zaczynało tętnić życie nocne wielkich metropolii, takich jak Londyn, Paryż czy Mediolan. Mieszkańcy tych miejsc z wesołymi minami korzystali z uciech życia, myśląc z pobłażaniem o smętnym losie mieszkańców prowincji – miejscowości takich jak Warszawa, Drezno, Bratysława, w których mieszkańcy ochoczo brali z życia co najlepsze, szczerze żałując swoich współobywateli w Żylinie czy Katowicach, gdzie ludziom nie mieściło się w głowie, że mogą być mieszkańcami Sochaczewa, Oławy czy Wąchocka i tak dalej… Dla ułatwienia identyfikacji opisywanego obszaru geograficznego dodajmy, że mentalność prawie wszystkich stojących przy ławeczkach postaci plasowała się poniżej średniej charakteryzującej mieszkańców wspomnianych miejsc, lecz wcale nie zależała od wielkości zamieszkiwanej miejscowości, bo takich osobników można spotkać wszędzie. Innymi słowy, rzecz się dzieje gdzieś w galaktyce i to powinno wystarczyć.

Piękno zachodzącego słońca nie robiło na nikim żadnego, ale to żadnego wrażenia, no, prawie na nikim.

– Pijmy szybciej, bo się ściemnia! – Stalowy Kazek zarechotał, wypuszczając malownicze obłoczki papierosowego dymu z ust.

– No to co? – zapytał Pająk.

– Tak się mówi, to jest dowcipne.

– Chyba doustne! – Pająk okazywał fatalny brak zrozumienia dla popisów intelektualnych kolegi.

Zapadła cisza. Stalowy milczał, bo właśnie pomyślał sobie, że strasznie się tutaj marnuje, tracąc czas z ludźmi, o których martwili się już twórcy pozytywistycznych nowelek, później władza ludowa, a obecnie nie martwił się nikt, pod warunkiem, że ten nikt nie mieszkał w najbliższym sąsiedztwie. Ja milczałem, bo od samego początku roztrząsanie zależności tempa spożycia od natężenia światła mnie nie interesowało. Pająk milczał, gdyż był to dla niego stan normalny, a krótkie sentencje, jakie z siebie czasem wydobywał, nie wnosiły do rzeczywistości prawie nic. Prawie, bo jednak słowo to słowo. Raz, że drgające powietrze, a dwa, że słowo, niezależnie jak krótkie bądź głupie by było, to jednak zasługiwało na opisanie w mądrych słownikach. Dajmy na to, wyraz „dupa", jeden z lepiej znanych Pająkowi, wydobywał się nieraz z gardzieli profesorów, proboszczów, a nawet prezydentów i monarchów. Czyli mówiąc „dupa", na krótką chwilę można się było upodobnić do koronowanej głowy albo kogoś bardzo czcigodnego. Tak by sobie kombinował Pająk, gdyby kombinował, ale on mówił „dupa" bez żadnych podtekstów. Po latach odkryłem, że było to niezwykle zdrowe psychicznie podejście; zresztą z Pająka w niejednej dziedzinie można by brać przykład.

– No i dupa! – Pająk westchnął.

Słońce schodziło coraz niżej; punktem odniesienia przestał być falisty daszek sklepu, zastąpiony przez żywopłot za sklepem. Cienie, osiągnąwszy monstrualne rozmiary, jakby przerażone własną nieoczekiwaną potęgą, zaczęły się rozmywać wśród porów betonu, blaknąć i znikać jak stuletni staruszek, który nie pamięta imion

dzieci, wnuków, wciąż pyta o rok i o to, co robi Edward Gierek. Sytuacja cieni nie była oczywiście przedmiotem niczyjego zainteresowania, we flaszce przeświecało dno i raczej to powodowało naszą melancholię, to oraz brak nadziei na lepsze jutro. Pająk znowu westchnął i powtórzył:

– No, dupa.

– Panowie, trzeba coś skołować, bo idzie wielki suszec – stwierdził Stalowy.

Wyciągnąłem ostatnią monetę i dałem Stalowemu, który wziął ją z kwaśną miną.

– Mało!

– A czego wymagasz od rencisty? Niech Pająk się dołoży!

Pająk pogrzebał w kieszeniach wyświechtanych spodni. Jego znudzona mina przybrała delikatny odcień smutku, który jednakże zaraz zniknął. Pająk byłby dobrym Indianinem. Powtórzył jeszcze raz wiadome słowo i zapadł w tępe milczenie, patrząc pod nogi. Założyłbym się, że wiedział, ile niedopałków leżało pod ławką.

Stalowy rozejrzał się po okolicy, machnął z lekceważeniem ręką na ekipę Bolka – też nie bardzo im się dzisiaj powodziło. Jego kołujący wzrok zaczepił o dwie starsze panie w szarych prochowcach, które szły od strony kościoła, starając się obejść dużym łukiem Bolka i jego kompanów. Chcąc nie chcąc, przechodziły więc niedaleko Stalowego.

– Szanowne panie pozwolą, że się przedstawię, Kazimierz Opałek vel Stalowy Kazek. Ja i moi koledzy w ramach rozwoju intelektualnego i duchowego spotykamy się tu codziennie i roztrząsamy ważne problemy egzystencjalne. Robimy to społecznie, nie pobierając żadnej opłaty, licząc, że dobrzy ludzie zauważą ten trud i rzucą jakimś groszem. Czy panie, w swojej dobroci, wspomogłyby nasz klub, stając się dobrodziejkami miejscowej elity?

Babcie, po chwili wahania, obeszły perorującego Stalowego trawnikiem i zaczęły się pospiesznie oddalać.

– E, tak nie można! Nasz wysiłek służy wszystkim, żądamy docenienia. Może chociaż złotóweczkę?!

Stalowy potruchtał za nimi, chwycił jedną z babć za ramię. Ta się odwróciła i walnęła go kolanem w krocze, druga dołożyła mu torebką po głowie. Stalowy padł na ziemię, babcie chwilę postały nad nim, sapiąc i rozglądając się wokoło. W końcu sprzedały mu jeszcze kopa w brzuch i poszły w swoją stronę. Patrzyliśmy oniemiali. Przechodząc obok naszej ławeczki, jedna z nich syknęła jadowicie:

– Degeneraci!

– Dobrze, że nie pedały! – wyjątkowo sprawnie zareagował Pająk.

Po chwili dokuśtykał Stalowy, a ci od Bolka mieli z niego niezły ubaw. My, choć zwykle cieszymy się, gdy komuś przyleją, to jednak wykazaliśmy pewną solidarność z uszkodzonym kolegą.

– Niezłe te babki, nie? – zagaiłem po chwili milczenia.

Stalowy chyba mnie trochę przestał lubić od tego momentu. Oddał mi w milczeniu moją monetę, rzucił krótkie „cześć pracy” i zniknął w szarości wieczoru.

– No i dupa! – stwierdził Pająk i splunął po raz kolejny pod ławkę.

Historia z walecznymi staruszkami powinna dać nam do myślenia, że dzisiaj działo się tu coś dziwnego. Ale nie dała, bo człowiek to istota tępawa od urodzenia, a jego wrodzona tępota z biegiem lat tylko się pogłębia.

Wieczór rozpływał się w objęciach nocy, ludzie powoli stawali się częścią innej rzeczywistości, widząc nie to, co jest, ale to, co chcieliby zobaczyć bądź to, czego bali się zobaczyć.

Czy ktoś rzuca na świat czar, tak że nocą przypomina piwnicę pełną starych gratów? Boisz się tam zejść, ale kiedy już zejdziesz, to żyjesz piwnicznym życiem i rozumiesz, że kurz i stęchłe powietrze są tylko ochroną przed zbyt szybkim i powierzchownym światem na zewnątrz. A może to codzienność staje się taką latarką, która świeci na zagadkowe, zakurzone rzeczy, pozbawiając je całego uroku,

wyszukując tylko to, co jest potrzebne, teraz i już? Czasem trzeba, żeby latarka się zepsuła… Wtedy półmrok, drgające światło świecy opowiedzą o twoim małym świecie więcej. Przestanie on być zbiorem użytecznych przedmiotów, ale nadal będzie istniał, choć inaczej. To, co pozostaje nieoświetlone, trzeba sobie wyobrazić i poczuć, nie jako przedmiot materialny, ale jako coś, co staje się na chwilę światem. Ten, komu nigdy taka latarka nie zgasła, umrze na pewno spokojny i dobrze zorganizowany, tylko… po co w ogóle się rodził?

Moja już zgasła, choć jeszcze o tym nie wiedziałem.

Droga, prowadząca do domu, była mi tak dobrze znana, że sama myśl o niej powodowała ziewanie. A myśl o dwupokojowym mieszkaniu na parterze, dzielonym z żoną Zofią, kotem Judaszem i kilkoma świętymi obliczami spoglądającymi ze ścian, stawała się wielokrotnie zalążkiem rozważań o tym, do czego człowiek w życiu doszedł i związanych z tym stanów nieomal depresyjnych. Ale zasadniczo nie narzekałem; wszak często słyszałem, że aby być szczęśliwym, należy mieć marzenia i cel w życiu. Ja od czasów szkolnych chciałem być rencistą. No i proszę, zostałem rencistą, w wieku czterdziestu siedmiu lat udało mi się zebrać papiery na niewydolność wątroby i nieodwracalne powikłania układu nerwowego. Komisja uznała, że mogę się wylegiwać do końca życia, dbając jedynie o wątrobę i układ nerwowy. Początkową troskę małżonki o moje zdrowie stępiły wielokrotne odstępstwa od zaleceń lekarzy w dziedzinie kuracji wątroby. Najpierw zrzucałem to na karb powikłań układu nerwowego, ale jak długo można robić własną żonę w balona? Innymi słowy, uznano mnie w domu za kogoś, kto nie wie co zrobić z wolnym czasem; następnie za kogoś, kto wpadł w złe towarzystwo i trzeba mu wprowadzić element perswazji i przymusu do rozkładu dnia; aż w końcu zostałem mianowany domowym degeneratem, chlejusem i łamaczem więzi rodzinnych. Tak!

Marzenia się spełniają, jeżeli tylko odpowiednio mocno się do nich dąży. Sęk w tym, że ludzie mają marzenia, delikatnie mówiąc, nieprzemyślane.

– O, przyszła nasza gwiazda wieczoru! – powitał mnie głos wydostający się z otworu gębowego umieszczonego w głowie mojej żony Zofii. – Gwiazda, bo za dnia to ja cię już nie widuję. Znowu byłeś z tym Żelaznym.

– Konstytucja daje mi wolność wyboru miejsca pobytu, co nie!? – odpowiedziałem hardo. – A poza tym ze Stalowym, Stalowym Kazkiem. Można chyba zapamiętać tę drobną różnicę. Po wypadku wycięto mu kawałek obojczyka i w to miejsce wstawiono protezę. Protezy robi się ze stali szlachetnej, żelazo by zardzewiało.

– Boże, Marian, w co ty się wpakowałeś? Co to za towarzystwo, jakie protezy?! Znowu piłeś! Boże, przecież ty sobie życie marnujesz, zajmij się czymś! Jak ja tych stalowych na osiedlu widzę, to ich szerokim łukiem obchodzę, a ty tak z nimi… Boże, Boże!

Właśnie przypomniały mi się te dwie staruszki, również obchodzące Stalowego łukiem. Wyobraziłem sobie, jak Zofia wali Stalowego, jak te tam, po jądrach, i wyzywa od degeneratów. Zachichotałem.

– Ty się z tego śmiejesz?! Te wina to już cię całkiem zamroczyły. W kuchni jest zupa, weź sobie.

Zupa jarzynowa z widokiem na błyszczącą lamperię i Jezuska włócznią przebitego, do tego kredens pomalowany olejną na biało z zasłonkami w kratkę i tykający zegar od Ruskiego z bazaru. W Unii zarobiłbym fortunę na biletach do takiego skansenu, Japońce by tylko filmowali i pstrykali fotki, Helmuty chciałyby jeszcze piwo. Do tego kot Judasz ocierający się o nogi. Tylko czy kot otarłby się o Azjatę albo Szkopa? Spojrzałem na Judasza. Pewnie, że by się otarł! Dla lepszego żarcia nawet o kupę gówna by się otarł. Zresztą Judasz to Judasz, kiedyś był Mruczkiem, ale po jakiejś większej awanturze Zofia zamilkła na dobrych kilka dni, ja

siedziałem w drugim kącie kuchni i kleciłem w głowie potencjalne riposty na gadaninę z naprzeciwka. Wtedy Mruczek podszedł do mnie, miauknął i wskoczył na moje kolana. Zofia zobaczyła to, łzy napłynęły jej do oczu, huknęła tylko: „Judasz!" i wyszła.

Leżymy już w łóżku, słychać dwa zegary, ten w kuchni o suchym, metalicznym dźwięku, i ten w pokoju z kukułką, o głębszym tonie. Tykają tak-tak, a ja liczę tyknięcia, powinno być sto dwadzieścia, no bo równo przecież nie idą. Wyszło dziewięćdziesiąt sześć. Liczę znowu, wyszło sto osiem. Ale co ja liczę, skoro nie wiem, kiedy minuta upływa? Ulicą przejechał jakiś samochód. Obcy człowiek, siedząc wygodnie w fotelu za kierownicą, zbliża się do nas na jakieś trzy metry, a mimo to jest odległy bardziej niż Pas Oriona; następnego dnia nawet nie raczyłby się uśmiechnąć, gdybyśmy się spotkali. Co mnie zresztą obchodzą jacyś nieznajomi? Metr ode mnie leży człowiek, który też się nie uśmiechnie, gdy mnie jutro spotka. A może to ja się nie uśmiechnę? Przecież nawet dzieci machające do pociągów są uśmiechnięte! Dlaczego nie można tego przenieść do domu, na podwórko, do łóżka? Czy ja coś jeszcze znaczę dla świata, dla innych, dla siebie? Czy nawet z pociągu nikt by do mnie nie pomachał, bo jestem mniej ciekawy niż mucha za firanką?

– Marian – słyszę głos spod kołdry obok.

– No?

– Ale nam to życie przechodzi.

Zegarek tyka, ten drugi też, jakiś samochód znów prawie wjeżdża nam na głowy. Światło latarni, przefiltrowane przez zasunięte firanki, dotyka naszych politurowanych mebli, nadając im charakter zgoła fantastyczny – co z tego? – skoro są już tak znajome, że mózg natychmiast zabija tę fantastyczność, przypominając, że w dzień to tylko zwykłe, błyszczące, gdzieniegdzie porysowane pudła.

Wzdycham, patrząc w sufit, również fantastyczny, choć mózg już wie, jak to wrażenie odpowiednio spłaszczyć.

– No i dupa. Trzeba spać.

W prawie każdej kwestii panują na świecie dwa przeciwstawne poglądy. Również w temacie preferencji co do pory dnia od wieków spierają się „sowy" i „skowronki". Jedni, uwielbiający siedzieć do późna, traktowani są przez drugą grupę nieomal jak banda snobistycznych dewiantów. Rano sytuacja się odwraca. Kiedy „skowronki" wstają, są postrzegani jako zidiociali zboczeńcy, dodatkowo, jeżeli budzą innych, awansują do stopnia sadystów bez hamulców moralnych.

U nas w domu zawsze byłem budzony jakimiś łomotami czy absolutnie konieczną o szóstej rano krzątaniną, stąd nie dziwcie się, proszę, że mam jak najgorsze zdanie o rannych ptaszkach. Stan porannej maligny w domu nie przechodził, dlatego udałem się na osiedle. Stalowy i Pająk już tam byli.

– Cześć pracy!

– Pracy cześć!

Po tak obiecującym początku – zamilkliśmy. Z powodu braku umiejętności pączkowania nasze zasoby pieniężne nie zmieniły się od wczorajszego wieczora. Jedynie Pająk znalazł butelkę po piwie i sprzedał ją za trzydzieści groszy. Sklep nocny stawał się za dnia sklepem dziennym; kobiety z siatkami zdążały do niego jak do Mekki, gdzie obiecywano dostatnie życie w postaci mleka, chleba, masła i cukru. Czasy potęgi sklepu osiedlowego i osiatkowanych wyznawczyń dawno już jednak minęły. Aktualnie wszystko było dostępne bez kolejki i bez przerwy. Dawna ceremonia zakupu kawy czy czekolady została zdegradowana do krótkiej, bezosobowej transakcji. Dlatego oficjalne zadowolenie z dobrego zaopatrzenia okazywało się często jedynie przykrywką dla bezsilnej wściekłości z zaistniałej sytuacji. Każdy się czymś martwił, niektórzy tym, że nie mieli zmartwień.

– No, panowie, problem powrócił i staje się coraz bardziej palący. Mamona, niestety, rządzi światem, a zaspokajanie potrzeb rozpoczyna się od tych podstawowych, co nie?

– Czyli których? – niespodziewanie zainteresował się Pająk.

– Podstawowe to te, na których ci najbardziej zależy. Na czym ci zależy?

– Na niczym – odparł Pająk bez chwili wahania.

– Hm. – Stalowego zamurowało na chwilę, ale tylko na chwilę. – Brak wymagań można podciągnąć pod potrzebę samorealizacji. Realizujesz się w nicości, prezentujesz swego rodzaju antypostawę. Ciekawe, ale pod warunkiem konsekwentnej realizacji i całkowitego oddania się temu.

– Zobaczymy tę antypostawę, kiedy zgłodniejesz albo ci na pęcherz zacznie cisnąć – zaoponowałem. – Każdy ma jakieś potrzeby.

– Okej, Pająk jest po prostu ciężki do dyskusji, ale ja mam konkretną potrzebę. O, może tutaj się uda.

Alejką nadchodził emerytowany ślusarz Zenobiusz Kisiel. Czasami postał z nami, czasem dorzucił kilka groszy do konsumpcji, ale zasadniczo miał nas za element i degeneratów. Sam kierował się w życiu, jak twierdził, surowymi regułami, które uchroniły go przed stoczeniem się. Tak opowiadał pan Kisiel, spoglądając na nas z wyższością. Obecnie swoje surowe reguły życia wcielał jako aktywny członek ZBOWiD-u, na zebraniach Rady Osiedla oraz na balkonie swojego mieszkania, skąd wrzeszczał na bawiące się dzieci, żeby były cicho albo poszły do domu się uczyć. Zenobiusz Kisiel zawsze wpinał medal w klapę marynarki, a latem, nosząc koszulkę polo, przyczepiał do niej ten medal. W stanie wojennym dostał od rodziny z Niemiec paczkę, w której znajdowały się różne ubiory, między innymi barwne T-shirty. Do nich Zenobiusz Kisiel także przepinał swój medal, o ile w nich wychodził z domu. Wszyscy mogli zobaczyć, jak paradował z dyndającym dowodem bohaterstwa głoszącym, że jego właściciel jest członkiem GAY CLUB w Hamburgu. Tajemnicę

poliszynela stanowił fakt, że powodem uhonorowania nie było żadne bohaterstwo, lecz sprawne otwarcie zaciętych drzwi pewnemu notablowi z PZPR, który miał dobre kontakty z Izbą Rzemieślniczą. Rzecz działa się w 1962 roku.

– Dobry, panie Kisiel! – zagaił Stalowy, rozciągając twarz w uśmiechu kelnera.

– Dzień dobry, panie Opałek – odparł dumny właściciel medalu. – Co nowego?

– Bo, widzi pan, panie Kisiel, sęk w tym, że nic nowego, a przydałoby się jakoś godnie dzień zacząć.

– No to zapraszam na zebranie Rady Osiedla, na pewno panowie jako stali obserwatorzy lokalnego życia mają wiele spostrzeżeń dotyczących naszego osiedla i tego, co należałoby zmienić.

Nawet Pająk spojrzał na Kisiela, jakby spadł z innej planety. Stalowy skrzywił się z dezaprobatą.

– Godnie zacząć, w naszym rozumieniu, to zmienić w sposób gwałtowny swoje nastawienie do świata, dać sobie szansę na przyspieszenie i namalować rumieńce rzeczywistości. Do tego można dojść ciężką pracą, jak nieliczni, bądź za pomocą różnych środków, które posiadają jednak tę wadę, że są zasobem rzadkim i cennym. A to, niestety, kosztuje.

– Nie rozumiem. – Emerytowany ślusarz zmarszczył brwi.

Stalowy westchnął z politowaniem i dosadnie uderzył się kantem dłoni w szyję.

– Rozumiesz pan?

– A, już łapię! Ale, wie pan, ja na alkohol łożyć nie będę. Ja mam swoje zasady, dzięki którym jestem tym, kim jestem, a panowie to, to… są już całkiem degeneraci!

– Dobrze, że nie pedały! – mruknął Pająk.

– Panie Kisiel, jeśli tak pan hołdujesz zasadom, to czemu pan pod szatnię w szkole chodzisz, kiedy dziewczynki mają gimnastykę? Może tam jest dziura, przez którą da się coś zobaczyć, hę!? – Stalowy huczał głosem tak tubalnym, że nawet mocno oddalone kobiety z siatkami odwróciły głowy. – A może owe zasady każą

panu oskarżać chuliganów o rozwalenie ławki przy piaskownicy, choć to przecież pan, po spożyciu z nami…

– Cicho, cicho! Co pan tu trening głosowy uprawiasz? Macie tu dychę i cisza, panie, cisza. Takim jak wy i tak nikt nie uwierzy, ale po co zakłócać porządek.

Poszedł, oglądając się z wściekłością.

Stalowy ułożył ręce w geście Kozakiewicza i ucałował pięść. Dycha do przodu.

– Też mam, kurna, zasady. Dzielić się z emerytami ich pieniędzmi. – Chuchnął na banknot i zakomenderował: – No, koledzy, czas, żebyśmy i my mieli coś z życia!

Pomaszerowaliśmy do sklepu, odprowadzeni smętnymi spojrzeniami ekipy Bolka.

Słońce powoli kończyło swoją syzyfową wspinaczkę na szczyty niebieskie. Złośliwy los każe mu się tak wspinać i gdy już-już prawie osiągnie swój cel, bum, palec opatrzności wskazuje drogę na dół. Więc idzie tak, zrezygnowane, z rękami w kieszeniach. Czy można jakiekolwiek popołudnie bądź wieczór nazwać radosnymi, patrząc na niknące światło? Lampa chirurgiczna ma więcej zapału do życia. Cóż, może to tylko odbicie mojej duszy, a nie prawda obiektywna, ale kiedy widzę słońce, znowu zjeżdżające do nas, prostych ludzi, z miną typu „sorry, może innym razem", to robi mi się smutno.

Wielkie wydarzenia czy katastrofy są podobno zapowiadane przez nietypowe warunki pogodowe. Ponoć niektórzy miewają przeczucia, że gdzieś coś złego się wydarzyło lub dopiero coś się stanie. Mojej żonie Zofii, na ten przykład, przed atakami jedenastego września w Nowym Jorku trzy noce pod rząd śniła się świnia w cylindrze i z cygarem w ryju. Po tej trzeciej nocy moja żona była na skraju nerwowego wyczerpania, ale wszystko ustąpiło zaraz po. Wstyd się przyznać, ale kiedy dwunastego września dowiedziałem się, że świnia w cylindrze i z cygarem odeszła w niebyt, to poczułem wielki przypływ wdzięczności dla tych terrorystów.

Tymczasem tego dnia nic się takiego nie wydarzyło, nawet podmuchu wiaterku. Może to właśnie było anormalne.

– Dzień dobry panom, szukam w tej okolicy kulturalnego towarzystwa, z którym można miło spędzić czas i nawiązać długotrwałe relacje towarzyskie.

Wszyscy podnieśliśmy głowy, wlepiając zdumiony wzrok w przybysza w średnim wieku, średnio zniszczonego życiem, średniej tuszy, w przeciętnym ubraniu. Idealny materiał na portret pamięciowy.

– A odpieprz się pan! – Pająk wyznawał zasadę: co w głowie, to na języku.

– Oczywiście umiem się odwdzięczyć za gościnność.

Przybysz zabrzęczał butelkami w torbie. Stalowy uśmiechnął się w odpowiedzi bardzo gościnnie, by zaskarbić sobie poważną objętość wdzięczności.

– Nie, no oczywiście. Świetnie pan trafił, mamy tutaj dwa liczące się towarzystwa. W jednym, składającym się w dużej mierze z miejscowego elementu i jednostek aspołecznych, hołduje się wulgarnym i przyziemnym rozrywkom. – Tutaj wskazał na typków z ekipy Bolka, którzy mu odmachali i rzucili braterskie pozdrowienie okraszone słowem na „k”. – No, widzi pan, hołota. Natomiast druga grupa to swego rodzaju elita. Zewnętrznie różniąc się niewiele od reszty społeczeństwa, stanowi jednocześnie korzystną alternatywę dla wyzwań współczesności.

– Czyli dobrze oceniłem sytuację. Edek jestem.

Nowy, miałem wrażenie, wcale nie pytał o nasze zdanie. On przyszedł i usiadł z nami, realizując po prostu swój plan, a gadanina Stalowego i fikcyjny wybór kompanów do konsumpcji wina były tylko sterowaną przez nowego otoczką jego działań.

– Jak życie płynie? Niedawno tu jestem, to i w miejscowych sprawach nie siedzę… – po kilku wstępnych łykach zagadał Edek.

– Życie jak życie, płynie, nie pytając się o zdanie – Stalowy grał filozofa. – Organizuje się to i owo czasami, w miarę potrzeb.

– A w ramach tego waszego towarzystwa co robicie, jakie proponujecie owe alternatywy dla współczesności?

Spojrzeliśmy po sobie. Jaja sobie robi czy co? Przecież to tylko gadanina Stalowego.

– E, hm, cóż. Mamy, na przykład, przedstawiciela w Radzie Osiedla, on nas reprezentuje, stawia postulaty wypływające z naszych dyskusji.

– Aha!

Spojrzeliśmy z Pająkiem na siebie. Kisiel naszym przedstawicielem? Parsknęliśmy śmiechem. Pająk, jak już zaznaczyłem, szybko chował się za maską obojętności; mnie dalej skręcało ze śmiechu, Edek brał jednakże wszystko za dobrą monetę.

– To widzę, że żyjecie na wysokich obrotach. Lubię ludzi zaangażowanych, łatwiej się z nimi nawiązuje kontakt.

Pokiwaliśmy głowami, pasja i zaangażowanie to podstawa, o tym wie każde dziecko.

Ze sklepu wychodziła właśnie staruszka w szarym prochowcu. Stalowy bacznie się jej przyglądał, machinalnie chroniąc krocze. To ta z wczoraj, czy nie ta? Babcie są do siebie takie podobne, prawie jak Chińczycy, nigdy nie można być pewnym, czy to nie jedna i ta sama. Przechodząc nieopodal, mruknęła pod nosem:

– Degeneraci!

– Dobrze, że nie pedały! – odkrzyknęliśmy chórem.

Babcia machinalnie przyśpieszyła kroku, za chwilę zaczęła się gramolić na wysokie schody do pobliskiej klatki.

– Proszę pani, proszę pani, pomogę! – Nowy pobiegł w jej stronę. Przerażona babcia potruchtała do drzwi, nerwowo grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczy.

Edek dopadł ją i przez chwilę wydzierali sobie siatki. W końcu Edek wyrwał wszystkie i zakomenderował:

– Otwierać!

Potem wrócił do nas.

– W takim wieku taszczyć ciężary na czwarte piętro? To nie jest sprawiedliwe. Zróbcie coś z tym na tej waszej radzie!

Popatrzyliśmy zdumieni. Co jest…? Kto? My!

– Ile ci dała? – Stalowy chciał wysondować opłacalność tego typu działań.

– Nic, za takie coś należy się „dziękuję" i nic poza tym.

– E, frajer! – Stalowy machnął ręką z pobłażaniem. Ale wzrokiem czujnie taksował nowego, bo czegoś tu nie rozumiał.

– Panowie, uwaga! Baryła idzie!

Wszystkie flaszki powędrowały pod ławkę, w mig staliśmy się spokojnymi spacerowiczami, siedzącymi obok zostawionych przez jakichś łobuzów niedopitych jaboli.

Rzeczywiście, skwerkiem nadchodził dzielnicowy Baryła. Baryła był tłustym, wiecznie spoconym człowiekiem owiniętym mundurem, który poza służbą mógłby być średniej wielkości namiotem z przedsionkiem. Dzielnicowy Baryła naprawdę nosił nazwisko Baryła. I tak jak Major Major Major z powieści „Paragraf 22" albo dziekan wydziału metalurgicznego w jednej ze szkół wyższych o nazwisku Blacha, dążył do identyfikacji nazwiska ze swoim życiem. Biorąc pod uwagę, że nie ma takiego stopnia w policji jak baryła, musiał zostać dzielnicowym, a ideę baryłowatości wcielać w życiu prywatnym. Dlatego ksywa, nazwisko i wygląd były jednakie. Baryła, sapiąc, podążał w naszą stronę.

– Na to wasze chowanie szkła pod ławkę nikt się już nie nabierze! Co tam nowego, Stalowy?

– Dla pana dzielnicowego to Opałek Kazimierz, niekarany.

Parsknęliśmy z Pająkiem śmiechem. Baryła miał zawsze kłopot z samoidentyfikacją, chciał być służbistą, ale lubianym. W efekcie był drętwy i wszyscy go unikali.

– Dobra, dobra, na razie niekarany. A wy czego tu rechoczecie, Pająk Stanisław, już raz karany? Obraza funkcjonariusza na służbie to nie przelewki.

Ucichliśmy. Stalowy zaczął łagodzić sytuację.

– A z nowym kolegą się zapoznajemy. Trzeba go wprowadzić w miejscowe układy.

– Z nowym kolegą? Chętnie poznam, dokumenty proszę.

Edek z miłym uśmiechem podał zieloną książeczkę.

– Tak, urodzony, wydany przez, imię, nazwisko, Edward… Kosmiczny?! Cóż to za nazwisko? Ja jestem Baryła, już śmiesznie, ale żeby się nazywać Kosmiczny?

– Nazywałem się kiedyś Edward Wołek, ale zmieniłem nazwisko w ramach identyfikacji nazewnictwa z zainteresowaniami.

– Znaczy?

Temat identyfikacji imion i nazwisk z rzeczywistością był dla Baryły niezmiernie interesujący. My również patrzyliśmy na Edwarda Kosmicznego jak na jakiś rzadki okaz albo przybysza z Marsa.

– Lubię kosmos, ba, ja wierzę w kosmos, wierzę, że nie jesteśmy sami, a wkrótce nadejdzie ten dzień, w którym ich spotkamy. – Umilkł, a po chwili dodał: – Byle tych dobrych.

– Ech, kosmos, kosmos. – Baryła westchnął.

– Jakich ich? – Stalowemu wyjątkowo zabrakło celnej riposty.

– No ich, stamtąd. – Edek wskazał oczami do góry.

Wszyscy spojrzeliśmy w chmury, ale żadnych „ich” nie dostrzegliśmy, co można było odgadnąć po wyrazach naszych twarzy; jeden Baryła zrobił minę, jakby coś jarzył. Edek się zdenerwował.

– Chodzi o istoty z kosmosu, a nie o kogoś wiszącego metr nad głową. Wszechświat jest miejscem, gdzie trwa życie i toczy się ciągła walka, tak jak i tu na Ziemi. Jesteśmy częścią większej całości.

Spojrzeliśmy wymownie po sobie, bo nikt z nas się nie czuł częścią ani większej, ani nawet bardzo malutkiej całości. Ja na przykład czułem się rencistą. Stalowy mógł się czuć częścią dołączoną do swojego łatanego żelazem, to znaczy stalą szlachetną, obojczyka. Pająk mógłby widzieć siebie jako nadbudówkę osiedlowej ławeczki, gdyby w ogóle się tą kwestią zajmował. Kim się mógł czuć Baryła? Może on był tą składową większej całości, Baryl wszechświata? Edek już miał wybuchnąć, ale uśmiechnął się tylko i zaczął z pozornie innej beczki.

– „Załogę Dżi" oglądaliście?

Nie oglądaliśmy, w ogóle nie słyszeliśmy o takim czymś. Jedynie Baryle zaświeciły się oczy. Wykrzyknął nagle, niepomny godności dzielnicowego:

– No pewnie! Traaaaansformaaaaaacja!

Zakręcił się wokół własnej osi, po czym zrobił przysiad i wyskok, co przy tuszy Baryły wyglądało jak balet w wykonaniu nosorożca. Patrzyliśmy oniemiali. Co to za „grupa dżi", że Baryła na samo jej wspomnienie krzyczy i tańczy? Przecież Baryła nigdy nie przekraczał limitu jednego ruchu na pięć sekund.

– Taka jest prawda, ludzie grzebią się w swoich małych sprawach, a nie myślą o tych najważniejszych. Walka dobra ze złem toczy się nie tylko na Ziemi, również tam. Oni chcą tu przyjść i nas skaptować. Przyjdą i ci dobrzy, i ci źli! – stwierdził pompatycznie Edek.

– Zoltar! – syknął Baryła.

– Tak, Zoltar i Szkieletor też! – Edek popatrzył twardo na wszystkich zebranych. – Każdy musi być gotów do akcji. Kosmos jest piękny, ale nie brak w nim wrednych kanalii i my je tu godnie przywitamy.

– Ale jak? – Baryła był żądny szczegółów.

Edek spojrzał przyjaźnie na policjanta; wreszcie ktoś go zrozumiał.

– Będziesz wiedział, kiedy przyjdzie pora, trzeba tymczasem mieć wszystko na oku. Jako dzielnicowy masz ułatwione działanie. Jeszcze kiedyś porozmawiamy o tym.

Baryła skinął głową i odszedł sprężyście jako, właśnie przed chwilą mianowany, bojownik o dobro we wszechświecie.

– Co ty…? Skąd ty…? Co temu Baryle, ocipiał? – nawet Pająk był w szoku.

Wszyscy patrzyli na Edka jak na tajemniczy, promieniujący kamień, którego każdy się boi dotknąć, ale nikt nie może oderwać od niego wzroku. Edek jeszcze ciężko dyszał po swojej tyradzie, wracał jednakże powoli do postaci przeciętnego zjadacza, czy raczej wypijacza chleba.

– No cóż, trzeba lecieć, jeszcze się spotkamy! – Wstał i poszedł odprowadzony naszym wzrokiem.

– O, choroba! – Stalowy gwizdnął. – Ale jaja! Co to za gość?

Po powrocie do domu nie mogłem się uspokoić. Tych kilkanaście minut pozwoliło mi dojrzeć inny świat, w którym ogromne siły spierały się w walce czarnego z białym, a jakieś zbrodnicze moce musiały być powstrzymane przez obrońców sprawiedliwości. To wszystko zbliżało się do nas, a my jak gdyby nic siedzieliśmy sobie na ławeczce i piliśmy. Cały czas słyszałem wezwanie Edka do przygotowań na nadejście tych wrednych kanalii z kosmosu. Ludzie żyli sobie spokojnie, jak mrówki w ogrodzonym przez leśników kopcu, i nie wiedzieli, że zaraz niedźwiedź siądzie w mrowisko swoją dupą. A Edek wiedział i był przygotowany, żeby tego niedźwiedzia ugryźć. Baryła też już wiedział. Znajdowałem się pod tak silnym wrażeniem dzisiejszych wydarzeń, że opowiedziałem wszystko żonie Zofii, choć tysiąc razy przyrzekałem sobie, by nic jej nie opowiadać, bo i tak wszystko interpretowała na opak. Nie omyliłem się.

– Marian! Jaki Kosmiczny? Czy ty już całkiem na mózg upadłeś? Cóż to za nowe indywiduum? Boże, z kim ja się zadaję!

Ta reakcja nie powinna mnie dziwić, ale mimo to wściekłem się na małostkowość żony.

– Z kosmosu idzie zło, a ty biadolisz, że ci się nowy kolega nie podoba! Edek jest inny niż inni!

Skąd mi się wzięła ta pewność? Znałem go dopiero kilka godzin, ale… przecież widziałem, jak pomógł tej staruszce, jak mówił do Baryły, jak wierzył, że my nie siedzimy tu tylko, ot tak, żeby posiedzieć, ale żeby omówić ważne sprawy.

Leżałem w łóżku i gorączkowałem się, w milczeniu oczywiście, żeby nie prowokować dalszych występów Zofii. Myśli oderwały się od typowej pustki wieczorów, gdzie nudę rozpraszał przejeżdżający samochód, gdzie politura mebli błyszczała zawsze tak samo, gdzie nikt nie czekał na ranek ani na wieczór, ani w ogóle na nic.

Widziałem ogromne kłębowisko ciał walczących toporami, mieczami, fruwające peleryny, słyszałem dzikie wrzaski, jęki zarzynanych, można to było podciągnąć pod replikę bitwy pod Grunwaldem, tylko że na tle naszego Układu Słonecznego i w czterech wymiarach. Z jednej strony nadciągały nieskończone, zakute w srebrne zbroje zastępy Barył, skandując głośno: „Legia, Legia, Cewukaes!”. Rzucały się wir walki z zalewem galaretowatych stworów ciągnących z drugiej strony. Wisiał tam w przestrzeni wielki statek kosmiczny, z którego nawoływano wciąż przez gigantofony: „Poddajcie się, jesteście otoczeni!” w różnych językach. Zbliżyłem się do tego statku, na jego burcie wymalowano napis: „Zoltar i Szkieletor też”. Zajrzałem do środka przez jarzący się bulaj i aż mnie odrzuciło. Przed wielkim pulpitem siedziała świnia w cylindrze i z cygarem w ryju. Skoro mnie tylko ujrzała, uśmiechnęła się i zakwiczała:

– Ale jaja! Co za gość!

Zacząłem uciekać, nogi grzęzły mi jak w galarecie, ciągle słyszałem przerażające powitanie:

– Ale jaja! Ale jaja! Co za gość!

Nie mogłem już biec, nogi mi uwięzły na dobre. Widziałem z bliska morze zakutych w srebrne zbroje Barył, którzy patrzyli tępo w jeden punkt, skandując swoje: „Legia, Legia, Cewukaes!”. Świnia cały czas mnie witała, uśmiechając się po świńsku.

– Aaa, weźcie ode mnie tę świnię! Weźcie ją, weźcie!

– No wiesz, Marian, jak sobie chcesz.

Rozglądnąłem się wokół. Politura mebli błyszczała, za firanką znowu prześlizgnęły się światła samochodu, Zofia patrzyła na mnie z oburzeniem i przestrachem.

– Co to było? – jęknąłem.

– Może ty mi powiesz! Co z tą świnią, o kim to było? – Słyszałem wyraźną urazę w jej głosie.

– E, o nikim, tyle świń na świecie – zacząłem bagatelizować.

Zofia pokręciła głową i przyłożyła ją do poduszki, co rusz spoglądając na mnie podejrzliwie. Pewnie myślała, że przechodzę w kolejną fazę zdegenerowania połączoną z delirium.

Stalowy i Pająk siedzieli już jak zwykle; zapasy, zostawione wczoraj przez Kosmicznego, wystarczyły także na dzisiaj, więc pozbawieni trosk finansowych komentowaliśmy wydarzenia.

– Słuchajcie, trzeba coś wykombinować z tym kosmosem – zacząłem. – Przecież widać, że gość wie coś, czego my nie wiemy.

– Wie, że Baryła jest naiwny jak dziecko i lubi kreskówki. – Stalowy wrócił już do swojego zwykłego stylu, choć trzeba docenić fakt, że sprawdził, co to takiego

„Załoga Dżi”. – To jakiś oszołom. Dopóki funduje, mogę z nim gadać, ale nie zamierzam się bić z jakimiś kosmicznymi galaretami.

– Skąd ty, Stalowy, wiesz, że z galaretami? – Przed oczami stanęły mi zastępy sterowane przez świnię w cylindrze i z cygarem.

– E, tego, może i nie z galaretami a z włochaczami, na przykład. – Stalowy stracił na chwilę rezon. Postanowiłem go sprawdzić.

– Kierowanymi przez świnię w cylindrze i z cygarem, co?

– Nie, bez cygara i raczej w meloniku. Co ty mi tu pieprzysz, Marian?! Kosmiczny ma gadane i to wszystko.

Widać było, że Stalowy przestał być absolutnym panem sytuacji.

Po drugiej stronie ulicy zobaczyliśmy Kosmicznego, rozmawiał z Baryłą, tamten słuchał go w skupieniu. Zaraz potem się rozeszli, Edek uczynił jakby znak błogosławieństwa. Następnie przeszedł przez ulicę i skierował się w naszą stronę, ale na skraju skweru natknął się na Bolka. Zaczęli rozmawiać, widać było, że Boluś go słucha, Kosmiczny coś tłumaczył, tamten kiwał głową. No, no, chyba Boluś też lubi kreskówki. Zaraz potem Kosmiczny zbliżył się do naszej ławki.

– Witam kolegów!

Pająk zrobił grzecznie miejsce, Stalowy przywitał się:

– Witam kosmitę, dobry był wodorek na śniadanie, a może za bardzo śmierdział naszą galaktyką?

Kosmiczny tylko się uśmiechnął.

– Nie naigrawaj się z poważnych spraw, wiem, że niedługo będziemy musieli walczyć, bez przygotowania pokonają nas od razu.

– Ale jak, co? – dopytywałem się.

– No więc, sprawa wygląda tak… A, dzień dobry! – Kosmiczny Edek skinął głową przechodzącej staruszce. – Gdy pani będzie wracać z zakupów, proszę dać znać, pomogę.

– Dziękuję, panie Edwardzie, dziękuję. Wczoraj obserwowałam niebo, ale nic się nie wydarzyło, raz może sputnik przeleciał.

– Dobrze, proszę nie tracić czujności!

Popatrzyliśmy po sobie zdumieni. Co to za obserwacje?

– Sprawa wygląda tak, panowie…

Tu zaczął opowieść o konflikcie w odległym kwadrancie C6, gdzie zło zostało zmagazynowane w takim stężeniu, że stało się materialne. Na Ziemi wcale tego nie zauważono, bo obserwacje astronomiczne skupiają się na innych aspektach. Życie istnieje poza Ziemią i praktycznie każdy może je obserwować, ale tylko wtedy, gdy porzuci dogmaty wyznaczone przez materialną astronomię i kosmologię.

– Rozumiecie, oni cały czas mówią, że szukają życia poza Ziemią, ale tak wszystko ustawili, żeby nic nie wykryć, przynajmniej oficjalnie.

– Kto, jacy oni?

– No mówiłem przecież wczoraj przy Baryle!

W dalszym ciągu mówił: o coraz bardziej zbliżającym się froncie walk, o osłabianiu dwupierścieniowego pola i o planach zdmuchnięcia atmosfery. Słuchałem oniemiały, kilka godzin minęło jak mgnienie oka. Świat wokół mnie stał się straszny, ale żywy i fascynujący. Mogłem w nim przeżyć, ale pod warunkiem, że Kosmiczny będzie ze mną, z nami. Spojrzałem podniecony na Stalowego, ten ziewnął i mruknął:

– Pierdoły!

Miałem ochotę go zabić. Słuchał czegoś tak prawdziwego i ważnego, a myślał dalej o jabolku. Pająk jak zwykle był nieodgadniony. Ja już wiedziałem, że muszę zmienić całe swoje życie.

Nadchodził kolejny wieczór, znów cienie wydłużały się do nienaturalnych rozmiarów i znów nikogo to nie interesowało. Stalowy miał już dość tych, jak sam powiedział, bajdurzeń i przeniósł się o ławeczkę dalej. Zaciągnął tam też Pająka, który chętnie słuchał Kosmicznego, ale z jakichś powodów był nierozłączny ze

Stalowym. Ja siedziałem z Edkiem i chłonąłem jego słowa, nikt nigdy nie mówił tak ciekawie, tak przekonująco. Odpowiadał na wszystkie pytania, niczym się nie denerwował, nie dokuczał jak Stalowy. A co najważniejsze – mówił, co robić. Przed pójściem do domu już wiedziałem, że stałem się częścią wielkiej akcji przeciw złu w kosmosie. W tej chwili najważniejszy był trening i czujność. Do Kosmicznego co jakiś czas ktoś podchodził, podnosili ręce na swój widok w umówionym geście, następnie przybysz zdawał krótką relację Edkowi z ostatniego dnia. Patrzyłem jak zahipnotyzowany na znane mi z widzenia twarze mieszkających tu hydraulików, inżynierów czy sprzątaczek. Wszyscy byli czujni! Doniesienia w większości okazywały się nudne, informowały o niebie bez szczególnych ruchów czy znaków, o tempie i ilości mieszczących się w normie dla jeżdżących samochodów i chodzących przechodniów, o niezaburzonej wegetacji roślin na poszczególnych podwórkach. Edek wszystkim dziękował, obiecywał pomoc w drobnych sprawunkach, pytał o zdrowie dzieci lub żon, czasem coś notował. Kilka meldunków dotyczyło dziwnego zachowania sąsiadów, podejrzanych urządzeń wnoszonych jakoby pod pretekstem zakupu nowej pralki, odgłosów odkurzania, przez które przebijał szum urządzeń telekomunikacyjnych. Te doniesienia Edek zawsze notował i każdemu dziękował, obiecując zrobić z tym porządek we właściwym czasie.

– No, na mnie już pora! Jutro pogadamy, jak cię wciągnąć w nowe zajęcia. – Edek uniósł rękę do góry. Odpowiedziałem podobnym, choć jeszcze niezgrabnym gestem.

Stalowy na ławeczce obok również uniósł rękę, a dwa palce drugiej dłoni przytknął w miejscu pod nosem, tam, gdzie niektórzy mają wąsik. Edek tylko wzruszył ramionami.

Mój stan podniecenia nie umknął uwadze Zofii, która z delikatnością walca drogowego zaczęła sondować, co tym razem mi odbiło. Wiadomość o planach

wielkiej wojny we wszechświecie i potrzebie czujności wywołała tylko prychnięcie. Natomiast bardzo ucieszyła ją wieść, że Stalowy Kazek i Pająk na razie nie piszą się na tę imprezę.

– Muszę, Zosiu, zmienić swoje życie. To dotychczasowe to jakiś chłam.

Żona chyba nie wierzyła, że kiedykolwiek usłyszy ode mnie takie słowa. Jej Marian chce zmienić życie! Bez Stalowego Kazka i Pająka!

– To może umyjemy jutro razem okna? Miałam to zrobić sama, ale skoro się tak wszystko zmienia…

Spojrzałem na nią jak na galaretę z kosmosu. Myć okna, kiedy tu takie epokowe sprawy się dzieją? Te kobiety są jak, jak… dzieci.

Siedziałem na ławeczce pod nocnym i czekałem z bijącym sercem na dzisiejsze wydarzenia. Przypałętali się Stalowy i Pająk, zaczęli namawiać na codzienną porcję witamin. Wiedzieli, szelmy, że zawsze dostaję rentę w tym tygodniu miesiąca. Byłem tak podniecony potencjalnym przydziałem zadań, że nawet do głowy mi nie przyszło, by zanietrzeźwić się jak zwykle. Zaraz, zaraz, od kiedy tak ciągnąłem? Jeszcze zeszłej wiosny było w miarę nieźle. Nie! Przecież już zimą Zofia robiła awantury, że jestem idiotą, który da sobie odmrozić to i owo, byle nie siedzieć w domu. No tak, czyli jeszcze wcześniej, Stalowego znałem już od dwóch wiosen… Nie! Zaraz, nie pamiętam.

Stalowy i Pająk czynili coraz wyraźniejsze aluzje. Już chciałem im powiedzieć, wzorem Kisiela, że mam zasady i z degeneratami się nie zadaję, ale w tej chwili pojawił się na horyzoncie Edek.

– No, macie tu coś i sobie kupcie, ja dziś odpadam. – Wręczyłem im banknot.

Najpierw osłupieli, potem coś bąknęli o frajerach z kosmosu. Ale poszli sobie wreszcie, zanim Kosmiczny dotarł do ławki. Stalowy jeszcze się odwrócił i uniósł rękę w charakterystycznym pozdrowieniu (tym z przyłożeniem dwóch palców drugiej

dłoni pod nosem). Edek popatrzył na niego jak na złoczyńcę. Gdyby wzrok zabijał, Stalowy leżałby trupem i parował.

– Witam, dziś rozkręcamy twoją działkę! – Kosmiczny przeszedł od razu do rzeczy. – Słyszałem, że masz komórkę koło domu z możliwością dyskretnego wyciągnięcia kabli na dach.

Skąd on to wiedział, pewnie ktoś z sąsiedztwa… ale żeby tak dokładnie! W ogóle Kosmiczny był dziś jakiś taki władczy, wszystko omawiał sucho, bez wczorajszej dobrotliwości.

– No mam – potwierdziłem.

– Będziesz odpowiedzialny za węzeł radiolokacyjny. Rentę dostałeś wczoraj? Trzeba nabyć trochę sprzętu.

– Ale Zofia… – O rencie też wiedział, poczułem się jakby inwigilowany i chyba lekko naciągany.

Kosmiczny spojrzał na mnie przenikliwie, nagle uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu.

– Słuchaj, stary, przecież sam wiesz, jakie niebezpieczeństwo na nas czyha, świat liczy na ciebie. A panią Zofię biorę na siebie. Idziemy!

Poszliśmy w kierunku mojego domu. Po drodze Kosmiczny skręcił do pobliskiej kwiaciarni. Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

– Kolejne meldunki.

Kosmiczny uśmiechnął się z wyrozumiałością, wszedł do środka i wyszedł z bukietem kwiatów.

– Dla pani Zofii wystarczy? Takie dostaje zwykle od męża, czy ładniejsze?

Wytrzeszczyłem oczy. Od męża, znaczy ode mnie? Zacząłem gorączkowo szperać w pamięci w poszukiwaniu incydentu, kiedy to ostatnio ofiarowałem Zosi kwiaty. W tych poszukiwaniach moja osoba znacznie odmłodniała, włosy znowu

oblepiały mi czaszkę, a Zofia dopiero myślała o zakupie nylonowej podomki i to wyłącznie do sprzątania.

– Nieeee, ładniejszych raczej nie dostaje.

Zaszliśmy pod dom. Czułem się jak uczeń przyprowadzony za ucho przez wychowawcę do rodziców, w celu omówienia przedmiotów, z których gagatek jest zagrożony, czyli wszystkich, oraz opracowania planu kontroli dnia ucznia.

– Dzień dobry, Edward Kosmiczny, bardzo mi miło panią poznać!

Kosmiczny ucałował dłoń Zofii i wręczył jej kwiaty.

– Marian dużo o pani opowiada, bardzo chwali, że zawsze w domu czysto i porządnie.

Zofia siedziała jak odmieniona, patrzyła w milczeniu to na mnie, to na Kosmicznego, to na parującą herbatę i talerzyk z biszkoptami. Nigdy by mnie nie podejrzewała, że chwalę jej sprzątanie. A tu proszę, w domu szorstki i opryskliwy, ale przy kolegach złego słowa nie powie, wręcz przeciwnie.

– Bo proszę pani, Marian jest bardzo wartościowym człowiekiem, tylko trzeba mu się pozwolić rozwijać. A jak tu się rozwijać w tym… otoczeniu – zakończył z wyraźnym obrzydzeniem.

Zofia kiwała głową. Ten pan Edward jakby czytał w jej myślach, wygląda na to, że pan Edward to lepsze towarzystwo dla Mariana.

Siedziałem niczym sędzia na meczu tenisowym, moim imieniem odbijano jak piłeczką. Marian się stoczył, ale ma jeszcze szansę. Marian to równy gość. Kosmiczny wie, co dobre dla Mariana. Zofia wierzy, że Marian znajdzie pomoc u pana Edwarda. Marianowi trzeba coś zorganizować, żeby więcej nie siedział z tym Pająkiem i Stalowym. Marian rozumie, że tak dalej być nie może. Marian od dziś będzie pożyteczny.

Stanęło na tym, że Kosmiczny razem z Marianem zorganizują mały warsztacik w komórce na podwórku, gdzie Marian będzie się mógł rozwijać i robić pożyteczne

rzeczy. Na ten cel zostanie przeznaczona część renty, choć Edek również obiecał pomoc. Na początku Marian musi spędzać tam sporo czasu, dlatego zrezygnuje z tych bezcelowych spotkań na osiedlu. Kosmiczny będzie Mariana dość często odwiedzać.

Po tych ustaleniach poszliśmy z Edkiem do komórki, gdzie odkurzyliśmy stary blat i przesunęliśmy wszystkie niepotrzebne graty do tyłu. Kosmiczny wziął obiecaną część renty i już miał wychodzić, kiedy spojrzał na mnie, na moją nieszczęśliwą minę, wrócił, usiadł i zaczął mówić. O wszystkim, o czym już gadaliśmy, mówił, mówił, a ja z każdym słowem stawałem się na powrót zapalonym i zaangażowanym członkiem zespołu. Wiedziałem, co do mnie należy i wierzyłem, że inaczej nie można. Byłem całym sercem z Kosmicznym, jak wcześniej, tyle że bez części renty, za to z uzgodnionymi warunkami odosobnienia. Kosmiczny w moich oczach jaśniał nieomalże, a przynajmniej widziałem go bardzo wyraźnie.

Następnego dnia zjawił się z aparaturą – dziwacznie uformowanym kawałkiem drutu, dwoma zwojami kabla oraz dziwnym pudłem z ekranikiem. Kosmiczny wykręcił żarówkę, wyciągnął obsadkę z wtyczką i wkręcił ustrojstwo w miejsce po żarówce. W ten sposób uzyskałem kontakt. Kształt z drutu umocowaliśmy na dachu, Kosmiczny przyczepił do niego kabel, którego druga końcówka tkwiła z tyłu pudła. Edek wszystko włączył i na ekraniku pojawiła się pozioma kreska.

– Będziesz mierzył amplitudę i okres fali w przydzielonej częstotliwości. Częstotliwości znać nie musisz. Ważne jest, żebyś notował, jeżeli ta kreska zmieni choć na chwilę kształt. Im wyżej, tym większa amplituda, im dłuższe zniekształcenie, tym dłuższy okres. Kapujesz? Albo tu wpadnę wieczorem, albo będziesz przychodził co dwa dni na osiedle z raportem. Ale ma być dokładny, wszystko według skali i co do sekundy. My sprawdzamy każdą informację. Pozostałe wyposażenie nadejdzie za miesiąc jak, jak… je załatwię.

Zrobił znów ten ruch ręką i wyszedł z komórki, a ja usiadłem na zydelku przed ekranem. Pozioma kreska stała jak wmurowana. Wodziłem po niej wzrokiem, nie mając żadnego konkretnego punktu zaczepienia. Jakieś resztki wspomnień ze szkoły kołatały mi się w mózgu, nigdy nieużywane później słowa: elektron, impuls, indukcja. Słyszałem, jak Cieślak karmił po drugiej stronie podwórka króliki, przemawiając dobrotliwie do tych żywych pluszaków. W sumie dawno z nim nie gadałem, a to przecież miły człowiek. Już chciałem wyjść, ale spojrzałem na jarzącą się linię. Nie, przecież mam obowiązki! Poza tym skąd Kosmiczny wiedział o komórce, sam mówił, że wszystko sprawdzają. Wlepiłem znowu wzrok w ekran, Cieślak poszedł, kreska stała bez ruchu. Stalowy i Pająk pewnie już siedzą na osiedlu, ja siedzę tutaj. Westchnąłem, zażenowany życiem kolegów.

Słońce prześwieca przez lufcik nad drzwiami, ciężko stwierdzić, optymistycznie czy pesymistycznie. Kreska stoi, jak stała. W komórce jest dość ciepło, jakaś mucha walczy z tym lufcikiem. Obija się o szybkę, poddaje się, nie, wraca. To słońce i przestrzeń ciągną ją ku sobie, jak każde żywe stworzenie. Nie wie, biedaczka, że lepiej by było polecieć w kierunku ciemnych drzwi, tam tyle szpar, że nie tylko mucha, ale i mysz się przeciśnie. Mucha jednak wali łbem w tę szybę i pada, a potem powstaje. Pada i powstaje. Kiedyś już nie powstanie. Kreska stoi, jak stała. Ciepło tutaj, szarość komórki zdaje się niezmienna, porę dnia wyznacza punkt świetlny wpadający przez lufcik. Przesuwa się ciągle, choć niezauważalnie; chcę ten ruch jakoś uchwycić, ale nie da się. Patrzę – światło stoi pomiędzy tą a tamtą cegłą, tuż obok gwoździa. Patrzę tak i patrzę, ani drgnie, ale… już dotyka gwoździa. Ta jednostajna linia, te szare ściany odcinają mózg od świata. Mucha bzyczy i bzyczy. Powieki ciążą, linia stoi, jak stała, amplituda zero, okres zero. Nie, nie zero! Wzgórek przebiegł przez ekranik i znikł. Ile to było, o której godzinie?! Miotam się gorączkowo, aż się pocę cały z emocji. Z godziną mały kłopot, określam prawie co

do sekundy czas zakłócenia, ale wielkość… Przez resztę dnia nie odrywam oczu od ekranika. Nic się już nie wydarza.

– **T**ak, sam widzisz, że trzeba być czujnym – wieczorem Kosmiczny krótko skomentował moje niedbalstwo. – Na szczęście zarejestrowaliśmy ten sygnał gdzie indziej, jednak następnym razem nie daj się zaskoczyć. Ale to dobrze, że nie wyszedłeś ani razu, czujność, czujność i jeszcze raz czujność.

Skąd on wiedział, że nie wyszedłem?

Za dwa dni mam przyjść na osiedle z wynikami. Kosmicznemu przybywa coraz więcej obowiązków i nie może sam latać po wszystkich stanowiskach pomiarowych.

Następne dwa dni minęły podobnie jak pierwszy, przeanalizowałem trzy impulsy, zanotowałem wszystko bardzo dokładnie. Zofia kręciła się wokół komórki coraz bardziej zainteresowana tym, co tam z panem Edwardem zorganizowaliśmy. Kosmiczny kazał trzymać ją z dala od pomieszczenia oraz karmić bajeczkami o majsterkowaniu i wycinaniu z drewna jakichś zabawek dla pobliskiego przedszkola. Podrzucił nawet dwie pokazowe sztuki. Trochę ją to uspokoiło, choć ciągle łypała ciekawie w stronę niedostępnej komórki.

Po dwóch dniach, wieczorem, oświadczyłem, że wychodzę na osiedle. Zofia zastąpiła mi drogę, zaciskając wymownie pięści, bo ona już dobrze wiedziała, po co tam idę. Tłumaczyłem z pół godziny, że Kosmiczny pozwolił chodzić po osiedlu, a poza tym silna wola to również wolna wola. Żadna sztuka nie gryźć, będąc cały czas w kagańcu. W końcu ustąpiła z ciężkim westchnieniem, ale zagroziła wygarbowaniem mi całego grzbietu po stwierdzeniu jakiejkolwiek konsumpcji.

Wyszedłem.

Słońce, jak zwykle o zmierzchu, kładło cienie w taki sposób, że nawet karzełek mógł być usatysfakcjonowany swoją wielkością. Zmęczone krzaki smętnie zwieszały liście, zabrudzone kurzem wzbijanym w ciągu całego pracowitego dnia. Dzieci

jeździły na rowerkach, krzycząc do siebie brzydkie wyrazy i śmiejąc się z tego do rozpuku. Coś się Kisiel dzisiaj wałkonił! Szedłem przez tę znajomą okolicę i dziwnie wszystko mnie cieszyło, interesowało. Słońce ładne, dzieci ładne, Kisiel… no, może być, nawet sklep nocny uznałem za ciekawy architektonicznie. Wszystko dzięki Kosmicznemu, który wskazał mi to, co ważne, oraz powiedział, co robić.

– To również on wziął twoją rentę i kazał ci siedzieć w komórce, wielki pan dobroczyńca! – Jakiś cyniczny głos wewnętrzny kontrował mój entuzjazm.

– Rentę dałem na sprzęt, a z komórki zawsze mogę wyjść – przekonywałem sam siebie.

– Tylko spróbuj wyleźć, Cieślak doniesie, żona się wścieknie, a sprzęt wygląda na, hm… przestarzały.

– A co można skołować za jedną małą rentę? – szukałem usprawiedliwienia.

– A ty myślisz, że jesteś jedyny?

Przed oczami stanęli mi ci wszyscy składający meldunki.

– Właśnie, jest nas wielu, wszyscy zjednoczeni w słusznej sprawie! – wykrzyknąłem, żeby zagłuszyć tego gada w środku.

– Che, che, che, che! – Gad rechotał, oblizując się.

– Uczniowie Jezusa też musieli się poświęcić!

– Ale oni się Go nie bali! – Wewnętrzny gad pomachał mi łapą i wycofał się.

Tu stanąłem jak wryty. Spojrzałem wielce zdumiony na swoje wewnętrzne gadające zwierzątko. Rację miał, gad jeden! Przecież ja aż drżałem na myśl, że nie dopełnię wymagań Kosmicznego. Przypomniałem sobie, jak wyglądał, kiedy mówił, żeby zachowywać czujność. Groźnie. Strzeżcie się, wy, którzy nie będziecie czujni.

– E, tam! – Machnąłem ręką. – Przecież Kosmiczny nie ma żadnej władzy.

Uniosłem wzrok z pozycji myślącej, czyli wbitej w ziemię, w idącą, czyli bezmyślnie wbitą w przestrzeń. O, rany! Kosmiczny stał jakieś dwa metry przede mną.

– Skąd u ciebie takie myśli, Marian?

Patrzyłem przerażony w jego oczy, które trzymały moją głowę w żelaznym uścisku woli. Zbliżył się o dwa kroki, ja wciąż, jak sparaliżowany, patrzyłem tylko w te dwie źrenice. Czułem jak sondują mi mózg, czułem wręcz fizycznie ich dotyk. Co tu się dzieje? Czy krew i nerwy należą wyłącznie do ciała, w którym się znajdują? Czy są jak szpiedzy, którzy wszystko wiedzą o człowieku i mogą go zdradzić? Wystarczy tylko znaleźć odpowiednie gniazdko, przyłączyć się i odczytać wszystkie informacje. Kiedy człowiek umiera, przestaje panować nad członkami. Pytanie, czy za życia naprawdę panował nad własnym ciałem, nad każdą jego częścią? Podobno można siłą woli zatrzymać akcję serca bądź przesłać impulsy do mózgu, ale ja w to nie wierzę. Jeszcze się taki nie urodził, który lepiej niż natura wiedziałby, kiedy serce ma bić i co ma czuć mózg.

– Skąd u ludzi biorą się takie myśli? Przecież nikt nie wymaga myślenia, świat jest w sumie prosty.

Głos zabrzmiał w mojej głowie niczym prokuratorskie pytanie, które zawisło pomiędzy czterema ścianami obskurnego pokoiku. Siedzieliśmy w nim tylko on i ja, on i ja, on i ja…

Kosmiczny zbliżył się na krok i dopiero wtedy poczułem, że wypuścił mnie z uchwytu wzroku, zrobił znajomy znak ręką, odzywając się:

– Witam! Masz raport?

Potwierdziłem. Wręczyłem mu kartki. Kosmiczny sprawdzał dane.

– Trzy impulsy?

Skurcz przerażenia zmroził mnie aż do rdzenia kręgowego, pytanie dudniło w przerażonej głowie jak echo w studni. Przecież ani razu nie oderwałem oczu od monitorka, ani razu. Na pewno były trzy, na pewno! Przełknąłem ślinę. Kosmiczny popatrzył kpiąco:

– No i świetnie, bo były trzy impulsy!

Poklepał mnie po ramieniu, spytał o Zofię, przypomniał o jej imieninach przypadających w czwartek. Porozmawialiśmy chwilę. Nie, Kosmiczny to równy gość. Pochwalił mnie, obiecał pomóc w najbliższym czasie przy malowaniu drzwi, o co Zofia od tak dawna prosiła. Skąd on, u licha, wiedział takie rzeczy?

Rozluźniłem się, rozglądnąłem po okolicy. Stalowy i Pająk stali opodal i patrzyli na nas. Machnąłem im ręką. Stalowy wyciągnął rękę w pozdrowieniu, drugą przystawił pod nos. Czego oni ode mnie chcą, u diabła?

– Ze Stalowym i Pająkiem to raczej daj sobie spokój.

– Ale…

– Nie zrozumiałeś?

Znowu te oczy. Zrozumiałem.

Zza rogu wytoczył się Baryła. Zmierzał w kierunku Stalowego i Pająka, gdy nagle zobaczył mnie i Kosmicznego. Skręcił, obracając się na pięcie i popędził w stronę Kosmicznego, niezwykle szybko jak na Baryłę. Uczynił, oczywiście, znak ręką.

– Edek, i co? Masz, masz?

– Raport! – żądał Kosmiczny.

Baryła nerwowo klepał się po kieszeniach.

– Jest, jest!

Edek wziął świstek papieru, zaczął analizować.

– Masz to? – niecierpliwił się dzielnicowy.

– Mam! – Kosmiczny zrzucił z ramienia plecak.

Baryła pochylił się i zaczął łapczywie wyciągać ze środka rzeczy w kolorze srebra. Kombinezon ogromnych rozmiarów, kask, peleryna, buty z napisem „Relaks” na cholewie, rękawice. Wszystko srebrne.

– Edek, ale w dechę, Edek, ale super, ale fajowsko! – Baryła płonął z podniecenia.

Nagle, na oczach całego zgromadzonego na skwerku towarzystwa, zaczął ściągać swój przepastny mundur. Edek patrzył na niego z politowaniem. Boluś z kumplami, Stalowy, Pająk, wszyscy, nawet spacerujące babcie, zbliżyli się do przebierającego się policjanta. Takiej hecy dawno nie było na osiedlu! Baryła sapał, stojąc w naciągniętym do brzucha kombinezonie. Ogromne sadło wylewało się ponad srebrną tkaninę, Baryła stękał, próbując wtłoczyć kolejne kilogramy.

– Opałek Kazimierz! Pomóżże mi pan!

Stalowy przytrzymywał poły kombinezonu, Baryła zaciągał coraz wyżej, sapał coraz ciężej. Wreszcie udało się, podciągnął pod samą szyję! Peleryna, buty, kask – reszta to była już pestka!

Po zapięciu ostatniego guzika Baryła odepchnął trzymającego ubiór Stalowego. Wypiął pierś, wyrzucił obie ręce do góry.

– Aaa, pałer, mam pałer!

Całe towarzystwo oniemiało. Nieruchawy Baryła zmienił się w wulkan emocji i tężyzny fizycznej. Robił podskoki, ustawiał się tak, żeby peleryna łopotała na wiejącym od czasu do czasu wiaterku, przyjmował pozycję lecącego Supermana na przemian z uśmiechniętym Arnoldem. Trwało to kilka minut. Nagle zakręcił się wokół swojej osi i ryknął:

– Transformacja!

Po tych słowach zamarł na chwilę w bezruchu, patrzył na nas dumny i potężny, oczy lustrowały przestrzeń. Jego wzrok oparł się o Kosmicznego, ten skinął delikatnie głową. Baryła uśmiechnął się promiennie i zerwał się do biegu w kierunku najbliższego bloku.

– Baryła, ty gdzie? – Stalowy krzyknął za pędzącym.

– Niech spełni swoje marzenia – powiedział cicho Kosmiczny i popatrzył kpiąco na Stalowego.

– Jakie marzenia?! – Wszyscy zaczęliśmy spoglądać na siebie. Co może być wymarzonego w klatce szarego, peerelowskiego bloku?

Nagle zobaczyliśmy srebrnego człowieka na dachu, stał na brzegu i szeroko rozpościerał ręce. Wiatr niósł strzępy jego okrzyków:

– …am …ałer, w imię …ości!

– Baryła, złaź, czyś ty oszalał!? – Stalowy zaczął biec w kierunku klatki i schodów, po których Baryła wgramolił się na górę. Za późno. Dzielnicowy odbił się od krawędzi dachu i łopocząc peleryną, zwalił się na ziemię.

Cisza.

– Ty… ty… – Stalowy szedł w stronę Kosmicznego z zaciśniętymi pięściami. Kosmiczny cofnął się o krok, o dwa, jeszcze o krok, rozglądnął się nerwowo, przełknął ślinę. Stalowy szedł ciężko jak śmierć. Nagle Boluś zastąpił mu drogę razem ze swoimi kumplami.

– Co jest, Kazek? Baryle odbiło! Wszyscy widzieli! – patrzyli złowrogo na Stalowego.

Cała widownia obstąpiła Kosmicznego zwartym kołem. Edek uśmiechnął się ironicznie i zawołał:

– No, właśnie, odbiło mu! Kto mi teraz pelerynę odda? Wszystko zapaskudzone!

Jakiś starszy elegancki pan obiecał, że odda Kosmicznemu za pelerynę, dwie babcie zgłosiły się z propozycją uszycia nowej z dostarczonego materiału. Na wyścigi pocieszali Kosmicznego, że wszystko się załatwi. Prosili, żeby się nie gniewał i zwalali całą winę na głupotę Baryły. Kosmiczny wyraźnie odżył, rozdzielał już zadania, kazał dzwonić na policję, ustalał zeznania świadków. Mówił jednak o Baryle z najwyższym uznaniem, określił go nawet mianem bohatera. Patrzyłem na Kosmicznego i w duchu wiedziałem, że muszę natychmiast stąd iść. Jeżeli teraz bym został, to już na zawsze uwierzyłbym, że Baryła to idiota i bohater zarazem, a Kosmiczny myśli tylko o tym, jak bronić ludzi przed złem, zaś posłuszeństwo to

drobna cena za nasze bezpieczeństwo. Ponad tłumkiem kłębiących się wyznawców spotkałem jego spojrzenie. Czekał na mnie, byłem dla niego ważny, ważniejszy niż ci wszyscy, którzy oddali mu się całym sercem.

– Idziesz? – spytał.

– Dokąd?

– Za mną.

– A co mnie tam czeka?

– Pomyśl, co tutaj masz.

– Świat.

– A gdybym ci dał cały taki świat na własność? Mógłbyś zabijać i tworzyć, zsyłać noc i dzień, ustanawiać prawa, jakie chcesz.

– Dałbyś?

– Dałbym.

– To by było wspaniałe! Mieć taką władzę…!

– Dam ci ją, chodź.

Postąpiłem krok naprzód, Kosmiczny uśmiechał się dobrotliwie, wyciągał rękę.

– Chodź! Ja cię rozumiem.

Znowu krok, Kosmiczny jaśniał jak, jak… cholera. Z nim będzie mi dobrze…

Wtem mój wzrok zahaczył o twarz płaczącego Stalowego, pochylonego nad zwłokami Baryły. Pająk, pozornie niedbale, stał oparty o drzewo, żuł trawkę. Stalowy płakał. Nikt prócz niego nie płakał. Spojrzałem znowu na Kosmicznego.

– Chodź! – namawiał.

Wróciłem wzrokiem do Stalowego, tkwiącego przy martwym ciele Baryły. Zatrzymałem się. Patrzyłem na tę osiedlową pietę. Dzielnicowy zginął, a tylko Stalowy rozpaczał.

– Czemu nikt inny nie płacze?

– Chodź do mnie, to zrozumiesz!

– Czemu nikt się nawet nie przejął? Czemu Baryła w ogóle zginął, skoro jesteś taki dobry?!

Zacząłem uciekać, czułem piekące spojrzenie wbijające się w mój mózg. Nie mogłem się teraz odwrócić, musiałem uciekać, uciekać, uciekać!

– Chodź do mnie! Chodź do mnie! Ja cię rozumiem!

– Nie, nie, dlaczego jesteś taki straszny, skoro jesteś taki dobry?!

Biegłem najszybciej, jak tylko mogłem. Nie odwrócę się, nie odwrócę się, powtarzałem sobie. Nie będzie mnie miał. Dlaczego tylko Stalowy płakał? Potwornie się bałem ścigającej mnie potężnej myśli. Musiałem się gdzieś schować. Wpadłem za blok, gdzie stała przyczajona grupka dzieci.

– Tatatatata! – Chłopcy skierowali na mnie plastikowe karabinki.

W panice zawróciłem, wrzeszczące dzieci pognały za mną wraz ze swoimi karabinkami. Uciekając, widziałem, jak Boluś z kumplami pobiegli za drugi blok. Pewnie chcieli mnie wziąć w dwa ognie. Jakaś babcia, dotąd spokojnie szydełkująca na balkonie w promieniach zachodzącego słońca, poderwała się na równe nogi, wrzeszcząc do moich prześladowców:

– Tam pobiegł, tam! O, skręcił za rogiem! Biegnijcie w dwie grupy!

Wpadłem w krzaki, które przytrzymywały mnie tysiącami kolczastych rączek. Boluś z kumplami byli już bardzo blisko. Puśćcie mnie, puśćcie, cholerne krzaki! Szamotałem się nerwowo, dysząc ciężko. Przedarłem się pod ceglany murek za blokiem. W lewo pobiegnę – mają mnie, w prawo – też mnie dopadną.

– Tam jest, widzę go!

Przedzierali się przez te same krzaki, ale kolczaste gałązki przed nimi jakby się rozstępowały, jakby wskazywały im drogę. Tam jest! Tam jest!

Wskoczyłem na murek, za którym rosła trawa. Jakiś człowiek siedział na ławeczce.

– Ale jaja! Co za gość! – zakrzyknął, uśmiechając się od ucha do ucha. Zaczął iść do mnie z rozłożonymi rękami. Podniosłem się z ziemi, otrzepałem się i znowu zacząłem biec.

– Stój, stój!

Miły człowiek zrzucił maskę gościnności i zaczął mnie gonić. Kilku od Bolusia też przeskoczyło murek.

– Tam pobiegł, za drzewa!

Dopadłem do kolejnego rogu ulicy.

– Tatatatatatata! – Ta sama grupa dzieci celowała do mnie z zabawkowych karabinków, zanosząc się śmiechem. Przebiegłem między nimi.

– Chodź do mnie! – Wraz ze słabnącym rytmem kroków słowa Edka bębniły o mój mózg, wabiły. – Chodź do mnie! Ja cię rozumiem!

Oddech świdrował mi płuca. Już nie mam siły, już nie mam siły, ale nie pójdę do ciebie, mówiłem jemu, sobie…

– To chyba szok, dajcie mu wody – Kisiel zakomenderował dwoma innymi emerytami. – No, panie, kariery długodystansowca to pan nie zrobisz, a o zawalik nietrudno.

Dał mi kubek z wodą, odgonił gapiące się dzieci.

– Do domu, uczyć się! – huknął. Poszły niechętnie, karabinki zwisały smętnie z opuszczonych rąk. – Pan też do domu idź. Kiepsko pan wyglądasz, no, ale jak się takie życie prowadzi… Tu, panie, trzeba mieć zasady, bo stoczyć się łatwo. Mnie one uchroniły przed niejednym, degeneratem już nie zostanę. Choć… – zawahał się – może i szkoda – dodał po chwili i odszedł.

Wstałem z ziemi, otrzepałem spodnie i powlokłem się dobrze znaną trasą do domu.

Na osiedle wróciłem dopiero po kilku miesiącach. Zofia w tym czasie opowiadała nowe szczegóły śledztwa w sprawie śmierci Baryły, o tym, jak ludzie dostali nagłego ataku amnezji zbiorowej, jak nikt nie mógł sobie przypomnieć, co się stało tuż przed samobójczym skokiem ani dlaczego Baryła był tak dziwnie ubrany. Policja nie mogła dojść nawet do tego, jak konkretnie wyglądał wspominany przez niektórych mieszkańców, a podejrzewany o czynny udział w pewnych wydarzeniach, Edward W. alias Kosmiczny. Sprzeczne informacje dostarczali przesłuchiwani w tej sprawie Kazimierz O. i Stanisław P., którzy jako jedyni przedstawili odmienny od ogólnie prezentowanego ciąg zdarzeń. Ich słowa zostały jednak podważone wieloma innymi doniesieniami świadków, co wraz z opinią, jaką cieszyli się wśród lokalnej społeczności, skutecznie uczyniło zeznania Stalowego i Pająka całkowicie niewiarygodnymi. Jedyną osobą, potwierdzającą początkowo ich wersje, był emeryt Zenobiusz K., który jednakże odwołał swoje pierwotne zeznania, dodając przy tym, że osobnicy ci to godni pożałowania degeneraci, nie przestrzegający żadnych zasad, które są jedyną obroną przed stoczeniem się. Nowo mianowany dzielnicowy Zbigniew Dobrowolski określił w pierwszym sprawozdaniu sprawę jako tajemniczą, a postawę miejscowej społeczności jako skrajnie niechętną działaniom władz. Wątek dotyczący organizowania nieformalnej grupy został również w stadium przypuszczeń zamknięty, choć dzielnicowy podczas obchodów osiedla prawie zawsze widział kilka osób z natężeniem obserwujących niebo z balkonów, co w swych zeznaniach Kazimierz O. i Stanisław P. określili jako jedną z podstawowych form działalności grupy. Poszukiwany Edward W. alias Kosmiczny był komentowany przez wielu jako wymysł zdegenerowanego elementu aspołecznego, który miał za zadanie odciągnąć uwagę oficjalnych czynników od plagi alkoholizmu i oddawania moczu w miejscach publicznych. Tę wersję podtrzymywali zarówno przedstawiciele miejscowego koła ZBOWiD, Rady Osiedla, Koła Emerytów przy Radzie, jak też okoliczni mieszkańcy, w tym również Bolesław K., określający swój kontakt wzrokowy z opisywanym

elementem jako częsty i powodujący jego degradację mentalną. Dzielnicowy Dobrowolski zauważył również, z jaką dużą dozę szacunku ludzie wspominają jego poprzednika Józefa Baryłę. Rada Osiedla wystąpiła do policji z prośbą o zaopiniowanie projektu pomnika tragicznie zmarłego dzielnicowego. Miejscowy artysta grafik stworzył wstępny kształt dzieła, przedstawiającego ogromnych rozmiarów dzielnicowego w kasku motocyklowym, z łopoczącą na wietrze peleryną oraz w butach zimowych marki „Relaks". Propozycja ta została potraktowana przez Komendę Wojewódzką jak niesmaczny żart z tragicznie zmarłego funkcjonariusza. Dzielnicowy Dobrowolski otrzymał polecenie dyskretnego wtopienia się w miejscową społeczność, by zbadać tę sprawę „od podszewki", na podstawie luźnych wypowiedzi i aluzji okolicznej ludności. Stało się to początkiem codziennego rytuału picia alkoholu z miejscowym elementem i doprowadziło w efekcie do wysokiego stopnia degradacji fizycznej i moralnej dzielnicowego Dobrowolskiego, co z kolei dawało podstawy do przypuszczeń, że jego sprawozdania, choć w większości pokrywające się z zeznaniami Kazimierza O. i Stanisława P., były jedynie wynikiem długotrwałej zażyłości ze wspomnianymi oraz wynikiem owej degradacji. Innymi słowy, nie wyjaśniono nic.

Dziecko, sięgając po nowy przedmiot, jest nim zachwycone, odkrywa nowe, nieznane cechy. Później, instruowane przez dorosłych, zaczyna wpadać w utarte tory, aż zapomina, że może jeszcze myśleć samodzielnie. Świat staje się z góry zaplanowaną układanką, gdzie wszystko już ktoś przeżył i opisał, i teraz tylko wystarczy instrukcja obsługi. W takim świecie nawet opis najukochańszej osoby okaże się w końcu sztampowym powieleniem wyrobionych niegdyś w romantyzmie schematów. Ale co zrobić, gdy te znajome ślady zasypie śnieg, a przedmioty stracą swoje wyraźne kontury i funkcje? Cyk! Wiesz, że coś było, ale już nie pamiętasz, co dokładnie i dlaczego. Ktoś zgasił latarkę i zapadła ciemność wszędzie. Życie to ciemność. Ciemność.

Romuald Pawlak

KRÓTKI SEN O OPISANIU ŚWIATA

Yannuris odłożył pióro na pulpit i przeciągnął się z westchnieniem. Stare kości bolały go coraz częściej. Już nie wytrzymywał całego dnia spędzonego nad księgami jak kiedyś, w latach młodości.

Cóż, dzieło jego życia będzie musiało poczekać.

– Panie mój? – Niemal bezszelestnie pojawił się Drahi, jego sługa dotąd skryty gdzieś pomiędzy regałami biblioteki. Był niemal równie stary jak jego pan. Obaj dożywali kresu swych dni na szczycie Więziennej Góry. – Życzysz sobie, by przygotować kąpiel?

– Chyba już i tak niewiele bym zrobił – z westchnieniem przytaknął Yannuris.

W jego głosie zabrzmiała nuta żalu. Odsunął się od pulpitu. Niech wszystko zostanie tu, jak leży: księgi, narzędzia, mapy. Niczego nie będzie zabierać, bo i po co?

Po raz ostatni rozejrzał się po bibliotece. Powiedzieć, że była świetna, to jak bicze gwałtownej jesiennej ulewy, rozpryskujące się na stromych stokach góry z energią pioruna, nazwać ledwie paroma kroplami wody rzuconymi na rozgrzany piasek pustyni Nev. Zostały tu zgromadzone wszystkie księgi, jakie kiedykolwiek napisano w języku archandyjskim. Cała wiedza cesarstwa od pokoleń gromadzona była w dwóch identycznych bibliotekach: oryginały nowych dzieł trafiały do pałacu samego cesarza, zaś ich wierne odpisy czy kopie na *Ueni Ambę*, Więzienną Górę. Żyły tu w przyjaźni z dziełami w innych językach, księgami, które kolejnym cesarzom udało się dostać w darze, wymienić, ukraść czy pozyskać innym sposobem. Były tu mądrości wrogów, przyjaciół albo neutralnych sąsiadów cesarstwa Archandu.

Ludzie mogli ze sobą walczyć, lecz dla ksiąg nie miało to większego znaczenia. Wrogiem jednej wiedzy nie jest przecież inna wiedza, lecz ignorancja, ciemność, barbarzyństwo.

Jednak obce księgi głoszą odmienne prawdy, tak jakby opisywały zupełnie różne światy – snuł chmurne myśli Yannuris, podążając za swym sługą pustym, chłodnym korytarzem. – *A przecież Archand dzieli granicę z Gordem. Zaś Lirta swymi sztormami omywa wybrzeża aż trzech ziem, bo jeszcze i odległego Hi'en, z którym cesarstwo stoczyło dwie wojny morskie, nieomal w ogóle nie znając wnętrza tego bagnistego kraju.*

Zamiarem Yannurisa było uporządkować nieco ten stan. Pragnął wykreślić mapy sięgające daleko poza Archand. Miały jak najdokładniej opisywać inne królestwa. Nawet nie tylko sąsiadów Cesarstwa, lecz sąsiadów ich sąsiadów i ich sąsiadów… Nie miały to być zwyczajne zwoje kartograficzne, o, nie! – więzień *Ueni Amby* chciał te ziemie opisać dokładnie, aby ktoś kiedyś, chcąc podjąć podróż w tamte odległe rejony świata, mógł się zawczasu przygotować.

Wierzył, że choć dziś Archand pozostaje w dobrowolnej izolacji, to jednak któregoś dnia posłowie ruszą hen, daleko, do tych wszystkich słabo poznanych, często nieopisanych przez archandyjskich kronikarzy krajów. Wtedy jego księga stanie się potrzebna, imię będzie wspominane, a życie – życie spędzone na Więziennej Górze – nabierze sensu, choćby i długo po śmierci.

***

Czekając w komnacie na przygotowanie kąpieli, Yannuris zastanawiał się, czy zdoła dokończyć swe dzieło.

Za późno zaczął nad nim pracować. Na Więzienną Górę trafił jako dwulatek. Jednak kiedy podrósł, zainteresowało go co innego: polityka cesarstwa, języki

sąsiadów, dworska etykieta, słowem wszystko to, co mogło mu się przydać, kiedy sam obejmie rządy.

Dopiero wiele lat później pojął, że być może nigdy nie opuści *Ueni Amby*. To go zmieniło. W gwałtownym proteście odrzucił rzeczy przydatne w świecie, którego mógł wcale nie poznać – i zajął się mirażami. Bo przecież opisy tych samych miejsc czynione przez różnych kronikarzy, pochodzących z innych krajów, a nawet żyjących w różnych epokach, często dramatycznie nie pasowały do siebie, nie przystawały jak dzień do nocy. W jednych Gord przedstawiany był jako kraina bezpieczna, przyjazna podróżnikom – podczas kiedy inni srogo przestrzegali przed zapuszczaniem się na te ziemie, obwiniając żyjących tam ludzi o barbarzyństwo i nieustający rozbój. Nie stronili od krytycznych uwag nawet tamtejsi pisarze. Zweryfikować to wszystko, dojść do jednego, sensownego i prawdziwego wniosku – to jakby chcieć uwięzić i zatrzymać fatamorganę. Złapać, okiełznać i zmusić do walki po swojej stronie smoka, o czym wspominał jeden z dziejopisów.

– Panie? – Do komnaty zajrzała Heyla, najmłodsza ze służek Yannurisa. Najmłodsza, ale także już dosyć posunięta w latach.

W łaźni pomogła mu zdjąć szaty i wejść do kamiennego basenu. Z ulgą zanurzył się w gorącej wodzie pachnącej lawendą i cedrem.

– A może skorzystasz? – uśmiechnął się do kobiety, czyniąc ręką zapraszający gest. – Przynajmniej nie zamoczysz sukni, myjąc mi plecy, jak ostatnim razem.

Po krótkim wahaniu nieśmiało skinęła głową. Zrzuciła strój i wsunęła się do basenu.

Yannuris spoglądał na nią z namysłem. Była stara. Na Więziennej Górze wszyscy byli starzy. Jednak lubił ją. Ona jedna, obok Drahiego, dostrzegała w nim człowieka, nie zaś zgrzybiałego pretendenta do tronu.

A kiedy prysnął na nią wodą, roześmiała się. Jakby im obu ubyło lat.

***

Jesienne deszcze nie ustawały, lecz Yannuris niemal ich nie zauważał pochłonięty opisywaniem wysokogórskich równin zamieszkałych przez rodzinę plemion Sunnei. Ukryci za pasmem potężnych, sięgających nieba gór, pokrytych czapami wiecznego śniegu, pędzili swój żywot na kilku zimnych płaskowyżach, gdzie grube łańcuchy szczytów rozdzielały się, tworząc długie, wąskie kotliny przypominające wielkie wrzeciona.

Sunnei byli słabo znani Archandyjczykom z bezpośrednich kontaktów. Mało komu udało się pokonać granice wiecznej zmarzliny. Lecz inni mieli z nimi jakieś kontakty. Przy czym słowo *jakieś* dobrze oddaje charakter tych relacji. Bardzo trudno było cywilizowanemu Gordyjczykowi czy nie mniej kulturalnemu Almeidzie, żyjącemu w mieście, niosącemu w swej świadomości światło państwa istniejącego w tych samych mniej więcej granicach od tysięcy lat, porozumieć się ze stepowym łupieżcą, który swe skórzane namioty stawiał gdziekolwiek i przemierzał owe równiny w niekończącej się wędrówce za stadami baranów. Ci ludzie nie posiadali nawet pisma!

A jak ich świat może opisać ktoś, kto go nie rozumie, notuje tylko przypadkowe zdarzenia i fragmenty zasłyszanych opowieści, przekładając ich znaczenia na podobne do tych, jakie zna z własnej kultury? W czytanych księgach Yannuris dostrzegał niewiarygodne wprost rozbieżności dotyczące geografii tamtych odległych równin. Lecz przede wszystkim nie dało się niemal nic wywnioskować o życiu Sunnei, bo przecież z pewnością nie byli głupcami, jak ich opisywali kronikarze. Gdyby byli tacy, już dawno te surowe ziemie zająłby kto inny, a tymczasem oni wciąż tam trwali razem ze swymi baranami…

Nieistotne plemię, nieistotny kawałek ziemi – rozmyślał Yannuris – *a przecież już któryś miesiąc trwa to żmudne szukanie, weryfikowanie, próba zrozumienia…*

– Nie zdążę – ponuro rzekł do siebie któregoś dnia, obserwując mrówkę, która przemierzała skraj wielkiej księgi niby podróżnik wędrujący po bezkresie świata. – Chyba, że dożyję stu lat w zdrowiu. A na to się nie zanosi.

Od samego rana był poirytowany tym, co działo się wokół niego. Wyczuwał jakiś niepokój, podskórne zdenerwowanie służby i strażników. Nawet Drahi wydawał się być jakiś odległy, zasłuchany we własne myśli.

Czyżby?... – w nagłej panice pomyślał Yannuris. – *Ale teraz?!*

Przemierzył swoją komnatę kilkunastoma szybkimi krokami. Nawet i tu wszędzie leżały księgi. Nie potrzebował zbytków i luksusów, do spania wystarczała mu tylko mała wydzielona alkowa, resztę apartamentu przeznaczył na gabinet do pracy.

Naraz zrobiło mu się duszno. Chwycił opończę i gwałtownymi krokami podszedł do drzwi na taras. Szarpnął je nieco nerwowo i wyszedł.

Odgrodzony barierkami chroniącymi przed upadkiem, rozpościerał się przed nim cały świat. Cały niedostępny świat, który mógł oglądać oczyma innych, lecz nie własnymi.

Więzienna Góra była wysokim szczytem o bardzo stromych zboczach i płaskim wierzchołku. Na nim właśnie zbudowano przed wiekami to luksusowe więzienie. Nie było tu żadnych krat, lecz zejście w dół oznaczało spotkanie z cesarskimi strażnikami czuwającymi dzień i noc. Jako pretendent do tronu Yannuris mógł rządzić tylko równo ściętym zwieńczeniem góry – mniej więcej sto kroków w każdą stronę i granica tak wyrazista, że wyrazistszej być nie może: przepaść. Wszędzie indziej w Archandzie panował cesarz, umiłowany Idan IV, starszy brat Yannurisa.

Mógł w spokoju studiować księgi, próbować ucieczki albo rzucić się ze skały. Nie mógł jedynie liczyć na to, że na dole, w Archandzie, ktokolwiek udzieli mu pomocy. W gruncie rzeczy nawet straż u podnóża góry, ci ludzie, których widział jako małe kropeczki niezmordowane krążące po swoich codziennych trasach, nie byli

potrzebni. Kto zaryzykuje pomoc pretendentowi do tronu, gdy w przypadku nieudanego uczynienia go cesarzem oznacza to wygubienie rodziny do czwartego stopnia pokrewieństwa włącznie?

Naraz przy balustradzie stanął Drahi.

– Ziąb, panie – rzekł.

Yannuris wolno skinął głową.

– Zima idzie…

Sługa okrył go dodatkową opończą.

– Powiedz, jaki jest ten świat na dole? Bardzo różni się od tego, co zapisano w księgach? – spytał wreszcie więzień.

Drahi uniósł na niego spojrzenie. Wiedział, że pod pytaniem starego pretendenta kryje się zupełnie inna, dręcząca wątpliwość, czy Yannuris byłby w stanie zmierzyć się ze sprawami Archandu.

– Panie, księgi to wydestylowana mądrość – odparł sługa po chwili namysłu. – Życie poniżej tego szczytu to tylko brud, krew, głód i cierpienie. Rozwiewa się jak pyłowa burza i nic po nim nie pozostaje. Co warto zapisać, ktoś prędzej czy później włoży do księgi.

Drahi znał tamten świat. Raz w roku wyjeżdżał na kilka tygodni, aby przywieźć księgi, zdać Idanowi relację z poczynań najważniejszego więźnia… Yannuris podejrzewał, że był on nie tylko jego towarzyszem i sługą, lecz także szpiegiem i strażnikiem.

– Idan wciąż panuje – podsumował tę wymianę zdań Drahi.

***

Idan IV wciąż panował, a jednak Yannuris nie potrafił odpędzić wrażenia, że na Więzienną Górę zakradł się gęstniejący niepokój, duszna atmosfera wyczekiwania.

Kilka dni później – akurat kiedy czytał jakąś księgę o dziejach odległego ludu Hi'en – nagle jakieś hałasy oderwały go od lektury. Podszedł do okna biblioteki.

Wąską krętą drogą, owijającą się wokół *Ueni Amby* niczym wąż dookoła swojej ofiary, wędrowała niewielka kolumna ludzi. W ich ruchach była stanowczość, w minach nieustępliwość, w postawie – świadomość, po co tu przybyli.

Yannuris zaczerpnął tchu, aż zakłuło go w piersiach. Z trudem powstrzymał okrzyk bólu. Gryząc wargę, podszedł do stołu i powoli, smutnym, zmęczonym ruchem zamknął księgę.

A kiedy po jakimś czasie pojawił się Drahi, spytał:

– Umarł?

Sługa zaprzeczył ruchem głowy. Choć przecież wiedział, że nie warto kłamać.

– Ma jeszcze kilka dni przed sobą.

Stary pretendent zrobił kilka kroków po mozaice przedstawiającej motyla siedzącego na kwiecie.

– Na co zapadł?

Drahi westchnął.

– Zwyczajna starość, panie.

Gorzki uśmiech wypłynął na twarz Yannurisa.

Zwyczajna starość to było to – i chyba tylko to – co łączyło go z bratem. Idan panował w kakofonii świata, wydając rozkazy i rządząc, Yannuris żył w ciszy, analizując decyzje i działania innych.

***

Trzy dni później, w godzinę po nadejściu świtu, pojedynczy konny z tętentem wjechał na Więzienną Górę.

Yannuris nie spał. Przez ostatnie kilka dni nie pracował, wątpiąc w sens tego zajęcia. Miał problemy ze snem, siedział więc i z okien biblioteki spoglądał na drogę.

Kiedy Drahi razem z dwoma zbrojnymi przyszli po niego, nie musieli mu nic mówić. Sam się domyślił, że jego brat umarł.

***

Idan IV leżał na śmiertelnym łożu, w otwartej trumnie. Tego dnia żegnał się ze swymi poddanymi. W nocy jego ciało spocznie we wnętrzu Góry Cesarzy, by po wiek wieków trwać jako dowód długiej i nieprzerwanej linii władców Archandu.

Na centralny plac miasta przybyły tłumy. Ludzie chcieli się pożegnać z władcą, który co prawda jak każdy cesarz żył w oddaleniu od nich, lecz wydawał się im szczególnie bliski. Nie uciskał ich nadmiernie, a czasem wykonywał gesty pozwalające dostrzec w nim człowieka. Jak choćby wtedy, gdy przed siedmiu laty niezwykle surowa zima ogarnęła kraj, a on nie zawahał się opustoszyć cesarskich magazynów z jedzenia i opału, aby ludzie nie marli z głodu i zimna.

Teraz przyszli, aby go pożegnać. Na samym placu zmieściła się tylko ich cząstka, ledwie parę tysięcy spośród tych, którzy by przybyli, gdyby było to możliwe. Odcięci od trumny Idana poczwórnym kordonem wojska zachowywali się jak podczas jakiegoś święta.

I może to było dla nich święto? W końcu ileż razy za ich życia umierał jakiś cesarz?

Na długich schodach pałacu, szeroką marmurową wstęgą spływających w dół ku placowi, stał tron otoczony członkami Rady Baronów i doradcami wojskowymi. Było wśród nich także dwóch ambasadorów oraz kilku mnichów z cesarskiej nekropolii, zwanych duchownikami.

Tuż obok tronu, na którym zasiadł Yannuris I, można było odnaleźć charakterystyczną, wysoką sylwetkę Drahiego.

Poddani uważali zapewne, że mroczna mina nowego cesarza oznacza ból i zadumę. On jednak błądził myślami po zakątkach tak dobrze znanej Więziennej

Góry. Nieobecnym spojrzeniem wodził po rozgorączkowanym tłumie, z roztargnieniem oddawał gesty stojącym nieopodal tronu ambasadorom Gordu i Almeidy, którzy chcieli w imieniu swych krajów pożegnać Idana IV.

W świadomości Yannurisa z trudem mieścili się również duchowni odprawiający na placu modły za szczęśliwe połączenie się zmarłego z jego przodkami. Wychowany na księgach, z dala od religijnych obrządków, nie potrafił uwierzyć we wspólnotę żywych i umarłych, chociaż rozumiał, że dla prostego ludu religia jest równie ważna co widok cesarza, a może i ważniejsza, bo to nie władca, lecz kapłani na co dzień krążyli pośród nich.

Yannuris w całym pogrzebie dostrzegał tylko jeden pozytywny akcent. Przypatrywał się nie swemu bratu, lecz okrywającej zwłoki nefrytowej szacie. Była… niezwykła.

Przypominała nieco zbroję. Składała się z kilkunastu części okrywających całe ciało z wyjątkiem twarzy. Wypolerowane płytki jasnozielonego kamienia połączone zostały złotymi drucikami, a od spodu przeświytywała purpurowa materia. Spoczywający na białym katafalku Idan IV wyglądał majestatycznie niczym umarły bóg.

Nagle Margal, jeden z młodszych baronów stojących niedaleko tronu, zaczął coś szeptać do ambasadora Veigana Du z królestwa Almeidy.

Margal nie był arystokratą takim jak inni. Jego ród nie miał szans zostać wspomniany w księgach wertowanych przez Yannurisa. Dopiero w ostatnich dekadach wydźwignął się ze sklepikarzy na możnych kupców, a z tych, mieszając krew z ubogą, ale wartościową szlachtą, wpłynął do zatoki baroniej. Zasilił ją podłym pochodzeniem, za to wielkimi pieniędzmi. Stąd też ów mężczyzna w średnim wieku, choć giął kolano przed cesarzem, nie wydawał się przerażony jego obecnością. Raczej szacował, ile trzeba wydać, aby go kupić.

Yannuris, ledwie ujrzał na oczy Margala zaraz po przybyciu do stolicy, intuicyjnie wyczuł, że będą z nim kłopoty. Chociaż spoglądając na wszystkich baronów i doradców, tak naprawdę dostrzegał tylko jednego człowieka, który stał po jego stronie – Drahiego. Był on wiernym towarzyszem od kilkudziesięciu lat, jedynym stałym punktem w świecie, który nieoczekiwanie obrócił się dla Yannurisa na drugą stronę. Niedawny mieszkaniec *Ueni Amby* czytał co prawda, że więźniowie nienawidzą swego miejsca odosobnienia i jego dozorców, ale wiedział, że to tylko część prawdy. Ta część dotycząca ludzi, których więziono zbyt krótko, aby zdążyli pokochać swych strażników jak braci…

Patrząc na tych dwóch, Margala i ambasadora z Almeidy, Yannuris doznał nagle olśnienia. Gdyby był religijny, mógłby powiedzieć, że to któryś z przodków zesłał mu tę myśl. Oto spoglądając na Veigana Du, człowieka z innego kraju, uświadomił sobie, że zyskał nagle możliwość sprawdzenia, jak naprawdę jest w tych obcych ziemiach.

Yannuris pojął, że może wysłać wyprawy naukowe i zweryfikować wiedzę ze swoich ksiąg. Spożytkować szansę, jaki los nieoczekiwanie mu podarował. Wprawdzie Almeida i Gord – których ambasadorowie stali wśród baronów – są znane, ale nowy pan Archandu wyśle wyprawy również gdzie indziej. Do Sunnei, a także morską ekspedycję do Hi’en, korzystając ze spokoju panującego na wodach Lirty.

Lud zrozumiał minę cesarza tak, jak lud zwykle rozumie ciepły uśmiech na twarzy swego władcy. Rozległy się wiwaty i okrzyki radości.

***

W nocy po pogrzebie Yannuris nie mógł usnąć. Spoczywając w wielkim łożu przesłoniętym kotarami, słuchał cichnącego szmeru pałacowego życia. Wreszcie

pozostały jedynie odległe odgłosy zmieniających się i krążących wart. Raz w ogrodzie zaskrzeczał paw zbudzony złym snem albo wyczuwając drapieżnika.

Powinien czuć smutek, bo przecież pochował własnego brata. Powinien czuć smak władzy, bo przecież po ceremonii stał się dzierżącym niepodzielną władzę cesarzem Archandu.

Tymczasem jedynym, co w nim żyło, był pomysł, jaki przyszedł mu do głowy w trakcie ceremonii pogrzebowej. Świadomość, że to, o czym czytał w księgach na *Ueni Ambie*, może wcielić w życie. Tam, na Więziennej Górze, mógł tylko zadawać pytania. Teraz – także poszukać odpowiedzi.

Wreszcie wstał i zaczął spacerować po swojej komnacie. W ciągu tych kilku dni, odkąd w niej zamieszkał, zdołał się pozbyć luksusów, jakie najwyraźniej cenił sobie jego brat. Odarta z większości obrazów i sprzętów bardziej nadawała się do zamieszkania. I było też więcej miejsca na wędrowanie wzdłuż którejś z linii geometrycznej mozaiki pokrywającej podłogę.

Pomyślał, że nie ma na co czekać. Zbierze Radę Baronów – pora przejść do czynów. Dosyć się naczytał, nasiedział, napatrzył na swe myśli i wyobrażenia. Może był stary, ale czuł w sobie energię. Zaraz wyda rozkaz… karawany ruszą w świat…

Jeszcze leżąc w jedwabnej pościeli, zastanawiał się, co powie. Albo raczej jak to powie, jak oznajmi im swoją decyzję. Wiedział, że jego doradcy będą zaskoczeni.

Ledwie wstał, w jego komnacie bezszelestnie pojawił się Drahi.

Yannuris oznajmił mu, że po śniadaniu chce się spotkać z Radą Baronów. Mógł podjąć decyzję samemu, ale chciał im wyjaśnić. W nocy doszedł do wniosku, że można spróbować zmienić obraz Archandu w oczach świata, pokazać go jako państwo szukające wiedzy. Do tego jednak potrzebował wsparcia.

Liczył, że przekona baronów wizją pozyskania nowych towarów, a tym samym pieniędzy. *Kupię ich koncesjami* – myślał z rozbawieniem. – *Korzenie, złoto, co tylko się da.*

Drahi zburzył te wizję jednym zdaniem:

– Panie, ambasador Veigan Du chce się z tobą spotkać w pilnej sprawie. Twierdzi, że to, co ma do powiedzenia, nie powinno czekać ani chwili.

***

Jedną z niewielu rzeczy, jakie w pałacu docenił Yannuris, był wielki, zadbany ogród, w którym rosły chyba wszystkie drzewa i kwiaty świata. Pomiędzy nimi przemykały na wpół oswojone zwierzęta, szczególnie w tej części ogrodu, którą utrzymywano w stanie zamierzonej półdzikości. To tam rankiem dnia poprzedzającego pogrzeb nowy cesarz długo przyglądał się małej zielonobrązowej jaszczurce krążącej wokół porośniętej wysoką trzciną sadzawki. Przysiadł w kucki na mokrej od porannej rosy trawie i obserwował, jak zwierzątko szuka owadów, od czasu do czasu nerwowym ruchem głowy sprawdzając, czy Yannuris nie próbuje zrobić mu krzywdy.

Dziś jednak Drahi poprowadził swego władcę do wygodnej altany pośrodku polany w wypielęgnowanym zagajniku. Czekał tam już odziany w ciemną szatę bez ozdób ambasador Almeidy, Veigan Du. Ceremonialnie ukłonił się Yannurisowi na powitanie. Jednak jego twarz pozostała skupiona, a wyraz oczu trochę nieobecny.

– Chciałem spytać, panie… – zaczął, gdy cesarz wszedł do altany, a Drahi stanął na straży, czuwając, aby nikt im nie przeszkodził. – W imieniu swego władcy chciałem zapytać, czy Archand przystąpi do wojny po naszej stronie, kiedy ona wybuchnie.

Yannuris podniósł na niego zaskoczone spojrzenie.

– Archand nie chce wojny – odparł nieco bardziej ostrym tonem, niż to miał w zwyczaju.

Na twarzy ambasadora odmalowało się zaskoczenie, a przez jego oczy przemknął cień zakłopotania. Powiódł nimi po polanie, na sekundę zatrzymał wzrok na odległym o trzydzieści kroków Drahim, nim znów spojrzał na cesarza.

– To Hi'en znów jej szukają, panie, jak trzydzieści lat temu. Twój brat, gdy pokazaliśmy mu raporty naszych szpiegów, nie odrzucił myśli o wspólnym wystąpieniu przeciwko agresorowi. Myślałem, że doradcy brata zdążyli ci o tym powiedzieć.

Tak, doradcy… Żaden z nic ani żaden z baronów nawet się nie zająknął o tej sprawie – gorzko pomyślał Yannuris.

– Nie chcę wojny – mruknął.

Veigan Du zacisnął swe wąskie, wypielęgnowane dłonie arystokraty na balustradzie oddzielającej ich od trawy porastającej polanę. Westchnął ciężko.

– Znam cię, panie, i wiem, że bardziej interesują cię księgi od ludzi – rzekł wreszcie otwarcie. – Lecz mój pan i władca, Sanhel, pragnie ci przekazać, że nie taki jest wybór: chcieć czy nie chcieć wojny. Pytanie brzmi: wolisz zaatakować Hi'enczyków, zanim zejdą ze swych okrętów, aby pustoszyć nasze ziemie, czy pozwolisz, aby nas zaatakowali w wybranej przez siebie chwili.

Yannuris spojrzał mu prosto w oczy i odparł:

– Ambasadorze, czy nie rozumiesz? Ledwie objąłem tron. Nie tylko nie chcę, ale i nie mogę zaczynać rządów od wojny!

Almeidczyk wzruszył ramionami.

– Tej wojny nie da się uniknąć, panie – powiedział. – Można tylko wybrać na nią zły albo dobry moment.

***

Drahi rzadko widywał Yannurisa tak zafrasowanego. Ich życie na Więziennej Górze było proste i raczej pozbawione trosk. Nawet przed tymi kilkoma wyjazdami, które sługa musiał odbyć poza *Ueni Ambę*, nie widział swego pana tak zmartwionego. Cesarz wydawał się przygnieciony rozmową z ambasadorem.

Tymczasem nadeszła pora na spotkanie z Radą Baronów.

Yannuris złapał ukradkowe spojrzenia swego sługi, ale postanowił nie przyznawać mu się do swoich wątpliwości, dlaczego nikt mu nie powiedział, że Idan odbył taką rozmowę z Veiganem Du. Czyżby doradcy zapomnieli? Czy też, jak podejrzewał, nie zamierzali mu o tym wcale mówić?

Spotkanie odbywało się w wielkiej sali z kolumnami. Baronowie i doradcy już na niego czekali, rozmawiając na stojąco. Przygotowany stół był skromnie zastawiony paterami pełnymi owoców i dzbanami źródlanej wody. Yannuris nie wydawał takiego zarządzenia, widać jednak jego zamiłowanie do ascezy szybko uznano za obowiązujące prawo. Uśmiechnął się z wyrozumiałością, ale i pewnym smutkiem – w tej chwili chętnie wypiłby nieco wina. Mógł poprosić służbę, ale to już nie to samo, bo z władcy skromnego stałby się kapryśnym.

Pięciu baronów i trzech doradców (w tym jeden kapłan wydelegowany z klasztoru przy Cesarskich Kryptach) wyczekująco spoglądało na swego pana. Razem z Drahim było ich w tej sali dziesięciu – i decydowali o losach sporego państwa. Albo przynajmniej żyli w mirażu, że taka jest ich władza. Cesarz mógł mieć na ten temat inne zdanie.

Yannuris swój pomysł o wysłaniu wypraw starał się jednak przedstawić nie jako już podjętą decyzję, lecz raczej dopiero co dostrzeżoną okazję, z którego grzechem byłoby nie skorzystać.

Drahi w zadumie wysłuchał opowieści o tym, iż wiedza zdobyta przy pomocy karawan uczyni Archand potężniejszym. Baronowie nie byli jednak tak uprzejmi. Choć nie przerywali Yannurisowi, widać było, że ich nie porwał.

– To niepotrzebne koszty – zaczął stary Skand, kiedy cesarz spojrzał po nich pytająco.

Margal wyraził się dosadniej:

– Panie nasz! Nauka jest dobra dla brodatych uczonych. Jeżeli chcesz tracić pieniądz, wyślijmy zbrojne wyprawy, zróbmy wojnę…

Yannuris westchnął z rezygnacją.

Nie poparł go żaden z baronów, nikt z doradców. Nawet Drahi, ku wielkiemu bólowi swego władcy, milczał, jakby nie chcąc przystawać do chóru krytyków, a nie mogąc pochwalić inicjatywy.

– Widzę, że was nie przekonałem – podsumował wreszcie Yannuris. – Zatem udam się do Cesarskich Krypt i tam porozmawiam z mymi poprzednikami. Może oni pomogą mi podjąć właściwą decyzję.

Słowo władcy jest rozkazem. Jednak cesarz zdawał sobie sprawę, że długo nie porządzi, nie mając poparcia tych ludzi.

Pozostało mu wesprzeć się autorytetem przodków.

***

Yannuris miał świadomość, że wojna z Hi'en była nieunikniona. Liczył jednak, że zdoła wcześniej wysłać wyprawy. A może nawet zdążą powrócić, zanim zaczną się walki. Później już nie będzie mógł zrealizować swego planu… zresztą żadnego *później* może nie dożyć. Nie zamierzał czekać.

Aby utrącić protesty, użył narzędzia, o którym sądził, że baronowie ulegną mu bardziej, niż on sam: wiary.

Podczas kiedy on czytywał księgi, oni spotykali i słuchali kapłanów. Według tych zaś ciężar jednego słowa przodków jest stokroć większy niż całej przemowy żyjących, sami zaś przedstawiali się jako kupcy z wagą i odpowiednim stosem odważników. Teraz Yannuris chciał z tego skorzystać. Gdy wróci z Krypt, twierdząc, że przodkowie akceptują wysłanie karawan naukowych, kto zdoła mu zaprzeczyć?

Poza tym nie miał okazji odwiedzić Krypt Cesarskich. Teraz będzie właściwy moment.

O dziwo, Drahim próbował go od tego odwieść.

– Panie mój i władco, nie powinieneś zadzierać z baronami – rzekł cicho i błagalnie. – Przodkowie pewnie zechcą cię wesprzeć w decyzji wysłania karawan, ale ludzie w pałacu tego nie pojmą. A to ludźmi rządzisz, nie duchami czy sarkofagami pełnymi prochów.

***

Cesarska nekropolia była odrębnym, zamkniętym miastem, w którym na stałe przebywali tylko kapłani mający tu swoją główną siedzibę.

Aby wznieść odpowiednie miejsce ostatniego spoczynku dla cesarzy, do żywej skały odarto niewielką górę leżącą kilka mil od stolicy. Miała kształt łagodnej kopuły, po usunięciu ziemi odsłonił się biały wapienny kamień. W zboczach, w połowie wysokości, wydrążony został szereg grobów, w których spoczywali kolejni władcy oraz ich rodziny. Po pogrzebie otwory zamykane były specjalnymi rzeźbami przedstawiającymi pochowanego wewnątrz cesarza. Dostęp do komór pozostał tylko od wierzchołka. Stał tam niewielki klasztor zamieszkiwany przez tych spośród mnichów, którzy nie krążyli po Archandzie, lecz czuwali nad spokojem zmarłych. W jego podziemiach krętymi schodami biegła droga do krypty, a z niej ciasnymi korytarzykami do poszczególnych sarkofagów.

Yannuris zatrzymał się w krypcie. Tam w ciszy, nie niepokojony przez nikogo, po raz kolejny zadał samemu sobie pytanie, czy dobrze robi.

Archand był silny. Magazyny z ziarnem miał pełne, pieniędzy w skarbcu nie brakowało. Wojna z Hi'en może będzie, a może nie. Veigan Du może mówił prawdę, a może tylko sprawdzał stanowisko nowego cesarza.

Coraz bardziej Yannuris utwierdzał się więc w przekonaniu, że wyprawy należy wysłać – do Sunnei, o których wiedział tak niewiele, ale także do Gordu, Almeidy i… do Hi'en. Pośle tam kogoś z baronów. Jeżeli chcą wojny, niech sprawdzą, czy ma ona sens.

Później począł krążyć pośród sarkofagów tych, których znał jedynie z kart mądrych ksiąg.

Z mocnym postanowieniem wyszedł z podziemi do klasztoru, gdzie oczekiwał na niego Drahi oraz strażnicy, którzy poza pałacem – i wnętrzem Krypt – nie odstępowali cesarza na krok.

– Zadbaj o to, żeby przywieźć moje księgi z góry – nakazał Yannuris, gdy znaleźli się w powozie wiozącym ich do pałacu.

Sługa patrzył na niego z namysłem.

– Lepiej będzie, jeśli nikt z Rady się o tym nie dowie – stwierdził wreszcie.

Władca podniósł na niego zaskoczony wzrok, ale nic nie odrzekł.

Mury stolicy zbliżały się szybko, a wraz z nimi wszelkie troski rządzenia Archandem i ludzie, którzy woleli wojny od badań.

***

Najwyraźniej baronowie pogodzili się z kaprysem swego cesarza – zadziwiająco gładko, biorąc pod uwagę przebieg pierwszej narady.

A może wystarczyła im cena, jaką Yannuris zgodził się zapłacić?

Zbyt późno został władcą, aby mieć z tego jakieś inne korzyści niż zaspokojenie własnej ciekawości. Całe życie spędził w luksusowym więzieniu, nie spłodził więc syna, a przynajmniej nic nie było mu o tym wiadomo. W pałacu poza równie starym Drahim nie miał nawet sojuszników, którym by mógł pozostawić tron.

Idan IV także nie miał potomka, a jego żona umarła przed wielu laty. Cesarz był jednak silny i nie dał sobie narzucić następnej. Tylko dlatego Yannuris zasiadł na tronie, a przy okazji odkrył, że jego wyobrażenie o bracie, sklejane z rzadko docierających na Więzienną Górę plotek i strzępów informacji zawartych w księgach, w ogóle nie odpowiadało prawdzie.

Niezależnie jednak od rosnącej w nim przychylności do nieznanego mu i nieżyjącego brata, musiał stwierdzić, że Idan IV zostawił kraj w trudnym położeniu – bez następcy, który zapewniłby ciągłość władzy liczoną nie w miesiącach, lecz całych dziesięcioleciach. Yannuris przecież znajdował się u schyłku życia i pewne było, że po jego śmierci rozpocznie się walka o tron.

Zgodził się więc wziąć dużo młodszą żonę z rodu Demarole, którego przedstawiciel, Songei, zasiadał w Radzie Baronów. Tym samym, choć Oenna nie urodzi mu potomka, po śmierci Yannurisa pozostanie cesarzową, a jej rodzina przejmie rządy, zakładając kolejną dynastię. To nie obchodziło go wcale, bo odkąd obejrzał wnętrze Cesarskich Krypt, zyskał pewność, że nawet jeżeli po śmierci jego umysł stanie się częścią jakiejś zbiorowej mądrości, to bez wpływu na ludzkie losy.

Ugoda z rodem Demarole dała mu za to możliwość wysłania naukowych karawan. Chcąc jeszcze bardziej powiązać baronów ze sobą, zaproponował, aby każda z rodzin wybrała po kilku młodszych synów i wysłała ich w różne strony świata. Zdobędą doświadczenie, które kiedyś może się przydać zarówno im, jak i Archandowi.

No i nadszedł dzień, kiedy, stojąc na dziedzińcu, przyglądał się jak odjeżdża ostatnia z grup przygotowywana najdłużej, bo zmierzała najpierw to portu Sestre, a stamtąd, już niesiona wodami Lirty, na wybrzeża i ziemie królestwa Hi’en.

Obserwując krzątających się ludzi, w których obecność cesarza wzbudziła pewną nerwowość, Yannuris nie potrafił odpędzić wrażenia duszności. Gdyby spróbował wniknąć w to niepokojące doznanie, pewnie przypomniałby sobie, że miał już podobne na Więziennej Górze w ten dzień, gdy zmierzał ku niej posłaniec z wiadomością o bliskiej śmierci Idana IV. Cesarz nie potrafił jednak myśleć o niczym ani nikim prócz ludzi wyruszających właśnie w podróż do nieznanego kraju. Och, gdyby mógł popłynąć z nimi! Ileż by dał, żeby jako prosty majtek znaleźć się na pokładzie jednego z okrętów…

Naraz dotarło do niego z całą brutalnością, że chociaż był więźniem na *Ueni Ambie*, teraz dopiero poczuł smak niewoli. Zdołał wysłać w świat parę listów, ale czy otrzyma jakieś odpowiedzi?

Uśmiechnął się smutno. Jednego był pewien: Archand nie miał dotąd takiego cesarza. Yannuris wiedział, że cokolwiek nastąpi, przejdzie do historii jako dziwny władca, który rządy objął na starość, a jego pierwsze decyzje dotyczyły nie wojen, lecz wypraw naukowych. Czy kronikarze napiszą: *Sędziwy wiekiem patrzył w przyszłość, a mając większość życia za sobą, nie pożądał już rzeczy, które są nietrwałe, ale takich, co nie przemijają*, czy: *Choć jego umysł, jak to u starca, pełen był mądrości, to ręka już drżała zdolna tylko laskę utrzymać, nie zaś groźny miecz ani karcącą rózgę*?

Zbyt dobrze znał księgi, aby nie wiedzieć – napiszą i jedno, i drugie. Ważne tylko, czego więcej.

***

To dziwne, że na starość można się z kimś tak związać. Yannuris był pewien, że zawsze znajdzie wspólny język z Drahim i z Heylą, która pozostała na Więziennej Górze – i której czasem bardzo mu brakowało.

A jednak Oenna, chociaż o dwadzieścia lat młodsza, bez trudu trafiła do serca i rozumu cesarza. Nie miał wielu doświadczeń z kobietami, odliczywszy nałożnice, jakie czasem odwiedzały go na *Ueni Ambie*, aby mógł zaznać męskich rozkoszy, jednak wydawało się Yannurisowi, że widzi przed sobą szczerą, łagodną osobę, która nikogo nie udaje. A może po prostu rodzina Demarole dobrze wybrała małżonkę dla władcy, po którym wkrótce mieli objąć schedę?

Połączyło ich umiłowanie ksiąg, spacery po ogrodzie, a także coś, co cesarz odkrywał dzięki swej przyszłej małżonce: malowane miniaturowe obrazy.

Kiedy więc nie zaprzątały go obowiązki, najczęściej razem z nią spacerował alejkami pałacowych ogrodów, rozmawiając.

Tamtego dnia Oenna zamieniła się w nauczycielkę nazywającą motyle. Na łące fruwało ich całe mnóstwo, barwiły powietrze jak tęcza, ale dla Yannurisa wciąż nie były *mietlicami*, *czerwonakami* czy *białokropkami*, tylko *motylami*. Rozpaczliwie brakowało mu słów, aby ponazywać ten świat wokół siebie.

Nagle przed cesarzem stanął zadyszany goniec z pałacu.

– Panie, prędko!

Zaniepokojona Oenna wypuściła ze stulonych dłoni motyla o ciemnych skrzydełkach naznaczonych paskami czerwieni. Cesarz zaś, nie oglądając się na nią, ruszył za posłańcem.

W komnacie czekał już na niego inny goniec, w żołnierskim stroju.

– Wojna, panie! – zaczął, nieudolnie kryjąc zdenerwowanie. Zapewne nigdy dotąd nie przekazywał aż tak ważnych nowin samemu cesarzowi.

Ten uśmiechnął się ze spokojem.

– Wiem – przyznał, budząc na twarzy żołnierza niedowierzanie. – Ile okrętów płynie?

Posłaniec osłupiał. Powiódł spojrzeniem po komnacie, wreszcie zatrzymał wzrok na swoim władcy.

– Cesarzu, jakich okrętów? – W jego głosie pojawił się niepokój. – To te pastuchy, Sunnei, zeszły z gór! Mrowie ich, a nasze twierdze z tamtej strony słabo obsadzone, więc nakryli Werganę i Dimme jak derką, obie zdusili w jeden dzień. Wkrótce przekroczą wody Arleny, szczęście w nieszczęściu, że woda wysoka, to ich wciąż powstrzymuje…

Yannuris zmienił się na twarzy. A więc nie Hi’en… I tyle warte okazały się słowa ambasadora Almeidy!

Odprawił gońca i zarządził naradę.

Nie zdziwił się, że baronowie dotarli na nią już poinformowani o napaści.

Miał ochotę rzucić kąśliwie Margalowi – przewodzącemu frakcji zdolnej rozpętać wojnę z całym światem, aby tylko zabłysnąć – że nie powinien narzekać, ma czego chciał. Władca powstrzymał się jednak.

Skastin, suchy i kościsty generał dowodzący armią, nie miał nic do powiedzenia ponad nowinę, którą przyniósł do pałacu posłaniec. Nikt nie spodziewał się ataku z tamtej strony.

Nikt w ogóle nie spodziewał się wojny. Wyglądało na to, że Veigan Du swój sekret powierzył jedynie Idanowi, który z tajemniczych powodów z nikim się nim nie podzielił.

– Archand jeszcze nie przegrał żadnej wojny – zauważył na koniec narady Skastin. Spojrzał na Yannurisa. – Możesz panie się nie obawiać. Zaraz wyruszam w pole i zagonimy tych dzikusów z powrotem w góry, gdzie odmarzną im tyłki.

***

Tymczasem nieoczekiwanie wróciła jedna z karawan, ta wysłana do Gordu. Przetrzebiona chorobami, bez kilku ludzi, nie przywiozła niczego ciekawego.

– Pozostali, jak już wyzdrowieją, to się nam przydadzą – z gryzącą ironią skomentował to jeden z baronów. – Tyle że wojna się do tego czasu skończy…

Yannuris ledwie słuchał tych uszczypliwości, choć bowiem trwała narada, oczekiwał przybycia do pałacu ambasadora Almeidy. Miał nadzieję, że pilny list poskutkuje i Veigan Du nie będzie zwlekać.

Tak też się stało. Baronowie wciąż dyskutowali, na ile można uszczuplić wojska na innych granicach, by je przerzucić w rejony objęte wojną, gdy powóz Almeidyjczyka zajechał na dziedziniec.

Cesarz przyjął go w małej komnacie niedaleko miejsca posiedzeń Rady. Bez dłuższych wstępów przeszedł do rzeczy.

Veigan Du wysłuchał słów cesarza, nie okazując zdziwienia.

– Poślę twoją prośbę najszybszą pocztą, jakiej mogę użyć – zapewnił.

Władca skinął głową w podzięce.

Wkrótce jakiś śmigły ptak wyleci z okna rezydencji ambasadora. Inny zaś niebawem przyleci tutaj. Chyba że po drodze któregoś z nich zaatakuje głodny sokół czy jastrząb. W księgach niejedna wojna, niejeden dramat stawały się ciałem, bo wieść nie dotarła w porę albo wcale.

***

Tymczasem wieści, jakie szybko zaczęły spływać do pałacu od Skastina i jego dowódców, wcale nie niosły pocieszenia.

– Smoki? – powtórzył cicho Yannuris, mnąc w ręku list od generała. – Jakim cudem? Księgi nic o nich nie wspominają!

Tasbe, zastępujący teraz w Radzie Skastina, wzruszył ramionami. Czy to za sprawą przypadku, czy z innego powodu, jego wzrok spoczął na twarzy Margala, nim odpowiedział cesarzowi.

– Nie wiem, panie, jakie czytałeś księgi – odparł grzecznie – jednak raport nie kłamie. A ci, co zdołali uciec, także opowiadają o smokach zionących ogniem i dymem.

Margal sięgnął po wodę. Upił kilka łyków, popatrzył na Songeia z rodu Demarole, który ciężko wzdychał i kręcił głową, wciąż zapewne nie mogąc uwierzyć, że jacyś barbarzyńcy z górskich równin zamiast na kozach, przybyli tu na smokach. I że używają ich do walki, zamiast honorowo bić się przy użyciu miecza lub innych broni.

– Przecież jesteś uczonym, panie! – stwierdził naraz Margal takim tonem, że jego słowa zabrzmiały niczym szyderstwo. – Nie przewidziałeś tego?

Yannuris nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

Jednak we własnej komnacie, gdzie towarzyszył mu już tylko Drahi, nagle zaczął jęczeć z rozpaczą i targać włosy.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem?! – prawie krzyczał. – Dlaczego w księgach nie znalazłem o tym ani słowa?!

Sługa dłuższą chwilę patrzył na niego ze współczuciem, nim rzekł:

– Księgi są stare, panie. Może to nowo odkryte stworzenia? A może po prostu były tak wielką tajemnicą, że żaden z kronikarzy do tej wiedzy nie dotarł?

Wzruszył ramionami.

– Teraz to już nieważne, mój cesarzu.

Nagle Yannurisowi przypomniało się coś strasznego: przecież jeden z gordyjskich kronikarzy wspominał o smoku. Tyle że cesarz, wtedy jeszcze więzień na *Ueni Ambie*, potraktował to jako poetycką metaforę mającą wzbogacić tekst…

***

Yannuris nigdy nie podejrzewał, że będzie się musiał posługiwać rodami tworzącymi Radę Baronów. Wiedział, że to go uzależni.

Jednak nie mógł liczyć na nikogo innego niż na rodzina Demarole. Nawet Naster, który zbierał informacje od wszystkich szpiegów cesarstwa, pozornie podlegający samemu cesarzowi, udzielał Yannurisowi tak wymijających odpowiedzi, jakby ktoś mu zapłacił, żeby miałkość treści utonęła w mnogości słów.

Władca poprosił Songeia, aby sprawdził, czy nie da się smoków kupić albo pożyczyć. Niech zrobi, cokolwiek będzie potrzebne, aby je zdobyć.

– Nie wiem, panie, czy to możliwe – bezradnie rozłożył ręce stary Demarole. – Bogacimy się na handlu, ale nie bronią, wiesz przecież.

– Smoki, poszukaj smoków! – rzekł krótko Yannuris. – Sam widzisz, co się dzieje. – Wskazał staremu okno.

Rozmawiali w małej komnacie na jednym z ostatnich pięter pałacu. Przez okna widać było miasto. I plac. A tam ludzie od kilku dni protestowali przeciwko wojnie. Już pojawiły się głosy, że za starego Idana wszystko było lepsze, nawet powietrze, a nowy cesarz ściągnął na ziemie cesarstwa śmierć i zniszczenie.

Yannuris nie musiał tłumaczyć Songeiowi, że w wymyślaniu i puszczaniu w tłum takich plotek zapewne spory udział mają ludzie Margala.

***

Chyże są ptaki pocztowe. A szczęście dopisało, więc po dziewięciu dniach ambasador Almeidy przyszedł z odpowiedzią. Yannuris nie okazał niecierpliwości, choć miał wrażenie, że czas wlecze się jak leniwy muł. Tymczasem ze spojrzenia Veigana Du nie można było nic wyczytać.

Minęło kilka chwil, nim zaczął:

– Pan mój, Sanhel, pojmuje, że królestwo Almeidy mogłoby przyjść cesarstwu archandzkiemu z pomocą, wysłać swe oddziały na tyły Sunnei, co zmusiłoby ich do odwrotu. Rozważył taką możliwość…

Tu urwał. W piersi Yannurisa trzy razy uderzyło serce, nim ambasador dokończył:

– Almeida nie rozproszy jednak swych skąpych sił, poczeka na inwazję Hi'en, która niechybnie nastąpi.

Cesarz zamknął oczy, żeby Veigan Du nie mógł dojrzeć głębi jego rozpaczy.

***

Tymczasem wojna wciąż trwała. Twierdze wewnętrznego pierścienia pod dowództwem Skastina zatrzymały impet Sunnei.

– Zjednoczyli się pod jednym władcą – zauważył Tasbe. – Wystarczy go zabić, reszta się rozproszy.

– A smoki? – spytał Yannuris.

Wtedy zabrał głos Lisbet, duchownik. Zwykle milczał, modląc się po cichu. Teraz twardo spoglądał na cesarza. Odrzucony kaptur wyglądał na jego plecach jak garb.

– Trzeba poprosić przodków o pomoc. Oni sobie poradzą z bestiami.

Yannuris westchnął.

– Wojsk też by się przydało mieć więcej…

Lisbet wstał z impetem.

– My korzystamy z pomocy przodków, oni mogą mieć smoki, panie. Ważne, kto zwycięży, nie, w jaki sposób. A teraz wybacz, pójdę się skupić na modlitwie – oznajmił chłodnym tonem i ostentacyjnie opuścił salę odprowadzany zdumionymi spojrzeniami co najmniej kilku baronów.

Oraz krzywym uśmiechem Margala.

***

Yannuris odłożył pióro na pulpit i przeciągnął się z westchnieniem. Stare kości bolały, ale cesarz nie mógł sobie teraz pozwolić na przynoszący ulgę i zapomnienie sen. Gdy przymknął oczy i nie widząc liter, słyszał tylko, jak zebrane na stole raporty szeleszczą lekko poruszane podmuchami wiatru zza oka, przez chwilę miał wrażenie, że znów siedzi w swojej bibliotece na Więziennej Górze, że zaraz wejdzie Drahi i zapyta, czy przygotować kąpiel…

Ależ to było dawno! Niczym w jakiejś zamierzchłej epoce opisywanej przez kronikarzy jako szczęśliwy wiek, w przeciwieństwie do grzęznących w zepsuciu i szaleństwie naszych czasów.

Raporty, które piętrzyły się przed Yannurisem, tylko z pozoru przypominały księgi czytywane przez niego na *Ueni Ambie*. Choć tamte dzieła różnych pisarzy podawały nieraz sprzeczne informacje o tych samych rzeczach, zwykle czyniły to z

namysłem, rozwagą, dopuszczając wątpliwości. Mogło się wydawać, że gdyby dziejopisom dane było porozmawiać osobiście, to – przedyskutowawszy wszystkie sporne problemy – doszliby do zgody, stworzyli wspólnie trzecią księgę.

Tymczasem raporty z pól bitew, w ostatnich dniach jedyna lektura cesarza, nie tylko że sobie przeczyły, ale wręcz czyniły to w sposób nie pozostawiający miejsca na żaden kompromis! Bo jak pogodzić fakt, że według generała Skastina, obserwującego starcie ze wzgórza, pod Imestą stanęło przeciw armiom cesarstwa dziesięć tysięcy Sunnei, zaś dowódca konnicy, Hargottin, choć również doświadczony żołnierz, którego trudno byłoby posądzać o tchórzostwo, oszacował liczbę wrogów na co najmniej dwadzieścia tysięcy?

Podobnie owe straszliwe smoki wrogów według różnych opisów miewały od dziesięciu do pięćdziesięciu łokci, a barwę ich w różnych doniesienia określano na tyle sposobów, że takiej gamy kolorów nie miał na swojej palecie chyba żaden malarz ani nawet motyle Oenny na swych skrzydłach. A raport napisany przez jednego z dowódców piechoty, Benajdina, podawał, że żadnych smoków nie ma, są tylko dziwne rury z ogniem i trującym dymem.

Wieści przeczyły sobie do tego stopnia, że podawały różne nazwy twierdz, tak jakby Archand posiadał u swych granic warownie wędrowne. Nawet tak z pozoru oczywiste kwestie, jak kto wyróżnił się w walce, a kto okrył hańbą, nie miały wcale prostoty ani oczywistości właściwej znanym Yannurisowi opisom z dawnych kronik.

Minęło wiele godzin, nim władca zrozumiał, że jedynym kluczem, który podsuwał wyjaśnienie tych rozbieżności, było, czy autor raportu i opisywany w nim dowódca należeli do jednego lub zaprzyjaźnionego rodu, czy też do zwaśnionego z jego rodziną. To pozwalało zrozumieć nieco ludzi, ale nie chaos wojny.

Yannuris miał przed sobą wieści ze świata, który nie poddawał się opisaniu – jak ruch baniek powietrza w tyglu z wrzącą cieczą.

***

Wreszcie dowiedział się tego, co najgorsze. Powiedziała mu o tym Oenna, zapewne więc wiadomość pochodziła od szpiegów, jakich ten ród miał w wielu miejscach.

By to sprawdzić, Yannuris musiał zapytać Drahiego – jedynego pośród dworzan, któremu ufał. Musiał jednak poczekać aż do popołudnia, gdy przyszła pora przewidziana na odpoczynek archandzkiego władcy i mógł pomówić ze starym sługą sam na sam bez wzbudzania podejrzeń.

Zabrał go na spacer do ogrodu. I tam, gdy strażnicy nieopuszczający nigdy cesarza stanęli w bezpiecznej odległości, zadał Drahiemu pytanie, które dręczyło Yannurisa już pół nocy i niemal cały dzień:

– Czy to prawda… Czy to prawda, że Veigan Du spotyka się z Margalem i resztą?

Zaufany sługa nie odpowiedział do razu. Obserwował lot jaskółek, zbierając myśli.

– Nie dziw się, panie – odparł wreszcie ze smutkiem. – Wojna wkroczyła na nasze ziemie i wielu szuka sposobu, aby ocalić głowy… Wiesz, że nie darzę Margala sympatią. Ale tobie nie udało się namówić Sanhela do udzielenia pomocy… Może oni zdołają? Podobno Almeidzi są gotowi użyć smoków… choć nie wiem, za jaką cenę…

Cesarz nie wiedział, co powiedzieć. Bezradne spojrzenie wbił w murawę.

– To oni mają smoki? – wykrztusił wreszcie.

Jego powiernik smutno skinął głową.

– Wychodzi na to, że wszyscy mają, tylko nie my, panie.

***

Narada, która odbyła się w pałacu następnego dnia, była w zasadzie formalnością. Spoglądając w oczy Margala, Yannuris ujrzał to właśnie, czego się spodziewał: wyrok śmierci. Baron triumfował.

– Być może zdołamy jednak uzyskać pomoc sąsiadów – mówił rozgorączkowany. – Nie karawany naukowe się liczą, tylko siła, prawdziwa siła w ręku, w broni… – zacisnął pięść zdecydowanym ruchem, jakby zgniatał jajko. Popatrzył na cesarza i dodał:

– Dlaczego nie mamy własnych smoków?

W istocie to nie Yannuris powinien na to pytanie odpowiadać. Ale przecież nie chodziło tu o prawdę.

– Przestań! – rzekł gniewnie stary Songei, chociaż w jego głosie kryła się bezradność. Przed naradą zdążył zamienić z władcą kilka słów. W przygnębiająco szczery sposób przyznał, że nikt, ale to nikt nie wie, jak zdobyć smoka. Nawet kupcy pozostający na cichym żołdzie rodu pojęcia nie mają o istnieniu takich stworzeń, a cóż dopiero o używaniu ich do prowadzenia wojny. Archand nie będzie więc mieć smoków. A gdyby kiedyś, nie będą to raczej smoki Yannurisa.

Margal wzruszył ramionami, przenosząc pełne wzgardy spojrzenie na Songeia.

– Wiadomo, że Demarole będą stać po stronie władzy, choćby i nieudolnej… Przynajmniej póki ich ród trwa.

Było to wyzwanie rzucone tak jawnie, że cesarz nie miał wątpliwości, jakie czyny za nim pójdą.

Siedmiu pozostałych doradców milczało, a pośród nich Lisbet. Spoglądali wyczekująco na władcę.

Ten wiedział, że może wstać, trzasnąć pięścią w stół i wezwać straże, aby wyprowadziły Margala. Miał jednak przeciwko sobie wszystkich, całą Radę poza jednym Songeiem. Mogło się więc okazać, że pod straż pójdzie on sam.

– Karawany kiedyś powrócą – powiedział, czując, że wypowiada słowa, które brzmią niczym testament. – Zaś Archand się obroni, jak zawsze.

***

Przed odebraniem sobie życia, Yannuris postanowił pożegnać się z kilkoma osobami. Zaczął od Drahiego.

Ten wysłuchał go w skupieniu.

– A twoja księga, panie? – przypomniał. – Co zamierzasz z nią począć?

Cesarz uśmiechnął się smutno.

– Położymy ją na jakiejś półce, gdzie rzadko kto sięga, mój wierny sługo. Może obrośnie kurzem, a może nie… Może któregoś dnia ktoś ją otworzy i dowie się o moim istnieniu?

Popatrzył na swego powiernika.

– Od zawsze wiedziałem, że nie tylko mnie wspierasz, ale i pilnujesz. Więc teraz ci dziękuję, a jednocześnie wyjaśniam, co i dlaczego zrobię. Ktokolwiek zostanie nowym cesarzem, powinien to wiedzieć.

Drahi zawahał się lekko.

– Panie, ja nie służę Margalowi ani nikomu innemu, ja służę jedynie Archandowi… I jeżeli zechcesz, łagodniej odbiorę ci życie niż ty sam sobie… – powiedział, a na jego twarz wypłynęły rumieńce. – Wiem, nie powinienem…

Yannuris uniósł dłoń, powstrzymując dalsze słowa starego sługi.

– Powinieneś. Ale najpierw poszukaj gońca i wyjaśnij mu, że ma pojechać na Więzienną Górę i położyć księgę w bibliotece.

Sam w tym czasie poszedł po raz ostatni popatrzeć na swoją Oenne. Nie była niczemu winna, a traktowała starego męża lepiej, niż się mógł spodziewać i niż miał prawo oczekiwać po takim mariażu.

Spała przykryta cienkim pledem. Nie chciał jej budzić. Lecz gdy pochylił się, aby ją pocałować na pożegnanie, zamruczała sennie i otworzyła oczy.

– Tak? – spytała miękko.

– Idę… idę do ogrodu. Chciałem ci tylko powiedzieć, że cię kocham – rzekł z wysiłkiem.

Uśmiechnęła się, pewno biorąc jego słowa za starcze gadanie. Znów ogarnęła ją senność, z westchnieniem zamknęła powieki.

Władca wrócił do komnaty Drahiego. Czekając, obracał w palcach jeden z miniaturowych obrazów swej żony, przedstawiający małego pustynnego kota przyczajonego przy norze.

Sługa przybiegł lekko zadyszany, przerywając Yannurisowi rozmyślania.

– Goniec pojechał zawieźć księgę na Więzienną Górę, jak chciałeś – rzekł. – A ja… – zawahał się – ja jestem gotów, panie… Zrobię to szybko, nic nie poczujesz.

Cesarz skinął głową.

– A potem pójdę za tobą, mój władco… – dodał cicho Drahi.

Jego pan uśmiechnął się z niedowierzaniem. Długo patrzył na wiernego sługę, nim rzekł głosem, w którym obok smutku chyba można było usłyszeć nutę nadziei:

– Zatem ruszajmy.

Tomasz Mróz

M2 czyli KONIEC LENISTWA

M. od kilku dobrych minut badawczo spozierał na swoje odbicie w lustrze.

– Hm, hm – mruknął – te zmarszczki, te włosy, ta gęba.

Naciągnął lekko pomarszczoną skórę pod oczami.

– Starzejemy się, tyjemy – westchnął – zużywamy. Amortyzujemy – dorzucił fachowo.

Oględziny obniżyły poziom, M. zaczął się macać po brzuchu, obrócił się bokiem. Stercząca nad gumą od majtek opona majestatycznie dominowała nad innymi częściami ciała, niekorzystnie odcinając się od wątłej klatki piersiowej. M. zdobył się na wysiłek wciągnięcia brzucha, opona nieco drgnęła, ale okupiony tym wysiłkiem efekt był co najmniej mizerny.

– Heloł, bejbe, kurna! – Starał się dodać sobie animuszu w tak trudnej chwili. Przybił piątkę ze swoim odbiciem w lustrze.

– Heloł, hanej! – żeński głos zza drzwi odpowiedział wśród tłumionego chichotu – Mierzysz przyrost w słojach? Powinno być jeden na rok.

Szparka, przez którą go podglądano, powiększyła się do rozmiarów otworu drzwiowego, w którym ukazała się chichocząca małżonka.

– Hm, hm… – M. tuszował zmieszanie jakimiś pozornie potrzebnymi czynnościami typu pryskanie dezodorantem lub układanie przedziałka fryzury.

Lecz po chwili przytulił się do żony i ze skargą w głosie powiedział:

– Jestem taki stary, gruby i brzydki. Kochasz mnie jeszcze?

We wzroku czaiło się oczekiwanie łamane przez rozkaz.

– Pewnie, że cię kocham – rozkaz został wykonany – zawsze lubiłam brzydkich i grubych.

No, nie! Taka konkluzja była niedopuszczalna.

– Wiesz co! Że niby ja taki jestem?!

– Sam przecież powiedziałeś, a ja tylko potwierdziłam, że cię kocham.

– Żebym ja ci nie powiedział, za co cię kocham!

– Stop! Na tym etapie wystarczy mi, że mnie kochasz!

– A niech to, ale mnie wykiwałaś. Dobra, dodam jeszcze, że jestem egoista i… zboczeniec!

– Przynajmniej nie ma nudno.

Małżonka opuściła łazienkę z niepocieszonym M., któremu właśnie przyszło do głowy co najmniej czterdzieści celnych ripost na gadaninę żony.

Fakt pozostawał faktem, że M., jak zresztą każdemu, łącznie z dębem Bartkiem, latek przybywało, a wraz z nimi myśli o przemijaniu, sensie życia i innych takich rzeczach, które atakują mózg, gdy ktoś się nudzi.

Dąb Bartek według opinii większości nie miał nigdy takich myśli, ale nie było dokładnie wiadomo, czy dlatego że nie posiadał mózgu, czy ponieważ się nigdy nie nudził ze sobą.

Równie filozoficzny nastrój opadł M. pod koniec kolejnej dniówki w biurze znanej międzynarodowej firmy mleczarskiej, gdzie M. pracował jako przedstawiciel handlowy. W kantorku obok dzielnie stukał w klawiaturę doradca techniczny Zenon.

– Ty, Zenon!

– No!

– Po co my żyjemy?

Zenon uniósł szkła okularów znad ekranu, spojrzał okrągłymi ze zdumienia oczami. M. przypomniał sobie, że kolega Zenon jest maniakiem aparatury

mleczarsko-dojarskiej, dlatego starając się uniemożliwić utożsamienie sensu życia z prawidłowym doborem wyposażenia dojni, postanowił trochę skonkretyzować.

– No, po co się rodzimy, uczymy?

Cholera, dalej można to podciągnąć pod dobór aparatury.

– No, po co się żenimy, dlaczego tak, a nie inaczej? Przecież mógłbym być mnichem.

– Nie wiem – odparł z prostotą Zenon – tak wyszło i już.

– Ale dlaczego, na przykład, twoja żona jest z tobą? Przecież to chyba nie zostało gdzieś tam zapisane.

– No nie, to akurat mnie nie dziwi, dlaczego jest ze mną.

Zenon poprawił włosy i uśmiechnął się do odbicia w ekranie.

– Ma się ten styl i wdzięk!

M. poszedł do siebie, tłumiąc chichot. Styl Zenona, jego wąsik i fryzura, korzeniami tkwiły w czasach zespołu Boney M. M. zawsze zastanawiało, komu może się takie coś podobać, a tu proszę – jakie samozadowolenie.

Usiadł za ekranem komputera. Przyszła nowa wiadomość: impreza u Perzyka w nowym mieszkaniu. Perzyk był starym kumplem M. ze szkoły, na pewno zejdą się też inni.

– **S**uper, pojedziemy razem – podnieciła się żona.

– Daj spokój, przecież sama mówiłaś, że Perzyk jest drętwy, a skoro tak, to sprosi też innych drętwych.

– To po co tam jedziesz, jak tacy wszyscy drętwi?!

– Będzie nuda, ale tak mnie prosił, że uległem. Chętnie bym tu został, ale jak już obiecałem, to skoczę na chwilkę. Pogadam z drętwusami, pokażę, że żyję i wracam.

– Jaka chwilka?! Przecież to trzysta kilometrów stąd, chyba nie chcesz wracać po pijanemu, bo w abstynencję nie wierzę. O, odwiozę nas do domu z powrotem.

– No, a wuj Dionizy? Wiesz, jak lubi te twoje odwiedziny w soboty, właściwie to jego jedyna radość.

– Nasze odwiedziny, kochanie, nasze.

– Eee tam, ja jestem na przyczepkę! Raz możesz iść sama.

Szanowna małżonka skapitulowała, chcąc jednak coś skorzystać zakomenderowała:

– Ale przed wyjazdem umyjesz jeszcze kafelki!

M. otworzył usta, ale wzrok rozmówczyni podziałał jak knebel. No tak, wszystko ma swoją cenę.

U Perzyka światło biło ze wszystkich okien. M. podrajcowany myślą o czekających go procentach w miłym gronie, biegł do góry po dwa stopnie. Drzwi otworzył Perzyk we własnej osobie; wysoki i chudy łączył w sobie zdawałoby się wykluczające nawzajem cechy: towarzyskość i małomówność. Tajemnica jego powodzenia tkwiła w celności uwag podawanych zazwyczaj w formie krótkiej sentencji.

– Cześć, niech szybko wchodzi, bo gorzała się chłodzi – zaczął swoje Perzyk

– Cześć!

W pokoju był już wesołek Boluś, Jagna z Lubym i jeszcze kilka innych osób. M. dostał solidnego karniaka. Pusty żołądek z oporem przyjął karną dawkę, po chwili jednak świecące oczy i palące policzki odzwierciedlały zmiany w jego stosunku do świata. Towarzystwo spotykało się dosyć często, dlatego M. jako przyjezdny budził zaciekawieni, a jednocześnie brakowało tematów do konwersacji.

– Jak życie?

– Spoko.

– Praca jest?

– Co ma nie być.

– A małżonka?

– W domu, ma robotę.

– Przy sobocie i w robocie! – rymnął Perzyk – No! Dzisiaj pijem, jutro gnijem!

To było hasło do następnej kolejki. Wesoły Boluś właśnie wszystkim chwalił się, jak mu ostatnio brzuch urósł, i każdy chętny mógł sobie wbić palec w istotnie ładnie rozrośnięty bandzioch. M. pokrzepiony otłuszczeniem swoich kolegów z ochotą wchłaniał oczekiwaną radość życia. I ta rzeczywiście wypełniała jego i innych, rozjaśnione nią oblicza ochoczo wyrzucały dziesiątki decybeli, chcąc przekonać do swoich wizji równie głośno wrzeszczących sąsiadów, z powrotem asymilowały wódę i dym z papierosów.

– Ej! No, mówię ci, ej! Te palanty nic w tej Brukseli nie zrobią! Ej, słyszysz!

– Dzisiaj pijem, jutro gnijem!

Towarzystwo jak za pociągnięciem sznurka odchyliło głowy do tyłu, po czym każdy nerwowo rzucał się do szklanek z oranżadą.

Boluś opowiadał właśnie kolejną historyjkę – jako ilustrację ściągnął skarpetę i naciągnął ją sobie na głowę. Towarzystwo umierało ze śmiechu.

– No to Jan Sebastian Bach!

Głowy jak na komendę odchyliły się do tyłu. Oranżada szła litrami. M. popadł w fazę obojętności. Rechoczący Boluś w skarpecie na głowie, rymujący Perzyk i inni zaczęli stanowić tylko tło dla jego stanu, nazwijmy go, odmiennym. Wzrok, wbity w bliżej niesprecyzowany punkt na ścianie, sprawiał wrażenie tak mętne i nieruchome, jakby nie należał do istoty myślącej, a nawet żywej.

– **N**o to bach!

– Baaach – mruknął M., nie wiedząc, o co chodzi.

Oczy kleiły mu się same, lekko drżąca zasłona powietrza oddzielała go od reszty świata. Falujące, rozpływające się, ciągle ruchome istoty krążyły po elipsach wokół tego świata, ale M. znajdował się poza nimi. Był sam. Rozglądnął się i stwierdził

zdziwiony, że siedzi za, a raczej przed biurkiem. W oddali przy stoliku siedzieli wesoły Boluś, Perzyk i reszta towarzystwa, machali do niego radośnie, zachęcali do przyjścia. M. uśmiechnął się kwaśno, odmachnął im od niechcenia.

– Co to za machanie?! Zabawa będzie później! O ile w ogóle jakaś będzie!

Przed M. za biurkiem zasiadł urzędnik, blady człowiek z bródką, w czarnym garniturze. Z trzaskiem rzucił kupę segregatorów na blat.

– Ale ja… – zaczął M.

– Zaraz, jeszcze nie pytam! – zgasił go tamten.

M. zamilkł przerażony.

– Jeszcze nie pyta, a już najważniejszy! – Boluś gorączkował się przy oddalonym stoliku. – Kto to, kurde, jest?!

Całą tę gadaninę ucięło jedno spojrzenie urzędnika. Boluś skutecznie zamilkł.

– No, pijem, bo zgnijem! – Perzyk na nowo rozgrzewał atmosferę.

Wszyscy się napili, rozmowy zaczęły się rozkręcać.

– No, na razie nietęgo! – mruknął Blady znad papierów – Nic jeszcze nie znalazłem.

– Ale co? – odważył się pisnąć M.

– Jak to co?! – wkurzył się Blady – Jak ci idzie, i takie tam.

– Może by tak konkretniej! – huknął z oddali Boluś.

Blady skrzywił się jak na dźwięk natrętnej muchy, ale zrezygnował z jakiejkolwiek reakcji, wertował dalej. M. przyglądał się Blademu, było w nim coś z kaprala, a jednocześnie księdza. Innymi słowy miał władzę nad zwykłym, przeciętnym umysłem. Miał władzę nad M., który nerwowo czekał na dalsze opinie, choć zupełnie nie wiedział, o co chodzi. Blady mógł się przyczepić do wszystkiego.

– M. jest kozak, M. nie pęka! – komentował Boluś w tej swojej nieszczęsnej skarpecie na głowie. – Nie pękaj, koleś, stoimy murem za tobą! – krzyknął.

Dla ilustracji huknął łapą w stół tak, że aż piwo się rozlało. Żółte strużki pociekły po blacie, wszyscy odskoczyli nerwowo, chroniąc kolana. Boluś w przypływie odpowiedzialności zaczął zlizywać marnujące się dobro, skarpeta opadającym końcem zanurzyła się w piwie. Towarzystwo głośno dopingowało Bolusia do pełnego poświęcenia.

Perzyk skrzywił się na ten widok i skonstatował:

– Dzisiaj zlizujem, jutro…. – zastanawiał się chwilę – jutro womitujem.

Boluś ryknął śmiechem, rozluźnione nagle ręce puściły blat i rycząca ze śmiechu twarz pacnęła w kałużę piwa, mając jako przeciwwagę wypięty, trzęsący się zad. Widok był odrażający. Blady skrzywił się lekko, zerknąwszy w tamtą stronę, lecz szybko wrócił do swojej pracy.

– Tak jak mówiłem, nietęgo, nietęgo! Ja tutaj dziś spiszę raport i pouczenie, ale następnym razem to mają być jakieś konkrety.

– Ale…

– Nie ma żadnego ale, trzeba się starać, świat sterany na lepsze odmieniać. A nie tak, z kwiatka na kwiatek! Bo na kaktusa traficie. Nie ma czasu, trzeba coś robić, więc bez gadania. Twórzcie coś, róbcie! Ja wiem, pensyjka, piwko, wakacje, każdy tak lubi. A na starość, co wam zostanie, tylko alkoholizm i choroby? Chyba tak nie chcecie?

– No nie… – niepewnie potwierdził M.

– Tak myślałem. – Blady już składał papiery – Miałem nadzieję, że was w końcu polubię, ale chyba jeszcze nie dzisiaj. Może kiedyś…

Wyszedł, mrucząc:

– Za dobry jestem, kurna, za dobry!

Zniknął. Nie wiadomo jak i którędy, w każdym razie już go nie było.

– Hej! Moment, zaraz! – krzyknął za nim M. – Ale co jest źle?

Odpowiedziało mu milczenie, nawet Boluś, w tej swojej skarpecie, nic nie powiedział, tylko patrzył ze wszystkimi na M.

– Jak coś zmienić, coś zrobić? – pytał bezradny M. – No, jak?

– **P**o pierwsze, ciszej mówić. – Perzyk stał na tle okna, za którym szarzał poranek. – Po drugie, tu się nic nie da zrobić, łeb będzie napieprzać do wieczora.

I odszedł skonany, patrząc z obrzydzeniem na opróżnione flaszki. M. rozglądnął się wokół; Boluś chrapał miarowo rozwalony w fotelu, czyjaś noga wystawała zza otomany, na której spoczywał M.

– Co jest?! Gdzie Blady?! – Skoczył na równe nogi – Co tu się działo?!

– Blady to tu jest każdy, nie mówiąc o innych kolorach, wersji wydarzeń jest pewnie kilka. Ja mogę przedstawić swoją. Otóż piliśmy wódę i od pewnego momentu nic nie pamiętamy. Tę piękną niepamięć zmąciły dopiero twoje wrzaski z żądaniem rady, co robić.

– Aha. – M. dochodził do siebie – To był tylko… Cholera, ale się nadźgałem!

– Co prawda, to prawda. – Perzyk był szczery.

Za chwilę zaczął strasznie trzaskać garnkami w kuchni, po czym wyciągnął odkurzacz i stwierdził, że mogą mu teraz pomagać, jeżeli wczoraj nie wahali się brudzić.

Widząc, jak sytuacja się kształtuje, M. czym prędzej ubrał się i wyszedł. Wpadł w niedzielny, szary poranek. Nie trzeba było żadnych skomplikowanych pomiarów, aby stwierdzić, że M. znajduje się jeszcze w fazie upojenia alkoholowego i o prowadzeniu samochodu nie może być mowy.

– Kawa albo herbata! – prawie jasno wytyczył cel swojego najbliższego kawałka życia.

Szedł tak tymi szarymi ulicami, ciągle mając przed oczami Bladego i jego żądanie: „Coś zmienić!”.

– Ale jak i co? Przecież nie robię nikomu żadnej krzywdy!

Ludzie wokół gdzieś szli, podbiegali do tramwajów, stali przed bankomatami, kupowali gazety – ogólnie panował ruch. M., ilekroć znajdował się przed dwunastą w sobotę lub niedzielę poza łóżkiem, miał poczucie wielkiej krzywdy i niesprawiedliwości. Podejrzewał, że ci wszyscy inni na ulicach to płatni pracownicy Urzędu Miejskiego, których zadaniem jest pokazać, że miasto żyje, a wśród nich on – jeden jedyny frajer, który męczy się za darmo.

M. wstąpił do baru, gdzie można było dostać upragnioną herbatę oraz do woli nawąchać się aromatu hot-dogów i hamburgerów. M. przezwyciężył mdłości i zdecydował się usiąść.

Patrzył w parującą taflę herbaty, a w głowie huczała mu mieszanina wspomnień, lub raczej braku wspomnień z wczorajszej balangi, oraz pytań Bladego.

– Panie dobry, daj na jedzenie – przy stoliku stała dziewczynka – głodna jestem.

M. zawsze kręcił odmownie głową, ale tym razem był w nieco odmiennym nastroju. Wyciągnął portfel, tak aby wszyscy widzieli, podźwięczał chwilę monetami.

– No, masz i zmykaj! – rzucił tubalnie.

Chciał wyciągnąć dwudziestogroszówkę, ale jakimś cudem rzucił tej małej pięć złotych. Odeszła uradowana.

M. przez moment zastygł z wściekłości, już chciał ją gonić, ale się opamiętał. Rozejrzał się wkoło, nikt na tę scenę nie zwrócił najmniejszej uwagi – pięć złotych stracone.

Wszystkie problemy i pytania nagle znikły, pozostało tylko bezsilne poczucie straty.

M. po chwili się uspokoił.

– O co chodzi? Przecież wszystko było dobrowolne, dałem, bo chciałem!

Nie chciał się przed sobą przyznać, że zaplanowany scenariusz przewidywał, iż on rzuca monetę, a cała sala patrzy na niego z podziwem, dziewczynka zaś jest datkiem zachwycona.

W tym momencie facet siedzący do niego tyłem obrócił się. Blady! Wbił w M. swój kpiący wzrok i powiedział:

– I wtedy wszyscy biją ci brawo. Co?

M. oniemiał, facet się obrócił, M. podskoczył do niego. Gdzie broda, gdzie ten kpiący wzrok? Przy stoliku siedział jakiś nieznajomy. M. poszedł do toalety; zimna woda i zmiana miejsca trochę go otrzeźwiły. Wrócił na miejsce, łyknął herbaty i nagle go olśniło.

Przecież pieniądze powinno się dawać, bo ktoś ich potrzebuje, przecież imieniny powinno się obchodzić, bo ktoś je ma, przecież powinien tu przyjechać z żoną, bo chciała spędzić z nim dzień, powinien do niej zadzwonić, żeby nie było jej smutno, przecież ten dzień i wczorajszy, i może jeszcze jakieś inne, są stracone, bo on się chciał zabawić, a o innych to nawet…

– Ależ świnia!

Facet z ociekającym hamburgerem, wystającym z ust, odwrócił się gniewnie w stronę M. Dwie strużki sosu ciekły mu po brodzie.

– Ze mnie, ze mnie! – dorzucił uspokajająco M. I wyszedł.

Stanął na ulicy, będąc w stanie lekkiego szoku. Resztki alkoholu w połączeniu z odkryciem własnych niskich pobudek dały efekt w postaci gonitwy myśli i absolutnego braku perspektyw.

– Tyle lat byłem świnia, tyle czasu tylko ja i ja! – M. trochę już przesadzał z tą samokrytyką.

Usiadł na ławce, chciał się uspokoić. Na asfalcie przed ławką kręciły się gołębie, dziobiąc okruszki. Jakiś dziadek z naprzeciwległej ławki kruszył im coraz

więcej chleba, istne tony pieczywa, gołębie zlatywały się coraz większymi chmarami. Coraz więcej chleba i gołębi gromadziło się pod nogami M.

– Cholera, chce mnie zagołębić, czy jak? – Patrzył z obrzydzeniem na ptaki.

Już chciał wstać i przepłoszyć je wszystkie, ale nagle przyszło mu na myśl, że dziadek pewnie to lubi, może to jego jedyna rozrywka, a gołębie są po prostu głodne. Uśmiechnął się kwaśno do kruszącego i mruknął:

– Fajne gołąbki, nie!

Tamten nie zareagował.

M. poszedł dalej, kombinując, co i jak zmieni w swoim życiu. Co powie, co da żonie, jak się będzie zachowywać. Już nigdy, nigdy nie będzie samolubny!

– Od dzisiaj wszystko się zmieni! – obiecał sobie z mocą.

– A i owszem, panie młody, i owszem – babuleńka na przystanku potwierdziła – nawet pan nie wiesz, jak bardzo. Będzie się działo!

– A skąd ty babciu taka mądra? – wdał się w rozmowę M.

– E tam, stara jestem to i oczy, i rozum mam.

Zaczęła iść z pozoru wolno, ale gdy M. chciał ją dogonić, staruszeczka nabrała niesamowitego tempa. M. co rusz na kogoś wpadał, jeden facet nawet zaczął wrzeszczeć, że mu loda z ręki wytrącił. Babcia powolutku kuśtykała dalej, a M., cały zdyszany, potrącając przechodniów, zostawał coraz bardziej z tyłu.

– Proszę poczekać! – krzyknął.

Babcia skręciła za róg, kiedy M. dopadł naroża, znikła.

– Dziwne… – mruknął. – Cholera! – wrzasnął zaraz.

Ruszył z kopyta, tym razem oglądając się za siebie. Facet z pustym wafelkiem po lodzie nie mógł przeboleć swojej straty i biegł za M., szukając pomsty i satysfakcji.

Zgrzyt klucza w zamku, znajomy zapach przedpokoju. M. wszedł do domu, bukiet róż sterczał mu z dłoni jak miecz króla Artura.

– Kochanie! – krzyknął w dal mieszkania. – Przybył twój mąż najlepszy! Bo jedyny – dorzucił ciszej.

Cisza.

M. zaczął sprawdzać pomieszczenia. Jest, stoi w kuchni przy oknie.

– Cześć.

– A, cześć! Nie słyszałam, jak wchodzisz.

M. był pewny, że pół miasta słyszało.

– O, kwiaty. Tak lubię kwiaty.

M. wręczył małżonce bukiet; rozbierał się, łypiąc na nią podejrzliwie.

– Stało się coś?

– Idź do ubikacji.

– Zaraz. – mruknął, ale po chwili wrzasnął" – O Boże, znowu spłuczka! Mówiłem tyle razy, żeby nie pchać na siłę…

Głos mu zamarł w gardle, bo przypomniał sobie, że przecież od dzisiaj jest innym człowiekiem. Poszedł posłusznie.

– Nic nie widzę, tylko jakiś termometr!

– Weź go, to nie termometr!

– A co?

– Test ciążowy.

M. chwycił w panice mały przedmiocik, oglądnął go, ale nic z tego nie rozumiał.

– Jestem w ciąży! – Oczy małżonki rozszerzyły się z przerażenia.

M. przytulił ją bez słów, zresztą równie silne przerażenie ścisnęło jego gardło. Spojrzenia ich wielkich z przestrachu oczu spotkały się.

– I co my teraz zrobimy?

– E, tego – wreszcie coś wydusił z siebie M. – może urodzimy!

I znowu się przytulili, te dwie duże, dorosłe istoty, które ogarnęła panika na myśl o kimś tak małym i delikatnym, że nawet wróbla by nie pokonał.

A on patrzył tak sobie na nich ze swojej kryjówki, zdegustowany do granic możliwości.

– Ale mi się trafili! Łatwo z nimi pójdzie!

Piotr Mrok

NIE ŚPIEWAJ W TOALECIE

Przed opisywaną historią, w kinie ostatni raz byłem z dziesięć lat temu. Oficjalna wersja brzmi, że jestem zbyt zapracowany; żona także. Nie mówiąc już o tym, że znalezienie filmu, który spodobałby się nam obojgu, jest równie prawdopodobne, jak zdobycie przez Polskę mistrzostwo świata w piłce nożnej. No dobra, może nieco przesadzam, trafiają się takie filmy, ale ostatni z nich nakręcono w czasach, gdy Wałęsa skakał przez płot. Na przykład: „Poszukiwacze zaginionej arki". A na romansidła nie zamierzam chodzić do kina, wybaczcie.

Przesądzający sprawę problem stanowi junior, który by się pobeczał na całego, gdybyśmy w weekend wyszli gdzieś razem, bez niego. A więc wspólne kino odpada, przynajmniej do czasu aż latorośl się usamodzielni na tyle, że nieobecność wapniaków zacznie mu być na rękę.

Rozumiecie teraz z jak wielką radością, w ostatnią niedzielę ubiegłego miesiąca kupowałem bilet na „Kowboje i obcy". Obyło się bez wyrzutów (także sumienia), że jestem niedobry, nieczuły i że mam pewnie romans. Żona została w domu, czekając na nalot bombowy, znaczy na siostrzyczkę, której po ostatnich breweriach, histeriach i za całokształt wrażeń artystycznych, dla jej własnego dobra, postanowiłem nie oglądać.

Ach, cóż to był za seans. Wyobraźcie to sobie. Wygodny lotniczy fotel, wielki kubeł popcornu, litr Coca-Coli, ogromny ekran rozpostarty tuż przed moimi oczami oraz dźwięk huczący w głowie jak wodospad Niagara. Żałowałem tylko, że Harrison Ford grał rolę drugoplanową. Niestety Hollywood bez sentymentów znajduje sobie nowych bohaterów, ledwie srebrne włosy zawitają na skroniach tych, którzy jeszcze

wczoraj zarobili dla nich ciężkie miliony dolarów. Daniel Craig zupełnie nie pasuje do mojego ideału rozrabiaki, podobnie jak nie podobał mi się w roli Bonda. No ale nic, lepszy rydz niż nic, ważne, że Ford grał choć przez tych kilka ujęć.

Bawiłem się, muszę przyznać, wyśmienicie, pomimo że w połowie wiadra, co ja mówię wiadra, wielkiej wanny popcornu zaczęło mi być niedobrze. Ale że trzeba być twardym, to oczywiście zjadłem wszystko do ostatniej drobinki soli, powodując, iż jama ustna paliła niczym polana kwasem solnym. Wnet pożałowałem, że nie wziąłem dwóch napojów, bo litr skończył się w połowie popcornu. Sól i słodka woda – wzajemnie napędzająca się para. Ech, a myśli człowiek, że jest sprytniejszy od takich szkolnych zagrywek.

No ale dobra, raz się żyje. Amu i piciu znikło w żołądku, mogłem wreszcie skupić się na filmie. Przynajmniej w teorii. Bo w praktyce, dokładnie chwilę później, o swojej napęczniałej obecności przypomniał jego wysokość pęcherz moczowy. Rany, ależ ten los jest podstępny. Każda sekunda nagle zaczęła wlec się niczym minuta, albo i cały kwadrans. Przez głowę przemknęło mi pytanie, czy ktokolwiek usłyszałby, no wiecie, o czym mówię, miałem przecież dwa puste pojemniki, po popcornie i po Coli. Na szczęście do ekranowego happy endu udało mi się jakoś dotrwać z godnością i nie musiałem wdrażać w życie tego z pewnością upokarzającego, a może nawet grożącego wyrzuceniem z sali, planu.

Ledwie rozbłysły światła, zerwałem się z miejsca i przeskakując przez kolana młodzieńca odgradzającego mnie od przejścia, pognałem w kierunku wskazywanym przez strzałki z napisem „wyjście awaryjne”. O tak, to zdecydowanie była awaryjna sytuacja, grożąca skażeniem biologicznym, o wstydliwej plamie na spodniach nie mówiąc.

Wybiegając na gwarny pasaż, przez chwilę martwiłem się, czy od razu znajdę toaletę; a może powodowany paniką, będę kręcił się, aż ochrona nabierze podejrzeń i ktoś mnie zapyta, czy mam bombę. Jeszcze nie daj Zeusie, znajdując się w stanie

skrajnego załamania, odparłbym: „tak mam i to ogromną” albo „zaraz eksploduję, panowie”. A wtedy o skorzystaniu z toalety mógłbym tylko pomarzyć, przynajmniej do czasu przyjazdu policji, albo i adwokata. Strach pomyśleć, ile wynoszą koszta ewakuacji takiego wielkiego budynku oraz ściągania antyterrorystów.

Chwała wszystkim świętym, a w szczególności patronowi budowniczych tego gmachu, pomyślałem, spostrzegając zielona tabliczkę z rysunkiem chłopca i dziewczynki trzymających się za dłonie. Truchtem, omal nie przewracając wózka z dzieckiem, popędziłem w kierunku drzwi wskazywanych przez emblemat.

Naparłem na klamkę i mocno popchnąłem drzwi. Nim się rozwarły do końca, znajdowałem się już w holu prowadzącym tam, gdzie król chodzi piechotą. A raczej biegnie.

***

Usłyszałem jeszcze, jak za plecami kłapnęły drzwi. A potem tupot setek stóp, kakofoniczna paplanina głosów i muzyka dobiegająca z głośników – wszystko zamilkło, jakby ktoś nacisnął wyłącznik z napisem: Obiekt poszedł do ubikacji i już nie musicie hałasować.

Zatrzymałem się w pół kroku, nie do końca pewien, czy mam iść do przodu, czy też zawrócić. Patrzyłem zdziwionym wzrokiem na długi pusty korytarz, wyłożony seledynowymi kafelkami. Z białego sufitu mrugały świetlówki, jak gdyby zapraszając psychopatycznego mordercę: ścigaj swą ofiarę, chętnie ci poakompaniujemy.

Obejrzałem się przez ramię. Klamka, zamek, politura. Normalne drewniane drzwi. Korciło mnie, by je ponownie otworzyć, upewnić się, czy tam po drugiej stronie świat nadal się kręci. A jeśli ujrzałbym tylko otchłań, wsysającą resztki dekoracji przedstawienia zwanego życiem, którym mnie mamiono od trzydziestu sześciu lat? Jaką mam pewność, że moje wspomnienia są prawdziwie? A może

uczestniczę w klasycznej jednoaktówce, zamykającej się w dwudziestu czterech godzinach? A co potem? Czy naprawdę chcę wiedzieć, co jest po drugiej stronie tych drzwi? Myśli galopowały jak spłoszone stado koni, z każdą chwilą oddalając mnie od drzwi, za którymi tkwiło rozwiązanie wszystkich zagadek.

Nie powiem wam teraz, czy po prostu zabrakło mi odwagi, czy może pęcherz tak mocno naciskał. Ważne, że ruszyłem dalej, wiedziony zielonymi strzałkami, bo przecież wygodnie mieć jakieś drogowskazy życiowe. Uspokajałem się z każdym krokiem, odbijającym się echem od ścian, sufitu i podłogi, zmierzając ku rozwiązaniu choć jednego problemu, tego najbardziej przyziemnego i najmniej niepokojącego. Pomyślałem wtedy, że dobrze jest czasem odczuć prostą potrzebę, tak łatwą do zaspokojenia. Czasem trzeba zapomnieć o tym, co chrobocze na skraju świadomości. By nie oszaleć.

Skręcając po raz kolejny, zgodnie ze wskazaniami tabliczek, uświadomiłem sobie, że w tym iście minotaurycznym labiryncie nie widziałem żadnych drzwi, oczywiście poza wejściowymi. Czy nie mogliby tej toalety po prostu walnąć na samym początku, zamiast serwować klientom wycieczkę w nieznane? Gdybyż jeszcze dali przewodnika. Zaśmiałem się cicho, wyobrażając sobie, jak biedak dwoi się i troi, by opisać walory turystyczne seledynowego holu, a Japończycy pstrykają tysiące fotek, narzekając na kiepskie oświetlenie.

Nagle zatrzymałem się, nasłuchując. Odniosłem wrażenie, że echo powtórzyło mój chichot o jeden raz za dużo, dołączając doń głos całkowicie obcy, przypominający raczej pisk rury albo płacz robota. Oglądałem ostatnio taki film na DVD, tytułu nie pamiętam, gdzie umierający cyborg wydał z siebie nieludzki krzyk rozpaczy, od którego włosy na plecach się jeżyły. To trochę przypominało dźwięk, który słyszałem przez ułamek sekundy w korytarzu, albo mi się zdawało, że słyszałem.

Trwałem w bezruchu, wsłuchując się nabożnie w bzyczenie świetlówek.

– Jest tam ktoś? – zawołałem, zbierając się na odwagę, a może właśnie ze strachu, oczekując, że ktoś wyłoni się zza rogu i powie: „Tak, słucham pana, czego pan szuka, toalety, a tam za rogiem, właśnie z niej wracam”.

Lecz nic takiego się nie wydarzyło. Korytarz milczał, wytrwale, jak gdyby wiedząc, że i tak muszę brnąć w jego paszczę, bez względu na głosy, piski, jęki. Nie mogłem przecież wygrać z potrzebą ciała. Jakie to sprytne, nieprawdaż. Znów zachichotałem, ale tym razem urwałem w połowie, mając nadzieję, że tajemniczy głos da się zaskoczyć. Nie dał się. Tym razem wcale się nie odezwał.

– Ty debilu – powiedziałem już całkiem głośno. – A nawet jeżeli tam ktoś jest, to co? Przecież to miejsce publiczne.

Westchnąłem z ulgą, uświadomiwszy sobie paranoiczność sytuacji. Za dużo pewnie oglądam horrorów, a może to przez ten popcorn, pomyślałem, atakując lewym butem posadzkę, potem uderzyłem w nią prawym i znów lewym. Nazywamy to chodzeniem, pomaga nam ono dotrzeć tam, gdzie chcemy, a czasem uniknąć ludzi, których nie lubimy. W tamtym momencie marzyłem o znalezieniu się w ubikacji. Znalazłem się w kinie, bo nie lubiłem szwagierki. Przyczyna całkiem jasna i zdrowa. Czasem szkoda, że wszystkich skutków nie można dostrzec równie wyraźnie.

Nie wiem, czy wiecie, ale pragnienia mają taką złośliwą naturę, że czasem się spełniają. Pół biedy, jeśli musisz wymyślić następną mrzonkę, w miejsce tej zrealizowanej. A co, jeśli potem nie umiesz marzyć o niczym innym, jak o cofnięciu czasu? Nie da się unieważnić osiągniętego celu.

Za następnym zakrętem odnalazłem toaletę. Samotne drzwi tonące w półcieniu z namalowanym trójkątem i kółkiem. Nigdy nie wiedziałem, który symbol oznacza chłopców, a który dziewczynki. Tu miałem problem z głowy, gdyż WC było najwyraźniej koedukacyjne.

Zabunkrowali wychodek, jakby był skarbcem Fortu Knox. Widokiem strażnika bym się nie zdziwił. Obok stało szkolne krzesełko; może to jego, pomyślałem

rozbawiony, ale zaraz się skorygowałem, że to pewnie stanowisko pracy babci klozetowej.

Uświadomiłem sobie, że nie mam drobnych. Kart pewnie kobiecina nie przyjmuje, rany, a mi się tak chciało sikać. Czym prędzej podskoczyłem do drzwi, by nie daj Zeusie, nie zdążyła wrócić i nie próbowała mnie powstrzymać w ulżeniu boleściom. No bo co mi zrobi, jak już zrobię swoje? Przecież nie zawoła ochrony.

Rozwarłem wrota wytęsknionego przybytku. Skrzywiłem się, gdy z wnętrza ciemnego jak gradowa noc pomieszczenia dostałem w twarz stęchłym fetorem. Coś jakby skrzyżowanie lizolu z przegniłym jajkiem. O mało nie puściłem pawia. Nim jednak na powrót zatrzasnąłem klapę tego zsypu, bo tego inaczej nie można było nazwać – choć wiele zsypów z pewnością obraziłem tym porównaniem – zapach przerzedził się i znów mogłem normalnie oddychać. Zaryzykowałem wejście. Nie miałem szans wytrzymać drogi powrotnej, a nie uśmiechało mi się suszyć spodni. Zresztą nie byłem jakimś tam wymuskanym lalusiem i nie oczekiwałem, by kibel woniał jak konwalie czy róże. Ale przecież mają tu sprzątaczki jakieś?

Zanim wymacałem dłonią pstryczek elektryczek, minęło kilka sekund. Zastanowiło mnie, co za imbecyl umieszcza włącznik światła w środku ubikacji? Ten sam, który buduje toaletę na końcu kilkusetmetrowego korytarza, odpowiedziałem sobie natychmiast. Ech, to Polska przecież, skwitowałem w duchu, pełen najczarniejszych myśli co do warunków higienicznych tego przybytku.

Na szczęście ubikacja okazała się spełniać europejskie standardy. Dwie umywalki z suszarkami do rąk, dwie kabiny, wielkie lustro oraz obiekt moich westchnień – rządek pisuarów. O dziwo, w środku pachniało jaśminem. Nie zastanawiając się, o co chodzi z tym dysonansem pierwszego powąchania, podszedłem do lśniącego chromem pisuaru. Zamek błyskawiczny rozpiąłem o wiele „błyskawiczniej”, niż przewidział to producent. Możecie sobie wyobrazić ulgę, jaką poczułem w tamtym momencie. Aż jęknąłem, celując złocistym strumyczkiem w

siteczko, które w założeniach miało przeszkadzać idiotom w wylewaniu fusów z herbaty czy czegoś gorszego. Czytałem, że jeden z amerykańskich portali aukcyjnych umieścił swoją reklamę właśnie na takich siteczkach. Musieli mieć niezłe jaja, nie obawiając się tego, że klient olewa ich markę. Zrobili oczywiście furorę, odwaga zawsze popłaca, szczególnie w reklamie.

Wyciągnąłem z kieszeni marynarki komórkę i nie przerywając błogiej czynności (wiem to obrzydliwe), zaesemesowałem do żony.

CZY NALOT JUŻ SIĘ SKOŃCZYŁ?

Odpowiedź przyszła natychmiast.

TAK.

– No to tatuś wraca do domu – zamruczałem z zadowoleniem, zamykając etui telefonu.

Potem zanuciłem piosenkę, która chodziła za mną od dłuższego czasu, sam nie wiem czemu. A co mi tam, w końcu osiągnąłem eudajmonię. Nażarty, napity, film obejrzany, pęcherz coraz lżejszy, szwagierka już w piekle, znaczy w domu, ale to przecież na jedno wychodzi. Żyć nie umierać.

Czarnych pończoch siatkę mam w dłoniach swych
nie uciekniesz mi,
nie uciekniesz mi stąd dziś
nie uciekniesz mi stąd nigdy,
nie masz gdzie, agent to wie

Intonowałem coraz głośniej i głośniej. Zdążyłem dośpiewać do pierwszej strofki refrenu: „I żywy stąd nie wyjdzie nikt”, gdy zza pleców usłyszałem:

– Bardzo lubię Perfect.

Z wrażenia wypuściłem z dłoni to, co w niej trzymałem, i spodnie opryskał strumień, który nie powinien był ich opryskać. Prawdopodobnie jęknąłem, a może i krzyknąłem, nie pamiętam.

Błyskawicznie wykonałem w tył zwrot, całkowicie zapominając, a raczej nie dbając o schowanie tego, co powinienem schować. Myślałem tylko o zajęciu możliwie najlepszej pozycji obronnej, z zaciśniętymi pięściami i szeroko rozstawionymi nogami, by się nie dać powalić pierwszym lepszym ciosem.

Damski melodyjny głos należał, o dziwo, do kobiety. Zjawiskowej, należałoby dla porządku dodać. Stała w otwartych drzwiach jednej z kabin i mierzyła mnie rozbawionym wzrokiem od stóp do głów, dłużej nieco zatrzymując się spojrzeniem na wysokości bioder. Zaciskała przy tym mocno wargi, jakby powstrzymując ataku śmiechu.

Nim, zdecydowanie zbyt późno, zrozumiałem tę aluzję, zdążyłem wydukać jedno kretyńskie pytanie:

– Co pani tutaj robi?

Parsknęła śmiechem, zakrywając palcami oczy, jak gdyby je przecierała. Trzęsła się cała, chichocząc. I wtedy do mnie dotarło. Najpierw zakryłem krocze jedną dłonią, co nie było oczywiście ani mądre, ani higieniczne. Potem drugą dłonią zasunąłem zamek, jeszcze szybciej niż wcześniej go rozpiąłem. O wiele ze szybko, bo ślimak nie zdążył się schować do swojego domku. I choć przyciąłem sobie tylko mały fragment męskości, nagle zanurzyłem się w pulsującej ekstazie bólu.

– Ja pierdolę, ożeż ku… – I tu rozpoczęła się długa litania niecenzuralnych słów, które recytowałem wrzaskliwie, podskakując jak stepujący kurczak w piekarniku. A jeśli myślicie, że znacie już wszystkie, to przytnijcie sobie coś bolesnego zamkiem błyskawicznym, a przekonacie się, że sierżant czy budowlaniec rumieniliby się jak pensjonarka, słysząc takie arie.

Tymczasem dziewczyna ani myślała płonąć rumieńcem. Po prostu trzymała się za brzuch i rechotała. Miała ogromne usta, mogłaby w nich śmiało zmieścić całe jabłko. (Zabawne na co konający człowiek zwraca uwagę). Zamiast mi pomóc czy lecieć po pogotowie, po prostu się śmiała. Gdybym nie był zajęty, no wiecie, całym tym cierpieniem, to udusiłbym ją własnoręcznie. To przecież była jej wina. Nie zachodzi się od tyłu sikającego faceta, a już, broń patronie, wypróżniającego się, i nie gada się do niego. To święta zasada, ważniejsza niż prawa fizyki, chemii, a może nawet cały dekalog.

Gdy już myślałem, że zaraz faktycznie uderzę w wieczne kimono i zadam Panu Bogu kilka niezręcznych pytań, o sen życia i takie tam, niesforny fragment tak zwanego organu płciowego wskoczył na swoje miejsce. Nadal palił żywym ogniem, ale już nie przypominał bólu kanałowego leczenia zębów.

– Kobieto! – warknąłem, stojąc na lekko ugiętych nogach i masując bolące miejsce – znaczy, proszę pani, tak się nie robi. O czym pani myślała? O ile w ogóle. Mogłem go sobie obciąć, rozumie pani?

Ale ona nie mogła nic odpowiedzieć, przez śmiech. Dopiero gdy spoważniałem i zmierzyłem ją jednym z tych moich spojrzeń, w stylu „zaraz ci wbiję w oko śrubokręt, a potem przekręcę kilka razy”, zaczęła się hamować.

– Najmocniej pana przepraszam… – Znów targnął nią spazm śmiechu. – Nie chciałam… – Tym razem przerwała salwą przypominającą jęki samochodu, który nie chce zapalić na mrozie.

Co tu kryć, nie dałem rady utrzymać marsowej miny. Śmiała się tak szczerze, całym ciałem, że chcąc nie chcąc dołączyłem do niej i także zacząłem wyglądać, jakbym dostał ataku epilepsji i parkinsona jednocześnie.

W tamtej chwili przekroczyłem jakiś próg radości. Dawno się tak nie chichrałem. Ostatni raz na studiach, gdy bez nauki zdałem egzamin zerowy z fenomenologii. Wiecie, kolega mnie namówił, niech mu bozia w małej ilości dzieci

wynagrodzi. Najwyraźniej profesorka wiedziała równie wiele jak ja, bo to właśnie taki przedmiot – nikt nic nie wie, a każdy udaje, że się zna. Patrząc na piątkę w indeksie, dostałem wtedy identycznego ataku głupawki, uzmysławiając sobie, że zaoszczędzono mi kilku tygodni rycia po nocach.

– Nigdy więcej proszę tak nie robić – powiedziałem do dziewczyny, gdy już się oboje opamiętaliśmy, jako tako.

Podniosła prawą dłoń i odparła poważnym głosem:

– Obiecuję, słowo harcerza. – Potem dodała: – Pytał pan, co tutaj robię. Nadal jest pan zainteresowany odpowiedzią?

Westchnąłem tylko, próbując się znów nie roześmiać. Najwyraźniej mnie prowokowała.

– Chyba się domyślam – odparłem, kiwając głową i sztucznie się uśmiechając, niczym rekin ludojad, który dostał szczękościsku. – Uwierzy pani lub nie, ale pewne rzeczy wychodzą mi świetnie i coś tam umiem.

Zabrzmiało kretyńsko dwuznacznie.

– Naprawę? A to ciekawe. Pan kontynuuje, z chęcią posłucham.

Spojrzałem na nią zdziwionym wzrokiem. Mogła mieć z dwadzieścia kilka lat, może mniej. Makijaż ją z pewnością postarzał. Czarne włosy zaplecione w długi warkocz opadały na prężną pierś, skrytą pod służbowym żakietem w kolorze pomarańczowym. Napis na plakietce głosił: Anna. Łabędzioszyja Anna, dodałem w myślach, gdyż dziewczyna miała najdłuższą szyję, jaką w życiu widziałem, tak delikatną, że patrząc zacząłem się obawiać, czy jej sobie zaraz nie uszkodzi, choćby przy poruszaniu głową. I właśnie ta dziewczyna miałaby filtrować w koedukacyjnej toalecie ze zbliżającym się do czterdziestki mężczyzną, który przed momentem był na tyle głupi, że przyciął sobie ptaka zamkiem błyskawicznym? W pierwszej chwili zwaliłem to śmiałe przypuszczenie na karb mojego stanu psychicznego, o bolącym przyrodzeniu nie wspomnę.

– Miło było poznać – odparłem – ale późno się już robi. Żona się pewnie martwi, czy coś mi się stało. I prawdę mówiąc, to przyzna pani, że mało brakowało.

– Wcale nie jest tak późno, proszę pana – oświadczyła przesłodzonym głosem. – Poza tym najwyraźniej pan nie skończył tego, z czym tu przyszedł.

– Pani uwierzy, skończyłem. Nie całkiem z planem, ale ostatecznie liczy się efekt ulgi – spróbowałem znów żartować.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że kobieta zbliża się do mnie małymi kroczkami, zalotnie zarzucając biodrami, jak modelka na wybiegu.

Trybiki w mojej głowie nagle dostały turbodoładowania i zaczęły wirować, chrobotać ze zdziwienia, iskrzyć.

Samcza część krzyczała:

No, no, proszę, proszę, co my tutaj mamy.

Inna stanowczo dodała:

Pamiętaj, że masz żonę i syna.

Alfa men kontrował:

Przecież nikt się nie dowie? Użyj sobie, człowieku.

Mąż i ojciec protestował:

Jesteś uczciwym człowiekiem. Jak spojrzysz po czymś takim w lustro?

Macho nie ustępował:

Prosto i z zadowoleniem. Zobacz, jakie ma cycuszki.

Porządny człowiek, coraz słabiej:

Może faktycznie racja? Ale…

Nabuzowany testosteronem król ubikacji:

Może najpierw na pieska, co kolega na to?

Gasnący głos rozsądku:

A nie lepiej to odłożyć, tam na dole piecze, kontuzja i takie tam…

Krzyczący kochanek, gotowy do biegu:

Pani pocałuje i przestanie boleć, zobaczysz.

Kobieta położyła dłonie na mojej szyi. Były lodowato zimne, aż ciarki przeszły mi po karku, błyskawicznie rozchodząc się po kręgosłupie.

– Może mam uklęknąć? – zaproponowała, jakby czytając w mojej samczej części mózgu. – Zajmiemy się biedactwem.

Tornado, które zawsze budzi się we mnie i mówi, co należy zrobić:

Gotowy jesteś dymać jakaś pierdolniętą kurwę w ubikacji supermarketu? Tak nisko chcesz upaść po tylu latach bycia uczciwym? Codziennie będę ci to wypominał, każdego ranka, w każdej godzinie, aż z żalu się zapijesz i zdechniesz. Dobrze o tym wiesz.

Butny macho, który wie, że znów przegrał:

To dom handlowy, a nie supermarket…

Tsunami rozsądku i godności, które wdarło się kilka kilometrów za linię brzegową, burząc falliczne symbole dominacji:

Zamilcz, imbecylu. Nie widzę cię tu. Sio, no już, spieprzaj. Wrócisz, jak się będzie onanizował. Tylko do tego się nadajesz.

– Wie pani co, to nie jest taki dobry pomysł – wyszeptałem do ucha dziewczynie, zaabsorbowanej robieniem mi malinki na szyi. No, wpiła się jak pieprzony wampir, co tu kryć. Musiałem użyć naprawdę dużo siły, nie tylko psychicznej, by ją odkleić, a potem odepchnąć. Stała przede mną, zaskoczona, zmartwiona, jak mały dzieciak, któremu ojciec nie chciał kupić zabawki. Z bólem serca, a raczej bólem czegoś innego, powiedziałem to, co musiałem:

– Mam żonę, kobieto. Doceniam zainteresowanie, schlebia mi ono, ale nic się nie wydarzy. To nie w moim stylu. Fajnie było poznać, ale na mnie już czas. – Spróbowałem wycofać się po angielsku, z godnością i pełną kulturą.

– Ale będzie miło, zobaczysz – próbowała ponownie rozpalić we mnie iskrę. – Nie podobam ci się?

I znów wystartowała z łapskami, wyciągając je niczym zombie, które poczuło świeże mięso. Nie mogłem pozwolić, by ponownie mnie złapała w lodowe sidła. Miała niezaprzeczalną wprawę w te klocki i kolejnego ssania mógłbym nie wytrzymać. Zręcznym unikiem rotacyjnym, ala Andrzej Gołota, zszedłem z linii miłosnego szturmu i wskoczyłem między umywalki. W razie czego mogłem ochlapać ją wodą.

– Nie znaczy nie – oświadczyłem stanowczo.

Jednak to feministyczne, jakby nie było, oświadczenie nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia. Przestawiła tor ataku na moje nowe pozycje i z uporem maniaka szurając nogami, zbliżała się do mojej linii Maginota. Wtedy naprawdę zacząłem mieć złe przeczucia. Pewnie wydaje się wam to głupie, ale pomyślcie o okolicznościach. Samotna łazienka na końcu świata, zasolenie gęby popcornem, pieczenie przyrodzenia i szalona lala z zimnymi łapami, której może diabli wiedzą co odpieprzyć, gdy już zrobi mi tyle malinek, że rodzona żona uwierzy w rekcję alergiczną albo pokąsanie przez rój dzikich pszczół.

– Pani nie podchodzi, to przestaje być zabawne.

Przywarłem plecami do wielkiego lustra, ciągnącego się szerokim pasem przez całą ścianę.

– Kochany, przestań bredzić, przecież wiesz, że naszej miłości nic nie zniszczy. Rzucisz żonę, zamieszkasz ze mną, będę ci gotować, a nocą i za dnia dostaniesz wszystko, co zechcesz i jak zechcesz.

Nie musiałem posiadać dyplomu psychiatry, by wydać fachową diagnozę. Dziewczyna ewidentnie była tak pieprznięta, że zwoje mózgowe pozawiązywały się jej na supełki. Dosyć tego, postanowiłem. Czas na pieśń wyjścia.

– Posłuchaj, panienko, basta. Weź się ode mnie odpierdol, rozumiesz? Nie wiem, co ćpasz, ale ci szkodzi. Z drogi, szmato, bo nie mam czasu na takie pierdoły.

Ruszyłem dziarsko do przodu z zamiarem staranowania świruski barkiem, gdyby zaszła taka konieczność.

Ani drgnęła. Rozszerzyła powieki, a na jej ustach wykwitł pogardliwy uśmiech. Nim zdążyłem zareagować, złapała mnie za grdykę i tak mocno zacisnęła zimną dłoń, że momentalnie odebrało mi dech, a oczy wyszły z orbit.

– Nie tak szybko, kochany – wydyszała gardłowo – A buzi?

Faceta zapewne kopnąłbym w krocze lub przywaliłbym mu z pięści w gębę. Kobitek nie bijam, a przynajmniej dotąd nie miałem ku temu powodu i zapewne stąd wynikło zawahanie, które słono mnie kosztowało.

Z ogromną siłą popchnęła mnie na lustro. Przywaliłem głową w taflę z takim impetem, że aż coś trzasnęło. I chyba nie tylko szkło, bo poczułem potworny ból w potylicy. Nim zdążyłem się otrząsnąć, kobieta zaprawiła mnie z byka i znów przedzwoniłem w lustro, które tym razem posypało się z brzękiem na podłogę. W chwilę potem kolana odmówiły mi posłuszeństwa, ubikacja zawirowała i światło zgasło.

***

– **H**alo, proszę pana, proszę się ocknąć. – Głos wyłaniał się z ciemności, bzycząc w głowie niczym wielki komar. – Zaraz przyjedzie karetka. Pan się obudzi, no dalej, otwórz pan oczy.

Łatwo powiedzieć: otwórz pan oczy? Tylko jak? I dlaczego on tak krzyczy? Głuchy nie jestem.

Po kilku próbach w końcu udało mi się podnieść jedną powiekę. Pożałowałem tego natychmiast, bo ostre światło zaatakowało źrenicę tysiącem małych szpilek. Zamknąłem czym prędzej oko.

– Uf, aleś mnie pan nastraszył. – Głos brzmiał tubalnie, ale ciepło.

Ostrożnie uchyliłem powieki i rozejrzałem się przez małe szparki. Najwyraźniej leżałem na posadzce. Mężczyzna, na oko pod sześćdziesiątkę, który się nade mną pochylał, miał kwadratową głowę i mocno zarysowaną szczękę.

– Gdzie ja jestem? – wyjęczałem.

– W Plazie i masz pan farta, że zawsze robię drobiazgowy obchód. Po coś pan tam lazł, człowieku, do jasnej cholery? To jakiś zakład, czy co? Najpierw ten gruby, co nie chciał odejść, a tydzień po nim gościa, który się tam zabarykadował, reanimowali pół godziny. Szaleństwo.

– Szukałem ubikacji. – Strzępki wspomnień wracały jak bumerang, który obiegł całą ziemię, by niespodziewanie rozpłatać rzucającemu czerep. Tak właśnie się czułem, jakby ktoś zdzielił mnie w głowę łomem.

– Toś pan musiał aż leźć do magazynku z chemikaliami? Po drodze było kilka toalet.

– Jakiego magazynku? Przecież tam są pisuary.

– Chyba za mocno się, człowieku, uderzyłeś w głowę.

Z wielki wysiłkiem usiadłem. Korytarz chwiał się i falował, jakbym płynął łajbą. Mężczyzna pomógł mi nieco, bo sam raczej nie dałbym rady. Miał na imię Marcin, tak przynajmniej głosiła plakietka na jego mundurze i był, jak się domyślałem, ochroniarzem.

– Która godzina? – zapytałem, pełen złych przeczuć.

Facet spojrzał na zegarek z wielkim cyferblatem, taki model sportowy, z ochroną przeciw wstrząsom.

– W pół do drugiej.

– Ja pierdolę – wyrwało mi się chrapliwie. Spieczone usta, to wina popcornu, szarpnęły ostrym bólem.

Odruchowo sięgnąłem po komórkę. Była wyciszona, bo w kinie przecież inaczej się nie godzi. Osiemdziesiąt pięć nieodebranych wiadomości, głównie od matki i

żony. Przez moment zastanawiałem się do której zadzwonić i pochwalić się, że żyję. Ta pierwsza zapewne wyrywała sobie włosy z głowy, a druga zajmowała się przede wszystkim uspokajaniem pierwszej i dzwonieniem po szpitalach.

Odebrała matka, pomimo że wybrałem numer ślubnej. Ton miała taki, jakby nie mogła się zdecydować, czy się popłakać, oszaleć z radości, czy objechać mnie z góry do dołu za to, że ośmieliłem się ją tak nastraszyć. Zupełnie nie mogłem się z nią dogadać, więc poprosiłem, by podała telefon żonie, która nie wpadała tak szybko w histerię. Głos jej drżał, ale rozmowa przebiegała gładko. Opowiedziałem pokrótce o moim wypadku, pomijając oczywiście mniej ważne detale, jak przycięcie intymnych rejonów zamkiem od spodni albo spór wewnętrzny o to, czy pozwolić dwudziestolatce ssać moją szyję, potem przerzucić się na niższe partie i wreszcie sfinalizować sprawę na pieska. Poszedłem sikać, szalona kobieta walnęła mnie w łeb, straciłem przytomność i tyle. Żona chciała przyjechać, ale jej zabroniłem, by nie zostawiała matki w tym stanie samej.

Ale się narobiło, pomyślałem odsuwając telefon od ucha.

– Wie pan, może to nie moja sprawa… – zaczął nieśmiało ochroniarz – ale wersja, którą pan przedstawił, nie trzyma się kupy. Tam naprawdę nie ma łazienki. Zatruł się pan lizolem, potem przewrócił i walnął głową w posadzkę.

– Jak nie ma, skoro pamiętam, że sikałem do pisuaru, a ta szajbnięta laska wyszła z kabiny?

Facet tylko pokręcił głową. Podparłem się dłońmi o podłogę.

– Pomóż mi pan. Nie uwierzę, póki nie zobaczę, że to jakiś żart.

– Nie wstawaj, człowieku, możesz mieć wstrząs mózgu. Zaraz przyjedzie pogotowie.

Pod względem uporu przerastałem stado mułów. Żona już przywykła, że lepiej mi ustąpić, gdy coś postanowię, bo jestem jak pętla, która tym mocniej się zaciska, im bardziej szarpiesz.

Strażnik rad nie rad dosyć szybko zrozumiał, że spionizuję się z jego pomocą lub bez. Wziął mnie pod ramię i po chwili stałem, choć to może za dużo powiedziane, w jego mocnym chwycie, chwiejąc jak wierzba na wietrze.

– Idziemy, szefie – zakomenderowałem – przekonajmy się, kto ma zwidy. Na pewno nie ja.

Szliśmy tym korytarzem, jak para obwiesiów po suto zakrapianej alkoholem kolacji, oczywiście bez kolacji, po prostu mając za sobą samo wlewanie wódy do gardła.

– Proszę bardzo, na drzwiach jest kółko i trójkąt. WC znaczy, jak w pysk strzelił – oświadczyłem z dumą w głosie.

– Tym niech się pan nie sugeruje. Szczeniaki dla zgrywu namazali flamastrem wodoodpornym. Trzy razy już zamalowywałem, cholerna gówniarzeria. W końcu odpuściłem.

Położyłem dłoń na klamce.

– Tylko niech się pan za mocno nie sztacha, bo znów fajtnie pan na ziemię.

Ledwie otworzyłem drzwi, poczułem znajomy fetor. Niestety utrzymywał się w powietrzu o wiele dłużej niż ostatnio. Tym razem jednak o wiele szybciej namacałem kontakt. Rozległ się cichy trzask i pomieszczenie wypełniło się żółtym światłem żarówki dyndającej na kablu zwisającym z sufitu.

– Co to ma być, żart jakiś? – wydukałem, ujrzawszy obraz nędzy i rozpaczy, który ucieszyłby tylko inspekcję sanitarną. Niby płytki na ścianach te same, co na korytarzu, seledynowe, ale zapuszczone niemiłosiernie, z zaciekami jakby ktoś po nich sikał. Kilka odpadło i leżało w kawałkach na posadzce, pośród stosów puszek, wiader i pojemników z substancjami, o których nie miałem pojęcia, że w ogóle istnieją. To one wytwarzały ów niepowtarzalny bukiet zapachowy, który powaliłby oddział marines, niczym najlepsza broń chemiczna. W rogu pomieszczenia stała drabina pokryta pajęczynami, przypominająca ośnieżona choinkę. Pod sufitem przez

całą długość pokoju ciągnęła się cienka rurka, cała zapotniała i obślizła. Obrzydliwość.

Rozglądałem się osłupiały.

– To nie tak, tu tego nie było. Czy to aby właściwe pomieszczenie?

Mężczyzna wskazał palcem ku brunatnej plamie na podłodze.

– Tam pana znalazłem, w kałuży krwi.

– Ale widziałem… stałem tam, przy pisuarach, uderzyłem głową w lustra.

– Już myślałem, żeś pan denat, ale potem słucham – dyszy. Ucieszyłem się jak dziecko, bo ledwie o poprzednich trupach zapomniałem, a tu kolejna trauma się szykowała. Zwolniłbym się chyba, mam za słabe serce na takie atrakcje.

Zachwiałem się, ale strażnik czuwał i mnie pochwycił.

– No bo znów mi pan zemdleje. Pogotowie już pewnie dojeżdża. Jest pan na chodzie, więc może wyjdźmy im na spotkanie.

Kiwnąłem głową na znak, że się zgadzam. Nie pojmowałem, jak mogłem się tak pomylić. Przecież pamiętałem każdy detal, wciąż czułem palący ból przyciętej męskości oraz zimne ręce dziewczyny. Czy to faktycznie mi się tylko wydawało, bo byłem naćpany chemikaliami? Dotknąłem ręką krocza i międliłem je przez moment. Nic nie zapiekło, więc założyłem, że nie mam tam żadnej rany.

Wspierając się na moim aniele nocnym, kuśtykałem po korytarzu.

– Ale czemuś pan lazł tak daleko? O, proszę, toaleta, a tam zaraz będzie druga.

– Tego tu nie było, daję słowo. Same gołe ściany.

– Coś pan wypił wcześniej? – nie dawał za wygraną mężczyzna.

– Nie ma takiej opcji, jestem abstynentem.

– No to już nic nie rozumiem. A może pan także chciał zobaczyć trupiarnię? Przyznaj się pan.

Spojrzałem na niego zdziwionym wzrokiem.

– Jaką trupiarnię? O czym pan mówi?

– Nie uwierzę, że pan nie słyszał. O tym było głośno dwa lata temu.

– Nie słyszałem – odparłem. – Od siedmiu lat nie mam nawet telewizora.

– A gazety, portale internetowe?

– Panie, nie zaśmiecam sobie takimi bzdurami głowy, oni wszyscy gonią za sensacjami, karmią nas tragediami. To jest jak trucizna.

– Może i racja – skwitował mężczyzna. – O, proszę, następna toaleta i to ogromna, z wielkim napisem.

– Mówiłem już, że nie widziałem. Lepiej pan opowiedz o tej trupiarni.

– No dobrze, opowiem, ale nie lubię tych wspomnień, więc będę leciał po łebkach. Dwa lata temu zacząłem tu pracować i już drugiej nocy o mało nie dostałem zawału, mam słabe serce, jak wspominałem. Tam, w tej sali, wtedy była tam kanciapa personelu, znalazłem dwa trupy. On miał łeb rozwalony w drobiazgi, ona powiesiła się na rurce od wodociągów.

– Rany, co się stało?

– Banalna historia, jedna z hostess, jak się potem okazało, miała papiery w psychiatryku, zakochała się w żonatym facecie, kierowniku administracyjnym. Nie dawała mu spokoju, gość ponoć chciał nawet pozwać ją do sądu, bo wydzwaniała do jego żony i wyzywała od szmat. Ja tego nie widziałem, bo pracowałem od niedawna, jak mówiłem, ale kolega opowiadał, że kłócili się codzienne, często dochodziło do rękoczynów. Tego feralnego dnia, po zakończeniu pracy, zostali sami w kanciapie i znów się pożarli. Może odrzucił jej zaloty zbyt stanowczo, może ją uderzył, tego nie wie nikt. Ważne, że rozwaliła mu głowę metalowym krzesłem, a potem gdy się okazało, że facet się przekręcił, powiesiła się na jego pasku od spodni. Znalazłem ich o północy. Wyobraża sobie pan, jak się czułem? Mało brakowało, a zostałbym trzecim trupem.

– Koszmarna historia. Teraz rozumiem, czemu się pan tak mną przejął.

– Panie, to nie koniec. Na zwolnieniu potem byłem przez pół roku, ale koledzy opowiadali, że kiedy prasa to rozdmuchała, każdy smarkacz w mieście za punkt honoru sobie powziął spędzić noc w tej sali. Nie było dnia, żeby któryś nie próbował się gdzieś w ubikacji zamelinować.

– No tak, gówniarzom potrzeba wrażeń.

– Pan mówi gówniarzom, a ja sam miesiąc temu znalazłem tam dorosłego mężczyznę, najwyraźniej naćpanego, który zarzekał się jak pan, że toalety szukał i prosił, bym mu pozwolił tam zostać, choć przez chwilę. Potem przylazł jakiś wariat i się tam w biały dzień zamknął na cztery spusty, diabli wiedzą jak. Musieliśmy wyważać drzwi z zawiasów, bo zapałek nawkładał do zamka. Tyle się nawdychał tych świństw, że reanimacja go telepała prądem z pół godziny.

– Nie możecie wyłączyć tego pomieszczenia z użytku, zamurować czy coś, do czasu aż sprawa przyschnie?

– Zrobiliśmy tam składzik, bo większość pracowników zaczęła mieć jakieś lęki, głosy niektórzy słyszeli, kilku nawet rzuciło przez to pracę.

– Zwykłe bajki, duchy nie istnieją – oświadczyłem z niesmakiem. – Mamy dwudziesty pierwszy wiek, do jasnej cholery!

– Ja tam, panie, nie wiem, nic nie widziałem, nie słyszałem, ale ilekroć zamknę składzik na klucz, wracam za pięć minut, to drzwi są otwarte. Ki diabeł?

– Może zamek popsuty?

– Myśli pan, że nie wymienialiśmy? Cztery razy. Duchów się nie boję, inaczej bym tam nie chodził i pana bym nie znalazł, ale ten pokój jest dziwny.

– E tam. Dwudziesty pierwszy wiek i tyle.

***

Karetka istotnie już na mnie czekała. W szpitalu trzymali mnie dwadzieścia cztery godziny. Zrobili przez ten czas chyba wszystkie badania, jakie mieli w repertuarze.

Na szczęście poza rozcięciem skóry na głowie – piętnaście szwów mi założyli – byłem zdrowy jak ryba. Zalecono mi odpoczynek i wypisano tydzień zwolnienia. Miałem dużo chodzić po świeżym powietrzu, by oczyścić płuca.

Zabawna rzecz, w szpitalu zapodział mi się pasek od spodni. Stary, wysłużony, miałem go jeszcze od czasów studniówki. Oczywiście musiałem dorobić w nim parę dodatkowych dziurek, bo talia już nie ta co kiedyś. Bardzo go lubiłem i żal mi było tej straty.

Odnalazł się pierwszej nocy po moim powrocie do domu. Wyobraźcie sobie, wisiał w łazience, na rurce od gazu tuż pod sufitem, zawiązany na fachowy supeł. Dyndał, skrzypiąc jękliwie, jakby dźwigał coś ciężkiego. Pamiętam, że spojrzałem odruchowo na zegarek. Była północ. Może mi się zdawało, ale w tej samej chwili w rurach coś zapiszczało, co brzmiało jak kawałek refrenu piosenki Perfectu. Dokładnie tej samej piosenki.

Dwudziesty pierwszy wiek, w istocie, ale od tamtej pory nigdy więcej nawet nie zanuciłem podczas sikania.

Andrzej W. Sawicki

NIEZWYKŁY PRZYPADEK MARTYNY GEWALT

Od strony Wisły wiał zaskakująco ciepły, jak na połowę lutego, wiatr. Słońce znikało już za dachami ruder Powiśla, ostatnie jego promienie ślizgały się po nabrzeżu. Przy zacumowanych rybackich batach[1] siedziało pięć dziewcząt. Każda trzymała miedzy nogami wiklinowy kosz, do którego wpadały rybie wnętrzności, sprawnie wypruwane przez młodzieńcze ręce, uzbrojone w ostre, zakrzywione nożyki do patroszenia. Córki rybaków musiały się śpieszyć, żeby przed zapadnięciem zmroku oczyścić ryby, tak by połów ułożyć jeszcze w skrzyniach z lodem, które przed świtem ich ojcowie zawiozą na staromiejskie targowisko. Ręce kostniały z chłodu, karki bolały od ciągłego schylania się po ryby, ale młode kobiety i tak co chwila wybuchały śmiechem, gdy najstarsza z nich – Martyna – opowiadała o starających się o nią konkurentach.

– Czekajcie, dwóch obiecało, że jeszcze dziś tu przyjdzie. Same ich sobie obejrzycie. – Śliczna córka rybaka o jasnych, długich włosach, skręcających się w morze loków, uśmiechnęła się do przyjaciółek.

– To ci robotnicy z fabryki żelaznej Evansa? – upewniła się Krzysia, najmłodsza z dziewcząt, bo ledwie czternastoletnia. Bat – w warszawskiej gwarze łódź (od niemieckiego *das Boot*).

– Najlepsze partie w Warszawie! – Jasia z rozmachem pacnęła rybimi flakami w kosz. – Przynajmniej dla takich jak my. Śmiejcie się, śmiejcie, głupie gęsi, ale tak po prawdzie wiecie, że mam rację. Dziś jeszcze są gołodupcami, jak większość oberwańców z Powiśla, ale przynajmniej mają uczciwą robotę. Za kilka lat zostaną majstrami, i będą w stanie zapewnić utrzymanie swoim rodzinom. Ich żony nie będą

1 Bat – w warszawskiej gwarze łódź (od niemieckiego *das Boot*).

musiały tyrać jak woły, a dzieciaki nie będą latać głodne i obdarte. Martyna niech weźmie sobie jednego, tego przystojnego z gładką buźką i błyszczącymi oczami, a okularnika niech narai mnie. Co ty na to, złotko? Dasz mi tego małego?

Martyna uroczo zatrzepotała rzęsami, lekko się rumieniąc.

– Nie wiem, jeszcze się nie zdecydowałam.

– To się pośpiesz, szkoda czasu – mruknęła Jasia. – Ja mam już osiemnaście lat, najwyższa pora, bym znalazła sobie męża. Nie chcę żadnego z obiboków z dzielnicy, marzy mi się porządny chłopiec.

– Idą! – radośnie pisnęła Krzysia, ucinając rozmowę.

Młodzi robotnicy schodzili w dół, w kierunku rzeki, błotnistą dróżką przypominającą rynsztok. Powiśle nadal pozostawało najmniej zadbaną częścią miasta i większość ulic, nie dość, że nieoświetlona, nie była nawet wybrukowana. Powstające tu pierwsze fabryki niewiele zmieniły, przekształcając dzielnicę ze slumsów dla biedoty w niewiele lepszą noclegownię dla robotników.

– Witam, szanowne panny! – Z daleka ukłonił się Władek, zwany Okularnikiem. – Czy zastałem może pana Wieczorka?

– Ojciec jest w chałupie. – Jasia uśmiechnęła się. – Mam szanownego pana zaprowadzić?

Nie czekając na odpowiedź, rzuciła kordzik do kosza i podkasawszy kieckę, podbiegła do młodzieńców. Okularnik ruszył za dziewczyną niczym zahipnotyzowany, nie mogąc oderwać spojrzenia od jej błyskających białych łydek.

– Władek pogada sobie z rybakami, a ja porwę piękną córkę jednego z nich na przechadzkę wzdłuż Wisły! – Drugi z robotników, przystojny Marceli, doskoczył do Martyny i złapał ją za dłoń, chcąc poderwać ze stołka.

Dziewczyna siedziała jednak twardo, a zaskoczonemu amantowi oświadczyła, że musi przed zachodem słońca skończyć robotę. Jeśli kawaler chce ją porwać, musi pomóc w czyszczeniu. Marceli został posadzony na zydlu, a jedna z dziewcząt ze

śmiechem wręczyła mu nożyk do patroszenia. Przystojniak pobladł, widząc kosze pełne flaków, ale szybko wziął się w garść i zaczął niezdarnie rozbebeszać ryby. Krzywił się przy tym z odrazą, ku radości dziewcząt, ale nie narzekał. Martyna zerkała to na niego, to na wejście do chałupy, w progu której stanął jeden z rybaków, z poważną miną słuchając Władka. Po chwili do rozmawiających dołączył jej ojciec i jeszcze jeden z sąsiadów. Mężczyźni spierali się o coś z przejęciem, wreszcie pan Wieczorek pokiwał głową, a Władek uścisnął mu dłoń, kłaniając się grzecznie. Ojciec Martyny wzruszył ramionami, machnął ręką i odszedł w swoją stronę. Okularnik, w towarzystwie promieniejącej Jaśki, nie zwracając już na nią najmniejszej uwagi, zszedł na nadbrzeże. Po raz kolejny ukłonił się dziewczętom.

– Robota skończona – oznajmiła Martyna i schowała nożyk do pochewki przy pasie. – Kto chce iść na spacer?

Chciały wszystkie, choć ktoś musiał jeszcze poukładać ryby. Krzysia miała łzy w oczach, gdy Martyna nieznoszącym sprzeciwu tonem rozdzieliła prace, pozwalając na spacer tylko Jaśce i pulchnej Weronice, w funkcji przyzwoitki. Role zostały rozdzielone i żadna z dziewcząt nie śmiała podważać autorytetu najstarszej przyjaciółki. Martyna dominowała i błyszczała na ich tle niczym prawdziwa gwiazda. Błękitne, wielkie oczy i błyszczące w zachodzącym słońcu loki zdawały się iskrzyć i rzucać pioruny. Królowa Powiśla poprowadziła swoich wielbicieli i druhny brzegiem rzeki, w stronę powstającego w oddali mostu Aleksandryjskiego. Dwaj robotnicy gapili się na nią jak na święty obraz i spijali każde słowo z jej ust. Jaśka szybko straciła humor, rozumiejąc, że żaden z młodych mężczyzn nie zapamięta nawet jej obecności. Przy jaśniejącej Martynie była tylko cieniem, rozmywającym się w szarówce.

Gadali jakiś czas o mało istotnych sprawach – surowym majstrze ślusarskim, który był przełożonym chłopców, bruku układanym na Nowym Świecie, latarniach gazowych, prowadzących świetlistym szlakiem z powiślańskiej Książęcej aż do

Krakowskiego Przedmieścia, godzinie policyjnej i rosnącej liczbie rosyjskiego żołdactwa panoszącego się w mieście. Siłą rzeczy rozmowa zeszła na trwający od miesiąca bunt. Władek wspomniał o pierwszych nieszczęśnikach powieszonych na stokach cytadeli, a Jasia z dumą o dwóch kuzynach, którzy opuścili Warszawę, by przyłączyć się do jednego z powstańczych oddziałów. Weronika zrugała przyjaciółkę i stwierdziła, że ta powinna się wstydzić za swych braci, którzy z pewnością sprowadzą nieszczęście na całą rodzinę. Car nie zapomni Polakom tego, że znów próbują zerwać kajdany. Wszyscy za to zapłacą.

– A co ty sądzisz, Martyno? – spytał Władek. – Kuzyni Jasi są głupcami czy bohaterami?

Wszyscy spojrzeli na piękność, która uśmiechnęła się olśniewająco, ale nic nie powiedziała. Niespodziewanie wzięła Władka pod ramię i odeszła z nim na bok. Dla wszystkich było jasne, że chce z nim porozmawiać na osobności. Marceli z trudem przełknął ślinę, starając się zachować niewzruszony wyraz twarzy. Wewnątrz aż gotował się z wściekłości. Ten cholerny okularnik podprowadzi mu najśliczniejszą dziewczynę w mieście. Nie tak się umawiali. Władek wszak obiecał, że nie będzie się o nią starał. Chciał załatwić jakieś szemrane sprawy z rybakami; tylko dlatego Marceli zabrał go ze sobą. Ten gnojek jednak wytrzeszcza ślepia na Martynę i robi co może, by się jej przypodobać. I zaufaj tu takiemu. Podstępny zdrajca!

– Nie jestem głupia, Władku. – Martyna nagle zrobiła się poważna. – Wiem, że wy, w fabryce, też działacie dla sprawy narodowej. Jesteś jednym z nich, jesteś buntownikiem. Nie odpowiadaj, nie trzeba. Próbowałeś przekonać do współpracy pana Wieczorka i mojego ojca, prawda? Ojciec się nie zgodził, ale nie miej mu tego za złe. Boi się, ma na utrzymaniu nie tylko moją matkę i trójkę mego rodzeństwa, ale i swoją owdowiałą siostrę z piątką jej pociech. Jeśli Moskale go aresztują, zostaniemy bez środków do życia. Wieczorek ma mniej do stracenia, dlatego się zgodził.

– Nie próbujemy zmuszać ludzi do walki – bąknął Władek. – Chciałem tylko…

– Zastąpię mego ojca – oświadczyła heroicznie Martyna. – Przyjmij mnie do organizacji, złożę przysięgę choćby dziś.

Okularnik zamrugał niepewnie, patrząc na dziewczynę. Stała z dumnie uniesioną głową na tle falującej rzeki, w której ostatnie promienie słońca odbijały się milionami refleksów. Miał ochotę wziąć ją w ramiona i ucałować. Piękność w półmroku, dzielna i szlachetna.

– W niedzielę – wydusił z siebie wreszcie – zaprowadzę cię do pani Piotrowskiej, która kieruje żeńską organizacją „Piątek". Jeśli zostaniesz zaakceptowana, zaprzysięgną cię w obecności księdza. Tak się cieszę, Martyniu…

Uśmiechnęła się w taki sposób, że młodzieniec aż spłonął rumieńcem. Miał wrażenie, że gorąco zaraz rozsadzi mu głowę. Ręce mu drżały, kiedy dotknął jej dłoni. Zbliżył się o krok, nie widząc piorunującego go wzrokiem Marcelego ani dwóch pozostałych dziewcząt. Nie widział niczego poza obłędnie błękitnymi oczami i lekko rozchylonymi ustami, zachęcającymi do pocałunku. Jeszcze krok, czuł już zapach dziewczyny i jej ciepło.

– A to co? Widzicie? Chodźcie szybko! – Martyna obróciła się na pięcie i wskazała na rzekę.

W nurtach migotało coś wielkiego, przesuwając się płytko pod wodą. Nieforemny kształt, promieniujący zielonkawym blaskiem, poruszał się ospale i momentami zatrzymywał w miejscu. Fale zniekształcały widok, trudno nawet było oszacować rozmiary obiektu, ale długością przewyższał średniego rozmiaru barkę. Samo patrzenie na dziwną rzecz budziło grozę. Uderzał swoją nienaturalnością i obcością. Nie dało się nawet stwierdzić, czy to coś jest niesionym przez wodą przedmiotem, czy żywą istotą.

– Skaza rzeczywistości, tak zwana turbulencja. – Marceli wzruszył ramionami. Chwycił Martynę za ramię stanowczym gestem. – Nie zbliżaj się do brzegu, dopóki to plugastwo nie zniknie. Może promieniować mocą mutatio.

– Matko Boska, miej nas w swojej opiece. – Jasia przeżegnała się. – A co jeśli to ohydztwo zatruje wodę, przemieni ryby?

– Nie ma powodu martwić się na zapas – oświadczył uspokajająco Władek, który zdążył otrząsnąć się z zauroczenia Martyną. – Turbulencje wykwitają co jakiś czas w różnych miejscach, także w rzekach. Czasem lokują się w rzeczywistości i pasożytują na niej, deformując świat, ale często znikają bez śladu. Bardzo rzadko zdarza się, by skaziły teren i odmieniły zwierzęta.

– Ale się zdarza – burknął Marceli. – Mutatio odmienia nawet ludzi, wszyscy o tym wiedzą. Pamiętajcie, dziewczyny, by trzymać się od niego z daleka.

– E tam – Władek machnął ręką. – To zwykłe zjawisko fizyczne, jedno z wielu, które ludzkość dopiero poznaje. Podobnie elektryczność i magnetyzm. Tylko patrzeć, jak ludzie zaczną wykorzystywać wszystkie te cuda natury, łącznie z mutatio.

– Słyszałam, że wielka księżna Aleksandra Józefowna dostała od męża diadem z błękitnego metalu wydobytego z turbulencji – wtrąciła Jasia. – Ponoć moc może wpływać na ludzkie ciało także pozytywnie, może leczyć i upiększać. Wielka księżna bardzo dba o urodę i wierzy, że biżuteria nasycona mutatio uchroni ją przed starością.

– Bujdy! – warknął Marceli.

– Artefakty wydobyte z anomalii coraz częściej znajdują zastosowanie praktyczne. – Władek, z pewnym zaskoczeniem, spostrzegł istnienie Jasi. – Panienka ma rację. Niedługo wszyscy będziemy korzystali z urządzeń nasyconych mocą. Już teraz wiemy, że materiały uzyskane z turbulencji wykazują niezwykłe właściwości, są wytrzymalsze, lżejsze, lepsze.

Marceli patrzył gniewnie na przyjaciela, zaciskając pięści. Nikt jednak nie zauważył jego wrogości, wszyscy stali na brzegu i oglądali mieniącą się mocą

anomalię. Wreszcie Martyna spojrzała wpierw na jednego, a potem na drugiego kawalera i zatrzepotała rzęsami.

– Każda kobieta chciałby dostać magiczny przedmiot od mężczyzny, któremu na niej zależy – powiedziała. – Wielka księżna ma szczęście, że Konstanty tak ją kocha.

– Marzy ci się diadem nasycony mutatio? – parsknęła Jasia.

– Niekoniecznie diadem, ale jakiś drobiazg, który uchroniłby moją urodę lub dał boską moc… – rozmarzyła się dziewczyna, patrząc przy tym prowokacyjnie na chłopców. – Ach, ale już zrobiło się późno! Musicie uciekać, by zdążyć przed godziną policyjną. Idźcie już, zobaczymy się w sobotę. Może zabierzecie mnie i dziewczyny na potańcówkę?

Poprowadziła swoją świtę z powrotem na rybackie nabrzeże, a na pożegnanie obdarzyła kawalerów przychylnym uśmiechem. Młodzi robotnicy odeszli z ociąganiem, nie mogąc oderwać wzroku od niknącej w ciemności sylwetki dziewczyny. Martyna parsknęła śmiechem dopiero, gdy znikli w oddali.

– Zakpiłaś sobie z nich tymi bzdurami o magicznych artefaktach? – mruknęła Jasia.

– Pewnie. – Białe zęby powiślańskiej piękności błysnęły w ciemności. – Niech sobie nie myślą, że tak łatwo będzie mnie zdobyć. Muszą się trochę postarać i wysilić na coś więcej niż zabranie mnie na tańce.

Jasia ze złością złożyła ręce na piersi, piorunując przyjaciółkę wzrokiem. Niech diabli wezmę tę próżną dziewczynę! Jeszcze zrazi chłopców i żaden dobrze rokujący młodzieniec nie przyjdzie już do dziewcząt z rybackiego nabrzeża.

***

Syk parowego gwizdka ogłosił koniec zmiany w zakładach metalowych Evansa. Ucichły młoty w kuźni i łomot prasownic do blachy, miechy przestały tłoczyć powietrze, a ogień w piecach przygaszono, tak by jutro dało się szybko uzyskać

temperaturę wytopu. W szlifierni majster burkliwym głosem kazał podopiecznym uporządkować miejsce pracy i zawinął się, na odchodnym trzaskając drzwiami warsztatów. Pomagierzy zabrali się do zamiatania podłogi, czeladnicy wynieśli wanny z wodą do chłodzenia rozgrzanej stali. Metalowy pył i żelazne wióry, zalegające wokół tokarek i szlifierek, znikły w kubłach, które wyniesiono do przetopu. Kolej na zamknięcie hali wypadła dziś na Władka. Chłopcy kłaniali się mu, wychodząc – to on pełnił teraz funkcję szefa i zwalniał ich do wyjścia do domu. Marceli klepnął go w plecy i śmiejąc się, pognał do bramy. Pewnie znów pomaszeruje prosto nad brzeg Wisły.

Władek przetarł okulary, czekając, aż drzwi za ostatnim z pracowników się zamkną. Potem wyciągnął spod stołu skrzynię na prywatne rzeczy robotników i wyciągnął z niej plik egzemplarzy ostatniego numeru „Strażnicy" – zakazanego pisma. Pod spodem spoczywało zawiniątko w szarym płótnie. Młodzieniec rozwinął je i odsłonił kawał zakrzywionego żelastwa, które wyglądałoby jak nieforemny odprysk z wytopu, bryznięcie z formy, zastygnięte gdzieś w kącie, gdyby nie dziwny kolor i połyskliwa powierzchnia. Metal był ciepły w dotyku, a w półmroku zdawał się blado świecić.

Ukradł ten kawałek stali, wyciągnięty przez nurka-śmiałka z głębi turbulencji rzeczywistości. Całą skrzynię materii nasyconej mutatio osobiście przekazał na ręce profesora Różewicza ze Szkoły Głównej. Nielegalne artefakty zostały zgromadzone przez członków organizacji miejskiej i przeznaczono je do badań dla Tajnego Laboratorium Rządu Narodowego. Miały posłużyć do eksperymentów z mocą, tak by dało się ją wykorzystać do sprawy narodowej. Zniknięcie tego fragmentu nie powinno nic zmienić.

Władek założył robocze rękawice i uruchomił szlifierkę. Cóż takiego mógłby zrobić z tego strzępu metalu, by spodobało się Martynie? Nie był złotnikiem tylko robotnikiem, choćby pękł, nie zrobi z kawałka żelastwa diademu, broszy czy choćby

wisiora. Przynajmniej niczego, co nadawałoby się do ozdoby i przypadło do gustu kobiecie. Poza tym nie na darmo Rząd Narodowy powierzył mu kierowanie powstańczą Intendenturą. Władek potrafił działać niezwykle pragmatycznie i twardo stąpał po ziemi. Postanowił, że spróbuje zrobić coś przydatnego i praktycznego.

Pochylił się nad pędzącym kołem szlifierskim i przyłożył do niego magiczny przedmiot. Obracał go z czułością i delikatnością, a strumienie iskier strzelały barwną fontanną spod szlifierki. Metal zgrzytał i syczał, koło tarło o niego wściekle i powoli z nieforemnej, podłużnej bryły zaczynał wyłaniać się kształt.

Praca ciągnęła się do późnej nocy, ale żaden ze stróżów nie zajrzał do warsztatu. Nie pierwszy raz któryś z robotników zostawał, by dokończyć pilną robotę. Władek spocił się jak mysz, moc trzeszczała w powietrzu, rozszedł się zapach migdałów i kurzu. Wreszcie prezent został skończony. Chłopak odłączył pas napędzający koło szlifierskie i znów dokładnie przetarł okulary. Dopiero potem podkręcił lampę gazową, by skąpać warsztat w jasnym świetle. Uniósł swoje dzieło i obejrzał je krytycznie.

W białym blasku jaśniało zakrzywione ostrze. Światło opalizowało na jego krawędziach, mutatio nieustannie sączyło się z nożyka ledwie widocznymi smugami mocy. Władek machnął nim na próbę. Kordzik przeciął powietrze z gwizdem, na chwilę zostawiając za sobą poblask, mikroskopijną ranę w rzeczywistości. Wystarczy teraz zamocować ostrze w rękojeści z gruszkowego drewna i stanie się wspaniałym prezentem dla dziewczyny z Powiśla – nigdy nietępiącym się, magicznym nożykiem do patroszenia ryb.

Dar może mało romantyczny, ale co tam, Martynie na pewno się spodoba!

***

Spiskowcy krzątali się przy zacumowanych u brzegu berlinkach. Przyświecali sobie dwiema lub trzema kamfinowymi latarkami. Choć zbliżała się wiosna, zmrok wciąż

zapadał wcześnie, co ułatwiało działalność wszystkim podziemnym działaczom i buntownikom. Ci krzątali się przy łodziach, ładując na nie ciężkie skrzynie. Marceli przyglądał się powstańcom zza rogu na wpół zawalonej chałupy, stojącej u wylotu uliczki. Powoli żuł tytoń, co jakiś czas spluwał ze złością na ziemię. Starał się wypatrzyć, czy wśród garbiących się pod ciężarami sylwetek da się rozpoznać znajomą postać Włodka zwanego Okularnikiem. Dziś nadeszła na niego pora i drań skończy tam, gdzie jego miejsce – w zimnej celi X Pawilonu. Tam carscy oprawcy dobiorą mu się do skóry i za wszystko zapłaci. Przede wszystkim za wystawienie przyjaciela i podebranie mu dziewczyny.

Ile czasu upłynęło od wspólnej przechadzki nad rzeką? Może dwa tygodnie, a Martyna już nie chciała widzieć Marcelego. Wolała tego ślepego kreta, zdrajcę i wstrętnego szczura, przeklętego Okularnika. Niech go piekło pochłonie! Co też ten drań nagadał ślicznotce, że zamiast chodzić na tańce z najprzystojniejszym chłopakiem w mieście, wolała włóczyć się z tym kurduplem? Marceli dobrze wiedział, że się z nim spotyka. Opłacił jednego smarkacza z dzielnicy, by nie spuszczał oka z Martyny. Miała schadzki z Władkiem i to coraz częściej. Raz nawet ten gnojek zabrał ją do cukierni!

Marceli nie zamierzał jednak rezygnować, nie podda się tak po prostu, nie da sprzątnąć sobie sprzed nosa najśliczniejszej dziewczyny w Warszawie. Nie przywykł przegrywać, a wrogów zniszczy z całą bezwzględnością. Okularnik, zdradzając go, podpisał na siebie wyrok.

– I co, zeszli się już wszyscy? – Na ramię Marcelego opadła ciężka ręka feldfebla żandarmerii.

Chłopak przytaknął nerwowo. Wydawało mu się, że jeden ze spiskowców nad rzeką ma na nosie okulary. To musiał być Władek, wszak sam dogadywał się z rybakami i umawiał ich pomoc.

Żandarmi przemknęli obok Marcelego, jeden z nich szturchnął go, nieomal przewracając w błoto. Pognali w dół uliczki, rozbiegli się w szeroki szpaler. Nagle nocną ciszę rozdarły policyjne gwizdki. Od strony Mariensztatu, na bruku załomotały kopyta jeźdźców. W stronę Wisły pognało kilkunastu kawalerzystów z pochodniami w rękach. Kozacy kubańscy! Teraz spiskowcy nie mieli szans, zostaną wyłapani co do jednego. Marceli zaśmiał się głośno, by zagłuszyć przerażenie i rosnące wyrzuty sumienia.

Spiskowcy cisnęli latarki do wody i rozbiegli się na wszystkie strony. Kilku wskoczyło do berlinek i odbiło od brzegu. W ciemności błysnęły żółte ognie z luf policyjnych pistoletów. Zagrzmiały karabinowe strzały, ktoś zawył z bólu, inny nieszczęśnik plusnął w rzekę. Kobieca sylwetka przemknęła w świetle kozackich pochodni. Marceli wstrzymał oddech ze zgrozy. Tych ognistych loków nie dało się z niczym pomylić – to Martyna! Tylko nie to! Tylko nie ona! Dziewczyna pognała w ciemność, a za nią pogalopowało kilku kubańców. Dopadną ją w parę chwil. Marceli złapał się za głowę i krzyknął ze zgrozy.

Martyna podkasała sukienkę i pędziła ile sił, nie zważając na ostre gałęzie chłoszczące po nogach, rwące materiał i kaleczące boleśnie. Biegła wzdłuż brzegu, starając się kierować na Mariensztat. Jeśli dotrze do jednej z uliczek prowadzących w górę, zniknie w plątaninie ruder i labiryncie podwórek. Byle tylko udało się jej tam dobiec. Za plecami słyszała rosyjskie przekleństwa i śmiechy kozaków. Widzieli ją! Bawili się jej strachem, wiedząc, że i tak ją dopadną.

Dziewczyna ścisnęła mocniej papierowy rulon – dokument z powstańczą pieczęcią. Miała go przekazać do podpisania dowódcy oddziału, który odbierał broń. Skrzynie ładowane na berlinki wypełniały pruskie karabiny, mające trafić do buntowniczej partii. Martyna nadzorowała ich przekazanie w imieniu powstańczej Intendentury. Jeśli dokument wpadnie w łapy Moskali, ci poznają nazwiska powstańczych kwatermistrzów, kierujących z Warszawy zaopatrzeniem oddziałów.

Może podrzeć papier i strzępy cisnąć do rzeki? A jeśli kozacy je wyzbierają? Jak odwrócić ich uwagę? Martyna dyszała coraz ciężej, potykała się na wertepach. Kubańcy też zwolnili, jechali stępa, odcinając ją od miasta, spychając do rzeki. Śmiali się. Któryś rzucił w dziewczynę pochodnią, tylko po to, by ją wystraszyć. Wiedzieli, że nie ucieknie.

Martynę dławiło rosnące przerażenie, panika ogarniała ją niczym zaszczute zwierzę. Czuła zapach końskiego potu, widziała odrażające, lubieżne uśmiechy na gębach Moskali. Zanim zaciągną ją do cytadeli, pożywają sobie za wszystkie czasy. Nahajkami porwą jej suknię na strzępy, a potem po kolei ulżą swoim chuciom.

Niespodziewanie omal wpadła na żelazne konstrukcje leżące przy brzegu. Tuż przed nią piętrzyła się sterta kamiennych kloców, a wokół nich rosły drewniane rusztowania. Dobiegła do powstającego mostu Aleksandryjskiego, pierwszej stałej przeprawy przez Wisłę. Budowę przerwano po wybuchu powstania, most prowadził zatem ćwierć wiorsty w głąb rzeki i się urywał. Bez zastanowienia wbiegła na żelazną konstrukcję i pognała przed siebie, w ciemność. Kozacy z wesołymi okrzykami zeskoczyli z koni i pobiegli za nią.

Stanęła na końcu mostu i odwróciła się do przeciwników. Nieśli pochodnie, porykiwali i warczeli niczym dzikie zwierzęta. Martyna wepchnęła dokument za pazuchę, a z pochewki u pasa wyciągnęła nożyk. Prezent od Władka rozjarzył się i zaświecił białym blaskiem. Dziewczyna machnęła nim w powietrzu, zostawiając świetliste smugi, które przez chwilę tkwiły w przestrzeni, nim się rozwiały.

– Wiedźma – syknął któryś z kubańców.

Śmiechy umilkły w jednej chwili, w rękach kozaków pojawiły się kindżały i szable. Któryś wymierzył w Martynę z kawaleryjskiego karabinku. Za chwilę ją rozbroją i dopiero się zacznie. Władającą mocą Polkę potraktują znacznie gorzej, nie skończy się na gwałcie. Zadręczą ją, zakatują na miejscu. Przełknęła ślinę, ręce jej drżały. Kozacy zbliżali się krok za krokiem, błyskali wyszczerzonymi zębami.

Martyna obróciła nóż i pchnęła się prosto w serce. Po piersi rozszedł się ból, zmieszany z gorącem wdzierającej się mocy. Dziewczyna rozłożyła ręce i poleciała w tył, w czarną pustkę. Nim kozacy doskoczyli do krawędzi mostu, rozległ się plusk ciała wpadającego w toń.

Rzeka przyjęła krwawą ofiarę.

***

Dno nieustannie się zmieniało, z dnia na dzień łachy piachu wynurzały się z Wisły, tworząc malownicze wysepki, które niespodziewanie, w ciągu jednej nocy, znikały bez śladu. Płycizny zamieniały się w głębiny, nurt tworzył zakola i gwałtowne prądy, rwące lub zwalniające przy brzegach. Rzeka potrafiła wciągnąć w nurty nieostrożnego pływaka, by nigdy go nie uwolnić, ale potrafiła też okazać łaskę i tworzyć brody, które mogło przekroczyć nawet dziecko. Wisła nadal pozostawała dzika i nieujarzmiona. Dawała życie, karmiła, ale potrafiła też niszczyć i zabijać. Ofiarę z młodej dziewczyny przyjęła z chęcią; już od bardzo dawna nikt nie traktował jej jak bogini i nie składał darów. Porwała ciało Martyny i uwięziła je na dnie, zaplątane w wodorosty, porastające wrak zatopionego szkunera.

Mijały dni, woda omywała ciało, zerwała z niego ubranie, oczyściła. Trup ciągle nie ulegał rozkładowi, nie napuchł od gazów gnilnych, rysy twarzy pięknej dziewczyny nie zmieniły się ani na jotę. Ostrze, tkwiące w jej pierś powoli rozpuszczało się w ciele, wnikało w zastygłą krew, pulsowało pchnięciami mocy. Martyna nasiąkała mutatio dzień po dniu, noc po nocy. Czynnik zmian deformował ją powoli, cierpliwie. Drewniana rękojeść noża odpadła i odpłynęła, magiczny metal całkiem wniknął w ciało. Rana na piersi zasklepiła się. Skóra nabrała zielonkawego odcienia, nogi połączyły się ze sobą i porosły łuską. Pod pachami kobiety utworzyły się skrzela.

W pierwszą noc pełni, kiedy światło księżyca przeniknęło wodne nurty, syrena wciągnęła w płuca pierwszy haust wody.

I otworzyła oczy.

***

Suche doki Warsztatów Żeglugi Parowej na Solcu zapełniały stalowe szkielety powstających kadłubów. Metalowe rusztowania niczym żebra żelaznych wielorybów mierzyły w marcowe, pogodne niebo. U stóp jednej z konstrukcji, która w przyszłości stanie się nowoczesnym paropływem, zebrała się trójka spiskowców. Okularnik przychodził do warsztatów od kilku miesięcy, podając się za rządowego posłańca. Na miejscu agitował robotników, rozdawał im ulotki i namawiał do przyjścia na tajne zebrania. Dziś przyniósł tu plik przedrukowanej odezwy Rządu Narodowego, który zamierzał przekazać jednemu ze szkutników, pełniącemu funkcję dziesiętnika organizacji miejskiej. Traf chciał, że po drodze uczepiła się go przypadkowo spotkana Jasia, dziewczyna z Powiśla. Władek próbował ją przegonić, ale córka zaprzyjaźnionego rybaka i działacza powstańczego uparła się, by mu towarzyszyć. Twierdziła, że ma mu coś ważnego do powiedzenia.

Władek wręczył papiery szkutnikowi, rozglądając się przy tym nerwowo. Był wyraźnie spięty i przestraszony. Dziesiętnik wręczył mu w zamian listę nowo zwerbowanych robotników, chętnych, by przysłużyć się sprawie. Okularnik będzie musiał teraz przekazać ich nazwiska policji powstańczej, która dyskretnie sprawdzi delikwentów. Szkutnik zasalutował i odmaszerował niczym w wojsku. Władek westchnął ciężko i usiadł na stercie desek. Wyciągnął z kieszeni nadpalone do połowy cygaro i przypalił je trzęsącą się ręką. Jasia patrzyła na niego, nieco zaskoczona zachowaniem chłopaka. Od chwili tragicznej wpadki, w której zaginęła Martyna, młodzieniec bardzo się zmienił. Stał się nerwowy i podejrzliwy. Sam uszedł z zasadzki, ale nie mógł sobie darować, że nie upilnował ślicznej konspiratorki, którą

sam wciągnął do ruchu. Mimo że upłynął już miesiąc od tragedii, stan Władka się nie poprawiał, chłopak wyraźnie obwiniał się za prawdopodobną śmierć Martyny.

– Wyjaśniło się coś z moją sprawą? – spytała Jasia.

Władek wzruszył ramionami, patrząc przed siebie nieobecnym spojrzeniem. Nie palił się, by spełnić zachciankę dziewczyny. Kolejna, której zamarzyło się uczestnictwo w walce, kolejna chętna do zostania bohaterską ofiarą. O nie, tym razem nie przyłoży do tego ręki. Nie weźmie odpowiedzialności, nie zarekomenduje jej na członkinię organizacji. Koniec. Wystarczy, że nie może zapomnieć o Martynie; o tym, że pozwolił jej zginąć.

– Co ważnego chciałaś mi powiedzieć? – Unikał spojrzenia w oczy dziewczyny.

– Śledziło cię trzech drabów – oznajmiła spokojnie. – Szłam za tobą od Placu Trzech Krzyży, widziałam, że cię śledzą.

Władek cisnął cygaro na ziemię, podrywając się na równe nogi.

– Dlaczego od razu nie powiedziałaś? Po co w ogóle się tu za mną pchałaś?! – Złapał dziewczynę za ramiona. Powstrzymał się, by nią nie potrząsnąć.

– Nie dałeś mi dojść do słowa. – Wzruszyła ramionami. – Poza tym to nie byli żandarmi tylko szpicle, nie chcieli cię aresztować, bo byłoby ich więcej.

– Ech, głupia. O takich rzeczach trzeba od razu. – Machnął ręką. – Celowo się wystawiam, by sprowokować zdrajcę. Ktoś z mojego otoczenia donosi carskim, ktoś wydał nas w czasie operacji na rzece. Próbuję zmusić go, żeby znów uderzył, ale tym razem tylko we mnie. Rozumiesz? Nie chcę, by znowu zginął ktoś niewinny. Uciekaj do domu, no już!

Powietrze przeszył krótki gwizd. Władek sięgnął do kieszeni, rozglądając się na boki. Któryś z robotników dawał znak o niebezpieczeństwie. Pora uciekać. Tylko gdzie jest wróg?

– Tam są, to oni – syknęła Jasia.

Zza kotłowni wyszło trzech mężczyzn w czarnych redingotach i cylindrach. Szli szybkim krokiem, jeden z nich wyciągnął z kieszeni pistolet. Władek złapał dziewczynę za rękę i pociągnął za sobą. Pobiegli po molu, łomocząc na drewnianym podeście. Za portem w ogrodzeniu znajdowało się nielegalne przejście, używane czasem przez spiskowców. Za nim będą bezpieczni.

Przesadzili chaszcze i wpadli na błotnistą ścieżkę, kończącą się pod płotem. Okularnik złapał za jedną z desek i odchylił ją w bok, puścił przed sobą dziewczynę. Jasia przecisnęła się błyskawicznie, Władek dołączył do niej chwilę później. Uśmiechnęli się do siebie z ulgą i pobiegli dalej, ścieżką prowadzącą wzdłuż Wisły. Wypadli zza kępy drzew na łagodny brzeg z leżącą na piasku do góry dnem wąską łodzią. Siedział na niej Marceli w otoczeniu trzech żandarmów. Dowodzący nimi podoficer stał na ścieżce z obnażoną szablą w garści.

– Oto i nasze ptaszki – powiedział, uśmiechając się groźnie pod wąsem. – Łapy w górę! I nie ruszać się bez pozwolenia!

Władek, widząc, że zdrajcą jest jego przyjaciel, nie zareagował zdumieniem, nie wpadł w stupor, nawet nie mrugnął. Wyciągnął z kieszeni niewielki rewolwer i wypalił do najbliższego żandarma trzy razy. Podoficer zgiął się wpół i zatoczył z bolesnym jęknięciem. Wpadł w szuwary u brzegu i zaległ bez ruchu.

– Uciekaj! – Władek pchnął dziewczynę i wymierzył do zrywających się mężczyzn.

Wystrzelił ostatnie trzy pociski, ale wszystkimi chybił. Cisnął rewolwerem w nadbiegającego żandarma, chwilę potem oberwał pałką w twarz i runął na piach. Posypał się na niego grad kopniaków i ciosów drewnianymi pałkami. Jasia krzyczała z przerażenia i bólu. Szarpała się z trzymającym ją Marcelim. Zdrajca nie mógł pozwolić jej uciec. Gdyby rozniosło się, że to on donosi, szybko dopadnie go powstańcza policja lub sami Sztyletnicy. Oboje złapani musieli skończyć w cytadeli lub zginąć. Dziś dopełni się zemsta. Okularnik zapłaci za odebranie mu Martyny.

Marceli z uśmiechem spojrzał na katowanego przyjaciela, a potem wymierzył Jasi policzek. Dziewczyna upadła ze szlochem na piasek. Chłopak złapał ją z włosy i pociągnął w stronę rzeki. Pozbędzie się niewygodnego świadka od razu.

Nie przejmując się zimnem, wlazł do rzeki, wciągnął ofiarę za sobą, a potem wepchnął jej głowę pod wodę. Dziewczyna machała rozpaczliwie rękoma, wzbijając fontanny, miotała się, wściekle walcząc o życie. Marceli był jednak znacznie silniejszy. Oparł kolano o jej plecy i przycisnął jeszcze mocniej. Poczuł falę euforii. W spodniach mocno uwierała potężna erekcja. Nie spodziewał się, że zabijanie będzie tak przyjemne.

Ruch w szuwarach dostrzegł kątem oka. Odwrócił głowę. I wciągnął powietrze ze zgrozy. Spomiędzy pożółkłych łodyg i liści wypełzł potwór. Blada kobieta o burzy blond loków opadających na nagie ramiona. Jej pełne piersi o zielonych brodawkach ozdabiały girlandy wodorostów, biodra przechodziły płynnie w potężny, rybi ogon. Syrena w ręku trzymała szablę należącą do zabitego żandarma. Co jednak najbardziej przerażające, miała rysy twarzy zamordowanej przez kozaków Martyny.

Marceli puścił Jasię i rzucił się w tył. Próbował poderwać się i skoczyć do ucieczki, ale dno w tym miejscu okazało się niezwykle grząskie. Syrena strzeliła ogonem i ruszyła do ataku, poruszając się niczym wodny wąż. Uniosła szablę nad głowę. Marceli zasłonił się odruchowo, ostrze rozrąbało mu rękę, zadzwoniło o kość przedramienia. Ryknął z bólu. Żandarmi przestali pastwić się nad Władkiem i ze zgrozą patrzyli na makabryczne widowisko. Syrena znów uniosła szablę, zachodzące słońce zaświeciło w okrwawionym ostrzu i w burzy jej złotych włosów. Uderzyła. Raz, drugi, trzeci. Krew bryzgała z okropnych ran na rękach i ramionach zdrajcy. Wreszcie ostrze uderzyło go w twarz, odrąbało kawałek brody i ucho. Mężczyzna zawył niczym zwierzę. Kolejny cios strzaskał mu czoło i uciszył na wieki.

Żandarmi sięgnęli po pistolety. Syrena zwróciła się w ich stronę i otworzyła usta. Wypełniały je igły rybich zębów. Zaśpiewała wysokim, przeszywającym

głosem. Padły strzały, ale ołowiane kule nie uczyniły jej najmniejszej krzywdy. Trzepocząc ogonem, ruszyła w stronę brzegu. Pierwszy żandarm rzucił się do ucieczki, zasłaniając uszy. Syrena wypadła na piasek, ale nie zwolniła. Przerażeni Moskale pognali z wrzaskiem, byle dalej od koszmaru.

Martyna pochyliła się nad okrwawionym Władkiem. Ten uniósł głowę, patrząc na nią z zachwytem. Pocałowała go w usta. Zanim stracił przytomność, poczuł jej zimne wargi, pachnące rzecznym mułem i migdałami.

***

Na początku kwietnia rozpoczęło się żydowskie święto Paschy, a Moskale szykowali się do prawosławnej Wielkanocy. W mieście zrobiło się świątecznie i nieco spokojniej. Zakazano kozakom upijać się i bić przechodniów, choć na wszelki wypadek zwiększono liczbę wojskowych patroli. Korzystając z ładnej pogody, w niedzielę warszawiacy ruszyli tłumnie, jak w spokojnych czasach, na Bielany i na drugą stronę Wisły, na Saską Kępę, gdzie roiło się od karczm i placów zabaw. Włodek, korzystając z wolnego dnia, zabrał tam Jasię.

W ogródkowym teatrzyku orkiestra rżnęła skoczne walczyki, dzieciaki ganiały się z wrzaskiem między drzewami, jakiś wstawiony jegomość wspinał się po palu, na szczycie którego postawiono butelkę wina. Okrzykami i brawami zachęcała go do wysiłku grupa kompanów i licznych gapiów. Władek rozłożył koc na szczycie wiślanej skarpy, Jasia wyciągnęła z koszyka dzbanek mleka, zawinięty w chustkę chleb i gotowane jajka. Jedli w milczeniu, uśmiechając się do siebie i spoglądając na łódki, krążące z pasażerami między brzegami rzeki.

– Ciągle o niej myślisz? – Dziewczyna szturchnęła zamyślonego Władka.

– Nie mogę zapomnieć, że stała się tym czymś przeze mnie – mruknął. – Zawsze, gdy widzę rzekę, przypomina mi się Martyna.

– Stała się jej częścią, a na to, w jaki sposób się to stało, miało wpływ wiele rzeczy. Zamordowali ją Moskale, a odmieniła moc.

– Ale to ja wciągnąłem ją do organizacji i ja dałem jej ten przeklęty nóż. Gdybym...

Jasia uciszyła go, kładąc palec na ustach.

– Nie ma sensu gdybać. Stało się, widocznie tak musiało być. Bóg, szatan, moc, nieważne jak nazwiemy tę siłę wyższą. Pomyśl, że byłeś tylko wykonawcą jej woli, marionetką.

Władek westchnął ciężko.

– To ostatni raz. Nie zamierzam nigdy więcej stać się sprawcą czyjegoś nieszczęścia. Nieważne, świadomie czy jako wykonawca Bożego zamysłu. – Pokiwał głową. – Będę się pilnował. Muszę chronić ludzi, których znam, którzy mi ufają. Wolę zginąć, niż pozwolić, by znów ktoś przeze mnie cierpiał.

Niespodziewanie objął Jasię ramieniem i pocałował. Przyjęła jego pieszczotę z radością i ulgą. Tak długo na nią czekała.

Później, gdy wrócili na drugą stronę Wisły, Władek pomyślał, by dać Jasi jakiś wyjątkowy prezent. Przez chwilę zastanawiał się nad zrobieniem dla niej czegoś z kolejnego przedmiotu nasyconego mocą. Szybko jednak odrzucił ten pomysł i za zaskórniaki kupił jej u żydowskiego jubilera srebrną broszę, przedstawiającą warszawską syrenkę.

***

Włodzimierz Lempke, ps. Okularnik, dotrzymał obietnicy: żeby w czasie śledztwa nie zdradzić i nie przyczynić się do cierpień towarzyszy, w chwili aresztowania przez carską policję popełnił samobójstwo.

Aneta Rzepka

OBIETNICA

jak daleko odszedłeś
od prostego kubka z jednym uchem
od starego stołu ze zwykłą ceratą
od wzruszenia nie na niby
od sensu
od podziwu nad światem
(Jan Twardowski)

Magda niechętnie odsunęła się od komputera. Nie lubiła pisać o sobie, ale polecenie naczelnego brzmiało jasno – każdy redaktor miał opisać najciekawszy dzień swojego życia. I po co to komu? Właściwie nie wiadomo. Rzekomo planowano utworzenie w gazecie działu przybliżającego postaci dziennikarzy. Głupota! Zupełnie jakby codzienne życie pismaków mogło kogoś interesować, a już zwłaszcza nudne życie Magdy z działu literackiego. Nie było w nim nic fascynującego: praca, dom, sprzątanie, zakupy i wszechogarniająca samotność. Westchnęła ciężko. Takie rozliczenia z przeszłością, teraźniejszością i przyszłością zawsze ją przytłaczały. Wolała nie myśleć o bezsensie swojej egzystencji. Cóż, trudno, nowemu przełożonemu lepiej się nie narażać, zatem tekst napisać trzeba, ale… może jutro?

Hałas dobiegający z tarasu wyrwał Magdę z zamyślenia.

„Pewnie koty sąsiadki znowu ganiają ptaki” – pomyślała. Wstała i poszła sprawdzić przyczynę zamieszania. Jakież było jej zdumienie, gdy ujrzała kilkunastoletnią dziewczynę przestawiającą doniczki z pelargoniami.

– Co ty wyprawiasz! – zawołała raczej, niż zapytała. – Kto ci pozwolił dotykać moich kwiatów? – Była oburzona. Od lat doniczki ustawiała tak samo, uważając zmienianie sprawdzonego układu za karygodne i naruszające ład estetyczny. Lubiła, gdy wszystko miało swoje, tylko sobie przypisane miejsce.

Dziewczyna wyprostowała się i dygnęła grzecznie, niczym dobrze wychowana młoda dama.

– Przepraszam – powiedziała nieśmiałym głosem, zakręcając na palcu kosmyk jasnych włosów. – Zwyczajnie pomyślałam, że fioletowa pelargonia będzie ładniej wyglądała pomiędzy białą a czerwoną.

No nie, tego było dla Magdy za dużo! Obcy dzieciak bez pytania wdarł się na podwórko, wszedł na taras i miał czelność upiększać ogród. Jej ogród!

– A ja uważam, że to nie jest twoja sprawa – rzekła, siląc się na spokój.

– Gniewasz się? – Dziewczyna wyraźnie chciała jakoś złagodzić niezadowolenie właścicielki kwiatów, bo zrobiła skruszoną minkę, układając usta w zabawny dzióbek.

– Nie, ale… Kim ty właściwie jesteś?

Mała klasnęła z radości w dłonie i podskoczyła na jednej nodze, rozkładając szeroko ramiona. Jej niebieskie tęczówki błysnęły zawadiacko; ten kolor, ten błysk wydawały się znajome.

– Jestem ulotną chwilą szczęścia, niespełnionym marzeniem i zapomnianą miłością! – zawołała i rozpłynęła się w powietrzu.

Magda przetarła oczy i pokręciła z niedowierzaniem głową. Gdyby nie to, że doniczki z kwiatami zostały przestawione, pomyślałaby, iż dziewczynka jej się przyśniła. Ale nie! Fioletowa pelargonia tkwiła pomiędzy białą a czerwoną, a ona nie miała ochoty tego zmieniać. Poza tym wciąż miała przed oczami niewysoką, szczupłą panienkę, odzianą w czerwoną bluzeczkę na ramiączkach i czarne rybaczki, a jej miły głosik dźwięczał w uszach jak śpiew skowronka o poranku.

„Chyba coś ze mną nie tak" – pomyślała i weszła do domu, żeby przypadkiem któryś z sąsiadów nie dostrzegł jej dziwacznego zachowania. Dopiero by plotkowali, że ta stara panna spod siódemki wreszcie zwariowała! Jakby stan cywilny mógł mieć wpływ na ewentualne choroby psychiczne.

***

tłumaczył
że wierność jest tylko jedna
że już są razem chociaż się nie widzą
że miałby ochotę nagadać jej serdecznie
choćby w przedpokoju ciepłym od ubrań
przecież tylko nieobecni są najbliżej
(Jan Twardowski)

Następnego dnia Magda zbudziła się punktualnie o 6:59, na minutę przed budzikiem. I dobrze. Nigdy nie lubiła jego monotonnego, przenikliwego, wbijającego się w mózg dźwięku. Z westchnieniem ulgi wyłączyła narzędzie porannych tortur, przeciągnęła się i spojrzała w okno. Wiatr delikatnie poruszał białą firanką, a promienie słońca swawolnie tańczyły na parapecie. Magda przypomniała sobie, że kiedyś przepadała za letnimi porankami. Wybiegała boso na dwór, zanurzając stopy w mokrej od rosy trawie i planując, jak spędzi dzień. Mama wołała z domu, że trzeba się przebrać, zjeść śniadanie, i dopiero później korzystać z pięknej pogody. Lato, wakacje, uśmiech matki, baryton ojca… Jakże to było dawno… Rodzice już nie żyją, Magda mieszka sama, nie ma wakacji, tylko codzienne obowiązki, a z tamtym życiem wiąże ją jedno: rano trzeba wstać, ubrać się i zjeść śniadanie. Wzdychając niechętnie, dopełniła codziennego rytuału.

Droga do pracy – dziesięć minut pieszo na przystanek, pół godziny w autobusie, a później już szybciutko, po pasach na drugą stronę ulicy, szklane drzwi, recepcjonista wręczający codzienną korespondencję…

Tym razem było inaczej.

– Cześć! – Magda usłyszała radosny głosik. Odwróciła się, żeby sprawdzić, do kogo należał. Na parkowej ławeczce siedziała dziewczyna, która wczoraj śmiała przestawiać kwiaty na jej tarasie. Włosy miała splecione w warkocze, a w dłoni trzymała dwa nieodpakowane lody na patyku. – Chcesz? – zapytała, uśmiechając się milutko. – Waniliowy w czekoladzie, taki jak lubisz.

Magda pokręciła głową. Nie miała czasu na głupoty.

– Śpieszę się – mruknęła niechętnie, zastanawiając się, kiedy ostatni raz jadła lody.

– Weź, kupiłam specjalnie dla ciebie.

Podeszła do Magdy i bezceremonialnie wcisnęła jej loda do ręki; drugiego otworzyła, ukazując obsypaną orzechami czekoladę.

– Dziękuję. – Nie potrafiła odmówić, może dlatego że właśnie dopadła ją ochota na coś słodkiego, zimnego i z czekoladą. Rozdarła kolorowy papierek. Dziewczyna podskakiwała radośnie u jej boku. Szybkim krokiem zbliżały się do przystanku. – Jak masz na imię?

– Dusia.

Magda aż przystanęła, a serce w jej piersiach zakołatało boleśnie. Kiedyś, bardzo dawno temu, znała człowieka, który właśnie w taki sposób zdrabniał jej imię.

– Jak? – zapytała drżącym głosem.

– Danusia, ale brat zawsze mówi do mnie Dusia, i ja to bardzo lubię.

– A ja jestem Magda.

– Wiem. – Dziewczyna uśmiechnęła się zawadiacko i zlizała białą strużkę, ściekającą po resztkach czekolady pokrywającej jej loda. – Właśnie ucieka ci autobus.

Buchający gorącem pojazd wyminął stojącą na chodniku Magdę. Nie było nawet cienia szansy, że dobiegnie przed nim na przystanek.

– Nie zdążę do pracy – jęknęła.

– Zadzwoń i powiedz, że się spóźnisz – odparła Danusia, wzruszając ramionami. – Albo od razu weź sobie wolne. Pójdziemy na spacer do lasu, a później ugotujesz mi dobry obiad.

– Słucham?

– Bardzo lubię pomidorówkę z makaronem. No i jedz, bo ci się roztopi.

Magda pokręciła z rezygnacją głową i ugryzła czekoladę. Dobrze znane chrupnięcie przyjemnie popieściło uszy. Och, jakże dawno nie miała w ustach takiego rarytasu. Ciekawe dlaczego? Bo co? Bo głupio, żeby dorosła osoba pałaszowała lody na ulicy? A któż jej zabroni?

– Usiądziemy? – zaproponowała, wskazując ławkę.

Dziewczyna pokiwała ochoczo głową, a jej twarz ozdobił uśmiech, który można śmiało nazwać całobuziowym. Na samo wspomnienie tego dziwnego słowa rumieniec pokrył policzki Magdy. Swego czasu słyszała je dość często. Paweł nazywał tak jej uśmiech. Paweł… Dawno nie wspominała tego imienia. Kiedyś było najdroższe, jedyne na świecie, teraz… Ostatni raz rozmawiali jakieś dziesięć lat temu. Pokłócili się i żadne nie potrafiło przeprosić. Mijały dni, tygodnie. Magda czekała na telefon, miała nadzieję, że wszystko się ułoży, ale była zbyt dumna, żeby zadzwonić. Pewnej soboty zobaczyła Pawła, trzymającego za rękę inną dziewczynę…

– Jesteś smutna? – zapytała cichutko Dusia.

– Tak trochę – odparła. W zamyśleniu jadła swojego loda. Nie miała ochoty na rozmowy, najchętniej zaszyłaby się w domu i płakała, jak tamtego dnia, ale nie mogła. Musiała zadzwonić do pracy, musiała zrobić zakupy, musiała ugotować obiad dla dziwnej dziewczynki, musiała dalej żyć, chociaż smutne było to życie i puste.

Wyrzuciła patyczek do kosza i wyjęła z torebki telefon. Tłumacząc naczelnemu powody nieobecności, czuła się jak uczennica, która pierwszy raz poszła na wagary; bo i sytuacja była podobna – w obu przypadkach powody zaniedbania obowiązków musiały zostać tajemnicą.

Dusia wniosła do ponurego domu Magdy dużo radości. Jej dźwięczny śmiech wypełnił każdy zakamarek, paplanina ożywiła nawet porcelanowe figurki, stojące w pokoju rodziców. Zdawać by się mogło, że na szklanych twarzach zagościła nadzieja i jakby cień uśmiechu.

„Zadziwiające – pomyślała Magda, gdy tuż przed zaśnięciem sprawdzała, czy okna są zamknięte. – Od śmierci mamy i taty minęło ponad sześć lat, a bibeloty wciąż stoją na tych samych miejscach. Zupełnie jakbym bała się cokolwiek zmienić".

***

myślała, że został już tylko na fotografii
z twarzą bez oddechu…
(Jan Twardowski)

Magda wracała z pracy, rozglądając się uważnie. Miała nadzieję, że spotka Dusię. Przywykła już do jej radosnej obecności i nauczyła się czerpać z niej przyjemność. Dziewczynki nie było jednak ani na przystanku, ani przy sklepie, ani na ulicy.

„Szkoda, bo pomidorówka już dawno mi tak nie smakowała jak wczoraj – pomyślała dziennikarka. – Może dlatego że po raz pierwszy od bardzo dawna nie jadłam sama?"

Nie miała jednak czasu na roztrząsanie tej sprawy. Doszła właśnie do swojej furtki i odkryła, że okna w domu są otwarte. Już chciała dzwonić na policję, by zgłosić włamanie, kiedy ujrzała biegnącą przez podwórze Dusię.

– Cześć – powiedziała dziewczynka, obdarzając Magdę promiennym uśmiechem. – Dzisiaj ja ugotowałam obiad. Dla ciebie.

– A… jak weszłaś do środka? – zapytała, pozwalając wprowadzić się do pachnącego jedzeniem mieszkania. Jak miło wrócić do domu, w którym ktoś czeka. Zapomniała już, jakie to przyjemne uczucie.

– Było otwarte – odparła dziewczyna.

Kłamała. Magda nigdy nie zapominała o zamknięciu drzwi, a dzisiaj na pewno dwa razy przekręciła klucz w zamku. Pamiętała dokładnie, bo wracała od furtki, żeby sprawdzić. Cóż, widocznie nie wszystko można racjonalnie wytłumaczyć.

Zupa pieczarkowa smakowała wyśmienicie, niemal tak samo jak ta gotowana przez mamę, a pieczona ryba była niezwykle soczysta i świetnie przyprawiona. Magda nie miała pojęcia, skąd u małolaty takie zdolności kulinarne, ale nie zdążyła zapytać. Dzisiaj, jak zwykle zresztą, to dziewczynka decydowała o przebiegu rozmowy.

– Zaraz muszę lecieć, więc pozmywasz sama – oświadczyła. – Umówiłam się z… kimś bardzo ważnym – dokończyła tajemniczo.

– Z chłopakiem? – zapytała Magda, uśmiechając się znacząco.

– Tak. – Dusia grzebała widelcem w swoim talerzu. Była wyraźnie speszona domyślnością rozmówczyni. – Bardzo go lubię.

– Cieszę się.

Dziewczynka przez chwilę jadła w milczeniu, całkowicie koncentrując się na tej czynności, jakby chciała odwrócić uwagę od rozpoczętego przez siebie tematu. Coś jednak wyraźnie nie dawało jej spokoju.

– A ty? – zapytała nieśmiało. – Masz kogoś?

– Nie, jak widzisz, jestem starą panną ze wszystkimi przypadłościami tego stanu – odparła spokojnie Magda. Może troszkę przesadzała. Była pedantyczna, nie lubiła zmian, czasem zrzędziła, ale miała też duży dystans do siebie i poczucie humor. Prawda, nieco zakurzone, bo dawno nieużywane, ale wystarczyło je przetrzeć miękką ściereczką.

Dusia odłożyła widelec i dotknęła policzka swej gospodyni. Palcem obrysowała kontur ust, pogłaskała skronie, a na koniec delikatnie nacisnęła czubek nosa, jakby chciała włączyć jakieś urządzenie.

– Nie jesteś stara – stwierdziła stanowczo. – Nie masz zmarszczek i nie pachniesz naftaliną. I nie wierzę, że nikogo nie kochałaś, bo jesteś dobra. Widzę to w twoich oczach.

Magda zaśmiała się cichutko, jakby nieśmiało, i włożyła do ust kawałek ryby. Chciała ukryć zmieszanie, może nawet dać gościowi czas na zmianę tematu.

– Kochałam – odparła po chwili, widząc, że dziewczynka czeka na odpowiedź. – Miał na imię Paweł. Ale to już przeszłość. Kiedyś… oznajmił mi, że wyjeżdża do Niemiec, gdzie w ciągu roku zaliczy staż i skończy pisanie pracy magisterskiej. Strasznie się pokłóciliśmy. Miałam nadzieję, że to minie, jakoś przyschnie, ale nie… Już nigdy nikogo nie pokochałam tak jak Pawła.

– Smutne – szepnęła Dusia. – Ale może nie wszystko stracone?

– Stracone – powiedziała stanowczo Magda. – Minęło dziesięć lat. Idź już na to swoje spotkanie, a ja pozmywam.

Dziewczyna pokiwała głową, pocałowała Magdę w policzek i wybiegła, mrucząc pod nosem słowa, znaczenia których znała chyba tylko ona.

***

czego się boisz jak wiewiórka deszczu
przed czym drżysz jak w jesionce bez podpinki zimą
przed czym się bronisz obiema szczękami

– **N**o i po co powyciągałaś te stare ciuchy? – Magda była niezwykle wzburzona. Dusia zaczęła wyprowadzać ją z równowagi. Mało, że panoszyła się w domu, robiła zamieszanie w poukładanym, nieskomplikowanym życiu, przywoływała najboleśniejsze wspomnienia z młodości, to jeszcze miała czelność grzebać w jej szafie i narzucać zmianę stylu ubierania! Tego było stanowczo za dużo!

– Nie złość się – prosiła dziewczyna ze skruszoną minką. – Zwyczajnie pomyślałam, że powinnaś ubierać się weselej. Masz tyle ładnych sukienek…

– One są stare i niemodne, a poza tym w moim wieku już nie wypada.

– W twoim wieku? Przecież masz niewiele ponad trzydzieści lat. No, przymierz chociaż.

Magda machnęła z rezygnacją ręką. Jakoś nie potrafiła odmówić. Ostatecznie, cóż jej szkodziło założyć stare ciuchy? W domu nikt nie będzie tego widział. Westchnęła i poszła do łazienki.

Lekka, letnia sukienka, niebieska w białe rumianki, dyskretnie odsłaniała dekolt, uwydatniając długą szyję. Ramiona zasłaniała tylko zwiewna falbanka, a szeroka spódnica kończyła się tuż przed kolanem. Magda, mijając przedpokój, spojrzała w lustro. Sama siebie nie poznała, była jakby młodsza, ładniejsza, mniej smutna.

– Ślicznie! – zawołała Dusia, klaszcząc w dłonie. – Trzeba jeszcze tylko zmienić ci fryzurę. Ten kucyk, on dopiero jest niemodny!

Nie czekała na pozwolenie. Posadziła Magdę na krześle, zdjęła gumkę z włosów i przeczesała je grzebieniem. Cmokała przy tym, mlaskała, wyraźnie z czegoś

zadowolona. Zaraz, ona wzięła nożyczki! Zanim Magda zdążyła zaprotestować, pierwszy pukiel spadł na podłogę, później kolejny i jeszcze jeden…

– Co ty wyprawiasz? – jęknęła żałośnie.

– No już! Teraz jest ślicznie – stwierdziła dziewczyna, przeczesując palcami skrócone włosy. – Zobacz.

Magda spojrzała w lustro. Tak, teraz naprawdę wyglądała świetnie. Zaśmiała się cichutko, odgarniając pukiel włosów, który uparcie opadał na oko.

– Dziękuję – szepnęła.

– Jeszcze to. – Dusia wspięła się na palce i powiesiła jej na szyi srebrny łańcuszek z wisiorkiem w kształcie gwiazdki.

– Ale ja nie mogę tego wziąć – zaprotestowała Magda.

Dziewczyny już obok nie było. Stała przy zlewie i nalewała wodę do czajnika.

– Możesz – odparła spokojnie, włączając gaz. – To przecież prezent. Bo ja cię bardzo kocham. – Podeszła do Magdy i dotknęła jej policzka. Przez chwilę patrzyły sobie w oczy. Później Dusia wróciła do okna, uchyliła je i usiadła na parapecie. – A o osoby, które się kocha, trzeba dbać. Do widzenia. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Magda chciała coś powiedzieć, ale musiała wyłączyć gaz pod czajnikiem. Gdy ponownie spojrzała w stronę okna, dziewczyny już nie było na parapecie, tylko wiatr delikatnie poruszał firanką.

***

można mieć wszystko, żeby odejść
czas wiarę młodość własne siły
(...)
trzeba nic nie mieć
żeby wrócić
(Jan Twardowski)

Dusia zniknęła. Przez kilka dni nie dawała znaku życia, zupełnie jakby nigdy nie istniała. Magda łapała się na tym, że wygląda przez okno, żeby sprawdzić, czy dziewczyna nie stoi przy furtce albo nie siedzi na tarasie. Zostawiała klucze pod wycieraczką, na wszelki wypadek, a nawet przejrzała notes w poszukiwaniu numeru telefonu do małej przyjaciółki. Niestety, nie miała go. Właściwie powinna się cieszyć, bo jej życie znowu było spokojne i uładzone, ale jakoś nie potrafiła. Tęskniła za rozmowami z dziewczyną, za jej uśmiechem, radosnym sposobem bycia.

Pewnej niedzieli wybrała się do parku. Dusia często mówiła, że bardzo go lubi. Pogoda nie zachęcała do spacerów; słońce skryło się za chmurami, a wiatr wdzierał się pod poły długiego, kremowego swetra. Magda trochę żałowała, że nie włożyła kurtki i spodni, tylko zieloną, cienką sukienkę, ale chciała sprawić dziewczynie przyjemność. Jeśli ją spotka – a była tego dziwnie pewna.

Nie zawiodła się. Już po kilku minutach usłyszała dobrze znany śmiech. Spojrzała w stronę, z której dochodził, i ujrzała głowę z dwoma jasnymi warkoczami. Dusia kruszyła bułkę i rzucała okruszki gołębiom. Jeden nawet podszedł na tyle blisko, że mogła go dotknąć.

– Niesamowite – szepnęła Magda i aż stanęła z wrażenia. Nie chciała płoszyć ptaków, dlatego nie zawołała i nie podeszła. Postanowiła zaczekać na właściwy moment.

Dziewczyna tymczasem pobiegła wybrukowaną na czerwono alejką, jakby nie dostrzegła, że ktoś się jej przygląda. A Magda czuła, że przez chwilę patrzyła prosto na nią.

– Tak to nie będzie – mruknęła niezadowolona. – Najpierw za mną łazi, a później ignoruje. Już ja jej nagadam.

Ruszyła szybkim krokiem za Dusią. Widziała przed sobą jej drobną postać, wołała, ale daremnie. Niespodziewanie dziewczyna skręciła i wbiegła na klatkę schodową.

„No, ładnie – pomyślała Magda, pchając ciężkie drzwi bloku. – Jak ją teraz znajdę?”

– Dzień dobry – pozdrowił ją mężczyzna, trzymający na smyczy czarnego jamnika.

– A dzień dobry – odparła, przywołując na usta uśmiech. – Nie widział pan, gdzie pobiegła taka drobna blondynka z warkoczami?

– Widzieć nie widziałem, ale tutaj tylko jedna taka jest. Pod dziewięćdziesiątką mieszka.

– Dziękuję.

Skierowała się w stronę windy. Nie myślała o tym, co powie rodzicom dziewczyny, jak wyjaśni im dziwną, nieprawdopodobną wręcz przyjaźń. Chciała zobaczyć Dusię, porozmawiać, zapytać, dlaczego przestała przychodzić i co miało znaczyć jej dzisiejsze zachowanie. Czuła, że musi do niej pójść i już. Wątpliwości się pojawiły dopiero, gdy stanęła przed drzwiami, opatrzonymi numerem dziewięćdziesiąt. Wziąwszy głęboki oddech, nacisnęła dzwonek.

Chrzęst klucza w zamku uświadomił Magdzie, że za późno na ucieczkę.

– Dzień dobry – powiedziała do stojącego w drzwiach mężczyzny. Odpowiedzi jednak nie usłyszała. Wobec przedłużającego się milczenia, uniosła głowę… Ujrzała duże, niebieskie oczy, długi nos, pokryte wczorajszym zarostem policzki oraz małą

bliznę, przecinającą lewą skroń. Serce w jej piersiach mocniej zabiło, dłonie zadrżały, a w uszach zaszumiało. Znała tę twarz, ale…

– Madzia? – usłyszała cichy, trochę niepewny głos, którego nie mogłaby pomylić z żadnym innym.

– Paweł… – szepnęła. – Ja musiałam…

– Wejdź, proszę – odparł, robiąc przejście w drzwiach.

Przekroczyła próg, chociaż wcale nie była pewna, czy powinna to robić. Zastanawiała się, dlaczego Dusia tutaj mieszkała. Czyżby była córką Pawła? Nie, niemożliwe… Miała jakieś dwanaście lat… A jeśli…

– Zaszła jakaś pomyłka – powiedziała słabym głosem. Otworzyła torebkę i spróbowała wydobyć paczkę chusteczek. Nie były jej szczególnie potrzebne, po prostu musiała na czymś skupić uwagę, czym zająć drżące ręce. Foliowe opakowanie zaklinowało się jednak pomiędzy portfelem a kalendarzykiem.

– Zostaw. – Paweł ujął dłonie Magdy i mocno ścisnął. – Jeśli pomyłka, to najszczęśliwsza w moim życiu.

– Słucham?

Piwne oczy spotkały się z niebieskimi, aby odczytać historię pełną tęsknoty, samotności i rozczarowania.

– Przepraszam – szepnął mężczyzna. – Byłem strasznym egoistą. Do dzisiaj żałuję, że nie wyjaśniliśmy sobie wszystkiego na spokojnie. Ale… może nie jest za późno?

Patrzyła w nieco zmienioną czasem, kochaną twarz i bała się, że to wszystko jest snem, że zaraz się obudzi… Wszystkie wątpliwości minęły, kiedy poczuła, jak silne ramiona Pawła obejmują ją i przytulają bolącą od nadmiaru emocji głowę do szerokiej piersi.

– Tak bardzo tęskniłam – wyznała trochę wbrew sobie. Odwykła od zwierzeń, otwartości. Właściwie zawsze miała z tym problem. Pozwoliła zaprowadzić się do

pokoju i posadzić na krześle. Piła sok pomarańczowy, słuchając opowieści o życiu ukochanego mężczyzny, o samotności, dziwnych maniach, pustce wypełnianej pracą, i odnajdując podobieństwa do swojej własnej historii. Nagle wzrok Magdy zatrzymał się na fotografii, z której patrzyła znajoma twarz. – Kto to jest? – zapytała.

– Moja siostra, jedyna osoba, z którą mogłem o tobie rozmawiać. Nawet tak samo zdrabniałem jej imię. Możesz jej nie pamiętasz, bo gdy się spotykaliśmy, była małym szkrabem.

Magda podeszła do komody i wzięła do ręki zdjęcie. Paweł podążył za nią, jakby bojąc się, że ucieknie.

– Teraz pamiętam… – szepnęła, patrząc w niebieskie oczy dziewczyny. Już wiedziała, dlaczego wydawały się jej znajome: przypominały oczy Pawła. – Ja… właściwie przyszłam do niej. Mieszka z tobą?

– Zmarła rok temu – odparł smutnym głosem. – A na kilka minut przed śmiercią powiedziała, że… że zrobi wszystko, żebyś do mnie wróciła.

– Co ty mówisz? – zapytała z niedowierzaniem. – Rozmawiałam z nią kilka dni temu, dała mi to. – Wskazała na wisiorek w kształcie gwiazdki. – A dzisiaj tu trafiłam, bo biegłam za nią. Karmiła gołębie w parku…

Paweł dostrzegł panikę w oczach Magdy. Objął ją i zanurzył usta w miękkich włosach, chłonąc dobrze znany zapach.

– Zawsze dotrzymywała słowa – szepnął. – Tak jak ty.

Martyna Goszczycka

OBŁĄKANA

Beatrice, wściekła na cały Zaświat, zamaszystym krokiem przemierzała lśniące bielą korytarze pałacu. Jaskrawe promienie, wpadające przez wielkie, zaokrąglone u góry okna, raziły ją i zmuszały do mrużenia powiek. Czyste do połysku marmurowe płyty podłogi odbijały światło, migocząc nieznośnie. Jednak natrętne słońce było teraz najmniejszym problemem Nimfy Wody.

Niemal się pośliznęła, kiedy skręciła w odnogę korytarza, co zaraz skwitowała niezadowolonym pomrukiem i odruchowo poprawiła niebieską, sięgającą zgrabnych kolan tunikę. Spojrzała w głąb pomieszczenia, na drzwi widniejące na końcu korytarza: szerokie, wysokie, ze złotymi znakami i runami, które zdobiły białe drewno, skupiając się wokół kołatki w kształcie głowy węża. Długie, wyszczerzone kły gada trzymały ruchomą, złotą obręcz.

Beatrice poczuła, jak jej tętno przyspiesza, a policzki podbiegają krwią. Gniew znów wypełnił pierś, stanął w gardle w postaci niemożliwej do przełknięcia guli. Musiała się wyładować, musiała wykrzyczeć ogarniającą ją furię. To był słuszny gniew, miała do niego pełne prawo. Przez chwilę przypatrywała się posążkom i dzbanom poustawianym wzdłuż ścian. Były tak idealne i piękne, że tylko wzmagały jej złość. Może gdyby je zniszczyła, rzucając o ściany i kopiąc z całej siły, pozbyłaby się nadmiaru emocji, które ściskały jej skronie rozgrzaną obręczą. Jednak zacisnęła tylko powieki i przygryzła wargę, ruszając ku drzwiom pospiesznym krokiem, przechodzącym w bieg.

Mało brakowało, a zapomniałaby się i wtargnęła do sypialni z krzykiem. Z trudem wyhamowała, okiełznała uczucia i drżącymi palcami złapała za obręcz

kołatki, stukając nią kilkukrotnie. Nie otrzymywała odpowiedzi; chociaż minęło ledwie kilka mgnień oka, miała wrażenie, że stoi pod drzwiami całą wieczność. Nie wytrzymała i popchnęła je, wchodząc do pokoju sztywnym krokiem.

– Nie pozwoliłem ci wejść, Beatrice. Czego chcesz? – Słodki głos Mistrza skaził nieuprzejmy ton. Nimfa Wody zesztywniała, chociaż gniew nadal buzował w jej krwi.

Mężczyzna o blond włosach sięgających policzków siedział na skraju zasłanego szerokiego łoża o przezroczystych, kryształowych nogach. Odwrócony do Beatrice plecami, właśnie narzucał na siebie białe kimono.

Przez całą drogę wyobrażała sobie, co mu powie, jaką scenę urządzi i jakie wywrze to na nim wrażenie. Teraz jednak zabrakło jej słów i nie wiedziała, jak się zachować. Zacisnęła pięści i głośno przełknęła ślinę.

Mistrz podniósł się, szeleszcząc połami kimona, i podszedł do wykonanego z białego drewna biurka wykończonego na krawędziach złotymi ornamentami. Przekartkował jedną z ksiąg, zamknął ją i odłożył na stosik innych. Potem złapał za wysadzany diamentami kielich i odwrócił się, trzymając naczynie przy ustach. Przebiegłe spojrzenie turkusowych oczu sprawiło, że Beatrice zmiękły kolana.

– Mów, moja mała, bo powoli tracę cierpliwość.

Poczuła, jak pieką ją policzki oraz uszy.

– Tak, Mistrzu Dereku – wyszeptała, szukając w sobie zdecydowania, które przyprowadziło ją aż tutaj, ale zniknęło, gdy tylko usłyszała głos swojego Stwórcy. Kilka wspomnień z poprzedniej nocy przemknęło przed jej oczami w najmniej stosownym momencie. Zdeprymowała się. Serce zabiło mocniej, wargi zadrżały.

– Przyszłaś tu patrzeć na mnie i fantazjować?

Teraz piekła ją cała twarz i miała ochotę zapaść się pod ziemię. Spuściła wzrok, wzięła głęboki oddech i wreszcie wyrzuciła z siebie to, co ją dręczyło:

– Przyszłam tutaj, panie, żeby wyrazić swoje niezadowolenie – oznajmiła, z trudem znosząc rozbawiony uśmiech kwitnący na ustach Dereka. – Nie rozumiem, czemu to Sosha dostała misję w Krainie Wiecznego Lodu. Mówiłeś, że to dla ciebie niesłychanie ważne. A jeśli coś jest dla ciebie niesłychanie ważne, to dla mnie też. Dlatego sądzę, że powinieneś przydzielić tę misję mnie. Sosha… Ona cię nie rozumie, Mistrzu! Nie możesz mi tego zrobić! Czemu ona?! W czym jest lepsza ode mnie?! Wykonam to zadanie stokroć lepiej i powinieneś o tym wiedzieć, panie! – Gorycz zaczęła powracać i Beatrice powoli przestawała panować nad słowami. – Chcę, żebyś zmienił decyzję! To ja wykonam dla ciebie to zdanie, nie ona! I nigdy więcej nie zdradzaj mnie w ten sposób, Stwórco!

Kiedy zamilkła, oddychała szybko, czując, jak wreszcie uwalnia się od ciężaru, który miażdżył ją przez ostatnich kilka dni, kiedy nie mogła się zdecydować, czy powiedzieć Derekowi, co o tym wszystkim myśli, czy też udawać, że wszystko jest w porządku, by nie narazić się na jego gniew. Jednak, gdy tylko zniknął jeden balast, zaraz pojawił się następny. Przerażenie zmroziło ją od stóp do głów, bo właśnie dotarło do niej, że zachowała się w sposób, w jaki przy Mistrzu nigdy nie należało się zachowywać. Spojrzała na niego niepewnie; przykry dreszcz przebiegł jej po karku.

Wciąż lekko rozbawiony, przyglądał się jej spokojnie, popijając wino z kielicha. Nimfa Wody z trudem wytrzymywała jego milczenie, ale teraz nie odważyłaby się przerwać zalegającej w pokoju ciszy. Już i tak pozwoliła sobie na zbyt wiele.

– Brawo – skomentował wreszcie Mistrz. – Rzadko pokazujesz mi swoją prawdziwą twarzyczkę. Zwykle jesteś taka tylko przy swoich siostrach. Ja jestem zmuszony oglądać cię potulną, pokorną i… nudną.

Zabolało, jednak przełknęła przytyk i spróbowała się wytłumaczyć:

– To dlatego, że chcę być ci posłuszna, Mistrzu. Przecież nie lubisz, kiedy…

– Milcz – przerwał. – Chyba źle mnie zrozumiałaś. To, że przelecę cię od czasu do czasu, nie znaczy, że umieszczam cię na jakimś piedestale. Każda z was ma swoje

wady i zalety. Sosha jest rozsądna i inteligentna, ty jesteś dobra w łóżku. Dlatego to ona wybierze się do Krainy Wiecznego Lodu, nie ty. Czy to jasne?

Krew odpłynęła z twarzy Beatrice, w piersi dotkliwie zakłuło, a upokorzenie na dłuższą chwilę pozbawiło ją mowy. Otwierała i zamykała usta, nie potrafiąc wydusić z siebie niczego sensownego. A kiedy wreszcie zdobyła się na słowa, ledwo przechodziły jej przez gardło.

– Ale Mistrzu… Myślałam, że jestem dla ciebie…

– Kimś wyjątkowym? – wtrącił lekceważącym tonem, pociągając kolejny łyk wina. – Wszystkie cztery jesteście dla mnie wyjątkowe. Stworzyłem was, jesteście moimi dziełami. Moimi dziećmi. Czy dobry ojciec traktuje jedno dziecko lepiej od pozostałych? Nie. I zapamiętaj to sobie.

– Panie… Przecież wiesz, że one nie kochają cię tak jak ja – mamrotała, nie bez problemu powstrzymując łzy cisnące się do oczu. – Darzę cię wyjątkowym uczuciem i…

– I to ja będę wybierał sposoby, jakimi mi to uczucie okażesz.

Zacisnęła wargi w wąską linię, zdusiła narastający żal. Nie chciała się korzyć, ale już i tak została zdegradowana do roli dziwki, więc czy mogło jej zaszkodzić błaganie na kolanach. Bo to właśnie zrobiła – zbliżyła się gwałtownie, upadła przed nim i uczepiła się kurczowo jego szat, zanurzając głowę w fałdach kimona.

– Błagam cię, Mistrzu… Chcę dostać tę misję, chcę ją wykonać dla ciebie… Chcę ci udowodnić moje uczucie inaczej niż zwykle… – Łkała, nie powstrzymując dłużej łez. – Błagam cię…

Derek nie poruszał się, nic nie mówił, a kiedy kątem oka zerknęła na jego twarz, zobaczyła, że nadal spokojnie popija wino, nie racząc zaszczycić jej choćby spojrzeniem. Poczuła się gorzej, niż gdyby ją kopnął jak skomlącego psa. Ale znała już ten ból, znała go bardzo dobrze i właściwie… nawet ten ból lubiła.

– Mam dwa warunki – powiedział nagle Mistrz, odstawiając pusty kielich na biurko. Beatrice poderwała głowę i uśmiechnęła się z nadzieją, ocierając dłonią mokre policzki.

– Zrobię wszystko, co zechcesz, Stwórco…

– Musisz przekonać Soshę, żeby odstąpiła ci to zdanie. Musisz też przekonać mnie, moja mała. – Pogłaskał ją po głowie i wplótł palce we włosy, na co zamruczała jak kotka, nie potrafiąc się opanować.

– Jak… Jak mam cię przekonać, Mistrzu?

Zaśmiał się cicho, po czym westchnął z politowaniem.

– Rób to, co potrafisz najlepiej.

Serce zatłukło w klatce żeber, po ciele przebiegł przyjemny dreszcz. Pokiwała głową z żarliwym uśmiechem i drżącymi z przejęcia dłońmi, nie podnosząc się z klęczek, zaczęła odwiązywać pasek przytrzymujący hakama[2]

***

Wyszła z sypialni Mistrza na drżących nogach, ocierając usta chusteczką, którą jej ofiarował. Kiedy skończyła „proces przekonywania", nie powiedział słowa na temat tego, czy się jej udało. Stwierdził tylko, że jest zadowolony i że jej umiejętności rosną z każdym następnym razem. Nadal miała przed oczami jego lubieżny uśmiech i podniecone spojrzenie. Ale to akurat było normalne – zawsze długo pamiętała wyraz jego twarzy po tym, jak mu dogodziła. Zresztą sama też nie narzekała na brak doznań i cieszyła się, że właśnie z nią Mistrz dzieli te wyjątkowe przeżycia. Żadna inna Nimfa nie była traktowana przez niego w ten sposób. Wyjątkowy. Tylko ona.

Uśmiech mimowolnie wpłynął na jej usta, a serce zakołatało szybciej, gdy powróciło bardziej intymne wspomnienie. Beatrice była zadowolona nie mniej od

2 Spodnie tradycyjnego stroju japońskiego.

Mistrza. Nie spodziewała się takiego zakończenia rozmowy. Ale niepotrzebnie się obawiała; dobrze zrobiła, decydując się na konfrontację z Derekiem.

Przekonanie Mistrza mam już raczej za sobą. Teraz pozostało namówić Soshę do zmiany zdania. Zmarszczyła czoło, nerwowo wygładzając długie jasne włosy. Chwyciła jeden kosmyk i zaczęła gryźć go nerwowo. Zdawała sobie sprawę, że wbrew pozorom Sosha jest bardziej uparta niż Derek. No i wobec niej nie mogła zastosować tych samych metod, co wobec Mistrza. Za pozytywną okoliczność należało uznać fakt, że aktualnie wszystkie cztery Nimfy znajdowały się w pałacu Stwórcy – szykowało się coś ważnego, o czym nie chciał im zbyt wiele mówić. Jednak zażądał, by przeniosły się ze swoich Krain i na dłuższy czas zamieszkały razem z nim. W razie potrzeby mogły wrócić do siebie bardzo szybko, dzięki wewnątrz-światowym teleportom – posiadał ich w pałacu cztery, każdy łączył się z portalem znajdującym się w siedzibie jednej z sióstr.

Nimfy wyczuwały się nawzajem, dlatego Beatrice doskonale wiedziała, gdzie szukać Soshy. Przemierzała korytarz za korytarzem, mijając krzątającą się i zginającą w ukłonach służbę, aż dotarła pod drzwi jednego z wielu pokoi. Stała pod nimi chwilę, nasłuchując dobiegających zza ściany śmiechów, po czym prychnęła rozzłoszczona i wtargnęła do pomieszczenia bez pukania.

Chichoty ucichły, zamarły urwane w pół słowa, a dwie zmienione zdziwieniem twarze zwróciły się w kierunku Beatrice. Pokoik, w którym się znajdowały Nimfy Wiatru i Ziemi, wypełniały zakurzone regały zastawione książkami. Było to jedno z tych pomieszczeń, do których Derek wpuszczał służbę bardzo rzadko, w obawie, że uszkodzą tomiszcza lub chociażby zmienią ich położenie. Tymczasem Sosha właśnie odkładała jedną ze starych ksiąg na półkę.

– Co wy tu robicie? – wycedziła Beatrice. – Nie wiecie, że Mistrz nie życzy sobie niczyjej obecności w tym miejscu?

Neiliel, najmłodsza z sióstr, od razu pokornie opuściła głowę. Była niewysoka, miała nastoletnie ciało oraz długie czarne włosy. Schowała dłonie za plecami i zaczęła kołysać się na piętach w przód i w tył. Zerknęła na Nimfę Wody niepewnie, jak skarcone dziecko.

– Nie musisz się od razu tak wściekać, Bea.

– Mam pozwolenie od Mistrza na korzystanie z jego ksiąg – dodała Sosha, wysoka kobieta o poważnej twarzy i jasnych włosach związanych w koński ogon; surowość jej rysów podkreślała przepaska zasłaniająca jedno oko.

Beatrice prychnęła, wpatrując się w starszą siostrę nienawistnym wzrokiem. A więc Sosha dostała pozwolenie Mistrza… Zbytek łaski. Przestało się to Beatrice podobać. Za dużo powierzał tej zarozumiałej wietrznej idiotce. Za bardzo jej ufał, zbyt wielkie względy okazywał.

– Ty masz pozwolenie – odparła. – Ale co tu robi Nel?

– Wzięłam ją ze sobą, przecież niczego nie zniszczy.

– Ale Mistrz wpuścił tu tylko ciebie. Nie słuchasz jego poleceń. Mam mu donieść o twojej niesubordynacji?

Sosha westchnęła ponuro i pokręciła głową, krzywiąc się z dezaprobatą.

– Przestań robić sceny, Beatrice, i to o nic.

Nimfa Wody zmrużyła oczy i uśmiechnęła się ironicznie.

– Ciekawe, jaką ty scenę odegrasz przed Mistrzem, kiedy mu powiem, że…

– Mów. – Sosha wzruszyła ramionami. – Wątpię, żeby jakkolwiek mnie ukarał. Ufa mi. A Neiliel jest tu pod moim okiem.

Beatrice straciła cierpliwość, długimi krokami zbliżyła się do Wietrznej i szarpnęła ją boleśnie za ramię.

– Za kogo ty się masz, co?! Nie wyobrażaj sobie, że Mistrz traktuje cię w wyjątkowy sposób!

Sosha cofnęła się, stanowczo odpychając siostrę od siebie. Zmierzyła ją od stóp do głów zimnym spojrzeniem srebrnego oka.

– Uspokój się. O co ci znowu chodzi? Żadna z nas nie pcha się między ciebie a Mistrza.

Nimfa Wody zadarła podbródek, ale nie skomentowała tej uwagi. Wzięła głęboki oddech i postanowiła przejść do rzeczy, chociaż podejrzewała, że po takim wstępie przekonanie Soshy do zmiany zdania będzie jeszcze trudniejsze.

– Muszę z tobą porozmawiać o misji w Krainie Wiecznego Lodu.

Nimfa Wiatru ściągnęła brwi. Neiliel, obserwująca siostry z niepokojem, nadstawiła uszu.

– Mistrz zabronił mi rozmawiać o tym z kimkolwiek. Sama wiem tylko tyle, ile muszę wiedzieć, by wypełnić zadanie.

– Mistrz zmienił zdanie – oznajmiła twardo Beatrice. – Neiliel, wynoś się stąd. Zostaw nas same.

Najmłodsza z sióstr już otwierała usta, by coś powiedzieć, może nawet zbuntować się, ale wystarczyło, że Sosha zerknęła na nią porozumiewawczo. Nel westchnęła zrezygnowana, wyminęła obie kobiety i wymknęła się z pokoju niespiesznym, miękkim krokiem. Beatrice dokładnie zamknęła za nią drzwi biblioteki i wsparła się plecami o regał, krzyżując ramiona na piersi.

– Co masz na myśli, mówiąc, że Mistrz zmienił zdanie? – Sosha stanęła naprzeciwko siostry.

– Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałam. Poprosiłam go, by to mnie przydzielił twoją misję. Na początku wahał się, jednak przekonałam go i teraz jest zadowolony z takiego obrotu sprawy.

– Ach, rozumiem… Przekonałaś go. To dlatego masz takie rozbiegane i błyszczące oczy?

Beatrice tylko zmrużyła powieki. Była przyzwyczajona do takich zagrywek i dawno już przestały robić na niej wrażenie. Zresztą, czemu miałaby się przejmować? Nie robiła niczego złego.

– Nic ci do tego. Mistrz się zgodził i to jest najważniejsze. A skoro Mistrz się zgodził, ty też powinnaś.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Jesteś młodsza ode mnie, mniej doświadczona, a Kraina Wiecznego Lodu to bardzo surowe miejsce. Możesz sobie nie poradzić. Dziwię się, że Mistrz się zgodził. Naraża cię w ten sposób.

– Nie naraża! – wybuchnęła Bea. – Nigdy by mnie nie naraził! Wie, że sobie poradzę, dlatego przystał na moją prośbę. Wierzy we mnie! A ty… masz zamiar sprzeciwiać się jego woli?

– Wolą Mistrza było, abym to ja wypełniła zadanie w Krainie Lodu. Ty nie jesteś odpowiednią osobą do tej misji.

W Beatrice aż się zagotowało z wściekłości; czuła, jak zalewa ją i rozpiera lodowata furia, ale tym razem powstrzymała wybuch. Wiedziała, że z Soshą należało postępować ostrożnie. Erupcja gniewu w niczym by nie pomogła. Musiała znaleźć rozsądne argumenty.

– Mówisz, że mam mało doświadczenia. Być może, ale jestem Nimfą tak samo jak ty, władam Krainą Wody, tak jak ty władasz Krainą Wiatru. Nie jestem w niczym gorsza od ciebie.

– Oczywiście, pod tym względem masz rację. Jednak Zaświat to nie tylko cztery Krainy, którymi władamy. Istnieją również inne odległe terytoria, na których nigdy nie miałaś okazji postawić stopy.

– Ty też kiedyś zaczynałaś. Kraje, o których mówisz, również były ci kiedyś obce. Póki ich nie odwiedziłaś. Znajduję się teraz w takiej samej sytuacji, w jakiej ty byłaś wieki temu. Każda z nas musi w końcu spróbować.

– To nie jest twój czas, uwierz mi.

– To ja o tym zdecyduję – wycedziła Beatrice, zmagając się z narastającą irytacją.

– Neiliel również upiera się, że to już jej czas, że powinna już wyjść poza nasze Krainy. I co, ją też byś puściła?

– Nel jest ode mnie o wiele młodsza, to oczywiste, że musi jeszcze długo poczekać. Ale nie porównuj jej ze mną. Żyję o wiele dłużej niż ona.

– To żaden argument – upierała się niewzruszona Nimfa Wiatru. Jedno Beatrice musiała jej przyznać: Sosha umiała irytować tym swoim niezłomnym opanowaniem.

Bea wzięła głęboki oddech i zbliżyła się do siostry w dwóch szybkich krokach. Tamta nawet nie drgnęła, wciąż mierząc jasnowłosą nimfę surowym spojrzeniem srebrnego oka.

– Wiem, że może nie układa się między nami zbyt dobrze. Wiem, że dużo lepiej dogadujesz się z Nel, ale mimo wszystko jesteś także moją siostrą. Powinnyśmy się wspierać. Ta misja jest dla mnie ważna. Chcę pokazać Mistrzowi, że do czegoś się nadaję. Do czegoś więcej niż… – Przygryzła wargę i spuściła wzrok, nagle zawstydzona, co zdziwiło ją samą.

– To może po prostu przestań mu dawać? – zaproponowała brutalnie Sosha.

Beatrice zacisnęła dłonie w pięści, aż zbielały jej kostki. Z trudem, ale powstrzymała się przed uderzeniem siostry w twarz. Nimfa Wiatru była silniejsza. Bójka z nią nie miała sensu, ale nie mogła pozwolić, by sprowadzała jej związek z Mistrzem do brania i dawania.

– Nie daję mu… – syknęła oburzona, obrzucając Soshę nienawistnym spojrzeniem. – Nie określaj tego w ten sposób. Nie rozumiesz zażyłości między nami.

– Nie zrozumiem i nie chcę rozumieć – stwierdziła Nimfa Wiatru.

– Oczywiście, bo to dla ciebie za trudne, tak samo jak dla Neiliel i Charlotte. Nie pojmiecie tego nigdy. Ale i nie zabierzecie mi tego. Odczuwam przyjemność, obcując z Mistrzem, dlatego nie mam zamiaru z tego zrezygnować.

Wreszcie na poważnej twarzy Soshy pojawiła się jakaś żywsza emocja. Wykrzywiła twarz w grymasie odrazy i przez chwilę nie mogła znaleźć słów. Beatrice wykorzystała to, by kontynuować swoją przemowę:

– Ale nie w tym rzecz. Pozwól mi wypełnić tę misję, pozwól mi pokazać, że jestem użyteczna. Proszę cię, siostro. Jeśli nie chcesz oddać mi swojego zadania, to przynajmniej pozwól, żebym ci towarzyszyła. Będziesz miała mnie na oku.

– Staniesz się tylko dodatkowym kłopotem, Bea, i nie mówię tego złośliwie. Kraina Wiecznego Lodu to naprawdę wymagające miejsce. Będę musiała dbać o siebie, będę musiała uważać na każdy swój krok. Jeśli miałabym pilnować jeszcze ciebie… Naraziłabyś tylko misję na niepowodzenie.

– Sama będę siebie pilnować. Proszę cię, Sosh…

– Muszę się zastanowić i pomówić z Mistrzem.

***

Beatrice była zazwyczaj dość cierpliwa, ale nie w sprawach, które tyczyły Mistrza. Dlatego, nie potrafiąc usiedzieć na miejscu, postanowiła odwiedzić Charlotte. Z Nimfą Ognia – swoją drugą starszą siostrą – lepiej się dogadywała. Nie było jednak między nimi takiej więzi jak między Soshą a Neiliel. Nie chichotały razem, nie rozprawiały o wszystkim i o niczym; często też się kłóciły, bo obie posiadały gwałtowny charakter (przy czym Charlotte była dużo bardziej porywcza i agresywna). Władały przeciwstawnymi żywiołami – pewnie dlatego jednocześnie ciągnęło je do siebie i odpychało.

Beatrice znalazła Nimfę Ognia w jednym z pokoi gościnnych, którego całe umeblowanie stanowiły eleganckie łoże z kryształowymi nogami i lśniąca szafka z białego drewna, zastawiona buteleczkami perfum i pudełeczkami kremów. Do pomieszczenia wpadało dużo słońca, gdyż okna sięgały od podłogi niemal po sufit.

Charlotte wylegiwała się na łóżku w samej bieliźnie, skąpana w promieniach słońca migoczących wśród rozsypanych na poduszce ognistych loków.

Kiedy Nimfa Wody zatrzymała się w progu, Charlotte zerknęła na nią pobieżnie i skinęła przyzwalająco dłonią. Przeciągnęła się, strzykając stawami.

– Masz do mnie jakąś sprawę, Beatrice? Ostrzegam, że nie jestem w zbyt dobrym nastroju. Wczoraj musiałam wracać teleportem do Krainy Ognia, by rozstrzygnąć spór arystokratów rządzących dwoma przyległymi dzielnicami. Kusiło mnie, żeby zabić jednego z nich, tego, który najwięcej się pluł, i oddać jego lenno temu drugiemu. Ale wieeesz… – teatralnie rozłożyła ramiona i przewróciła oczami – musiałam rozwiązać problem dyplomatycznie, bo Mistrz nie pochwala moich metod.

– Ty nigdy nie masz dobrego humoru – skwitowała Beatrice, siadając na przeciwnym skraju łóżka, plecami do siostry i nachalnego słońca.

Charlotte prychnęła głośno i poruszyła się gwałtownie. Materac zaskrzypiał z cichym protestem.

– Po co tu przylazłaś?

– Byłaś już w krajach poza naszymi Krainami, prawda? Jak przekonałaś Mistrza i Soshę, żeby zgodzili się na twoją podróż?

– Nie zgodzili się. Po prostu zrobiłam, co chciałam, zwiałam im i wybrałam się tam na własną rękę. Nie szukali mnie nawet, pewnie uznając, że szybko zginę. Ale kiedy wróciłam cała i zdrowa, nigdy więcej już nie zabraniali mi opuszczać Krain.

– Więc wystarczy, jeśli zrobię to samo…

Charlotte poderwała się z łóżka.

– Chyba śnisz! – wrzasnęła.

Beatrice wzruszyła ramieniem i zaplotła ręce na piersi, ignorując porywczą reakcję siostry. Uśmiechnęła się ironicznie pod nosem.

– Ty mogłaś, to ja też. I nikt mi nie stanie na drodze. Wystarczy, że dowiem się, czego dokładnie Mistrz oczekuje i wykonam tę misję przed Soshą.

– Mistrz, Mistrz, w kółko Mistrz! Czy ty umiesz myśleć o czymś innym?! Może tak raz pomyślisz o własnym tyłku?!

Wrzaski Charlotte nie robiły na Beatrice wrażenia. Przywykła do jej wybuchowego temperamentu. Nimfa Ognia zawsze była taka narwana.

– Chcę, żeby zaczął mnie bardziej zauważać, Char. Chociaż ty to zrozum.

Ognistowłosa nerwowo krążyła po pokoju, a gdy mówiła, mocno gestykulowała.

– No, oczywiście! Rozumiem aż za dobrze! Ale ty jesteś ślepa! On doskonale cię zauważa! Widzi w tobie ciało, po które może sięgnąć w każdej chwili, wykorzystać, a potem odstawić w kąt, kiedy zabawa mu się znudzi!

– Przestań go oczerniać… – wycedziła Beatrice.

– Będę go oczerniać, ile wlezie, skoro ty jesteś za głupia, żeby dostrzec brutalną prawdę!

Nimfa Wody zerwała się na równe nogi i stanęła naprzeciw siostry, wpatrując się w nią wyzywająco.

– Nieważne! Zrobię, co zechcę. Nie przekonasz mnie, bo nie jesteś w stanie pojąć moich pobudek!

Charlotte nie umiała się hamować tak jak Beatrice. Nie tyle nie panowała nad swoimi emocjami, co wręcz dawała im sobą rządzić. Dlatego bez namysłu zamachnęła się i z całej siły uderzyła młodszą siostrę w twarz.

Beatrice przez chwilę trwała w bezruchu, z odchyloną głową, zastygła, zszokowana i rozgoryczona, choć przecież nie pierwszy raz Charlotte ją spoliczkowała. Łzy stanęły jej w oczach – również nie pierwszy raz.

– Ty kretynko! – krzyczała tymczasem Charlotte. – Martwimy się o ciebie! Nie wiem, jak Sosha i Nel, ale ja się martwię! Nie dość, że pozwalasz Mistrzowi traktować się jak ostatnią szmatę, to jeszcze teraz chcesz wystawiać się na takie niebezpieczeństwo? Tylko po to, by zdobyć u niego parę punktów? Jesteś nienormalna!

– Myślałam, że mnie zrozumiesz… – wysyczała rozgniewana i upokorzona Beatrice.

– Ale nie rozumiem! Nikt cię nie rozumie! Pewnie nawet sam Mistrz ma z tym problem, mimo że bezwzględnie wykorzystuje twoją durnotę!

– Zrobię, co zechcę – powtórzyła Beatrice. Odwróciła się na pięcie i zdecydowanym krokiem ruszyła do wyjścia.

– O nie, nic nie zrobisz! – zawołała za nią Charlotte i nim Nimfa Wody zdążyła zareagować, została powalona przez siostrę. I zaczęła się szarpanina.

Kotłowały się po podłodze, drapały, biły po twarzach, syczały jak kotki i żadna nie chciała ustąpić. Kilka buteleczek zleciało z szafki i stłukło się z trzaskiem, kiedy walczące kobiety uderzyły o mebel. Jednak potyczka nie trwała długo. Chociaż Beatrice była zawzięta i nieustępliwa, Charlotte przerastała ją siłą i szala zwycięstwa szybko przechyliła się na stronę Nimfy Ognia. Usiadła młodszej siostrze na plecach i dłonią przytrzymała ją za kark. Podrapana i poobijana Beatrice nawet nie próbowała zrzucić z siebie przeciwniczki.

***

Ćwierć świecy później obie stały przed Mistrzem. Charlotte zaciągnęła Beatrice do jego gabinetu siłą. Pomieszczenie, w którym się znalazły, niewiele różniło się od biblioteki, poza tym że pośrodku wypełnionego regałami pokoju znajdowało się stare mahoniowe biurko. Siedział za nim Mistrz. Na ramiona narzucił ciemny płaszcz, który zapewne miał chronić przed kurzem jego białe ubranie.

Derek wpatrywał się w obie Nimfy z politowaniem. Charlotte wysoko zadzierała podbródek, dumna – mimo rozciętej wargi i podbitego oka. Beatrice niepewnie zerkała na Stwórcę, wciąż czując zapach krwi oraz pieczenie podrapanej dotkliwie szyi. Odniosły powierzchowne rany, które szybko się wygoją, zwłaszcza na

odpornych ciałach Nimf, ale na razie obrażenia były widoczne i jawnie obrazowały, co się stało.

– Dorosłe kobiety, władczynie Krain, przychodzą do mnie, by rozstrzygnąć swoją dziecinną bójkę? – Mistrz zdawał się balansować na granicy między rozbawieniem a gniewem.

– Przychodzimy do ciebie jak córki do ojca, Mistrzu – skorygowała Charlotte.

– Zdawało mi się, że moje córki to dojrzałe kobiety, a nie rozpuszczone bachory.

– Musiałam ją jakoś powstrzymać, Stwórco! – uniosła się od razu Nimfa Ognia. – Nie wyobrażasz sobie nawet, co przyszło jej do tej pustej głowy?! Chce uciec z Krain, żeby wykonać misję Soshy! I zamierzała to zrobić bez twojej wiedzy!

– Nie sądziłem, że posuniesz się aż tak daleko. – Derek prześliznął spojrzeniem po zdenerwowanej Beatrice, uśmiechając się przy tym lekko. – Sosha już ze mną rozmawiała… Spotkałaś się z nią, hm, prawdę mówiąc, wątpiłem, byś odważyła się choćby na to. Tymczasem, proszę, ty na dodatek planujesz ucieczkę. Coraz bardziej mi się podobasz, moja mała.

Nimfa Wody drgnęła, rumieniąc się, natomiast Charlotte wzniosła oczy ku górze, powstrzymując się od komentarza.

– To wszystko nie zmienia jednak faktu – kontynuował Derek – że nadużywasz mojej cierpliwości. Nie dostaniesz tej misji. Możesz o niej zapomnieć.

– Ale, panie! Przecież mówiłeś, że…

– Nie pamiętam, żebym wyraził wtedy ostateczną zgodę na twoją eskapadę. A Sosha przekonała mnie, że to zły pomysł. Co gorsza wykazałaś się taką determinacją, że nie mam innego wyboru, jak potraktować cię Zaklinaczem, dopóki Sosha nie wróci z misji.

Nimfę Wody oblał zimny pot, jej oczy rozszerzyło przerażenie.

– Nie, Mistrzu, błagam, tylko nie Zaklinacz… Będę już posłuszna… Nie chcę już tej misji – mamrotała, cofając się chwiejnie do wyjścia.

Jednak Derek skinął na Charlotte, która złapała wystraszoną, dygoczącą siostrę za ramiona, nie pozwalając jej odejść. Mistrz wysunął jedną z szufladek biurka i wyciągnął z niej srebrną obrożę, rozwartą. Podniósł się i wolno podszedł do Nimf; ignorując jękliwe prośby Beatrice oraz jej próby wyrwania się z uścisku, zatrzasnął Zaklinacz na smukłej szyi.

***

Zaklinacz nie tylko blokował moc Nimfy, przez co nie mogła używać żywiołu; odbierał jej też siły, sprawiając, że im dłużej nosiła przeklętą obrożę, tym robiła się słabsza. Dlatego Beatrice nie miała szans na ucieczkę ze swojej celi.

Nie została pozbawiona wygód. Duże łóżko, czysta, przestronna komnata, z okien której rozpościerał się widok na świat. Więzienie Nimfy można by nazwać zwykłym pokojem, gdyby w drzwiach i oknach nie połyskiwała magiczna bariera – stworzona zaklęciem Magii Rytualnej, którą Derek uwielbiał stosować.

Z trudem podeszła do okna, powłócząc nogami i opierając się o ścianę. Na zewnątrz panował mrok, lecz nie potrafiła zasnąć. Nie po tym wszystkim, co się zdarzyło. W ciągu jednego dnia została tyle razy upokorzona, że wolałaby nigdy się nie narodzić. A raczej – nigdy nie powstać. A przecież chciała tylko zadowolić Mistrza.

Spędziła w swojej komfortowej celi ponad tydzień, nudząc się niemiłosiernie. Służba codziennie przynosiła jedzenie, choć jako Nimfa mogła bardzo długo wytrzymać bez pokarmu. Zresztą w ogóle nie miała apetytu. Taca z nieruszonym posiłkiem była zabierana i zastępowana nową. I tak dzień za dniem.

Nimfa Wody spędzała czas na bezczynnym leżeniu – to na łóżku, to na podłodze – lub na wpatrywaniu się w krajobraz za oknem, w ciągnące się daleko ogrody, okolone żywopłotami i stopniowo opadające w dół po zielonym zboczu. Frustrujący widok, bo… mogła jedynie patrzeć.

Pewnego dnia odwiedziła ją Charlotte, by poinformować że Sosha właśnie wyruszyła na misję. Beatrice przemilczała to, nie mając sił ani ochoty na komentarz. Bardzo pragnęła spotkać się z Mistrzem, ale ten pojawił się dopiero wtedy, kiedy postanowił zakończyć jej areszt.

Bariery z pokoju zostały zdjęte krótko przed powrotem Soshy. Derek zdecydował się uwolnić Beatrice, gdyż noszenie Zaklinacza osłabiło Nimfę do tego stopnia, iż nie byłaby w stanie samodzielnie opuścić pałacu. Ona sama wiedziała, że nie zdołałaby o własnych siłach opuścić nawet pokoju.

Leżała w pościeli, pozbawiona wszelakich chęci do życia. Kiedy Mistrz ją odwiedził, nie potrafiła wykrzesać z siebie iskry entuzjazmu, nie umiała okazać radości. Nawet uśmiechanie się stanowiło problem. Pierwszy raz podczas swojego naprawdę długiego życia nosiła Zaklinacz przez ponad tydzień. Dotąd nie miała pojęcia, co dzieje się z ciałem i umysłem Nimfy po tak długim okresie blokowania jej mocy przez to przeklęte urządzenie.

Derek przysiadł na skraju łóżka i delikatnie dotknął palcami srebrnej obroży. Coś pstryknęło i Zaklinacz otworzył się, pozwalając się zdjąć – mógł tego dokonać tylko ten, kto go założył. Jasnowłosa Nimfa spojrzała na Mistrza mętnym wzrokiem. Jego przystojna, choć skażona przebiegłością twarz rozmazywała się przed jej oczami. Derek pogłaskał ją po włosach.

– No i proszę… Do jakiego stanu się doprowadziłaś. Mam tylko nadzieję, że wyciągnąłeś z tego wnioski.

Nie odpowiedziała, brakowało jej sił choćby na skinięcie głową. Mrugnęła tylko powiekami, po czym odetchnęła ciut głębiej, na próbę. Niestety na razie nie odczuła żadnej różnicy. Nadal miała wrażenie, jakby Zaklinacz znajdował się na jej szyi. Potrzebowała czasu – dużo więcej czasu – aby wrócić do normy.

Derek nadal głaskał ją po głowie.

– Będę dla ciebie łaskawy i w zamian za twoje cierpienie, tobie jednej zdradzę, co takiego planuję.

Serce Beatrice od razu zabiło mocniej. Wreszcie! Wreszcie docenił ją i chciał powierzyć tajemnicę, której inne Nimfy nie znały. Wyróżniona, spróbowała podziękować: jej spierzchnięte wargi drgnęły, układając się w niemrawy uśmiech.

– Sosha wyruszyła po Lodowy Kwiat. Wie tylko tyle, że go potrzebuję. Nie wie jednak, w jakim celu.

– W… jakim…? – wychrypiała, zaintrygowana pomimo zmęczenia.

W oczach Dereka błysnęło szaleństwo.

– Stworzę piątą Nimfę.

Beatrice zaparło dech w piersiach. Otworzyła usta, ale zabrakło jej słów. Przypatrywała się Stwórcy zdumiona, strwożona, mając nadzieję, że to jakiś okrutny żart. Mimowolnie zacisnęła palce na pościeli i rozkasłała się, kiedy próbowała wziąć głębszy oddech. Do oczu napłynęły łzy.

– Mistrzu… Przecież to… – zaczęła, gdy już opanowała duszności. – To wbrew naszym prawom, wbrew prawom Nimf! Nie możesz!

Pochylił się błyskawicznie i złapał ją za szyję, długie palce zacisnęły się w żelaznym uchwycie, pozbawiając ją tchu. Jęknęła chrapliwie, szeroko rozwierając wargi. Mistrz patrzył na nią z góry, nieruchomymi oczami węża.

– Mogę wszystko i nigdy więcej nie waż się tego podważać, mała dziwko – wycedził przez zaciśnięte zęby, po czym puścił Nimfę, wyprostował się i uśmiechnął słodko. – Będziecie miały nową siostrę.

Łzy pociekły po policzkach Beatrice. Nie otarła ich. Sił starczało jej tylko na płytkie, krótkie oddechy. Była wykończona fizycznie i psychicznie, zdruzgotana powierzoną jej tajemnicą, którą przecież tak bardzo pragnęła poznać…

– Prawa Nimf, panie…

– To ja je ustaliłem i mogę z nimi zrobić, co zechcę – oznajmił spokojnie, z lisim uśmiechem. – Nie wierzysz we mnie, Beatrice? W moje możliwości?

– Wierzę w ciebie, Mistrzu… I chcę tego, czego ty chcesz, zawsze… – wymamrotała, w duchu próbując przekonać samą siebie do tego obłąkanego pomysłu.

***

Nimfa Wody była w stanie wyjść z pokoju o własnych siłach dopiero kilka dni po powrocie Soshy. Bardzo ją to irytowało, bo nie mogła uczestniczyć w rozmowach, jakie Derek prowadził z pozostałymi siostrami. Nie miała też okazji zobaczyć Lodowego Kwiatu – wiedziała tylko, że Nimfie Wiatru udało się go zdobyć i że przekazała go Stwórcy.

Kiedy wreszcie mogła przemierzać korytarze, acz chwiejnym jeszcze i powolnym krokiem, niemal od razu natrafiła na drzwi otoczone magiczną, migotliwą barierą. Jakby ją tu coś przyciągnęło. Dodatkowo drzwi kryła zasłona z białej, pomarszczonej tkaniny. *To tutaj Mistrz tworzy tę nową Nimfę...* – pomyślała, wzdrygając się. Każda z nich „rodziła się" w zaciszu pokoju, do którego wstęp miał tylko Derek.

Zamyślona, wpatrzona w drzwi Beatrice ocknęła się, gdy usłyszała odgłos kroków, dobiegający z odnogi korytarza. Wyczuła, że zbliża się któraś z sióstr. Zmarszczyła czoło, czekając.

Z zakrętu wyłoniła się Neiliel o ciele nastolatki, odziana w sukienkę w grochy. Na widok Beatrcie zatrzymała się i zaskoczona zamrugała powiekami.

– Beatrice…? Stanęłaś na nogi…

– Jak widać – skwitowała szorstko.

– Nie powinnaś wychodzić sama, jesteś jeszcze bardzo słaba – zmartwiła się Nel. – Trzeba było kogoś powiadomić, żeby ci towarzyszył.

– Przestań chrzanić – burknęła Beatrice, choć czuła drżenie nóg. Wskazała ruchem głowy na zasłonięte drzwi. – To tutaj, prawda?

Neiliel spochmurniała i przytaknęła, zbliżając się ostrożnie.

– Mistrz w ogóle nas nie słuchał. Sosha nie miała pojęcia, że Lodowy Kwiat będzie potrzebny Stwórcy do przebudzenia kolejnej Nimfy. Do głowy by jej to nie przyszło i w dobrej wierze zdobyła to, czego chciał. A on… po prostu wykorzystał jej ufność.

– Nie krytykuj go – mruknęła Beatrice.

– Przecież tobie też się to nie podoba.

– Ale to nie znaczy, że wolno ci obrażać Stwórcę. Przekonam go jeszcze, żeby zmienił zdanie. Wy najwidoczniej nie postarałyście się zbyt dobrze. – Omiotła młodszą siostrę wyniosłym spojrzeniem i ruszyła przed siebie słabym krokiem. Kiedy mijała Neiliel, Nimfa Ziemi zadarła buntowniczo podbródek.

– Najpierw zajmij się sprawami swojej Krainy. Odwalałyśmy całą robotę za ciebie, kiedy odbywałaś karę.

Beatrice zignorowała ten przytyk. Sprawy Krainy mogły poczekać. Miała teraz coś o wiele ważniejszego na głowie. Skierowała się do gabinetu Mistrza, z każdym krokiem oddychając głośniej. Gdy dotarła na miejsce, musiała przytrzymać się ściany. Zapukała i ku swojej uldze otrzymała pozwolenie na wejście.

Uchyliła drzwi i wtoczyła się do pokoju. Derek nie raczył podnieść na nią wzroku, siedział za biurkiem i pochłaniał wzrokiem tekst z jakiejś opasłej księgi.

– Nie powinnaś jeszcze włóczyć się samopas po pałacu. Jesteś słaba – oznajmił beznamiętnym tonem.

– Mistrzu… Muszę z tobą pomówić…

– Daruj sobie. Wiem, że będziesz próbowała odwieść mnie od zamiaru stworzenia kolejnej Nimfy. Stracisz tylko czas. Już postanowiłem.

– Nie może być piątej Nimfy, Mistrzu… To się źle skończy. Nie chodzi nawet o Zaświat ani o jego mieszkańców, mniejsza nawet o mnie i moje siostry. Chodzi mi o ciebie, panie…

Uśmiechnął się pod nosem.

– Wzrusza mnie twoja troska, ale lepiej będzie, jeśli stąd wyjdziesz, zanim stracę cierpliwość.

– Ona nie ma prawa istnieć…

Teraz Stwórca spojrzał na nią i od tego spojrzenia przeszły ją dreszcze.

– Ona będzie istotą idealną, przewyższającą każdą z was. Będziecie przed nią klękać, przed tą, która stanie u mego boku.

Tętno Nimfy Wody przyspieszyło, w piersiach boleśnie zakłuło rozczarowanie. Zakręciło się jej w głowie i nie upadła tylko dlatego, że w porę przytrzymała się półki regału.

– U twego boku, panie? Ja… To ja mogę stanąć u twego boku… Ja mogę być od niej lepsza.

– Ty jesteś tylko marnym cieniem tej, która powstanie. A teraz wynoś się. Chcę być w dobrym nastroju, kiedy będę pielęgnował Lodowy Kwiat.

Gdyby mogła, wybiegłaby z pokoju z krzykiem i płaczem, na odchodnym trzaskając drzwiami, ale stać ją było tylko na powłóczenie nogami i ciche łkanie. Wracając do swojego pokoju, zastanawiała się, jak to możliwe, że jakaś durna roślinka, jeszcze nawet nieprzemieniona w Nimfę, już zdobyła zainteresowanie Mistrza, o które Beatrice zabiegała przez wieki. Jak to możliwe, że przez ten głupi chwast wydarzyło się tak wiele – i wszystko to uderzyło w nią, w Nimfę Wody, raniąc ją i upokarzając.

***

Mijały tygodnie, a Dereka coraz bardziej pochłaniały prace nad stworzeniem nowej Nimfy. Zamykał się w tajemniczym pokoju na całe dnie i rzadko kiedy miał czas dla Beatrice. Na początku przychodził do niej w nocy, tak jak zawsze. Cieszyła się z tych wspólnie spędzanych chwil, chociaż nie obfitowały w rozmowy. Rano znikał, a potem wyczuwała jego obecność za ścianami tamtego przeklętego pokoju. Kiedy raz odważyła się poczekać na niego pod drzwiami, zignorował ją. Jednak doskonale zapamiętała wyraz jego twarzy. Gdy wieczorem wreszcie wyszedł, siedząca jak na szpilkach Beatrice poderwała się z podłogi i uśmiechnęła z nadzieją.

Nawet jej nie zauważył, zapatrzony w odległy punkt; jego oczy lśniły jakimś chorym zafascynowaniem. Przeraziło ją to i zabolało. Kiedy go zawołała, spojrzał na nią nieprzytomnie, ocknął się po chwili i skrzywił wargi w jawnym niezadowoleniu. To zabolało jeszcze bardziej. A co gorsze – nie przyszedł do niej tej nocy.

Nie pojawiał się przez następne dwa tygodnie, chociaż Beatrice czekała na niego każdej nocy. Z początku znosiła to cierpliwie. Potem jednak znów zdecydowała się pójść pod drzwi tamtej komnaty. Kiedy załatwiła wszystkie sprawy dotyczące Krainy Wody – co zrobiła niezbyt sumiennie – udała się pod drzwi zamkniętego pokoju i tak jak poprzednio koczowała, siedząc pod ścianą.

Tym razem Derek nie pojawił się wieczorem. Musiała czekać do późnej nocy. Czujna. Była zbyt zdenerwowana, by zasnąć, chociaż oczy piekły ją coraz mocniej. Drgnęła i wstała w popłochu, gdy drzwi otworzyły się.

Mistrz wychynął z pokoju jak duch, z tym samym, przykro znajomym wyrazem zafascynowania i podniecenia na twarzy. Beatrice zacisnęła pięści, rozżalona i ukłuta zazdrością.

– Mistrzu… – szepnęła, starając się mimo wszystko panować na złością.

Otrząsnął się z transu i zerknął na nią niechętnie. Nic nie powiedział. Odwrócił się i ruszył w kierunku swojej sypialni.

– Panie, poczekaj! – zawołała, biegnąc za nim. – Czemu mnie ignorujesz? Czemu nie odwiedzasz mnie już w nocy? Nie zadowoliłam cię ostatnim razem?

Milcząc, Mistrz nadal kroczył przed siebie, w tym samym tempie. Nimfa dogoniła go i uczepiła się jego ramienia.

– Zrobię wszystko, ale nie ignoruj mnie, Mistrzu!

Odepchnął ją gwałtownie, a potem uderzył w twarz wierzchem dłoni, z siłą, która rzuciła ją na posadzkę. Zadzwoniło jej w głowie, zęby zaszczękały. Nie miała sił, by się podnieść, a przynajmniej nie na tyle szybko, by dogonić Dereka. Powstrzymała łzy i przełknęła narastającą w gardle gorycz.

Następnej nocy przyszedł do niej, czego zupełnie się nie spodziewała. Na początku miała nawet nadzieję, że przekonała go swoją nieustępliwością, prośbami, ale… kiedy przyszło co do czego, wiedziała już, że po prostu wymierzał jej karę. Zawsze był gwałtowny, nawet brutalny, co zresztą lubiła. Jednak tym razem przekroczył granicę, której nigdy wcześniej nie przekraczał. Pierwszy raz nie czerpała z seksu przyjemności, czując jedynie okropny ból i jeszcze gorsze upokorzenie.

Długo potem płakała.

Jednak mimo swojego cierpienia, postanowiła wykorzystać nadarzającą się okazję. Mistrz spał spocony w jej pościeli, a ona, kiedy ochłonęła trochę, wymknęła się z pokoju. Naga, na drżących nogach przemierzała korytarz, tłumiąc wstrząsający nią jeszcze od czasu do czasu szloch. Nie mogła zaprzepaścić takiej szansy.

Gdy znalazła się pod przeklętym pokojem, przywołała swoją energię i ciemnogranatowe świetliste pasma otoczyły ją gęstym, syczącym cicho kokonem. Musiała przebić się przez osłaniającą drzwi blokadę. Podejrzewała, że bariera jest także ukryta wewnątrz ścian, otaczając całe pomieszczenie. Nie była tego pewna, ale wolała nie marnować mocy na przebijanie się przez wzmocnione magią mury. Drzwi stanowiły łatwiejszy cel.

Najpierw uderzała samą energią. Ciemnogranatowe smugi chłostały migotliwą tarczę jak baty, wyrzucając w górę snopy trzeszczących iskierek. Potem do energii dołączyła także wodne macki, które wystrzeliwała z wyciągniętych przed siebie dłoni. Zaciskała zęby i drżała z wysiłku, ale nie przestawała. Granatowa energia syczała coraz głośniej, z całej siły napierając na niewzruszoną barierę, a woda pod ogromnym ciśnieniem rozbryzgiwała się na niej i chwilami Nimfa musiała się cofać, by nie została odrzucona własną, odbijaną od drzwi mocą.

Była tak zdesperowana, że nawet nie pomyślała o tym, iż powstały hałas może obudzić Mistrza. Chciała po prostu za wszelką cenę dostać się do środka pokoju i zniszczyć to, co tam rosło i tak bardzo odmieniało Dereka. A siostry jej podziękują, bo im też się nie podobał pomysł powołania do życia piątej Nimfy.

Bariera jednak nie ustąpiła pod natłokiem energii Nimfy Wody, iskry biły, maleńkie błyskawice tańczyły na powierzchni drzwi, ale tarcza ani drgnęła. Wodna furia nie naznaczyła jej choćby draśnięciem. Beatrice walczyła ze zmęczeniem przez ćwierć świecy, wodne macki uderzały coraz słabiej, aż wreszcie Nimfa poddała się. Ogarnęła ją rezygnacja i padła na kolana, cofając energię. Granatowe światło zniknęło, a poziome wodne słupy runęły w dół z głośnym pluskiem.

Do pokoju wróciła po upływie kolejnej ćwierć świecy. Zmordowana, nie od razu zorientowała się, że Derek nie śpi; dopiero kiedy się odezwał.

– Naprawdę sądziłaś, że zniszczysz barierę, którą ja nałożyłem? – spytał swoim złudnie słodkim głosem.

Drgnęła zaskoczona i spojrzała na niego z przerażeniem. Uśmiechał się szeroko, na wpół nagi, a na wpół przykryty kołdrą. Milczała, nie wiedząc, jak zareagować.

– Jesteś naprawdę zawzięta, Beatrice.

Postanowiła uznać to za komplement i podbiegła do niego, padając obok na łóżko. Nie rozpłakała się, ale jeszcze przez chwilę dygotała, niepewna swego losu.

Potem rozluźniła się i zaczęła czerpać przyjemność z jego dotyku.

Derek głaskał ją po głowie.

– Już dobrze – szeptał do niej przymilnie. – Już dobrze, moja mała.

***

Następnego dnia wstała dziwnie odprężona i lekka, jakby pozbyła się ciężkiego balastu, który dźwigała przez ostatnie tygodnie. Oczywiście Dereka już nie było obok niej, ale i tak rozpiera ją radość. Czuła, że coś się zmieniło, że pokazała mu, z jakiej gliny ją ulepił i jak bardzo potrafi być uparta. Czuła, że od teraz Mistrz zacznie traktować ją poważniej.

Swoje obowiązki względem Krainy wykonała z należytą starannością i miała wrażenie, że coś w niej rośnie. Jakaś… świadomość samej siebie. Była inna, lepsza. Była dumna z siebie.

Późnym południem spotkała się z Neiliel, przypadkowo, kiedy akurat obie szły tym samym korytarzem. Czarnowłosa Nimfa Ziemi od razu obrzuciła Beatrice zaniepokojonym spojrzeniem.

– Masz siniaki, siostrzyczko. Co ci się stało?

Beatrice uśmiechnęła się na wspomnienie ostatniej nocy. Wtedy brutalność Mistrza zdawała się jej przesadzona, ale teraz, kiedy patrzyła na to z dystansu, budziło się w niej nietypowe podniecenie.

– Coś bardzo fascynującego – odparła, chichocząc.

– Jesteś ostatnio bardzo… – Nel z ostrożnością dobierała słowa – dziwna.

– Dużo się zdarzyło. – Nimfa Wody obdarzyła siostrę chłodnym spojrzeniem. – Nie zrozumiesz tego.

– Ciągle to wszystkim mówisz, a nawet nie próbujesz się otworzyć. Gdybyś spróbowała, może któraś z nas jednak zdołałaby cię zrozumieć.

Beatrice skrzywiła się ironicznie, widząc troskliwy uśmiech Neiliel. Ta Nimfa, uwięziona w młodocianym ciele, potrafiła irytować swoją łagodną naturą. Blondynka nie odpowiedziała, przewróciła tylko teatralnie oczami.

– Mam nadzieję – odezwała się znowu Nel – że Sosha i Charlotte wrócą ze swoich Krain na czas. Mistrz mówił, że dzisiaj nasza nowa siostra w końcu się obudzi.

Beatrice przystanęła jak spiorunowana.

– Nic mi nie mówił…

– Naprawdę? Przykro mi.

– Czemu powiedział tobie, a mnie nie? – warknęła, ale nie poczekała na odpowiedź. Od razu odwróciła się na pięcie i ruszyła w przeciwnym kierunku.

Tak jak kilka tygodni wcześniej, gdy chciała przekonać mistrza do powierzenia jej misji w Krainie Lodu, przemierzała korytarze zamaszystym krokiem, wściekła na cały Zaświat. Wpadające przez okna i balkoniki słońce raziło ją w oczy i jeszcze bardziej drażniło napięte do granic nerwy. Niemal biegła, potykając się na zakrętach. Miała zamiar dobijać się do tego durnego pokoju tak długo, aż wywabi Dereka na zewnątrz.

Jednak kiedy dotarła na miejsce, zatrzymała się zdumiona, kilkanaście kroków od wejścia. Nie blokowała go już magiczna bariera, zasłona z białej tkaniny wisiała w strzępach, drzwi połamano. Korytarz lśnił od pokrywającej go warstwy szronu. Coś się działo. Coś niedobrego.

– Skąd tu tyle lodu?! – Nimfa Wody rzuciła się w stronę pokoju i kopniakiem wyważyła resztki zniszczonych drzwi.

Kiedy wtargnęła do komnaty, pospiesznie omiotła ją spojrzeniem, krzywiąc się z poirytowaniem. Ściany, podłoga i sufit obrastały szkliste tafle lodu, wszędzie walały się strzępy aksamitnego białego materiału, fragmenty połamanych czerwonych świec i płatki kwiatów, mnóstwo płatków tworzących miękki dywan. Potem spojrzenie

Nimfy Wody padło na mieszkankę tego pokoju – szczupłą, niewysoką dziesięcioletnią dziewczynkę o skórze i włosach koloru mleka. Tylko oczy tej nowej Nimfy były innej barwy – czerwone niczym krew, duże, o przenikliwym, przeszywającym na wskroś spojrzeniu.

Beatrice szybko się opamiętała, nie chcąc, by tamta widziała, jakie wywarła na niej wrażenie. Uśmiechnęła się kpiąco, zadzierając podbródek.

– Ty? – rzuciła lekceważąco. – Ty niby jesteś tą potężną Nimfą, którą stworzył Derek?! Czuję się rozczarowana…

Bo i jak miała się czuć? Przez ten cały czas była zazdrosna o smarkulę zamkniętą w ciele jeszcze młodszym niż to, które otrzymała Neiliel. Nie sądziła, by ta mała kiedykolwiek stała się dojrzałą kobietą. Podobnie jak Nel. Derek stworzył Nimfę Ziemi w ciele dziecka, inaczej niż jej starsze siostry, chcąc, aby przeszła normalny rozwój, tak jak każdy żywy organizm. Jednak coś poszło źle i została uwięziona w ciele nastolatki.

Albinoska uśmiechała się delikatnie, wspierając dłoń na biodrze. Jej twarz wyrażała chłodną obojętność, której przeczyły kpiące słowa.

– Ty jesteś rozczarowana? Pomyśl, jak ja się czuję, przyglądając się bezbrzeżnej głupocie mojej siostry.

W Beatrice wezbrał gniew. Jakim prawem ten bachor ją obrażał? Dlaczego głos tej małej był tak lodowaty i tak… dorosły?!

– Nie jestem twoją siostrą, smarkulo! – prychnęła i przyzwała pierwsze smugi granatowej energii, jeszcze słabo widoczne.

– Moje ciało to tylko nic nieznacząca powłoka. – Bezczelny uśmiech nie znikał z ust albinoski, co irytowało Nimfę Wody coraz bardziej. – Za to do poziomu twojej inteligencji pasowałoby raczej ciało pięciolatki. Ten cały Derek chyba minął się z celem, kiedy cię tworzył. – Po tych słowach wskazała głową w prawą stronę.

Beatrice prychnęła, ale odruchowo, obróciła głowę, wiodąc wzrokiem za gestem małej i… znieruchomiała z rozwartymi ustami. Miała wrażenie, że jej serce przestało bić, a świat zawirował przed oczami. Straciła poczucie rzeczywistości.

W głębi pokoju podłogę i sufit łączył gruby sopel lodu. Jego ostry koniec przybijał do stropu bezwładne ciało, brudne od krwi i obrośnięte szronem. Ciało Mistrza. Był martwy, jego ręce i nogi opadały bez czucia i wyglądało tak, jakby chciał przytulić się do przeszywającego go słupa.

Beatrice czuła się jak we śnie, nad którym nie miała kontroli. Wiedziała, że jakoś reaguje, że mówi coś do małej, że rzuca się na nią, ale jej umysł był tak otępiały, że nie zdawała sobie do końca sprawy z własnych poczynań. Zupełnie tak, jakby coś nią sterowało, jakby coś mówiło za nią i poruszało nią jak kukiełką.

Potem nadszedł potężny huk i druzgoczący ból. Nie była w pełni świadoma tego, gdzie się znajduje. Została ogłuszona i oślepiona. Sparaliżowana. Albinoska coś do niej mówiła, chyba wykręcała jej ramię, a potem potężnym kopniakiem rzuciła na oblodzoną ścianę. Kiedy Beatrice upadła, ostre drobinki posypały się na nią. Widziała nad sobą niewyraźny cień tej smarkuli, ale było jej już wszystko jedno. Bez Mistrza chciała umrzeć.

Kiedy mała Nimfa stopą docisnęła jej głowę do ziemi, Beatrice zaczęła odpływać. Ostatnie, co zapamiętała, to szydercze słowa albinoski: „wierne kundle zwykle zdychają, gdy tracą właściciela”.

***

Niewiele pamiętała z pierwszych tygodni po śmierci Mistrza. Błąkała się po pałacu jak zjawa, odwiedzając wszystkie miejsca, w których spędzała czas z nim. Siostry próbowały z nią rozmawiać, ale ignorowała je.

Białowłosa morderczyni uciekła i na razie żadna z Nimf nie wiedziała, gdzie przebywa ich nowa, nieokiełznana siostra. Beatrice, jeśli już decydowała się

odezwać, zawsze mówiła tylko o tym, że muszą zabić tę smarkulę, która ważyła się naruszyć odwieczne prawa. Nimfom pod żadnym pozorem nie wolno było krzywdzić Mistrza – a ona go zabiła.

Charlotte była tego samego zdania co Beatrice, jednak pozostawał jeden problem. Nimfy nie miały także prawa zabijać się nawzajem.

Na obradach Nimfa Wody również mało się udzielała, przyglądała się tylko siostrom i słuchała ich słów.

– Nie możemy jej zabić – mówiła Sosha. – Trzeba ją złapać, to oczywiste. Ale nie mamy prawa jej zabijać.

– Już i tak dwa prawa zostały złamane – prychała lekceważąco Charlotte. – Skończmy to tak, jak należy.

– Mistrz zapoczątkował pewien łańcuch. Złamał jedno z praw, zabraniające tworzyć więcej niż cztery Nimfy. Zaraz potem zostało złamane kolejne prawo, które zabrania Nimfom krzywdzić swojego Stwórcę. Nie możemy kontynuować tego pasma. Musimy to zatrzymać.

Ciężko było znaleźć porozumienie, ale do Soshy, jako najstarszej, należała ostateczna decyzja. Neiliel oczywiście popierała każde postanowienie Nimfy Wiatru. Charlotte godziła się na pomysły Soshy niechętnie, a Beatrice robiła to z przymusu.

Pewnego dnia weszła do gabinetu Mistrza i odważyła się przejrzeć notatki, które sporządzał. Biurko było ich pełne, kilka grubych notesów znajdowało się także na półkach regałów, między książkami.

Beatrice znalazła wtedy notatki dotyczące swojego powstania. Myślała, że wzruszy się podczas czytania, jednak nie miała już w sobie łez. Wypłakała je wszystkie pierwszego tygodnia po śmierci Mistrza. Czytała obojętnie o tym, jak Derek tworzył ją na swoje podobieństwo, nazywał wspaniałą istotą – i przesuwała dłonią po rysach twarzy tak podobnych do rysów Mistrza, tyle że kobiecych, po włosach tak samo jasnych jak jego włosy, po powiekach, pod którymi kryły się tak

samo turkusowe oczy. Stworzył ją na swój obraz i podobieństwo… Czemu więc tak bardzo jej nienawidził? Nigdy nie potrafiła tego zrozumieć, tak jak siostry nie potrafiły zrozumieć jej niekończącej się miłości do Stwórcy. Może o to chodziło? Może oboje mieli pozostać wiecznie niezrozumiani?

Znalazła też notatki dotyczące białowłosej Nimfy. Derek nazywał ją Shirane No Chou, co oznaczało Lodowe Potępienie. Drugie imię, jakie jej nadał, brzmiało Plage. Beatrice powtarzała w myślach te przydomki, chcąc je dobrze zapamiętać. Kiedy natknęła się w notatkach na tekst opiewający zalety nowej Nimfy, natychmiast porwała wszystkie kartki, chociaż nie czuła w sobie furii, nawet odrobinki złości.

Odnalazła wszystkie notatki na swój temat i je również podarła. Nie wierzyła w ani jedno słowo, mimo że przeczytała tylko kilka zdań. Potem jednak jakby ocknęła się z transu. Padła na kolana i pospiesznie zbierała strzępki papieru, nie pomijając ani jednego kawałka.

Może, skoro tak bardzo przypominała Dereka, jej przeznaczeniem było stać się tak samo chorą i niezrozumianą jak on. Nie wiedziała. Wiedziała tylko jedno.

Jeśli pierwsze z zasad zostały złamane, z kolejnymi można zrobić to samo.

Dawid Juraszek

OKO ZA OKO

– **N**ie mogą ich panowie po prostu zdemontować?

– Ekspens zbyt wielki. Wysadzić najłatwiej i najszybciej.

– Może chociaż turbiny? Nie przydadzą się nikomu?

– Stara technologia. Zresztą tu i tak tylko o odzyskanie rzadkich metali chodzi.

– Zabytek…

Wszyscy troje opierali się o maskę dwuosobowego forda T-1000. Standardowy matowoczarny lakier kabrioletu pozostawał chłodny nawet w skwarny dzień. Ku krystalicznie błękitnemu niebu mierzyły wyniośle nieruchome sylwetki aerogeneratorów.

– Na to musiałyby zostać postawione przed rokiem dwutysięcznym. Dziś to po prostu przestarzały *junk*, zdatny tylko na przetop.

– Skoro tak musi być…

– Przecież sami się do nas zgłosiliście.

– Pan wie, że z musu. Komisja dała na rozbiórkę dwa lata, my mogliśmy tylko wybrać pasujący nam termin, bo inaczej koniec ulgi rolnej. No to wybraliśmy.

– Zarabialiście jakoś na nich?

– A widzi pan tu gdzieś linie przesyłowe? Kiedyś wzdłuż każdej ulicy ciągnęły się takie kable na słupach, a teraz nic. Od lat działała tylko jedna turbina, wykręcała akurat tyle, żeby zasilać te ich światełka ostrzegawcze…

– *So*?

– Pan za młody jest, nie zrozumie…

Ekipa zakładająca ładunki dała sygnał, że zadanie zostało wykonane. Żółte owerole zaczęły wracać na drogę po drugiej stronie pola, szukając schronienia pośród czerniącego się tam w oczekiwaniu na swoją kolej ciężkiego sprzętu.

– Kasia, Tomek, załóżcie. – Protazy wyjął nauszniki z teczki i podał małżeństwu. Odkąd rozbierając jedną z farm wiatrowych na Jurze, omal nie został podany do sądu przez nerwowego klienta o nazbyt wrażliwym słuchu, nie rozstawał się z kilkoma parami. – Przydadzą się.

Skinęli w podzięce głowami. Kiedy odwrócili wzrok ku skazanym na zagładę turbinom, dyskretnie przyjrzał się farmerom kątem oka. On wyglądał na jakieś sto lat, ona, być może dzięki makijażowi, na nieco mniej. W młodości mogli być świadkami budowy beskidzkich elektrowni wiatrowych. Jeśli tak, musieli jeszcze pamiętać Kotlinę Żywiecką sprzed zalania. „Ludzie starej daty" – pomyślał, przeskakując wzrokiem od ich oczu do dłoni. On miał szare tęczówki, ona brązowe, a mimo to wymienili się obrączkami.

Cisza przed eksplozją zgęstniała, tylko ostatni działający wiatrak z nieprzyjemnym szumem mieszał miarowo powietrze. Zdezelowane urządzenie mimo wysiłków techników nie dało się unieruchomić, trwając w machinalnym uporze.

Nadaremno.

Pierwszy wybuch nie był ogłuszający, lecz nauczony doświadczeniem Protazy błyskawicznie wetknął sobie palce w uszy. Kiedy błysnęły kolejne ładunki, powietrze zadrżało. Jeden po drugim potężne słupy padały na trawę z metalicznym jękiem i głuchym hukiem. Fala dźwiękowa pędziła ku pobliskim masywom Szyndzielni, Stołowa i Cybernioka, niosąc ponurą wieść sterczącym na graniach aerogeneratorom, by zaraz wrócić ponurym echem. „Na nie też przyjdzie kolej" – myślał Protazy, przemykając wzrokiem po armii wiatraków stojących wciąż na baczność na garbatych szczytach Beskidu Małego i Śląskiego. Ale to już nie nasz kontrakt…

Ostatni padł działający aerogenerator. Słup wykrzywił się kaleko, wirujące wciąż bezpotrzebnie śmigło rąbnęło w grunt i wiatrak runął z finalnym łoskotem. Gdyby nie wczorajszy deszcz, który zrosił świeżo zżęte pola, okolicę gęstą chmurą spowiłby kurz. Protazy przypomniał sobie zeszłoroczną rozbiórkę farmy wiatrowej w Darłowie i poczuł w ustach smak piachu.

– I to by było na tyle. – westchnął Tomek, zdejmując nauszniki.

– Taki młody już nie jestem – uśmiechnął się Protazy, chowając je do teczki. – Chętnie posłucham. Zawsze warto wiedzieć więcej o klientach.

– Sentyment – odezwała się Kasia, patrząc na splądrowane pole agrykulturalno-aerogeneracyjne. – Jako studenci patrzyliśmy, jak to wszystko się buduje…

Aha! – przyklasnął sam sobie Protazy.

– Tu się szło na wagary – wtrącił Tomek, przytulając żonę. – Modne to było miejsce, że hej.

– Jak te śmigła wtedy pięknie lśniły w słońcu…

– A jak szumiały! Strach było pod tym siedzieć, człowiek miał wrażenie, że zaraz się cała maszyneria rozleci!

– Ale wtedy wszyscy sobie wmawialiśmy, że tak właśnie brzmi nowy, wspaniały świat…

– Wie pan, tu kiedyś było lotnisko – Tomek znów przerwał żonie. – Startowali stąd najlepsi na świecie szybownicy…

– Szybownictwo to bardzo ekologiczny środek transportu. – Protazy skinął głową.

– Wszystkim było szkoda tej tradycji – podjęła Kasia – ale wszędzie się mówiło, że farmy wiatrowe to przyszłość, że trzeba zadbać o planetę…

– Jedna wielka ściema! – Tomek zirytował się, jak gdyby otworzyła mu się rana po jakimś dawno przegranym sporze. – Wie pan, ja wtedy jeszcze dużo po górach chodziłem. Serce mi krwawiło, jak wycinali drzewa i ryli zbocza pod te turbiny. Ale

wszędzie była mowa, że będzie czysty prąd elektryczny, że trzeba iść z duchem czasu, że krajobraz nawet zyska i takie tam… No to zagryzałem zęby i nic nie mówiłem, choć człowiek pamiętał jeszcze opowieści rodziców i dziadków, jak to za tamtych czasów zachwycano się kombinatami i fabrycznymi kominami, że niby tak się lepszą przyszłość buduje…

– To samo mówili, gdy zalewali Kotlinę Żywiecką – przejęła pałeczkę Kasia. – Pamiętam, jakie tłumy były w Żywcu w parku zamkowym dzień przed zamknięciem całej kotliny. Wszyscy mieli łzy w oczach, ale powtarzali, że tak trzeba, że ekologia, że przyszłe pokolenia i tak dalej.

– I co? – Tomek pytał na pozór Protazego, ale tak naprawdę jakiegoś dawnego oponenta. – Minęło kilkadziesiąt lat i wszystko trzeba grzeczniutko rozbierać, bo postęp poszedł w inną stronę. A te wioski i miasta kto teraz odbuduje? Kto górom przywróci pierwotny charakter? Nikt!

– Więc raczej powinniście się cieszyć, że wam te dyzgustne turbiny usuniemy z pola – zauważył Protazy, z trudem maskując rozbawienie przebrzmiałymi dylematami ustępujących pokoleń.

– Tak jak mówiłam, sentyment – powtórzyła Kasia. – To jednak kawał historii.

– Wie pan – Tomek wzruszył ramionami – żal patrzeć, jak wszystko jest teraz rozwalane. To kiedyś była ultranowoczesna technologia. No i skoro już raz tyle zniszczono, żeby je postawić, to teraz niszcząc z kolei je, odbiera się wszelki sens tamtemu poprzedniemu niszczeniu. Za chwilę nic już z dawnych czasów tu nie zostanie…

„Absurd” – pomyślał Protazy, ale dla świętego spokoju tylko pokiwał głową. Niech sobie tam dziadek gada, co chce. Skoro mu to pomaga żyć…

– Przesadzasz, skarbie. – Kasia uśmiechnęła się. – Zboże zawsze tu rosło i nadal rośnie.

– Niby racja. – Tomek skrzywił się. – To znaczy kiedyś niewiele brakło, żeby przestano te pola obsiewać, że niby nieopłacalne, ale potem się okazało, że bez rolnika świat zginie. I teraz niech pan patrzy, łanów zboża jak przed wiekami!

– No proszę, jak to wszystko teraz wraca! – Protazy zaśmiał się sztucznie. Rozmowa zaczynała go nużyć. Czemu Józef nie przyjeżdżał?

– A tam było osiedle mieszkaniowe… – Kasia powiodła ręką wzdłuż linii horyzontu.

– Nadal jest. – Protazy rzucił okiem w kierunku nieodległych szeregów bazaltowoczarnych budowli o ścianach i dachach nachylonych w pozornie bezładny, a naprawdę przemyślnie dostosowany do wędrówki słońca sposób.

– Tylko że wtedy to były kanciaste wieżowce – wyjaśniła. – Jedne jasnoszare, inne pstrokato pomalowane. Pamiętam, że wszyscy na nie narzekaliśmy, ale dziś…

– Rozumiem was perfekcyjnie – przytaknął Protazy, ze słabnącą dyskrecją rozglądając się za samochodem Józefa.

Na szczęście w tym momencie z daleka doleciał szum elektrycznych silników wielkiej mocy – ciężki sprzęt miał wnet ruszyć na pobojowisko, pierwszy z dźwigów podjeżdżał już po szczątki turbiny leżącej najbliżej drogi. Tylko ciężarówki czekały jeszcze cierpliwie na swoją kolej.

– Na mnie już czas. – Protazy podniósł się z maski i otworzył drzwiczki kabrioletu. – Obowiązki wzywają. Do piątku teren będzie – zawahał się przez moment – jak przed wiekami.

– Dziękuję panu serdecznie. – Kasia podała mu rękę. Nie lubił staroświeckich zwyczajów, ale odwzajemnił uścisk z całą uprzejmością, na jaką było go stać. – Wiem, że teraz po zbiorach jest dużo zleceń i jestem naprawdę wdzięczna, że zgodzili się panowie na nasz termin.

– Nie dziękuj. – Protazy potrząsnął głową. – Agencja Rozbioru Ekoprzemysłu płaci nam właśnie za pomaganie ludziom takim jak wy.

– Miło się rozmawiało. – Tomek uśmiechnął się. Protazy przełamując opór, z własnej inicjatywy podał mu dłoń.

– *Good luck!* – rzucił, wsiadając do auta.

– Do widzenia!

W lusterku ujrzał jeszcze, jak Kasia i Tomek machają mu, a potem fordem lekko zarzuciło, gdy wziął zakręt na powgniatanej gąsienicami ciężkich maszyn drodze, zmierzając na drugą stronę pola. Porywy wiatru rozwiały Protazemu włosy, kazały zmrużyć oczy. Wziął kolejny zakręt i uśmiechnął się, widząc pomarańczowy hełm wystający ponad takież kaski robotników. „Po uszy w robocie, a ja się domagam, żeby tylko o mnie pamiętał" – pomyślał, parkując obok śpiącego jeszcze olbrzymiego spychacza. Wysiadł i oparty o maskę czekał, aż jego partner skończy odprawę.

Na widok forda Józef wydał robotnikom ostatnie polecenia, zdjął kask i drapiąc się po głowie, podszedł szybkim krokiem.

– Ciekawe, czy na starość będziemy skuwać z dzisiejszych budynków tynki fotoelektryczne. – Protazy zaśmiał się na powitanie.

– Tak. – Józef uśmiechnął się półgębkiem i nerwowo skubnął się w lewy bokobród. – *Listen*, jadę do biura. Jest jednak szansa na ten kontrakt, muszę mieć na wszystko oko.

Protazy zawahał się przez moment.

– *Great news* – rzucił wreszcie. – Ale co, mam lecieć nad Milówkę sam?

– Jak chcesz… – Józef wzruszył ramionami. – Albo zmontuj nowe meble.

– Preferowałbym z tobą.

– Mówię ci, że muszę być w biurze. – Józef podniósł głos; w tej samej chwili stojący obok spychacz ożył. – Miej ich tu na oku.

– Co, już? – Protazy uniósł brwi.

– No a kiedy? Agencja nie może czekać.

– Okej.

– *See you.*

– Do wieczora.

Odwróciwszy się, Józef ruszył sprężystym krokiem do smolistoczarnego FSO-CWS 7 torpedo. Protazy patrzył za nim dłuższą chwilę, a potem niechętnie sięgnął do wnętrza forda, wyjął kask i nałożywszy go, poszedł między maszyny.

– Mściwosz! – zawołał na widok mężczyzny pochylonego nad lśniącą płytką komputera. – Status?

Brygadzista podniósł wzrok.

– Wszystko gra, praca wre!

Protazy skinął głową i cofnął się, gdy minikoparka zjechała z drogi pomiędzy padłe aerogeneratory, a potem ruszył z powrotem do samochodu. Kręcić się na placu rozbiórki nie lubił; to był żywioł Józefa, zresztą ekipa doskonale znała się na swojej robocie. Pozostawało mu zająć się zaległą korespondencją – albo lecieć nad Milówkę.

Przystanąwszy obok forda, spojrzał ku ciemnej ścianie zapory żywieckiej. Gargantuiczna tama całe dziesięciolecia przegradzała Bramę Wilkowicką między Kozią Górą a zboczami Magurki, powstrzymując ogrom wezbranych wód przed pochłonięciem Bielska-Białej i wytwarzając dość energii elektrycznej, by zasilić całą okolicę jak okiem sięgnąć. Teraz jej dni były policzone, a Protazy i Józef oraz wielu innych przedsiębiorców stało już w blokach startowych, by zająć się rekultem osuszanego terenu pod przyszłe uprawy agrykulturalne.

Protazy otworzył drzwi forda. Wystarczyło podjechać na miejskie lotnisko, wynająć na kwadrans lotowiec i obejrzeć rejon w okolicach dawnej wsi Milówka, z lotu ptaka sprawdzając postępy w osuszaniu terenu. Zrobili tak w zeszłym tygodniu z Józefem i widok ziemi wyłaniającej się spod błotnistej toni między wzgórzami natchnął Protazego entuzjazmem, który trwał aż do dziś. Teraz jednak perspektywa samotnego rekonesansu, zwłaszcza po niemile zdawkowym pożegnaniu z partnerem,

napawała go niechęcią. „Może jutro albo pojutrze” – pomyślał, a potem wsiadł do samochodu i zaciągnąwszy dach, włączył komputer.

***

Stuknięcie w okno podziałało jak ukłucie szpilką. Podniósłszy wzrok znad płytki, obniżył szybę. Zapachniało ziemią.

– Zadanie wykonane! – ogłosił Mściwosz.

– Tak szybko? – Protazy zamrugał i spojrzał na zegar. Skupiony na pracy stracił poczucie czasu.

– Najcenniejszy złom załadowany. Rozpoczynamy wywózkę. Na terenie zostaje tylko ekipa finalizująca.

– *Good job!* – Protazy prędko odzyskał orientację. – Dacie sobie radę beze mnie?

– Damy.

– To ja znikam.

– Miłego wieczoru!

Pożegnał brygadzistę skinieniem głowy i wyłączywszy komputer, uruchomił silnik. Niebawem jechał już do domu w Romskim Lesie.

Popołudnie robiło się coraz późniejsze, wręcz przechodziło już w wieczór, gdy wjechał między tamaryszki okalające zabytkową willę, nad której betonowym gankiem z kolumienkami widniało dumne „1996”. Przetwarzającą blisko 99 procent światła i ciepła sadzową czerń tynków i dachówek przełamywał modny lilaróż futryn.

Kiedy wstąpił do środka, rozbłysły lampy i rozbrzmiała mjuzyka, ale nie zamaskowało to faktu, że dom świeci i dźwięczy pustką. W holu stały pudła z przysłanymi niedawno meblami, które czekały na montaż, lecz Protazy na ich widok tylko się skrzywił. Wrzucił zakurzoną frakówkę do aeropralki, wziął długi prysznic, a

potem usiadł w kuchni i zaczął przygotowywać kolację. Miał już zatwierdzić menu, gdy poczuł, że dzwoni telefon.

– Mamy kontrakt – rzucił Józef zamiast powitania.

– Ekscelentnie! – Protazy zerwał się z fotela. – Na który Beskid?

– Śląski i Mały. Żywiecki i Makowski dostał Rekultywator, a Niski, Sądecki i Wyspowy Hindusi.

– Aj! *What a shame*…

– No niestety. Starałem się o więcej, ale w agencji uznali, że dwa to maksimum.

– Ale i tak nie jest źle. A podali jakiś powód?

– Niemożność wykonania całości planowych działań w planowym czasie przez jeden podmiot.

– W sumie racja. – Protazy zaśmiał się. – Na cały Beskid nie starczyłoby nam ludzi, czasu…

– *Exactly.*

– Ale jeśli się spiszemy, będziemy mogli śmiało ubiegać się o kontrakty na rekult Schwarzwaldu…

– Za wcześnie na takie plany.

– …a potem to już tylko wziąć się na serio za elektrownie przybrzeżne! – zapalał się Protazy. – Duńczycy podobno mają wkrótce zdecydować, że zamiast utrzymywać nieaktualny symbol dawnej progresywności ekologicznej…

– …wolą odzyskać utopione w farmach wiatrowych rzadkie metale – dokończył niecierpliwie Józef. – To samo Szkoci z pływówkami. Słyszeliśmy identyczne plotki. Tak czy owak za wcześnie o tym mówić.

– Tak czy owak to trzeba by sukces oblać! Kiedy będziesz?

Milczenie trwało okamgnienie dłużej niż powinno.

– Jutro po południu.

– Co? – zdumiał się Protazy.

– Zanim się z tym wszystkim pozbieram, będzie północ, a rano mam następne spotkanie w agencji. Prześpię się w mieszkaniu. Po to je w końcu kupiliśmy – wyrzucił z siebie Józef jednym tchem.

Teraz to Protazy zamilkł na moment, a potem westchnął.

– Co się dzieje, Józek?

– Co „co się dzieje”? Nic się nie dzieje.

– Przecież widzę. Od dłuższego czasu jesteś spięty, unikasz mnie. Dlatego pytam.

– Mówię ci o wszystkim – odparł Józef z naciskiem – więc perfekcyjnie wiesz, że od kilku tygodni robię co mogę, żeby załatwić te kontrakty. Tak, tak – dorzucił, choć Protazy nie przerywał – wiem, że źle się to odbija na naszych relacjach, ale to się wkrótce skończy. Obiecuję.

– Trzymam cię za słowo.

– Byłeś nad Milówką? – zmienił temat Józef.

– Nie.

– Dlaczego?

– Samemu mi się nie chciało. Polecimy razem jutro.

– Przecież mówię, że wracam po południu.

– To tylko chwila…

– Będę zmęczony, zresztą wiele tam się od zeszłego tygodnia nie zmieniło.

Protazy zagryzł wargi.

– Dopiero co obiecałeś, że to się wkrótce skończy.

– Wkrótce to nie znaczy jutro – żachnął się Józef. A potem zmienił zdanie. – Zresztą zobaczymy. Może i jutro.

– Okej.

– *See ya.*

Rozmowa rozpłynęła się w ciszę. Protazy stał jeszcze chwilę, a potem usiadł z powrotem i zmniejszył liczbę osób w menu o połowę.

***

Farmy wertykalne ciągnęły się to po lewej, to po prawej stronie praktycznie aż do zabytkowego centrum miasta. Wciągnąwszy w płuca rześkie powietrze, Protazy wsparł potylicę o zagłówek. Stojąc w korku obok dawnego parku Mickiewicza, zawsze sięgał pamięcią do czasów, gdy jeżdżąc z rodzicami do galerii handlowej Xiangjiang po drugiej stronie, musiał wysłuchiwać wciąż tych samych narzekań, jak to kiedyś rosły tu piękne stare drzewa i płynęła rzeka. Te pierwsze wycięto, tę ostatnią zaś przykryto, by stworzyć teren pod wielkie, przeszklone budynki, gdzie prowadzono uprawy aeroponiczne. Światło wczesnego jeszcze słońca przenikało teraz tafle szkła, tu i ówdzie ukazując cienie i kształty pozawieszanych jakby w nieważkości warzyw.

O dziwo, korek rozładował się znacznie szybciej niż zwykle; Protazy ruszył wolno, lecz płynnie Aleją 17. Lipca. Pochyłe nowoczesne zabudowania o czarnych powierzchniach coraz częściej ustępowały tu kolorowym, trzymającym idealny pion budowlom historycznego centrum. Zabytków, liczących po dwa, trzy, a nawet więcej stuleci, wedle ustawy o dziedzictwie kulturowym nie wolno było pokrywać tynkami fotoelektrycznymi, a tylko za zgodą wojewódzkiego konserwatora w szczególnych przypadkach wyższej ekologicznej konieczności można było wyposażać w energochłonne pokrycie dachów. Jeden czy drugi taki barwny wyjątek w zasięgu wzroku mógł jeszcze cieszyć oko, ale kiedy Protazy dotarł do samego centrum, mimowolnie zmrużył powieki – prastare budynki zamku Sułkowskich, Poczty Głównej i Teatru Polskiego oraz okoliczne kamienice i jasne płytki chodnikowe w połączeniu z mocnym tego dnia słońcem bezlitośnie kłuły w oczy kakofonią kolorów. Gdyby nie kojąca wzrok obsydianowa czerń graniastosłupa wieży Chrobrego

dokładnie naprzeciwko Zamku, nieprzywykłemu przechodniowi mogłoby zrobić się niedobrze.

Protazy skręcił w lewo i z turkotem kół zaparkował pod zamkiem. Zerknąwszy w lusterko, wyjętym ze schowka grzebykiem przeczesał bokobrody i wysiadł na pamiętający poprzednie tysiąclecie ceglasty bruk. Nie lubił jeździć po kocich łbach, a co dopiero stąpać po nich czy nawet patrzeć na nie. Ciepło– i drganiochłonne czarne nawierzchnie zwykłych dróg zapewniały nie tylko komfort i benefity ekologiczne, ale także daleko przyjemniejsze wrażenia wizualne. Szybkim krokiem ruszył wąską uliczką wzdłuż seledynowych Podcieni. Humoru nie poprawiał mu fakt, że poranna wiadomość od Józefa, w której prosił o, nie, nalegał na spotkanie w biurze była niepokojąco oschła. „Czyżby jednak stracił kontrakt? – zachodził w głowę, przeciskając się przez tłumy szoperów buszujących po tutejszych butikach. – A może coś innego poszło nie tak? I dlaczego musi mi to powiedzieć właśnie tutaj?”

Biuro Rozbiorexu mieściło się w nieznośnie żółtej i niesamowicie starej kamienicy w północnej pierzei Starego Rynku. Miejski architekt zaszalał tu z kolorami, jakby nie mogąc się nacieszyć, że aż z czterech stron ma zabytek na zabytku; na dodatek amarantowa wieża pobliskiej katedry wystająca ponad absurdalnie czerwone dachy gryzła się niemiłosiernie z błękitem i bielą nieba. Wszystko było tu wściekle kolorowe, tylko w zajmującym sporą część rynku chińskim miniparku im. św. Michała Boyma, choć pełnym kwiatów, krzewów i drzewek oraz kanałów i oczek wodnych z sennymi tęczowymi rybami, kręte alejki emanowały kojącą czernią; dzięki nim park był pod względem zasilania nie tylko całkowicie samowystarczalny, ale i kontrybuował energię elektryczną otaczającym go niewydajnym zabudowaniom.

Nacisnąwszy staroświecką klamkę, Protazy wszedł do kamienicy. Mimo gruntownych remontów w takich budynkach zawsze utrzymywała się stęchła woń przeszłości. Zmarszczył nos i wstąpił na schody. Na półpiętrze natknął się na młodą

kobietę. Stała pod okienkiem, jedną dłonią podwijając siateczkę, drugą manipulując przy oku. Kiedy podniosła nań wzrok, uśmiechnął się kącikami ust. Nie widział, czy odwzajemniła uśmiech – ręką zasłaniała dolną część twarzy – lecz jej piękne czarne oczy na pewno pozostały nieruchome. Minął ją i piętro wyżej stanął przed drzwiami z tabliczką ROZBIOREX p.u.

„Najwyższa pora znaleźć bardziej godziwą lokację na biuro" – pomyślał i wszedł.

Józef wyglądał właśnie przez okno. Na odgłos kroków odwrócił się, a na widok Protazego uniósł brwi i zamrugał.

– *Hi!* – uśmiechnął się Protazy. – Udało mi się uniknąć stania w korku…

Józef podrapał się w bokobród i przeszedł do biurka, unikając wyciągniętych ramion partnera.

– Coś jest nie tak? – Protazy przystanął, marszcząc brwi. Józef pochylił głowę i wsparł się o biurko, mocno, aż zachrzęścił łokieć.

„Chyba straciliśmy ten kontrakt" – pomyślał Protazy, postępując bliżej.

– Czy to ta ślicznotka na schodach przyniosła ci jakąś złą wiadomość? – zażartował, dotykając dłoni Józefa.

Ten cofnął rękę i podniósł wzrok. W tej chwili Protazemu rzuciło się w oczy, że przeszczepione oko partnera nie jest już błękitne, tylko dziwnie ciemne.

Wręcz czarne.

– Coś ci się stało w oko? – spytał, a potem drgnął.

Józef sięgnął dłonią do twarzy i zdjął soczewkę.

– Ta kobieta – westchnął, pstryknięciem posyłając czarny krążek do kosza – jest ze mną.

Przez jeden moment trwała cisza. Potem przez drugi.

– Że co? – odezwał się wreszcie Protazy, wbijając w Józefa pełen niedowierzania wzrok. – Ta kobieta…

– To moja kochanka – powtórzył mężczyzna i usiadł, nie śmiąc spojrzeć mu w twarz. – Nie chciałem ci jeszcze mówić, czekałem na lepszy moment, ale nie mogę dłużej mydlić ci oczu. Z nami koniec.

Protazy wciąż stał po drugiej stronie biurka, patrząc z góry na partnera. Ekspartnera. Czuł się, jak gdyby właśnie się dowiedział, że… nie, nie trzeba gdybać – czuł się jak człowiek, był człowiekiem, który przeżywa oto zdradę najbliższej osoby. I nie może w nią uwierzyć.

– Nie wierzę – szepnął i wczepił się wzrokiem w źrenice Józefa, jakby chcąc doszukać się w nich oznak, że to wszystko nieprawda. W jednym, własnym zielonym oku znalazł posępność i postanowienie; w drugim, przeszczepionym błękitnym – bezsiłę i ból. Któremu miał wierzyć?

– Uwierz. – Mężczyzna zagryzł wargi.

Protazy stał nadal bez ruchu. Obracał w głowie słowa Józefa, starając się dostrzec gdzieś pod nimi jakiś inny sens. Nadaremno. „On to naprawdę powiedział – powtarzał sobie. – Naprawdę mnie zdradził. Dlaczego? Kiedy? Czemu się nie zorientowałem? Czy kłamał, gdy mówił wczoraj, że…”

– Co cię tak dziwi? – Józef zgrzytnął zębami. – Przejrzyj wreszcie na oczy! Przecież w naszym związku od dawna było chłodno.

Protazy potrząsnął głową.

– Nie – syknął z niespodziewaną dla siebie samego ostrością. – W tym związku to ty byłeś chłodny. Nie wiedziałem dlaczego, szukałem przyczyny w sobie, a tymczasem…

– To co było między nami – przerwał Józef – minęło. Tak po prostu bywa i nie ma w tym niczyjej winy.

– Bardzo wygodne stwierdzenie – zripostował Protazy i nagle poczuł, że opuszczają go siły. Oto kłócił się z partnerem o zdradę. Jak mogło w ogóle do tego dojść?

Józef tylko wywrócił oczami, dławiąc w gardle odpowiedź.

– Ale ta dziewczyna… – Protazy niepewnie półobrócił się w kierunku drzwi. – Nie powiesz mi, że…

– Przecież wiesz, że kiedyś lubiłem kobiety.

– Ja też, ale to nie jest punkt! – Pokręcił głową, starając się zakotwiczyć we wzburzonym oceanie myśli i uczuć. – Punkt jest taki, że gdybyśmy mieli adopta albo klona, byłby teraz w jej wieku!

– No i co z tego?

– Mamy obaj ponad pięćdziesiątkę, a ty zaciągasz dwudziestkę?!

– To nie ma nic do rzeczy – warknął Józef, nie wiedząc, gdzie podziać oczy. – Zresztą to ona mnie zaciągnęła. Mój wiek jej nie przeszkadza. Ani mnie jej.

– Uwiodła cię – rzucił nagle Protazy.

– *Enough!* – Józef zacisnął szczęki i zerwał się z fotela. Stanęli twarzą w twarz.

Ale Protazy nie odwzajemnił spojrzenia, tylko usiadł w fotelu i pochylił głowę. Ogarnęła go nagła słabość, obezwładniające poczucie nierzeczywistości sprawiło, że zapadł w dziwną drętwotę. Wiedział, czuł, że to wszystko się dzieje, ale nie potrafił zareagować. Nie wiedział jak, nie wiedział, czy w ogóle powinien. Czy chce.

– Kochałem cię – ciągnął Józef, ciężko siadając. – Nadal jesteś mi bliski i chcę dla ciebie jak najlepiej, ale zrozum. Człowiek się zmienia, latka lecą, Józek *twenty-something* a Józek *fifty-something* to dwie różne osoby. – Próbował się uśmiechnąć.

Protazy powoli pokręcił głową.

– Ja się tak nie zmieniłem. – szepnął.

– Tak nie – mruknął Józef – ale inaczej. Pamiętasz, jaki byłeś, gdy się poznaliśmy? Ile miałeś pozytywnej energii, ile świetnych idei? To ty zbudowałeś tę kompanię, to ty wszystko popychałeś. Wtedy chciałem z tobą być, wtedy każdy dzień był przygodą. A teraz? Cała kompania jest na moich barkach, bo ty tylko dłubiesz i dłubiesz przy tym fakniętym domu! – Sapnął i przetarł twarz, jakby chcąc się

uspokoić. – Pamiętasz, jak kiedyś wyciągnąłeś mnie na wyprawę do Afryki? Dopiero tam pokochałem cię naprawdę. A teraz nie jestem w stanie wyciągnąć cię gdziekolwiek nawet na weekend! Zmalałeś, rozumiesz? Już nie jesteś tym chłopakiem, który…

Głos mu zadrżał; umilkł. Przez chwilę obaj tylko patrzyli na dzielące ich biurko.

– Czyli jednak – powiedział cicho Protazy – wina leży po mojej stronie.

Józef żachnął się, a potem zagryzł wargi.

– Kiedyś – rzucił nagle drżącym głosem – kiedyś… chcieliśmy w życiu tego samego. Dziś mamy inne cele. Czy naprawdę trzeba całe życie spędzić z jednym i tym samym drugim człowiekiem? Czy nie należy szukać kogoś właściwego na dany *stage* życia?

Protazy podniósł wzrok.

– Twoja kochanka też tak uważa?

Dłoń Józefa klasnęła o pulpit.

– *Don't do this* – syknął. – Nie chcę, żeby to rozstanie tak wyglądało.

– A ja nie chcę, żeby w ogóle nastąpiło. Ale decyzję przecież już podjąłeś…

– A jak to sobie wyobrażasz? – prychnął Józef. – Że twoje argumenty przekonają mnie do zmiany zdania? Że powiem, *wow*, masz rację, dalej chcę z tobą być?

– Myślałem – powiedział cicho Protazy – że patrzymy na świat nawzajem swoimi oczami…

– Bo patrzymy… – Józef pochylił się do przodu i wysunął dłoń w kierunku partnera. Jego głos zmiękł, stał się ciepły. – I dlatego chcę dla ciebie jak najlepiej. Nie będzie żadnych prawników, sporów o majątek. Wszystko mam obmyślone tak, żebyś nie był poszkodowany. Jestem gotów porozmawiać o tym w każdej chwili jak frend z frendem. Jeśli potrzebujesz czasu, zrozumiem.

Protazy pokiwał głową, a potem uniósł rękę i dotknął dłoni Józefa. Była zimna. Spletli palce. Po staremu.

– Jak ją poznałeś? – spytał nagle.

Józef cofnął się lekko, ale dłoni nie zabrał.

– W COTYNATO. Ot, jakoś tak się stało, że zaczęliśmy rozmawiać i…

– Chodzisz do klubów? – spytał z niedowierzaniem Protazy.

– Czemu cię to dziwi? – Józef cofnął dłoń i odchylił się w fotelu. – Sam chodziłeś ze mną do klubów. Ba, sam mnie do pierwszego zaciągnąłeś! Nie pamiętasz już?

– Byliśmy młodzi…

– Dalej jesteśmy młodzi! – przerwał gniewnie. – Skąd w tobie to… to coś, ten jakiś opór czy upór? Ta niewiara w swoje możliwości? Ty byś już chętnie siedział na tyłku w domu, a jest jeszcze tyle do zrobienia, tyle do przeżycia! Dlaczego nie miałoby być tak, jak dawniej?

– No właśnie, dlaczego? – Protazy zacisnął szczęki. – Dlaczego nic nie mówiłeś? Dlaczego wolałeś kłamać mi w żywe oczy? Dlaczego postawiłeś na mnie, na nas krzyżyk?

Józef przymknął oczy i potrząsnął głową.

– Pewnych rzeczy nie da się uratować – powiedział cicho.

Protazy prychnął i wstawszy, podszedł do okna.

Firanki, zainstalowane zgodnie z detalowymi regulacjami konserwatorskimi, falowały w rytm oddechu wiatru. Protazy patrzył na czarne alejki przeskakujące półkolistymi mostkami nad kanałami parku błyszczącymi w promieniach słońca i nie myślał.

– Jak ma na imię? – rzucił wreszcie beznamiętnym głosem w przestrzeń. – Skąd jest? Czym się zajmuje?

– Nazywa się Genowefa – rzeczowym tonem odpowiedział Józef. – Jest z Frýdka-Místka. Studiuje ZPT. Jest bardzo piękna, bardzo mądra i wrażliwa jak nikt – dodał już od siebie.

Protazy pokiwał głową i odwrócił się powoli. Czuł się tak, jak gdyby Józef atutami tej kobiety wykłuwał mu oczy.

– Muszę pomyśleć.

Chwilę patrzyli sobie w oczy. Swoje oczy.

– *Sure* – pokiwał wreszcie głową Józef. – Jeśli potrzebujesz czasu, dom jest twój, ja będę w mieszkaniu.

Protazy uniósł dłoń na pożegnanie i wyszedł bez słowa.

***

Stęchlizna została za drzwiami. Wychodząc na uliczkę oddzielającą kamienicę od miniparku, Protazy wiedział, że zostawił za nimi dużo więcej. Stał przez chwilę, czując, że narasta w nim coś, czego nie chce, jakieś uczucie, którego się bał. Oczy zaszły mu mgłą; nerwowo starł ją dłonią. Odwróciwszy się w kierunku Podcieni, ruszył szybkim krokiem, ale ledwo po kilku metrach przystanął, kiedy nawinął mu się przed oczy biały automat apteczny. Gustowny wyświetlacz postawiony obok przez miejski wydział promocji głosił wszem wobec, że niniejszy zautomatyzowany dystrybutor jest kontynuacją apteki założonej jeszcze w XVIII wieku. Raz, gdy dopiero lokując tu Rozbiorex, czekali, aż kompania remontowa zrobi wreszcie to, do czego została wynajęta, Protazy przeczytał z niejakim zainteresowaniem o zawikłanych dziejach niegdysiejszej apteki Pod Jeleniem. Kiedy to było? Nie tak dawno przecież, a jednak zdawało się, że w innym życiu. Teraz bez zwłoki wyszukał na liście leków zwiększających komfort egzystencji środek, o którym było ostatnio głośno w mediach. Niecierpliwie podstawił rękę pod wylot automatu, gdy tylko piknięcie oznajmiło, że opłata została pobrana. We wnętrzu coś zaszumiało i na dłoń

wypadła mu saszetka Memoreko B. Rozdarł ją i wilgotną wewnętrzną powierzchnią przetarł szyję. Uspokoił się prawie natychmiast, choć specyfik nie mógł jeszcze zadziałać. Wystarczyła mu wiedza, że niebawem bolesne wspomnienie rozmowy z Józefem straci na emocjonalnej wyrazistości i pozostaną tylko suche fakty, a rodzące się okropne uczucie nie zdąży zakorzenić się w jego pamięci. Rzucił zużyte opakowanie na ziemię i wyobrażając sobie, że już mu lepiej, ruszył dalej.

Dotarłszy pod zamek, przez mgnienie oka wahał się, czy nie wsiąść do samochodu i nie pojechać do domu. Tylko przez mgnienie, bo łuski spadły mu z oczu i fikcja tego pięknego, lecz pustego budynku na przedmieściach aż biła teraz po oczach. „Mam tam wrócić?" – pomyślało mu się. Zagryzł wargi i nie mając pojęcia, dokąd tak naprawdę zmierza, przeszedł między wieżą Chrobrego a skwerem Eli Graf na plac Bolka i Lolka. Rozległa przestrzeń opadała łagodnie ku deptakowi 11. Listopada i domowi handlowemu Sfera. Zabytkowe kamienice ciągnące się wzdłuż brukowanego traktu jaskrawiły się jak zwykle i w każdy inny dzień ruszyłby bez namysłu ku Sferze, której gustowną wczesnodwudziestopierwszowieczną bryłę pokrywała kojąca czerń. Dziś jednak nie miał potrzeby ani ochoty na szoping. Pragnął się zagubić, zapomnieć. Minął otoczony przeciwptasim polem siłowym wyniosły pomnik patronów placu i zapuścił się między przytłaczająco kolorowe fasady budynków pamiętających inny świat. Szedł, szedł, szedł, gdzie oczy poniosą, skręcając na chybił trafił, aż Memoreko B zaczęło działać, a on skończył cierpieć.

Opamiętał się na jednym z licznych łukowatych mostków spinających brzegi ekshumowanej niedawno spod niepotrzebnej jezdni rzeczki Niwki, dopływu Białej. Spokojniejszym już krokiem przemierzył plac pod neorenesansowym ratuszem i wszedł w park na tyłach papuzio kolorowej budowli. Koryto Białej wyeksponowano tu przemyślnie, tworząc sztuczne meandry. Sędziwe drzewa, ocalone od wycinki dzięki temu, że rosły w dzielnicy nieproduktywnej z fotoenergetycznego punktu widzenia, rzucały nieszkodliwy cień na barwne ściany, jasnoszarą kostkę brukową i

marmurowy posąg Smolenia naturalnej wielkości. Usiadłszy na ławce patrzył w sunące wody, czując, jak ich niestrudzony pęd – albo chemia leku – wymywa z głębin jego duszy resztki bólu, pozostawia zaś obojętność. A może nie? Choć nie bolało go już serce, gdy wracał myślą do zdrady Józefa, krzepnął w nim jakiś chłód, jakaś suchość, twardość. Ale czy mogło, czy powinno być inaczej?

Po drugiej stronie młodzież z liceum im. Jerzego Stuhra wychylała się przez barierki, głośno komentując poziom wody. Rzeka była wezbrana i choć trwało to od miesięcy, czyli odkąd zaczęto spuszczać zbiornik zapory żywieckiej, wielu wciąż zdumiewała siła, z jaką masy wody uciekały z długotrwałej niewoli, nieświadome kolejnych czekających na nie po drodze do Bałtyku potężnych, choć skazanych na rychłą śmierć hydroelektrowni. Patrząc na skotłowany, dziki pęd, Protazy wyobraził sobie, jak wyglądać musi nurt opływnicy miasta, którą sunęło do Wisły o wiele więcej wody. Ukojone farmakologicznie myśli zawiodły go na tereny bezpiecznych emocjonalnie rozważań o technologii, gospodarce i planistyce. Tylko gdzieś w tle świadomości przewijały się obrazy i słowa – ale nie uczucia – z ostatniego spotkania z Józefem.

Z wieży zegarowej ratusza rozległ się kurant. Wytrącony z zamyślenia Protazy zamrugał.

Przecież nie musiał wracać do martwego domu. Mógł zrobić coś innego.

Coś dla siebie.

Wstał i ruszył szybkim krokiem z powrotem pod zamek, do wiernego forda.

***

Szara ściana zapory została w tyle. Sprawdziwszy pas, Protazy rozsunął okno lotowca. W twarz uderzyło go rozpędzone wilgotne powietrze. „Będzie świeższe, gdy dno wyschnie” – pomyślał, wodząc oczami po kopulastych szczytach pokrytych wirującymi bezmyślnie aerogeneratorami. Zbocza znaczyła wzdłuż linia poziomu

wody, oddzielając suchą i żywą część górną od mokrej i martwej dolnej. Poczuł nagłe ukłucie żalu, że nie będzie już rekultywował tych gór u boku Józefa.

By odpędzić złe myśli, spojrzał w dół. Pod nim rozciągała się kotlina ujęta z trzech stron w falujące wały łańcuchów górskich, z czwartej zaś odcięta betonowym łukiem. Z zalegającej dno buroczarnej mazi dachy domów i wieże kościółków wystawały liczniej niż podczas ostatniego przelotu. Największe ich skupisko wyznaczało lokację Żywca; na północ od miasta lśniła woda zalegająca dawne – mikre w porównaniu z sukcesorem – Jezioro Żywieckie. Tu i ówdzie widać było pojazdy ekip sondujących i sprzątających teren.

– Zbliżamy się nad cel – zakomunikował pilot.

Protazy uśmiechnął się, gdy lotowiec wpłynął ponad łagodne wzgórza. Tu leżała kiedyś Milówka, góralska wioska, która jak wiele innych złożona została na ołtarzu mylnej idei. Okolica była wyraźnie suchsza niż poniżej, osadów nagromadziło się mniej, niektóre domy i chaty widniały już jak na dłoni. Protazy obiegł wzrokiem działkę kupioną z myślą o rozszerzeniu działalności Rozbiorexu. Każdy zrekultywowany agrykulturalnie obszar po chybionym zbiorniku retencyjnym pozwalał Polsce nabierać tempa w wyścigu z aktualnymi liderami w produkcji żywności – idącymi łeb w łeb w rywalizacji o tytuł „spichlerza Europy" Ukrainą, która opamiętała się wreszcie po dekadach rujnowania swoich żyznych równin uprawą biopaliw, i Francją, która wbrew naciskom wytrwała w pryncypialnym uporze przy energii atomowej. Terenu rozciągającego się właśnie pod lotowcem było dość nie tylko na uprawę burakoziemniaków, ale i na nie mniej profitową hodowlę pędraków na mączkę spożywczą. A także na postawienie domu.

Protazy zagryzł wargi, gdy znów stanęła mu przed oczami dwudziestowieczna willa. Sam ją wybrał i urządził, szczycił się nią, hołubił, oczyma wyobraźni widział już nawet, jak staje się siedzibą rodziny. Teraz jednak, gdy cel, jaki jej wyznaczył, okazał się nierealny, poczuł, że zbyt długo zamykał oczy na fakt, iż ten dom z nazwy

nie jest wcale domem naprawdę. I nigdy nie był. To tylko pusty zabytek, który widział tak wiele, a tak niewiele potrafił zaoferować. Zbędna konstrukcja, którą tak długo urządzał, a którą teraz pragnął jak najprędzej opuścić. Której strzegł jak źrenicy oka, a której nie chciał teraz widzieć na oczy.

Wziął głęboki oddech.

„Koniec – powiedział sobie nagle. – Koniec wspominania przeszłości z łezką w oku. Koniec!"

Zdumiał się sam sobą. Nie spodziewał się, że tak szybko znajdzie w sobie siłę, by spojrzeć prawdzie prosto w oczy i zaakceptować ją. Ale stało się. Czy to dzięki Memoreko?

– Wracamy – dobiegło od sterów.

Pilot wykonał manewr, lotowiec przechylił się w powietrzu. Protazy po raz ostatni wciągnął w nozdrza wilgotną woń, zamknął okno i umościwszy się w fotelu, spojrzał przed siebie, na brutalnie spajający dwa beskidzkie pasma wał zapory.

***

Wnętrze resty Stołówka przy ulicy 11. Listopada miało ten sam co przed laty dyskretny urok retro: białe ściany, jarzeniówki pod sufitem, wzdłuż nagich stołów ławy bez oparć, samoobsługa przy okienku. Protazy nie był tu lata całe, ale trafiłby z zamkniętymi oczami. Prawie połowę stolików zajmowali frakówkowcy w średnim wieku, ale było też trochę młodzieży. „O tej porze dnia nigdy nie zjawiało się tu tylu gości – pomyślał – przynajmniej nie za czasów, gdy zachodziłem z Józefem". Interes musiał iść dobrze – a może klientów na niezrównany kapuśniak szefa kuchni zagnał do wnętrza niespodziewany kapuśniaczek na zewnątrz.

Protazy popijał piwo sojowe „Yanjing" i patrzył to przez niepasujące do wystroju energochłonne okno, to ku przeszklonym aluminiowym drzwiom. Ostatniej nocy nie zmrużył oczu, ale nie kleiły mu się teraz. Wiedział, że przyszedł za

wcześnie, zresztą zrobił to z rozmysłem, ale i tak denerwował się, jak gdyby jego partner się spóźniał. „Ekspartner" – poprawił się w myślach.

Gdy Józef zadzwonił poprzedniego dnia, by umówić się na spotkanie, Protazy bez namysłu zaproponował to miejsce. Teraz żałował. Wspomnienie romantycznych kolacji, na które dawno, dawno temu się tu umawiali, zamiast pokrzepić go, na co chyba podświadomie liczył, rozbudziło w nim uśpiony już smutek. „Gdzież on jest – myślał, wyglądając za okno. – Miejmy to już za sobą!"

Wychylał właśnie ostatni kieliszek, gdy z głośnika dobiegł udatnie skomponowany zgrzyt zawiasów. Protazy odwrócił głowę w kierunku wejścia, przywołując na twarz pełen nadziei uśmiech, ale gdy ujrzał, kto wchodzi, przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Uchylonymi przez Józefa drzwiami na salę wkraczała Genowefa.

Zacisnął szczęki, ale opanował się i uniósł rękę.

– Tutaj jesteś! – Józef uśmiechnął się i podszedł szybkim, lekko nerwowym krokiem. Dziewczyna postąpiła za nim.

– Poznajcie się.

Protazy wstał i podał Genowefie dłoń. W mocnym świetle jarzeniówek jej uroda, skryta wtedy na schodach kamienicy, zajaśniała w pełnej krasie. We własnym, czarnym oku miała jakiś niepokojący, ale i pociągający błysk, który rozpływał się bez śladu w katalogowej zieleni soczewki kontaktowej drugiego oka, nawet się nieumywającej do jedynej w swoim rodzaju barwy tęczówek Józefa.

– Co ci przynieść? – spytał Józef Genowefy. Oczy śmiały mu się do niej.

– Herbatę – odpowiedziała miękkim, ciepłym głosem, robiąc słodkie oczy.

– Nic nie zjesz?

– Może wuzetkę.

– Dla nas jeszcze jedno? – Wskazał na stojący obok kieliszka Protazego pusty pojemnik po yanjingu.

– Chętnie.

– Coś jeszcze?

– *No, thanks.*

Józef odwrócił się i ruszył do okienka. Odchrząknąwszy, Protazy sięgnął, żeby przesunąć pusty kieliszek, ale w porę spostrzegł, że zdradzi w ten sposób swoje zdenerwowanie. Podniósł wzrok na kobietę i spojrzał jej w oczy.

Genowefa była skończoną pięknością – każde następne spojrzenie tylko bardziej to potwierdzało. Wiedział o tym już wcześniej od Józefa, ale co innego wiedzieć, a co innego widzieć na własne oczy. Jej przesłonięta granatową siateczką twarz, choć nieskażona makijażem, subtelną grą łuków i cieni zachwycała i intrygowała niczym wystudiowane oblicza z reklam z początków wieku. „Józef ma oko – pomyślał, czując ukłucie w sercu".

Nie zdążył nic powiedzieć, nie zdążył nawet zdecydować, czy to ukłucie żalu czy zazdrości, gdy spuściła wzrok i przykryła różnobarwne tęczówki naturalnie długorzęsymi powiekami.

„Dlaczego Józef? Co taka ślicznotka w nim widzi?…" Zawstydził się od razu albo zirytował. Bo co on sam w nim widział? Gdyby Józef nie był wart miłości, Protazy by przecież z nim nie był…

„Człowiek się zmienia", wróciły doń nagle słowa Józefa. „Czy naprawdę trzeba całe życie spędzić z jednym i tym samym drugim człowiekiem? Czy nie należy szukać kogoś właściwego na dany *stage* życia?". „Nie uważam tak – pomyślał i zaraz się poprawił: – Nie uważałem tak". Ale przecież nie można zostać samemu do końca życia. A skoro Józef znalazł sobie nowego partnera na kolejny *stage* życia, to dlaczego by nie…

O czym w ogóle mowa! Zacisnął wargi i wbrew sobie chwycił pusty kieliszek. Kolejny *stage*? Posłał Genowefie kose spojrzenie, ale wciąż nie podnosiła wzroku.

Przecież to jasne, że jest z Józefem tylko dla łatwego życia. Mało takich jak ona poluje na takich jak on?

Tylko dlaczego trafiło akurat na nich?

– *Here you are* – powiedział Józef, stawiając przed byłym partnerem ogrzany do idealnych dwudziestu dwóch stopni pojemnik piwa, a przed aktualną partnerką szklankę wrzątku i spodek z torebką herbaty, plasterkiem karamboli oraz kostką słodzika. – Ja wziąłem papierówki w karmelu, za parę minut będą… O, zapomniałem łyżeczki – żachnął się i już chciał się odwracać, ale chwyciła go za rękę.

– Nie trzeba. Już pójdę.

– Ależ, Gieniu… – zdumiał się, a potem spojrzał na Protazego krzywym okiem.

– Nie powinnam wam przeszkadzać – wyjaśniła, wstając. – Powinniście porozmawiać w cztery oczy.

– Przecież mówiłem ci, że w trójkę będzie…

– Zadzwoń jak skończycie, *d'accord*?

Pocałowała go w policzek, odwróciła się i wyszła. W głośniku zaskrzypiały zawiasy.

– Powiedziałeś jej coś? – Józef nachylił się nad Protazym i spojrzał mu ostro w oczy.

– Nawet ust nie zdążyłem otworzyć.

– Nie musiałeś.

– *Listen* – zmarszczył brwi – każdy ci powie, że przyprowadzenie swojej nowej partnerki na spotkanie z eksem to kiepska idea. Ona najwidoczniej też tak uznała i wykazała się delikatnością, której tobie zabrakło.

Józef przez chwilę studiował twarz Protazego, a potem usiadł.

– Niech będzie – mruknął i otworzył pojemnik. Do kieliszków polał się spieniony płyn. – No to *cheers*!

Wypili. Protazy nalał drugą kolejkę.

– Jak się wam układa? – spytał, chowając twarz za kieliszkiem.

– Dobrze – odpowiedział Józef, drapiąc kciukiem zarośnięty policzek. – Ale wiem, że to dla ciebie niełatwy temat, więc…

– A dla ciebie?

Józef spojrzał mu ciężko w oczy.

– Przecież wiesz. Myślisz, że taką decyzję podejmuje się łatwo?

– Nie wiem. Nigdy jej nie podejmowałem.

– Tego się właśnie obawiałem – sapnął Józef i ze stukotem odstawił kieliszek. – Ja chcę się rozstać po frendowsku, a ty nie.

– Ja nie chcę się rozstać? – Protazy prawie się zaśmiał. Jakby znikąd spłynęło nań niespodziewane rozluźnienie. Poczuł się ostatecznie wyzwolony od krępujących ograniczeń nieudanego związku. Poczuł się sobą. – Myślisz, że po czymś takim chciałbym do ciebie wrócić?

– To jest właśnie to, o czym mówię. – Józef pokręcił głową. – Ty się nie chcesz rozstać po frendowsku, chcesz mnie drażnić, aż się wścieknę, i wydrzeć mi…

– Uważaj, żebyś nie powiedział za dużo. – Protazy nachylił się nagle i oparł łokcie o stół. – *Look:* to wyłącznie moja dobra wola, że godzę się na tę rozmowę – rzucił przyciszonym głosem. – Rozstanie nastąpiło z twojej winy i każdy sąd mi to przyzna.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał głucho Józef.

– Tylko tyle, że powinniśmy szybko ustalić, kto co bierze, zaregistrować to urzędowo, odwiedzić klinikę i pożegnać się raz na zawsze.

Józef milczał dłuższą chwilę.

– Bałem się, że będziesz zdepresjowany, ale widzę, że jest wprost przeciwnie – rzekł wreszcie cicho. – Czy ty wziąłeś Memoreko albo inne świństwo?

– A ty nie?

– Nie. I widzę, że zrobiłem źle, bo wyrzuty sumienia niepotrzebnie spędzają mi sen z powiek.

– Tak ci doskwierają, że musiałeś przyprowadzić tu kobietę, która weszła między nas.

Józef potarł palcami oba bokobrody, aż zachrzęściło.

– Czyli jednak coś jej powiedziałeś – mruknął.

Protazy uśmiechnął się.

– Nie powiedziałem ani słowa. Wystarczyło, że na nią spojrzałem.

Milczenie zdawało się namacalne. Potem pojemnik stuknął o kieliszek.

– Okej… – Józef przetarł usta wierzchem dłoni. – Załatwmy to szybko. Ja biorę kompanię i mieszkanie na mieście. Ty bierzesz willę i ziemię w Milówce. Wspólne konto dzielimy na pół.

Protazy dłuższą chwilę patrzył mu w oczy.

– Co z kontraktem na Beskidy?

Józef przełknął piwo. A może ślinę.

– Co ma być? – burknął.

– Sporo pieniędzy przyniesie kompanii.

– Przyniesie – warknął Józef – i nic dziwnego, bo harowałem jak koń, żeby go zdobyć. Ty nawet palcem nie kiwnąłeś. Więc jeśli myślisz, że dam go sobie wydrzeć, to się mylisz. Dostajesz ziemię wartą w perspektywie parę razy więcej, a śmiesz…

– Spokojnie! – uciszył go Protazy. – Chciałem tylko zobaczyć, jak ci zależy.

– Że co? – Józef spojrzał nań zdumiony.

– To, co słyszałeś. – Nalał sobie resztkę piwa i wypił. – Podział jest uczciwy.

Sięgnął do leżącej obok na ławie torby po komputer. Czarna płytka zalśniła i rozjarzyła się.

– Czyli tak… – mówił ni to do Józefa, ni to do siebie, wprowadzając dane do urzędowego formularza. – Rozwód w dniu dzisiejszym za porozumieniem stron,

kompanię przepisujemy na ciebie, mieszkanie przy Pałygi też na ciebie, willę w Romskim Lesie na mnie, tak samo działkę w Milówce, konto na pół, konfirmnij.

Józef bez słowa wziął płytkę i potwierdził swoją zgodę. Protazy przejrzał jeszcze raz wszystko i zaregistrował.

– *Done* – powiedział z uśmiechem i wyłączył komputer. – Oficjalnie nie jesteśmy już parą. Kończ piwo, jedziemy do kliniki.

Wstał i wyszedł, nie oglądając się na Józefa.

Dżdżyło. Stanąwszy na bruku, podciągnął kołnierz frakówki. Kiedy usłyszał za sobą zgrzyt, ruszył w kierunku parkingu.

– Co, to już? – zawołał Józef, podbiegając. – To był nasz pożegnalny obiad?

– Jaki znowu obiad, parę kieliszków piwa.

– Bo nie zdążyłem nawet odebrać papierówek…

– Sam mówiłeś, żeby załatwić to szybko.

Józef chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Protazy wsiadał już do samochodu.

***

Ścięty stożek budynku Centrum Medycznego Hulanka na rogu Cieszyńskiej i Salomona Pollaka otaczały zadbane granatowce; na matowoczarnych ścianach okrągliły się lśniąco ciemne okna. Dalej, za rondem Frońskiego, nad długimi szeregami pochyłych budynków jednorodzinnych, w mżawce i mgle wznosiły się sine grzbiety Beskidu Śląskiego i Małego, połączone zamazaną linią zapory.

Zaparkowali i nie zamieniając słowa, weszli do recepcji. Wykupiwszy procedurę, usiedli na fotelach w poczekalni.

– Dzwoń do Gieni – rzucił Protazy, ścigając oczami wywoływanych do gabinetów klientów.

– Po co? – beznamiętnie spytał Józef.

– Żeby przyszła na procedurę.

– Nie.

– Jak to: nie? Jeśli przyjdzie teraz, dostanie twoje oko od razu ode mnie, unikniesz dublowania procedury.

– Nie rozumiesz – mruknął Józef.

– To mi wytłumacz.

– Ona nie wierzy w pieczętowanie związku wymianą tkanek. – Skrzywił się i podrapał w bokobród.

Protazy po raz pierwszy od wejścia do kliniki popatrzył na eksa.

– No, proszę! Taka młoda, a taka staroświecka!

– Młodzież teraz taka jest – machnął ręką. – Wraca moda na pierścionki i obrączki.

– Bo łatwiej zdjąć.

Józef zmierzył go ponurym spojrzeniem.

– Zamierzam kupić nam obrączki – powiedział powoli. – Ale kto wie, czy Gienia nie zmieni zdania. Dała się namówić na noszenie szkła kontaktowego i teraz się z nim nie rozstaje, więc jestem dobrej myśli.

Protazemu przypomniała się nagle klatka schodowa w kamienicy; znów zobaczył oboje czarnych oczu stojącej pod okienkiem Genowefy. Spojrzał na Józefa i przez chwilę chciał coś powiedzieć, nie wiedział, ostrzec go czy wyszydzić, ale w tej chwili wywołano ich do sali operacyjnej.

– Widzę, że macie już w tej procedurze eksperiencję – mówiła stalowooka operatorka, układając ich na leżankach – więc nie muszę wszystkiego detalowo tłumaczyć. Procedura jest rutynowa, za pół godziny obudzicie się w sali przejściowej, po kolejnej półgodzinie zdejmiecie opatrunki i jesteście wolni. Dla pewności zalecenia co do przyjmowania leków dostaniecie w recepcji…

Protazy wyczuł, że leżący kilka kroków dalej Józef obraca ku niemu głowę, chcąc chyba, by po raz ostatni spojrzeli sobie we wspólne oczy. Nie zareagował.

Poczuł na szyi chłód – to operatorka nacierała mu szyję środkiem znieczulającym – i zamknął powieki.

Kiedy je uniósł, wiedział doskonale, że wrażenie, iż minęła jedna chwila, jest mylące. Przekonywało o tym nie tylko to, że nad sobą miał inny sufit i inną twarz, ale także to, że choć chciał otworzyć oboje oczu, zdołał rozewrzeć tylko jedno.

Podniósł się z pomocą asystenta i usiadł na krześle pod ścianą. Józef siedział kilka miejsc dalej i powoli zakładał sobie telefon. W przestronnym pomieszczeniu znajdowało się kilkadziesiąt krzeseł i leżanek; ponad połowę zajmowali klienci po różnych procedurach.

– Za pół godziny ściągnij opatrunek i przejdź do recepcji – powiedział asystent, wskazując napuszczonymi oranżem oczami zegar nad lustrami po przeciwnej stronie sali, i odszedł do następnego klienta. Umościwszy się wygodniej, Protazy przymknął powieki. Przyjemne rozleniwienie po znieczuleniu utrzymywało się jeszcze. Odpłynął w drzemkę bez myśli.

– Jesteś już? Dobrze. Zaraz wychodzimy.

Otworzył oko. Józef stał obok odwrócony tyłem i rozmawiał przez telefon. Protazy zerknął na zegar: pół godziny już minęło. Sięgnął do twarzy i zdjął opatrunek. Mieniło mu się przed oczyma tylko przez kilka sekund. Spojrzał w lustro, w którym odbijała się twarz Józefa. Ten odwzajemnił spojrzenie. Obydwóm przywrócono już własne gałki oczne, lecz choć tęczówki każdy miał teraz bliźniacze, ich oczy nie stanowiły jeszcze par – na razie mieli po jednej zwyczajnej i jednej zaczerwienionej powiece oraz białkówce.

– *Ready?* – spytał Józef.

– *Yup.*

W recepcji odebrali pliki z procedury i instrukcję dalszego postępowania. Kiedy wyszli na schody, w świeżo odzyskane oczy zaświeciło im rześkie słońce

wyglądające zza rozpraszających się chmur. Po mżawce została tylko wilgoć na ulicach i zapach w powietrzu. Od strony parkingu zbliżała się właśnie Genowefa.

– Jak przyjemnie ujrzeć cię na własne oczy, i to oba! – Józef zaśmiał się na powitanie. Pocałowała go i sięgnęła do kieszeni.

– Kupiłam ci nowe soczewki – powiedziała, podając mu pudełeczko. – Będą lepiej wyglądać na zielonej tęczówce.

Uśmiechnął się i schował prezent.

– Musimy znaleźć automat apteczny – powiedział, obejmując ją w kibici – a potem do domu. Po poprzednim razie jak dopadła mnie senność, to spałem kilkanaście godzin i teraz będzie pewnie tak samo…

– *Good luck* – rzucił Protazy i wyciągnął rękę do eksa. – Wszystkiego dobrego na nowej drodze.

Józef uścisnął podaną dłoń.

– Dzięki. Tobie też. Wiesz, nie musimy tracić się z oczu…

Protazy kiwnął Genowefie.

– Wszystkiego dobrego.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył na parking.

Na uwalniających się od mgły beskidzkich graniach wirowały aerogeneratory.

***

Na moście Szczyrkowskim Protazy musiał znacznie zwolnić. Jeszcze przed chwilą pewną ręką brał zakręty poprowadzonej zboczami Magury i Klimczoka górskiej szosy, ale przed samym wjazdem na most, obok wylotu tunelu Wapienickiego, zrobiło się tłoczno. Jadąc ślimaczym tempem w gęsto splecionym sznurze pojazdów nad błotnistym krajobrazem doliny Żylicy, patrzył w kierunku czerepu Skrzycznego, porżniętego bliznami porzuconych tras narciarskich. Spłaszczony wierch najwyższego szczytu Beskidu Śląskiego jeżył się farmą wiatrową; plany rozbiórki

najwidoczniej się przesunęły, bo metalowe monstra powinny były zniknąć już w zeszłym tygodniu.

Ford zjechał wreszcie na główną ulicę Szczyrku i skręcił w kierunku parkingu pod stacją kolejki. Widoczne stąd jak na dłoni smukłe filary mostu, jeszcze nie tak dawno skryte pod wodą, siniały liszajami długotrwałego oddziaływania mokrego żywiołu. Los budowli nie został dotąd przesądzony, podobnie jak licznych przystani i mol, dzięki którym niegdysiejsze miasteczko narciarskie, przeniesione przed zalaniem kotliny wyżej w góry, przedzierzgnęło się w ośrodek sportów wodnych. Konstrukcje stały teraz pozbawione sensu istnienia i smutno wparte podporami w schnące na powrót zbocza. Inaczej dawne trasy narciarskie, straszące wypłukaną przez deszcze kamienno-gliniastą golizną – te władze miasta zamierzały przywrócić do pierwotnego stanu i długości oraz syntetycznie naśnieżyć jeszcze jesienią, by rozniecić na nowo tak kiedyś modną, a teraz na poły zapomnianą dziedzinę sportu i rekreacji.

Ludzie zjechali, zlecieli i zeszli się licznie. Protazy zostawił forda na jednym z ostatnich wolnych miejsc parkingowych i stanął w długim, lecz szybko posuwającym się ogonku do kolejki. Wagoniki śmigały po lśniących rynnach wyżłobionych w zboczu Skrzycznego na płaski szczyt. Ostatni raz Protazy był tu lata temu, kiedy przyjechali z Józefem poopalać się, a skończyli w hotelu Peteteka przemoczeni do suchej nitki, bo upalny lipcowy dzień niespodziewanie zasnuł się burzowymi chmurami. Dziś niebo jaskrawiło się błękitem pozwalającym wierzyć, że tym razem prognozy się sprawdzą.

Zapłaciwszy, przeszedł wraz ze współpasażerami na startowisko i wsiadł do wagonika. Jeszcze nie zapiął dobrze pasa, gdy rozległ się bip i pojazd pomknął w górę, wciskając pasażerów w fotele. Protazy przymknął oczy i chwilę słuchał świstu wiatru o szyby. A potem rozległ się kolejny bip i przyszło wysiadać.

Zniwelowany szczyt Skrzycznego pełen był ludzi. Tłum kłębił się u podstaw potężnych słupów. Śmigła wiatraków wciąż mełły flegmatycznie powietrze, wytwarzając drogi i trudny w przesyle prąd elektryczny. Gapie sunęli zwartą masą ku wschodniej krawędzi stanowiącej szczyt równi, skąd rozciągała się panorama kotliny, podskakiwali i wspinali się po słupach, byle mieć lepszy widok. Niektórzy trzymali binokulary, inni obserwowali kotlinę gołym okiem.

Protazy przecisnął się do platformy widokowej, ale amatorzy mocnych wrażeń tłoczyli się już tam jak krewetki w kartoniku; musiał poszukać innego miejsca. Skręciwszy, obszedł największe skupisko, zmierzając na ubocze, gdzie jak pamiętał z dawnych czasów, krawędź szczytu łagodniała, umożliwiając dostęp do wyciętych niżej w zboczu tarasów. Nie tylko on wiedział o zejściu, ale wtajemniczonych była garstka w porównaniu z tłuszczą na szczycie. Wkrótce rozsiadł się na kępie trawy wyrastającej spomiędzy kamieni i spojrzał przed siebie, między słupy.

Łagodne wzniesienia Beskidów okalały rozległą szarą nieckę, w której tu i ówdzie lśniły oczka i nitki wody. Środkiem biegła rozgałęziająca się linia głównej drogi dojazdowej. Kotlina Żywiecka była już w przeważającej mierze osuszona, na wyżej położonych działkach najbardziej niecierpliwi zaczynali się już nawet budować. Protazy jeszcze przed wyjazdem z bielskiej willi do Szczyrku połączył się wizualnie z ekipą oraczy przygotowujących jego milóweckie pola do zasiewów. Praca szła zgodnie z planem. Na razie zatopioną przez kilka dekad ziemię należało spulchnić, nawieźć i przywrócić do życia – sporo pracy, ale wysiłek miał się opłacić.

Odcinająca kotlinę od północy zapora stała niewzruszenie, lecz jej godziny były policzone. Protazy spojrzał na zegarek. Za kilkadziesiąt minut budowla miała runąć, umożliwiając odzyskanie cennych materiałów i rekult sporego kawałka ziemi. Byli tacy, co postulowali, by ją zostawić, jeśli nawet nie jako pomnik architektury, który niechybnie za kilka pokoleń stanie się zabytkiem, to – zważywszy na rozmiary powierzchni od strony południowej – jako bazę pod elektrownię słoneczną.

Zwyciężyła jednak twarda kalkulacja idąca w parze z troską o przywrócenie pierwotnej estetyki krajobrazowej. Gigant miał wnet runąć w proch.

Protazy wystawił twarz do słońca i przymknąwszy oczy, pozwolił myślom płynąć swobodnie. Snuł niedawne wspomnienia i plany na najbliższą przyszłość, zastanawiał się leniwie, w którym ze słynnych szczyrkowskich lokali zje obiad. Raz czy dwa pod powiekami przewinęło mu się rozstanie z Józefem i inne dawniejsze wydarzenia, ale nie zdominowały jego toku myślenia. Rozkoszował się chwilą, czekając cierpliwie, aż rozlegną się pierwsze wybuchy.

Wtem z zamyślenia wytrącił go telefon. Odebrał machinalnie.

– Tak?

– Józef z tej strony – rozległo się cicho.

Protazy zamarł na moment.

– Tak? – powtórzył wreszcie.

– Gienia mnie zostawiła.

Protazy patrzył na budzącą się do życia kotlinę oraz szykującą się na śmierć zaporę i milczał.

– W zeszłym tygodniu agencja rozwiązała kontrakt – ciągnął Józef na pozór beznamiętnie, ale Protazy wiedział, że to tylko gra. – Uznali, że nasza… że moja kompania ma za małe środki na realizację projektu. To przez podział rozwodowy. – W jego głosie nie było wyrzutu, tylko smutek. – Próbowałem apelować, ale bezskutecznie. Gdy powiedziałem to Gieni… – Urwał na jedno uderzenie serca. – Już wcześniej wiedziała, że podzieliliśmy oszczędności – ciągnął zduszonym głosem – ale kiedy usłyszała jeszcze to, odeszła ode mnie. Po prostu odeszła. Była ze mną tylko dla…

Protazy byłby mimowolnie prychnął, gdyby nie krótkie, ale głośnie wycie syreny. Odwrócił głowę ku zaporze w samą porę, by ujrzeć pierwszy błysk. A potem kolejne strzeliły serią wzdłuż całej konstrukcji. Echo poniosło się po kotlinie, krzyki

sycących oczy gapiów wzbiły się pod niebo, ale wszystko to rozpłynęło się w głuchym, dochodzącym jakby spod ziemi hurgocie. Kłęby ciemnego pyłu wzniosły się nad upadającą zaporę i zakryły ją niczym kirem.

Ziemia drżała długo; jeszcze dłużej między górami telepał się rumor. Kiedy wreszcie ucichł, Protazy uświadomił sobie, że telefon milczy. Patrzył, jak opadający pył rozlewa się po kotlinie, słyszał pełne ekscytacji komentarze tłumów, ale sam siedział bez ruchu. Wreszcie wstał i ruszył ku stacji kolejki. Chciał zjechać, zanim znów zrobi się tłumnie.

Na dole ruszył spacerkiem wzdłuż ulicy, przeskakując wzrokiem od jednej resty do drugiej. Wreszcie upatrzył sobie elegancki lokal KFC. Na parkingu stała cała flota luksusowych pojazdów. Wszystkie były lśniąco czarne – poza wspaniałym ferrari 1410 superamerica. Piękny, ale energetycznie niewydajny lazur aż bił po oczach. „Dla szpanowania kolorem chce się komuś ładować akumulatory?" – pomyślał Protazy, dyskretnie próbując przez odblaskowe szyby dojrzeć kierowcę.

W tej chwili ferrari wydało z siebie głęboki, soczysty pomruk i ruszyło na ulicę z mocą i opanowaniem godnym drapieżnego kota. Protazy przystanął, nie wierząc własnym oczom.

Z czterech rur wydechowych wydostawały się kłęby dymu, wypełniając powietrze pobudzającą zmysły agresywną wonią.

Dopiero kiedy samochód zniknął w perspektywie ulicy, Protazy odwrócił się i wszedł do resty. Prowadzony przez wyfrakówkowanego kelnera w kierunku stolika obok szemrzącej cicho prawdziwej fontanny zachodził w głowę, jakie trzeba mieć pieniądze, by zamiast zmodernizowanych replik zeszłomilenijnych samochodów, którymi zadowalali się wszyscy, sprawić sobie autentyk. Nie w pełni jeszcze ochłonąwszy, przyjął staroświeckie papierowe menu i zażądał szklanki wody mineralnej „Nongfu". Dopiero wtedy jego myśli wróciły na właściwe tory. Odchrząknął i pomyślał hasło telefoniczne Józefa.

– Pasuje ci pojutrze w południe pod kliniką? – spytał na powitanie. – Pójdziemy gdzieś porozmawiać… No to w porządku. *Take care.*

– *Sir*, tu obowiązuje zakaz telerozmów – uprzejmie, lecz sztywno ukłonił się kelner.

– Przepraszam, już skończyłem.

– Oto woda.

Podziękował skinieniem głowy i przebiegł oczami menu. Ceny zwalały z nóg, ale przecież bieda nie zaglądała mu w oczy.

***

Klub COTYNATO mieścił się w podziemiach zabytkowej willi przy ulicy Olikowa. Pastelowe barwy neobarokowej budowli przydawały mu szczególnego stylu. Pierwsze dźwięki klubowej mjuzyki Protazy usłyszał dopiero schodząc po stopniach. Kiedy wszedł na salę, poczuł nagle na grzbiecie ciężar swoich pięćdziesięciu czterech lat. „Za moich czasów…" – zaczął w myślach i od razu skarcił sam siebie, ale fakt pozostawał faktem – pasował tu jak pięść do oka. Zamiast znanej mu dzikiej galopady przyprawiających o drgawki świateł, lampy jarzyły się intymnym beżem, a zamiast mjuzyki zdolnej wywołać zwarcie synaps, z głośników sączyły się melodyjne improwizacje na akordeon i bałałajkę. Specjalnie włożył był najbardziej szałową ze swoich frakówek, popielatą i szamerowaną srebrem, ale w sali pełnej młodzieży ubranej w multikolorowe tiszerty i dżinsy niczym ich dziadkowie poczuł się tyleż nie na miejscu, co nie na czasie.

Obrzucił wzrokiem lokal, obejrzał się na drzwi, a potem podszedł do baru i usiadł na wysokim stołku.

– Ajrak – rzucił barmanowi. Nie miał tego trunku w ustach od bardzo, bardzo dawna, ale klubowa atmosfera, choć odmieniona niemal nie do poznania, przywoływała wspomnienia.

Polerujący porcelanowe czarki do koniaku młody mężczyzna zawahał się przez moment.

– Nie prowadzimy – odparł wreszcie.

– Kumys? – spróbował Protazy, ale wyraz intensywnie niebieskich oczu mężczyzny sprawił, że od razu zmienił zdanie. – Sojowego yanjinga…

Barman skinął głową. Po chwili przed Protazym stanął ciepły pojemnik. Barman otworzył piwo jednym palcem i z wysoka nalał białawego płynu do smukłego kieliszka.

– *Voilà.*

Piana zasyczała rześko.

– Szukam kogoś – powiedział Protazy, wychyliwszy kieliszek.

Barman spojrzał pytająco.

– Nazywa się Gienia, Genowefa – ciągnął Protazy. – Młoda, czarnooka *beauty.* Bywa tutaj.

Mężczyzna nalał drugą kolejkę.

– Lutosława będzie wiedzieć – powiedział wreszcie, wskazując za plecy Protazego. Ten obejrzał się.

Przy stoliczku po drugiej stronie sali siedziała młoda kobieta w jaskrawym T-tiszercie w petunie i begonie, z upodobaniem gryząc dietetyczne orzechy makadamii. Na pierwszy rzut oka przykuwała oko.

Protazy kiwnął głową barmanowi i zabrawszy piwo, ruszył w kierunku kobiety. Podniosła wzrok dopiero, gdy stanął nad stolikiem.

– Mogę się dosiąść?

– Możesz spróbować. – Wzruszyła ramionami. Zorientował się poniewczasie, że stolik jest jednoosobowy. Niezrażony, przystawił sobie krzesło z sąsiedniego stolika i przysiadł się.

– Jestem Protazy.

Skinęła tylko głową, badawczo skanując jego twarz identycznymi piwnymi oczami.

– Szukam kogoś.

– *Oh là là!* A kogo? – spytała, wrzucając sobie do ust dwa orzechy naraz.

– Genowefy.

Uniosła brwi i uśmiechnęła się.

– To ją znalazłeś – powiedziała z pełnymi ustami.

Teraz to on uniósł brwi.

– Ty jesteś Lutosława – pół spytał, pół stwierdził.

– *Oui*, ale zajmuję się tym, co Gienia. Dotrzymuję towarzystwa – dodała, gdy Protazy nie reagował. – I robię to lepiej.

Przyjrzał się jej. Na oko miała jakieś dwadzieścia parę lat. Czoło przewiązała zieloną przepaską, z której w każdej chwili opuścić mogła siateczkę, ale nie robiła tego. „Czyżby to też wychodziło już z mody?" – pomyślał, ale nie dokończył myśli, bo pochłonęła go uroda dziewczyny. Rysy miała wyraziste i regularne, w kącikach warg cień tajemnicy, a w sposobie, w jaki strzelając na ukos oczami, odsłaniała białka, coś kuszącego. Wytwarzała wokół siebie atmosferę, która sprawiała, że nie oszałamiając pięknością ani nie kładąc na twarz iście gejszowych warstw makijażu, była zniewalająco atrakcyjna. Siedząc w intymnej atmosferze klubu, oddzielony od tej pociągającej młodej kobiety tylko małym stoliczkiem, Protazy uprzytomnił sobie nagle, że nie może oderwać od niej oczu. Rosły w nim dawno nierealizowane emocje.

Wyczuła to.

– Chyba się nie rozumiemy. – Potrząsnęła głową i błyskając białkami, odchyliła się na krześle. – Jeśli tego szukasz, trafiłeś pod zły adres. Chyba rzeczywiście trzeba ci Genowefy. Ona ostatnio poluje akurat na takich jak ty.

– To znaczy? – spytał, próbując nadać swojemu głosowi rzeczowy ton.

– Spójrz na siebie.

Już miał pochylić posłusznie głowę, ale zorientował się, że jeszcze chwila i dziewczyna przejmie całkowitą kontrolę nad rozmową. Przywołał na twarz uśmiech.

– W takim razie skontaktuj mnie z nią.

Wrzuciła sobie do ust kolejny orzech i zaczęła chrupać ze zmysłową powolnością. Czekał, nieledwie pożerając ją oczami.

– O ile wiem – powiedziała wreszcie – od niedawna jest wolna i chyba nie pogniewa się na mnie. Ale jakby co, to ze mną nie rozmawiałeś. *Tu comprends*?

– Kompletnie.

– Passiflore79el.

– *Thanks* – rzucił i wstał.

Skinęła mu lekko głową, błyskając znów białkami. „Ona naprawdę wpadła mi w oko" – pomyślał i poczuł, że jeśli nie zwalczy zaraz rosnącej pokusy, plan się zawali.

Nie przeoczyła jego wahania.

– Coś jeszcze? – spytała i rozchyliła wargi, świdrując go oczami.

– A twoje hasło?

Zaśmiała się cicho.

– Lutka7777.

Gdy się odwracał, sypnęła mu na pożegnanie perskie oko.

– *Bonne courage*.

Podziękował niepewnym uśmiechem.

Do parku Garugi było parę kroków. Idąc pośród kolorowych kamienic, zapamiętał w telefonie oba hasła. Kiedy znalazł się w szumiącym cieniu podpartych dyskretnymi rusztowaniami prastarych dębów, usiadł na ławce i zadzwonił.

***

Promienie wiszącego wysoko na bezchmurnym niebie słońca wsiąkały w czerń ulicy, chodnika i schodów. Przesiane przez energochłonne szyby światło rozlewało po wnętrzu kliniki przyjemnie chłodną szarość. Protazy siedział naprzeciwko wejścia, obserwując rondo Frońskiego i odcinek Cieszyńskiej. Zaraz miał stanąć oko w oko z przeszłością, by móc na dobre rozpocząć przyszłość, ale czuł się dziwnie obojętny. Po drodze tutaj obracał w głowie przygotowane słowa, kiedy jednak dotarł na miejsce, przestał o nich myśleć.

Wzrok mimowolnie uciekał mu w górę, gdzie nad szeregami pochylonych budynków widniały skłony wzgórz. Ostra linia łącząca dwa Beskidy zniknęła. Czekając na to, co miało wkrótce nastąpić, próbował przyzwyczaić się do ziejącej dziury w miejscu, gdzie, odkąd pamiętał aż do przedwczoraj, stała zapora. „Kiedy teraz jeszcze usunie się wiatraki – myślał leniwie – a potem zalesi przecinki, krajobraz będzie – uśmiechnął się blado – jak przed wiekami…”

Naraz się zerwał. FSO-CWS 7 torpedo parkował właśnie pod kliniką.

– Idziemy – rzucił i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Owiało go ciepłe powietrze, oślepił blask.

– Protazy! – zawołał Józef, wstępując na schody. A potem zatrzymał się i oczy wyszły mu z orbit.

U boku Protazego stanęła Genowefa. Chwycił ją za łokieć, patrząc z góry na eksa.

– *Bonjour, Joseph* – powiedziała z perfekcyjnym spokojem.

Józef przeskakiwał zdumionym wzrokiem z Genowefy na Protazego. Z jednej twarzy na drugą. Z oczu na oczy.

– Czerń ładniej komponuje się z błękitem niż z zielenią, co? – Protazy uśmiechnął się, schodząc stopień niżej. Józef wciąż milczał, tylko zdumienie w jego oczach zaczęło ustępować czemuś innemu. – Oj, nie zgrywaj szokniętego. – Udał

zniecierpliwienie. – Sam wiesz, że Gienia była z tobą tylko dla pieniędzy. Teraz to ja mam więcej pieniędzy, więc jest ze mną. *As simple as that*. Ale do rzeczy. Chciałeś porozmawiać. Tu niedaleko jest *cool* resta, porozmawiamy w trójkę. Co ty na to?

To ostatnie wymówił ze szczególnym naciskiem, świdrując Józefa wzrokiem. Ten nie rzekł nic. Protazy zszedł jeszcze stopień niżej, pociągając za sobą Genowefę.

Józef cofnął się. W jego oczach uwyraźnił się ból. Nagle odwrócił się i zaczął iść szybkim krokiem w kierunku samochodu.

Protazy patrzył za nim chwilę.

– Czekaj! – zawołał wreszcie. – Czekaj!

Józef szedł dalej. Nie oglądał się, tylko wtulił głowę w ramiona.

– Józek! Hej! – krzyknął Protazy, a potem puścił Genowefę i pobiegł za eksem. – Stop, zaczekaj!

Dopiero kiedy złapał Józefa za ramię, ten się odwrócił i spojrzał mu w czarno-błękitne oczy.

– Patrz – sapnął Protazy i podniósł dłoń do oka. Czarna soczewka przylgnęła do czubka palca, a potem spadła na chodnik, bez śladu wtapiając się w nawierzchnię. – Prawda w oczy kole, co?

Józef patrzył eksowi w twarz, nic nie mówiąc. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Teraz wiesz? – syknął nagle Protazy i odwróciwszy się, ruszył sprężystym krokiem w kierunku rogu ulicy.

– Wiem – szepnął za nim Józef, ale Protazy już znikał za zakrętem. Nogi niosły go szybko i lekko, przepełniało go poczucie tryumfu, radość z odpłaty. Czuł się jak ptak…

Nie – satysfakcja nie była tak pełna i dzika, jak się spodziewał. Czuł już i bał się, że gdzieś w głębi jego jestestwa kłębią się inne, nie tak przyjemne uczucia i lada

chwila mogą nim owładnąć. „Trzeba było kupić wcześniej” – ganił się w myślach, podbiegając do żółtego automatu „Sinoapteki“.

– Memoreko A – zaordynował zduszonym głosem i podstawił drżącą dłoń pod wylot dystrybutora. Kiedy tylko poczuł w palcach saszetkę, rozerwał ją i odchyliwszy głowę, przeciągnął chłodną wilgocią po szyi. Jeszcze chwila, jeszcze moment, powtarzał sobie. To, co trzeba, co jest dobre, zaraz zostanie wzmocnione i utrwalone na zawsze, to, czego nie trzeba, co jest złe, nieprzyjemne, co narasta teraz w nim, rozwieje się i zniknie. Oparł się o automat i zamknął oczy, starając się z całych sił skupić na tryumfie, który przecież przed chwilą odniósł, na radości, którą przecież teraz czuł, na satysfakcji, którą przecież właśnie otrzymał…

– Co to miało być?

Nieoczekiwany głos odezwał się bolesnym dysonansem. Protazy wyszczerzył instynktownie zęby i uniósł powieki.

Genowefa jeszcze nie zdjęła błękitnej soczewki, ale nie trzeba było patrzeć w oboje jej oczu, by po całej twarzy poznać, jakie uczucia nią targają.

– Najpierw opowiadasz mi, jakie to gospodarstwo agrykulturalne masz mieć – wyrzuciła z siebie jednym tchem – jaki to jesteś bogaty, jak to Józef jest ci winien drugie tyle, wleczesz mnie tutaj, żeby z nim ponegocjować, każesz mi odstawiać twoją *femme*, sypiesz mi piaskiem w oczy, a potem wszystko, ot tak, zawalasz i zostawiasz mnie na lodzie! Pytam, co to ma być?

Protazy zagryzł wargi. Powinien być w jakimś spokojnym miejscu, napawając się swoim zwycięstwem, zapamiętując je na zawsze, tworząc zeń definiujący fragment osobowości, a tymczasem musiał angażować się w sprzeczki z…

Przecież nie musiał.

Odwrócił się i ruszył przed siebie bez słowa.

– Hej! – zawołała za nim.

– Zejdź mi z oczu – mruknął, nie odwracając się.

Nie usłyszała albo nie przejęła się, bo po kilku krokach poczuł dłoń na ramieniu.

– Wyeksplikujesz mi to czy nie? – syknęła mu prosto do ucha.

– Chciałem się odegrać, okej? – warknął, odwracając się w miejscu i strząsając jej dłoń. – Za to, co zrobił mi Józef. Za to, co zrobiliście mi oboje. Uwiodłaś go czy pozwolił ci się uwieść, nieważne, ważne, że postanowił, ot tak sobie, bez mrugnięcia okiem zostawić mnie dla ciebie. Wygarnąłem mu to prosto w oczy, dostał za swoje, a ja mogę zacząć życie na nowo.

Chwilę mierzyła go okiem.

– Tak chyba nie zachowuje się człowiek, którego rozstanie boli, *n'est-ce pas?* – powiedziała wreszcie.

– Skąd ty to możesz wiedzieć – żachnął się i chciał odejść, ale znów dotknęła go w ramię. Coś kazało mu znów spojrzeć na nią.

– Rozumiem wszystko – powiedziała i uśmiechnęła się. Łagodne łuki jej twarzy rozciągnęły się kunsztownie. Nagle uświadomił sobie, że czerń i błękit rzeczywiście stanowią doskonale dobraną parę. – Nic mi to nie przeszkadza. A nawet – nachyliła się i tchnęła mu ciepłem w policzek – podoba mi się.

Odsunął się z bijącym sercem. Stała nadal lekko pochylona, otwarta, bliska, zachęcająca. Jej twarz, jej całe ciało emanowało akceptacją, obietnicą, pokusą. Jeszcze przez chwilę czytał w jej oczach, czując, jak narasta w nim mdlejąca – a może piekąca? – słodycz. A potem zacisnął zęby, odwrócił się i odszedł szybkim krokiem.

Nie podążyła za nim.

***

Słońce zachodziło nad dachami sąsiednich willi i koronami ozdobnych drzewek, taras pogrążał się w cieniu. Protazy sięgnął po pojemnik stojący na wyciągnięcie ręki na antracytowych płytkach posadzki i wysączył ostatnią kroplę piwa sojowego.

Powoli odkrywał dobre strony samotnego życia. Nie chciał już byle prędzej opuszczać willi w Romskim Lesie. Kiedy stanie dom w Milówce, wtedy się zobaczy…

Powiał chłodniejszy wiatr. Protazy westchnął i wstawszy z leżaka, ruszył ku otwartym drzwiom.

Nie zdążył wejść, gdy poczuł, że dzwoni telefon. Zawahał się, poznawszy, kto to. Przez chwilę sondował własne uczucia, a potem odebrał.

– To ja. Nie przeszkadzam?

Józef mówił spokojnie, jednak nie dzięki pokojowi duszy, tylko ujarzmieniu emocji. W tle niemal słychać było, jak rozciera w palcach bokobród.

– Nie – rzucił Protazy i czekał.

– Dzwonię, żeby… – głos zadrżał – przeprosić. Uświadomiłeś mi dziś, co ci zrobiłem. Zabolało mnie bardzo, ale należało mi się. Byłem głupi. Dla jej pięknych oczu zrujnowałem… Zresztą sam wiesz… – urwał. – Ech, przygotowałem sobie, co mam ci powiedzieć, ale teraz się wszystko posypało… Słuchasz?

– Tak – odparł głucho Protazy. Czuł, że coś w nim narasta, nie wiedział jednak jeszcze co.

– To dobrze. Punkt jest taki, że chciałbym… Zastanawiam się, czy… Może byśmy jeszcze raz spróbowali? – Nagle przyśpieszył: – Wiem, że cię skrzywdziłem, ale się zrewanżowałeś, otworzyłeś mi oczy, zrozumiałem, kim tak naprawdę jesteś w moim życiu…

– Józef – przerwał Protazy. Przez krótką chwilę jakiś żal czy tęsknota próbowały przebić się na powierzchnię jego uczuć, ale teraz ze wzmocnionym farmakologicznie impetem wróciły doń tryumf, radość i satysfakcja. – Nie. *It's over* – rzucił i rozłączył się.

Ostatni skrawek słońca zniknął za dachem sąsiedniej willi, ostatni złocisty błysk przestał walczyć o przetrwanie na wszechpochłaniającej czerni ścian. Od północy

zaczęły nadpływać chmury. Wnet miało zrobić się ciemno choć oko wykol. Protazy stał jeszcze przez moment bez ruchu, a potem wszedł do domu i skierował się do kuchni.

Ustalając kolację, rozkoszował się dzisiejszym zwycięstwem, ale niebawem jakieś inne uczucie, utrwalone wtedy przy automacie „Sinoapteki“, zaczęło brać nad nim górę. Dłuższy czas badał je ostrożnie, nie wiedząc, czy może mu zaufać. Jedzenie przestało go interesować. Wreszcie trochę wbrew sobie, a trochę wbrew wszystkiemu aktywował telefon.

Miał dwa hasła, z których mógł skorzystać.

Wróciły doń błyskające białka i czarne tęczówki.

Namysł trwał kolejną, lecz już ostatnią chwilę.

Passiflore79el, pomyślał i czekał w napięciu.

Kiedy odebrała, z całą utrwaloną farmakologicznie mocą poczuł mdlejącą – a może piekącą? – słodycz.

Joanna Łukowska

OSTATNI Z RODU

Samotność nigdy nie jest sama. Zawsze znajdzie kogoś, na kim może się wyżywać.

– Towarzyska z niej suka – mruknął pod nosem Świtek, który przywykł na głos wypowiadać swoje myśli. Miał wtedy pewność, że jeszcze w ogóle umie myśleć, a tym samym świadomie istnieje. – „Myślę, więc jestem", jak mawiał Dziadunio, ale musiał to od kogoś zerżnąć, bo zasadniczo jego prywatna filozofia sprowadzała się do dwóch prawd: „Nie pierdź, synu, pod wiatr, bo pożałujesz" i „Nie gadaj z dupą, bo cię osra".

Podobnie jak większość skrzatów, Świtek nie znosił zadęcia i wzniosłych słów. Nie zwykł też idealizować przodków; wystarczało, że o nich pamiętał. I pod tym akurat względem różnił się znacznie od swoich pobratymców, którzy żyli tak, jak oddychali – na zasadzie odruchu. Gdyby Świtek potrafił przemóc swoją wrodzoną niechęć do wymyślnej retoryki, mógłby powiedzieć, że reszta skrzatów stała się beztroska i bezwolna niczym babie lato unoszone podmuchem byle wiaterku. Po prostu trwali – bez korzeni, idei, bez życiowego posłania, któremu z kolei od niepamiętnych czasów była wierna jego własna rodzina. Ale Świtek widział sprawy po swojemu i po swojemu oceniał.

– Zapomnieli, skórkowańcy, o przeszłości. Wypięli się na nią! – sarkał rozeźlony jak rój os. – Ale ja nie! Ja wciąż pamiętam, ja ostatni ze swojego rodu!

Nie dlatego jednak dopadła go samotność.

– Nie dlatego, zdziro, jestem sam – wytknął złośliwie swojej zachłannej towarzyszce. – Nie potemu, że nie ma już ani jednej samicy, która doceniłaby takiego Świtka jak ja. Nie potemu, wywłoko jedna, wredna, taka-siaka… – prychał, plując

przy tym, jakby nałykał się muszek – ale dlatego, że reszcie wszystko wisi jak stara szyszka, że mają głęboko w omszałym tyłku swoje obowiązki! Nie zaplatają koniom grzyw, by się nie plątały, nie sikają do mleka, żeby należycie się skwaśniało, nie opiekują się drzewami ani zwierzętami. I najgorsze! Nie dają się ludziom we znaki, gdy wlezą za daleko w nasz Bór, w nasz świat. Nie chce im się, lisim synom! Zapomnieli o tradycji! Więc nie chcę mieć z nimi nic wspólnego, mać ich zaprzana!

Wydawało mu się, że krzyczy, że klnie wyraziście i zawzięcie, ale… Nie płoszył borsuków, układających się do snu pod korzeniami sosny, ani słowików wyśpiewujących jedną z ostatnich pieśni przed nastaniem brzasku. Jego głos brzmiał bowiem zwykle jak szelest liści, skrzyp stuletniego dębu, a w tym konkretnym przypadku – najbardziej przypominał chrząkanie dzika. Świtek należał do lasu, w którym się urodził i żył od tak dawna, że małe drzewka zdążyły porosnąć i paść powalone starością, nie wichurą. Leśne skrzaty były naprawdę długowieczne; żyły o wiele dłużej niż polne czy domowe. Sprzyjał im wilgotny, cienisty klimat Boru; Boru, który ich karmił, chronił i odziewał. Świtek nie mógł przeboleć, że jako jedyny to doceniał.

– Budują domy z puszek, szmat i innego gówna, jakie porzucają ludzie na obrzeżach naszego świata. A te głąby taszczą to do środka! Do naszego lasu. Do mojego lasu! Zdrajcy! Ubierają się w ich wstrętne łachy, jedzą zapleśniałe resztki, upijają się sfermentowanymi sokami i podniecają obmierzłymi rysunkami, którymi ktoś się wcześniej podtarł! Co za dno! Upadli niżej niż najpodlejsza z bakterii, przerabiająca mierzwę w żyzną glebę. Oni niczego nie użyźniają. Stali się pasożytami. Dlatego właśnie jestem sam, bardziej samotny niż palec wystający z dziurawej skarpety, z dziurawego buta, którego zresztą nie noszę, bo wystarcza mi… – Świtek poruszył swoimi sześcioma palcami u stopy, okrytej onucą zielonego mchu. – Właśnie, las mi wystarcza.

Zza pazuchy jego zielonego kubraka, plecionego według pradawnego obyczaju z liści, łodyg i łyka, wyjrzała zaciekawiona wiewiórka.

– Masz. – Wsadził jej w łapki laskowego orzecha. Ruda główka zniknęła natychmiast.

– Świt…hek, Świt…hek! – zaskrzeczała sroka, wychylając się z obszernej kieszeni.

– Zamknij dziób i śpij – odburknął skrzat. – Nie pora nie ciebie.

– Świt…hoo, Świt…hoo! – zahukała radośnie młoda sówka, wracając do swojego bezpiecznego gniazda, za które uznawała bujną siwozieloną czuprynę Świtka.

– Widzę, że polowanie się udało. – Uśmiechnął się. – Tylko pamiętaj, myszy w mojej brodzie to swoi. Nie zeżryj ich na deser.

– Świiitku, Świiitku! – zapiszczały przerażone gryzonie.

– Bez obaw. Nie pozwalam zjadać domowników.

– Trrrrr! – zaterkotał budzik.

– Czwarta trzydzieści – oznajmił skrzat, spoglądając na podświetlany cyferblat. – Pora ruszyć do pracy. – Świtek stęknął, podnosząc się z wygodnego legowiska.

Zegarek był jedynym wytworem działalności ludzkiej, której Świtek nie wdeptał ze złością w ziemię. Choć z początku miał na to wielką ochotę. Trudno powiedzieć, co go powstrzymało. Intuicja, przeczucie… Nie znalazł bowiem dziwnego czasomierza na skraju lasu, gdzie zapuszczały się inne zdemoralizowane i pozbawione dumy skrzaty, ale pośrodku swojej ulubionej jagodowej polany. Tajemnej polany. Nikt prócz niego nie umiał tam trafić. A jednak, kiedy Świtek objadał się słodkimi owocami, brudząc usta i dłonie fioletowym sokiem, wpadł mu w ręce zegarek z dewizką, który nie miał prawa się tam znaleźć. Z pozoru wyglądał jak typowa „cebula”. Świtkowi las dostarczał wszystkiego, czego potrzebował, i nie żywił niezdrowej fascynacji, jaką zmanierowane skrzaty odczuwały wobec ludzkich

wyrobów, ale ślepy nie był. Widział już kiedyś podobny przedmiot, wykonany z metalu i szkła, i wiedział, do czego służy. Ale ten egzemplarz był inny, zdumiewająco inny… Za lekki na metal, zbyt wytrzymały jak na szkło, no i świecił. Po paru dniach badań i doświadczeń okazało się też, że nie tak łatwo go zepsuć – nie podziałała próba wody, błota ani kamieni. Wciąż działał, a na jego gładkiej powłoce nie pojawił się nawet cień rysy czy rdzy. Czyżby ludzie wymyśli coś, czego nie da się zniszczyć? Czemu nie da rady woda, powietrze ani… czas? Przerażająca perspektywa! Świtek ze strachem zdał sobie sprawę, że za milion lat jego ukochany Bór może zniknąć pod górą takich niezniszczalnych rzeczy. Jednak zrezygnował z wdeptania zegarka w ziemię, by tam sczezł, a przynajmniej zniknął mu z oczu. Zwątpił… gdy wyszło na jaw, że owo dziwo odmierza czas lepiej niż jakikolwiek z jego krewniaków. A tym właśnie talentem obdarowała Pani Lasu protoplastę rodu Świtków – niesamowitym wyczuciem czasu. Świtkowie wiedzieli, kiedy wstaje słońce, kiedy pojawia się na horyzoncie; dokładnej i konkretniej zaś – kiedy powinno się obudzić. Od zarania wszechświata Świtkowie budzili słońce. Siadali tuż przed świtem na Wzgórzu Wschodów i czekali, aż niebo zapłonie pomarańczowożółtym blaskiem rodzącej się gwiazdy. Od tego zależało istnienie Ziemi, każdej jej żyjącej cząstki. Rozumiał to każdy z rodu Świtków.

Ludzie, nie wiedzieć po co, gromadzili się w obliczu śmierci. Dęli w surmy, zawodzili żałośnie, co nie znaczy, że szczerze, wyrwali włosy z głowy i wygłaszali mowy nad truchłem, na które skrzat nawet by nie splunął. Co z wozu spadło – to przepadło. Co więcej gadać, wystarczy pamiętać – jeżeli oczywiście jest o czym. Natomiast jeśli chodzi o narodziny… Słońce potrzebowało świadka swych narodzin i ochrony przed demonami – jak każde bezbronne niemowlę. Towarzyszyli mu więc kolejni Świtkowie, strzegąc i podziwiając ten codzienny cud, na który większość przestała zwracać uwagę. Nawet skrzaty.

– Wykastrowałbym drani! – nie po raz pierwszy wściekał się Świtek. – Niech olewają końskie grzywy i uczciwą maślankę, ale… słońce? To nasze być albo nie być. Czemu te głupie wypierdki tego nie rozumieją? Powinno ich coś zeżreć, może wtedy przejrzeliby na oczy!

Co gorsza, sam Świtek też nie miał czystego sumienia. Nie był już najmłodszy; zdarzało mu się zaspać, a ponieważ nie miał go kto wyręczyć w obowiązku, bywało, że mało sobie nóg nie połamał, pędząc na Górę Wschodów, by zdążyć na czas. Bał się, że w końcu kiedyś zawiedzie… Póki nie znalazł zegarka, który bez względu na porę roku, pogodę i humor samego Świtka budził go dokładnie na kwadrans przed świtem. Tyle wystarczało, by skrzat dotarł na miejsce, nie tracąc oddechu i nie narażając wiekowych kończyn. Jak dziwny czasomierz to robił i dlaczego – Świtek nie miał zieloniutkiego pojęcia. Zaczął podejrzewać jakieś leśne czary. Bo przecież Bór nie tolerował ludzkich śmieci. Wypierał się ich, traktował jak wrzód na nieskazitelnie czystej skórze natury i czym prędzej (co trwało czasem kilka wieków) okrywał plastrem runa i poszycia. Świtek doszedł więc do jedynego słusznego wniosku, że to jakiś dobry duch, może sama Pani Boru, podrzucił mu ów przydatny przyrząd. Gdzieś, ktoś – znacznie ważniejszy od leśnego skrzata – miał w tym swój wyższy cel, w który nie raczył Świtka wprowadzić, a Świtek nie zamierzał się obrażać z tego powodu. Grunt, że mógł wypełniać swój obowiązek.

I wypełniał go sumiennie, dzień po dniu, rok po roku… Kolejne pokolenia sów, srok, wiewiórek i myszy żyły bezpiecznie w zakamarkach jego kubraka, w plątaninie już całkiem siwych włosów. A Świtek, z pomocą Wiernego Druha, jak nazwał tajemniczy zegarek, budził słońce. Świat mógł się nie obawiać wiecznych ciemności…

Pewnego upalnego lata, w samo południe, skrzat przysnął. Tylko na chwilę, no… może parę chwil, ale było wyjątkowo gorąco, więc Świtek wczołgał się w cień wielkiej paproci na małą drzemkę, a kiedy się ocknął… sowa huczała żałośnie:

– Świt…hoo! Świt…hoo!

Sroka skrzeczała rozpaczliwie:

– Świt…hek! Świt…hek!

Myszy piszczały jedna przez drugą:

– Świiitek! Świiitek!

A wiewiórka trzymała w łapkach dewizkę. Samą dewizkę, już bez zegarka.

Strach dodał skrzatowi siły. Niczym młodzieniec zerwał się na omszałe nogi i zaczął biegać po własnych śladach, szukając zguby.

– Gdzie jesteś? Wierny Druhu! – nawoływał. Zaglądał pod korzenie, podnosił kamyki, przesypywał piasek, dotarł nawet na tajemną, odległą, nieodwiedzaną od lat, jagodową polankę. Obejrzał dokładnie każdy krzaczek i… nic! Świtek pierwszy raz w swoim długim życiu rozpłakał się.

– Co teraz będzie? – chlipał, ocierając łzy i smarki rękawem. – Co się teraz stanie?!

Nagle tknęła go pewna myśl.

– Ukradli go! Wredne, podłe lisie syny!

To było jedyne logiczne wytłumaczenie. Podeszli go, kiedy spał, i zwędzili skarb, nie mając pojęcia, jak bardzo jest cenny.

– Połasili się na błyskotkę niczym głupia sroka! – Był zbyt zdenerwowany, by zareagować na oburzony skrzek lokatorki swojej kieszeni. – Głupcy, nie mieli pojęcia, co czynią! Wybacz im, Pani Lasu, bo ja nie potrafię…

Świtek nie zadawał się z motłochem, ale wiedział, gdzie znaleźć nastawionych minimalistycznie przedstawicieli swojego gatunku. Na obrzeżach. W imię ważniejszej sprawy wychynął więc z ukochanych ostępów dziewiczego Boru.

– Oddawać, coście ukradli, pokraki! – wrzasnął, wpadając w środek przyjęcia zorganizowanego pośrodku śmietniska. Knypki, które kiedyś zaliczały się do szlachetnej gromady skrzatów leśnych, balowały wśród ruin czegoś, co ludzie nazywali parkingiem leśnym. Na podobieństwo owadów zajadali się resztkami kanapek i ogryzkami owoców, zapijając spleśniałe frykasy piwem i winem z niedopitych flaszek. Ohyda!

– Coś ci zginęło, Świtek? Beee! – beknął jeden z knypków. Przypominał trochę starego Bobera, Stróża Bobrowych Żeremi, ale był zdecydowanie za młody.

– Bober, to ty? – zapytał niepewnie Świtek. – Jak mogłeś stoczyć się tak nisko, żeby żreć ludzkie odpadki…

– Jestem Bob – przerwał mu knypek. – Bober wyciągnął kopyta sto lat temu, albo jeszcze dawniej, był moim pradziadkiem, a może prapradziadkiem. Kogo to zresztą obchodzi… – mruknął pogardliwie.

– Mnie, gówniarzu, obchodzi! – ryknął skrzat. – Bober był kiedyś moim kamratem, zanim skusiła go łatwizna. Jak mógł zemrzeć tak szybko? Był młodszy ode mnie…

Potomek Stróża Bobrowych Żeremi wzruszył ramionami. Może pozostały w nim resztki wstydu i honoru, bo nie kwapił się z wyjawieniem przykrej prawdy. Odkąd leśne skrzaty zerwały z przeszłością i wypięły się na swoje obowiązki, zyskały więcej czasu na zabawę, ale straciły przywilej długowieczności. Teraz żyły ledwie dwa razy tyle co ludzie.

– Więc, co ci zginęło? – burknął Bob.

– Nic mi nie zginęło. Okradliście mnie! I macie mi to w te pędy oddać!

– A jak nie… to co? – spytał bełkotliwym tonem towarzysz Boba. Był rudy jak lisia kita, ale nawet nie zamierzał udawać, że nie wie, o co chodzi.

– Czy robaki do reszty mózg wam wyjadły?! Nie wiecie, co się stanie, jeżeli nie obudzę słońca? Apokalipsa będzie! Koniec świata! – pieklił się Świtek.

– A budź sobie, stary, słońce, kto ci broni? My? Podłe męty? – Bob roześmiał się złośliwie. – Jak my, wyrodki i wypierdki, moglibyśmy przeszkodzić ci w twoim zbożnym dziele?

– Oddajcie zegarek! – zażądał Świtek. Nie zamierzał się wdawać w żadne dyskusje.

– A po co ci zegarek, kochasiu? – Jaskrawo wymalowana samica otarła się o skrzata swym bujnym biustem. Świtek, kiedyś niezły ogier, aż wstrząsnął się z obrzydzenia. Samica śmierdziała ludzkimi perfumami na wiorstę.

– No, właśnie… – podchwycił Bob. – To twoje psie powołanie budzić słońce. Na jakiego grzyba potrzebne ci do tego… to cacko? – Na jego brudnej, świętokradczej dłoni spoczywał Wierny Druh.

– Oddawaj! – Świtek wyciągnął rękę.

– Nic z tego! – Palce knypka zacisnęły się na zegarku. – Musi być wiele wart. Sprzedamy i zabawimy się na całego. A słońce wstanie tak czy siak. To z kolei jego psi obowiązek. Wszystko kręci się wokół niego. Jeden stary, zarośnięty skrzat nie zmieni praw fizyki ani astronomii. – Bob udawał mądralę.

– Nie!!! – W głosie Świtka zabrzmiał rozpaczliwy jęk zaszczutej zwierzyny. – Nie rozumiecie!…

– Ależ rozumiemy… – Bob zawiesił głos. – Jesteś stary, za stary, zasypiasz na służbie, która zresztą wisi nam nisko, ale… nigdy nic nie wiadomo. Warto się zabezpieczyć. Może Pani Lasu jednak istnieje, choć od wieków nikt jej nie widział… Wkupimy się w jej łaski, biorąc na siebie twoją robotę. Jesteś ostatni. Znałeś mojego pradziada, ale nie masz potomka. Co za niefart… – Knypek udał, że mu przykro, ale już w po chwili jego ciemne oczy zalśniły wrogo. – Wynocha, zmykaj w podskokach! – wycedził. – O ile potrafisz jeszcze podskoczyć na tych swoich krzywych kulasach. Lepiej zaszyj się w jakiejś jamie i śpij do południa. Wzgórze Wschodów zyskało

nowych strażników. Mając to… – Bob zakołysał zegarkiem – doskonale cię zastąpimy.

– Nie wystarczy uchwycić berło, żeby zostać królem – zaoponował Świtek. Bywa, że trudna sytuacja wymaga jednak wielkich słów.

– Spaa…adaj! – wybełkotał ululany rudy knypek.

– Spadaj! – podchwyciła wymalowana samica.

– Spadaj – powtórzył Bob. – Zaszyj się i zapomnij. Teraz my przejmujemy władzę nad słońcem. Z zegarkiem czy bez i tak nie kładziemy się spać przed świtem. Bawimy się! Tak jak teraz. Więc lepiej spadaj. Spadaj!

I po chwili cała podchmielona gromada skandowała:

– Spadaj, stary, spadaj, spa-daj!!!

Zgnębiony skrzat podążył na Wzgórze Wschodów. Obiecał sobie, że nie zaśnie. Wytrzyma.

Wytrwał do końca dnia, do zachodu. Wieczorna cisza ukoiła jego zgnębione myśli, zmrok pozwolił odpocząć oczom… Miękki mech kusił.

– Nie położę się. Wytrzymam. Nie jestem sam…

Jak zwykle towarzyszyły mu duchy przodków i samotność. Poczuł się potwornie zmęczony.

– Nikomu nie zależy, mają mnie za starego dziwaka, za przeżytek. Twierdzą, że słońce wstanie bez względu, czy je powitam zgodnie z pradawnym obyczajem, czy nie. Może mają rację… Nie! Nie poddam się! Nie uwierzę, skubańcom! Tylko… położę się na małą chwilkę, na parę sekund. Odpocznę, odsapnę, by z jasnymi myślami i czystym sercem pokłonić się Najjaśniejszej Gwieździe…

Mech posłużył za posłanie, zaprzyjaźniony borsuk za poduszkę, wiewiórki, sowy, sroki i cały ród myszy – za ciepłą, miękką kołdrę. Świtek zasługiwał na odpoczynek. Żył już tak długo – wciąż wierny tradycji i wytrwały w jej

pielęgnowaniu; coraz starszy, a jednak wciąż młody dzięki miłości do lasu, który i jego ukochał. Nie jego wina, że sił mu zabrakło, gdy obrócił się przeciw niemu własny gatunek. Zasnął…

Ocknął się i wiedział, że się spóźnił. O sekundę, ale jednak. Uchwycił blady pomarańczowy błysk, ślad żółtych palców na horyzoncie, które znikły wraz opadającą i rozwiewającą się w niebyt poranną mgłą. Bo przecież poranek nie nastąpił…

Zza pleców doszedł do Świtka hałas przeklinającej, przedzierającej się przez knieję rozbawionej gromady.

– No to jesteśmy, stary – oznajmił swoje przybycie Bob. Spojrzał na cyferblat. – Nie musiałeś się fatygować. Mówiłem, że przyjdziemy. Piętnaście sekund po czasie, ale to szczegół. Panie chciały się wyszykować na przyjęcie…

– Za późno – szepnął Świtek, nawet nie czując złości.

– …na nowy świecki obyczaj budzenia słońca… – kontynuował kpiącym tonem przywódca knypków.

– Za późno – powtórzył beznamiętnie stary skrzat. Nawet samotność go opuściła. Trudno żerować na ofierze, w której nie pozostał cień jakiegokolwiek uczucia.

– No, i gdzie to słońce? – zniecierpliwiła się wysztafirowana samica. – Wystroiłam się, pozwoliłam zerwać z leża o nieprzyzwoitej porze. Nawet śniadania nie zjadłam, nie wspominając o drinku na pobudzenie! Gdzie to w rzyć kopane słońce?!

– Zamknij się! – warknął Bob, któremu z wolna zaczęła się podnosić szczecina na karku. Czuł strach. Czuł lodowaty oddech martwych przodków na skórze. Wzgardzonych, zapomnianych przodków.

– O, kurwa, czemu tak ciemno? – spytał całkiem trzeźwo zazwyczaj pijany w trzy dupy rudy knypek.

– Świtek, zrób coś! Masz! – Bob wcisnął mu w ręce zegarek. – Jestem śmieciem, ale zrób coś, błagam! Masz, masz! – Zaciskał mu palce na kompletnie już bezużytecznym czasomierzu. Cyferblat zgasł. Wskazówki zatrzymały się. Wierny Druh umarł, jego magia odeszła, pozostała jedynie sztuczna ludzka powłoka.

– Nie jestem wiewiórką – odparł spokojnie skrzat, zwracając mu zegarek. – Laskowy orzeszek nie wystarczy. Pamiętasz, ja też ci coś mówiłem; że nie wystarczy uchwycić berło, żeby zostać królem. Myliłem się. Zostałeś królem. Wiecznej Nocy.

– Nie chcę! – jęknął Bob. – Nie chcę!

– Możliwe… – Pomimo panującej ciemności młody skrzat dostrzegł ironiczny uśmiech na pomarszczonej, zarośniętej twarzy Świtka. – Ale to już twój problem, smarku. Rzekłeś, jestem już stary i nie mam potomka. Przynajmniej nie muszę się przed nim wstydzić, że zaspałem i zawiodłem. Stało się. Teraz twoja kolej, Bobie, praprawnuku Bobera, Stróża Bobrowych Żeremi. Sam mianowałeś się Nowym Strażnikiem. I zaraz na początku służby dałeś ciała, złodzieju zegarków.

– Nie zwędziłem go, to Rudy, nie ja, przysięgam! – zaklinał się Bob.

– W rzyci mam twoje przysięgi, knypku – odparł beznamiętnie Świtek. – Wziąłeś Wiernego Druha i nie oddałeś. Ponieś konsekwencje z honorem, jeżeli jeszcze wiesz, co to słowo znaczy. Słońce odeszło, tak jak bobry, których nie upilnowałeś. I ty śmiałeś mierzyć się z Najjaśniejszą Gwiazdą? – Stary skrzat pokręcił głową w niedowierzaniu. – Obaj zawiedliśmy, ale ja już nie mam siły. Twoja kolej. Przypomnij sobie, kim jesteś i napraw zło, bo inaczej… przyjdzie światu żyć pod Ciemną Gwiazdą. A nie będzie to łatwe, o ile w ogóle możliwe…

Świtek odwrócił się i zniknął. Towarzyszyły mu sowa, sroka, wiewiórka, rodzina myszy i… samotność. Tak, nawet ona, przywiązała się do niego. Wróciła, bo chciała, żeby miał z kim gadać, kogo poprzeklinać, kiedy przyjdzie mu na to ochota.

Bob patrzył w cień, jaki pozostawił za sobą stary skrzat. „Skubany dziadyga, nigdy tu już nie wróci" – pomyślał i… aż ugiął się pod ciężarem odpowiedzialności. Nagle poczuł, jak oplatają go korzenie, jak przeszłość domaga się swoich praw. Coraz bardziej przerażeni kompani poczęli garnąć się do niego, jakby mógł im zastąpić słońce.

Młody skrzat, stojąc na Wzgórzu Wschodów, wciąż z nadzieją wypatrywał w oddali jasnego, złocistego śladu. Czekał, a noce zlewały się ze sobą. Nie było wszak dni, które oddzieliłyby jedną noc od drugiej, piątą od dziesiątej… Bob nie jadł, nie spał – tylko stał i czekał, rozdarty między obowiązkiem, którego wcale nie chciał podjąć, a beztroską, której nie potrafił już odczuwać. W końcu pajęczyna babiego lata pękła ostatecznie. Bob odwrócił się plecami do czarnego horyzontu i ruszył ku swemu przeznaczeniu – jakie by nie było.

A za nim podążyła samotność…

***

Z pamiętnika Estery, Wiedzącej z Boru.

(wpis pochodzi z tomu „Pierwsza z rodu: Znajda")

On nie przychodził, on się pojawiał. Żadna tam nagła magiczna materializacja, od której zawału można by dostać. Nie zwykł się też podkradać, za mała godność. Nie, on wyłaniał się z nieobecności… i już. Teraz był, przedtem go nie było, chwila pomiędzy zacierała się. Jak to działało? Nie mam pojęcia, magia pradawnych skrzatów znajdowała się poza moim zasięgiem. Zwłaszcza że pomimo wieków ostrożnej przyjaźni Świtek o pewnych kwestiach nie rozmawiał. W ogóle mało gadał.

Pojawił się więc tego pięknego ranka.

I był. Po prostu. Lubił tak trwać, nie myśląc, nie pragnąc, nie czując ani smutku, ani radości. Tylko bicie serca. Tylko szmer krwi, szelest powietrza. A może to Bór

pulsował, oddychał… Uczyłam się tego bycia, trwania, chłonięcia natury każdą cząstką ciała i umysłu. Lepszego nauczyciela niż Świtek nie mogłabym znaleźć.

Siedziałam na schodkach ganku. On przycupnął na ziemi, na podobieństwo głazu. Wiedziałam, że jest tuż obok, ale gdy zapatrzyłam się w przestrzeń, zamyśliłam, a potem znowu spojrzałam, musiałam mocno wzrok wytężać. Zlewał się z otoczeniem, zdawał się być kamieniem, pniem, polaną, Borem.

Bo był.

Milczeliśmy sobie razem. Czasem o coś spytałam. Czasem odpowiedział. Rzadko i mrukliwie. On sam nigdy nie pytał mnie o to, co widzę. Co ma być, to będzie. Stworzenia, mieszkające za pazuchą jego obszernego kubraka, w gęstwie siwej brody i czupryny, w tunelach przepastnych kieszeni, więcej wydawały dźwięków w ciągu minuty niż on w ciągu kilku ostatnich wizyt razem wziętych. Myszy popiskiwały, wiewiórka chrupała orzecha, sowa pohukiwała smętnie…

Nigdy mi nie zdradził, które ze zwierząt jest jego Towarzyszem. Może wszystkie, nie zdziwiłabym się. Świtek, ostatni ze swego rodu, był także ostatnim żyjącym Pradawnym, starszym nawet ode mnie. Komu przekaże swoje dziedzictwo? Jego talenty, możliwości, a także jego przyszłość wymykały się moim zmysłom. Nie umiałam w nim czytać, nie potrafiłam w niego patrzeć. Musiałam pytać.

Owego pięknego słonecznego poranka też zapytałam.

– Czemu nie poszukasz żony, z którą spłodziłbyś potomka?

Długo milczał. Sądziłam już, że trafiłam na kolejny temat tabu, ale w końcu odezwał się.

– To ona musiałaby znaleźć mnie. Nie mogę od Wzgórza Wschodów odchodzić dalej niż na pół dnia drogi.

– Ciekawe, jakiej pozwoliłbyś się znaleźć? – Uśmiechnęłam się do niego, pewna, że prychnie coś obraźliwego i tym razem nie odpowie.

Wręcz przeciwnie, rozgadał się jak rzadko. Czułą nutę trąciłam…

– Już żadnej. Kiedyś marzyła mi się ładna i mądra. Potem jurna i małomówna. Wreszcie jakakolwiek, która potrafiłaby pojąć, czym jest moja służba. Niełatwo o taką. Ojciec i dziadek dopiero po trzystu latach się doczekali. Smarkacze… w porównaniu ze mną. Jestem już za stary, by pod Godziwym Drzewem z kimś stanąć. I dobrze, rzeknę ci, bardzo dobrze, bo wyboru nie ma żadnego. Tfu! Durnota i rozpusta, żadnej dumy, żadnego honoru. Na obowiązki i stare obyczaje szczają. Tylko uciechy im w głowach i łatwa zdobycz. Dlatego te leniwe skurczybyki przeniosły się na obrzeża, bliżej ludzkich śmieci, w których grzebią. Ohyda! Stroją się w ludzkie szmaty, żrą ich odpadki, żłopią ich ohydną gorzałkę i niedługo jak psy im służyć będą. Zgroza! Hańba! Knypki obmierzłe. Ludzie im nagle pachną, nie śmierdzą… Ha! Nie bierz tego do siebie, Wiedząca, ty już nie jesteś ani człowiekiem, ani kobietą.

– Dziękuję ci uprzejmie – mruknęłam rozbawiona. – Jak miło wiedzieć, że dla ciebie jestem istotą bez płci i gatunku. Inaczej pewnie byś mnie nie odwiedzał, co?

Nie odpowiedział. Zastygł, wpatrzony w wylot Babkowej Ścieżki. Wyostrzyłam zmysły, kierując je w tę samą stronę. Istotnie, ktoś się zbliżał. Odwróciłam się, by pożegnać się ze Świtkiem. Nie zdążyłam.

Dał się wchłonąć.

Był kamieniem, pniem, Borem.

Przyszli jak inni, błagając, bym pomogła ich dziecku. Byłam ostatnią nadzieją tych prostych ludzi, którzy kochali swoją córkę miłością prostą, bez znaków zapytania i zakrętów. Chcieli, bym uleczyła dziewczynkę ze ślepoty. Chcieli, by była taka jak inne dzieci. Mogłam to zrobić, dotknęłam jej i już wiedziałam…

…A potem zobaczyłam dwie drogie przyszłości.

Jedną znaczyły wywiady, autografy, zachwyt wielbicieli, podziw krytyków, roje pochlebców, pieniądze, sława, entuzjastyczne tytuły w prasie… Najnowsza wystawa wspaniałej rzeźbiarki… Metal i szkło w jej dłoniach ożywają… Niezwykła kobieta

tworzy niezapomniane śpiewające rzeźby… Odmienia ludzkie serca, leczy ludzkie dusze… Genialna artystka wystawia swe dzieła na otwartej przestrzeni… W zamknięciu milczą… powiewy wiatru, uderzenia kropli deszczu budzą pieśń… Stajemy się lepsi, słuchając jej…

Jeżeli uleczę to dziecko, pieśń nigdy nie zabrzmi.

Ślepa widziałaby więcej, odnalazłaby swój Dar, byłaby wspaniałą artystką, podziwianą, rozchwytywaną, naśladowaną…

Byłaby też kobietą niezamężną, bezdzietną, starzejącą się, szukającą miłości w ramionach kolejnych kochanków, samotną na szczycie swej wielkości…

Jeżeli dotknę tej dziewczynki, świat na tym straci. Ona też, bo zwrócę jej wzrok, a zarazem okaleczę. Choć nie będzie o tym wiedziała, ograbię ją z talentu, wrażliwości, twórczego cierpienia. W zamian ofiaruję tak dużo, tak niewiele… Proste szczęście zwykłej kobiety. Mąż, dzieci, wnuki, dom wypełniony zapachem placka i kapusty, sweterki dziergane na drutach, ślady psich łap na umytej podłodze, szepty w nocy, gorące pocałunki na zmianę z pieluchami, wysypkami i płaczem, uścisk drobnych ramion na szyi, zmęczenie, monotonia, małe szczęście, nagłe niczym dreszcz, mamusiu, kocham cię… skarbie, nawet siwa wciąż jesteś piękna…

Nie Wiedzącej decydować.

Rodzice wybrali zwyczajność. Chcieli dla swojego dziecka normalnego życia. Nie dbali o dobro całego świata, kochali to jedno dziecko, po prostu, bez wahań, zakrętów.

A jednak szkoda… Słyszałam pieśń, zrodzoną z samotności, która nigdy już nie zabrzmi. Piękna była, dotknęła mojej zardzewiałej duszy.

Świtek pojawił się, gdy ludzie odeszli ze swoją zwyczajną radością. Długo siedzieliśmy, nic nie mówiąc, wreszcie mruknął:

– Przestań, za dużo myślisz. Wybrali i już. Dar to brzemię, które ciężko dźwigać. Zwłaszcza samemu. Może lepiej go oddać, może lepiej nie wiedzieć, że w ogóle istniał… Ha! Dość ględzenia. Czasem inni za nas decydują. Jako dumny syn swego ojca muszę co świt taszczyć omszałą rzyć na Górę Wschodów. Więc taszczę, bo jak trzeba to trzeba, to mój skrzaci obowiązek. Póki sił starczy, póki następca się nie znajdzie, z krwi mojej lub cudzej, lub póki słońce nie zgaśnie. Jesteś z tej samej twardej gliny. Wieki temu wybrałaś, poszedł piękny Radosław precz, narodziła się Wiedząca z Boru…

– Nie można mieć wszystkiego. – Westchnęłam. – Oto mądrość godna uwiecznienia w Księdze. Dorzucisz coś od siebie?

– Tak. Życie jest jak jajo. Trzeba je znieść.

Marian Kowalski

PEENEMÜNDE. ODWET PATRIOTÓW

1.

Uczestnicy spotkania, odbywającego się w dużym nasłonecznionym pokoju z otwartymi oknami wychwytującymi powiewy wiosny znad Warty, nie prezentowali się najlepiej. Na ich twarzach odciskała się niedawno zakończona wojna, wychudzone ciała nie pasowały do ubrań: marynarki leżały luźno na ramionach, za duże spodnie wisiały na szelkach, bo paski przy takich dysproporcjach w rozmiarze okazałby się bezużyteczne. Niemiecki obóz przymusowej pracy, obóz jeniecki, oddział partyzancki – to były do niedawna miejsca ich pobytu. Tylko jeden z obecnych nie doświadczył zniewolenia przez okupanta, czas wojny spędzając na Wyspach Brytyjskich. Nazywano go Londyńczykiem. Na tle pozostałych wyróżniał się wspaniałą sylwetką, pewnością siebie, dobrze dobranym garniturem. W przeciwieństwie do reszty potrafił się uśmiechać i częściej niż tego wymagała sytuacja, ukazywał dwa rzędy zdrowych, białych zębów.

– Wojna – mówił, przenosząc spojrzenie z jednego słuchacza na drugiego – nie kończy się dla nas Polaków pomyślnie. Jakbyśmy nie byli pierwszymi ofiarami okupanta, jakby Polska nie była krajem cierpiącym największy ciężar niemieckiej agresji. Walczyliśmy na wszystkich frontach, nie szczędząc krwi. Lataliśmy w samolotach nad Anglią, pływaliśmy w konwojach do Murmańska, przemierzaliśmy w czołgach ziemię nad Wołgą, wdrapywaliśmy się na szczyty gór Półwyspu Apenińskiego, grzęźliśmy w błotach Polesia, w piaskach Afryki. I co otrzymaliśmy w zamian? Nie uczestniczymy w obradach Wielkiej Trójki, nie decydujemy o losie kraju, jego granicach, pełnej suwerenności. Odbierają nam Wilno, Lwów, spierają się

o zachodnie granice. I wciąż bez nas. Nie liczą się z nami. Konferencje o przyszłości Europy toczą się bez naszych przywódców. – Zrobił krótką przerwę, uśmiechnął się. – Wojna nie dla wszystkich się skończyła. My wciąż musimy walczyć o swoje. O godne miejsce w Europie. – Błysnął zębami. – Śpiewaliśmy: „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz, ni dzieci nam germanił". Przez sto pięćdziesiąt lat broniliśmy się przed rusyfikacją. Czy mamy teraz schylić głowy i z pokorą przyjąć jarzmo narzucane przez Sowietów?

Wszystkie dłonie uderzyły w blat angielskiego stołu z mahoniu.

– Nie! Nie! Nie! – skandowały głosy rozwścieczonych mężczyzn.

– „Co nam obca przemoc wzięła, szablą odbierzemy!" – zachęcał do odwetu Londyńczyk.

Kiedy zapadła cisza, wstał mężczyzna nazywany Zwilnianinem – miano równie niezwykłe, jak niezwykły był jego akcent – o twarzy bladej, z zapadłymi oczyma. Przed wojną zaczął studia prawnicze na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Frontowy chrzest przeszedł w pułku piechoty Legionów wchodzącego w skład 1. Dywizji Piechoty. Potykał się z Niemcami nad Narwią, pod Różaną i koło Pułtuska, potem w rejonie Krasnobrodu i Kałuszyna. Ranny trafił do obozu jenieckiego koło Tomaszowa Lubelskiego, z którego uciekł. Wrócił do Wilna i jako „Andrzej" rozpoczął działalność w kompanii piechoty w ramach Koła Pułkowego. Został oficerem wywiadu, zajmował się przede wszystkim zagrożeniem komunistycznym, obserwując zachowanie władz sowieckich wobec członków podziemia. Ze Sztabu Głównego w Londynie dostał rozkaz wyjazdu do Poznania i podporządkowania się Londyńczykowi.

– Nu, u nas już mietliczki zebrane na kaziukowe jarmarki, a ja tu – użalał się kresowiak. – Bo i po co miałbym wracać? By usłyszeć, kto z moich bliskich rosnącą trawę ogląda od spodu? Ojca zabili Rosjanie – wyliczał – jednego z braci Niemcy, a drugiego niby swoi, ale co to za swoi, co to za rodacy. Diabeł ogonem zamieszał, już

nie wiadomo, kto jest kim, kto komu przyjacielem, a kto wrogiem. Gdzie matka, gdzie siostra na próżno rozpytywałem. Może w jakimś transporcie tłuką się po kraju, miejsca dla siebie szukając nowego? A gdybym je spotkał, co bym im powiedział? Że życie ojca, braci zmarnowane, a i moje lata w obozie na nic się zdały? – I patrząc na współtowarzyszy, gwarą wileńską zakończył: – Z tą chawrą na wroga!

Znów dłonie z wściekłością uderzyły w stół.

– Tak! Tak! Tak! – zgodnie wykrzykiwali wszyscy.

Podniósł się z krzesła mężczyzna zwany Lwowianinem – niski, z czarnymi włosami, z czarnymi oczyma. Studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Po wejściu Niemców do miasta aresztowano go i przewieziono na roboty nad Morze Bałtyckie, do Peenemünde.

– Joj, nie pozwolą mi już zerknąć na Pohulankę z batiarami we Lwowie, posłuchać baciarskiego bałaku – ubolewał – pochylić się nad grobami Orląt, obrońcami miasta przed potopem bolszewizmu.

I gdyby nie uderzenia w stół, to pokój wypełniłoby łkanie.

– Wojna! Wojna! – krzyczano z zapałem.

Londyńczyk nie krył zadowolenia. Patrzył na swych podkomendnych w drużynie „Odwet Patriotów” i uśmiechał się szeroko. Miał ich po swej stronie, mógł na nich polegać.

– Panowie – przemówił ciepłym głosem – lepszej okazji do zemsty, za was, wasze rodziny, cały nasz naród, nie będzie. Nasi żołnierzy, w samolotach, w czołgach, na okrętach, nie mieli szansy na to, co wam zagwarantuje obecność w drużynie „Odwet Patriotów”. – Na moment zawiesił głos, przyglądając się twarzom zebranych, jakby sprawdzał, czy można tym ludziom powierzyć tak ważne i ciekawe zadanie. – Jesteście gotowi do walki? – spytał ostro.

Wszyscy zerwali się z miejsc.

– Tak jest! – zapewnili gorliwie.

Kiedy uciszyli się, podszedł do przyściennego stolika, będącego pięknym okazem snycerskiej roboty, przeniósł z niego mapę i położył przed uczestnikami narady. Wycelował wskaźnikiem w górną jej część, konkretnie w małą wyspę na Morzu Bałtyckim – Usedom. Kilka razy stuknął w północno-zachodnią stronę wysepki z miejscowością Peenemünde.

– Panowie, tam powstała broń, której potrzebujemy. Ona jak w Apokalipsie św. Jana zniszczy siły zła. Ta broń może trafić do naszych rąk. Armagedon z proroctwa, miejsce ostatecznej zguby dla jednych, zwycięstwa dla drugich, zyska wtedy nowe miano!

Pochylono się nad mapą, wpatrując się w długą nazwę – litery napisu wychodziły na Pommersche Bucht[3]. Dwóch mężczyzn skinęło tylko głowami. Odsunęli się od pozostałych. Znali tę miejscowość. Właśnie tam, w Wojskowym Instytucie Badawczym, spędzili lata niewolniczej pracy i tam zastał ich koniec wojny. Stamtąd przyjechali do Poznania, by wstąpić do drużyny „Odwet Patriotów".

– Tu mieścił się Ośrodek Heeresversuchsanstalt – informował Londyńczyk. – W dwóch jednostkach doświadczalnych, jednej pod nadzorem Wehrmachtu, drugiej pod nadzorem Luftwaffe, budowano rakiety V-2 i przeprowadzono próby prototypów bezpilotowych samolotów V-1. Pracowano też nad systemem radarowej nawigacji nocnej oraz nad telewizją przemysłową. – Uśmiechnął się. – A ręczę, że na tym nie koniec. Peenemünde czeka na magiczne słowa typu: „Sezamie, otwórz się!" Mam nadzieję, że wkrótce poznamy właściwe zaklęcie i dzięki niemu dotrzemy do niezwykłych odkryć naukowych, które pozwolą nam zrealizować plan zemsty. Polski wywiad Armii Krajowej informował sojuszników o wielkim znaczeniu tego ośrodka. Prawie sześćset brytyjskich bombowców RAF-u i amerykańskich USAF dokonało nalotu. Potem były następne. W sumie na wysepkę zrzucono blisko trzy tysiące ton bomb. Ale zniszczeniu nie uległo to, co najcenniejsze, co czeka na nas.

3 Zatoka Pomorska

Oświadczenie to przyjęto oklaskami, które zagłuszyły bicie zegara, dumy poznańskich mieszczan, stojącego w kącie, bogato zdobionego markieterią.

– W naszych rękach znajdzie się broń, która przywróci ojczyźnie właściwe miejsce w Europie!

Gorąca owacja upewniła Londyńczyka w przekonaniu, że najwyższy czas zrealizować plan „Odwety Patriotów".

– Ruszamy na Usedom! – wykrzyknął z zapałem chudy jak szczapa były partyzant zwany Leśnym. Jako prymus ukończył warszawskie gimnazjum Jana Zamoyskiego, wyróżniał się na studiach prawa, po aresztowaniu trafił na roboty do Peenemünde.

Londyńczyk przecząco pokręcił głową.

– Nie. Nasz cel to Szczecin.

– Szczecin? Dlaczego? – nie kryl zdumienia Lwowianin.

– Los tego miasta nie został ostatecznie rozstrzygnięty. Wiele wskazuje na to, że może być oddany Polsce. Ale niekoniecznie. Brytyjczykom zależy, by trafił pod ich wpływy. Za chwilę zrozumiecie, dlaczego uparcie twierdzi się, że miasto to powinno należeć do Niemiec.

– Joj, oni chętnie zostaliby i na wschodnich kresach – bąknął Lwowianin. – Moi ludzie bazgrzą na murach domów wiele haseł, co mają dać dużo do myślenia o najbliższej przyszłości. Niestety, durnowaci są już, bo im przekonania do takiej roboty zaczyna brakować.

– Ważne by naród uwierzył, że wojna nie jest zakończona, że w każdej chwili mogą się odmienić jej losy.

– Dlatego bazgrzemy, bazgrzemy – zapewnił niechętnie Lwowianin. – Ale dobrze byłoby z wiarą to robić, nim ktoś przy robocie zdybie.

– Pod koniec wojny – Londyńczyk powrócił do przerwanego wątku – miastu temu przypisano szczególnie ważne strategicznie znaczenie. Wielki port, z

awanportem w Świnoujściu, miał stać się bazą dla U-Botów. I nie tylko. Kiedy Niemcy pogodzili się z tym, że Peenemünde przestało stanowić dla aliantów tajemnicę i dalsze przenoszenie ośrodka do coraz niższych pięter już nie wystarcza, bo nie gwarantuje bezpieczeństwa, zaczęto ewakuację. Do podziemi Szczecina trafiły samonośne rakiety, których siła uderzenia mogłaby zniszczyć sporą część Europy. – Zawahał się. – A jeżeli nawet nie rakiety, bo absolutnej pewności nie mamy, to przynajmniej urządzenia do sterowania nimi.

– Dlaczego naziści ich nie użyli? Co ich powstrzymało od zadania morderczego ciosu Anglikom? – spytał Leśny.

– Dobre pytanie. Otóż podczas bombardowań, po których miało nastąpić odpalenie jednej z rakiet, w czasie wielkiego zamieszania niemiecka grupa antynazistów przechwyciła część uzbrojenia i kody. Udaremniono użycie rakiet.

– Nu, Niemcy nie potrafili zabezpieczyć tak ważnej strategicznie broni przed dywersantami, sabotażystami, antynazistami? – dziwił się Zwilnianin.

– Na Hitlera było tyle zamachów, że łatwo nam uwierzyć w opozycję niemiecką. Niestety Hitler chyba w czepku się urodził. – Londyńczyk zaśmiał się. – Jednak w najbliższym otoczeniu Führera wciąż znajdowali się tacy, którzy widząc, co dzieje się na frontach, chcieli ugrać coś dla siebie. Teraz mają rakiety i kody do nich. – Wyprostował się. – Panowie, naszym zadaniem jest dotarcie do tych ludzi wcześniej niż inni zainteresowani. A na pewno ich nie brakuje.

2.

Niedaleko miejsca spotkania „odwetowców” generał Karol Świerczewski-Walter przyjmował prezydenta Szczecina, inżyniera Piotra Zarembę. Na kwaterę główną dowództwa II Armii wybrał w Poznaniu niepozorny domek przy ul. Rogozińskiego na Górczynie. Uwieczniony przez Ernesta Hemingwaya w powieści „Komu bije dzwon” zwolennik idei republikańskiej, zbrojnie opowiadający się przeciwko rebelii

generała Francisco Franco, z sumieniem obciążonym niejedną śmiercią, w czasie wojny polsko-bolszewickiej walczący przeciw oddziałom Wojska Polskiego, nieudolny dowódca, który podczas operacji łużyckiej wykrwawił armię pod Budziszynem – znalazł w małej willi miejsce pozwalające na nieukrywanie swej słabości do alkoholu.

– Wiem, że mnie towarzysz prezydent szukał. – Wykonał w stronę adiutanta gest ręką. Tamten natychmiast zrozumiał, podszedł do dębowego kredensu, sięgnął po kieliszki oraz kryształową karafkę z wódką. – No to na zdrowie, towarzyszu prezydencie. – Były tokarz w moskiewskiej fabryce „Prowodnik", sowiecki działacz komunistyczny, doktor nauk politycznych opróżnił kieliszek i podprowadził gościa do mapy. – Ładny kawałek ziemi dostał się Polsce. Stalin był łaskawy. A pewnym wichrzycielom wydaje się to wciąż za mało i za mało. Chcą więcej i więcej. I po co? Za dużym kęsem można się udławić. Lokacją obejmujemy pas nad Nysą i Odrą, moi żołnierze zasiedlają przygraniczne tereny, aktualnie polskie tereny…

– Zostałem już o tym powiadomiony przez wojewodę Leonarda Borkowicza – przerwał mu prezydent.

Absolwentowi Politechniki Lwowskiej wciąż na wszystko brakowało czasu. Żył w nieustającej gorączce. Ledwo ukończył Wydział Inżynierii Lądowej i Wodnej, a zaraz we wrześniu 1939 powierzono mu funkcję zastępcy komendanta obrony przeciwlotniczej w Poznaniu, a po wojnie został wicedyrektorem Wydziałów Technicznych poznańskiego Zarządu Miejskiego. Zachęcony przez pełnomocnika Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, dr. Stanisława Szenica, zgłosił gotowość wyjazdu na poniemieckie tereny przyłączane do Polski. I tak w Szczecinie rozpoczął się w jego życiu najgorętszy okres działalności.

– Chętnie wypiłbym z towarzyszem Borkowiczem i porozmawiał o tym, co przeszedł w Armii Czerwonej, w Wojsku Polskim i co zamierza robić na ziemiach odzyskanych.

– II Armia Wojska Polskiego przejęła władzę od radzieckich komendantów wojennych w całym pasie pogranicza wzdłuż Odry i Nysy – ponownie przerwał generałowi prezydent. – Niestety nie dotyczy to Szczecina. Taka sytuacja sprzyja powstawaniu różnych plotek.

– Rozumiem rozgoryczenie towarzysza prezydenta. – Sięgnął po butelkę. – Napijmy się.

– Obawiam się, że wysiłki pierwszych osadników, zmierzające do objęcia miasta przez polską ekipę, mogą pójść na marne.

– Teraz wszystko w rękach polityków, dyplomatów. A oni biorą pod nosy podpisane na wcześniejszych konferencjach dokumenty, patrzą, szukają Szczecina i nie znajdują odpowiedzi na pytania, do kogo należy i gdzie ma przebiegać granica państwowa. W Jałcie mówiono o granicy na Odrze, a przecież część miasta z centrum leży poza rzeką! No i mamy problem. Poza tym podejrzewam, że ukryto tutaj coś szczególnie interesującego dla aliantów. Nie mam pojęcia, co to jest. Dzieła sztuki? Złoto? – Mrugnął porozumiewawczo. – I jedno, i drugie krasnoarmiejcy bardzo pokochali. – Zastanawiał się chwilę. – A może arsenał tajnej broni? Gdyby to ode mnie zależało, od moich żołnierzy… raz, dwa, trzy i po sprawie. – Opróżnił kieliszek. – Nie byłoby o czym gadać.

– Po władzę w Szczecinie sięgają Niemcy. Przybywa ich coraz więcej, a Polacy powracający z obozów i pracy przymusowej niechętnie zatrzymują się w mieście, którego los jest niepewny.

Generał napełnił kieliszki.

– Bądźmy dobrej myśli. Ta sytuacja nie powinna potrwać dłużej niż miesiąc. Jako przyszły generalny inspektor osadnictwa wojskowego przy Ministerstwie Administracji Publicznej zaraz po objęciu stanowiska uczynię wszystko, by nadrobić stracony dla was czas. Przecież miasto będzie w strefie mojego działania, towarzyszu prezydencie.

– Jestem prezydentem miasta, w którym nie ma polskich władz rządowych! – żalił się inżynier Piotr Zaremba. – Jestem prezydentem miasta, w którym moja obecność ze względów dyplomatycznych nie jest pożądana.

– Niestety, towarzyszu prezydencie, nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na ostateczne decyzje polityków. A oni na pewno liczą się z tym, co przyrzekł Polsce Stalin. – Podniósł kieliszek. – Czekając, możemy wypić. – Zaśmiał się rubasznie. – Mniej nam będzie się dłużyć.

Do pokoju wszedł adiutant.

– Towarzyszu generale – meldował – na ścianach domów znów pojawiły się hasła nawołujące do odzyskania Lwowa i Wilna.

– No, proszę! – krzyknął oburzony generał. – O czym mówimy? O jakimś mieście bez większego znaczenia militarnego, a pod nosem rodzi się reakcja, rewizjoniści nie boją się władzy, wojska! – Rozlał wódkę do kieliszków. – Takich bez sądu pod mur i kula w łeb! Tak się z podobnymi rozprawiałem w Hiszpanii. – Opróżnił swój kieliszek. – Pieski z resortu bezpieczeństwa na pewno ich dopadną i postąpią tak, jak ich uczono w radzieckim KGB. Dla mnie jako żołnierza to zbyt długo trwające ceregiele. Niepotrzebne. Demoralizujące. To trwonienie czasu. Ja postąpiłbym jak w Hiszpanii. Szybko i skutecznie. – Napełnił kieliszki. – Niech pozwolą mi działać, dotrę do tych oportunistów, ogniem i żelazem wytępię. Taka ich mać.

3.

Podczas II wojny światowej Szczecin nieustannie należał do pierwszej strefy zagrożenia bombowego. Najpierw alianci niszczyli ośrodki militarne, zakłady benzyny syntetycznej. Potem samoloty brytyjskie i amerykańskie sparaliżowały port, w złomowisko zamieniły stocznie „Vulcan”, „Odra”, przerwały produkcję w zakładach silników odrzutowych, samochodów osobowych Stoewer-Werke AG. Z

kolei dywanowy nalot latem 1944 roku w gruzy obrócił Stare Miasto, Śródmieście i nadodrzańskie dzielnice. Wreszcie nad niebem Szczecina od 1945 roku zahuczały bombowce radzieckie, unicestwiając resztę fabryk, a artyleria zniszczyła mosty i wiadukty.

W innych miastach rozpoczynało się już nowe życie, ale nie w Szczecinie. Tu wciąż wybuchały bomby i miny, płonęły ocalałe z wojennej pożogi domy. Wąwozami wśród gruzów przedzierały się patrole wojsk radzieckich, maruderzy, szabrownicy, a także ryzykujący życiem dawni jego mieszkańcy, pierwsi polscy osadnicy w poszukiwaniu dachu nad głową, jedzenia.

Miasto straciło swój dawny urok, wśród jego paryskiego układu placów i ulic snuł się swąd spalenizny, zieleń na skwerach i w parkach przykrywały dymy dogaszanych pożarów. A jednak o te ponure miejskie zgliszcza toczył się zażarty bój polityków. Mętnie uzasadniali swe racje, ukrywając, że chodzi im o przejęcie ukrytych w nim zdobyczy nauk technicznych, które w nieodległej przyszłości mogą zadecydować o losach świata.

W całym mieście zachowało się jedno miejsce przyciągające przybyłych, urzekające architekturą, okazałymi budowlami wysoko wznoszącymi się nad rzeką. Było to Hakenterrasse, tarasy nadburmistrza Hermana Hakena, zrealizowane według projektu Wilhelma Meyer-Schwartau, które powstały na dawnym Forcie Leopolda, na francuskich i pruskich kazamatach.

Mężczyzna, od kilku miesięcy posługujący się pseudonimem Jastrząb, szedł wzdłuż lewego brzegu Odry. Omijał leje po bombach, gruz zwalonych domów z nabrzeża, zagradzający drogę złom. Istniał łatwiejszy sposób dotarcia na Tarasy Hakena, ale on chciał być bliżej rzeki. Od dziecka przepadał za wodą, mógłby w niej albo nad nią przesiadywać całe dnie. Mała Orla wpadająca do Baryczy, a ta do Odry, rozbudzały w nim marzenia o morzu. Nie krył radości, gdy szef dał mu zlecenie wyjazdu do Szczecina. Dopiero na miejscu przekonał się, że miasto nie leży nad

morzem, a nad rzeką. Ale to wystarczało, by je polubił nawet takim, jakim było, czyli miastem portowym położonym daleko od morza.

Wiosna nie prezentowała się tu najlepiej, nie miała zapachu świeżości, odradzającego się w przyrodzie życia. Miasto płonęło, rzeką spływały niewyłowione jeszcze trupy, na cumujących barkach kręcili się osobnicy niewyglądający na śródlądowych marynarzy; rzucali krzywe spojrzenia na idącego brzegiem mężczyznę i ginęli w czeluściach ładowni.

Od miejsca, gdzie znajdował się na Odrze most zwodzony Hansabrücke, wysadzony przez cofające się wojska Wehrmachtu, marsz stał się łatwiejszy, na drodze mniej było przeszkód do pokonania. Pawilonowa architektura tarasów, szerokie schody wyglądały coraz bardziej imponująco.

Mężczyzna zatrzymał się, wyłuskał z paczki papierosa, zapalił.

Z zainteresowaniem wpatrywał się w skarpę. Według przekazanych mu poleceń miał zwrócić na nią szczególną uwagę. Niemcy umieli projektować podziemne korytarze, bunkry. A dawniejszy Fort Leopolda temu sprzyjał Do realizacji swych planów mieli rzesze jeńców, więźniów, robotników kierowanych do przymusowych robót. Te podziemia należało spenetrować i zobaczyć, co kryją. A nuż to, czym interesowały się zachodnie mocarstwa.

Palił spokojnie i przyglądał się zachowanym mimo licznych nalotów budynkom.

Jastrząb, prócz czujnych oczu, w niczym nie przypomniał drapieżnego ptaka; prędzej jakiegoś niepozornego owada. Należał do tego typu mężczyzn, w których nawet najlepsi portreciści z trudem uchwyciliby coś szczególnego, charakterystycznego. We wszystkim był nijaki, pospolity. Oczywiście prócz drapieżnie i bystro patrzących oczu. Może dlatego wybrano go na szefa grupy nazwanej „Ptaszarnią”, skompletowanej przez służby specjalne. Z członkami, których nie znał, miał spotkać się w Szczecinie, w drewnianej willi na obrzeżu parku, za gmachami na tarasach.

Schodami, zawalonymi papierami, skrzyniami po amunicji, tobołami siedzących na nich repatriantów, wszedł na górny taras z kamienną rzeźbą przedstawiającą Herkulesa walczącego z centaurem. Mężczyźnie obca była wiedza o plemieniu dzikich istot, pół ludzi, pół koni, zwykle pijanych, porywających kobiety i nimfy. Przyglądał się herosowi, wspaniale umięśnionemu mężczyźnie, i zazdrościł mu tego, czego jemu natura poskąpiła. Zacisnął zęby. Może właśnie dlatego, że niczym nie przypominał Herkulesa, pragnął dokonać czegoś wielkiego.

Spojrzał na zegarek. Nie chciał się spóźnić na pierwsze spotkanie. Minął gmachy na tarasie, przeciął skwer za nimi i zatrzymał się przed drewnianą willą. „Dlaczego wybrano właśnie ten dom?" – zastanawiał się. Szabrownicy zapewne wynieśli z niego wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, a na powtórne zasiedlenie nie nadawał się, bo w każdej chwili mógł zostać podpalony i spłonąć jak stóg siana. W mieście wciąż aktywnie działały grupy Werwolfu, powołane do życia przez Reinharda Gehlena z Wehrmachtu, który opracował projekt struktury podziemnej organizacji, wzorowanej na polskich doświadczeniach.

Zastukał do drzwi.

Otworzył mężczyzna wzrostem, tężyzną przypominający półboga stojącego na tarasie koło półkonia. Wyprężył się, podniósł dłoń do czoła. Czekał.

– Jastrząb – przedstawił się. – Czy to „Ptaszarnia"?

– Tak jest. Sowa! – odparł gospodarz.

W pokoju ze skrzynkami stanowiącymi jedyne „umeblowanie" znajdowali się jeszcze Wrona, Bekas i Jemiołuszek. Z wielkim zainteresowaniem patrzeli na szczura siedzącego w obudowie strzaskanego, wyprutego z mechanizmu zegara. Nie bał się, czekał na coś.

– Towarzysze! – krzyknął Sowa.

Mężczyźni niechętnie podnieśli się ze skrzynek, uścisnęli dłoń przywódcy.

Jastrząb dłużej zatrzymał się przy drobnym mężczyźnie przedstawiającym się jako Jemiołuszek.

– Zgodziłeś się na taki pseudonim? – Nie krył zdumienia.

– Nie miałem wyboru.

Jastrząb oczekiwał dalszych wyjaśnień.

– Na spotkanie z szefem przyszedłem trochę podcięty.

Jego wypowiedź zebrani skwitowali śmiechem.

– Najadłem się czegoś, co sfermentowało w żołądku. Gdy szef usłyszał usprawiedliwienie mojego stanu, to powiedział, że tylko w organizmach jemiołuszek dochodzi do fermentacji zjadanych owoców i dlatego często są pijane. Nawet zapijają się na śmierć. No i nazwał mnie tak, jak nazwał, ostrzegając, bym nie przesadził i nie skończył jak wiele innych jemiołuszek.

Jastrząb zastanawiał się, po co mu przydzielono człowieka z taką słabością. Do czego może mu przydać się alkoholik?

Chwilę przyglądał się swym podwładnym, potem siadł na jednej ze skrzynek i rozpoczął przygotowane wcześniej przemówienie.

– Towarzysze – mówił wzniosłym tonem stosowanym przez przedstawicieli władz partyjnych podczas ważnych spotkań – powierzono nam do wykonania niezwykle odpowiedzialne zadanie. Doświadczalny ośrodek Heeresversuchsanstalt na wyspie Usedom stworzył dla Luftwaffe broń, której działanie nie do końca poznano. Nową broń. O nadzwyczajnej skuteczności niszczenia. Chętnie przejęliby ją Anglicy, Amerykanie, Francuzi. Ale ona powinna znaleźć się w rękach tych, którzy światu gwarantują pokój.

Słowa mówcy, tak jak się spodziewał, przyjęto oklaskami.

– Wiele faktów wskazuje na to, że znajduje się ona w podziemnych tunelach tego miasta. Informatorzy doniośli naszym władzom, że pod skarpę przenoszono z

barek, cumujących przy pobliskich nabrzeżach, dziesiątki ciężkich skrzyń. Znikały one w korytarzach pod tarasami. Co to było? Broń? Prowiant? Nie wiemy.

– Czy nie jest to proste zadanie dla wojska? – zapytał Bekas.

– Wojsko na pewno zrobiło to, co do niego należało – zapewnił Jastrząb.

– Może przenosili skrzynie ze złotem, może z czymś innym wartościowym pochodzącym z rabowanym przez nazistów okupowanych terenów, ale nie z tym, czego my szukamy – myślał głośno Wrona.

– Te podziemia kryją znacznie większą tajemnicę. Cenniejszą od skrzyń ze skarbem. I dostęp do niej nie będzie prosty. Nie wystarczy otwarcie kolejnych drzwi, wyłamanie krat, wysadzenie w powietrze kilku ton ziemi, betonu. Tę broń przyszłości produkowali najlepsi w Rzeszy specjaliści. Do jej ukrycia też zatrudniono najlepszych fachowców.

– Jesteśmy mądrzejsi od nich? – Wrona zachichotał.

– Towarzysze, mamy dotrzeć do ludzi, którzy wiedzą, gdzie to jest i w jaki sposób to wydobyć – rzekł Jastrząb. – Każdy z nas zna język niemiecki. Oto nasza przewaga nad innymi szukającymi skrzyń wywiezionych z wyspy.

– Szwargotanie po niemiecku wystarczy? – wątpił Sowa.

– Uszy i oczy otwarte, towarzysze, to pierwsza zasada – ciągnął dalej Jastrząb. – Ci, którzy posiadają wiedzę o ukrywanej broni przyszłości, zapewne są też świadomi, że wkrótce stanie się ona bezużyteczna; kiedy rozstrzygnie się wreszcie przynależność miasta, granice zostaną zamknięte. Może więc już szukają kontaktu, by sprzedać posiadane informację za godną cenę? Nie wolno nam tracić ani dnia, ani godziny. Od zaraz zabieramy się do roboty.

Rozłożył na jednej ze skrzyń plan miasta i zaczął przydzielać podwładnym zadania.

– Pierwszy etap – mówił – to rozpoznanie przydzielonego wam obszaru. Obserwujecie każdego. Musicie wiedzieć, kto się po waszym terenie porusza, kto na

nim mieszka i jaką przedstawia wartość informacyjną. Ktoś przecież przenosił skrzynie w głąb korytarzy, zapewne tutejsi. I niekoniecznie wszyscy z nich to Niemcy. Na pewno widzieli też strażników pilnujących przenosin. Może też potrafiliby wskazać Niemców przybyłych z Peenemünde. – Podniósł głos. – Każdego podejrzanego o posiadanie takiej wiedzy osobiście przesłucham. Nie w siedzibie służb specjalnych, ale tu albo w innym wskazanym przeze mnie miejscu. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kilka paczek radzieckich papierosów „Biełomorkanał". Rozdał je. – „Biełomory" dla wielu palaczy są zbyt mocne, ale skoro pali je Józef Stalin, i my sobie nie odmówimy przyjemności zakurzenia ich.

Niewielki pokój wypełnił dym palonej machorki.

4.

Z okna kwatery marszałka Konstantego Rokossowskiego nie widać było dymu nad miastem. Za szlabanem, za budką wartowniczą, zieleń drzew przypominała o wiośnie. Pochodzący z wielkopolskiej szlachty herbu Glaubicz (złota ryba na błękitnym polu, z pięcioma strusimi piórami w klejnocie) ze staropolską gościnnością powitał zachodniopomorskiego wojewodę, byłego działacza komunistycznego, politycznego więźnia Berezy Kartuskiej ppłk. Leonarda Borkowicza.

– Kuchnię mam nie najlepszą, ale zjeść można. – Zaprosił do zastawionego śniadaniowego stołu z różanego drewna, z rzeźbionymi stopami. – Wojskowym powinna wystarczyć, a pan mimo piastowania cywilnej funkcji, munduru nie zdjął.

– Jest wygodniejszy od garnituru – odparł wojewoda.

– Nie zdjął go pan od czasów bitwy pod Lenino, tylko naramienniki się zmieniały. Kto jak kto, ale pan zasłużył na awanse.

– Chyba z sentymentem do munduru umrę.

– Nie pora myśleć o śmierci, gdy tak ważne powierzono panu zadanie.

– Wspólnie je mamy wykonać, towarzyszu marszałku.

– Długo jestem w armii radzieckiej, ale nie zapomniałem polskich zwyczajów, panie wojewodo.

– Przepraszam, panie marszałku.

– Moja kwatera raz tu, raz tam. Pan na pewno zostanie tutaj na dłużej. Chyba że – mrugnął porozumiewawczo – podpadnie pan. Mam jednak nadzieję, że urodził się pan pod szczęśliwszą gwiazdą niż ja.

Wojewoda zrozumiał aluzję. Rozmawiał z człowiekiem, który doskonale wiedział, jak łatwo popaść w tych czasach w niełaskę. Były instruktor armii w Mongolii, były dowódca 7 Samarskiej Dywizji Kawalerii, następnie 5 Korpusu Kawalerii, podczas czystek stalinowskich oskarżony został o szpiegostwo dla wywiadu japońskiego i polskiego, w czasie śledztwa stracił dziewięć zębów, złamano mu trzy żebra, a zanim został zrehabilitowany, przeżył piekło, przed którym teraz życzliwie ostrzegał swego gościa.

– Złe czasy za nami – przekonywał wojewoda. – Nadchodzą lepsze, o które pan i ja walczyliśmy. Trochę szczęścia, odwagi i rozsądku, a zrobimy to, co do nas należy.

– Nie wiem, co bardziej się przyda.

– Zapomniałem o nadziei. Ważna równie jak odwaga.

Marszałek popatrzył na wojewodę ze smutkiem w oczach.

– Na troskliwego mnogo sobak. – Uniósł kieliszek wypełniony wódką. – Za pana odwagę. I za optymizm, bo w tym mieście będzie równie niezbędny jak odwaga.

– Niewątpliwie, jak w każdej walce z przeciwnościami – zgodził się z nim wojewoda, nerwowo szarpiąc za wąs.

Gospodarz uznał to za wyraz zniecierpliwienia.

– Tak, nie traćmy czasu na próżne gadanie. A zatem z jakimi pan przychodzi kłopotami, wojewodo? – spytał rzeczowo.

– Nie do końca rozumiem decyzję w sprawie Szczecina. Jednak zgodnie z zaleceniami polskie władze państwowe, a także polskie organa samorządowe, przed konferencją rozstrzygającą los Szczecina, opuściły miasto. O ile konieczność wyjścia władz państwowych była uzasadniona względami politycznymi, by nie drażnić dyskutujących o przyszłości Szczecina mocarstw, sojuszników Związku Radzieckiego, o tyle opuszczenie miasta przez organa samorządowe było pochopne i okazało się przykre w następstwach.

– Życie nauczyło mnie powściągliwości w zadawaniu pytań. Słucham i wykonuję to, co należy do moich obowiązków – odpowiedział marszałek.

– Rozumiem, ale zapewne i pana zastanawia fakt przedłużających się rozmów w sprawie Szczecina.

– Co innego myśleć, a co innego pytać.

– Ważniejsze sprawy rozstrzygano szybciej. Komu i dlaczego zależy na zachowaniu status quo tego zrujnowanego miasta?

– Moskwa dziś żałuje, że alianci ubiegli nas w przejęciu fachowców z Peenemünde. Proszę się częstować. – Wskazał wiktuały na stole. – Opowiada się o tym, jak Georgij Malenkow, szef komitetu do spraw technicznych, przygotował desant na ten ośrodek badawczy. Niczego nie osiągnął, jego ludziom nie udało się dotrzeć do celu. – Wykonał nieznaczny gest wyrażający niechęć wobec pomysłodawcy nieodpowiedzialnej misji wojskowej. – Dochodzą mnie słuchy, że i w Szczecinie znajduje się coś, co powinno zainteresować sojuszników i nie tylko. Ale jak pan się domyśla, wolę na ten temat milczeć. – Pochylił się nad stołem, ściszył głos. – Nie chcę znów zostać oskarżony, że współpracuję z jakimś obcym wywiadem. A o to łatwo. Nie dałbym rady ponownie przeżyć przesłuchań – zwierzał się. – Jeżeli pana ten problem nie ominie, to współczuję, bo agenci Malenkowa za dużo zaliczyli przegranych, by odpuścili. Gdy trafią na jakiś trop prowadzący na niemieckie

tajemnice owego ośrodka, to nie darują, ze skóry obedrą, a wydobędą z nieszczęśnika więcej, niż myśli, że ukrywa.

– Rozumiem pana stanowisko. Wróćmy zatem do spraw, którymi wywiady nie są zainteresowane.

– Sytuację w Szczecinie znam dobrze. Tak, nie dzieje się tu najlepiej. Miasto płonie, pożarów nie ma kto gasić. Czy Polacy wierzą jeszcze, że zostanie ono przywrócone Polsce?

– Mamy powody, by w to powątpiewać. Krążą pogłoski, że Szczecin ma być wolnym miastem.

– Byłaby to najgorsza powtórka z historii. Niestety są politycy, którym zależy na tworzeniu ognisk zapalnych w Europie.

– Co na to Moskwa?

Rokossowski zbył to pytanie.

– Źle by się stało, gdyby Polacy uczestniczyli w kolportowaniu podobnych plotek.

– W sytuacji, gdy w mieście nie ma nawet polskiego Zarządu Miejskiego, to najbardziej nieprawdopodobne wieści mogą być przyjmowane za prawdę.

– Stalin powiadomił mnie, że nie widzi przeszkód, by członkowie polskiego Zarządu Miejskiego powrócili do Szczecina i zajęli się polskim osadnictwem, przygotowaniem miasta do przyjęcia repatriantów z kresów wschodnich, ze Lwowa, Wilna.

– A więc zabawa trwa. To interes Moskwy. A co na to powiedzą alianci?

– Niekoniecznie trzeba się liczyć z każdym ich zdaniem. Wystarczy ulec w jednym, by móc upierać się przy drugim.

– A co z władzami wojewódzkimi? – zainteresował się wojewoda Borkowicz.

– To pytanie musiało paść z pana ust. Niestety będzie pan musiał uzbroić się w cierpliwość i poczekać do wyników konferencji mocarstw.

– Zgoda, panie marszałku. Nie ma władz wojewódzkich w mieście. Ale kto ustali podział kompetencji władz polskich i niemieckich w Szczecinie?

– W Komendanturze Wojennej polski prezydent występuje jako prezydent całego Szczecina, jednak na wydzielonym w mieście terytorium dla Niemców władze pozostawia się niemieckiemu Zarządowi Miejskiemu, który bezpośrednio jest podporządkowany komendantowi wojennemu.

– Nie ułatwi to zarządzania miastem. Sabotażyści nadal będą czuć się bezkarni, Werwolf nie zaprzestanie podpalania domów w polskich dzielnicach.

– Unikając ostentacji i demonstracji, należy w każdym wystąpieniu przedstawicieli władz polskich podkreślać, że Szczecin będzie przyznany Polsce.

– Łatwo przewidzieć reakcję Niemców. W biuletynie wytoczą przeciwko Polakom najcięższe działa.

– Czas już, byśmy nauczyli się reagować. Nie wolno ograniczać się wyłącznie do haseł i frazesów. Trzeba odwołać się do historycznych i politycznych argumentów. Naukowców, dziennikarzy, pisarzy należy nakłonić, by zajrzeli do bibliotek i znaleźli dowody przemawiające za naszym prawem do tych ziem i do tego miasta.

– Inteligencja nie spieszy się z przybyciem do Szczecina.

– Proszę starać się ją pozyskać.

– Oczywiście, poczynię takie wysiłki.

Marszałek zaśmiał się.

– W Związku Radzieckim za umożliwienie kupna spodni polscy pisarze gotowi byli pisać peany na cześć władz – stwierdził z sarkazmem. – Nieraz z przykrością o tym słuchałem. Pan może obdarować przybyłych inteligentów czymś więcej niż spodniami czy kurtkami. W mieście w dzielnicach willowych zachowały się ładne domy, które powinny zainteresować naukowców, pisarzy, malarzy, aktorów. Jeżeli miasto ma być polskie, to muszą powstawać w nim polskie instytucje oświatowe, naukowe, kulturalne: szkoły, muzea, teatry, wydawnictwa.

– Oczywiście w jakiejś perspektywie…

Marszałek przerwał wojewodzie:

– Przecież mogą przyjeżdżać już teraz, zanim alianci przestaną marudzić, zwlekać z decyzjami, nim pogodzą się z tym, że nie udało się im przechwycić wszystkich tajemnic niedawnego wroga.

5.

Zmienne, lekkie powiewy wiatru znad Odry niosły aromat wody i wiosennej zieleni pastwisk z wyspy. Londyńczyk, stojąc na nabrzeżu opodal filaru zwalonego mostu, nie miał pewności, czy właśnie tak pachnie rzeka, czy tylko to, co się unosiło nad jej nurtem. O jednym był przekonany – zieleń miała swoją woń. Czuł ją. Wyspa obfitowała w wystarczająco dużo drzew, krzaków, by wschodni wiaterek miał co wykradać i przenosić na ląd, na tarasy. Była jak zielona kępa odcięta rzeką od zgliszcz miasta, nęciła zmęczone oczy, obiecując sielski spokój. Wedrzeć się na nią, zanurzyć w gęstwinę zieleni, zapomnieć o przeszłości, o zadaniach narzucanych przez teraźniejszość, i rozpocząć życie szczęśliwie uratowanego rozbitka na bezludnej wyspie – marzył Londyńczyk.

Był przygnębiony. Nie miał powodów do zadowolenia. Mimo upływających dni i wielkich starań, jego ludziom wciąż nie udawało się trafić na najmniejszy ślad prowadzący do wytyczonego celu. Mieszkańcy portu zdawali się żyć wyłącznie bieżącą chwilą, byle zdobyć coś do jedzenia, przetrwać jeszcze jeden dzień, jeszcze jedną noc, byle nie dać się ograbić z lichego dobytku, uciec przed czyhającym zewsząd zagrożeniem. Spotykani w tunelach gruzów, na ścieżkach biegnących między lejami bomb, obok tablic z napisami „Miny” – nie wyglądali na dobrze odkarmionych w ośrodku badań w Peenemünde, na ludzi ukrywających groźną dla świata tajemnicę. Niewiele różnili się od więźniów powracających z niemieckich obozów koncentracyjnych.

W tym obcym, nieżyczliwym mu mieście Londyńczyk właśnie kończył trzydzieści dwa lata. W samotności, sfrustrowany, z rozdrażnieniem zadając sobie pytanie, co świat ma mu do zaoferowania. W wojsku, na obczyźnie wypełniał swój obowiązek oraz rozkazy dowódców. Wyglądało na to, że teraz nie doświadczy niczego więcej. Chętnie pojechałby do Gdańska. To tak blisko. Nie po to, by spotkać się z rodziną. Wiedział, że już jej nie ma. Ale chciałby choć przejść się ulicami, czy raczej tym, co z nich zostało. Wędrowałby wśród stosów gruzów, podobnie jak tu w Szczecinie. Ale Gdańsk to było jego miasto, i dziewczyny, którą kochał. Nie ma już tych ulic, po których spacerowali, nie ma tego miasta ani tej dziewczyny. Tylko wspomnienia zostały. Rad by do nich powrócić, przejść się z nimi po gruzach. Niestety nawet tego mu odmawiano.

Minął fontannę przy wielkiej niszy wcinającej się w platformę tarasu, nieczynną – jakżeby inaczej. Nie wszedł na schody prowadzące na taras, a udał się w stronę ocalałych domów stojących nad rzeką. Nie potrafił pojąć, jak po tylu nalotach na tę część miasta zdołało zachować się tak wiele kamienic.

Był przekonany, że w którymś z tych budynków ukrywają się strażnicy tajemnicy z Peenemünde. Kamienica stanowiła wymarzony punkt strategiczny i obserwacyjny: blisko do jednego z prawdopodobnych wejść do podziemi i zaledwie kilkanaście metrów od rzeki.

Do zabudowań na wysokiej nadodrzańskiej skarpie prowadziły strome schody wśród krzaków forsycji obsypanych złotożółtymi kwiatami. Nie zdążył się nasycić ich pięknem, gdy usłyszał dobiegający z boku krzyk. Spojrzał w tamtą stronę. Mężczyzna w mundurze radzieckiego wojska szarpał się z jakąś kobietą. Londyńczyk chwilę przyglądał się sytuacji, chłodno, z pewną aprobatą dla zachowania zwycięzcy wobec zapewne niemieckiej kobiety, która do niedawna była gotowa w patriotycznej euforii oddać się każdemu żołnierzowi Wehrmachtu powracającemu ze wschodniego czy zachodniego frontu na odpoczynek. Te kobiety zasługiwały na poniżenie, tak,

nawet na gwałt! A jednak nie mógł spokojnie słuchać krzyku rozpaczy, przyglądać się bezczynnie szamotaninie. Podszedł i wymierzył z Walthera do żołnierza.

– Won! – rzekł lodowato, rozkazująco.

Skośnooki mężczyzna nie krył zaskoczenia i nienawiści do intruza. Ale zerknąwszy na pistolet, posłusznie wypuścił kobietę. Szybko się oddalił. Dziewczyna poprawiała na sobie lichą spraną sukienkę i niepewnie spoglądała na wybawcę. Nie grzeszyła urodą. Nie była ładna, ale Londyńczyk widywał brzydsze. Tej brakowało przede wszystkim dziewczęcej świeżości, wdzięku. W oczy rzucał się pospolity wyraz twarzy z uciekającym wzrokiem. Nie powiedziałby, że niewielką, delikatną główkę zdobiły jasne włosy. Po prostu były i tyle, nie dodając jej powabu. Sylwetkę miała bardziej niż szczupłą, bez wyraźnie zarysowanych piersi.

– Danke – wyszeptały jej wąskie, blade usta.

– Nic ci się nie stało? – spytał po niemiecku, choć domyślał się, że napastnik nie zdążył wyrządzić jej krzywdy.

Przecząco pokręciła głową.

– Jak ci na imię?

Wcale nie był tego ciekawy. Zagadnął o imię, bo wydawało się mu, że w tej sytuacji wypada o nie spytać. Byłby to dowód wyższości cywilizacyjnej nad przegonionym azjatyckim żołnierzem, który na pewno nie od tego pytania próbował zawrzeć z dziewczyną znajomość.

– Ilse – odparła.

– Iza – powtórzył.

– Iza – pogodziła się z nową formą imienia.

Znacząco spojrzała na wciąż trzymany w jego ręce pistolet. Londyńczyk uśmiechnął się przepraszająco i schował go.

– Polak? – spytała.

Wykonał przeczący ruch głową. Zwlekał z odpowiedzią. Iza czekała.

– Anglik – skłamał.

Chwilę obserwował jej reakcję. Na twarzy malował się wyraz niezmiernego zdumienia i przyjemnego zaskoczenia. Chyba nie spodziewała się spotkać Anglika w mieście zajętym przez Rosjan. Anglicy, Amerykanie, Francuzi cieszyli się u Niemców znacznie lepszą opinię niż Polacy czy Rosjanie. Jeżeli mieliby wybór niewoli, to poszliby do każdej, byle nie do polskiej czy radzieckiej. Ale Anglik w Szczecinie?! Wciąż nie mogła się nadziwić.

– Matt – przedstawił się Londyńczyk.

Imię miało potwierdzać prawdziwość jego brytyjskiego pochodzenia. To jednak dziewczynie nie wystarczało. Przecież przeżyła wojnę, wysłuchała setek informacji o podstępnym działaniu wroga, przestróg rodziców przed prowokatorami, szpiegami…

– Tu Anglik? – nie kryła uzasadnionej wątpliwości.

Wybuchem śmiechu zbagatelizował czujność młodej Niemki.

– Anglia jest niedaleko stąd!

Nadal zachowywała ostrożność.

– A Rosjanie jeszcze bliżej.

Dziewczyna była roztropna i rozbawienie Londyńczyka nie rozbroiło jej podejrzliwości.

– Na wojnie jak w kotle z zupą – tłumaczył cierpliwie. – Wszystko się miesza. Dziś jestem tu, jutro tam.

– Tam? Gdzie będziesz jutro?

– Może też tu?

– Po co?

– A dlaczego nie? Na pewno znalazłbym dla siebie jakiś kąt i zajęcie – odpowiadał z niefrasobliwością obieżyświata.

– A pistolet?

Zaśmiał się jeszcze głośniej.

– To na tych, przed którymi trzeba bronić takie dziewczyny jak ty.

– Danke – raz jeszcze podziękowała za ratunek i odwróciła się, zamierzając odejść.

Zatrzymał ją.

– Moment. Znasz tę dzielnicę. Może wskażesz mi jakiś dom, gdzie mógłbym przenieść swój dobytek i zatrzymać się na pewien czas. Obecne lokum nie bardzo mi odpowiada. Boję się, że którejś nocy dopadną mnie szczury.

Powiodła po nim chłodnym spojrzeniem od góry do dołu. Widocznie przegląd wypadł pomyślnie, bo skinęła ręką, zachęcając, by poszedł za nią.

Weszli w dzielnicę ocalałych z wojennej pożogi domów. Londyńczyka wciąż zastanawiał fakt ich przetrwania, pomimo licznych nalotów na miasto. Przecież domy te stały tuż przy stoczni i porcie, które były celem lotników amerykańskich, angielskich, radzieckich. W gruzowisko zamieniono Stare Miasto, część Śródmieścia, nabrzeża nadodrzańskie, zamek, podzamcze, a domy tej dzielnicy pozostały nietknięte – nie uszkodziły ich ani zrzucane z samolotów bomby, ani artyleryjskie pociski. Czy to przypadek, wynik pomyłki, czy strategiczne działania wojsk?

Dziewczyna wprowadziła Londyńczyka do klatki schodowej jednej z kamienic stojącej przy Gustaw-Adolf-Strasse, ulicy biegnącej wzdłuż parku. Szeroki korytarz sprawiał schludne wrażenie, mimo wojennej zawieruchy nie zapomniano o jego sprzątaniu, wietrzeniu. Na schodach wiodących na półpiętro siedziało dwóch mężczyzn w wieku pozapoborowym. Wychudzeni staruszkowie uzbroili się w ciężkie lagi.

– Kto to? – spytał jeden z nich.

– Matt. Anglik – odpowiedziała dziewczyna.

– Anglik? – nie kryli zdumienia.

– Tak mówi.

– Czego tu szuka?

– Mieszkania.

Staruszkowie zaczęli coś między sobą szeptać.

– Skąd się tu wziął? – padło pytanie. – Czy to strącony lotnik?

Londyńczykowi odpowiadała taka sugestia.

– Koniec wojny, koniec nalotów – mówił. – Nie jestem żołnierzem. Jako cywil szukam na jakiś czas pokoju. Zapłacę – zapewnił.

Mężczyźni z lagami znów powrócili do szeptu.

– A jak przyjdą tu Rosjanie? – dociekał Niemiec w kurtce stalowego koloru.

– We trzech łatwiej nam będzie ich przekonać, że nie mają tu czego szukać – odparł.

Odpowiedź ta spodobała się starcom.

– Zaprowadź go do matki, coś dla niego znajdzie.

W pokoju pełnym słońca, z pełnym umeblowaniem, jakby przez miasto nie przechodziło wojsko i szabrownicy, pięćdziesięcioletnia kobieta siedziała przy maszynie do szycia. Wejście dziewczyny i mężczyzny nie oderwało jej od pracy. Szyjąc, wysłuchała słów Izy, a potem głową wskazała drzwi sąsiedniego pokoju. Dziewczyna pierwsza przekroczyła jego próg. Za nią wsunął się mężczyzna.

– Ładnie tu – stwierdził z uznaniem. – To ma być mój pokój?

– Tak.

– Świetnie. – Sięgnął po pieniądze. Odliczył kilka banknotów – Daj właścicielom. Ja pójdę po swoje rzeczy. Pod wieczór wrócę.

6.

W gabinecie kwatery sztabu głównodowodzącego 1 Frontu Białoruskiego w Köpenick panował półmrok. Za angielskim mahoniowym biurkiem cokołowym siedział generał-porucznik Konstantin Tielegin, niezwykle zasłużony w wojnie domowej, szczególnie w bitwie pod Kachowką, utalentowany strateg zaprzyjaźniony

z Gieorgijem Konstantinowiczem Żukowem, szefem Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, zastępcą naczelnego wodza podczas II wojny światowej, marszałkiem Związku Radzieckiego. Ale Jastrząb czuł, że w gabinecie znajduje się ktoś jeszcze oprócz siwowłosego mężczyzny w okularach o złoconych oprawkach; ten ktoś nie chciał być rozpoznany i zamierzał przysłuchiwać się rozmowie z ukrycia. Jastrząb niejedno słyszał o metodach przesłuchań stosowanych przez radziecki wywiad wojskowy i bał się, że ten obserwator skryty w mroku może być agentem GRU, a on prosto ze sztabu głównodowodzącego wojskami okupacyjnymi trafi na dalsze rozmowy do jakiegoś oddziału radzieckiego sztabu wywiadowczego. Nie paliło mu się do takiego doświadczenia.

Starając się wykonać w Szczecinie powierzone im zadanie, członkowie grupy „Ptaszarnia" zaczęli działać nieostrożnie, zapominając o radzieckim wywiadzie gospodarczym, o zainteresowaniu agentów specjalnych GRU przemysłem zbrojeniowym na terenach okupowanych. Najprawdopodobniej sam Jastrząb znalazł się na tropie wcześniej odkrytym przez Rosjan. Jastrząb nie wykluczał też możliwości donosu na niego. Sowa? Bekas? Wrona? Z całej grupy najłatwiej przyszło mu podejrzewać Jemiołuszka. Wydawał się być człowiekiem bez charakteru, facetem, który za butelkę wódki gotów byłby zdradzić towarzyszy.

– Towarzyszu generale – odezwał się niepewnie Jastrząb – czemu zawdzięczam to spotkanie?

Czuł spływające po plecach krople potu. Ledwo panował nad głosem, nad drżącymi rękami. Najmniejsze podejrzenie wobec niego, a wyląduje tam, gdzie nieufność zamienia się w wyrok. Wówczas plecy nie krople potu pokryją, a głos zmieni się w zwierzęcy skowyt.

Zamierzał się uśmiechnąć serdecznie, z przyjaźnią do towarzysza lejtnanta-generała. Na próżno. Usta wykrzywiał mimowolny grymas lęku. Miał nadzieję, że

panujący w pokoju półmrok udaremni gospodarzowi dokładną obserwację twarzy gościa.

– A więc wiecie, gdzie jesteście – nie krył pewnego zdumienia generał.

– I wiem, jaki mnie zaszczyt spotyka – mizdrzył się Jastrząb. – Znane mi są zasługi towarzysza generała do Kraju Rad, na polu walki z niemieckim najeźdźcą.

Gdyby w pomieszczeniu było więcej światła, to Jastrząb, mówiąc o zasługach, zauważyłby na twarzy swego rozmówcy podobny grymas niepokoju, z jakim przed chwilą sam nie chciał się zdradzić. Bo Tielegin doskonale wiedział, że każda zasługa wpisana w życiorys to jak kolejne przestępstwo wobec skromnego generalissimusa Stalina; każdy nowy medal za niezwykłe czyny przypięty do piersi bohatera stawał się ciężarem nie do udźwignięcia przez śmiertelnika niemającego prawa rywalizować z wielkością wodza, który ze swego gabinetu decydował o losie świata i jego jednostek. Im wojna trwała dłużej, tym więcej zasług przypisywano marszałkowi Gieorgijowi Konstantynowiczowi Żukowowi i towarzyszącemu mu Tieleginowi. A to mogło się Stalinowi nie podobać, być zagrożeniem dla jego popularności, władzy. Zbyt długo żył w jego cieniu, by nie przewidzieć, iż po wykonaniu zadań na froncie nie czeka go willa w podmoskiewskiej miejscowości Kuncewo, a najprawdopodobniej długie przesłuchania, wyjaśnienia z rzeczy dokonanych i niedokonanych, oczyszczanie się z zarzutów, oskarżeń, pomówień, z błota lgnącego do każdego, kto wyrastał ponad tłum. Z zazdrością patrzył na człowieka przed sobą, który dotąd cieszył się większą wolnością niż on, generał niosący wolność narodom, wyzwalanym spod jarzma nazistowskich Niemiec. Dziwił się także, dlaczego ten mężczyzna, korzystając z powojennego zamieszania, nie uciekł do któregoś z krajów demokratycznych, gdzie mógłby ułożyć sobie życie po swojemu, czemu dał się wciągnąć w sprawy przerastające jego możliwości. Naiwność? Przekonanie o obowiązku pełnienia służby wobec swych przełożonych do końca?

– Wiecie, kim jestem – generał unikał słowa „towarzysz”, najwidoczniej zarezerwowanego dla ludzi wywodzących się z innego kręgu. – Ale czy wiecie, gdzie jesteście?

– W Berlinie – odparł bez wahania Jastrząb.

Tielegin zdjął okulary, położył na biurku, przetarł palcami zmęczone oczy.

– Mój uczony adiutant radzi używać innej nazwy, przypisanej berlińskiej dzielnicy na wyspie wysuniętej na południowy wschód – Köpenick. W słowiańskim języku to po prostu Kopnik, Kopanica, Kopanik. Był to słowiański gród plemienia Sprewian, siedziba Jaksy, nie tak dawno włączony do Berlina.

Słowa te nieco uspokoiły Jastrzębia, poczuł się raźniej, jakby słowiańska więź z Rosjaninem gwarantowała mu bezpieczeństwo.

– Znalazł towarzysz generał czas na poznanie przeszłości tych ziem – podziwiał.

Tielegin sięgnął po okulary, założył je.

– Słowianie powracają na swe dawne ziemie – stwierdził tonem bliskim patosowi przemówień wiecowych. – Niemcy będą musieli się skurczyć, pomieścić w granicach, jakie im wyznaczymy. – Zaśmiał się krótko. – Polacy nad Sprewę nie wrócą, ale dostaną nad Odrą Szczecin. – I zaraz rzeczowo spytał: – Co tam słychać?

Jastrząb domyślił się, że generał jest zainteresowany najnowszymi wiadomościami o Szczecinie. Na pewno nie brakowało ich w Wojennej Komendanturze, ale Tielegin widocznie czekał na potwierdzenie informacji, a może zmierzał do głównego celu spotkania. Obszernie przedstawiał więc ponury obraz płonącego miasta, o którym nie wiadomo, kto w nim rządzi i jako los go czeka.

Po kilku minutach Rosjanin zaczął okazywać zniecierpliwienie. Niewidzialna ręka wysunęła się zza oparcia fotela i podsunęła mu kartkę. Zapoznał się z jej treścią.

– Kto i po co skierował was do Szczecina? – spytał oschle.

Jastrząb skulił się, po plecach znów pociekły krople potu.

– Posłuchałem tych, którzy zachęcali do wyjazdu na odzyskane ziemie – szepnął.

Generał wstał, przeszedł się po gabinecie.

– Nie szukaliście dla siebie mieszkania, ba, nawet nie byliście zainteresowani penetrowaniem opuszczonych domów. – Mówił coraz bardziej nerwowo. – Przybyliście do Szczecina z innym zamiarem. I doskonale wiedzieliście po co.

– Towarzyszu generale – spróbował nieśmiało zaprotestować Jastrząb – wielu Polaków posłuchało wezwania do osadnictwa nad Odrą.

– Ale tylko wy zaczęliście bawić się w poszukiwacza czegoś, o istnieniu czego wie niewielu naszych agentów. – Przystanął koło przesłuchiwanego mężczyzny. – Powtarzam pytanie. Kto i po co skierował was do Szczecina?

– Towarzyszu generale…

– Dość! Nie mam czasu na zabawę w ciuciubabkę. To, czego nie mogę dowiedzieć się od was, wydobędą lepsi od mnie. Wkrótce wyznacie im nawet więcej, niż potrzeba.

Gospodarz chwilę czekał na reakcję Jastrzębia, a potem najwidoczniej zmęczony rolą, jakiej się podjął, przycisnął guziczek na biurku. W jasnej smudze otwartych drzwi stanęło dwóch żołnierzy. Dobrze wiedzieli, co robić. Wyprowadzili Jastrzębia z gabinetu generała. Nim zamknęły się za nim drzwi, Tielegin rzucił pytanie w mrok pokoju:

– Skąd w moskiewskim Instytucie Problemów Fizycznych Akademii Nauk takie wielkie zainteresowanie Szczecinem?

Nie usłyszał odpowiedzi.

7.

Rozległo się ciche pukanie. W otwartych drzwiach pojawiła się Iza, a za nią w świetle świecy stojącej na stole Londyńczyk zobaczył mężczyznę. To nie był żaden ze starców, których poznał, wchodząc do kamienicy.

Uczynił gest zapraszający do środka.

– Wujek Karl – dziewczyna przedstawiła nieznajomego.

Londyńczyk wskazał gościom miejsca przy stole. Przyjrzał się Niemcowi. Jego niepospolita blada twarz była foremna, myśląca, budziła sympatię; może tylko zbyt chętnie stroiła się w konfidencjonalny uśmiech. Z takim właśnie uśmiechem wysunął w stronę gospodarza szczupłą dłoń.

– Możemy rozmawiać po angielsku – zaproponował Niemiec.

Londyńczyk podejrzewał, że tamten chce sprawdzić wcześniej usłyszaną od dziewczyny informację o nowym lokatorze.

– To bardzo miło z pana strony – odpowiedział po angielsku. – Jak panu wygodniej. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że tak prędko spotkam tu kogoś znającego angielski.

– Szczecin miał wiele wyższych uczelni, poza tym to miasto portowe – tłumaczył Niemiec. – Jego mieszkańcy nie tylko nadawali się do służby wojskowej – zapewnił z dumą. – Utrzymywali kontakt ze światem. No, nie takim jak teraz – dodał z gorzkim uśmiechem.

– Kiedyś zapewne było to ładne miasto – rzekł Londyńczyk. – Szkoda go. Odbudowa potrwa wiele lat. – Patrzył Niemcowi prosto w oczy. – Wojna prawdopodobnie bezpowrotnie zniszczyła niejedno piękno. – Postanowił sprowokować gościa, zmusić go do ujawnienia swych poglądów. – Oto do czego może doprowadzić jeden szaleniec! – Niemiec zapewne nie pierwszy raz spotkał się z taką opinią o wodzu III Rzeszy; w każdym razie nie okazał emocji, jego twarz

wyrażała tylko zaciekawienie. Londyńczyk dodał jeszcze: – Każda kara dla Adolfa Hitlera byłaby za mała. Dobrze, że sam wydał na siebie wyrok.

Uznał, iż dostatecznie określił swoją postawę wobec Führera. Patrzył na Niemca i czekał na jego reakcję, a ten przeciągał milczenie.

– Jego obietnice nie wydawały się nam szaleńcze – wyznał w końcu nieśmiało.

– Żyliście nadziejami na lepsze życie kosztem innych narodów! – rzucił oskarżenie Londyńczyk.

– Wszystkie wojny po to są prowadzone – odparł Niemiec.

– A gdy się przegra, trzeba za ich wywołanie odpowiadać.

– Tak, to prawda – zgodził się z nim Karl. – I odpowiadamy.

– To się dopiero okaże.

– Już zaczęliśmy spłacać dług. Jesteśmy narodem okupowanym, godzimy się na okrawanie naszego dawnego terytorium państwowego.

– To nie przywróci życia pomordowanym ani żołnierzom poległym w bojach.

Niemiec pochylił się nad stołem.

– A jednak życie toczy się dalej, trzeba myśleć o przyszłości.

Wypowiedź ta zainteresowała Londyńczyka, prowadziła rozmowę w nowym kierunku, przecież ugrupowanie „Odwet Patriotów" nie tylko myślało o przeszłości, miało też swój program przyszłościowy. Niewiele mógł on mieć wspólnego z przegranymi, ale kto wie, czy w jakimś punkcie biegnące linie zamierzeń się nie spotykają.

– Koniec z mitem niepokonanych Niemiec i nieomylnego Führera. Jakie pan widzi dla siebie perspektywy w nowym układzie sił? – Londyńczyk wprost spytał Niemca.

Nie czekał długo na odpowiedź.

– Zapewne powstanie nowy mit mocarstwa i nieomylności jakiegoś wodza. To nie moje zmartwienie, a przyszłego pokolenia. Mnie co innego gnębi. Trudno żyć w

mieście z blisko siedemdziesięcioma tysiącami koczowników, dla których jest do podziału zaledwie tona mąki, kilka ton nadgniłych ziemniaków, dwie skrzynie kiełkującej cebuli, pięć kartonów z makaronem nadżartym przez szczury, trochę nadpleśniałych sucharów i kilkadziesiąt konserw wojskowych. Wstajemy głodni, kładziemy się spać głodni. Śnimy o jedzeniu. Wszędzie, gdzie zaspokoilibyśmy wreszcie głód, czulibyśmy się szczęśliwi.

Londyńczyk też był głodny, nie stać go było na współczucie.

– Cała Europa cierpi – rzekł. – I to przez kogo? Przez waszego Führera.

Niemiec pokiwał smutno głową.

– Nie zawrócimy biegu rzeki. Jednak żyć trzeba. Pan chce, ja też. Trzeba szukać rozwiązania naszych wspólnych problemów. Nie uważa pan? N a s z y c h, nie kraju czy świata.

Londyńczyk wolał się powstrzymać od przyznania mu racji. Czuł, że Niemiec chce wciągnąć go w jakąś grę, której zasad nie znał.

– Zobaczymy, zobaczymy – odparł wymijająco. – Wojna bardzo nas zmęczyła. Czas od niej odpocząć, ale mimo wszystko wielu z tych utrudzonych ludzi ma obowiązki wobec ojczyzny, świata.

Niemiec wstał.

– Niektórzy, czyli nie wszyscy – stwierdził twardo. – Może ich interesy udałoby się pogodzić?

Podniosła się z krzesła także dziewczyna. Światło świecy wydobywało z mroku tylko szczupłą sylwetkę w ciemnej spódniczce, w białej bluzeczce rozpiętej pod szyją, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Twarz pozostawała niewidoczna. Może właśnie dlatego Iza wydawała się Londyńczykowi bardziej pociągająca niż za dnia. To już nie była dziewczyna o pospolitej urodzie. Ona po prostu b y ł a. I tyle. Jednak wystarczająco wiele, by o niej myśleć. Mogłaby sobą wypełnić pustkę długiej, bezsennej nocy, zmysł czujności agenta zastąpić zmysłem czułości. To wszystko

mogłoby się stać, gdyby pozostała z nim w pokoju. Gdyby ją zatrzymał, a ona zgodziłaby się zostać jego pocieszeniem, nadzieją na uwolnienie od ciężaru znużenia codziennością szpiega.

Mógłby jej kazać zostać w mrocznym pokoju pod byle pretekstem. Każda spędzona z nią minuta dawałaby szansę na zbliżenie.

Ale gdyby ta niemiecka dziewczyna nie była zdolna do okazania mu czegoś więcej prócz niechęci – to jakby się poczuł? Upokorzony, przegrany, i musiałby żyć obok niej, zwyciężczyni, codziennie widząc w jej oczach wyraz wyższości, niedający mu spokoju. O, nie. W tym domu przegranych obywateli pokonanego narodu mieszkańców on, należący do zwycięzców, miał chyba jakieś szczególne prawa! Czy nie przysługiwał mu przywilej zgarniania łupów, uprowadzenia branek?

Nie widział siebie w tej roli.

– Dobrej nocy – pożegnał Izę głosem przepojonym smutkiem.

Odprowadził spojrzeniem dziewczynę do drzwi i pozostał w pokoju ze swą samotnością, z życiem dopalającym się jak ta świeca z nikłym płomieniem niezdolnym rozproszyć mroku pokoju.

Nie zrzucając ubrania, położył się na łóżku.

8.

Nagłe przejęcie Szczecina przez radziecką komendanturę wzbudziło w Londyńczyku podejrzenia i skłoniło do ostrożniejszego działania. Po ulicach szwendali się nie tylko maruderzy w radzieckich mundurach; przechodziły patrole Armii Czerwonej, a specjalne grupy zajęły się wywożeniem znad Odry wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Pustoszały nabrzeża portowe, zakłady przemysłowe, mieszkania. Jednak dzięki obecności żołnierzy marszałka Żukowa łatwiej było o żywność.

Londyńczyk z niepokojem obserwował efekty zainteresowania się wojska podziemiami. Gorliwie je przeszukiwano. Bez większych efektów. Widocznie Niemcy skutecznie wykorzystali techniczną wiedzę budowniczych tuneli, betonowych labiryntów. Ale Rosjanie nie dawali za wygraną, powracali pod skarpę, wdzierali się w nią i szukali.

Idąc na spotkanie ze swoimi ludźmi z grupy „Odwet Patriotów", napotykał na swej drodze trupy. Nie potrafił odpowiedzieć na pytanie: czego lub kogo to ofiary. Śmierć była w tym mieście aktem codziennym, normalnym, powszechnym, niewywołującym zdziwienia, sensacji. Zagrożenie stanowili maruderzy, niemieckie podziemie, a także łotrzykowie różnego autoramentu. Objęcie miasta przez wojenną komendanturę radziecką nie wpłynęło na poprawę bezpieczeństwa, przeciwnie – do wcześniejszych zagrożeń doszły kolejne. Żołnierze każdego mogli oskarżyć o szpiegostwo, a za to była jedna kara – śmierć. Zaś podejrzenie o niemiecką narodowość uprawniało do traktowania zatrzymanego nieszczęśnika jak wroga. Żadne dokumenty nie wystarczały na uzasadnienie swej obecności w mieście. Zresztą w trakcie wojny wyprodukowano ich tyle, że już nikt nie orientował się, które są prawdziwe, a które fałszywe.

Londyńczyk starał się unikać wojskowych patroli, przemykając ścieżkami wśród gruzów, co nie uwalniało go od przykrych widoków. Trupów nikt nie grzebał. Wypasione szczury z ociekającymi krwią mordkami przebiegały mu drogę. Mężczyzna przeszedł już tak wiele, widział niejedno, ale te spotkania z rozszarpanymi ciałami trupów i bezkarnie biegającymi szczurami napawały go odrazą.

Ucieszył się obecnością wszystkich podwładnych. Jak dotąd grupa nie odniosła żadnych strat. Ale też efektów nie było widać. Czas uciekał. Zadanie zdawało się przerastać ich możliwości.

– Igła w stogu siana! – zrzędził Zwilnianin.

– Może szukamy wiatru w polu? – zastanawiał się Lwowiak.

Leśny ponuro milczał.

Londyńczyk starał się dodać im otuchy. Nie zamierzał odwoływać się do wiedzy o zasadach pracy agentów wywiadu, jaką nabył za kanałem La Manche, nie chciał zebranym przypominać o niezbędnej cesze szpiega, jaką jest cierpliwość. Mówił o polskich żołnierzach, o tej wielotysięcznej armii poza ojczyzną, która nie złożyła broni i w każdej chwili wraz ze swymi sojusznikami jest gotowa ruszyć do boju. Wyrażał nadzieję, że do I i II Korpusu Polskiego na Zachodzie dołączy przynajmniej część Ludowego Wojska Polskiego oraz żołnierze Armii Krajowej. I że tym razem amerykańska Polonia nie pozostanie obojętna na apel wzywający do walki. Padały nazwiska dowódców Polskich Sił Powietrznych podległych Royal Air Force, Polskiej Marynarki Wojennej przy Royal Navy, Dywizji Pancernej, Samodzielnej Brygady Spadochronowej.

Z przyjemnością odnajdywał w twarzach słuchaczy wyraz dumy. Przecież byli cząsteczką tych sił, od ich działalności zależało, kiedy polska armia uderzy i ruszy na Wschód, by przywrócić macierzy Lwów i Wilno.

Postanowił dać im jeszcze więcej argumentów na to, że istnieje duża szansa na spełnienie ich oczekiwań. Mówił o rozczarowaniu narodów konferencjami w Monachium, Teheranie i w Jałcie. Przekonywał, że Franklin D. Roosevelt, Winston Churchill nie tylko nie ufają Józefowi Stalinowi, ale nigdy nie pogodzą się z oddaniem połowy Europy pod wpływy komunistyczne. Uważał, że Amerykanie po ostatecznym zakończeniu wojny z Japonią wznowią grę ze Stalinem. Potrzebować będą jedynie pretekstu do wszczęcia wojny ze Związkiem Radzieckim, a stanie się nim sprawa Polski.

– Musimy być do niej lepiej przygotowani niż warszawscy powstańcy – przekonywał. – Musimy mieć w rękawie więcej ukrytych asów. Amerykanie i Anglicy nie tylko podczas trwania wojny otrzymywali dowody polskiej odwagi oraz

skuteczności polskiego wywiadu. Po wojnie przekonali się, że należało w pełni uwierzyć polskim agentom i poważniej potraktować materiały dostarczane przez naszych kurierów. Drugi raz błędu zaniechania nie popełnią. – I mimochodem, by słowom nadać większą wiarygodność, dorzucił: – Zapewnił mnie o tym szef polskiego wywiadu w Anglii, Stanisław. Poznałem go i wiem, że można mu ufać. Secret Intelligence Service został poinformowany o naszym zadaniu i z uwagą śledzi poczynania.

Dłonie mężczyzn uderzyły w blat stołu.

– Wojna! Wojna! Wojna! – skandowali.

Londyńczyk uśmiechnął się.

– Tak, panowie. Od nas zależy, kiedy wybuchnie. Zachód czeka na pretekst do rozprawienia się z sowieckim państwem. Trafmy na pierwszy trop, a wtedy gdy będziemy potrzebować wsparcia z Londynu, to je dostaniemy. Mam takie gwarancje.

Wierzyli mu. Jego optymizm był zaraźliwy.

– Zgodnie z planem pojutrze otrzymam radiostację – ciągnął Londyńczyk. – Szefowie liczyli, że tego czasu powinienem mieć dla nich pierwsze informacje. Kurierka przywiezie też pieniądze, które na pewno nam się przydadzą.

– Kurierka? – Leśny zagwizdał przeciągle.

– Nie znam jej. Ale szefowie zdają sobie sprawę, co się tu dzieje, nie przysyłaliby osoby niedoświadczonej. Przybędzie do Szczecina jako była więźniarka Frauen-Konzentrationslager Ravensbrück.

– Więźniarka? – nie krył zaskoczenia Leśny. – Zatem nic ciekawego dla oczu.

– Nie po to przybywa, byśmy mieli na kogo patrzeć – odparł Londyńczyk. – Poza tym wasze spotkania z nią nie będą konieczne. Tak lepiej dla niej i dla nas.

– Joj, no i dla ciebie – zażartował Lwowiak.

– Dla nas wszystkich – poprawił go Londyńczyk. – Nie zapominajmy, gdzie jesteśmy i jakiego podjęliśmy się zadania. Zasady konspiracji obowiązują

bezwzględnie. Tym bardziej że miasto znów trafiło pod radziecką komendanturę wojenną, a wokół tarasów kręci się coraz więcej facetów w wojskowych mundurach, obojętnych na architekturę gmachów, za to niekryjących zainteresowania podziemiami.

– Mamy się z nimi ścigać? – spytał Zwilnianin.

– Potrzeba nam raczej więcej szczęścia, niż mieli oni. Nic nie wskazuje na to, by trafili na ślad ukrywanej broni. Inaczej by się zachowywali. Co innego działoby się pod tarasami. Na pewno zaraz zakazano by zbliżać się, stanęłyby płoty, zasieki, wystawiono by warty. Tymczasem nic z tych rzeczy. Szukają jakby bez przekonania. Poza tym podejrzewam, że nie udało się im ściągnąć najlepszych agentów. Mają tak wiele miejsc do penetracji! A przywódcy zaczynają zapominać o wojennych obowiązkach, rozglądają się, z czym by do domów mogli wrócić z frontu. Zwykle wojny kończą się grabieżą. Właśnie na taki etap trafiliśmy. W pewnym sensie to nam może pomóc.

– Promieniejesz optymizmem – zauważył Leśny.

– Po prostu myślę pozytywnie – odparł Londyńczyk.

Nie do końca był szczery. Coraz mocniej opadały go wątpliwości, czy cała akcja wymyślona przy biurkach w Londynie ma sens. Przeżywał kryzys.

Położył się spać wcześnie. Miał nadzieję, że sen będzie niż rzeczywistość.

9.

Wiadomość o zatrzymaniu przez Rosjan polskiego agenta z siatki „Ptaszarnia” dotarła do generała Karola Świerczewskiego podczas biesiadowania. Usłyszał o niezwykle ważnej misji, która miała podnieść w oczach Rosjan wartość dopiero co tworzonego polskiego wywiadu. Ale oni nie dopuścili do spektakularnego popisu, udowodnili, że mają doskonały wywiad, panują nad okupowanym terenem, no i ujęli agenta, czym nie zamierzają się chwalić.

Informacja ta rozbawiła generała. Wygłosił długi toast za frontowych przyjaciół i mimo głębokiej nocy natychmiast polecił połączyć się z generałem Tieleginem. Frontowcy byli psychicznie przygotowani do nocnych telefonów. Po skończonej z rozmowie już bez poprzedzającego przemówienia wypił dwa kieliszki, jeden po drugim.

– Nikt w radzieckiej komendanturze nie przetrzymuje polskiego agenta – wycedził. – Nie mam powodu nie wierzyć Tieleginowi. To jakieś nieporozumienie. Prowokacja! – Znów sięgnął po kieliszek. – Kto z tą plotką przymaszerował do mnie? – Rozejrzał się wokół. – No, kto? Od kogo fałszywy meldunek?

Nie było odważnego do przyznania się, bo generał pozostawał wierny obyczajowi z wojny w Hiszpanii: natychmiast sądził i wymierzał karę, a potrafił być surowym sędzią i bezwzględnym wykonawcą wyroku.

Szybko a usłużnie podsunięto mu kieliszek z rozlewającą się po blacie wódką.

– Nasi przyjaciele angażują się teraz w sporo pozafrontowych działań – zapewniał bełkotliwie gospodarz. – Chcą odebrać Niemcom to, co stracili. I nie dopuszczą, by im ktoś w tym przeszkadzał. Nawet gdyby to byli ich niedawni frontowi przyjaciele.

Goście generała dobrze orientowali się w sposobach odzyskiwania przez Rosjan strat poniesionych przez wojnę. Złośliwie żartowano, że po akcji plądrowania terenów nie pozostanie ślad po fabrykach, w muzeach ostaną się tylko plamy po obrazach, w sklepach jubilerskich puste gabloty, nawet roweru czy taczki ogrodowej nigdzie się nie uświadczy.

Armia radziecka była liczna, ludzie pazerni, chłonni w poznawaniu zdobyczy zachodniego świata. O żołnierzach z czerwonymi gwiazdkami na mundurach krążyły liczne dowcipy, chętniej powtarzane, bo maszerującym u boku Czerwonej Armii polskim żołnierzom, z orzełkami bez korony, przywracały poczucie dumy z cywilizacyjnej przewagi nad ludźmi spod Uralu czy Kaukazu.

– Nie stawajcie naszym przyjaciołom na drodze – ostrzegał generał. Ściszył głos do szeptu ledwo docierającego na koniec stołu. – Nie opuszczą tych ziem z pustymi rękami. Generalissimus i jego ludzie lubią prezenty-trofea.

W to nikt nie wątpił. Ten i ów widział wypełnione po brzegi pociągi jadące na Wschód.

Trudno było odgadnąć, czy generał wierzył zapewnieniom Tielegina, czy nie? Nie tylko alkohol robił swoje, mącąc w głowie, ale i lata przebywania wśród Rosjan. Karol Świerczewski, trzeźwy czy pijany, potrafił się przed nimi pilnować, nie zapominając jednocześnie, że powinien pozyskać zaufanie i przyjaźń rodaków, z którymi miał żyć jak Polak powracający na łono ojczyzny.

Pokój wypełnił rubaszny śmiech gospodarza.

– Każdy z nas musi być przygotowany na przesłanie generalissimusowi Józefowi Stalinowi – jego ciężka głowa zakołysała się nad stołem – Wissarionowiczowi Dżugaszwili prezenciku. – Wypił, hałaśliwie odstawił kieliszek. – Kogo nie stać na prezent, to niech pomyśli o jakimś donosiku, który może zainteresować Gruzina. – Zarechotał. – Byle nie na mnie.

Nikt z obecnych nie miał odwagi odnieść się do wypowiedzi generała, w pokoju zaległa cisza niemącona nawet brzękiem szkła. Miała wymiar śmiertelny. Każdy obawiał się, czy ktoś nie wyniesie za ściany tego pomieszczenia informacji o tym, jakie toczą się rozmowy u generała i kto w nich uczestniczy.

Kiedy głowa gospodarza opadła na blat stołu, goście po cichu zaczęli opuszczać jego kwaterę.

Wszedł adiutant, ujął generała pod ramię, pomagając mu wstać.

– Znów chlapnąłem językiem dwa słowa za wiele? – spytał Świerczewski.

– Gościł pan polskich żołnierzy, generale – uspokajał go adiutant. – Potrafią słuchać i milczeć. Z mlekiem matek to wyssali.

– Miło wypić z rodakami – wymruczał generał. – Zaproś ich na jutrzejszy wieczór.

– Dobrze im dziś dymi z czubów, boję się, że do jutra z nich nie wywietrzeje.

– Czuby… czuby – zabełkotał generał. – Wziąłbym się za nie, gdybym wiedział po co? A ty wiesz?

– Dziś przyszłość każdego niepewna – odparł wymijająco adiutant.

– Otóż to – zgodził się z nim generał. – Głowa od tego pęka… – Blisko pięćdziesięcioletni mężczyzna z trudem oddychał rozrzedzonym powietrzem wiosny.

10.

Londyńczyk położył się na łóżku w ubraniu.

Nauczył się uśmiechem zjednywać sobie ludzi. Ale jego życie tak się ułożyło, że nie znajdował w nim wielu powodów do radości. Do szczęśliwych dni należały te, gdy w swojej dłoni czuł ciepłe palce Ireny. Już nie wrócą, te dni, te spacery…

Nazywał się Freisler, Norbert Freisler. Urodził się w Gdańsku, ojciec pracował na Poczcie Polskiej w Wolnym Mieście przy ul. Heweliusza. Miał polskie obywatelstwo, czuł się Polakiem. I zginął jak inni pocztowcy, broniąc placówki zaatakowanej przez Niemców. Norbert opuścił miasto dwa lata wcześniej, zaczął zasadniczą służbę wojskową w 2. pułku lotniczym w Krakowie, doceniono jego zdolności językowe, więc w Warszawie przeszedł przeszkolenie wywiadowcze. W pierwszych dniach września wojennej zawieruchy, pod Nowym Sączem, został trafiony w prawe ramię. Lekceważąc ranę, walczył pod Lwowem, a pod Śniatyniem dostał się do sowieckiej niewoli. Uciekł z niej, przedarł się do Rzeszowa, via Węgry do Francji, następnie do Wielkiej Brytanii.

W jego życiu nie było miejsca dla kobiet. Nawet przelotnych miłostek nie miał, tylko obowiązki, obowiązki. „Ale – postanowił, zaciskając mocno oczy – gdy już wykonam zadanie, wówczas zacznę cieszyć się pełnią życia”.

Usłyszał ciche skrobanie do drzwi.

Pomyślał, że Iza chce go odwiedzić. Poderwał się z łóżka.

– Proszę! – krzyknął w ciemność z nadzieją, że spełnia się jego marzenie.

W nikłym świetle zobaczył dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Karl. Poczuł taki zawód, że był gotów wyprosić intruzów z pokoju.

– Chodź z nami – usłyszał Karla.

– Dokąd? – chciał wiedzieć Londyńczyk.

– Chyba to cię zainteresuje, Matt.

Londyńczyk nie miał wyjścia, zsunął się z łóżka i ruszył za Niemcami.

Noc była ciepła i cicha. Szczury przemykały bezgłośnie, podobnie zachowywało się trzech mężczyzn opuszczających osiedle z ocalałymi mieszczańskimi kamienicami. Szli w stronę tarasu nad Odrą. Zeszli pod nieczynną fontannę. Towarzysz Karla zbliżył się do wmurowanej figurki i bez trudu ją obrócił. Mur ustąpił. Karl zapalił latarkę i wszedł pierwszy do podziemi. Korytarz był wąski, więc posuwali się gęsiego. Londyńczyk w świetle latarki widział nad głową rury i kable. Ta część tunelu wyglądała na korytarz prowadzący do dobrze uzbrojonego w technikę schronu.

Kiedy minęli kolejne stalowe drzwi, zapalono podsufitowe lampy. Londyńczyk w małej salce zobaczył pulpit przypominający wyposażenie pokładowe w samolocie. Otworzyły się boczne drzwi i do przybyłych wyszedł mężczyzna wysoki, szczupły, w okularach o grubych szkłach. Nie przywitał się z nikim, nie przedstawił.

– To urządzenie pragną zdobyć Rosjanie – zaczął rzeczowo, nie patrząc na nikogo. – Depczą nam po piętach, niewiele mamy czasu, za kilka dni rozwalą ochronne ściany i osiągną cel. – Omiótł ręką instrumenty. – Stworzyliśmy w Peenemünde broń, jakiej nie udało się zbudować ani Rosjanom, ani Amerykanom. Bombę powstałą w wyniku rozszczepienia jądra ciężkich izotopów. W procesie tym dochodzi do powstania potężnej niszczycielskiej energii. Włączając jeden z

przycisków w pulpicie, mogę wyrzucić w przestrzeń pocisk atomowy gotowy unicestwić każde miejsce w zasięgu czterystu kilometrów. Pociski rozmieszczono w różnych miejscach Europy, uruchamia się je zdalnie. Zniszczenia będą ogromne. W temperaturze tysiąca stopni Celsjusza topią się skały, beton. Pocisk, trafiając w jakieś miasto, nie pozostawi w nim ani jednego domu, ani jednej żywej istoty. Tylko pył będzie się unosił w powietrzu. – Dał słuchającym czas na wyobrażenie sobie skutków takiego uderzenia. – Dysponujemy trzema gotowymi do wystrzału pociskami. Próbny możemy oddać w każdej chwili, poświęcając na przykład już i tak martwe miasta, jakimi są Leningrad czy Warszawa.

– Proszę zapomnieć o Warszawie – przerwał mu Londyńczyk.

– Zgoda. Dla mnie to bez znaczenia – rzekł Niemiec przy pulpicie. – Pozostańmy przy Leningradzie.

– Nie można wybrać mniejszego obiektu? Jakiejś małej wysepki? – podsunął Londyńczyk.

– Czy to wystarczy do przekonania Rosjan? – Krótkowidz poddał w wątpliwość propozycję oszczędzania Leningradu. – Nimi trzeba wstrząsnąć mocnym uderzeniem!

– Jakaś wysepka na Morzu Bałtyckim… – zastanawiał się Londyńczyk. – Spośród Wysp Alandzkich?

– Oczywiście, może być wysepka – zgodził się tamten.

– Za szantażowanie Rosjan i świata czego oczekujecie? – spytał Londyńczyk, gdy uznał, że wie już tyle o tajemniczej broni z Peenemünde, iż pora przystąpić do negocjacji.

Wysoki Niemiec sięgnął po teczkę, wydobył z niej kartkę, podał Londyńczykowi.

– Jest nas ośmiu. A to nasze warunki.

Londyńczyk zapoznał się z nimi.

– Niewiele oczekujecie – wyciągnął rękę w stronę Niemca. – Matt – przedstawił się.

– Oswald – podał swój kontaktowy pseudonim tamten. – Kiedy dostaniemy odpowiedź?

– Za kilka dni będę miał kontakt z Londynem.

– To dość odległy termin. Uważamy, że pierwsi z naszą propozycją powinni zapoznać się Rosjanie. Gieorgij Żukow, zastępca naczelnego wodza, doskonale wie, jaka była wojna i jaką może być nowa, gdy wybuchnie. On jeden jest w stanie przekonać Stalina, by nie lekceważył posiadanej przez nas broni. On też tylko może podjąć szybką decyzję wycofania radzieckich wojsk do baz na Wschodzie.

– Po co wam pośrednik? Dlaczego sami nie zwrócicie się do niego?

– Łatwo przewidzieć, jak i gdzie byśmy skończyli.

– A ja mam czuć się u niego bezpiecznie? – prychnął Londyńczyk.

– Nie do takiego kroku namawiamy. Łatwiejszy ma pan dostęp do polskich generałów, których władza nad częścią zachodniego frontu bardzo się przyda po wybuchu wojny. Generałowie ci na pewno dogadają się też z rodakami z Zachodu.

– Świerczewski? – próbował zgadnąć Londyńczyk. – Jego pan ma na myśli?

– Ciężko byłoby trafić na jego dzień trzeźwości. Żukow go nie szanuje. Proponuję udać się do Rokossowskiego. Ma piękne szlacheckie pochodzenie. Może zechce wrócić do polskich korzeni. – Podał Londyńczykowi teczkę. – Oto dowody, że nie tylko Robertowi Oppenheimerowi w laboratoriach Los Alamos udaje się teorie z dziedziny kwantowej atomu i fizyki jądrowej wykorzystywać w praktyce zbrojeniowej. W Peenemünde nie próżnowaliśmy. Wyprzedziliśmy Amerykanów. A uczonych z radzieckiego Instytutu Problemów Fizycznych zostawiliśmy daleko w tyle. Wiedzą o tym i tym bardziej chcą dotrzeć do naszych wyników. – Uśmiechnął się blado. – Przekonają się, co stworzyliśmy. W oznaczonym terminie zasugerujemy

ich specjalistom od substancji radioaktywnych, by obserwowali skutki użycia naszej broni na wyspie w Zatoce Fińskiej.

Wczesnym wiosennym świtem Londyńczyk opuszczał podziemia pod szczecińskimi tarasami z bólem głowy i teczką pod pachą. Grupa „Odwet Patriotów" była bliższa realizacji swego celu, niż mógł to przewidzieć w najbardziej optymistycznym scenariuszu wydarzeń. Za gwarancję wolności dla kilku Niemców, za przeniesienie ich w bezpieczne miejsce poza zasięgiem działania Rosjan i oczywiście niemieckich niedobitków faszystowskich gotowych nawet zza grobu Rzeszy mścić się na zdrajcach tajemnicy z Peenemünde – od rozpoczęcia III wojny świat mogło dzielić kilka majowych lub czerwcowych dni.

11.

Konstanty Ksawerowicz Rokossowski, polski i radziecki dowódca wojskowy, patrzył nieufnie na przyprowadzonego do szczecińskiej kwatery Londyńczyka. Słuchał z niedowierzaniem. Potem ze zdumieniem przeglądał teczkę z przekazanymi mu dokumentami. Prowokacja? Znów czekać go będą długie przesłuchania w areszcie śledczym na Łubiance? Utrata kolejnych zębów, ponowne połamanie żeber? Na myśl o niedawnej przeszłości marszałkiem wstrząsnął dreszcz. Tym razem nie miałby sił, by znieść to wszystko, do czego zdolni byli oprawcy służb specjalnych.

Może czas przestać wierzyć w czerwoną kremlowską gwiazdę, a pójść za inną, gwiazdą nadziei na inne życie? Przygoda frontowca się kończy, kto wie, jaką przyszłość przewiduje dla niego generalissimus. To nie anioł dobroci, to nie dowódca chętnie nagradzający wiernych i zasłużonych. Przy stole zwycięzców nie lubi dzielić się łupami i sławą.

Marszałek nie przestał spoglądać na swego gościa nieufnie, jednak nie krył żywego zainteresowania jego propozycją. I na razie darował sobie straszenie przesłuchaniami na Łubiance.

– Kim pan jest? – spytał rzeczowo.

– Nie mam już nikogo z rodziny, więc nie muszę poprzestawać na podaniu konspiracyjnych pseudonimów. Prawdziwe moje nazwisko to Freisler.

– Niemiec?

– Norbert Freisler. Polak. Pochodzę z Gdańska, a przybywam z Londynu z misją właśnie zakończoną, jak mi się wydaje, dość pomyślnie. Od pana marszałka zależy, czy słowo „dość" zastąpię lepszym – „całkowicie".

– Jesteście pewni siebie.

– To ze zmęczenia wojną, przeszłością. Wszystko stawiam na jedną kartę. Mogę wygrać lepszą dla siebie przyszłość albo skończyć wraz z utratą nadziei na nią. I pana marszałka podejrzewam o podobne myśli.

W uśmiechu pokazał dwa rzędy zdrowych, białych zębów. Marszałek patrzył na nie z zazdrością. Tej twarz, tego młodzieńczego uśmiechu nie można sobie było wyobrazić bez nich. Czy to one nadawały siedzącemu przed nim mężczyźnie tak wielkiej pewności siebie? Ach, gdyby mu je wybito, to inaczej by siedział, mówił, myślał! Ale on głęboko wierzył, że nic mu nie grozi. Nosił w sobie tajemnicę broni z Peenemünde, postrachu z Peenemünde. – Tupetu panu nie brakuje – stwierdził ponuro marszałek.

W odpowiedzi znów zobaczył pogodny uśmiech tamtego.

– A pan wie, co mnie do takiego zachowania upoważnia. – Pochylił się w stronę Rokossowskiego. – Wielka Trójka przygotowuje się do konferencji kończącej sprawy wojenne. Mają na niej zapaść ostateczne decyzje, między innymi dotyczące Polski, a co ważniejsze – podziału Europy na strefy wpływów. Polacy znów zostaliby uzależnieni od Rosji, od której niedawno się uwolnili. Londyn nie chce do tego dopuścić.

– Nie wydaje mi się, by sir Winston Leonard Spencer Churchill – marszałek każdemu słowu nadawał brzmienie ironiczne – lubił Polaków.

– Nie do niego należeć będą ostateczne decyzje w sprawie Polski i Europy Wschodniej.

– Podczas konferencji w Jałcie Franklin Delano Roosevelt – marszałek ponownie bawił się imionami, tym razem prezydenta Stanów Zjednoczonych – też nie wykazał się wobec was przyjaźnią.

– Po śmierci Roosvelta Amerykę będzie reprezentował prezydent Harry Truman. Liczymy na to, że w przeciwieństwie do Roosevelta nie prześpi części konferencji, szczególnie tej dotyczącej Polski. Poza tym na tej konferencji o naszych losach będzie decydować uczestnicząca w niej polska delegacja. Tak, polska delegacja! – Nabrał oddechu. – Obrady chcemy wyprzedzić faktami, które zasadniczo wpłyną na przebieg spotkania. Naukowcy i wojskowi zostaną poproszeni o obserwację tego, co wydarzy się na skalistej wysepce Märket w cieśninie Södra Kvarken w archipelagu Wysp Alandzkich. Nie jest zamieszkana. Ale siła wybuchu, dokładność rażenia, co szczegółowo opisano w przekazanym panu marszałkowi raporcie, powinny uczestnikom konferencji dać wiele do myślenia. – Londyńczyk wstał. – Panie marszałku, czasu mamy niewiele. Jutro o tej samej porze zamelduję się u pana, by usłyszeć odpowiedź. Podam też dokładną datę i godzinę uderzenia na wysepkę Märket.

– Szantażujecie bronią z Peenemünde – stwierdził oschle marszałek.

– Mamy czym, panie marszałku, a w wojsku to się liczy.

– Jeżeli to prawda… – powątpiewał Rokossowski.

– Wkrótce przekonamy o tym Europę, że istnieje postrach z Peenemünde – zapewnił twardo Londyńczyk. – I wierzę, że Wielka Trójka uwzględni potęgę nowej broni i nieco inaczej, z gotowością do zaaprobowania, wysłucha żądań polskiej delegacji.

– Nie znacie uporu generalissimusa Stalina. Nie zmieni zdania z konferencji jałtańskiej, nie będzie chciał dyskutować nad problemami według niego zamkniętymi.

– Kiedy mu doniosą o skutkach użycia broni Peenemünde, nie zabraknie mu dobrej woli i nie tylko wysłucha polskiej delegacji, ale przychyli się też do realizacji jej żądań.

12.

Po pierwszym kontakcie z firmą Londyńczyk żałował, że otrzymał radiotelegrafistkę ze sprzętem. Dziewczyna rzeczywiście nie wyróżniałaby się spośród powracających z Ravensbrück; budziła w mężczyźnie jedno uczucie – litość. Ale najgorsze okazało się stanowisko szefa. Źle przyjął nieuzgodnione z nim kontakty z Rokossowskim, jeszcze gorzej rozpoczęte pertraktacje. Stanowczo zażądał wycofania się z dalszych rozmów z komendanturą wojenną oraz ścisłego trzymania się wcześniej otrzymanej instrukcji. Londyńczyk nie zdołał przekonać szefa, że dawne instrukcje nie pasują do rzeczywistości, że dawne wyobrażenia Brytyjczyków o broni z Peenemünde nijak się mają do tego, czym ona jest naprawdę, jakie niesie zagrożenie. Sugerował, że nowe okoliczności dają Polakom wielką szansę na powtórne rozegranie kart przy stole konferencyjnym, przy którym zasiadłaby też polska delegacja. Niestety, na koniec Londyńczyk usłyszał to, co szef starał się przed nim ukryć: sprawę broni z Peenemünde przejmują Anglicy. Był to dla niego cios. Gorzej, uznał ten fakt za kolejną próbę wyeliminowania Polaków z grupy dzielącej się wojennymi łupami. Fakt, iż szef pogodził się z tą sytuacją – uznał za zdradę.

Zdesperowany postanowił zerwać kontakt z centralną w Londynie i dalej działać na własną rękę, aż do zwołania konferencji Wielkiej Trójki oraz polskiej delegacji reprezentującej rządy w Warszawie i w Londynie.

Nie podzielił się ze swymi planami z podwładnymi, radiotelegrafistce polecił aż do odwołania nie włączać radia, a sam z Karlem udał się do podziemi nadodrzańskiego tarasu. Z Oswaldem ustalono datę uderzenia pocisku na wyspę Märket. Nie mieli wiele czasu na tę akcję, bo radzieccy agenci wykazywali się coraz większą gorliwością pod tarasami, częściej niż dotąd w podziemiach rozlegały się odgłosy detonacji. Musieli jednak uwzględnić czas niezbędny do przygotowania nie tylko ataku, ale i jego grupy obserwatorów z Moskwy, Waszyngtonu, Paryża, Londynu, Warszawy.

Ważną dla najnowszej historii datą miał stać się dzień 17 czerwca godzina 12.00. Był to dzień imienin Adolfa, ale nie ten obchodzony przez Hitlera. Jak na ironię akcja oznaczona została kryptonimem Adolf, nawiązując do współtwórcy broni zagłady. Dla Londyńczyka data ta upamiętniała dawne Święto Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych – Dzień Czołgisty, ustanowiony dla uczczenia powrotu do Polski 1 pułku czołgów Armii Polskiej gen. Józefa Hallera w 1919 r. Miał to być dzień zapowiadający kolejny powrót, wielki powrót Polski na polityczną mapę Europy.

Marszałek Konstanty Rokossowski zapoznawał się z przedstawianymi mu planami nie tylko cierpliwie, ale i z życzliwą uwagą. Gieorgij Żukow znał Polaków od dobrej i złej strony; frontowe współdziałanie z generałem Karolem Świerczewskim i z marszałkiem Konstantym Rokossowskim budziło w nim sprzeczne uczucia, od niechęci do podziwu. Źle myślał o Świerczewskim, był jednak skory zaufać Rokossowskiemu. Wyraził zgodę na prowadzenie pertraktacji z szalonym – jak nazwał Londyńczyka – Polakiem.

– To zbyt krótki termin, by spokojnie rozpatrzyć propozycję – wyraził swą opinię marszałek. – Potrzebujemy więcej czasu. Powoływanie się na pana i dokumenty, jakie nam przedstawił, mogą Stalinowi nie wystarczyć. Natomiast są dostateczne, by ściągnąć mnie i Żukowa do Moskwy, skąd nie powrócilibyśmy na konferencję Wielkiej Trójki z udziałem polskiej delegacji. Przecież i pan wie, że

problem polskiej delegacji jest bardzo złożony. Jeden polski rząd na uchodźstwie w Londynie nie uznaje drugiego, Rządu Tymczasowego powołanego w Lublinie. Na pewno nie przyjdzie im łatwo porozumieć się w wielu kwestiach, które pan przedstawił. Potrzeba na to czasu, dużo czasu.

– Innego terminu nie będzie – stwierdził stanowczo Londyńczyk. – Zależnych od mocarstw polskich polityków przekonają wydarzenia na wyspie Märket. Innych też skłonią do energiczniejszych działań.

Marszałek poprosił adiutanta o przyniesienie tulskiego samowara.

– Po cienkim lodzie stąpamy – rzekł ciepło gospodarz. – Może to jednak jedyna droga do tworzenia nowej, lepszej historii Europy?

– Przede wszystkim naszej ojczyzny – sprostował Londyńczyk.

– Właśnie, historii o j c z y z n y. – Marszałek uśmiechnął się melancholijnie.

13.

Siedemnastego czerwca 1945 roku kwadrans po dwunastej czasu środkowo europejskiego po ukazaniu się nad wyspą Märket atomowego grzybka, niebo nad Ziemią wypełniły alarmowe sygnały, ostrzeżenia o wielkim niebezpieczeństwie. Obserwatorzy informowali swych przełożonych o tym, czego byli świadkami. Nie kryli uczuć przerażenia. Niewielki pocisk, wystrzelony nie wiadomo skąd, spowodował wybuch, jakiego wojskowi specjaliści dotąd nie oglądali. Nie trzeba było mieć specjalnej wyobraźni, by przewidzieć ogrom zniszczeń, jakich dokonałby pocisk z Peenemünde wyposażony w większy ładunek nuklearny, na przykład dwudziestotonowy. Potwierdzały się niepokojące wieści o wynikach badań w Ośrodku Heeresversuchsanstalt na wyspie Usedom. Armia uzbrojona w taką broń mogłaby wywołać III światową wojnę w każdej chwili i zakończyć ją zaledwie w kilka minut. Unicestwienie wroga byłoby błyskawiczne i kompletne.

W gabinecie marszałka Rokossowskiego upływały kwadranse wielkiego napięcia. Londyńczyk odpalał papieros od papierosa, gospodarz nie spuszczał wzroku z czarnej słuchawki aparatu telefonicznego. Milczeli. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Czekali na decyzję Stalina, którą miał im przekazać Żukow. Adiutant raz po raz wnosił samowar.

Wreszcie po czternastej na biurku marszałka zabrzęczał dzwonek telefonu. Ale to jeszcze nie był Żukow. Brytyjski agent Służby Bezpieczeństwa przestrzegał przed prowadzeniem jakichkolwiek pertraktacji z Londyńczykiem. Szef MI5, Sir David Petrie, uważał go za sprytnego mistyfikatora i manipulanta.

– Dlaczego więc zawracacie sobie nim głowę? – spytał rzeczowo marszałek.

– Nieraz byle oszust może popsuć dobrze zapowiadającą się współpracę – wyjaśniał brytyjczyk. – Świat czeka na pokój, nie na kolejną wojnę, którą ktoś chce szantażować.

– Przede wszystkim – szydził Rokossowski – czeka na ukończenie waszego projektu Tube Alloy, na waszą bombę atomową, co?

Chwilę potem Rokossowski odbył podobną rozmowę z Francuzami i Amerykanami. Po ich zakończeniu z uznaniem popatrzył na swego gościa.

– Udało się panu wsadzić kij w mrowisko. – Zaśmiał się. – Teraz trzeba pilnować mrówek. – Spojrzał na zegarek. – Jestem ciekawy, od czego Stalin rozpoczął spotkanie na Kremlu: od rozmowy z Ławrentijem Berią, od konsultacji z naukowcami Andriejem Sacharowem i Witalijem Ginzburgiem, czy od razu zrócił się do doradców wojskowych?

– Jeżeli ma w otoczeniu ludzi mądrych, to jestem dobrej myśli, z Kremla otrzymamy to, na co czekamy – rzekł Londyńczyk.

Marszałek przyjrzał się mu bacznie.

– Podziwiam pana stoicki spokój. Skończył pan dobry kurs wywiadu. – Uśmiechnął się. – Albo ma słabą wiedzę o generalissimusie i jego ludziach. Jednym

wybuchem chce pan zniszczyć dziecko Stalina, jego dumę – jałtański ład. Stalinowi na pewno to się nie spodoba! Trudno byłoby mu się z tą nową sytuacją pogodzić. Niebywale trudno…

– Liczę na to, że naukowcy znajdą dość argumentów, by przekonać go o konieczności uwzględnienia w politycznych planach następstw tego, jak pan marszałek określił, małego wybuchu.

– Oby miał pan rację.

Kilka minut przed szesnastą zadzwonił Żukow.

– Nasz szalony Polak dopiął swego. Josif Wissarionowicz Dżugaszwili – oznajmiał patetycznie Żukow – jest gotowy na konferencję w Poczdamie zaprosić polskie delegacje.

– Pod jakimi warunkami? – dopytywał się Rokossowski.

– Oczywiście są i one. Wcześniej chce nas i naszego polskiego przyjaciela gościć na Kremlu.

Londyńczyk przecząco pokręcił głową.

– Beze mnie.

– Ani ja, ani nasz polski przyjaciel do Moskwy nie pojedziemy –stwierdził Rokossowski.

Na chwilę zapadła głęboka cisza.

– I ja nie skorzystam z zaproszenia na Kreml – rzekł Żukow.

– Wiadomo, jak Stalin to przyjmie.

– Oczywiście, ale i ja wiem, co by mnie tam czekało. Nasze miejsce jest przy armii. Skończą się rozmowy Wielkiej Trójki i polskich delegacji w Poczdamie, to powrócimy z nią do ojczyzny.

– Do ojczyzny? – zastanawiał się głośno Rokossowski. – Czy to nie Stalin mi przypomniał, że jestem Polakiem?

– Konstanty – zaczął Żukow – czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

– Obaj wiemy, jak chimeryczny bywa wielki Gruzin. Nowy układ, układ poczdamski znoszący jałtański – tłumaczył spokojnie Rokossowski – będzie wymagał wsparcia armii, która powstrzyma generalissimusa przed nieoczekiwanymi decyzjami.

Rozmówca Rokossowskiego znów na kilka sekund zamilkł.

– A ja znajdę dość powodów do opóźnienia powrotu do domu.

– Dziękuję – szepnął Rokossowski. Odłożył słuchawkę.

Londyńczyk nie czekał na uznanie. Chciał się wywiązać z zobowiązania wobec Niemców, którym zawdzięczał szpiegowski sukces.

– Panie marszałku, czy nadal mogę liczyć na pomoc w przerzuceniu poza strefę radziecką grupy Niemców współpracujących z nami?

– Oczywiście, pamiętam o nich. Ale pan wciąż unika odpowiedzi na pytanie, co z bronią z Peenemünde.

– Wrócimy do tej rozmowy po zakończeniu konferencji poczdamskiej.

– Nie ufa mi pan?

– Nie ufam pana przełożonym. – Odsłonił w uśmiechu zęby. – Swoim też nie. Znajdę jakieś schronienie i przeczekam do zakończenia konferencji. Potem zjawię się u pana, panie marszałku, i polskiemu wodzowi armii powierzę wszystkie tajemnice broni z Peenemünde. Wniesie pan do polskiej armii najnowszy rodzaj uzbrojenia. Mam nadzieję, że ten fakt zostanie odpowiednio doceniony przez polityków i nie będą się sprzeczać, kto powinien stanąć na czele sił zbrojnych.

– A zatem – zwrócił się Rokossowski do Londyńczyka – zabierajmy się do roboty. – Uśmiechnął się. – Nie wiem, kogo czekają bardziej strome schody: pana czy mnie? Życzę powodzenia.

Piotr Mrok

POLSKA NASZA, KURWA

Impreza kręciła się wokół zasyfionego stołu, zrobionego z kilku taboretów oraz płacht tektury w roli blatu. Stały na nim flaszki wódki, denaturatu i wina marki wino. Na sali była może z setka ludzi, w tym kilku człekokształtnych neandertalczyków trójpaskowych oraz staruszek na wózku inwalidzkim, który wyglądał, jakby go przed chwilą wykopano z grobu i nie uświadomiono, że znów żyje. Kłęby dymu, wypełniające obskurne pomieszczenie, nadawały nowe znaczenie wyrażeniu „bierny palacz". Lekarz onkolog, patrząc na to siwe powietrze, nadające się do krojenia nożem, powiedziałaby, że wypalenie całej paczki papierosów to przy tym morska bryza o poranku. Ci bystrzejsi ze zgromadzonych, zorientowawszy się, że w obecnych warunkach wyciąganie „swojasa" ma tyle sensu, co solenie soli, po prostu oddychali i wychodziło na to samo.

– Cisza, do jasnej cholery! – wrzasnął grubas, przebijając się przez gwar. Od wysiłku, który włożył w ten okrzyk, jeden z guzików drogiego garnituru, opinającego go jak cysternę z piwem, trzasnął głośno i zniknął we mgle. Mężczyzna chciał coś jeszcze dodać, ale zakrztusił się i zaczął kasłać. Przypominający wampira elegant (krzywe zęby, czerwone oczy, blada cera), siedzący obok niego, natychmiast pospieszył na ratunek, poklepując kompana po plecach.

– Zostaw, idioto – warknął gruby, strącając pomocną dłoń. – Lepiej ucisz to chamstwo, bo czas ucieka.

– Coś powiedział? – Młoda fenolka, o kompostowym oddechu, obrzuciła lodowatym wzrokiem obu mężczyzn. Grubego zmroziło. Wyglądał, jakby miał lada moment dostać zawału.

– Pan, prezes poprosił, bym państwa uciszył, bo chcemy rozpocząć zebranie – pośpieszył z wyjaśnieniem wampiryczny doradca.

– Aha, to pardon, mąż mi wczoraj dał w ucho krzesłem i słabiej słyszę.

Gruby posłał jej kwaśny uśmiech i pozdrowił ruchem dłoni. Dopiero gdy kobieta odwróciła głowę, wypuścił ustami chmurę dymu ulgi. Wymienili z wampirem spojrzenia. „Zrób coś" – dało się wyczytać z poruszających się ust prezesa.

Krwiopijca chyłkiem podreptał do krępego łysielca, siedzącego po drugiej stronie stołu. Wyszeptał mu coś do ucha. Ten pokiwał głową ze zrozumieniem, choć równie dobrze mogła to być pijacka czkawka. Spotkać takiego w ciemnej uliczce, zwykle oznaczałoby darowiznę zegarka, portfela, a może i obitą nerkę. Ten egzemplarz jednak nie tylko nie wyciągnął dłoni z cegłą, nożem czy łomem w kierunku ubranego w drogi garnitur suchelca, ale nawet spełnił jego prośbę i uciszył tłum jednym zgrabnym uderzeniem pustej butelki w głowę sąsiada.

– Cisza, matkojebcy, bo jak pragnę flaszki, rozpieprzę łeb każdemu, kto zamiele jęzorem. Pan prezes mówi tera.

Zamilkli momentalnie i wytrzeszczyli oczy, jakby ktoś im oznajmił, że od jutra idą na przymusowy odwyk. Nawet obdartus z rozbitym czerepem nie jęczał za bardzo, podniósł się szybciorem z podłogi i usiadł obok łysego, jak przyjaciel obok przyjaciela, a nie ofiara obok faceta, który mu przed momentem roztrepanował czaszkę butelką.

– Jedziesz, prezio. – Łysy zaśmiał się, odkręcając kolejną flaszkę, wpierw regulaminowo wymierzając jej klapsa w denko.

Gruby skinął mu w podzięce głową, po czym wstał.

– Nazywam się Jarosław Donaldowski i jestem, jak wiecie, prezesem Kochamy Ojczyznę Polskę, jedynej partii, która dba o interes Polaków. A po mojej prawicy –

uśmiechnął się wyniośle – siedzi pan Władysław Popychalski, mój oddany współpracownik i spec od PR.

– Prawdziwych Polaków, panie prezesie – dodał Popychalski, kiwając głową ku zebranym – dbamy o prawdziwych patriotów, a nie o tę hołotę, która rozkrada naszą wspaniałą ojczyznę.

– Dziękuję, Władku – skwitował Donaldowski. – Masz oczywiście rację. I właśnie przez to, że złodzieje nami rządzą, uczciwi obywatele, tacy jak wy, muszą żebrać po Mopsach.

– Po czym? – zapytała kobieta z popsutymi zębami. – Psa bym nie tknęła, to obrzydliwe. Czy my Chińczycy jacy?

– Mam na myśli Miejskie Ośrodki Pomocy Społecznej.

– Aaaaa – wybrzmiało kilka jęknięć, przypominających skrzyp dawno nieoliwionych drzwi.

– Racja! – zapiszczała podsiniała, wysuszona mumia płci nieokreślonej. Twarz miała ziemistą, nos porozbijany, a oczy przekrwione. – Nie chcą dawać kasiory, kurwiszony, a ja mam tuzin szczeniaków do wykarmienia.

– Piętnaścioro – wtrącił niepozorny chłop, wzrostu śmietnika i równie czarującej aparycji.

– Jakie piętnaścioro, Tadzieńku, tyś chyba ochujał na starość? – zaprotestowała kobieta. – Kasia, Basia, Rysia, Zdzisia, Gabrysia, Zenek, Przemek, Tomek, Romek, Marek, i Darunio najmłodszy.

– Nie zapominaj o Jaśku i Krzyśku – wtrącił miniaturowy mężczyzna.

– No chyba wiem, ile mam dzieci, matole niemyty. Co ty pieprzysz, nie mamy żadnego Jaśka i Krzyśka.

– A komu żeś wczora szczotą nakładła, aż się złamała, za to, że ci papierosy podkradali? Nie zdziwiło cię, że nocują u nas od piętnastu lat?

– To oni też som moi? Myślałam, że to bachory tej z czwartego, co to jej stary siedzi za gwałt na listonoszce. Nie goniłam, bo nasza Kasia ma się ku Jaśkowi, może co z tego będzie. Z domu by poszła w cholerę, niezbyt daleko, ale zawsze.

– Mania, a pamiętasz, jak ta zima była, a ty myślała, że cię pęczy po grochówce? – zapytał pan Tadeusz. – A potem z rana ci ulżyło, tak nagle. No wtedy, po pasterce.

– No, coś jak przez mgłę…

– No i ty w nocy tych dwóch powiła. Nie chciałem cię budzić, to sam odebrałem i napoiłem ogórkową.

– I ty mi to tera dopiero mówisz? Dareczka to mam chyba z tym gałganem Krzyśkiem. Naszedł mnie w kuchni, rozpili my flaszkę i jakoś tak wyszło. Rany boskie, toż to grzech. Co powie ksiądz dobrodziej, kurwiszonie? Znów zdrowaśki będzie kazał trzepać.

Prezes Donaldowski przypatrywał się sprzeczce kochanków, ze zgrozą w oczach.

– Sodoma i Gomora – wyszeptał. – Władek, gdzieś ty mnie przyprowadził, na rany Chrystusa.

– Wyborcy, panie Jarku, wyborcy, nikt inny się nimi nie interesuje, tylko my. Wie pan ile to głosów? – pocieszał Popychalski.

– Dobrze, żeśmy ochrony nie wzięli, bo trzeba by im dać w łapę za milczenie. Jak się prasa dowie, że wyprawiliśmy degeneratom libację wyborczą, z denaturatem zamiast kiełbasy, i to za państwowe pieniądze, to nas żywcem oskalpują.

– Nikt się nie dowie, płaciłem z funduszu na środki czystości. W razie czego się powie, że było włamanie.

– Ty wywłoko, z własnym synem się gziłaś, szmato! – grzmiał kurdupel.

– Patrzcie go, jaki święty. A powiedz może, co się stało chomikowi, no powiedz? – darła się Mańka, wymachując pięścią.

– To był wypadek, nie patrzyłem, gdzie siadam – bronił się Tadeusz, miotając zlęknione spojrzenia po zgromadzonych, którzy z wypiekami na twarzy przypatrywali się całej chryi, niczym najlepszej brazylijskiej telenoweli. Nawet wódz, Łysol Pierwszy, przestał pociągać z flaszki, jak gdyby bał się uronić choćby zdanie.

– A odkąd to bez gaci się szlajasz po domu? Chirurg, który uratował Gryzaczka, chciał nam nasłać towarzystwo zabijania zwierząt…

– Opieki – wyrwało się oszołomionemu prezesowi. – Opieki nad zwierzętami.

– O to, to! Opieki. Gdyby my mu nie pozwolili Gabrysi wyobracać, Pan na szczęście twoje dał jej mleczarnie jak ta lala, to byś w pierdlu siedział, pojebie.

– Moja wina, że ten szczur, zamiast iść do światła, wybrał ciemność. Może miał depresję i chciał się zabić?

– I ty mi zboku o moralności mówisz, gdzie ja miałam oczy, a mamusia mówiła, jemu z ryja źle patrzy, znajdź se chłopaka prostego, a nie uconego, po zetce.

– Proszę państwa. – Popychalski odchrząknął, jakby mu następne słowo ugrzęzło w gardle. – Szanowni państwo, może odłóżmy te rodzinne debaty na inny termin, bo pan prezes ma bardzo napięty plan dnia, a chciałby wam powiedzieć o programie naszej partii.

Przez salę przetoczył się cichy jęk zawodu.

– Ryje w kubeł, matoły – krzyknął łysy – Pan Pojebany ma racje…

– Popychalski – wtrącił Wampir – tak się nazywam.

– Jeden chuj, ale niech będzie, jak pan chcesz. Postaw pan jeszcze kratę, to będę wam mówić Mario i Józefie.

– Andrzej, jak ty Boga się nie boisz, a tfu! – skarciła go ziemista Mańka. – Smażyć się w piekle będziesz.

– To nawet lepiej, bo w niebie nie mają pewnie zagrychy ciepłej.

– Nie przedłużajmy, proszę – oświadczył Popychalski, patrząc na prezesa, który gryzł własną dłoń i purpurowiał na twarzy.

– Panie prezesie, pan powie im o naszym programie – poprosił, poklepując Donaldowskiego po ramieniu.

Prezes najpierw spojrzał na niego, jakby go poproszono o seks analny z wiewiórką (i to publiczny). Potem jednak wstał, wbił wzrok w sufit i zaczął spicz, pełnym patosu głosem.

– Widzę Polskę dostatnią, szanowaną przez sąsiadów, światłą, powierzoną Panu naszemu i jego synowi, Jezusowi, gdzie szumowiny siedzą w więzieniach i nie wyjdą nich za prędko.

– Mój stary kibluje już szósty rok, za włam z pobiciem – dobiegł głos z sali.

– Wszelkie wątpliwie sprawy zweryfikujemy, niesłusznie osadzeni dostaną odszkodowania, droga pani. – Popychalski znów wykazał się świetnym refleksem.

Rozległy się brawa.

– Polskę – kontynuował uskrzydlony oklaskami Donaldowski – gdzie każdy Polak będzie miał za co jeść.

– I za co wypić. – To wspomniany już zmumifikowany staruszek na moment obudził się z letargu, by dodać swoje trzy słowa; być może ostatnie, ku uciesze zebranych.

– I macie rację – skwitował prezes, niesiony falą euforii. – Jeśli w nadchodzących wyborach wygramy, to każdy będzie pić, ile chce, kiedy chce i co chce. Od tego mamy demokrację. Niech żyje wolna Polska!

Tymi słowami wywołał tornado braw i okrzyków, z których najcenzuralniejszy brzmiał:

– Ma, skurwysyn, jebaną w dupę rację.

Popychalski stanął u boku triumfującego Donaldowskiego i objął go ramieniem.

– Ma pan ich w garści, panie prezesie. Ale mowa! Sam bym lepiej tego nie napisał. To było piękne, aż się wzruszyłem.

Emocji nie zabrakło przez następne kilkanaście minut, gdyż każdy menel na sali chciał uściskać prezesa i przekazać mu swój postulat do wyborczego programu partii.

– I żeby kurwy dawały za darmo!

– A jak się zabije starą po pijaku, to żeby się dostawało w zawiasach, bo przecież to nienaumyślnie.

– Zalegalizować rozboje.

– Po pięć tysięcy złotych zasiłku miesięcznie do końca życia.

– By na dworcach psy nie ścigały za rzyganie i szczanie.

– Chciałbym wyjechać na księżyc – poprosił kieszonkowy Tadeusz – i tam zamieszkać, jak najdalej od tej wywłoki Mańki.

Każdą z petycji prezes kwitował zdawkowym: „pomyślimy”, oraz uściskiem dłoni i klepnięciem po plecach. Planował im opowiedzieć nieco więcej o nowej Polsce, jak to wygniotą komuchów, jak ruszą na Kreml, a potem może i na Berlin, oraz że zastąpią złotówki dolarami. Niestety, gdy kończył już zbierać gratulacje i życzenia, do sali wsadził głowę umorusany i pijany w sztok chłopiec i krzyknął.

– Adamek i Kliczko zaraz się zaczną naparzać, dawaj ojciec klucz od mieszkania, bo z kolegami jestem.

Tubylców momentalnie wywiało, zupełnie jakby brygada do walki z alkoholizmem miała zacząć nalot, albo urzędnik z pośredniaka wpadł z informacją, że ma dla nich pracę. Nawet staruszek na wózku z okrzykiem: „Bić faszystów” odjechał tak szybko, jak pozwalały na to powyginane koła pojazdu.

Na sali zostali tylko dwaj oficjele oraz łysol siedzący u szczytu stołu i rżący ze śmiechu jak koń, któremu ktoś pobiera nasienie do reprodukcji.

– Pan chyba już ma dosyć – stwierdził Donaldowski. – A na nas już pora, więc czas się pożegnać.

Podeszli do niego z pewną niepewnością, bo łysy ściskał w garści butelkę, a widzieli, że potrafi nią sprawnie operować, niczym chirurg sadysta, który usuwa guza mózgu razem z połową rzeczonego organu. Kiwnęli mu głowami, jak lennicy ojcu mafii i skierowali się do wyjścia.

– Nie tak szybko, moi mili. – Zatrzymał ich, już niemal w samych drzwiach meliny.

– Tak? – Popychalski odwrócił głowę. – Słuchamy, ale szybko, bo też chcemy zdążyć na walkę.

– Nie zapytaliście mnie, czego ja chcę w zamian za poparcie. Te małpy mogą sobie bić brawo, komu chcą, a nawet zrobić wam po lodzie. Ale gdy powiem im, żeście frajerzy niewarci głosu, to nie zbierzecie ani jednego krzyżyka. Bóg Ociec tej dzielnicy ma na imię Andrzej. Skinę palcem i nikt was nie znajdzie, chyba że akurat będzie grzebał na wysypisku śmieci.

Politycy spojrzeli na siebie, a potem na łysego.

– Czego pan chce? – Prezes nie umiał ukryć zniecierpliwienia, pomimo strachu, jaki ogarniał go na samą myśl, że mógłby zdenerwować łysego.

– W październiku są te wybory, prawda, rybeczki?

– No tak, do sejmu i senatu. Damy panu, co pan chce, wyremontujemy domy, założymy oświetlenie, a nawet możemy zdjąć patrole z dzielnicy, żeby wam nie przeszkadzali – zaoferował Popychalski.

– Za kogo mnie bierzecie, za frajera? Wy dostaniecie pięć tysięcy głosów i immunitety, a ja w zamian dostanę to, co już mam. Psy trzymam na smyczy, opłacając sowicie. Odwracają wzrok, gdy kroję jakiegoś palanta, i biją się w pierś, że nawet ich tu wtedy nie było. Po chuj mi lampy i malowanie domu?

– Więc czego pan chce? – warknął prezes. „A niech mi wybije zęby, połamie żebra, byleby ktoś mnie wyrwał z tej dziury” – pomyślał zdesperowany.

– Chcę kandydować z waszej listy, rybki – odparł spokojnym głosem łysy. – Pan poseł Andrzej Bogusz, czyż to nie brzmi dumnie?

Popychalski i Donaldowski aż usiedli z wrażenia przy stole. Prezes odruchowo, pomimo że nie pił niczego, co nie leżakowało kilkadziesiąt lat, sięgnął po butelkę z fioletowym płynem. Ostatnie, co zapamiętał, to paskudny smak i ogień rozlewający się po przełyku. No i śmiech, śmiech wampirzy, taki do łez.

***

Mówią, że małpa ubrana w garnitur zaczyna przypominać człowieka. Bogusz, podpierający ścianę siedziby Kochamy Ojczyznę Polskę, miał na sobie czerwoną marynarkę, krótkie hawajskie spodenki i tenisówki. Wyglądał jak kelner-orangutan, który przypieprzy ci w zęby, gdy powiesz, że zupa jest niedosolona. Donaldowski, przyglądając się nowemu nabytkowi partii, rozważał dokupienie jakiegoś pingwina, może strusia i założenie zoo.

I to coś miało być na jego liście wyborczej, może też na wspólnych zdjęciach? Przecież on nic nie wiedział o Katyniu, nie czytał Ulissesa, a jak wchodził do księgarni, to sprzedawczyni zastanawiała się, czy pada deszcz, czy może raczej to napad.

Jak go przedstawić sponsorom? Słuchajcie, oto człowiek, wróć, oto ssak naczelny, pilnujcie portfeli i zegarków. Przecież przy nim, świętej pamięci Lepper, to światły i kulturalny mężczyzna, o nienagannych manierach oraz prezencji.

– Toś się pan wystroił, jak stróż w Boże Ciało. – Marek Wrocław zaśmiał się, kiedyś komunista, dziś nawrócony i oddany katolik. – Krótkie gatki do garnituru? A tatuaż na udzie to błazen czy może mamusia?

– Coś się, kurwa, dziadek nie podoba? – zapytał Bogusz, łapiąc Wrocławia za klapy od marynarki i przygwożdżając do ściany. – Ząbki się znudziły?

Prezes natychmiast wybudził się z letargu i poslalomował pomiędzy kolegami partyjnymi, by ocalić skórę partyjnemu koledze. Niestety, przy tuszy Donaldowskiego przypominało to grę w kręgle kulą wielkości piłki plażowej.

Dwójka asystentów Wrocławia, jeden był od noszenia komórki, drugi teczki, co prawda próbowała wyzwolić swojego mentora, ale pomimo że zawiśli na ramionach Bogusza, te nie odkleszczały mężczyzny. Równie dobrze mogliby siłować się ze spychaczem.

– Puść mnie, ośle – jęczał podduszany – mam immunitet, kretynie.

Prawda. Wrocław był posłem zawodowym, ostatnio co prawda bezklubowym, gdyż SLD wywaliło go za obrazę ambasadora Niemiec podczas rautu w pałacu prezydenta. Nawalił się jak CKM i zaczął defilować, śpiewając „Haj li haj lo". Ambasadora Niemiec ubawiło to niezmiernie, sam hajhitlował napranemu posłowi, a nawet obiecał mu przyznać krzyż żelazny. Niestety rankiem, gdy wytrzeźwiał do poziomu w miarę komunikatywnego, doradcy polecili mu, że musi złożyć oficjalny protest, bo kanclerz go wypieprzy na zbity pysk lub na placówkę do Afryki.

– Panie Andrzeju, proszę zostawić tego człowieka – powiedział możliwie jak najgrzeczniej Donaldowski, gdy już ciężko dysząc, doczłapał do king konga burzącego ścianę posłem – on tylko żartował, prawda Mareczku?

– Co ty pieprzysz, Donek? – wystękał wściekły Wrocław. – Zastrzel tę małpę, poraź prądem, kopnij w jaja albo zadzwoń do hycla.

– O, tego nie daruję – warknął Bogusz, podnosząc mężczyznę kilka centymetrów nad podłogę – Przeproś albo dam z bańki.

Rozmowy zamarły. Członkowie (i nielicznie członkinie) jak sparaliżowani zastygli, przypatrując się nierównej walce Kliczki i Adamka. Nokaut wisiał w powietrzu i zabawnie dyndał nogami.

– Panie Andrzeju, to przyjaciel. On nie miał złych intencji. Taki zgrywus z niego. – Popychalski jak zwykle zmaterializował się w odpowiednim momencie i próbował załagodzić sytuację.

– Nazwał mnie małpą! – nie dawał za wygraną Bogusz.

– Do żony mówi gorzej – rozległ się głos z tłumu, anonimowy rzecz jasna. Kilka osób zachichotało, Bogusz także.

– No, dobra, ale szacun dla mnie ma być, zrozumiano? – warknął, stawiając Wrocławia na ziemi.

– Podam cię do sądu za naruszenie nietykalności osobistej – oświadczył uwolniony mężczyzna, grożąc łysemu palcem.

– A wyrwać ci te grabę ze stawu i rozwalić nią łeb? – burknął Andrzej. Wrocław momentalnie splótł ręce za plecami i odskoczył do tyłu, chroniąc się za asystentami.

Zabzyczała mucha, zapewne zdziwiona, że robi aż tyle hałasu w pomieszczeniu pełnym ludzi. Bogusz strzelał mrocznie oczami, jakby zastanawiał się, kto ma najdroższy zegarek czy komórkę.

– No to pana Andrzeja już poznaliście. – Popychalski zaśmiał się sztucznie. – Swój chłop, choć nieco narwany.

Najwyraźniej chciał poklepać łysego po ramieniu, ale ten spojrzał wymownie i doradca powstrzymał gest, gdyż tą ręką pisał, a złamania otwarte by mu tego nie ułatwiły.

– Pan Bogusz jest naszym łącznikiem z mieszkańcami Mroków – dodał lekko stremowanym głosem. – Stąd nieco inne maniery.

Na dźwięk słowa Mroki kilka osób jęknęło. Najstarszą dzielnicę naszego miasta nazwano tak nie bez kozery. Chcesz zgubić samochód, zaparkuj go na moment na Mrokach, tak samo sprawa miała się z cnotą, portfelem, zegarkiem, a czasem nawet życiem. Dwa lata temu głośna była historia reportera TVN, który wracając ze spotkania w ratuszu, z obchodów rocznicy założenia miasta, pomylił uliczki i zamiast

na deptak, wdepnął na Mroki. Poszukiwania ciała nadal trwają. Dotychczas odnaleziono kamerę na bazarze w Rosji, zegarek z dedykacją od mamy w Korei oraz dowód osobisty, z który jakiś Kubańczyk próbował uciec z tejże wyspy szczęścia i dostatku, wmawiając pogranicznikom, że jest rodowitym Polakiem. Ponoć wieczorami po Mrokach spaceruje duch nieszczęsnego reportera, pytając tubylców: „Którędy na dworzec?". Kilka razy próbowano go obrobić, ale puszczono go wolno, gdy okazało się, że nie ma przy sobie nic materialnego.

Zrozumiałe było więc, że obecność w siedzibie partii kogoś z Sami Wiecie Skąd (jak zwykło się mówić, by nie kusić licha), budziła podobne reakcje, co granat bez zawleczki.

– Spokojnie, pan Andrzej jest po naszej stronie, dziś otrzymałem jego deklarację członkowską – uspokajał Donaldowski, nie wspominając, że po wyjściu Bogusza z gabinetu nie mógł się doliczyć dwóch złotych piór, papierośnicy oraz posrebrzanego popiersia Jana Pawła Drugiego.

– Ta, swojak jestem. – Kark zarechotał. – I chcę być posłem, dlatego kanr… kancy… jestem na liście.

Nim szmery przerodziły się w kłótnie, Popychalski wszedł na linię pomiędzy Boguszem a zdezorientowanym tłumem.

– Tak, zgadza się, będzie kandydował z naszej listy, każdy głos na wagę złota. Ile lat mamy tkwić w opozycji? Czas sięgnąć po władzę. A to oznacza, że nie gardzimy nikim. To też są ludzie – spuentował, ale jakoś tak bez przekonania, zaś kilka osób zmierzyło Bogusza od stóp do głowy, jak gdyby sprawdzali, czy to istotnie homo sapiens.

– Ale skoro on wejdzie na listę, to kto z niej wypadnie? – zapytał Kazio Stańczyk, młody prawnik tuż po studiach, który nie załapał się na aplikację, bo przeleciał żonę sędziego o jeden raz za dużo.

– Matuszak zrezygnował – oświadczył prezes – ma kłopoty zdrowotne.

Zebrani odetchnęli z ulgą, że żaden z nich nie zostanie proszony o poświęcenie dla dobra partii. Matuszak oczywiście też dobrowolnie nie zrezygnował. Prezes poprosił go o przysługę, przypominając o teczce osobowej wyniesionej z IPN, którą trzymał w sejfie za portretem Dzierżyńskiego. Dokumenty w niej zawarte redukowały rolę Matuszka, oficjalnie wielkiego bojownika solidarności w obalaniu komunizmu, do zakapowania trzech kolegów i napisania na ścianie dworca: „ZOMO to chuje". Nie dziwota, że tańczył, jak mu prezes zagrał.

Donaldowski miał na każdego jakiegoś haka. Przykładowo Czaplewski, którego partia wystawiła rok temu w wyborach prezydenckich, zastrzelił człowieka na polowaniu, teściową dokładnie. Sprawa się rozmyła, bo komendantowi policji, który był kumplem prezesa ze szkoły średniej, Donaldowski napisał pracę magisterską z historii i załatwił jego synowi robotę na placówce w Szwajcarii.

Pismaki coś tam węszyli, bo jakże to możliwe, mówili, że by siedemdziesięcioletnia kobieta najpierw sama strzeliła sobie w brzuch ze strzelby zięcia, a potem się zakopała i to bez szpadla. Ale jak wykazał eksperyment przeprowadzony przez fachowców z prokuratury, to było możliwe. Dyrektor laboratorium kryminalistki pracował za komuny w UB, ale dokumenty wyparowały i nie mogli go ruszyć. Oczywiście wyparowana teczka znajdowała się w sejfie za obrazem u prezesa Donaldowskiego. Sam Czaplewski podczas zajścia tego niezwykle tragicznego wypadku, przebywał w górach w willi Wrocławia, który musiał siedzieć cicho, bo za krzywoprzysięstwo dostałby ładny wyrok. Osoby, które twierdziły inaczej, grupka myśliwych, których też nie było na tym polowaniu, przekonano, że mają omamy i ofiarowano kilka groszy na leczenie sanatoryjne w Szwajcarii.

Tak, nie dało się ukryć, prezes miał talent do zarządzania ludźmi. Może niezbyt miłą aparycje i ciężkawy charakter, ale od czegoś miał Władka Popychalskiego, niedoszłego księdza, który posiadał szczególne powołanie do młodych chłopców. Na

szczęście w jednym z klubów gejowskich spotkał Jarosława Donaldowskiego, a ten mu uświadomił, że posługę może także pełnić w cywilu, z równą przyjemnością, no i bez grzechu.

– Skoro już wszystko jasne, porozmawiajmy o tym, co ważne, czyli o programie i hasłach wyborczych – zaproponował prezes, przechodząc w kierunku skórzanego fotela stojącego pod oknem.

– A który będę miał numer na liście? – rozległ się chrypiący głosik w momencie, gdy Jarosław Prezes Donaldowski sadzał rozłożysty zadek na tronie.

– O tym później – żachnął się Popychalski, który dreptał krok za prezesem, by spocząć po jego prawicy na nieco mniejszym fotelu. Wyglądali jak król i królowa podczas audiencji motłochu i tak się też czuli.

– Teraz porozmawiamy! – nie ustępował Bogusz, a dla zaakcentowania swojej woli zaczął pstrykać stawami palców dłoni, jak ulicznik rozgrzewający się przed bójką.

– Matuszak miał dwudzieste drugie, a więc wskakuje pan na jego miejsce. – Prezes czuł się o wiele pewniej, oddzielony od troglodyty stadem oddanych marionetek. Choć podejrzewał, że gdyby przyszło co do czego, połowa by uciekła, a pozostali legli na polu walki, bo żaden z nich nie miał szans z naturszczykiem walk podwórkowych, który zapewne jak raz dzienne komuś szczęki nie złamał, to czuł się nieszczęśliwy.

– Chcecie mnie zrobić w wała?! – wrzasnął łysy.

– Ależ, panie Andrzejku… – zaczął prezes, ale wzburzony łysol mu przerwał.

– Tylko bez Andrzejkowania, dla ciebie jestem pan Andrzej. Z dwudziestej drugiej pozycji to sam sobie startuj, palancie.

Prezesem zatrzęsło i mocniej ścisnął poręcze fotela. Nie mógł pozwalać temu pętakowi psuć sobie autorytetu. Już miał warknąć: „Spieprzaj, dziadu”, ale doradca, który zawsze czuwał, położył czule dłoń na posiniałej dłoni mentora i wyszeptał:

– Cii, spokojnie, oddychaj, znaczy pan prezes oddycha, ja się tym zajmę, wszystko będzie dobrze.

Apotem zwrócił się do Bogusza:

– Pan widzę nie rozumie ordynacji wyborczej. A to przecież takie proste. W Polsce stosujemy metoda d'Hondta, która polega na znalezieniu największych, kolejno po sobie następujących ilorazów liczby uzyskanych głosów. Podziału dokonuje się, dzieląc liczbę głosów przypadających każdemu komitetowi przez kolejne liczby naturalne, a następnie z tak obliczonych ilorazów dla wszystkich komitetów, wybieranych jest tyle, ile jest mandatów do obsadzenia.

Bogusz patrzał na podchodzącego Popychalskiego – rytmicznym głosem wykładającym mu meandry ordynacji – z równym zrozumieniem co pigmej, któremu ktoś wyjaśnia zasadę nieoznaczoności Heisenberga.

– W przypadku gdy kilka komitetów uzyskuje takie same ilorazy, stosuje się różne metody dodatkowego szeregowania. W Polsce wybrano następujący sposób: jeżeli kilka list uzyskało ilorazy równe ostatniej liczbie z liczb uszeregowanych w podany sposób, a list tych jest więcej niż mandatów do rozdzielenia, pierwszeństwo mają listy w kolejności ogólnej liczby oddanych na nie głosów. Gdyby na dwie lub więcej list oddano równą liczbę głosów, o pierwszeństwie rozstrzyga liczba obwodów głosowania, w których na daną listę oddano większą liczbę głosów. Proste, prawda? – zapytał Popychalski zadowolony, że tak gładko wyrecytował definicję z Wikipedii.

Bogusz kiwnął głową, a może po prostu usnął, przytłoczony ilością wiedzy, której nie doświadczył w takiej kumulacji od podstawówki, ukończonej po dwunastu latach nauki.

– I dlatego dwudzieste drugie miejsce na liście nie jest wcale złe. Proszę popatrzyć na koleżankę Lenską, ona ma trzydzieste i nie płacze.

Wskazana kobieta istotnie nie roniła łez, ale miała wyrazy twarzy jak żona, której mąż właśnie powiedział, że wielokrotny seks z nastolatką nie liczy się jako zdrada, bo to tylko cielesna chuć.

– No, dobra – mruknął Bogusz. – Niech wam będzie, ale jak się nie dostanę, to wam ten pokoik dla lalek – mówiąc, wodził palcem po siedzibie KOP – puszczę z dymem i spuszczę do sracza.

Prezes zamruczał cicho. Bez Popychalskiego już dawno by zginął albo i kogoś zabił w gniewie.

– Wybory coraz bliżej, musimy ułożyć program – poinformował Popychalski, na powrót stając u boku mistrza. – W tamtym roku się nie udało, więc trzeba go napisać od nowa. Dalej, panowie i panie, czekamy na propozycje.

Prezes rozwalił się na fotelu i słuchał w zadumie doradcy, motywującego do działania stojący w półkolu tłum, wpatrzony w swojego wodza jak w obrazek.

– To wina Baszki, robią się coraz wybredniejsze – rzuciła Lenska – kilka lat temu wystarczyło napisać na plakacie: „Dam wszystkim w Polsce” i stawali krzyżyki ze ślinotoku.

– Ty mnie już Zuza nie denerwuj – zaczął Donaldowski gniewnym tonem – jak w ubiegłym roku nawieszałaś tych swoich plakatów, to dobrze, że nas do sądu nie podali. Wyborcy nie mogą umierać, a przynajmniej do dnia wyborów.

– To nie moja wina, że Baszki są tacy głupi. Zresztą na mnie i tak oddali więcej głosów niż na Kaśkę Lis.

– Mówimy o tym dziecku dwóch wampirów, które powiedziało dziennikarzowi Polsatu, że po dojściu Kopa do władzy państwo polskie zacznie kastrować filatelistów? – zapytał rudzielec, którego jedno oko miało kolor zielony, a drugie niebieski.

– Oj, panie, dziewczynie się pomyliło, filatelista – pedofil, to brzmi podobnie – próbował wyjaśnić Popychalski. Lis była jego chrześnicą. Na jednej z popijaw,

schlany i naćpany, założył się z Wrocławiem, że zrobi z dwóch gadających piersi posłankę RP. Niestety nie wyszło, bo za często się ruchała z byle kim i nawet nie umiała podawać łapy.

– Jakieś badania IQ powinniśmy robić kandydatom, czy coś? – nie ustępował rudy.

– To pan by na pewno się nie dostał, panie Podolak. Jak był pan wiceministrem gospodarki u Buzka, to pamięta pan, co się działo – krzyknął ktoś z tyłu.

– Każdy robi jakieś błędy! – odparował rudy, rozglądając się, by sprawdzić, kto ośmiela się go krytykować.

– Jasne, jakieś każdy. Ale pan razem z tym drugim kretynem, Zabyłkiem, po pijaku wystawiliście stocznię na Allegro od złotówki i to z opcją „kup teraz".

– Pomysł był dobry, przecież nikt nie chciał tego kupić normalnie.

– To czemuś pan się nie odważył pójść i powiedzieć stoczniowcom, że od dziś pracują dla ośmiolatka, który myślał, że kupuje zamek krzyżacki z lego?

– Ważne, że poszła i już się nie musimy martwić. Mały planuje otworzyć fabrykę lizaków. One mają przynajmniej jakiś zbyt.

Prezes westchnął głęboko, schowawszy twarz w dłoni. Przez głowę przebiegła mu myśl, że jest królem tych idiotów za grzechy poprzedniego wcielenia i że mają szansę na wygraną równie wielką, co trafienie sto razy z rzędu szóstki w totka.

– Było, minęło, myślmy o tych wyborach. – Popychalski jak zwykle nie tracił hartu ducha. – Czym w tym roku zanęcimy Baszkę?

Bogusz w końcu nie wytrzymał. Szturchnął łokciem w żebro sąsiada, aż chłopinie okulary spadły.

– Kto to jest ten Baszka? – zapytał łysy, gdy już tamten złapał oddech.

– Wyborcy.

– Nie kumam.

– Wiesz, chodzi o to, że jak się literuje, to trzeba się posługiwać imionami, i tak wyborcy to skrót WB, Wojciech Barbara, no to zostało Barbara, a potem zdrobniono do Baszka. O wiem, to tak jak z Charliem, którym to kryptonimem określano Vietcong podczas wojny wietnamskiej. Victor Charlie, rozumiesz?

– Kumam, to tak ja my dzielnicowego nazywamy pieprzony pedał.

– Dlaczego? – zdziwił się rudzielec.

– Bo ma pałę i nią wali. – Bogusz zaczął rżeć jak zapalający trabant z rozładowanym akumulatorem.

Tymczasem na sali w najlepsze trwała burza mózgów, choć może to zbyt odważne słowo, po prostu burza.

– Powiedzmy, że damy wszystkim Polakom to, co najlepsze. „Polaku, dostaniesz to, na co zasługujesz. Kochamy Ojczyznę Polskę". Co sądzicie? – zaproponowała Lenska.

– A koleżanka pomyślała, jak to zabrzmi, gdy napiszemy nazwę naszej partii w skrócie? – zauważył Popychalski.

Donaldowski głęboko westchnął.

– Ludzie – warknął, gdy już był wystarczająco czerwony. – Czy to takie trudne? Dajmy Baszce to, czego oczekuje: mrzonki, kiełbasę wyborczą, ładne uśmiechy i Polska nasza, kurwa.

– A potem znów będą na nas wieszali psy, że ich oszukaliśmy – wtrącił młody chłopak w marynarce polo.

– W polityce trzeba być dyplomatą – wyniosłym tonem oświadczył szczawikowi Popychalski. – Wprawny dyplomata umie powiedzieć komuś spierdalaj w taki sposób, że ten cieszy się z nadchodzącej drogi.

– Może się pomódlmy – zaproponował ni z gruszki, ni z pietruszki blondyn o niebieskich oczach; był to poseł Jan Nelly Belzebub, który był inicjatorem przesłynnej modlitwy sejmu o deszcz.

– Janek, ty Pana Boga w to nie mieszaj, On ma ważniejsze sprawy – uciął prezes, by nie rozgorzała niepotrzebna dyskusja pomiędzy Belzebubem a Wrocławiem. Wtedy na pewno by w tym tygodniu tego programu nie wymyślili, a tylko opluwali się jak dzikie lamy. – Bierzmy się do roboty. Nie liczmy na cud.

– Ale to jest niezły pomysł, panie prezesie. – Popychalski rozpromienił się, co wyglądało, jakby sęp dojrzał świeże zwłoki.

– Jaki? – zapytał prezes. – Tylko szybko, bo czas ucieka.

– No, cud.

– Władku, tracę cierpliwość, zwykle masz dobre pomysły, ale nie przeginaj.

– No proste, znajdziemy dwie kobiety lub mężczyzn bliźniaków. Jeden z nich będzie chory, a drugi zdrowy. Oczywiście nie powiemy, że to bliźniacy. Pan prezes na spotkaniu wyborczym dotknie czy pocałuje w czoło tego chorego, może być na wózku na przykład, to doda dramaturgii – słowa wyskakiwały z ust doradcy jak z karabinu – a potem się zrobi podmiankę, jak nikt nie będzie patrzył. No i zdarzy się cud. To jest to. Rozumiecie, KOP uzdrawia chorych.

Jakoś tak się nagle cicho zrobiło. Słowa zdawały się powoli docierać do słuchaczy, jakby powietrze zgęstniało za bardzo i fale dźwiękowe zabłądziły.

Pierwszy ocknął się Bogusz.

– Ja pierdolę, ale, kurwa, jaja. A ja myślałem, że jak na dzielnicy wymienialiśmy się podartą kołdrą, by dostać na nią zasiłek ze społeczniaka, to robimy przekręt stulecia. E, no, szacun, panowie, full wypas kombinujeta.

– Jak kraść, to miliony – wyrwało się Lenskiej, ale prezes zmierzył ją wzrokiem i zamilkła.

– Ten pomysł jest dobry – zaczął prezes, drapiąc się po podbródku – ale jednocześnie zbyt ryzykowny. A co, jak się wyda?

Ale i na to Popychalski miał odpowiedź.

– To się zwali na bliźniaków, że to ich sprawka, a my nic nie wiedzieliśmy. Gra warta świeczki, na szali jest całe państwo. Znów u steru, czy was to nie podnieca?

– A wiecie co, jeszcze lepsze byłoby wskrzeszenie. – Poseł Wrocław zachichotał. – Tylko musielibyśmy zrobić wiec wyborczy na Wawelu. Ja to widzę tak. Prezes Donaldowski podchodzi do sarkofagu i trzykrotnie woła: „Ożyj i walcz". A za trzecim razem wali pięścią w katafalk, który pęka na pół. Szast-prast i z pyłu wyskakuje Sami Wiecie Kto.

Konsternację diabli wzięli, a jej miejsce zajął zdrowy rechot zgromadzonych. Nawet prezes się nie powstrzymał. Złapał się za brzuch, a drugą dłonią zakrył oczy, które bardzo szybko zaczęły łzawić.

– Oj, żebyście tylko nie wykrakali, panowie szlachta, bo znów będziecie musieli chodzić do proktologa w poszukiwaniu podsłuchów.

Słowa te należały do długonogiej blondynki, której bał się każdy polityk w tym kraju. Trafić pod jej ząbki oznaczało stratę szans na wygranie batonika podczas festynu w remizie, a co dopiero mówić o wyborach.

– O, pani Monika, długo pani redaktor tu jest? – Prezes zeskoczył z tronu i z wyciągniętą ręką, jak na dobrze wytresowanego Azora przystało, pobiegł oddać honory damie, wpijając się w jej dłoń ustami.

– Wystarczająco, ale na wasze szczęście kamerzysta poszedł do toalety i nie mam nagranych waszmościów, naprawdę żałuję – oświadczyła smutnie Monika K. Szewczyk – To byłby temat roku. Prezes partii opozycyjnej szydzi z byłego prezydenta oraz z największej religii w kraju. Spadlibyście poniżej progu wyborczego nawet w konkursie do samorządu młodszaków w przedszkolu.

– Ależ, pani redaktor, to takie żarty tylko, w wąskim gronie – próbował załagodzić Popychalski, całując dłoń blondyny, jakby chciał ją wessać, niczym colę przez słomkę.

– Facet, a może się mi dossiesz jeszcze do tyłka? To nie będę musiała iść na liposukcję – nie wytrzymała Szewczyk, gdyż pocałunek już dawno przekroczył dopuszczalny savoir-vivre.

Popychalskiego jakby prąd poraził. Odskoczył i nie wiedział, co począć z oczami. Śmiech kolegów tylko potęgował jego klęskę wizerunkową. Ostatni raz oblał się rumieńcem w trzeciej klasie podstawówki, gdy ksiądz przyłapał go na oglądaniu ptaszka kolegi pod ławką. Cała klasa przez następny rok nabijała się z obu ornitologów amatorów. Za karę ksiądz Ryszard zostawił ich obu po lekcjach i przez następną godzinę w trójkę zajmowali się podziwianiem przyrody. Prowadzili ten wspólny klub do czasu, aż ich mentora przeniesiono do innej parafii, oficjalnie z powodów formalnych.

Teraz znów się czerwienił jak pensjonarka. I to przez kobietę, ech.

– Już jestem – obwieścił barczysty mężczyzna, trzymający w dłoniach kamerę, która przy jego gabarytach wyglądała jak zabawka.

– Ach, szkoda, żeś się tam nie utopił – rzuciła Szewczyk.

– Co cię, Moniś, znów napadło?

– Taki materiał nam uciekł, bo ty musiałeś sikać. Mogłam dostać drugiego Wiktora, a tymczasem będziemy kręcić drugoligowego prezia, bez urazy, i jego przydupasów, bez urazy, panowie. No dobra, włączaj katarynkę i jedziem.

Prezes udał, że nie słyszał, co mówiła Szewczyk. Kłótnia z nią nie miała sensu. Nawet gdyby pluła w twarz, cieszyłby się niczym z orzeźwiającego deszczyku.

– Pani Moniko, oczywiście raduje mnie ta niezapowiedziana wizyta, ale czy mogłaby pani nas odwiedzić jutro, bo wie pani, mamy ważne obrady.

– Jutro to mam Tuska. Mamy dziurę, bo Korwin wypadł, więc ciesz się pan z darowanego konia i nie zaglądaj w zęby. To jak, ruszamy czy spływamy?

Przeczesała dłonią długie opadające na plecy włosy i spojrzała na prezesa wyzywająco. „No, dawaj, karakanie, powiedz coś głupiego, zrób z siebie idiotę, znaczy bądź naturalny” – powtarzała w myślach.

– Zgoda, niech będzie – odparł z ociąganiem, choć każdy na sali wiedział, że miał tak wielki wybór jak pies Pawłowa po zapaleniu czerwonego światełka.

– Ale dacie tu do pary przechrztę – zakomenderowała dziennikarka, szukając wzrokiem byłego posła lewicy. – Panie Marku, prosimy, pan się nie chowa, bez obawy, nie gryzę.

W tym rzecz, że tego poseł Wrocław nie był taki pewny, gdyż to dzięki jej materiałowi został wyrzucony z SLD. Szewczyk, niczym boski dźwiękowiec, miała dar do nagłaśniania i wyciszania spraw. To ona była królową mediów, obsadzającą trony i skazującą na szafot. Stać się jej tematem numer jeden, znaczy zamarzyć o własnej śmierci.

– Panie pośle, czy jest pan nadal za aborcją? – zapytała, gdy zgarbiony mężczyzna stanął obok prezesa Donaldowskiego.

– Tak, oczywiście – odparł odruchowo Wrocław, ale gdy prezes wbił obcas w jego stopę, dodał: – i jednocześnie nie. To bardzo złożony problem. Gdy dojdziemy do władzy, powołamy specjalną komisję.

– Rany – westchnęła Szewczyk, zabierając mu w pół słowa mikrofon i podtykając prezesowi – a jeszcze nie tak dawno krzyczał pan razem z feministkami: „Moja cipa, moja sprawa, a sukienkowym pederastom nic do tego!”.

Wrocław wbijał wzrok w ziemię, jakby szukał suflera. Na szczęście pani redaktor KO wystarczyło i zmieniła sparingpartnera.

– Panie prezesie, czy to prawda, że jest pan homoseksualistą? Mamy pana zdjęcia w klubie gejowskim.

– To było spotkanie wyborcze – odparł błyskawicznie Donaldowski. – Jesteśmy otwarci na potrzeby wielu środowisk i mimo że jako katolicy nie popieramy związków jednopłciowych, to jednak nie możemy tych ludzi, Polaków, odrzucać.

– Kurde, a już myślałam, że ma pan jaja i się przyzna – szepnęła dziennikarka. – A jaki macie pomysł na tegoroczne wybory? Pani Lenska znów się rozbierze do rosołu i poświeci tyłkiem, zagrażając bezpieczeństwu ruchu drogowego? Czy może dla odmiany będzie rozdawała banany na skrzyżowaniach, udając seks oralny?

– No co też pani? – oburzyła się Lenska. – To była zwykła akcja marketingowa, partyzancki marketing. Proszę mnie nie obrażać, mam swoją godność.

– Niech pani to powie rodzinom dwudziestu pięciu lokatorów cmentarza na Powązkach, których pani tam zakwaterowała swoimi popisami erotycznymi. Godność, a to ciekawe, proszę ją kiedyś przynieść.

Prezes pocił się coraz obficiej i to nie tylko od światła kamery. Żałował, że dał się w to wciągnąć. Niech sobie to szmaciszcze już pójdzie, bo udusi ją własnymi rękami. Żeby tylko nikt nic nie palnął, rany.

– A macie jakieś hasło chociaż? – nie dawała za wygraną, choć bez nadziei, że znajdzie tu jakiś diamencik, nadającą się do wyszlifowania. Ot, zwykłe zebranie smutnych frajerów i autsajderów z innych formacji.

– Yyy – zaczął Donaldowski niezwykle elokwentnie, a pustka w jego głowie pogłębiała się z każdą sekundą. Tylko udar mógł go uratować, ale miał za zdrowe żyły, niestety.

– O, tamten pan w krótkich spodenkach może nam powie – uradowała się Szewczyk, wypatrzywszy w tłumie łysego, który nie mógł oderwać wzroku od jej walorów nieintelektualnych, falujących przy każdym oddechu.

– No, pan, pan – potwierdziła Szewczyk, machając na kamerzystę, by dał zbliżenie na jej nowy cel.

– Yyy – zaczął Bogusz.

– Rany i pan też, to jakaś epidemia „yyy”. I wy chcecie być parlamentarzystami, rany. Pytam o prostą sprawę, hasło wyborcze. No raz dwa, bo czasu szkoda.

– Wiem, mam, słuchaj, lala, mam zajebiste hasło – krzyknął Bogusz tak nagle i głośno, że dziennikarka aż podskoczyła.

– Świetnie, to słuchamy pana z błaznem na udzie. – Kamerzysta załapał w mig, o co biega, i dał zbliżenie na tatuaż. A potem wrócił do tętniącej żyłami twarzy Bogusza w samą porę, gdy ten otworzył usta i radośnie wyartykułował:

– Polska nasza, kurwa.

Aneta Rzepka

PONAD ŻYCIE

Jest noc. Leżę w łóżku, spoglądając na niewidoczny pośród mroku sufit, i rozmyślam o naszym związku, którego główną zmorę stanowią wyjazdy służbowe. Właściwie nie mieliśmy życia prywatnego, a nasze szczęście zasadzało się na krótkich chwilach radości, kiedy akurat oboje przebywaliśmy w domu. Mało ich było. Szef potrafił ściągnąć cię do biura nawet z urlopu, nie mówiąc już o alarmach w środku nocy czy podczas niedzielnego obiadu. W moją pracę też wpisana była konieczność wyjazdów, często kilkudniowych. Jednym słowem, koleżanka tęsknota bardzo często nas odwiedzała, nie bacząc na porę. Była jak upierdliwa sąsiadka, której nie sposób wyprosić, bo to jednak niegrzecznie. Musieliśmy więc przywyknąć do jej obecności.

***

Siedziałam przy małym stoliku w jednym z pomieszczeń Teatru Starego i czytałam artykuł Elżbiety Baniewicz o Hamlecie, granym przez Teresę Budzisz-Krzyżanowską. Słońce zaglądało mi przez ramię, przyjemnie ogrzewając kark. Westchnęłam głośno. Jakże bym chciała uciec z tego dusznego pomieszczenia i wtulić w twoje bezpieczne, ciepłe ramiona. Niestety, sterta nieprzejrzanych artykułów zdawała się rosnąć, zamiast maleć, kserokopiarka nie działała, a dokumentów archiwalnych nie wolno wynosić poza budynek teatru. Zupełnie jakbym zamierzała je zdefraudować albo zniszczyć. Paranoja! Jednym słowem, o rychłym powrocie do Warszawy mogłam tylko pomarzyć.

– Naprawili ksero – powiedziała koleżanka, wchodząc do pokoju i uśmiechając się przyjaźnie. – Jedź do hotelu, spakuj manatki, a ja zrobię kopie tych materiałów.

– Naprawdę? – zapytałam z niedowierzaniem w głosie.

– Jasne! No, idź już! Nie mogę patrzeć, jak się tu kisisz.

Pisnęłam z radości. Od trzech dni tkwiłam w Krakowie i przekopywałam sterty artykułów. Miałam już serdecznie dość Wajdy, Hamleta i wszystkiego, co z nimi związane. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła trzynasta, co oznaczało, że zdążę na popołudniowy autobus do Warszawy. Zadzwoniłam, żeby ci o tym powiedzieć.

– Wspaniale! – ucieszyłeś się. – Wolałbym jednak, żebyś wracała pociągiem.

– Autobus mam za niecałe trzy godziny, a pociąg za sześć – odparłam.

– Ale masz też chorobę lokomocyjną…

– E tam! Poradzę sobie, byle szybciej być z tobą. Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

– Idź na pociąg – upierałeś się.

– Dobrze, dobrze – mruknęłam, postanawiając, że i tak zrobię po swojemu. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w twoich bezpiecznych ramionach, odpocząć.

Nie miałam ani chwili do stracenia. Bez problemów dotarłam do hotelu, w pośpiechu zebrałam swoje rzeczy i wróciłam do archiwum po kopie materiałów. Tak zaopatrzona mogłam spokojnie jechać do domu. Podziękowałam koleżance za uprzejmość, pożegnałam się, mając nadzieję, że nieprędko zawitam znowu do Krakowa, i opuściłam teatr.

– Na dworzec przy Bosackiej – rzuciłam do kierowcy taksówki.

Auto ruszyło z piskiem opon. Nie zwracałam uwagi na trasę, próbując zamknąć wypchaną do granic możliwości torbę.

– Pięćdziesiąt trzy złote – rzucił szofer, zaparkowawszy samochód.

Bez protestu zapłaciłam za przejazd i opuściłam taksówkę. Stałam przed Dworcem Kraków Główny, a przecież nie chciałam jechać pociągiem, tylko autobusem.

– Zaraz, chwileczkę! – zawołałam, ale auto zdążyło już odjechać. Byłam wściekła. Cisnęłam torbę na chodnik, rozglądając się za innym środkiem lokomocji.

Nagle podszedł do mnie nieznajomy mężczyzna. Miał duże, niebieskie oczy i opadające na ramiona blond loki. Uśmiechał się przyjaźnie i całą swoją postawą wzbudzał zaufanie. Znieruchomiałam na chwilę i zaniemówiłam, co zdarza mi się nader rzadko. Stał przede mną mężczyzna moich marzeń, wyśniony ideał, w którego istnienie dawno temu zwątpiłam.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytał.

Odniosłam wrażenie, że go znam, ale nie mogłam sobie przypomnieć skąd. Miałam straszny mętlik w głowie.

– E… nie… ja… ja muszę jechać na przystanek PKS – wyjąkałam, próbując ukryć zmieszanie. – Spieszę się i…

– Chodźmy.

Podniósł z ziemi torbę, chwycił mnie za łokieć i wprowadził na halę dworcową. Wszystko działo się tak szybko, że nie zdążyłam stawić oporu. Dopiero gwar i ogólny pośpiech panujący na stacji nieco mnie otrzeźwiły.

– Nie chcę jechać pociągiem – zaprotestowałam słabo. Pragnęłam jak najszybciej uwolnić się od towarzystwa mężczyzny. W jego wyglądzie, zachowaniu i postawie było coś, co mnie jednocześnie fascynowało i niepokoiło.

– Wiem – odparł spokojnie. Podprowadził mnie do niewielkich, zielonych drzwi. Otworzył je wyjętym z kieszeni kluczem. – Pomyślałem tylko, że na pewno jesteś głodna, a ja właśnie ugotowałem twoją ulubioną potrawę. Wejdź na chwilę. Proszę…

Nie potrafiłam się przeciwstawić. Ze słów, czynów i postawy nieznajomego biła nieznana mi siła, pewność. Miły, ale władczy ton głosu wymuszał posłuszeństwo. Potulnienie weszłam do niewielkiego pokoju i rozejrzałam się dookoła. Pomalowane na niebiesko ściany wspaniale harmonizowały z meblami w kolorze olchy oraz

okrywającym podłogę czerwonym, miękkim dywanem. Stojący na środku stół nakryto dla dwóch osób. W powietrzu unosił się zapach jedzenia.

Spaghetti – pomyślałam, uśmiechając się bezwiednie. Woń ulubionej potrawy przypomniała mi, że od kilku dni nie miałam w ustach nic ciepłego.

– Zapraszam – rzekł nieznajomy, wskazując krzesło.

Usiadłam. Gospodarz zgrabnym ruchem nałożył na talerze makaron, polał sosem, posypał serem. Jedliśmy powoli, w milczeniu. Zadziwiające, spaghetti nigdy nie smakowało mi tak bardzo jak tamtego popołudnia. Nagle przypomniałam sobie, że muszę zdążyć na autobus.

– Przepraszam, spieszę się – powiedziałam, odkładając sztućce.

– Spokojnie, Gabuś – odparł, a jego twarz ozdobił jakiś dziwny, tajemniczy uśmiech. – Na pewno zdążysz.

Gabuś? Zaraz, chwileczkę, skąd ten człowiek znał moje imię? Dlaczego zdrabniał je w taki sposób? Niepewnie spojrzałam mu w oczy. Były jasnozielone, dokładnie takie jak twoje. Włosy nad jego czołem chyba nieco pociemniały. Wciąż były długie i kręcone, ale już nie blond.

– Co się dzieje? – zapytałam słabym, lekko drżącym głosem. – Kim jesteś?

Pewnym ruchem odsunął talerz, wstał i podszedłszy do mnie, objął ramieniem.

– Ciii – szepnął, kładąc palec na moich ustach. – Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi.

Byłam niemal pewna, że słyszę twój głos. Pociemniało mi przed oczami. Pomyślałam, że zostałam odurzona środkami halucynogennymi, co obudziło czujność i mechanizmy obronne.

– Nie! – chciałam krzyknąć, ale głos uwiązł mi w gardle. Nagle zapomniałam, jak się mówi, mało tego, nie mogłam nawet pisnąć. Nie potrafiłam zaprotestować, kiedy zanurzał palce w moich włosach, a rozchylone z przerażenia usta zamykał

pocałunkami. Czułam się jak uwięziony w klatce wróbel. Drżałam ze strachu i… pożądania.

– Kocham cię, Gabuś – usłyszałam twój głos.

– Ja ciebie też, Piotrusiu – odparłam, poddając się pieszczotom. Tak, byłam pewna, że jesteś przy mnie. Nikt inny nie mógł przecież tak doskonale znać mojego ciała.

Zaprzestałam oporu, przymknęłam oczy. Całą sobą chłonęłam twój zapach, dotyk rąk, ciepło pocałunków. Nie protestowałam, kiedy pozbawiałeś mnie ubrania, brałeś w ramiona i kładłeś na łóżku. Czułam, jak gorące usta znaczą szlak namiętności na ramionach, piersiach, brzuchu, a ręce błądzą po udach i pośladkach.

– Moja Gabrysia – szepnąłeś. W tej chwili dreszcz rozkoszy przeszył moje ciało, zatrzymał czas.

– Twoja – potwierdziłam cichutko.

– A teraz śpij – powiedziałeś, okrywając mnie kołdrą.

Posłusznie zamknęłam oczy. Pamiętam jeszcze, że głaskałeś mnie po policzku i nuciłeś jakąś piosenkę. Nie mogę sobie jednak przypomnieć melodii.

***

Piszczenie komórki wyrwało mnie ze snu. Usiadłam na łóżku i z przerażeniem stwierdziłam, że nie mam na sobie nawet bielizny. Jęknęłam cicho, okrywając się kołdrą. Na szczęście byłam w pokoju zupełnie sama. W powietrzu unosił się zapach sosu pomidorowego, na stole wciąż stały talerze z niedojedzonym spaghetti. Skrzywiłam z niezadowoleniem usta. Nieco przeraził mnie fakt, że chwile spędzone z obcym mężczyzną nie okazały się snem, wybrykiem wyobraźni czy halucynacją, wywołaną zmęczeniem albo tęsknotą za domem. Wzdychając głośno, sięgnęłam po telefon i przeczytałam esemes, którego przyjście mnie obudziło.

„Pociąg masz o 19:18. Będę czekał na stacji. Kocham cię, Piotr”.

Przygryzłam wargę, mocno, aż do krwi. Troszczyłeś się o mnie, czekałeś, wyznawałeś miłość, nie wiedząc, że przed chwilą drżałam w ramionach innego. Naprawdę, bardzo chciałam obudzić w sobie poczucie winy. Nie czułam się jednak tak, jakbym cię zdradziła. Mało tego, miałam wrażenie, że przez cały czas byłeś przy mnie, że po raz kolejny podarowałeś mi największą rozkosz…

Z wrażenia zaschło mi w gardle. Powiodłam wzrokiem po pokoju, ale nie zauważyłam niczego, co mogłoby zaspokoić pragnienie. Na szafce, obok łóżka leżała natomiast jakaś kartka. Był to bilet PKP. Nie pamiętam, żebym go kupowała. Nie miałam jednak czasu rozpatrywać okoliczności, które sprawiły, że weszłam w posiadanie biletu, uprawniającego do przejazdu z Krakowa do Warszawy. Musiałam się spieszyć, pociąg odjeżdżał za pół godziny.

Odrzuciłam kołdrę i wstałam, rozglądając się w poszukiwaniu ubrania. Na podłogę, wprost pod moje nogi, upadło duże, białe pióro. Podniosłam je. Było miękkie i delikatnie pachniało twoją wodą toaletową.

– Jak to możliwe? – zapytałam, ale nie udzielono mi żadnej odpowiedzi. Nie miałam czasu, aby zgłębić tę zagadkę. Wrzuciłam pióro do torebki, ubrałam się, wzięłam swoje rzeczy i opuściłam pokój.

Jakże dziwne wrażenie… Z przytulnego i cichego pomieszczenia wyszłam wprost na zatłoczoną, wypełnioną gwarem halę dworcową. Instynktownie odwróciłam się w stronę drzwi, które przed chwilą zamknęłam. Oniemiałam. Nie było ich! Przetarłam z niedowierzaniem oczy, ale to niewiele pomogło. Mój wzrok ponownie spoczął na odrapanej ścianie, której nie zdobiło nic, poza nieudolnie sporządzonym graffiti.

Westchnąwszy z rezygnacją, pobiegłam na peron.

***

Czekałeś na dworcu, jak zawsze, gdy wracałam z delegacji.

– Muszę ci coś powiedzieć – szepnęłam, wtulając się w twoje ramiona.

– Nie teraz – odparłeś, zamykając mi usta pocałunkiem. – Jedźmy do domu.

Poprowadziłeś mnie do samochodu. Byłeś smutny, blady, jakby zmęczony, często przecierałeś oczy.

– Źle się czujesz? – zapytałam z niepokojem w głosie. – Może ja usiądę za kierownicą?

– Nie trzeba, wszystko w porządku – powiedziałeś, przywołując na usta sztuczny uśmiech. – Boli mnie głowa, ale to zaraz przejdzie.

Nie przeszło. Jechałeś powoli, byłeś bardziej niż zwykle skupiony, nie odpowiadałeś na pytania, chyba wcale ich nie słyszałeś. Zaparkowawszy przed bramą, odetchnąłeś z wyraźną ulgą.

– Cokolwiek by się nie działo, pamiętaj, że cię kocham – szepnąłeś, patrząc mi w oczy.

– A co miałoby się stać? – zapytałam naiwnie.

Nie odpowiedziałeś. Zacisnąłeś palce na mojej dłoni i bezwładnie osunąłeś się na oparcie fotela. Straciłeś przytomność.

Trzy godziny później już nie żyłeś. Nie wiem, co się stało. Czynności życiowe nagle ustały. Żaden z lekarzy nie potrafił mi tego wyjaśnić.

***

Oszołomiona wydarzeniami ostatnich kilku godzin, wróciłam do domu. Bolała mnie głowa, skronie pulsowały, oczy piekły, drżałam, nie bardzo wiedziałam, co ze sobą począć. Odszedłeś tak niespodziewanie. Wciąż odnosiłam wrażenie, iż wszystko jest tylko snem, kontynuacją dziwnych wydarzeń z krakowskiego dworca, że za chwilę się obudzę i będzie jak dawniej. Bo niby dlaczego miałbyś umierać? Byłeś zdrowy, nigdy nie złapałeś nawet kataru, przynajmniej ja tego nie pamiętam, aż tu nagle coś takiego…

Usiadłam w kuchni i oparłam głowę o zimny blat stołu. Miałam nadzieję, że to przywróci mi umiejętność racjonalnego myślenia. Chyba na chwilę zasnęłam. Z odrętwienia wyrwał mnie głos radiowego spikera:

– Kolejna katastrofa na polskich drogach. Wczoraj, około godziny osiemnastej, PKS, jadący z Krakowa do Warszawy, uderzył w przydrożne drzewo i wpadł do rowu. Cztery osoby zginęły na miejscu, pozostali pasażerowie walczą o życie w kieleckich szpitalach. Przyczyny wypadku bada policja…

– Boże! – jęknęłam, uświadomiwszy sobie, że miałam być w tym autobusie.

Brzęczenie radia nie pozwalało mi zebrać myli. Podeszłam do szafki i wdusiłam właściwy przycisk. Zapanowała cisza. Swoją drogą, nie pamiętam, kiedy włączyłam odbiornik. Gdy weszłam do domu, czy później, kiedy za wszelką cenę chciałam się obudzić? A może wcale tego nie zrobiłam…? Czyżbym nie była w domu sama? W poszukiwaniu odpowiedzi, rozejrzałam się po kuchni. Zatrzymałam wzrok na opartej o solniczkę kartce. Rozpoznałam twój charakter pisma.

– Kocham was obie i nigdy nie opuszczę – przeczytałam na głos. – Was obie? – powtórzyłam z niedowierzaniem w głosie. Przecież nie zdążyłam ci powiedzieć o ciąży.

Obok listu leżało białe pióro.

***

Jest noc. Leżę w łóżku, spoglądając w niewidoczny pośród mroku sufit. Słyszę równiutki oddech, śpiącego w łóżeczku dziecka. Ostatni raz widziałam cię ponad rok temu. Tęsknię, ale nauczyłam się już żyć z tym uczuciem, a kiedy trzymam w dłoni białe pióro, czuję twoją obecność, ciepło dotyku. W najtrudniejszych chwilach dodajesz mi otuchy czułymi słowami, szeptanymi wprost do ucha. Jesteś, chociaż cię nie widzę. I nie wiem tylko, co odpowiem, gdy nasza córka zapyta, kim jest jej tata.

Joanna Łukowska

ROMAN I JULIA NA BEZLUDNEJ WYSPIE

– **J**ak się powiedziało „A”, trzeba powiedzieć „B” – wymruczała do siebie Julia, na widok ciężkiej ośmioosobowej łodzi o wiosłach, których nie powstydziłaby się siedemnastowieczna galera. – Jak się powiedziało „wyspa”, trzeba powiedzieć „łódka” – mruczała dalej, wciskając swoje mile zaokrąglone ciało (tym okrąglejsze, że w kapoku) między walizy, torby i siatki, kociołek z patelnią oraz butlę gazową z lampką naftową. Gdy wreszcie umiejscowiła się pośrodku łodzi i bogactwa pakunków, chwyciła entuzjastycznie za wiosła, naparła i… nic.

Właściciel łodzi, Józef Gruda, westchnął ciężko i ponowił swoją propozycję. Ponawiał ją od momentu, gdy zrozumiał, że ta nieporadna jak żółw na plecach kobieta naprawdę jest tu sama i sama zamierza coś tu robić, ale co i po co, tego już nie rozumiał.

– To może jednak paniusię zawiozę, co? Tego wszystkiego, co paniusia tu ma, na ruski miesiąc wystarczy, ale gdy przypłynę za dwa dni, chleba, mleka, jajek świeżych przywiozę, co? Zawiozę panią, myślę, tak najzgrabniej będzie, co?

– Nie, nie, drogi panie gospodarzu – zaprotestowała gwałtownie Julia. – Jak się powiedziało „dam sobie radę”, to trzeba powiedzieć… – zawahała się, mocniej ujęła za wiosła, czując już, jak na dłoniach robią jej się odciski, przełknęła ślinę i dokończyła dzielnie: – …to trzeba powiedzieć „dam sobie radę sama”.

Józef Gruda znowu ciężko westchnął, mruknął pod nosem: „A kto tam baby zrozumie…”, splunął za siebie, jakby urok odczyniał, a potem złapał za burtę i mocno naprał. Ciężka krypa wolno wypłynęła na jezioro. Julia ponownie pochyliła

się nad wiosłami i tym razem zaczęła… jakby płynąć. Kolebała się na boki, gdy pióra wioseł nierówno i niewprawnie uderzały o wodę, niemniej, wykorzystując bezwładność ciężkiej łodzi i sprzyjający wiatr, posuwała się do przodu.

Stary gospodarz przymknął oczy i przeżegnał się.

– Jezusie, Maryjo i wszyscy Święci, oby zdążyła przed zmierzchem – wymamrotał.

Jeżeli pojęcie „przed zmierzchem" rozumieć „zanim zapadnie głęboka noc", to Julia istotnie zdążyła przed zmierzchem dopłynąć do brzegów wyspy, która na najbliższe dwa tygodnie miała stać się jej domem. Domem, ale zarazem poligonem i polem doświadczalnym, gdzie zamierzała ćwiczyć i uprawiać swoją silną wolę, samodzielność, stanowczość i wytrzymałość. Tak postanowiła w swoje trzydzieste urodziny. Postanowiła, by udowodnić swojemu byłemu mężowie, obecnemu szefowi oraz wszechobecnej matce, a także przytłoczonej samej sobie, że jest dorosłą, samowystarczalną kobietą, która poradzi sobie nawet w tak ekstremalnych warunkach jak bezludna wyspa z chatą z bali, za to bez prądu, ciepłej wody i toalety. I bez pomocy żadnego mężczyzny…

Julia dopłynęła do niewielkiej zatoczki i przycumowała bardzo starannie do niewielkiego pomostu. Przygoda przygodą, ale nie zmierzała wskutek zbyt słabego węzła odciąć się kompletnie od świata i ewentualnej pomocy, gdyby ta pomoc okazała się jednak niezbędna; wiadomo – żmije, wilki, niedźwiedzie, powódź, pożar czy szarańcza tylko czyhają na samotną kobietę.

Dała radę zesztywniałymi dłońmi wypakować jakoś z łodzi torby, siatki, kociołek, lampkę, patelnię i całą resztę. Dała nawet radę na zesztywniałych plecach zanieść to wszystko do chaty i zwalić na kupę pośrodku podłogi. Był to jednak ostatni przejaw heroicznego wysiłku i nadludzkiej siły woli. Potem Julia padła na goły siennik leżący na drewnianym łóżku i zasnęła momentalnie, w ubraniu i butach.

Roman płynął swoim niewielkim jachtem i czuł się szczęśliwy. Zawsze tak było, kiedy zrzucał z siebie garnitur i obowiązki, wdziewał sweter i drelichowe spodnie, zapuszczał brodę i nabierał wiatru w żagle. „Świteziankę" – która wówczas przypominała wielką zepsutą łapkę na szczury, a nie uczciwy jacht – znalazł pięć lat temu w chłopskiej stodole, w trakcie jednej z motocyklowych włóczęg, i bez wahania kupił za pół litra oraz wysłużony motor na chodzie. Remontował ją potem przez rok we wszystkie wolne dni, których nie musiał spędzać z rodziną, bo nie miał rodziny, ani z przyjaciółmi, bo nie miał przyjaciół. Miał za to pracowników, którym płacił, wspólników, którym patrzył na ręce i psa, który się przybłąkał i nie chciał odczepić. Psa nazwał Zefir, bo był brzydki, gruby i często psuł powietrze. Niemniej kundel ten uwielbiał pływać i to wystarczyło, żeby zostali kumplami.

Stali teraz obaj na pokładzie „Świtezianki". Roman z lubością wdychał zapach jeziora, lasu i wolności, a Zefir kłapał jak oszalały zębami, łapiąc powietrze i popatrując na swego pana z absolutnym szczęściem na brzydkiej mordce.

– Tak, Zefir, tak… – odpowiadał mu Roman – znowu sami, znowu w locie… Na wyspę, chłopie, na wyspę…

Obudził ją śpiew ptaków i ciepło słońca na twarzy. Było cudownie, właśnie tak to sobie wyobrażała: natura, spokój, cisza pełna leśnych odgłosów, tak różnych od wrzawy miasta… Uśmiechnęła się i cudny nastrój pękł jak bańka mydlana. Nie mogła się uśmiechać, bo twarz jej zesztywniała. Próbowała jej dotknąć, ale nie mogła ruszyć ręką. Próbowała wstać, ale nie mogła ruszyć ręką, nogą, ba, niczym nie mogła ruszyć! Bolał ją dokładnie każdy mięsień; nawet nie wiedziała, że ma mięśnie w takich dziwnych miejscach.

Po pół godzinie, a może to była cała wieczność, dotarła jakoś do stołu. Klapnęła ciężko na stołek, ale zaraz tego pożałowała, bo pośladki to przecież też mięśnie. „Ale się wpakowałam – pomyślała i przez następne pół godziny dumała, czy rozpłakać się,

czy zacząć układać plan. Bo niestety wszystko, co dotąd robiła, a co doprowadziło ją do tej pozy skamieniałej żony Lota, było wynikiem impulsu, urażonej dumy i przekonania, że jeszcze im pokaże. – Chyba jednak poplanuję trochę. Kto wie, jakie mięśnie mi się uruchomią przy płakaniu, jeszcze z bólu przestanę oddychać albo co…”

Wyspa nic się nie zmieniła. Nie starł jej z powierzchni jeziora żaden kataklizm; żaden szalony drwal ani wytrwały szkodnik nie przerzedził jej brzozowo-olszynowego poszycia; żadna burza nie powaliła wysokich drzew. „Dobrze, że jest coś stałego, coś trwałego, coś tak pewnego… jak ta wyspa” – pomyślał z wdzięcznością.

Mężczyzny nie zdziwił widok łodzi w zatoczce. Pewnie Józef sprząta po letnikach albo uzupełnia zapas chrustu do ogniska, albo robi cokolwiek, co trzeba zrobić, zanim zjadą następni goście. W chacie – solidnej konstrukcji z bali, krytej gontem – i dookoła niej zawsze znalazło się coś do sprzątnięcia, naprawy czy ulepszenia.

Roman nie korzystał z chaty. Spał na jachcie. Nie korzystał też z pomostu w zatoczce. Wolał zaciszną plażę, na której mógłby siedzieć choćby tydzień, a mieszkańcy chaty nie mieliby o tym pojęcia. Plaża odgrodzona bowiem była od reszty wyspy szuwarami i olszynami, tak że nie wiedząc o niej, można ją było odkryć tylko z wody. Z rozmowy z Józefem wywnioskował co prawda, że tym razem będzie miał wyspę tylko dla siebie, bo większa grupa letników zrezygnowała w ostatniej chwili z pobytu, ale i tak wolał swoją bezludną plażę od chaty ze śladami obecności innych ludzi. Kiedy wypoczywał, lubił myśleć, że na całym świecie jest tylko on i jego pies; oraz ryby, które się łowi, ptactwo wodne, które się ignoruje, i komary, które się tępi.

Przed nim były dwa tygodnie takiego myślenia.

Plan był taki. Wstać i nie umrzeć. Przebrać się, rozpakować i nie umrzeć. Znaleźć coś do jedzenia i zjeść, żeby nie umrzeć. I może poszukać studni, źródła czy kranu, żeby się czegoś napić i nie umrzeć. To powinno wyczerpać jej siły i zająć czas do zmierzchu, kiedy znowu padnie bez ducha na siennik i zapadnie w sen bez snów.

Plan został zrealizowany, choć drżącymi rękami i na uginających się nogach. Kupa bagaży ze środka podłogi zniknęła, a opakowanie mielonki, puszka tuńczyka, kilka kanapek z wczoraj, dwa banany, pudełko śliwek w czekoladzie, jabłko oraz resztka Coli zniknęły w środku Julii. Posilona w ten sposób dziewczyna bez trudu odkryła, że chata składa się z dwóch izb, czegoś w rodzaju stryszka, na który wchodziło się po drabinie, i zaplecza, które służyło za kuchnię, łazienkę i spiżarnię, zależnie od potrzeb. Jak się okazało, mogła przebierać w pryczach i siennikach – znalazła ich po sześć, ale gdyby dała radę wejść po drabinie na stryszek, który wyglądał z dołu na idealną sypialnię dla dzieciaków, odkryłaby z pewnością kolejne dwa, a może i cztery sienniki. Stołów do wyboru miała – dwa, szaf – cztery, za to stołków – aż dziesięć.

Znalezienie na tyłach chaty kranu wraz z dużym zbiornikiem pełnym wody okazało się ukoronowaniem tego udanego dnia. Julia nigdy nie myślała, że planowanie i trzymanie się ustalonych założeń jest takie efektywne. Jej mąż wciąż to powtarzał, ale nie chciała mu wierzyć. Pewnie dlatego, że Lucjan, bez względu na to jak skuteczny, zdolny i pełen słusznych racji, był przy tym okropnym nudziarzem, pedantem bez grama poczucia humoru.

Nieco poza planem zaistniał fakt, że zmęczenie i ból mięśni nie pozwalały Julii na odczuwanie strachu i zwątpienia…

Roman przycumował przy starej brzozie, która wychylała się z wyspy, wyciągając pień i gałęzie nad wodą, jakby na powitanie. Tu też nic się nie zmieniło. Może jedynie krzewy nieco bardziej porosły. Ciekawe, czy Józef i tutaj sprzątał? Czy

uwalniał plażę z opadłych liści, połamanych gałęzi i śmieci po intruzach, którzy, jak wszędzie, tu też się trafiali?

Odnalazł w zaroślach za gościnną brzozą starą beczkę, służącą mu za wędzarnię, i oczyścił ją; odrestaurował kamienne obramowanie ogniska i pozbawił rdzy stary ruszt, służące mu za kuchnię; na koniec zostawił sobie najprzyjemniejsze – sprawdzanie i szykowanie wędek, które służyły mu do zdobywania pożywienia.

Dzień drugi. Plan.

Do południa.

1. Rozluźniająca mięśnie gimnastyka wodna, czyli leżenie w wodzie na plecach plus delikatne ruchy dłońmi i stopami.
2. Nauczyć się rozpalać ognisko.
3. Zainstalować nad ogniskiem kociołek – jakoś, byle się trzymał.
4. Dojść, dlaczego w butli jest tak mało gazu.
5. Pomyśleć i poszukać pożywienia, po które nie trzeba płynąć na drugi brzeg.
6. Nie wpadać w panikę.

Po południu.

1. Wysuszyć zapałki i po gimnastyce wodnej znowu spróbować rozpalić ognisko (ważne, bo mimo braku widocznego powodu, gazu w butli coraz mniej).
2. Poszukać jakiegoś kija czy pałąka do zawieszenia kociołka (ważne z tego samego powodu co pkt. 1).
3. Zintensyfikować poszukiwania pożywienia, które można upiec nad ogniskiem, wykluczone zabijanie żywych stworzeń, pożądane – ziemniaki, pataty, maniok, kukurydza czy coś podobnego.
4. Mycie; kolacja, z tego co jest plus „gorący kubek” (o ile starczy gazu); spać.
5. Nie wpadać w panikę.

Dzień trzeci. Po północy.

1. Bagatelizować sowy – chociaż pohukują.
2. Problem do rozważenia za jasnego: Czy nietoperze wydają jakieś dźwięki, a jak nie wydają, czy to znaczy, że są niebezpieczne?
3. Rozwiązanie tymczasowe: zaprzeczamy nietoperzom.
4. To, co wyło, to były wyjące żaby, bo zaprzeczamy wilkom, szakalom i zdziczałym wściekłym psom, które przypłynęły na wyspę w celu urządzenia krwawej rzezi.
5. NIE WPADAĆ W PANIKĘ!

Roman zerknął w słońce, potem na cienie rzucane przez drzewa. Jeszcze nie było dwunastej, a on już złapał: cztery płocie, trzy okonie, leszcza i dwa liny. Wliczając w to trzy słusznych rozmiarów węgorze z nocnego połowu, które wędziły się w beczce, o kilka kolejnych posiłków mógł być spokojny.

Julia, która z trudem dotrwała do końca nerwowej, pełnej hałasów nocy, teraz nie zamierzała budzić się tak szybko. Planowanie i kształtowanie charakteru może poczekać. Nie po to przetrwała szarówkę świtu i ledwie zrobiło się przyzwoicie jasno, zwlokła się ze skrzypiącego wyrka; nie po to zabrała koc, śpiwór, jasiek, nóż kuchenny i szczękając zębami, poszła spać na łachę piasku przy pomoście (pod pretekstem podziwiania wschodu słońca oczywiście); nie po to z ulgą stwierdziła, że słońce już wzeszło i natychmiast zasnęła snem kamiennym, żeby teraz zgodziła się na pobudkę przed południem.

Niemniej dotykało jej twarzy coś zimnego i łaskoczącego i mimo odganiania nie zamierzało przestać. Otworzyła oczy. Zobaczyła tuż przed sobą pysk najbardziej pociesznego psa na świecie. Musiała się uśmiechnąć. Dobrze, że już mogła się uśmiechać.

– Cześć – wychrypiała. – A ty co tu robisz, piesku?

Pies spojrzał na nią z wyraźnym oburzeniem, jakby zamierzał zapytać ją dokładnie o to samo. Julia usiadła i wyciągnęła rękę, pies się uchylił, po czym zrobił w tył zwrot i uciekł.

– Wracaj, piesku! – krzyknęła Julia już zupełnie obudzona. Zerwała się na nogi. – Wracaj, dam ci… bananka albo… żurku w proszku! Wracaj, piesku! Dam ci ostatnią puszkę tuńczyka! – Coś w głosie kobiety sprawiło, że Zefir przystanął. Obrócił się, przysiadł na tylnych łapkach i szczeknął zachęcająco.

– Mam za tobą iść? Dobrze, już idę, tylko, proszę, nie zostawiaj mnie samej… – Julia bez żalu porzuciła swój jedyny śpiwór i ukochany jasiek. Czuła, że bez towarzystwa nie spędzi tu już ani jednej nocy. Wróci do domu, gdzie matka wystartuje ze swoim nieśmiertelnym „a nie mówiłam!”. Wróci do pracy, gdzie będzie musiała znosić przytyki szefa i całej reszty, która wolała popłynąć jachtem na Mazury, niż zamieszkać na bezludnej wyspie, choć z początku pomysł wydał im się fantastyczny. I właśnie dlatego, że to był jej pomysł, postanowiła jechać sama; a ponieważ dostawała choroby morskiej nawet na kajaku, a nikt dostatecznie uparcie jej na ten jacht nie namawiał – postanowiła pojechać; a ponieważ miała dosyć maminych uwag o samotności i kobiecej bezradności – postanowiła pojechać; a ponieważ miała dosyć byłego męża, do którego matka poleciała na skargę, jako że nigdy nie pogodziła się z rozwodem córki – postanowiła pojechać! Ale teraz czuła, że jeszcze jedna samotna noc na wyspie – a wróci jak niepyszna!

Dlatego przedzierała się przez las za pokracznym psem, pilnując, by jej nie uciekł. Nie zważała na chmary komarów, które wzbijały się z poruszonych chaszczy i podążały jej śladem, nie zważała na zadrapania ani błoto, tylko jak zwariowana gnała za tym psem…

Kąpiel dobrze mu zrobiła. Zresztą mężczyźnie niewiele potrzeba do szczęścia. Wyspa, żadnych ludzi, żadnych pytań, żadnych decyzji do podejmowania, tylko

mnóstwo ryb, słońce, plaża, kąpiel. Wspaniale! Tylko gdzie się podział ten przeklęty pies? Znowu łazi Bóg wie gdzie i trzeba go będzie obierać z rzepów i kleszczy. Roman zmrużył oczy i zaczął nasłuchiwać… „Czy mi się wydaje, czy pędzi tu stado słoni? Oj, tym razem Zefir przesadził i spłoszył jakieś naprawdę duże zwierzę, jelenia albo łosia. Tylko… skąd tu łoś?"

Zefir wypadł na plażę i gdy tylko zobaczył swego pana, zaczął szczekać. On, który prawie nigdy nie szczekał! Oprócz talentów żeglarskich, ten antytalent do szczekania bardzo Romanowi odpowiadał. A teraz Zefir jakby się wściekł, szczekał i szczekał, a konkretnie obszczekiwał chaszcze, z których przed chwilą wypadł jak bomba. Roman odruchowo napiął mięśnie, wyczekując spotkania z naprawdę dużym zwierzęciem…

Naprawdę duże zwierzę było zdyszane, zaczerwienione, potargane, podrapane i obleczone… w piżamę w różyczki…? Miało rude włosy, wielkie przerażone oczy, bardzo niebieskie, i rozdziawione szeroko usta. I jak go tylko spostrzegło, zaczęło krzyczeć.

– Aaa! Aaa, kim pan jest? Co pan tu robi? Aaa, niech się pan wynosi, to jest moja wyspa! I czyj to pies? I co pan tu robi? I to z jachtem? I niech pan przestanie się na mnie gapić! A pies ma zostać, aaa! – A potem obróciło się i uciekło.

Roman zerknął na Zefira, którego pełen dumy wzrok mówił: „No, widzisz, co ci przyprowadziłem, widzisz, co znalazłem, ładny aport, prawda, no pochwal mnie". Mężczyzna pochylił się i bezwiednie poklepał psa po głowie.

– Ładny, ładny… – potwierdził i dopiero teraz rozluźnił mięśnie.

Julia schowała się w chacie. Próbowała nawet wdrapać się na stryszek, ale taki wyczyn nadal był ponad jej możliwości. „Co za wstyd! Co za kompromitacja! – wyrzucała sobie. – Jak mogłam się tak wydzierać? Jak mogłam gadać takie głupoty? Kazałam mu się wynosić, ale psa zostawić… Boże! I jeszcze ta idiotyczna piżama, w

której nawet własnej matce się nie pokazuję! Ale skąd on się tu w ogóle wziął? Wyspa miała być bezludna, więc skąd on tu taki… taki… Czy on był nagi…? Czy ten facet był nagi?! – spanikowała. – Jeszcze mi tu brakuje ekshibicjonisty z brzydkim psem! Nie, chyba nie był goły, ale nie jestem pewna, bo patrzyłam pod słońce… I co ja mam teraz robić? Co ja mam teraz, cholera, zrobić?!"

– **N**o i co ja mam teraz zrobić, Zefir? – Roman czuł, że ma problem i bardzo mu się to nie podobało. Pierwszą zasada wyspy było: żadnych problemów, a logicznym wnioskiem z tej zasady była zasada druga, czyli żadnych kobiet. – Co mam teraz zrobić? Po wyspie, która miała być bezludna, biega wrzeszcząca panienka w piżamie w różyczki. No owszem, panienka niczego sobie, choć brudna i zasapana, ale strasznie krzykliwa, Zefir, strasznie…

„**T**rzeba to wyjaśnić – postanowiła stanowczo Julia. – Najpierw trzeba się ubrać, jakoś rozsądnie, żeby zatrzeć pierwsze złe wrażenie, a potem trzeba sprawę wyjaśnić. Tak, dokładnie tak muszę zrobić".

Ubrała się w najrozsądniejsze rzeczy, jakie miała, czyli w dżinsy i flanelową koszulę. Wyszła przed chatę i spojrzała w kierunku lasu…

…z którego najpierw wyłonił się pies, a zaraz za nim mężczyzna; pierwszy na jej widok zamerdał ogonem, drugi zrobił minę pod tytułem: „choć już nie wrzeszczysz i tak cię nie lubimy". Julią aż zatrzęsło z oburzenia. „Łazi po mojej wyspie bez pytania i jeszcze robi miny, jakby miał do tego święte prawo! Już ja mu powiem, co myślę o przemądrzałych facetach z brzydkimi psami i wstrętnymi jachtami!"

Jacht przesądził sprawę. Julia ostatnio bardzo nie lubiła jachtów. „Niech no tylko tu podejdzie!" – odgrażała się w duchu.

Złość nie eliminowała ciekawości. Czekając, aż podejdzie, przyglądała mu się uważnie. Jasny sweter na szerokich ramionach, płócienne spodnie za kolana na długich nogach, sandały na gołych stopach. Silny, męski typ. Ogorzały, wysoki, bardziej żylasty niż umięśniony. Niewątpliwie silny i zwinny. Niewątpliwie inteligentny. I była absolutnie pewna, że tą swoją inteligencją potrafił ciąć jak rzemieniem. Ten facet, którego oceniała na jakieś czterdzieści lat, cały był jak rzemień. Właśnie, jak rzemień.

Gdy podszedł bliżej, mogła przyjrzeć się jego twarzy. Silna, męska, inteligentna twarz, taka jak on sam. „Wcale nie jest przystojny – uspokajała się w duchu – w ogóle, raczej nawet brzydki, taki szorstki, wcale mi się nie podoba i wcale się go nie boję, wcale a wcale!”

Stanęli naprzeciwko siebie. On obrzucił ją taksującym spojrzeniem, ona przywitała go zadziorną miną i uniesioną buńczucznie brodą.

– Dzień dobry – zaczęła Julia. – Witam pana na… mojej – podkreśliła – wyspie. Myślałam, że jestem tu sama, a tu, proszę, najpierw pies, potem jego pan… Czy można to jakoś wyjaśnić?

Mężczyzna milczał i patrzył na nią z rosnącym rozbawieniem.

– Wszystko można jakoś wyjaśnić, dzień dobry – wycedził w końcu. – Na przykład wyspa należy do Józefa i to on mnie poinformował, że nikt jej w tym czasie nie wynajmuje, bo grupa, która miała przyjechać, zrezygnowała w ostatniej chwili.

– Ale ja tu jestem! – zauważyła rezolutnie i nieco złośliwie Julia. – Jedna jedyna z całej grupy, ale jestem. Zaliczka została zapłacona, więc chyba miałam prawo się zdecydować i przyjechać, prawda? Powiadomiłam gospodarza, wytłumaczyłam, że dam radę, i chyba miałam prawo… – zaczęła się plątać pod uważnym spojrzeniem. „Ten facet musi być prawnikiem. Nienawidzę prawników, tak samo jak jachtów!”

– Kiedy pani znajomi odwołali wyjazd? – padło pytanie.

– A bo co? Dwa tygodnie temu, ale nie rozumiem…

– Kiedy pani zdecydowała, że jedzie?

– Tydzień temu – bąknęła – ale…

– A kiedy powiedziała pani o tym Józefowi? – drążył temat. „Co za uparty facet!”

– Dzwoniłam trzy dni temu i rozmawiałam z jakąś panią…

– Aha. – Mężczyzna przestał słuchać, jakby już wszystko stało się jasne. – Józefowa mogła zapomnieć… ale wątpię, raczej uznała… – przyjrzał się Julii jak nieznanemu owadowi – …to mądra kobieta, więc uznała, że jeśli ja będę na swojej plaży, a pani w swojej chacie, to nie będziemy sobie w drogę wchodzić, a jakby co… to zawsze mężczyzna się przyda. Sprytna kobieta! – Nie mógł powstrzymać podziwu w głosie. – Wiedziała, że z własnej woli nigdy się nie zgodzę na taki układ. A tak… – wzruszył ramionami – chyba nie mam wyjścia.

„No, nie! – tego było Julii za wiele. – Kolejny seksistowski, szowinistyczny samiec, któremu się wydaje, że kobieta nadaje się do obierania ziemniaków, przewijania dzieci i mycia podłogi! We wszystkim innym potrzebuje światłej męskiej rady i męskiego wsparcia. No, nie! Co za cham!” – Bardzo wygodnie zapomniała w tym momencie o powodach swojej pogoni za psem.

– Jak pan śmie! – krzyknęła. – No, jak pan w ogóle śmie! Doskonale daję sobie radę i nie jest mi pan do niczego potrzebny. Słyszy pan, do ni-cze-go!

– Słyszę doskonale, nie musi się pani tak wydzierać. Przyjeżdżam na tę wsypę od czterech lat, między innymi po to, żeby pobyć w ciszy i spokoju. Więc niech przynajmniej tego pani nie psuje.

– Ja się nie wydzieram – Julia mówił teraz niemal szeptem – i niczego nie chcę psuć, i jak pan śmie tak do mnie mówić. Jak do dziecka, i uciszać mnie na mojej własnej wyspie. Powtarzam, ja się nie wydzieram!… – jej głos niebezpiecznie balansował na granicy histerii – ja tylko nie potrzebuję… nie potrzebuję…!

– Tak, wiem, nikogo pani nie potrzebuje. Świetnie. Nie zamierzam się wyrywać z pomocą. Natomiast chciałabym wiedzieć, co zrobimy z nami? – Dał jej sekundę na zastanowienie, potem pokiwał głową z ubolewaniem i wytłumaczył: – Wygląda, że oboje mamy prawo tu przebywać.

– A nie może pan sobie popłynąć na inną wyspę? – zasugerowała, choć bez pewności w głosie. Nie chciała, by tu został, ale nie chciała też znowu zostać sama. „Za diabła się jednak do tego nie przyznam przed tym aroganckim typem!"

– A nie może pani wrócić do domu? Do mamy, do chłopaka, bo mężczyzna nie puściłby takiej kobiety samej…

– Jakiej kobiety, jakiej? Ja sobie wypraszam! – zaperzyła się natychmiast. – Niech pan lepiej wraca na ten swój jacht, dobrze, i najlepiej niech pan nim odpłynie w siną dal, bo co się pan odezwie, to mnie obraża.

– Miałem na myśli młodej… – znów to taksujące spojrzenie – …ładnej i nieco zagubionej, chyba… – Z niezrozumiałych dla siebie powodów Julia zarumieniła się, co ją jeszcze bardziej rozzłościło.

– Niech pan sobie wreszcie idzie, dobrze? Niech się pan wynosi do wszystkich diabłów! Muszę się w spokoju zastanowić, co z panem zrobić!

Roman wybuchnął śmiechem. Widział, że ją to zdenerwuje, ale nie mógł się powstrzymać. Zadzierała głowę do góry, wspinała się na palce i patrząc na niego ze złością, zaciskała bojowo ręce. Była taka groźna, że nie mógł przestać się śmiać. Właściwie sam się dziwił swojemu dobremu humorowi. Gwizdnął na psa, ukłonił się i uśmiechając się od ucha do ucha, ruszył w kierunku swojej plaży. „Co mnie tak śmieszy? Ustawia mnie jakaś złośnica, a ja rechoczę jak głupi". Podejrzewał, że atmosfera wakacji zaczęła już działać i objęła go swoim łagodzącym wpływem. Nie zwykł irytować się na wakacjach. Nigdy. „Racja, racja, ale to nie wszystko…"

– No, Zefir, jak myślisz, czy gdybym tu wylądował z kimkolwiek innym niż z tym nerwowym i, hm, apetycznym rudzielcem o podrapanych rękach, pogryzionych nogach, smugach na twarzy i wielkich, hm, niepewnych oczach, bardzo, hm, niebieskich… jak myślisz, stary, czy też by mi było do śmiechu?

Zefir pomachał ogonem, polizał go po ręce, ale taktownie milczał. A Roman nagle stracił całą ochotę do śmiechu. „No nie, jeszcze tylko tego mi brakowało…"

To niesamowite jak złość wpływa na poprawę zdolności manualnych. Julia rozpaliła wreszcie ognisko, zainstalowała w miarę pewnie kociołek, nawet znalazła cztery równe kamienie, na których można będzie ustawić patelnię i usmażyć jajka, gdy się będzie miało jajka oczywiście. Im bardziej się złościła – trudno orzec, czy bardziej na „obrzydliwego właściciela wstrętnego jachtu", czy na siebie – tym jej lepiej szło. Na przykład w las, gdzie znalazła maślaki, które usmażyła zamiast jajek, oraz w chaszcze, gdzie wytropiła jeżyny, więc na deser miała, dla odmiany po zupkach z tytki, owocowy kisiel z kociołka.

To niesamowite jak z kolei świadomość, że nie znajdowała się już sama na wyspie, wpłynęła na poprawę jej snu… Śnił się jej co prawda jakiś tykowaty Piętaszek w spódniczce w rzemieni, który szczuł ją brzydkim psem i kazał siedzieć cicho, ale przespała bite dziesięć godzin, po czym obudziła się pełna chęci do samodoskonalenia i udowadniania własnej wartości.

Roman nie spał najlepiej. To do reszty zepsuło mu humor. Znał się na tyle dobrze, że nauczył się nie bawić ze sobą w ciuciubabkę. Wiedział w czym rzecz. Dziewczyna zrobiła na nim wrażenie. Niedobrze. Tym większe, że wcale nie miała takiego zamiaru. Niedobrze, niedobrze…

Zaplanował sobie dwa tygodnie samotności wypełnionej połowami i leniuchowaniem, a tu nagle będzie musiał dopasować swój plan do kobiety albo w

ogóle zrezygnować z planu, a co za tym idzie – z wakacji. Możliwości, że wyrzuci rudzielca z wyspy, nie brał po uwagę. Prawdę powiedziawszy, możliwość, że ją tu zostawi samą, też rozważał tylko teoretycznie. Problem więc polegał na tym, jak zmienić plan, by był do przyjęcia i by można było czerpać z zaistniałej sytuacji jak najwięcej przyjemności.

Przewracał się więc z boku na bok, słuchał, jak fale uderzają o burty jachtu, a w jego umyśle krystalizował się nowy plan…

Co do planowania, Julia nie miała już do tego głowy. Plan był potrzebny, kiedy ból mięśni wykluczał działania chaotyczne, a niepewność co dalej, kazała nakreślić w punktach, co za minutę, a co za godzinę. Teraz ból nie był już tak dokuczliwy, za to obecność wroga – mężczyzny, i to z jachtem! – zabiła wszelką niepewność i niezdecydowanie. Tu nie było czasu na plany, tu trzeba było działać! „Trzeba temu, jak mu tam, nawet się żeglarz jeden nie przedstawił, pokazać, że nie jestem bezradną istotą, bluszczem, który bez podpory w postaci faceta zostanie wdeptany w ziemię. Trzeba… tak, właśnie tak, najpierw trzeba się trochę pogimnastykować” – zdecydowała w przebłysku geniuszu.

Przebrała się w kostium kąpielowy i ruszyła dziarsko w kierunku jeziora. „Popływam sobie, na przykład dookoła wyspy… a przy okazji sprawdzę, co robi wróg. Sprytnie? Sprytnie”.

Julia nie spodziewała się jednak, iż wyspa okaże się taka duża. Zanim dotarła do ukrytej plaży, dyszała ciężko i miała bardzo poważne obawy, że nie da rady wrócić. Co gorsza, na terytorium wroga nie odkryła ani wroga, ani jego jachtu, ani jego psa. A jeżeli faktycznie, jak mu kazała, wyniósł się? I co teraz? „No, naprawdę, co za złośliwy facet… I psa oczywiście zabrał ze sobą…”

Nie było jej. Ciekawe, dokąd wywędrowała? Ale raczej nic jej się nie powinno stać… Na wyspie nie było żadnych niebezpiecznych stworzeń (z wyjątkiem komarów), żadnych piratów pilnujących zrabowanych łupów, żadnych wilczych dołów, starych studni czy innych niebezpiecznych miejsc, w które można było wpaść i coś sobie złamać, ciekawe… „Ciekawe, jak szybko wszedłem w rolę tego, który się martwi…"

Obejrzał trochę dziwne ognisko, przykryte kamieniami i patelnią, podumał nad zamontowanym na słowo honoru kociołkiem, w którym odkrył resztki kisielu. „Stara się dziewczyna, jak umie" – pokiwał głową z uznaniem i zabrał się do roboty.

Rozsądnie zrezygnowała z powrotu drogą wodną. Kiedy brudna, pogryziona i podrapana bardziej niż kiedykolwiek dotarła do polany, na której stała chata, decyzja o natychmiastowym opuszczeniu wyspy wydawała jej się jedną w pełni dorosłą, świadomą i odpowiedzialną, jaką mogła podjąć.

– Wyjeżdżam, odpływam, wynoszę się stąd! I niech ktoś ośmieli mi się coś powiedzieć! – krzyknęła dla dodania sobie animuszu.

Nikt nie ośmielił się zaprotestować.

Jednak gdy podeszła bliżej chaty, coś wytrąciło ją z nastroju pełnego determinacji i kazało przystanąć. Coś było nie tak… Ognisko wyglądało jakoś inaczej. Porządnie i solidnie. Kociołek był zamocowany tak, że huragan by go nie ruszył z miejsca. To jeszcze mogłaby przypisać sobie – może nie doceniła swojej pracy jak należy – ale stojący obok kociołka koszyk rozwiał te złudzenia. W koszyku znalazła jajka, butelkę mleka, chleb, sałatę, pomidory, masło, wędzonego węgorza… i kartkę z napisem „Smacznego. Czarne Stopy".

„Gospodarz? – zaczęła się zastanawiać. – Ale łódka nie ruszyła się z zatoczki, a przecież nie przypłynąłby tu z tym całym majdanem na plecach. Może ma drugą łódkę? Ale wtedy chyba nie musiałbym się męczyć z tą krypą… Nie, gospodarz nie,

nie wyglądał mi na żartownisia ani harcerza. Czyżby? Ale to niemożliwe… – rozejrzała się spłoszona wokół, a jej policzki znowu oblały się rumieńcem. – Czyżby on jednak nie odpłynął na zawsze…?"

Myśl ta była tak intrygująca, niepokojąca i godna rozważenia, że Julia zupełnie zapomniała o swojej nieodwołalnej decyzji podjętej kilka minut wcześniej.

Roman łowił ryby i uśmiechał się do siebie. Przez cały czas uśmiech nie schodził mu z twarzy. Plan Romana zakładał zaopiekowanie się dziewczyną z chaty. Może tego nie chciała, ale na pewno potrzebowała. Nie miał pojęcia, co tu robi sama bez najmniejszych harcerskich zdolności, ale skoro już się tu znalazła, postanowił być dżentelmenem. Unikał związków, nie lubił się angażować, nie miał na to czasu ni ochoty, ale przecież pomoc, okazana przygodnej kobiecie, nie jest żadnym angażowaniem. A czasu miał ile dusza zapragnie; w końcu był na wakacjach.

Jednak, pomimo obfitości wolnego czasu, nie zamierzał zaprzątać sobie głowy jałowymi rozważaniami, typu: dlaczego od momentu kiedy poznał tę kobietę, przeżywa istne huśtawki nastroju. Od wybuchów śmiechu, przez irytację, przygnębienie i bezsenność, po fatalizm i samozadowolenie opitego śmietanką kota…

A tak się właśnie uśmiechał – jak sprytny kocur – gdy wyobrażał sobie, jak rudzielec znajduje niespodziankę od niego, jak zaczyna się zastanawiać, rozglądać wokół z irytacją, niepewnością, a może i z nadzieją… Zefir leżał u stóp swego pana i chrapał. Od czasu do czasu Roman głaskał go po grzbiecie.

– Dobry Zefirek, sprytny, dobry… tobie też się spodobała, dobry, mądry piesek…

Julia siedziała na pomoście i przekonywała samą siebie, że dobre wychowanie wymaga, żeby podziękować. Nie prosiła o prowiant ani pomoc, ale podziękować

trzeba. Tylko jak? Nie chciała wyjść na taką, co się narzuca albo doprasza czegokolwiek. Dotknięcie zimnego nosa wyrwało ją z rozmyślań.

– Aaa, to ty piesku. I co tam u was słychać? – Przyglądała mu się w zastanowieniu. – Wiesz co, mam pomysł…

Zefir znowu szczekał jak opętany.

– Zamknij się, kundlu, ryby mi płoszysz! – Roman rzucił psu karcące spojrzenie. – I gdzieś ty znowu łaził? Chodź tu i zamknij się, słyszysz? Co cię napadło? No, uspokój się, mówię ci! A… co ty tu w ogóle masz?

Do obroży Zefira doczepiona był chustka do nosa, w którą z kolei zawinięty był list treści: „Dziękuję i zapraszam Czarne Stopy na kolację. Na ósmą".

Przygotowała jajecznicę z maślakami, kanapki, budyń i kawę zbożową. Gość zjawił się punktualnie. Pies też. Przynieśli wino.

Przedstawili się, przyjrzeli sobie na spokojnie. Pozytywne wrażenia zostały potwierdzone, a nawet – pogłębione. Na początku Julia odczuwała pewne skrępowanie, więc mówiła nieco za dużo; możliwe, że z tego samego powodu on mówił nieco mniej. Niemniej doszli do wniosku, że wyspa jest wystarczająco duża jak na nich dwoje. Nim się zorientowali, przesiedzieli i przegadali przy ognisku trzy godziny. Czas minął nie wiedzieć kiedy, a Zefir zasnął i zaczął chrapać. Wtedy Roman zerwał się, przeczesał palcami włosy i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Jak na pierwszy raz chyba wystarczy. Lepiej już pójdę, bo jak Zefir zaśnie na dobre, będę go musiał nieść po ciemku i po chaszczach.

Julia uśmiechnęła się w odpowiedzi, lecz spojrzeniem umknęła w bok, by ukryć dziwne uczucie żalu. Trochę to niesamowite, że tak dobrze czuła się w towarzystwie człowieka, którego ledwie znała, a ledwie dobę temu kazała mu się wynosić do wszystkich diabłów. Czemu teraz chciała, żeby został jak najdłużej?

Smutek nie trwał długo.

Od tamtego wieczora spotykali się często. Nikt się nikomu nie narzucał, ale też nikt nikogo nie unikał. Wspólne kolacje stały się tradycją kultywowaną raz na plaży, raz przed chatą. Julia zbierała grzyby i jeżyny, Roman przynosił oprawione ryby, a po świeży chleb i inne wiktuały płynęli łodzią do wsi. Tu Roman wymieniał złowione ryby na mleko, jajka, chleb, wędzonkę i ser. Julia lubiła te wyprawy. Nie dość, że czuła się niczym donna wożona gondolą, to na dodatek Roman, choć nie śpiewał, pięknie wyglądał, gdy mu się nad wiosłami prężyły bicepsy i mięśnie kapturowe piersi. Ona czuła się wtedy bardzo kobieco, on wyglądał bardzo męsko. I nie mogło być nic bardziej naturalnego niż te odczucia i wrażenia, których nie psuły żadne feministyczne przesądy.

Mieli szczęście, trafił im się wyjątkowo ładny sierpień. Mogli się opalać, to znaczy Roman mógł, bo Julia natychmiast piekła dramatycznego raczka, więc Roman zmajstrował coś w rodzaju parasola przeciwsłonecznego; mogli się kąpać prawie codziennie, bo oboje, jak się okazało, umieli świetnie pływać, a Julia, ku szczeremu zaskoczeniu Romana, nie miała nic przeciwko moczeniu głowy, nurkowaniu i skakaniu na główkę z pomostu. Mogli też, w trakcie kąpieli wodnych i słonecznych, bezwstydnie się sobie przyglądać i to, co widzieli, podobało im się coraz bardziej. Roman, który do tej pory nie miał ulubionego typu urody kobiecej, coraz bardziej się przekonywał, że niewysokie, rudowłose damy, nieco przewrażliwione na własnym punkcie, o opływowych, miłych dla oka kształtach, skórze białej jak mleko i wybuchowym temperamencie, to jest to, co lubi, a nawet bardzo. A Julia uznała, że czy chce, czy nie chce, przyprawia ją o dreszczyk podniecenia widok wysokiego, szczupłego mężczyzny, który – swoją siłą, ironicznym dowcipem, szybkością ripost, ogorzałą opalenizną i intrygującą elastycznością w stosunku do niej – przywodził na myśl rzemień.

Grali także w szachy, przy których towarzystwo nawet tak miernego gracza jak Julia stanowiło urozmaicenie, bo do tej pory Roman grywał wyłącznie z Zefirem.

A najdziwniejsze, że Roman zabierał Julię na ryby. Nigdy, nawet w najgorszym koszmarze, nie brał pod uwagę towarzystwa kobiety w trakcie wędkowania; ale też nigdy, nawet w najpiękniejszym śnie, nie mógłby sobie wymarzyć kobiety, która z takim przejęciem, talentem i… milczeniem umiałaby łowić ryby. To milczenie było tym dziwniejsze, że z reguły Julia mówiła całkiem sporo, pytlowała z sensem i bez sensu, nie każąc się słuchać, ale i nie tracąc uwagi słuchacza. I tylko gdy coś złapała, nie mogła powstrzymać radosnych pisków i krzyków. Nie znosiła też oprawiania złowionych ryb, choć lubiła je zjadać, zwłaszcza smażone okonie jej smakowały, ale Roman nie narzekał. Te ciche godziny spędzone na łowieniu wiązały ich silniej, niż sobie z tego zdawali sprawę…

Z czasem, licząc od pierwszego wspólnego wieczoru, liczba słów i wyznań między nimi wyrównała się; jednak miało już tak pozostać, że on bardziej słuchał, a ona więcej mówiła, że on bardziej milczał, a ona więcej się domyślała. I zwierzała się za niego, a on potakiwał z wdzięcznością. Jakby niektórych słów nie znał, niektórych dawno nie używał, a inne z ochotą zapomniał.

Nie psuli swojej przyjaźni żadnymi romantycznymi bzdurami. Nie zalecali się do siebie, nie czynili aluzji, nie tęsknili po nocach, nie zamartwiali się, co dalej. W każdym razie tak im się wydawało. Byli rozsądni, koleżeńscy i dużo się śmiali. Po co to psuć jakimiś wyznaniami, trzymaniem się za ręce i pocałunkami, które do niczego dobrego nie prowadzą? Owszem, zdarzyło się, że Roman przytrzymał Julię w talii, gdy pokazywał jej jacht, a ten zachybotał się niebezpiecznie. Julia oparła się wtedy o niego całym ciałem i czuła się w jego objęciach bardzo dobrze, a on z kolei wcale nie spieszył się, żeby ją puścić. Ale to był tylko incydent. Tak samo jak wtedy, gdy Roman zrobił jej głupi dowcip i długo nie wypływał po zanurkowaniu. Julia

krzyczała, szukała go pod wodą i na brzegu. Kiedy wreszcie wypłynął, zrzuciła się na niego ze złością, pięściami i niemal z płaczem. Krzyczała, że mało nie umarła przez niego na zawał, że taki stary, a taki głupi, że zachowuje się jak szczeniak, gorzej, bo Zefir by nie był taki głupi! Ze strachu i bezradności chciała mu przyłożyć pięściami, ale pochwycił i przytrzymał jej dłonie na swoich piersiach. Zamilkli oboje. Jej serce waliło, jego pierś unosiła się w szybkim oddechu… i tylko patrzyli na siebie. Tak długo, tak znacząco, że aż się wystraszyła. Wzruszyła ramionami, prychnęła i uciekła w wodę.

Ale to były nic nieznaczące drobiazgi. Kiedy dwoje dorosłych ludzi płci przeciwnej znajdzie się razem w odosobnieniu, bez zakłóceń w postaci innych ludzi czy zmian otoczenia, wówczas jakieś seksualne drgania muszą się wytworzyć, jakaś intymna nić musi ich połączyć, ale to natura, fizjologia, to nic nie znaczy… W każdym razie tak im się wydawało.

Wspólne dwa tygodnie minęły równie niepostrzeżenie jak te trzy pierwsze godziny spędzone przy ognisku – nie wiedzieć jak, nie wiedzieć kiedy, nie wiedzieć dlaczego… już…? Już?!

Julia pakowała się i szczebiotała jak szczygieł. O pogodzie, o wietrze na jeziorze, o Zefirze, o psach w ogóle, o kotach…

– Przestań! – Roman westchnął. – Usiądź. – Załapał ją za rękę i pociągnął na stołek. Sam już siedział za stołem, o który wspierał się ciężko. – Mnie też nie jest łatwo…

– Ale niby dlaczego? Nie rozumiem… – Tylko spojrzał na nią spode łba. – No, dobrze… – Przestała udawać. – Tylko co teraz? Boże, co teraz? Nie myślałam, nie spodziewałam się… To zabawne, nawet żeśmy się nie całowali…

– Możemy to zrobić teraz – zaproponował grobowym tonem. – Żeby się upewnić.

– Żeby się upewnić, powiadasz… – Julia przyglądała się jego napiętej twarzy, szarozielonym oczom, wąskim ustom, teraz zaciśniętym jeszcze mocniej niż zwykle, ale przecież potrafiły się uśmiechać te usta… Ona też uśmiechnęła się bezwiednie, widząc zmarszczki wokół ust i oczu, tym wyraźniejsze, że na tle żeglarskiej opalenizny. Przeniosła wzrok na zmarszczone troską czoło, na posiwiałe gdzieniegdzie włosy… – Wiesz, ja chyba nie muszę się upewniać – wyznała – ale jeżeli ty chcesz…

Jak zwykle zadziałał błyskawicznie. Zgarnął ją ze stołka i wciągnął na swoje kolana. Mieściła się na nich bez trudu. Objął ją w pasie jedną rękę, a drugą dotknął zarumienionego policzka.

– Julka, czego ty mi zadałaś? – wyszeptał, ale już nie czekał na odpowiedź. Całował ją zachłannie, bez delikatnych powitań i nieśmiałych zachęt. Jakby czekał na to od dawna, jakby czekał za długo. Ale ona się nie broniła. Całowała go z równą zachłannością. Wplatała palce w jego włosy, tuliła się do niego, obsypywała pocałunkami jego twarz, by za chwilę znowu gubić się w gwałtowności, która wiązała i naznaczała. Z nikim tak się nie całowała, choć skończyła trzydzieści lat. Nigdy z nikim nie czuła się tak blisko, tak bardzo… i tak się bała, tak się bała! Bo jeżeli ją teraz odtrąci, to co wtedy? Należała do niego, udowodnił to, choć przecież i tak wiedziała…

Ukryła twarz w zgłębieniu jego szyi i skuliła się na jego kolanach. Objął ją i przytulił, mocno, bardzo mocno.

– To się nie zdarza każdemu, wiesz, takie prawdziwe, mocne i dogłębne, wiesz, nie każdemu… – szeptał w jej włosy cicho i łagodnie, jakby uspokajał przerażone dziecko. Pogłaskał ją po głowie. – Nie każdy ma takie szczęście albo takiego pecha, nie każdemu się to zdarza…

– Ale nam się zdarzyło! – krzyknęła, wyrywając się z jego objęć. Stanęła, gotowa bronić się, gotowa walczyć. – Nie prosiłam o to, wiesz, wcale mi to nie było

potrzebne! Ty mi nie byłeś potrzebny. Nie jestem jeszcze gotowa, wiesz, nie jestem… A teraz co? A teraz jest już za późno! I co ja mam teraz zrobić? – Zbladła, łzy pojawiły się w kącikach niebieskich oczu. – Co ja mam teraz zrobić…? – Głos jej się załamał, pociągnęła nosem.

– Pojedź ze mną – powiedział to takim tonem, jakby sobie wszystko przemyślał.

– Tak po prostu? Mam wszystko rzucić i polecieć za tobą na jedno gwizdnięcie? – Wzięła się pod boki. Złość jak zwykle zarumieniła jej policzki, starła bladość i strach.

– Nie baw się w demagogię i nie wyjeżdżaj z tymi feministycznymi bzdurami – usadził ją. – Po prostu pojedź ze mną. Nie kombinuj, nie przetrawiaj, tylko się zdecyduj, no dobrze, przyznaję, zaryzykuj, ale… co cię powstrzymuje? Matka, która wiecznie cię krytykuje, praca, której nie znosisz, koledzy, którzy cię zostawili? No co? A co przemawia za tym, żebyś pojechała ze mną i spróbowała, choć spróbowała, jak nam będzie…

– Wszystko! – wyrwało jej się i zaraz dziwnie osłabiona opadła na stołek. Ukryła twarz w dłoniach i milczała. Spoglądała na niego przez palce zawstydzona i zakłopotana. Wreszcie wymamrotała: – Ale to jest takie niemęskie, takie babskie, słabe, takie typowe, że ja za tobą, takie…

– Najbardziej właściwe w tej sytuacji – podsumował.

Otarła twarz i jeszcze raz przyjrzała mu się uważanie. Nie ma niczego pewnego na tym świecie, zwłaszcza jeżeli idzie o uczucia. Ale musiała widzieć chociaż cień szansy…

Nie uśmiechał się, gdy poddawała go tej niemej próbie. Nie przymilał się, nie dotykał jej, by w ten sposób przeważyć szalę na swoją korzyść. Był poważny, niemal surowy, może trochę… wystraszony. I ten lęk ją przekonał. Może się bał, że odmówi, może obawiał się, jak to będzie. Ale i ona tego nie wiedziała. Natomiast przez tych kilka ostatnich nocy, które spędziła na słuchaniu sów, świerszczy i żab, na

przenoszeniu się z siennika na siennik, dowiedziała się o sobie jednej rzeczy: bała się, strasznie się bała, że znowu zostanie sama.

– Nie chcę być już sama… – wyznała cichutko.

– Ja też, ja też już dłużej bym nie potrafił… I chodź tu zaraz do mnie!

Andrzej Paczkowski

SEKRET

Tego dnia wstaje mi się ciężko. Z tygodnia na tydzień pogarsza się mój stan zdrowia. Ale czego się spodziewać po mężczyźnie w wieku przeszło dziewięćdziesięciu lat!?

Zanim wstanę, długo leżę, by życie wraz z krążeniem wróciło do zesztywniałych, zdrętwiałych członków. Nogi nie słuchają mnie już tak jak za czasów młodości. Ręce potrafią wykonać celowy ruch dopiero po długim porannym ćwiczeniu. W kościach mi strzela jak w rozpalonym kominku, kiedy ogień liże grube polana, otulając je swoimi ramionami.

Po półgodzinie wreszcie udaje mi się podnieść. Najpierw siadam na łóżku, powoli, ostrożnie, bo czasami potrafi mi się nieźle zakręcić w głowie. Kiedy stwierdzam, że dzisiaj obędzie się bez zawrotów, opuszczam nogi na zimną podłogę, stopy szukają kapci. Potem seria rozciągnięć, ziewnięć, trochę dodatkowych ruchów dłońmi, kilka jęków, stęków, geriatrycznych trzasków dobywających się spod przeświturającej starczej skóry – i mogę wstać. Dziś minęła niemal godzina od przebudzenia. Każdego dnia zabiera mi to coraz więcej czasu!

Przytrzymując się ścian i mebli, człapię do ubikacji. W domu panuje potworne zimno, bo w piecu dawno wygasło, a nie było komu napalić. Co prawda, przyzwyczaiłem się do życia w chłodzie, jednak zima tego roku mocno daje mi się we znaki. Firanki poruszają się jak fale na morzu, ponieważ okna nie są zbyt szczelne; nie pomaga nawet koc leżący na parapecie. Na łazienkowej szybie, od strony wewnętrznej, rozrosła się gruba warstwa lodu. Para mojego oddechu zamienia się w gęsty obłok.

Z łazienki wędruję do kuchni. Wstawiam wodę i parzę cały dzban herbaty z dzikiej róży. Z trudem odkrawam kromkę czerstwego chleba, zasiadam do stołu i zjadam pajdę wraz z kiełbasą, której już nie miałem ochoty podgrzewać. Całość zapijam herbatą osłodzoną lipowym miodem. Ciepło przyjemnie rozlewa się po skostniałym ciele…

Po śniadaniu jakoś udaje mi się umyć naczynia – w lodowatej wodzie, ponieważ mieszkam w bardzo starym budownictwie, pozbawionym nie tylko centralnego ogrzewania, ale także dostępu do ciepłej wody.

Przechodząc do pokoju, włączam grzejnik stojący w pobliżu skórzanego fotela. Siadam ciężko i pilotem, leżącym na szerokim podłokietniku, uruchamiam telewizor, by obejrzeć poranne wiadomości. Po półgodzinie w zamku chrobocze klucz, potem słyszę charakterystyczny, długi skrzek otwieranych drzwi, wreszcie odgłos zamykania.

– Dzień dobry! – krzykiem oznajmia swe przybycie Krystyna, moja pomoc domowa.

Odpowiadam, dopiero gdy wchodzi, już przebrana w swój kwiecisty fartuch i gotowa do pracy.

– Ależ tu zimno, panie Vacławie. Pan tu kiedyś jeszcze zamarznie, mówię panu.

Każdego dnia, wchodząc do mojego pokoju, mówi to samo

Krystyna to kobieta po pięćdziesiątce, o ciemnych, krótko przystrzyżonych włosach i pełnej twarzy. Posiada zdecydowanie kobiece kształty i poczciwe oczy. Człowiek o takich oczach nigdy nie będzie w stanie uczynić bliźniemu niczego złego.

– Niech pani naleje nam nalewki, pani Krysiu. Dla rozgrzania. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby pani mi tutaj zamarzła.

– Przecież pan wie, że ja nie piję! – żacha się dla zachowania pozorów. Od lat to taka nasza wspólna gra. Wiem, że pić, to ona nie pije, ale kieliszkiem nalewki jeszcze nigdy nie pogardziła. Zwłaszcza zimą.

– Wiem, wiem. Jednak jestem pani pracodawcą, więc nalegam, by nalała nam pani tej nalewki i dotrzymała mi choć przez chwilę towarzystwa.

Pani Krystynie wystarcza taki argument; teatralnie wzdycha, mówiąc:

– Oj, panie Vacłavie, panie Vacłavie, co ja z panem mam…

Ale posłusznie otwiera stary kredens, rozlega się brzdęk szkła, a potem gosposia przynosi na srebrnej tacy dwa pełne kieliszki.

– Poczeka pan jeszcze momencik, jeżeli już mam tu z panem siedzieć.

I pospiesznie bierze się za rozpalanie w piecu, co zabiera jej jakieś pięć minut. Potem, gdy już ogień pali się, aż huczy, siada w drugim fotelu z westchnieniem ulgi.

– No, to się napijemy!

Podaje mi kieliszek, stukamy się z słowami „na zdrowie”, i kosztujemy trunku. Kiedyś nalewki robiła moja babcia z Szumawy, potem pałeczkę przejęła mama. Te od babci już dawno stały się tylko wspomnieniem. Mamine schowałem w piwnicy; wystarczą jeszcze na długie lata, do śmierci będę mógł się nimi delektować. To jedyna, zamknięta w smaku, pamiątka po mojej matce. Kiedy upijam łyczek, jakby czas się zatrzymywał. W oddali słyszę śmiech matki…

Widzę ją tak wyraźne, jakby dopiero wczoraj odeszła z tego świata. A nie było jej już czterdzieści lat! Nie ma bliższej człowiekowi osoby od matki; czy kocha swoje dziecko, czy nie, pozostawia w nim swój ślad, a kiedy odchodzi, żyje w nim w postaci gestów, mimiki, wspomnień, odczuć, wrażeń, czasem smaku właśnie…

– Dobra ta nalewka, panie Vacłavie. – Krysia uśmiecha się ciepło.

– Dobra, bo od mamy – odpowiadam.

– Musiała być niezwykłą kobietą.

– Taka właśnie była…

Rozmawiamy. W tle towarzyszy nam telewizor, oczywiście z wyłączonym głosem.

– To po jeszcze jednym? – pytam, czując, jak energia wraca do zziębniętego ciała.

– Ale ostatni! – zaznacza pani Krysia z palcem podniesionym w górę.

– Twarda z pani sztuka.

– W męskim świecie my, kobiety, musimy być twarde. Nie mamy innego wyjścia.

Uśmiecham się do niej. Znamy się już tyle lat, ale nigdy nie przekroczyliśmy niepisanych zasad, w myśl których dotąd nie przeszliśmy na ty – dobrze nam w takim właśnie układzie. Szanujemy się nawzajem, ona pomaga mnie, a dzięki temu ja pomagam jej.

I tylko pani Krysia zna moją tajemnicę…

– A więc kolejne walentynki? – Mruga porozumiewawczo.

Potakuję z uśmiechem.

– Kolejne. Czy przygotuje pani wszystko?

– Jak każdego roku, kochany panie. Może pan na mnie polegać.

Dzień mija jej na sprzątaniu. W mieszkaniu robi się ciepło, lód znika z szyb.

Po południu, po wcześniej ugotowanym obiedzie, pani Krysia odchodzi; ma jeszcze jedno zadanie do wykonania.

– To do zobaczenia za dwie godziny. Proszę uważać na siebie, na zewnątrz ślizgawica.

– Niech się pani o mnie nie martwi. Ważne, by wszystko było przygotowane tak, jak powinno.

– O to nie musi się pan kłopotać – zapewnia i odchodzi.

Włączam radio. Grają wyłącznie powolne piosenki, w końcu to dzień zakochanych, nie ma się czemu dziwić. A ja w gruncie rzeczy jestem romantykiem, więc rad słucham tych spokojnych ballad.

Siedzę teraz blisko okna, odciągnąłem firany. Lubię popatrzeć każdego dnia na świat widoczny z okna, chcę wiedzieć, jak żyją ludzie. Moje mieszkanie znajduje się na nabrzeżu Małej Strony w samym sercu Pragi. Okna wychodzą wprost na rzekę Wełtawę, na którą dziś powoli pada śnieg i znika w ciemnej głębinie. Na wprost widzę Teatr Narodowy ze swoją złotą kopułą, sławną restaurację Slavia, a gdybym tak lekko wychylił się za parapet, zobaczyłbym most Karola w całej krasie.

W ten sposób upływają mi prawie dwie godziny. Ściemnia się. Na szczęście poranne dolegliwości zupełnie ustąpiły. Czuję się o parę dziesiątek lat młodszy. Nie tylko z powodu nalewki i ciepła w domu. Również dlatego, że dzisiaj jest ten wyjątkowy dzień.

Kiedy odchodzę od okna, dzwoni telefon. Domowy, nie mam komórki. Za stary jestem.

– Tato? Witaj. Jak się masz?

To mój syn, Jirka. Dokładnie o tej samej godzinie, każdego dnia. W moim życiu bowiem wszystko jest zaplanowane, toczy się zawsze tak samo.

– Jirko… – mówię do słuchawki takim głosem, jakbym zwracał się do małego dziecka, tymczasem Jirka ma już pięćdziesiąt zim za sobą, założył własną rodzinę, został nawet dziadkiem. Dla mnie jednak pozostanie chłopcem, to się nigdy nie zmieni. Darzę go wielką miłością, bowiem z miłości jest spłodzony. Kocham go, ponieważ jest częścią mnie oraz kobiety, z którą spędziłem większość swojego życia.

– Tato? Stało się coś? – pyta, gdy zbyt długo milczę.

– Nie, nie, wszystko w porządku. Coś mi tylko w gardle… wiesz, jak to jest.

Jirka jest zaniepokojony, jak każdego dnia. Martwi się o mnie. Role się odwróciły. Już nie muszę się nim opiekować, choć instynkt ojcowski nadal czai się gdzieś we mnie – pojawił się i nigdy do końca nie zniknął od chwili jego narodzin. Choć teraz Jirka opiekuje się mną. Przyjmuję to z pokorą, takie życie. Najpierw

troszczymy się o dzieci, chronimy je, wychowujemy, a potem dzieci opiekują się nami. Teraz ja zamieniałem się w dziecko.

Życie jest naprawdę dziwnie skonstruowane. Nie zawsze je rozumiem.

Wiem jednak jedno: wszystko w życiu wraca, odbija się jak światło w lustrze. Jeżeli dbasz o kogoś, ktoś kiedyś zadba o ciebie. Jeżeli nienawidzisz kogoś, ktoś znienawidzi ciebie. Jeżeli skrzywdzisz bliźniego, to i ciebie spotka, prędzej czy później, krzywda ze strony drugiego człowieka.

Między mną a synem relacje się właśnie odwróciły: przyszła kolej na niego. I dobrze, tak jest naturalnie, po ludzku. Tak po prostu ma być. Bo o to właśnie w tym życiu chodzi: by nauczyć się być człowiekiem.

Kiedyś powiedziałem Jirkowi:

– Powinieneś mnie oddać do domu starców. Niedołężnieję, nie mogę zajmować się sobą, jak to robiłem kiedyś, wymagam coraz większej opieki. A ty masz przecież swoje życie. I widzę, jak ci ciężko, jak czasu brak…

– Tatku… – odpowiedział, klękając i wtulając twarz w moje stare kolana otulone kocem. – Przecież by mi serce pękło, gdybym cię miał obcym ludziom pod opiekę oddać.

– Przysięgnij, że kiedy już nie będziesz miał sił i kiedy stanę się zbyt wielkim obciążeniem dla ciebie i twojej rodziny…

– Nie!

Teraz przypominam sobie tamtą rozmowę i myślę: mój syn mnie kocha, martwi się o mnie.

– Mam się dobrze, Jirzyku. Wszystko w porządku – powtarzam.

– Będziemy u ciebie jutro. Petra ugotuje obiad, zjedziemy się wszyscy, jak za starych dobrych czasów. Dzwoniłem do cioci Jany, również się pojawi.

– Toż to zjazd rodzinny! – wykrzykuję.

– Jak każdego roku, zawsze po walentynkach – mówi.

Taką mamy tradycję. Jednak nie zawsze udaje się wszystkim pojawić tego dnia, ten jeden raz w roku, nie licząc Wigilii oczywiście. Jutro mój dom znów zatętni życiem. Jak za dawnych czasów…

– Cieszę się…

– My również. Pani Krysia jest?

– Jest, jest – kłamię, bo przecież jej nie ma. – Wszędzie jej pełno.

– Nigdy nie zawiedzie. – Czuję, że mój syn się uśmiecha.

Rozmawiamy jeszcze o jego pracy i umawiamy się na konkretną godzinę. Potem syn rozłącza się, a ja stoję i patrzę dobrą minutę na milczącą słuchawkę. Wreszcie odkładam ją na aparat.

Wybija godzina dziewiętnasta. A więc czas na mnie. Ubieram się i po zamknięciu drzwi na klucz, wychodzę na zewnątrz. Śnieg przestał sypać, nadal jest jednak zimno, mróz od razu zaczął szczypać w nos i wdzierać się pod ubranie.

W pobliskiej kwiaciarni kupuję bukiet czerwonych róż, a potem, wspierając się na lasce, idę powoli do Kampy, gdzie mieści się ulica Winogronowa.

Przystaję i zerkam w jedno z okien. Tam, za tymi białymi firankami, spędzę dzisiejszą długą noc. Już od wielu lat świętuję tak każde walentynki, bo to dla mnie dzień szczególny, najważniejszy w całym roku.

Pani Krysia otworzyła drzwi, wpuszczając mnie do ciepłego wnętrza.

– Jakie piękne kwiaty, panie Vacławie. Na pewno się spodobają.

Mam taką nadzieję.

– Wszystko już gotowe. W kominku ogień, wystarczy tylko czasem dorzucić kawał drewna, żeby nie wygasło. Jest tak jak zawsze, jak pan lubi.

– Nie wiem, jak pani dziękować… – mówię wzruszony.

– Nie musi pan dziękować. Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo – odpowiada, narzucając na siebie płaszcz.

Wychodzi.

Wcale nie jestem przekonany, że każdy potrafiłby zrobić dla mnie tyle co ona. Już samo utrzymanie sekretu świadczy, iż pani Krystyna jest osobą godną zaufania. Do tego wyrozumiałą, dyskretną i pełną współczucia.

Wchodzę do pokoju w którym cicho rozbrzmiewa muzyka Chopina: Nokturn f-moll op. 55 nr 1. W czasach swej młodości grałem go namiętnie na pianinie, oczywiście amatorsko. Ale już nie te palce.

W kominku płonie ogień. Jest ciepło i przyjemnie, a mnie nie pozostaje nic innego, jak tylko czekać.

Mijają długie godziny, w trakcie których może nawet zdrzemnąłem się raz czy drugi, aż wreszcie zegar wybija dwunastą. Otwieram szeroko oczy. A więc nastał czas!

Dorzucam do kominka. Słabnący już płomień nagle rozbłyskuje mocniej, rozjaśniając pokój. Chopin wciąż gra swój nokturn, któryś raz z kolei. Okrążam stół, a wtedy gdzieś w ciemności rozlegają się ciche kroki.

Stoję nieruchomo, pewnie, z nadzieją w oczach. Nie denerwuję się, jak kiedyś się zdarzało, po prostu czekam z radością. Wreszcie otwierają się drzwi. Staje w nich ona, najpiękniejsza kobieta, jaką ziemia nosiła. O całe dwadzieścia lat młodsza ode mnie. Wpatruje się we mnie z taką miłością. Minął długi rok, od kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. A jednak nic się nie zmieniła, jakby nie było tych miesięcy. Tak, ona wygląda zupełnie tak samo. Jedynie ja się postarzałem. Ale nie wątpię, że darzy mnie tak samo szczerym i głębokim uczuciem jak za dawnych lat.

– Witaj… – szepczę.

Uśmiecha się czule. Nie musi nic mówić, rozumiemy się przecież bez słów. Podaję jej bukiet róż. Znowu odpowiada uśmiechem. Hana całe życie uwielbiała róże. Wiem, że jej się podobają, znam ją bardzo dobrze. Tak jak ona mnie.

Opieram laskę opartą o stół, podchodzę do niej i zamykam w objęciach, wdychając jedyny w swoim rodzaju zapach, za którym nigdy nie przestanę tęsknić.

– Tak długo… – Wtulam swoją starczą twarz w jej ciemne włosy, też gdzieniegdzie przetykane pasemkami siwizny.

Patrzę na jej jasną, długą suknię, szczupłą talię przepasaną kremowym paskiem, na buty z małym obcasem i kameę, którą dostała ode mnie – właśnie w tym pokoju, kiedy oboje byliśmy młodymi, pełnymi życia ludźmi. Ja miałem twarz pozbawioną zmarszczek i jędrne, silne ciało; ona była jeszcze piękniejsza, delikatniejsza i taka pełna wiary we mnie. Przed sobą mieliśmy cały świat! Czekało nas wspólne życie…

Całe dziesiątki lat temu…

Zasiadamy do stołu. Napełniam kieliszki nalewką mojej mamy, wznosimy bezgłośny toast. Siedzimy w milczeniu, nie odrywając od siebie wzroku. Godziny mijają, dźwięki nokturnu Chopina wciąż nam towarzyszą; ogień gaśnie, ale tego nie zauważamy, bo w tym czasie znajdujemy się tysiące lat świetlnych stąd, tam, gdzie to wszystko się zaczęło. W czasach naszej młodości.

Jak w transie odchodzimy od stołu i tańczymy na środku pokoju. Tej nocy nic mi nie dolega, nie odczuwam żadnego bólu. Tej nocy znów jestem młody. Tej nocy kocham całym sercem, i tylko żal mi umykającego czasu, życia, które bywa nieraz tak okrutne, tak niesprawiedliwe, rozdzielając ukochanych…

Ale na tym polega tajemnica ludzkiego losu: nigdy nie możemy być pewni jutra.

Praga śpi. Za oknem pada śnieg. Tak cicho. Tak przyjemnie. Zdaje mi się, że na tym pięknym, spokojnym świecie jesteśmy tylko my. I nikt więcej.

A potem nastaje świt.

W pokoju panuje chłód. W butelce zostało trunku tylko na ostatni kieliszek. Zupełnie nie odczuwam zmęczenia. Może czas ze mnie zakpił i na powrót uczynił młodym człowiekiem? Spoglądam na ręce. Te nie kłamią – zdradzają mój prawdziwy wiek.

Hana wie doskonale, jakie myśli kłębią się w mojej głowie. Czyta w nich jak w otwartej księdze. Zna mnie przecież dobrze, jak nikt inny.

– Czas na mnie – zwracam się do niej.

Bóg mi świadkiem, że nie chcę odchodzić. Z roku na rok jest mi coraz ciężej oprzeć się pokusie pozostania z nią. Ale nie mam wyboru, Hana nie godzi się, bym z nią został. Daje mi jedną noc w roku. Tylko jedną. Na więcej nie może sobie pozwolić. Więcej nie mógłbym od niej wymagać. Zbyt wiele ją to kosztuje.

Gdybym został, byłoby mi zdecydowanie lepiej. Tak bardzo chciałbym już zostać z nią na zawsze, po prostu przestać myśleć, czuć, zapomnieć o wszystkim. Byle tylko być z nią.

– Nie nadszedł jeszcze twój czas. – To pierwsze słowa, jakie wypowiada tej magicznej nocy.

Narzucam na siebie płaszcz, owijam szyję szalem, wkładam na głowę czarny kapelusz i jestem gotowy do wyjścia.

– A więc znów za rok, kochana…

Zamykam za sobą drzwi, zostawiając ją w środku samą.

Robię parę kroków, w dziewiczym śniegu wydeptując swoje ślady. Zatrzymuję się, odwracam i spoglądam w okno. Stoi w nim Hana. Moja żona. Druga połowa mojego złamanego serca, za którą tęsknię już od tylu lat.

Potem patrzę, jak Hana podnosi rękę i kiwa mi na pożegnanie, później rozpływa się za szybą, znika, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

Dwadzieścia lat temu, w domu na ulicy Winogronowej, jakiś zdradzony przez kobietę szaleniec strzelił mojej Hanie prosto w serce, a potem sam się zabił. Znalazłem ją właśnie w tym pokoju, w którym spędziłem z nią dzisiejszą noc. Pogrążony w smutku, tkwiłem w nim zamknięty przez cały rok, a kiedy nadeszła rocznica jej śmierci, Hana ukazała mi się po raz pierwszy. Odtąd przychodziła każdego roku, zawsze w dzień świętego Walentego. Zawsze tylko na tę jedną noc.

Przez dwadzieścia lat opłacałem to mieszkanie i nikt poza panią Krystyną o tym nie wiedział. Zaufałem tylko jej.

Nigdy nie zdradziła mojego sekretu.

I tak już miało pozostać.

Grzegorz Krzyżewski

TERCET

Jak się poznali

Billy poznał Laurę przed miłym pubem o magicznej nazwie *Siódemka*, w centrum miasta. Tego wieczora bawił się tutaj w większym gronie. Dopiero minęła dwudziesta, a on był już na lekkim rauszu, dlatego zamierzał wyjść na zewnątrz i pospacerować parę minut, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Skinął znajomym na pożegnanie – i wtedy odezwała się blondynka, siedząca razem z nimi.

– Eeej… Biiillly, pamiętasz, co mi obiecałeś? – wybełkotała. Widać było, że ma już nieźle w czubie.

– Tak, jasne… spoko – odpowiedział. Wcześniej obiecał jej masaż. Wpadła mu w oko, od razu gdy się do nich przyłączyła. Wypili kilka głębszych i zaczęli flirtować. Billy, dwudziestopięcioletni wysoki chłopak o niebieskich oczach, podobał się dziewczynom. Całe szczęście, że kumpel uświadomił go w temacie wieku blondyny, bo okazała się sporo młodsza od niego. Właściwie niepełnoletnia. To ostudziło jego zapał. Dlatego zbywszy ją, wstał od stolika i ruszył do wyjścia.

„Pieprzona smarkula… chwila przyjemności z taką, a potem odsiadka” – pomyślał zdegustowany. W drzwiach wpadła na niego jakaś dziewczyna.

– Hej! Mogłabyś uważać! – krzyknął do niej.

– Przepraszam… bardzo przepraszam – bąknęła zmieszana. Zaglądała do środka lokalu, jakby kogoś wypatrywała.

Chłopak przyjrzał się jej uważnie. Ze dwadzieścia lat, ładna buzia, ciemne, kręcone włosy. Ubrana była w spodnie typu biodrówki i krótką, rozpiętą kurtkę, pod którą założyła obcisłą bluzkę tej samej długości, podkreślającą wydatny biust. Przez

ramię przewiesiła niewielką torebkę. „Ładna jesteś, gdybyś tylko schudła parę kilo… Za to cyce masz całkiem, całkiem…" – ocenił w duchu Billy, patrząc na nią. Nie była przesadnie gruba, ale gdyby rzeczywiście zrzuciła kilka kilogramów, zrobiłaby się z niej naprawdę niezła laska.

– Gdzie się tak spieszysz? Ktoś cię goni? – spytał. Choć w pierwszej chwili skreślił nieznajomą z listy potencjalnych partnerek, to im dłużej jej się przyglądał, tym bardziej mu się podobała. Poza tym był przecież wstawiony. Tak czy inaczej postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o „ładnej cycatce", jak nazwał ją w myślach.

– Nie, nic się nie stało – odpowiedziała. – To znaczy mam taką nadzieję, że nic się nie stało. Szukam swojej współlokatorki, ma na imię Grace. Znasz może Grace? Bywa tu czasem.

– Nieee, nie znam żadnej Grace – odpowiedział zgodnie z prawdą i zaraz dodał z lekkim uśmiechem: – Jak chcesz, to mógłbym ją zastąpić.

– Proszę cię, nie żartuj. Szukam jej, bo trochę się posprzeczałyśmy i wkurzona wybiegła z mieszkania.

– Spokojnie, na pewno nic się nie stało. Czemu szukasz jej akurat tutaj? – Billy nabierał coraz większej ochoty na bliższe poznanie „cycatki".

– To nasz ulubiony pub. Często tu przesiadujemy. A ty? Chyba pierwszy raz cię tu widzę…

– Ja ciebie również. Wiesz, powiedzieć, że jestem stałym bywalcem, to przesada, w końcu w tym mieście są też inne fajne knajpki, ale zaglądam tu przynajmniej raz w tygodniu. Ale swoją drogą to trochę dziwne, że nigdy na siebie nie wpadliśmy, nie sądzisz?

– Dzisiaj to ja na ciebie wpadłam – sprostowała i roześmiali się oboje.

– Może powinnaś wejść do środka i rozejrzeć się za… Jak ma na imię twoja…

– Grace – przerwała Billy'emu. – Oczywiście, masz rację, zajrzę do środka.

– Zaczekam tu na ciebie – powiedział.

Dziewczyna kiwnęła głową. Gdy zniknęła za drzwiami pubu, wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę swoich ulubionych Marlboro. Wyjął papierosa i włożył do ust. Przypalił, zaciągnął się głęboko i usiadł na pobliskiej ławce. Rozmyślał o tajemniczej Grace. Jak wyglądała? Czy była ładniejsza od swojej współlokatorki? Czy miała równie duże cycki? Lubił duże.

Właśnie zdał sobie sprawę, że nie zna imienia dziewczyny, która szukała tej całej Grace. Z zamyślenia wyrwał go głos nieznajomej.

– Nie ma jej… – Westchnęła cicho.

Chłopak wstał, wyciągając rękę.

– Sorki, nie przedstawiłem się. Billy jestem.

– Laura. – Dziewczyna delikatnie uścisnęła jego dłoń. – Nie ma jej i dzisiaj w ogóle nie było. Pytałam barmana.

Usiadła na ławce obok niego. Wyjęła z torebki paczkę Marlboro Light i włożyła jednego papierosa do ust. Zaczęła szukać zapalniczki. Znając porządek panujący w damskich torebkach, Billy szybko podał jej ogień. Gdy nachyliła się do zapalniczki, chłopak zerknął w stronę jej tyłka, wylewającego się ze spodni. Rozbawił go widok różowych stringów.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się, wydmuchując powoli dym.

– Grace ma chłopaka? Może jest właśnie u niego… – zasugerował.

– Tak, ma. To znaczy… są teraz w separacji, z czego ja akurat się cieszę.

– Tak? A to dlaczego? – drążył temat Billy.

– Bo to chuj i palant! – warknęła Laura. Ze zdenerwowania zadrżała jej ręka, w której trzymała papierosa.

– Spokojnie. Chciałem tylko pomóc.

„Co z niego musi być za typ?” – pomyślał.

– Pomóc? – zdziwiła się. – A czemu chcesz pomagać obcej dziewczynie?

– Hm… no, już nie takiej obcej, poza tym… – zawiesił głos – podobasz mi się.

– Akurat! – parsknęła kpiąco, ale uśmiechnęła się do niego zalotnie, mówiąc ciszej: – Już ci wierzę…

„Jestem na dobrej drodze” – uznał.

Później długo rozmawiali. Billy dowiedział się, że Grace jest jedynaczką i że dziewczyny znają się od dzieciństwa. Chodziły razem do podstawówki. Laura opowiadała o tym, jak dzieliła się z nią kanapkami, bo Grace często przychodziła do szkoły głodna. Czasem nie pojawiała się na lekcjach kilka dni z rzędu. Potem okazywało się, że to z powodu „pięknego” lima pod okiem, które zafundował jej „kochany” tatuś. Jednak nie przyznawała się, skąd ma te sińce. Zawsze wymyślała jakąś historyjkę: a to że drzwi ją uderzyły, a to że spadła ze schodów, czy coś równie wiarygodnego. Któregoś dnia Grace była dziwnie milcząca. Widząc jej napuchnięte oczy, Laura domyśliła się, że coś jest nie tak, bardziej niż zwykle, jednak zapytała ją o to dopiero po szkole. Nie mogąc powstrzymać płaczu, dwunastoletnia wówczas dziewczynka wyznała przyjaciółce przerażającą prawdę. Jej pijany tatuś zgwałcił ją pod nieobecność matki. Był to pierwszy raz, ale nie ostatni. Obie płakały, tuląc się do siebie…

– Skurwysyn! – nie wytrzymał wzburzony Billy. – Zajebałbym takiego!

– Zajebać to mało – przyznała Laura. – Gdy to się stało, matka Grace była na nocnej zmianie w pracy. Wieczorem ojciec wrócił pijany i od samych drzwi zaczął wyzywać córkę od małych kurew. W nocy przyszedł do jej pokoju. Potem, gdy zostawali sami w domu, już zawsze przychodził i za każdym razem był pijany…

Od tego czasu Grace bała się ciemnych pomieszczeń. Brzydziła się sobą i swoim ojcem. Nienawidziła własnej matki, która musiała przecież coś podejrzewać, ale nic nie zrobiła, żeby to przerwać. Dziewczyna stroniła od rówieśników, przyjaźniła się tylko z Laurą. Gehenna Grace skończyła się dopiero wtedy, gdy jej matka postanowiła się rozwieść. Zaraz po rozwodzie poznała innego mężczyznę, za

którego wkrótce wyszła za mąż. Według Grace jej ojczym, Thomas, był w porządku. Troszczył się o matkę i o nią.

Po szkole średniej dziewczyny postanowiły się usamodzielnić; wynajęły lokum i zamieszkały razem. Wszystko układało się dobrze, dopóki Grace nie poznała palanta, o którym wcześniej wspomniała Laura.

Klaps! Dziewczyna nagle przerwała opowieść, uderzając się otwartą dłonią w odkryty dół pleców.

– Co ty…? – zdziwił się chłopak.

– Pierdolony komar, nienawidzę ich! – prychnęła Laura, drapiąc się.

– Nie drap. Mogę podmuchać, jeśli chcesz. Mówią, że to pomaga.

– Dzięki, wiesz… może później. – Pokazała mu język.

Billy uśmiechnął się, sięgnął po papierosy i poczęstował nową znajomą. Ta odmówiła i wyjęła swojego. Zapalili.

– Czemu właściwie nie lubisz chłopaka Grace? Tylko… nie spinaj się.

Dziewczyna wyraźnie walczyła ze sobą, żeby nie używać wulgaryzmów.

– On nie jest wart takiej dziewczyny jak ona. Źle ją traktuje, jest ordynarny i awanturuje się z byle powodu. Często się kłócą. Potem ona płacze, on przeprasza i tak w kółko. Wystarczy? – wyjaśniła Laura nieco podniesionym głosem.

– Spoko, spoko – mitygował Billy. – Może warto sprawdzić, czy nie wróciła już do domu?

W tym momencie wybuchły petardy, rozbłyskując na niebie.

– Cholera, zapomniałem! – Billy przekrzykiwał huk eksplozji. – Dziś był koncert! Pewnie już koniec, ale możemy iść, jeśli chcesz…!

– Jasne, a… Grace? Halo, o niej też zapomniałeś?! – Dziewczyna również krzyczała, bo zrobiło się bardzo głośno. – Ale masz rację z tym sprawdzeniem chaty! Która godzina?

Spojrzał na zegarek.

– Dochodzi dwudziesta druga trzydzieści!

– Trochę się zasiedzieliśmy. Chodźmy już! – Laura wstała, gotowa do drogi.

– Daleko stąd mieszkacie?!

– Blisko, to tylko kilka przecznic!

– No, to lecimy – rzekł Billy i ruszyli chodnikiem w kierunku mieszkania Laury i Grace, przy akompaniamencie kakofonii wystrzałów, pozostawiających po sobie kolorowe szlaczki na niebie.

Po czterdziestu minutach dotarli przed okazały apartamentowiec.

– To tutaj – oznajmiła Laura.

– Które piętro?

– Czwarte. Tam, gdzie jest ciemno – odpowiedziała Laura i dodała po chwili: – Mam nadzieję, że śpi i wszystko jest w porządku.

– Na pewno. Ale sprawdźmy.

Weszli do budynku i od razu skierowali się do windy. Wjechali na górę. Pod drzwiami mieszkania nasłuchiwali przez chwilę, po czym Laura włożyła klucz do zamka i otworzyła.

Wsunęli się po cichu do środka.

– Na prawo jest salon, dalej moja sypialnia. Zajrzę do pokoju Grace i wracam.

Laura zniknęła za drzwiami po lewej stronie. Z duszą na ramieniu zbliżyła się w całkowitej ciemności do niewielkiej lampki stojącej na półce. Włączyła ją na chwilę i… wszystko stało się jasne.

Billy natomiast po omacku dotarł do salonu. Rozglądał się właśnie za czymś do siedzenia, gdy za plecami usłyszał Laurę:

– Już jestem. Wyobraź sobie, że Grace śpi w najlepsze – wyszeptała.

– Mówiłem ci. – Billy też ściszył głos.

– Chcesz może drinka, piwo albo coś innego? – zapytała.

– Dzięki. Chętnie napiłbym się kawy.

– Na pewno? Ja mam ochotę na coś mocniejszego. Wypijemy za nasze spotkanie?

– Okej, wypijmy – nie dał się długo prosić.

– Chodźmy do mojego pokoju, nie chcę obudzić Grace, a tam będziemy mogli normalnie rozmawiać – zaproponowała Laura, prowadząc go w głąb mieszkania.

– Zapal lampę i rozgość się. Zaraz wrócę – rzuciła i wyszła.

Billy włączył lampę. Ale gdy zobaczył kilka świec na podłodze, wyjął zapalniczkę i zapalił wszystkie. Usiadł na łóżku i rozejrzał się po pokoju. Panował tu idealny porządek. Książki równo poukładane stały na półce, ubrania złożone w kostkę leżały na krześle. Wszystko wydawało się mieć swoje miejsce. Sam był pedantem, więc podobało mu się to.

Spojrzał na szafkę nocną i zauważył stojącą na niej ramkę ze zdjęciem. Przysunął się bliżej, przyglądając się fotografii, na której Laura podczas jakiejś imprezy stukała się kieliszkiem z czarnowłosą, zielonooką dziewczyną. „Czy to Grace?" – zastanowił się. Dziewczyna miała dłuższe włosy po bokach, resztę ściętą na krótko. Ubrana była w czarną bluzkę z krótkim rękawem i dużym dekoltem. „Fajna… i cycki też musi mieć spore". Im dłużej patrzył na zdjęcie, tym większej nabierał ochoty na poznanie tej czarnuli. I może na coś więcej. Uśmiechnął się do niej i mrugnął okiem. Spodobała mu się. Tymczasem wróciła Laura, niosąc dwie szklanki napełnione Johnny Walkerem i usiadła obok niego.

– Zapaliłeś świece… Nie sądziłam, że jesteś romantykiem.

– Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz – odparł Billy.

– Myślę, że to się wkrótce zmieni – rzuciła jakby od niechcenia i podała mu szklankę z alkoholem. – Za spotkanie? – zapytała.

– Za.

Wypili. Potem Laura wstała i podeszła do regaliku, na którym stała wieża stereo.

– Czemu nic nie włączyłeś? Nie lubisz muzyki?

– Kocham muzykę. Masz Metallicę?

– Kocham Metallicę – odparła Laura.

Uśmiechnęli się do siebie.

Dziewczyna włączyła płytę i po chwili z głośników dało się słyszeć *Hero of the Day*, w tamtym czasie jeden z jego ulubionych kawałków.

– To co chcesz jeszcze o mnie wiedzieć? – zagadnął Billy, gdy znów usiadła przy nim.

– Wszystko – odparła krótko.

Zaczął więc opowiadać o sobie. O tym, jak kiedyś miał kłopoty przez narkotyki, że raz czy dwa o mały włos nie wylądował przez nie w więzieniu; o ludziach, którzy mu wtedy pomogli, od których dostał drugą szansę; o wierszach, które pisze i że chciałby je wydać w małym tomiku poezji. Opowiadając, Billy trochę koloryzował. Znał się na dziewczynach na tyle, by wiedzieć, który typ wymaga większego bajeru i w jakiej kwestii. O swej rodzinie nie opowiadał w ogóle. Stwierdził jedynie, że bardzo ją kocha. Laura okazała się dobrą słuchaczką, bo nie przerywała. Marszczyła tylko brwi, słuchając o narkotykach i uśmiechała się, gdy mówił o poezji.

– Przypal mi papierosa – poprosiła, gdy zrobił pauzę. Chłopak wstał i przypalił dwa papierosy. Jednego dał dziewczynie, a drugim sam się zaciągnął.

– Nalać ci jeszcze? – Wskazała jego opróżnioną szklankę i nie czekając na odpowiedź, wstała i poszła do salonu. Po chwili wróciła z butelką Walkera.

– Niestety, nie mam już lodu – oznajmiła, napełniając szklanki. Podała jedną Billy'emu.

– Za spotkanie.

– Za spotkanie – powiedziawszy to, Laura przybliżyła się do niego i pocałowała go lekko w usta. Wypili i teraz on pocałował ją. Mocno i namiętnie, aż poczuła

przyjemny dreszczyk. Całował, delikatnie przygryzając jej dolną wargę, dopóki nie zaczęła wzdychać z przyjemności. Wtedy Billy przestał i zapytał:

– Chcesz jeszcze coś o mnie wiedzieć?

– Tak… chcę wiedzieć, jaki jesteś w łóżku.

– Bez zobowiązań? – upewnił się jeszcze.

– Bez.

– Szybki prysznic?

– Bardzo szybki. – Mrugnęła do niego.

Po około dziesięciu minutach naga Laura czekała na Billa w łóżku. Ten wyszedł z łazienki i również nagi stanął pośrodku pokoju. Dziewczyna zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Może nie był typem kulturysty, ale wyglądał dobrze. Na lewej ręce miał wytatuowaną kompozycję indiańską. Na bicepsie znajdował się portret wojownika w barwach wojennych, który smutnym wzrokiem spoglądał w dal. Poniżej widniały głowy wilka i atakującego orła, oddzielone pięknym orlim piórem. Pod nimi, tuż nad łokciem, rękę opasywał szlaczek z totemów indiańskich – pierwszy tatuaż Billy'ego, z którego był bardzo dumny. Klatka piersiowa eksponowała figury geometryczne: z lewej strony trójkąt prostokątny podstawą skierowany w prawo, po przeciwnej stronie większy nieco trójkąt równoramienny, z wierzchołkiem skierowanym w dół.

– Podobają ci się? – zapytał, widząc, że Laura z zainteresowaniem ogląda obrazki na jego ciele.

– Nie – odpowiedziała i skrzywiła się z udawanym obrzydzeniem.

Leżała na wznak, ręce założyła pod głową i skrzyżowała nogi, przez co Billy nie widział, czy jej łono jest wygolone, czy też nie. Wolałby, żeby było. Za to miał nieograniczony niczym widok na jej cudownie wielkie, jędrne piersi z ciemnymi

obwódkami wokół brodawek. Jej sutki stały teraz na baczność, prężąc się dla niego. Mimowolnie oblizał wargi.

– Podejdź do mnie – rozkazała, wstając z łóżka.

Stanął naprzeciw niej.

– Dlaczego ten Indianin ma smutną twarz? – zapytała. – Przecież idzie na wojnę.

– Może właśnie dlatego; wie, że on i jego bracia są skazani na przegraną.

– Interesujące… – wymruczała zmysłowo.

– Może nie wróci już z tej wojny żywy – kontynuował.

– Przykre – powiedziała i przysunęła głowę do jego ramienia. Delikatnym pocałunkiem musnęła obrazek na jego ciele.

– To na szczęście, wojowniku… – szepnęła. Billy zbliżył usta do jej twarzy, aby ją pocałować. Ona jednak odchyliła się do tyłu, uciekając przed jego wargami. – Opowiadaj – zażądała, całując teraz podobiznę wilka.

– Wilki… – zaczął mówić – to wspaniali i wytrawni myśliwi… w kulturze Indian… są zatem symbolem wytrwałości.

– Mhm… – przytaknęła Laura, całując oczy wilka – to znaczy, że taki wytrwały jesteś?

– Zawsze staram się… osiągnąć… – stękał, czując coraz większe podniecenie – zamierzony… cel! – prawie to wysapał.

– Podoba mi się – powiedziała i musnęła ustami lewy trójkąt.

– Wyraża moc świadomego bytu… – mówił dalej – zaufania do samego… aaa! – krzyknął, gdy ugryzła go w lewy sutek – …siebie i siły fizycznej.

Lubił, gdy partnerka drażniła i gryzła zębami jego sutki.

– Taaak… siły… podoba mi się. Nie zawiedziesz mnie, prawda? – spytała Laura.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż mocniej niż poprzednio pocałowała drugi trójkąt. Milczał, więc ugryzła drugą brodawkę. Nadal milczenie. Ponowiła zabawę silniejszym uściskiem zębów. Widać było, że jej również sprawia to przyjemność.

– Auuu! – zawył i szybko zaczął mówić.

– Symbol ten… oznacza ufność… mmm… – mruczał podniecony, gdy nadal kąsała jego sutek – w boskie przewodnictwo… mmm…

Nagle Laura przestała, kucając przed nim.

– Teraz – powiedziała – porozmawiam z twoim wodzem. – Pogłaskała dłonią mosznę, drugą zacisnęła na pokaźnych już rozmiarów penisie.

– Och! – jęknął. Delikatnie drapała jego jądra i mocniej ściskała „wodza", poruszając nim w górę i w dół.

– Weź go do buzi – poprosił, na co ona włożyła go całego do ust. Wyjmowała, a po chwili chowała penisa z powrotem, przytrzymując go kilka sekund w gardle. Billy stękał z rozkoszy.

Zaczęła go ssać. Wprost czuła, jak rośnie i pulsuje w jej ustach. Co kilka sekund omiatała językiem sam koniuszek członka, co podniecało go jeszcze bardziej.

– Uch… nie wytrzymam! – sapnął w ekstazie.

Laura przestała, wstała i pochyliła się nad nim.

– Chcę być na górze – szepnęła i ugryzła go w ucho. Posłusznie położył się na plecach, a ona kucnęła nad jego penisem. Pozwoliła, by dokładnie obejrzał jej cipkę, którą pieściła palcem. Patrzył na gładko wygolone łono; jedynie na wzgórku zostawiła pionowy pasek włosków. Chyba jak większość mężczyzn lubił wygolone kobiety, ale nie przeszkadzała mu ta odrobina owłosienia. Tymczasem Laura zagłębiła palec w swoim wnętrzu, bardzo… powoli… Gdy był mokry, dała go do oblizania Billy'emu. Zrobił to chętnie, rękoma masując jej wielkie piersi, ściskając i szarpiąc sutki.

– Laura… nie mam gumki! – jęknął nagle.

– W szufladzie – powiedziała spokojnie, wskazując ręką szafkę nocną. Sięgnął i wyjął z niej prezerwatywę. Szybko nałożył ją na penisa. Laura tylko na to czekała, na cudowne zwieńczenie ich miłosnych igraszek. Palcami utorowała wejście do swojej cipki i nadziała się na penisa, aż cały się w niej schował.

– Aaach…! – okrzyk rozkosz wyrwał się z ust obojga.

Dziewczyna szybko ujeżdżała Billa, wciąż zwiększając tempo. Jego penis coraz szybciej poruszał się w jej coraz bardziej wilgotnym wnętrzu. I szybciej… gdy dobijali do granic… szybciej i szybciej… ich ciałami wstrząsnął wspaniały, długi orgazm. Laura przytuliła się do Billa, wciąż wstrząsana dreszczami.

– Jak ci było? – zapytał. Usiadł, sięgając po paczkę papierosów. Wyjął jednego i przypalił.

– Suuuuper! – odpowiedziała. Pocałowali się i w milczeniu palili, gdy naraz Laura coś sobie przypomniała.

– Ale, ale… nie opowiedziałeś jeszcze o swoim orzełku z ramienia. Gadaj.

– No tak, więc Indianie uważają, że skoro orzeł przemieszcza się po niebie, to posiada szczególny związek ze stwórcą…

– Aha i ty chcesz mieć też ten szczególny związek?

– Nie, ja po prostu chciałbym umieć latać – odpowiedział Billy, szczerząc zęby.

– Oż ty… – Laura nachyliła się, ale zamiast pocałować, ugryzła go w ucho.

– Nie znałem jeszcze dziewczyny, która tak by lubiła gryźć swojego partnera. Jesteś jak, hmm… modliszka.

Roześmiali się oboje. Potem, wciąż przytuleni, leżeli w milczeniu. Tak zasnęli, zmęczeni pełnym wrażeń wieczorem…

Pierwszy obudził się Billy. Na dworze było już widno. Popatrzył na śpiącą Laurę. Leżała na brzuchu. Pocałował ją delikatnie w pośladek; chętnie posunąłby się dalej, ale postanowił jej nie budzić.

Wstał i rozejrzał się. „Gdzie to ja, kurwa, posiałem swoje gacie…?" – zamyślił się. No tak. Przypomniał sobie, że zostawił je w łazience. Poszedł tam, ale ledwo położył rękę na klamce, drzwi otworzyły się i stanęła w nich czarnowłosa dziewczyna. Ta sama, którą widział na zdjęciu w pokoju Laury.

– Coś ty, kurwa, za jeden?! – krzyknęła wystraszona i spojrzała znacząco w dół. – Widzę go… – dodała, a przez jej twarz przemknął cień uśmiechu.

– Piękny, prawda? – zapytał bezczelnie.

– Debil! – warknęła i zamierzała go ominąć, kiedy za jego plecami pokazała się zaspana Laura.

– Poznajcie się, to jest Grace – powiedziała, ziewając – a to…

– Debil jestem – powiedział Billy, wyciągając rękę do Grace.

Cała trójka parsknęła śmiechem.

I tak właśnie się poznali…

Sex, drugs & rock and roll

Mijały dni. W ciągu trzech tygodni stali się trójką dobrych znajomych. W tym czasie Grace rzuciła „palanta", a Billy czuł do niej coraz większy pociąg fizyczny.

Podobała mu się z każdym dniem bardziej. Raz czy dwa wybrali się nawet na coś w rodzaju romantycznej randki, tylko we dwoje . Za pierwszym razem zabrał ją do starej, miłej knajpki. Do takiej, w której zakochani rozmawiają przy lampce dobrego alkoholu.

– Czego się napijesz? – zapytał, gdy weszli do środka.

– Zamów mi białe Martini z cytryną.

Usiedli przy stoliku, na którym stały świece i Billy gestem ręki przywołał kelnerkę, młodą, atrakcyjną blondynkę z wydatnym biustem.

– Słucham?

– Poprosimy dwa razy białe Martini z cytryną.

– Coś jeszcze?

Billy spojrzał pytająco na Grace, która pokręciła głową.

– Dziękujemy na razie.

Blondyna odeszła.

– Czym się zajmujesz? – spytała dziewczyna, wyjmując papierosa. Potem zajrzała do torebki i zaczęła szukać zapalniczki. Widząc to, Billy szybko podał jej ogień i sam również zapalił.

– Pracuję w komisie, głównie z komórkami. Cały czas niby szukam czegoś innego, ale wiesz, ten komis należy do mojego wuja, całkiem nieźle mi płaci, więc…– Wydmuchnął szary dym z płuc i strzepnął popiół do popielniczki.

– Yhm… rozumiem – przytaknęła.

– A ty? Gdzie pracujesz?

Akurat podeszła do nich kelnerka z dwoma kieliszkami, które postawiła na stole. Wskazała na świece.

– Zapalić? – spytała.

Billy podziękował i blondyna oddaliła się. Sam zapalił knoty. Gdy wszystkie już płonęły, odezwała się Grace. W świetle świec wyglądała jeszcze bardziej ponętnie.

– Jestem hostessą. To dobra i łatwa praca, ale nieregularna. Na przykład już tydzień siedzę w domu, czekając na telefon z propozycją… Napijmy się.

Upili nieco alkoholu.

– A nie próbowałaś swych sił w modelingu? – Chłopak odstawił kieliszek.

– Żartujesz? Z moją figurą? – żachnęła się, gasząc połowę papierosa w popielniczce.

– Czego od niej chcesz? Masz super sylwetkę. Mnie się podoba… – Billy ściszył głos i dodał: – Nawet bardzo.

Nie zareagowała entuzjazmem na komplement.

– Eee… tam, bardziej pociąga mnie dziennikarstwo, chciałabym zostać dziennikarką prasową. Dokładniej, felietonistką.

– No, to musi być super zajęcie. Próbowałaś załapać się do jakiegoś pisma? – Znowu strzepnął popiół.

– Myślisz, że raz? W sumie napisałam kilkanaście artykułów i wysyłałam je do różnych gazet. Zero odzewu, a jeżeli jakiś był, to odmowny.

– O czym piszesz? – Wziął kieliszek i wykonał zapraszający ruch; sam pociągnął duży łyk.

– Och, mam zróżnicowaną tematykę – uśmiechnęła się i upiła łyk Martini – począwszy od miłości nastolatków, poprzez problemy, z jakimi borykają się ojcowie geje, a… – zawiesiła na chwilę głos – …a na gwałconych dzieciach kończąc.

Posmutniała. „No tak, masz osobiste doświadczenia” – pomyślał Billy, gasząc niedopałek.

– Hm, na pewno wszystko jest bardzo interesujące. Musisz mi kiedyś dać do przeczytania coś swojego. – Wolał zmienić temat. – Zamówimy coś?

– Mam ochotę na lody, czekoladowe.

„Mogłem się tego domyślić, wszakże czekolada jest najlepsza na kobiece smutki” – pomyślał Billy i skinął na cycatą kelnerkę. Zamówił dla Grace porcję lodów czekoladowych z musem truskawkowym i kawę, bo nie chciała już pić alkoholu.

– Uff… jak to wszystko zjem, to mogę się pożegnać z karierą hostessy, nie mówiąc o modelingu – zauważyła, gdy spory pucharek stał już na stole. Wokół lodów ułożono świeże truskawki, mus znajdował się w środku. Wszystko wyglądało bardzo ładnie i apetycznie. Czerwień owoców wspaniale wkomponowała się w brązową barwę lodów.

– Godzinka na siłowni i nie będzie śladu. – Billy wziął kolejny łyk Martini.

– Jakoś… nigdy nie miałam do tego zacięcia. Kiedyś trochę chodziłam na siłkę, ale to stare dzieje. – Włożyła dużą łyżkę lodów do ust.

– Doskonale cię rozumiem. Gdyby Bóg chciał, żebym wyglądał jak gladiator, to pewnie inaczej pokierowałby moimi genami. – Zaśmiał się.

– Wierzysz w Boga?

– Hm… trudne pytanie. Raczej nie żyję zgodnie z przykazaniami, ale… wierzę. A ty?

– Przejdziemy się?

„Kurwa, znowu palnąłem coś, czego nie powinienem" – chłopak zaklął w myślach, a głośno powiedział:

– Okej, jeśli chcesz, to chodźmy, ale powiedz mi… dobrze się czujesz?

– Tak, nic mi nie jest. Chcę się po prostu przejść.

Billy poprosił o rachunek, potem zostawił należność na stole i opuścili lokal.

Szli chodnikiem, początkowo nie odzywając się. Grace wyglądała na przygnębioną, a Billy nie wiedział, jak zagaić, żeby znowu nie powiedzieć „czegoś nie tak".

„Czy wszystkie dziewczyny gwałcone przez ojców w młodości tracą wiarę w Boga?" – zastanawiał się.

W pewnym momencie zauważyli barczystą sylwetkę Syda, idącego z naprzeciwka. Wszyscy w mieście go znali, przynajmniej z widzenia i wiedzieli, kim jest. Miał ze czterdzieści lat, z czego połowę spędził w więzieniu – za narkotyki, wyłudzenia, bójki, stręczycielstwo.

– Siemano, Spaghetti – rzucił, gdy mijał się z nimi.

– Cześć, Syd – odpowiedział chłopak i pomyślał: „Kurwa, Syd, nie pierdolnij żadnej gafy…".

Nie pierdolnął i poszedł dalej, a Billy odetchnął z ulgą.

– Skąd ty znasz tego jebniętego typa? – spytała Grace, gdy byli dostatecznie daleko.

– Z pier… – szybko ugryzł się w język i dokończył – …wszej klasy liceum. Prawda była taka, że siedział w pierdlu i właśnie tam poznał Syda. Wcześniej zataił ten fakt przed Laurą, więc teraz postanowił kontynuować kłamstwo. Zresztą nie miał czym się chwalić.

– To on chodził do liceum? Ten troglodyta? – nie dowierzała Grace.

– Wiesz, ludzie nie rodzą się od razu źli. Został wydalony z liceum mniej więcej w tym samym czasie, gdy zaczął schodzić na złą drogę. Wcześniej był to normalny, zwykły chłopak – Billy kłamał jak z nut.

– No, dobra, dobra. – Kupiła tę naiwną opowiastkę ku zadowoleniu swego towarzysza. – A czemu nazwał cię „Spaghetti'?

– Och, stare dzieje. Kiedyś byłem raczej chudy i przy moim wzroście wyglądałem jak cienki makaron.

– To musiałeś naprawdę zabawnie wyglądać… Słuchaj, odprowadzisz mnie do domu? Rozbolała mnie głowa.

– Jasne. – Znajdowali się już blisko, więc po kilku minutach dotarli pod dom dziewczyn. Billy nie liczył na nic, więc zdziwił się i ucieszył, gdy Grace pocałowała go w policzek.

– Dzięki… – powiedziała i zanim zniknęła za drzwiami budynku, rzuciła jeszcze: – Do następnego. Cześć.

– Cześć… – Pogrążony w myślach ruszył powoli w stronę swego domu.

Gdy za drugim razem odprowadzał ją po długim, wieczornym spacerze, zdecydował się na pożegnanie pocałować ją przed wejściem do klatki schodowej. Odwzajemniła pocałunek. Cudowne, pełne wargi niemalże zderzyły się z jego ustami. Ich języki

walczyły niczym węże, co chwila wynurzając się ze swoich jam, by zaczerpnąć powietrza. Billy powędrował z pieszczotą niżej, musnął językiem jej brodę, szyję…

– Nie, przepraszam. – Odepchnęła go, przerywając ich wspólne uniesienie. – Muszę iść. Cześć! – Odwróciła się i wbiegła do klatki schodowej.

Chłopak stał zdezorientowany kilka minut, podczas gdy podniecenie ulatywało z niego niczym powietrze z przekłutego balona.

– Okej – powiedział do siebie i skierował się do swojego domu.

Wracając, nie był zły na Grace; podobało mu się jej wahanie. Czuł, że choć walczy ze sobą, jednocześnie lgnie do niego, więc może po prostu dzisiaj to nie był ich dzień.

Laura raczej sceptycznie odnosiła się do tych spotkań, choć nie protestowała otwarcie. Czasem uśmiechała się tylko tak dziwnie i tajemniczo, gdy razem z Grace wychodzili. Jednak przeważnie spotykali się we trójkę. I prawie zawsze były to spotkania zakrapiane alkoholem. Przesiadywali w pubie, w którym Billy poznał Laurę, lub w ich mieszkaniu. *Siódemka* stała się ich ulubionym lokalem, a chata dziewczyn bardzo przypadła chłopakowi do gustu. Czasem, gdy opuszczali knajpę, brali jakiś alkohol i szli do ich mieszkania. Przesiadywali tam do późnej nocy, kilka razy zdarzyło im się doczekać świtu. Rozmawiali, pili alkohol, słuchali muzyki, a gdy wpadła jeszcze para znajomych Laury, to palili skręty. Właściwie Laura paliła i jej znajomi. Grace raz spróbowała i stwierdziła, że jej to nie smakuje. Billy wolał coś mocniejszego.

Pewnego dnia wpadł na pomysł, żeby zabrać do pubu swojego kumpla Dylana. Oczywiście obie dziewczyny też miały tam wpaść. W głowie chłopaka zrodziła się myśl o podwójnej randce. Swego kompana z czasów dzieciństwa nie musiał przedstawiać. Dylan sam to zrobił i po chwili cała czwórka gadała jakby znali się od lat.

Panowie zamówili drinki dla dziewczyn i piwo dla siebie. Usiedli wszyscy przy stoliku, wypili i zapalili. Chwilę później Laura z Dylanem wyszli na zewnątrz zapalić skręta.

– Po co oni palą to gówno? – Zdegustowana Grace upiła łyk alkoholu.

– Niektórzy palą, żeby się rozluźnić, inni, żeby się zabawić, różnie… Wiesz, wszystko jest dla ludzi… byle z umiarem. Niektórzy twierdzą, że wszystkiego trzeba spróbować.

– To, co teraz gadasz, to zwykłe sranie w banie, wiesz! Chore usprawiedliwianie nałogu – wytknęła mu ostrym tonem.

Laura wróciła w doskonałym humorze. Gdy Dylan poszedł do ubikacji, rzuciła wesoło:

– Zagrajmy w bilard. Mam ochotę pobawić się trochę kulkami… ha-ha-ha! – ryknęła śmiechem.

Grace popatrzyła wymownie na Billy'ego, który spuścił głowę.

– Z czego tak ryjesz, moja piękna? – zapytał Dylan, który właśnie wrócił z łazienki. – Aż cię było w kiblu słychać i nie mogłem się skupić, ha-ha-ha…! – zaśmiał się na koniec.

– A mówiłeś wcześniej, że podoba ci się mój syreni śmi… ha-ha-ha-ha! – Laura nie zdołała dokończyć i teraz oboje pokładali się ze śmiechu.

– Taaak… Zagrajmy może lepiej w tego bilarda, co? – zaproponowała Grace.

Wszyscy się zgodzili.

Grali para na parę.

Gdy zaczął lecieć utwór *Whiskey in the Year* Metalliki, Billy przerwał grę i poszedł po następne drinki. Oczywiście zamówił Jasia Wędrowniczka, ulubiony trunek ich tercetu.

Grali dalej, co chwila robiąc małe przerwy na picie alkoholu. Właściwie tylko Grace i Billy grali, bo machanie kijami w wykonaniu Laury i Dylana trudno było

nazwać grą. Dziewczyna prowokowała go pozami, jakie przyjmowała w trakcie oddawania uderzenia. Podszczypywała go w tyłek, gdy on celował w bile, a nietrafienie do łuzy oboje kwitowali głośnym wybuchem śmiechem. Ślepy by zauważył, że są upaleni i mają na siebie ochotę.

Billy, widząc skwaszoną minę Grace, podszedł do niej i szepnął do ucha:

– Co jest?

– Wkurwia mnie Laura, jeszcze chwila, a się na niego rzuci!… Przypal mi fajkę.

Chłopak wyjął paczkę Marlboro z kieszeni, wyciągnął z niej dwa papierosy i włożył do ust. Przypalił oba i jednego podał Grace.

– Słuchajcie, robi się nudno. Może pójdziemy do nas, co? – zaproponowała Laura.

– Jasne – ochoczo zgodził się Dylan. – Tylko jedną chwilunię… – Poszedł do baru, gdzie kupił flaszkę Johnny Walkera i kilka piw. – Lecimy! – zaordynował po powrocie.

Billy nigdy nie zapomni tego wieczoru, kiedy ich czwórka, w połowie upalona marihuaną, a w połowie odurzona alkoholem, siedziała w salonie dziewczyn, słuchając muzyki Tracy Chapman. I wtedy jak gdyby nigdy nic wyjął z kieszeni spodni małą foliową torebką z białym proszkiem. Miał właśnie zamiar wysypać jej zawartość na stół, gdy Grace krzyknęła:

– Co to jest?! Co ty, kurwa, robisz?!

– Nic. Chciałem tylko przypudrować nos – odpowiedział bezczelnie i wyszczerzył zęby.

– Ha-ha-ha-ha! – Laura i Dylan ryknęli śmiechem. Oburzona Grace wstała i ruszyła do drzwi.

– Nie chcę na to patrzeć! – rzuciła, mijając Billy'ego i zamknęła się w swoim pokoju. Chłopak siedział zbity z tropu, po kilku minutach zapytał rozbawioną dwójkę.

– Z czego, kurwa, tak ryjecie?

Tamci zamilkli, a on wypił duży łyk piwa i poszedł za Grace. Dziewczyna leżała w łóżku na brzuchu, czytając jakąś książkę.

– Co czytasz? – zapytał, powoli podchodząc do niej.

– Książkę – odparła niedbale.

– Tego się domyśliłem, ale jaką książkę? – nie ustępował.

– Paulo Coelho, interesuje cię ten autor i jego twórczość?

– Hm… nie wiem, nie znam ani jego, ani jego powieści, ale może po rozmowie z tobą to się zmieni. Więc co, porozmawiasz ze mną? Mogę usiąść?

– Siadaj – mruknęła Grace. A gdy klapnął przy niej, zapytała: – Długo już ćpasz?

Nie odpowiedział od razu. Jakby się namyślał, jakiej odpowiedzi udzielić. Postanowiła mu to ułatwić.

– Słuchaj, Billy, polubiłam cię. Ty też mnie lubisz?

– Lubię – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– To chyba możemy pogadać szczerze. – Chłopak kiwnął głową. Więc ponowiła pytanie: – Jak długo ćpasz?

– Słuchaj – zaczął Billy – to nie tak, że zaraz ćpam…

– Mieliśmy pogadać szczerze – przerwała mu – ale jak nie chcesz, to bujaj się.

– Okej… okej, zacznijmy jeszcze raz. – Właściwie podobała mu się ta stanowczość Grace. – Biorę jakiś czas, nie pamiętam… od kiedy, naprawdę… jakiś rok. Ale nie biorę każdego dnia. Sporadycznie tylko…

– Przed tym – wskazała głową na salon – brałeś coś innego?

– Tak, wcześniej paliłem.

– Co? – chciała wiedzieć.

– Różnie. Marihuana, haszysz. Jak przestało mnie to kręcić, przerzuciłem się na coś mocniejszego.

– Aha. I ty mówisz, że nie ćpasz. Po co to robisz? Co ci to daje? Tylko nie chcę znowu słuchać jakichś głupich usprawiedliwień dla nałogu! A co będzie, kiedy kokaina też ci się znudzi?! Sięgniesz po jeszcze coś silniejszego? – bombardowała go pytaniami, po których nastąpiła dłuższa chwila przerwy.

Gdy nieco ochłonął, odezwał się cicho:

– Masz rację, chyba to zaczyna wymykać mi się spod kontroli.

– Ważne, żebyś zorientował się w odpowiednim momencie. Fajny z ciebie facet, Billy, i szkoda by było, żebyś poszedł na dno, a tam prowadzą człowieka dragi, niestety… – Westchnęła ciężko. – No, dobra, przynieś mi drinka, a ja włączę jakąś muzę.

Chłopak wstał i udał się do ciemnego salonu. Jedyne światło pochodziło z telewizora. Kanał MTV nadawał teledysk Marilyn Mansona *Tainted Love*. Przez muzykę przebijało jakby mlaskanie. Rozejrzał się wokoło. Naprzeciw niewielkiej plazmy, na kanapie, półleżał rozparty Dylan, na nim okrakiem siedziała Laura, namiętnie go całując. Może lepszym określeniem byłoby, że wylizywała mu wnętrze ust. Billy po cichu wziął ze stołu flaszkę Jasia i szklankę i na palcach opuścił salon, wracając do pokoju Grace. Tam już grała muzyka, nie pamiętał tytułu, ale po chwili namysłu uznał, że to na pewno kawałek Glena Denzinga. Usiadł koło niej.

– Nalej mi.

Podał jej napełnioną do połowy szklankę. Upiła nieduży łyk i oddała mu szklankę, by też się napił.

Tymczasem Laura i Dylan przenieśli się do sypialni dziewczyny. Już w wejściu błyskawicznie zrzucili z siebie ubrania, w samej bieliźnie całowali się i pieścili. Chłopak kierował dziewczyną w stronę krzesła przy łóżku, cały czas ugniatając dłońmi jej pośladki. Gdy dotarli do upragnionego mebla, ustawił ją tyłem do siebie, a przodem do krzesła. Przytulił ją mocno, napierając na nią tak, że doskonale wiedziała

co robić. Wyciągnęła ręce i położyła je na oparciu, stanęła w rozkroku, obdarzając tym samym Dylana wspaniałym widokiem i ułatwiając mu dostęp do gniazdka rozkoszy. Tylko na to czekał. Zerwał z niej cieniutkie stringi i uśmiechnął się na widok jej mokrej cipki. Wymierzył jej klapsa w tyłek. Stęknęła, wyraźnie zadowolona. Potem uwolnił swojego olbrzyma z pęt slipów. Przytulił ją znowu. Jedną dłonią chwycił włosy Laury, drugą wprowadził swojego penisa powoli, acz pewnie do jej gorącego wnętrza.

– Jaki duży… – szepnęła z zachwytem i po chwili sapnęła: – Mocniej…

Chłopak pchnął mocniej i mocniej pociągnął ją za włosy.

– O, taaaak… – jęczała – mmm…

Dylan przyspieszył tempo, sprawiając, że oboje zaczęli ciężko dyszeć…

W sypialni obok Billy właśnie przypalał papierosy.

– Jaki pasowałby mi tatuaż? – zapytała Grace.

– To sprawa indywidualna. – Podał jej zapalonego Marlboro.

– Czemu ty masz indiańskie tatu?

– Hm… bo szkoda.

– Możesz powiedzieć coś więcej czy to tajemnica? Jakieś tabu? – drążyła temat.

– Nie, no co ty. – Billy uśmiechnął się, lecz po chwili spoważniał. – Po prostu szkoda mi tej pięknej kultury, która została zniszczona przez białych, takich jak my. Żal mi tych ludzi, wyciętych w pień, kobiet, dzieci… tych czasów, które już nie powrócą. Kiedyś ktoś powiedział o mnie, że jestem jak Indianin, uuu…! – Przykrył usta otwartą dłonią i poruszając nią szybko, wydał charakterystyczny dźwięk. Grace uśmiechnęła się nieznacznie.

– Tak, to naprawdę tragiczne i bardzo smutne, co się stało z tymi ludźmi… – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Ładnie opowiadasz.

– Wiesz, właśnie uświadomiłem sobie, że jesteś pierwszą dziewczyną z zielonymi oczami, jaką znam.

– Tak?

– Ładny kolor, ładne oczy – uśmiechnął się – znam jedną taką starą legendę plemienia Mazateków…

– Opowiedz – poprosiła.

– Żyło sobie kiedyś małżeństwo, które bardzo się kochało – zaczął Billy. – Kobieta miała piękne zielone oczy, a mężczyzna był wyjątkowo śniady jak na Indianina. Jej rodzina sprzeciwiała się temu związkowi, lecz ona zostawiła rodzinę i zamieszkali na odludziu…

– Bardzo romantycznie – wtrąciła.

– Pewnego razu, gdy mąż pracował daleko w polu, zachciało mu się pić. Poszedł nad strumień. Złym zrządzeniem losu dotarł tam w samo południe, kiedy nad wodą bawiły się włochate krasnale – władcy gór i rzek. Mężczyzna przestraszył się ich i zachorował. Zabrały mu duszę i sprawiły, że postradał zmysły. Nie mógł odnaleźć drogi do domu i po kilku dniach zmarł z wycieńczenia. Jego ciało znaleźli później jacyś ludzie. Zielonooka żona długo płakała, długo rozpaczała. Przez wiele miesięcy przychodziła sama na cmentarz.

– Smutne – znowu przerwała Grace.

– Jak prawie cała historia Indian – zgodził się. – Po kilku latach wdowa musiała wyjść znowu za mąż, bo nie miała z czego żyć. Rodzina nie chciała jej przyjąć z powrotem. Znalazł się bogaty pan, któremu się spodobała. Obiecywał, że będzie dla niej dobry, ale zaraz po ślubie zamknął ją w domu. Nie pozwalał jej nawet chodzić na cmentarz. Dusza jej męża czekała, płacząc. Po dwóch latach duch męża pojawił się w domu bogatego pana i prześladował go, aż pan poszedł do czarownika. Tamten wypił zioła i wzniósł się do nieba, gdzie poznał tajemnicę pana. Za hojną ofiarę bóg zgodził się uwolnić bogatego człowieka od prześladującego go ducha. Gdy wyzdrowiał,

bogacz znowu zaczął zamykać kobietę w domu. Ponownie pojawił się duch, ale tym razem bóg nie zainteresował się ofiarą. Wkrótce zielonooka odwiedzała już dwa groby. Trzeci mąż bał się zamykać ją w domu…

– Hm… dziwna ta legenda – powiedziała Grace.

– Trochę ją skróciłem. – Billy miał dosyć gadania i chętnie porobiłby coś innego. Dziewczyna wstała, cmoknęła go lekko w usta i poszła zmienić muzykę. Po chwili usłyszał utwór The Doors *Love Street*. Odruchowo sięgnął po gitarę, która stała oparta o ścianę przy szafce nocnej. Laura wróciła do łóżka.

– Grasz? – spytała.

– Zaraz tam gram. *She… lives… ooon Looove… Streeet… lingers long on Looove Streeet…* – zanucił z Jimem Morrisonem przy akompaniamencie gitary.

– Nie przerywaj! Podoba mi się.

Śpiewał więc dalej.

– *…I wooould like… to see… what happens… la… lala… la… la… la… lala, la, lala…*

– Uuu… brawooo! – zawołała Grace, klaszcząc w dłonie, gdy piosenka się skończyła.

– Dzięki, dzięki… zawsze chciałem zostać gwiazdą rocka.

– Z pewnością miałbyś rzesze fanek. – Posłała mu zalotny uśmiech. – Zrobisz mi masaż?

Gdy kiwnął potakująco głową, poprosiła go jeszcze o dolanie drinka i przypalenie papierosa.

Nie spaliła nawet połowy, gdy oddała papierosa Billy'emu, razem z niedopitą whisky. Usiadła i zaczęła się rozbierać, a on, popijając i paląc, patrzył na nią lubieżnie. Zdziwił się nieco, widząc, że zrzuciła z góry wszystko, łącznie z biustonoszem. Miała ładne piersi, duże i pełne. Sutki, przygniecione materiałem

stanika, budziły się powoli. Następnie zdjęła spodnie, pozostając jedynie w koronkowych, białych stringach.

Ledwie chwilę mógł podziwiać jej kształtny biust, bo Grace położyła się na brzuchu. Rekompensatę stanowił widok jej pośladków, opalonych na czekoladowo. Poczuł znajome, przyjemne mrowienie w podbrzuszu, a jego członek zaczął rosnąć. Zmartwił się odrobinę, gdy pomyślał, że z tych pośladków nigdy niczego nie wciągnie, a lubił rozsypywać białą ścieżkę na ładnej pupie. Zawsze go to bardzo podniecało, jego partnerki również…

Zaczął masować Grace. Najpierw powoli kark, potem ramiona i plecy.

– Mhm… ale super… – wzdychała, a on mógł już myśleć tylko o jednym. Chciał jej tak bardzo, był tak mocno pobudzony, że penis z trudem mieścił mu się w slipach. Nagle dziewczyna przekręciła się na plecy.

– Uwolnij go – rozkazała, patrząc na namiot, jaki powstał w jego kroczu.

Billy szybko zdjął spodnie, a gdy ledwie odchylił majtki, wystrzelił z nich wielki, nabrzmiały członek z odkrytą czerwoną główką.

– Teraz z tej strony. – Grace miauknęła jak kocica, prężąc się, na co chłopak ochoczo przystąpił do ugniatania i całowania jej piersi. Lubił, gdy kobieta była władcza i wiedziała, czego chce. Uwielbiał, gdy stawała się drapieżna. Ssał i gryzł jej sutki, ona objęła rękami głowę Billa, raz po raz wczepiając się palcami w jego włosy.

– O, taaak… – jęczała. Zjechał językiem niżej, liżąc i całując jej brzuch, a gdy w swej wędrówce dotarł do pępka, rozłożyła szeroko nogi, odchylając dłonią delikatny materiał jej bielizny. Billy wiedział, co należy robić, jednak nie spieszył się. Wciąż liżąc ciało dziewczyny, schodził w dół. Zatrzymał się na wzgórku łonowym. Lubił patrzeć na kobiece łono, kiedy w rosnącym podnieceniu coraz bardziej rozchylało się, zapraszając do siebie, niczym dojrzały kwiat otwierający się dla owada. Gdy to nastąpiło, delikatnie musnął językiem jej najczulszy punkt. Westchnęła z rozkoszy.

– Taaaaaaak…

Poker

Romans Grace i Billy'ego należał do krótkich. Przygoda miłosna – to lepsze określenie. Nie widywali się codziennie. Czasem miewali ciche dni, gdy w ogóle nie rozmawiali. Wciąż jednak łączył ich seks, zdaniem Billy'ego całkiem udany. Lecz gdy nadeszła jesień, to wraz z ochłodzeniem również i w ich związku powiało chłodem. Sprzeczali się często o jakieś zupełne pierdoły i coraz częściej dzieliło ich odmienne zdanie na ten sam temat. Chłopaka dość szybko zmęczył ten związek i podświadomie zaczął myśleć o zerwaniu z Grace. Co było o tyle trudne, że od jakiegoś czasu spotykali się znowu we trójkę. Pewnego dnia Billy zadzwonił do niej i poprosił o chwilę rozmowy. Powiedział, że to ważne. Umówili się oczywiście w Siódemce. Chłopak dotarł tam pierwszy. Zamówił piwo. Siadał właśnie do stolika, gdy drzwi lokalu otworzyły się i stanęła w nich Grace. Podeszła do niego i usiadła na krześle.

– Hej, o czym chciałeś pogadać? – zapytała wprost. Popatrzył na nią; nie podobała mu się teraz ta jej butność; w łóżku owszem, ale poza nim zdecydowanie nie.

– Cześć tak w ogóle – odpowiedział. Potem wziął łyk piwa i, skoro tak chciała, postanowił od razu przejść do sedna sprawy. – Myślę, że to dalej nie ma sensu. Chyba powinniśmy…

– Zaraz. Chwila! – przerwała mu gwałtownie. – Zdaje się, że ty chcesz mi powiedzieć to samo, co ja tobie. – Roześmiała się.

– Okej, mów pierwsza.

– Więc… jesteś wspaniałym facetem, ale… nie dla mnie, sorry – wyznała i teraz to on się roześmiał.

„Fajna z ciebie jest dupeczka… – pomyślał, patrząc na nią. – Szkoda, że nie lubisz pieprzyć się na haju".

– Spoko, po prostu nie pasujemy do siebie – powiedział. – Zostańmy przyjaciółmi, dobra?

– Dobra. Przyjaźń – zgodziła się Grace.

– Jednego tylko nie rozumiem, czemu powiedziałaś „nie dla mnie”?

– Och… wiesz, tak jakoś mi się powiedziało, słuchaj… przepraszam cię, ale teraz… muszę już lecieć. – Zaczęła zbierać się do wyjścia.

Billy jej nie zatrzymywał.

Po jakimś czasie znów spotkał Grace w pubie. Była razem z Laurą i najwyraźniej świetnie się bawiły, śmiejąc się i sącząc drinki. Przywitał się i usiadł przy ich stoliku.

– Cześć, co słychać? Co świętujecie?

– Twoje przyjście – odpowiedziała Laura, chichocząc. Miała już dobrze w czubie.

– To ja pójdę po drinki i zaraz wracam.

Znowu było tak jak dawniej. Pili, rozmawiali o wszystkim i o niczym, śmiali się. Wyglądali na trójkę dobrych przyjaciół.

– A co tam słychać u Dylana? – zapytał Billy i mrugnął do Laury. – Dawno go nie widziałem.

– To tak samo jak ja – odpowiedziała ze śmiechem. – Witaj w klubie. – Wyciągnęła do góry rękę ze szklanką.

– Sorry…

– No co ty, przecież to nie twoja wina, że twój znajomy okazał się kutasem… – nie dała mu skończyć i ryknęła śmiechem. Grace i Billy zawtórowali jej, po czym trzy szklanki stuknęły się w górze.

– Na pohybel kutasom – rzuciła Grace i wypili.

Potem zagrali w bilard. One dwie przeciwko niemu jednemu. Założyli się, że jeżeli on przegra, to zaniesie Laurę na barana do domu. Na początku gry zdawało się,

że szala przewagi przechyla się na stronę dziewczyn. Więcej swoich bil wbiły do łuz. Jednak Billy dawał im fory; był znakomitym graczem. Dopiero gdy ich przewaga niebezpiecznie się zwiększyła, szybko wziął się do roboty. Po kilkunastu minutach została mu do wbicia ostatnia, czarna bila. Złożył się, by oddać celny strzał i właśnie wtedy Laura wpadła na pomysł, by odstawiać parodię sceny, kiedy to Billy poznał Grace, w jakże zabawnych okolicznościach, w drzwiach łazienki. Grace szybko załapała o co chodzi przyjaciółce i ochoczo podjęła wątek, chichocząc co chwila i nie dając się Billy'emu skupić. Gdy już-już miał uderzyć w bilę, rzuciła ze śmiechem słowo, którym przedstawił się chłopak tamtego dnia.

– Debil!

Puk! – dało się słyszeć charakterystyczny, mocny dźwięk. Niestety bila nie trafiła do łuzy.

– Ach… kurwa… – wyrwało się Billy'emu – to nie powinno się liczyć! Rozpraszałyście mnie.

– No co ty… wymiękasz? – kpiła z niego Grace.

– Spokojnie, ostatnio schudłam – powiedziała Laura. Roześmiały się, a on jednym haustem wypił resztę alkoholu ze szklanki. Widząc to, jego „pasażerka" dla rewanżu zamówiła następną kolejkę.

– Zagrajmy w Dartsa – zaproponowała, gdy wypili.

Zagrali, a raczej spróbowali zagrać, bo ilość wypitego Walkera dyskwalifikowała ich z tej gry. Nie mogąc nawet trafić w tarczę, zdecydowali, że pora wracać do mieszkania dziewczyn. Kupili kilka piw w barze i poszli. Billy oczywiście niósł Laurę, która bez ceregieli wskoczyła mu na plecy.

Droga zajęła im ze trzy razy więcej czasu niż zwykle. Billy przystawał co parę metrów, sapiąc przesadnie.

– Świniaaa… – kwitowała dziewczyna, wierzgając nogami i poganiając go – wiiiśśtaaa wioooo…!

– Hi-hi-hi… przecież ty jedziesz na świni, a nie na koniu – rżała rozbawiona Grace.

Przekomarzali się i docinali sobie nieustannie, ale chłopak pozbył się balastu tylko raz, gdy zauważyli nadjeżdżający patrol policyjny. Kilkakrotnie przystawali jeszcze, aby przypalić papierosy, a potem wędrowali dalej, aż dotarli na miejsce…

Billy dokładnie nie pamiętał, kto właściwie zaproponował, żeby zagrać w pokera. Ale wszystkim spodobał się ten pomysł. Laura przyniosła karty.

– Na co będziemy grać ? Na zapałki? – zażartował.

– Hmmm… a może lepiej zagrać w rozbieranego? – zasugerowała Grace; Laura ją poparła.

Mile zaskoczonemu chłopakowi nie pozostawało nic innego, jak również przyjąć propozycję. Umówili się, że nie będą przebijali, po prostu jedno rozdanie i każde z nich pokazuje swoje karty. Uzgodnili też, że biżuteria się nie liczy, co odpowiadało Billy'emu. Osoba z najsłabszą kartą ściąga coś z garderoby. Na bardziej wyszukane reguły byli zbyt pijani. Zaczęli grać, popijając piwo. Po pierwszym rozdaniu Laura miała małego fulla i tym samym najmocniejszą kartę, Grace trójkę, a Billy dużego strita. Spierali się teraz obydwoje, każde uważając swoje karty za silniejsze.

– Mam dużego strita, a przecież nawet dziecko wie, że on jest silniejszy od jakiejś nędznej trójczyny. – Chłopak z ostentacyjnym znudzeniem pociągnął łyk piwa z butelki.

– Mam w dupie twojego strita! – krzyknęła Grace. – Trójka wygrywa i basta!

– Może z małym stritem tak, ale nie z…

– Kurwa, dosyć! Co z wami? – nie wytrzymała Laura.

– Na pewno nic ze mną. Spoko, mogę być przegranym w tym rozdaniu – powiedział Billy, ściągając T-shirt. – Nie mam się przecież czego wstydzić… – mruknął i pokazał język Grace, która wściekła krzyknęła:

– Ty chamie! Jakoś zawsze ci się podobały moje cycki! – Przy tych słowach zdjęła sweter, pozostając w ładnym staniczku z cienkiej koronki. Jej piersi wyglądały w nim jak zwykle uroczo i ponętnie. Chłopak posłał jej szelmowski uśmiech.

– No, widzisz, a jak przegrasz następną rundę, to jeszcze bardziej będą mi się podobały – powiedział. Laura roześmiała się.

– Świnia. – Lekko zarumieniona Grace udawała oburzoną, ale po chwili też się uśmiechnęła.

Gra toczyła się dalej bez kłótni. Po jakichś czterdziestu minutach Laura została w biustonoszu i w majtkach. Grace siedziała z założonymi rękami, by w miarę możliwości osłonić piersi, bo na sobie miała jedynie stringi. Zaś Billy'ego okrywały tylko bokserki, po których coraz bardziej było widać, jak bardzo podoba mu się ta zabawa. Co chwila zerkał w stronę Grace, a konkretnie to na lewy, to na prawy sutek, zależnie który wymknął się z jej objęć. Przypomniał sobie, jak całował i ssał te piersi, jak ona prosiła o jeszcze, szarpał je więc delikatnie zębami, kąsał… W uszach słyszał jej zduszone pojękiwania, pomruki aprobaty. Wspomnienia podniecały go coraz bardziej.

– Może jeszcze podkręcimy atmosferę – odezwał się w końcu. – Niech osoba z najsilniejszą kartą pocałuje się z osobą o najsłabszej karcie – wypalił.

– A po co o to grać… – mruknęła Laura i nachyliła się do Grace. Całowały się dobrych kilka minut i nie były to aseksualne całusy dwóch przyjaciółek, ale długi, namiętny pocałunek. Billy'ego kompletnie zamurowało. Patrzył na nie z rozdziawionymi ustami, zafascynowany tym, jak dziewczyny przygryzają sobie nawzajem dolne wargi.

– Wy…wy…wy je…jesteś…cie – jąkał się chłopak, całkowicie zaskoczony obrotem sytuacji. Wiedział już. W ułamku sekundy zrozumiał, dlaczego on „nie jest dla Grace" i pojął wcześniejsze uśmieszki Laury, kiedy razem gdzieś z Grace wychodzili.

Tymczasem dziewczyny wstały, zrzucając z siebie resztki bielizny. Billy siedział niczym posąg z kamienia i przyglądał się im z rozchylonym ustami. Widział je już obie nago, ale nigdy razem. Teraz podobały mu się jeszcze bardziej i jeszcze mocniej go podniecały. Poczuł, że robi się czerwony na twarzy. Chyba jak każdy facet miewał fantazje o trójkącie z dwiema kobietami, ale czuł się teraz trochę zmieszany i nie za bardzo wiedział, co powinien zrobić. Laura i Grace chyba go przejrzały, bo postanowiły przejąć inicjatywę. Najpierw wypięły się jednocześnie w jego stronę.

– Ooochhhh… – tylko tyle zdołał wydusić z siebie Billy. Był już ugotowany. Musiał się powstrzymywać, aby nie rzucić się na nie. Dziewczyny zachichotały i pozrzucały karty na podłogę, a chłopak pozestawiał butelki z niedopitym piwem. Potem usiadły na stoliku, szeroko rozstawiając nogi. Biorąc to za gest przyzwolenia, Billy szybko rzucił się w ich stronę. Chciał kucnąć przed nimi, ale Laura powstrzymała go stopą i palcami u nogi zaczęła ściągać z niego bokserki. Penis wyskoczył jak z procy.

– Pokaż nam teraz, jak bardzo ci się razem podobamy – zażądała Grace.

– Tylko nie za szybko – dodała Laura z groźną miną. Billy objął penisa dłonią i poruszał nim powoli w górę i w dół.

– Aaach… oooch… – nie mógł się powstrzymać i stękał przy tym głośno. Zaczęły się całować, liżąc się nawzajem. Ich języki były niczym obce istoty, niezależne od ich ciał, żyjące własnym życiem. Chłopak przyspieszył, więc Laura znowu przystopowała go. Wbiła palce stopy w jego jądra, drapiąc je.

– Za szybko skończysz, a my? Możesz zacząć od Grace – powiedziała łaskawie. Zanim to zrobił, nachylił się i zębami wyciągnął spod jej tyłka kartę. Potem dorzucił ją do reszty talii.

„As czerwienny, moja ulubiona figura" – pomyślał.

A potem się zaczęło…

Gdy za długo zajmował się Grace, Laura przyciągała go za włosy do siebie. Billy wiedział, że do końca życia zapamięta ten fantastyczny wieczór. Cudownie pachniały piżmem i dwoma rodzajami perfum, których nie rozpoznawał. Może dlatego, że oba zapachy złączyły się w jeden, niespotykany aromat. Był cały mokry, ale nie czuł zmęczenia, spieszył się, chciał obie doprowadzić razem. Stękały na zmianę, co jeszcze bardziej go mobilizowało, ich oddechy stawały się coraz szybsze… nie mógł wytrzymać, złapał ponownie penisa i szybko nim ruszał, nie zapominając o dziewczynach i nagle…

– Aaaachhhhh…! – jeden okrzyk cudownego zadowolenia wydobył się z dwóch par ust. Billy szczytował chwilę po nich…

Minął miesiąc od ich niesamowitego pokera. Od tamtej pory nie widywali się. Choć Billy mile wspominał chwile spędzone z dziewczynami, wolał oddalić się od nich, chociaż na pewien czas. Domyślał się, że obie są zaangażowane w swój związek i nie chciał stawać pomiędzy nimi. Jednak któregoś dnia postanowił wybrać się do *Siódemki*. Bardzo się ucieszył, gdy zobaczył w środku Grace, która dopijała właśnie drinka.

– Cześć – przywitał się i usiadł koło niej. – Zamówić ci coś jeszcze?

– Hej, nie, dzięki. Właściwie już wychodzę.

– A co u Laury?

– U jakiej Laury? Kto to w ogóle jest? – odpowiedziała pytaniem.

– Jak to? No przecież twoja współlokatorka… Ej, jaja sobie ze mnie robisz, tak? – upewniał się skonsternowany Billy.

– Nie znam żadnej Laury i nie mam współlokatorki.

– Ha-ha-ha… – zaśmiał się chłopak i zaraz zapytał: – Pokłóciłyście się, tak? O co poszło?

– O nic. Muszę już iść.

– Zaczekaj, pogadamy, wypijemy jakieś piwko i może wtedy mi powiesz… – Zaczął podejrzewać, że chyba naprawdę coś się stało, ale co? Nie potrafił odgadnąć.

– Nie, dziękuję ci Billy, ale muszę już iść. – Wstała i na odchodne powiedziała jeszcze: – Spieszę się na pociąg, cześć. – Po czym wyszła z pubu, zostawiając go ze zdumioną miną. Nic nie rozumiał. Wstał, podszedł do baru i wrócił do stolika z kupionym piwem.

– Hej, Billy! – zawołał do niego barman. – A reszta? Zapomniałeś o reszcie!

On tylko zamyślony machnął ręką.

– Okej, zatrzymam ją do następnej kolejki – zdecydował barman, ale Billy go nie słyszał.

Upił duży łyk piwa. „Grace wyjeżdża… ale gdzie i czy na długo… a może na stałe…?" Natłok myśli nie dawał mu spokoju. Siedział plecami do drzwi i nie zauważył wchodzącego swojego dawnego kolegi. Nagle go olśniło… „Dworzec!" – prawie wykrzyknął to na głos. Chciał wstać od stolika i biec na stację kolejową, może jeszcze zdążyłby złapać Grace, zanim wsiądzie do tego pieprzonego pociągu. Był zły na siebie, że pozwolił jej odejść bez żadnego słowa wyjaśnienia. Wyglądała na przygnębioną, a on zachował się jak… Właściwie to w ogóle się nie zachował, bo nie zrobił nic, żeby ją zatrzymać. Wstał i wtedy usłyszał za plecami znajomy głos.

– Siemanko.

Billy odwrócił się.

– Dylan? A co ty tu… zresztą nieważne, bardzo się spieszę – uznał, że nawtykanie mu za złe potraktowanie Laury musi trochę poczekać.

– O nie, stary, dziś mi nie możesz odmówić, dziś ja stawiam… – Dylan teatralnie zawiesił głos. – Żenię się i… zostanę ojcem.

Billy przyjrzał mu się zaciekawiony.

– Z kim? Kto jest twoją szczęśliwą wybranką? – zapytał.

– Znasz ją. To Laura. – Wyszczerzył zęby.

Billy o mały włos nie zrzucił ze stołu butelki z piwem, gdy chwiejąc się z wrażenia, ciężko opadł na krzesło. Potem długo, w tępym oszołomieniu patrzył na wielce ucieszonego kumpla z dawnych lat.

Dariusz Kankowski

VAPAUTAN

Jezioro

Wędrowiec zatrzymał się nad jeziorem.

Drzewa rosły tu rzadko, ale znajdujące się po północnej stronie jeziora wzniesienie pokrywał już gęsty las. Dalej ciągnęły się równie zielone wzgórza, a na horyzoncie majaczyły ciemne szczyty gór.

Trawa była niska i wędrowiec nie miał kłopotu ze znalezieniem odpowiedniego miejsca na postój. Usiadł pod drzewem i rozpiął koszulę. Dzień był upalny, ale lato miało się już ku końcowi i myśl o wędrówce przez góry jesienią nie uśmiechała mu się. Wyjął ze skórzanej torby chleb, odkroił kawałek i zjadł, żując powoli. Przez ostatnie miesiące przyzwyczaił się do bardzo skromnych racji żywnościowych; mógł teraz długo wytrzymywać bez posiłku, czasem nawet ograniczając się do kilku kawałków chleba w ciągu dnia.

Przez ostatnią dobę szedł nieprzerwanie, tylko raz zatrzymując się na posiłek. Był wyczerpany. Miał zamiar przespać się kilka godzin i wyruszyć wraz z zachodem słońca. Chłód nocy pozwoli mu iść dłużej bez zmęczenia, ale za to ciemność spowolni marsz.

„Och, gdybym chociaż miał jeszcze konia” – pomyślał. Ale ten zdechł zaledwie dwa dni przed przybyciem wędrowca do Kautta, ostatniej ludzkiej osady na jego szlaku.

„Zbliża się jesień – pocieszał się. – Podróż za dnia nie będzie tak męcząca. A potem przyjdzie zima – pomyślał z ironią – której prawdopodobnie nie przeżyję”.

Wstał i podszedł do brzegu, zarośniętego nieznanymi mu różowymi kwiatami. Napił się wody i napełnił bukłak. Tafla jeziora była niemal płaska, nieznacznie tylko mąciło ją stadko łabędzi, sunących powoli w zwartej grupie po drugiej stronie zbiornika. Wędrowiec przyglądał się ptakom. Pozazdrościł im ich wolności, ich dzikości, dzięki którym podlegały jedynie samej naturze. Życie było dla nich jedynym obowiązkiem, jedynym wyzwaniem i jedyną misją. Za tą wolnością wędrowiec tęsknił, z każdym dniem tułaczki coraz dotkliwiej odczuwając jej brak.

Spojrzał na północ, zastanawiając się, jakie stworzenia spotka w górach.

Nienawidził postojów. Kiedy szedł, skupiał się całkowicie na drodze i na otoczeniu. Kiedy się zatrzymywał, nawiedzały go ponure myśli, od których nie potrafił się uwolnić; dręczyły go wspomnienia, o których pragnął zapomnieć.

Ułożył się między korzeniami drzewa i nasunął kapelusz na twarz. Ale pomimo zmęczenia sen długo nie przychodził. Zdał sobie sprawę, że ani razu nie zażył porządnego snu, od kiedy opuścił Kautta.

Przybył tam przed kilkoma dniami, późnym wieczorem. W gospodzie zamówił pokój na jedną noc, po czym kupił piwo i usiadł samotnie przy stole w rogu. Szybko domyślił się, że miasto rzadko odwiedzają goście z obcych stron, bo pomimo pijackiej wrzawy zbyt często dosięgały go ukradkowe spojrzenia.

Dwaj bardowie śpiewali i grali na lutniach. Na środku sali tańczyła młoda dziewczyna; ładna, chociaż w łachmanach. Rozbawione towarzystwo krzyczało wesoło, przyglądając się wdzięcznym ruchom tancerki. Najbardziej pijani goście bez oporu klepali dziewczynę, gdy tylko znalazła się w zasięgu ich rąk. Ci, którzy mieli już problemy z wymierzeniem odpowiedniej siły, popychali ją, śmiejąc się głośno i rubasznie z jej potknięć. Dziewczyna dzielnie znosiła zaczepki i tańczyła dalej, jakby nic się nie stało.

Wędrowcowi zdało się, że kiedy zasiadł przy stole, krzyki nieco ucichły. Dokończył piwo i ruszył do baru. Gospodarz, stojący za ladą i śmiejący się wraz z towarzystwem, był z pewnością najlepiej poinformowaną osobą w mieście.

By nie zwracać na siebie uwagi, wędrowiec szedł wzdłuż ściany. Przedarłszy się przez opary dymu z fajek, odstawił kufel na ladę.

– Dziękuję – rzucił w kierunku gospodarza. Ten tylko kiwnął głową w odpowiedzi, nie odrywając wzroku od przedstawienia.

– Co może mi pan powiedzieć o Vapautanie?

Gospodarz odwrócił się ku niemu jak rażony strzałą. Spojrzał ze zgrozą na przybysza, zapominając o pozostałych gościach. Wędrowiec spokojnie czekał na odpowiedź.

– Kim jesteś? – burknął właściciel gospody, a jego twarz przybrała zarazem zdumiony i obrażony wyraz, jakby pytał: „Dlaczego mnie bijesz?”. – Po co chcesz to wiedzieć?

– Jeśli wiesz cokolwiek o tym miejscu, powiedz mi.

– Nic nie wiem. – Gospodarz pokręcił energicznie głową, ale pod naporem spojrzenia wędrowca nachylił się nad ladą i rzekł cicho: – Vapautan to niebezpieczna kraina. Żyją tam tylko demony i dzikie bestie. Nie wiem, co cię tam kieruje, ale na twoim miejscu brałbym nogi za pas i wracał do domu.

To powiedziawszy, odwrócił się i ostentacyjnie zaczął wycierać naczynia.

Wędrowiec nie ustępował.

– Vapautan leży niedaleko, zaledwie kilka dni drogi stąd. Ktoś z Kautta na pewno odwiedzał to miejsce. Jeśli nie chcesz o nim rozmawiać, wskaż mi kogoś, kto tam był.

Gospodarz odłożył naczynia.

– To nie jest miejsce, z którego się wraca.

Odwrócił się i oparł kościste ręce na ladzie. Jego wąsy zadrgały lekko w nerwowym tiku. Rozejrzał się po sali, ale nikt z gości nie patrzał w ich kierunku – wszystkich zajmowała zabawa. Po silniejszym uderzeniu dziewczyna upadła na podłogę. Salwa śmiechu niemal zagłuszyła głos gospodarza:

– Tak, zapuszczano się tam kilkakrotnie. Ale nikt nie wrócił.

Zamyślił się, jakby przywołując jakieś wspomnienie, a po chwili dodał:

– Opowiadają różne historie, jedną straszniejszą od drugiej. To nawiedzona ziemia. Rób, co chcesz, ale jeżeli życie ci miłe, omijaj Vapautan z daleka.

– Skoro są opowieści – zauważył wędrowiec – to są i ludzie, którzy je opowiadają, którzy widzieli Vapautan.

Gospodarz westchnął. Występ zakończył się, bardowie ukłonili się i zamówili piwo. Pewien gruby, pijany w sztok mężczyzna udał się z tancerką na górę. Obsłużywszy klientów, gospodarz wrócił do wędrowca i rzekł cicho:

– Mój ojciec wybrał się tam przed wielu laty, ale gdy wrócił, nie był już taki jak wcześniej. Oszalał. Opowiadał różne historie, dziwne, poplątane, bezsensowne. Cały czas miał strach w oczach. Majaczył. Umarł przed upływem miesiąca. Reszta opowieści to legendy z dawnych czasów.

– Czy to prawda, że tą krainą rządzi czarownik?

– Podobno Vapautan ma władcę, ale kimkolwiek on jest, na pewno nie jest człowiekiem. Proszę, nie wspominaj już tutaj o tym miejscu – zakończył gospodarz żałosnym tonem.

– Dobrze. Dziękuję.

Teraz, gdy nic nie odciągało uwagi gości od przybysza, ich spojrzenia stały się zbyt natarczywe. Niektóre były wrogie, inne nieco przestraszone, ale wędrowiec wiedział, że jego ciemna południowa cera rzucała się w oczy nawet najbardziej pijanym mężczyznom. Gdy tylko wejdzie na górę, otoczą gospodarza, by dowiedzieć się, czego chciał nieznajomy.

Z grona mężczyzn namiętnie ćmiących fajki – którzy wyprodukowali większość dymu unoszącego się pod sufitem – podniósł się barczysty wyrostek i podszedł do baru, kiwając się na boki.

– Czy ten południowiec sprawia jakiś problem? – zapytał gospodarza, mierząc nienawistnym spojrzeniem wędrowca.

– Spokojnie, Kulkuri – rzekł gospodarz, wyraźnie przestraszony, że w gospodzie dojdzie do kolejnej bijatyki. – Ten pan jest tu tylko przejazdem, jutro odejdzie.

– Nie chcę cię tu jutro widzieć – warknął Kulkuri, grożąc wędrowcowi palcem, i wrócił do swoich kompanów.

– Lepiej udam się już do pokoju, bo cudzoziemcy nie są tu chyba mile widziani. Rano odejdę. Czy dostanę tu gdzieś konia?

– Nie mamy wielu koni.

Wędrowiec podejrzewał, że gospodarz kłamie, bo tak odseparowana od świata osada z pewnością potrzebowała koni. Uznał jednak, że i tak nikt nie zechciałby mu sprzedać wierzchowca. Pożegnał się więc z gospodarzem i wszedł po schodach na piętro. Po drodze minął zataczającego się grubasa, który w opuszczonych spodniach próbował doczłapać się do latryny. Przez korytarz przebiegła naga tancerka, zakrywając się swoimi łachmanami. Zerknąwszy przelotnie na wędrowca, zniknęła za drzwiami.

Wszedł do swojego pokoju i natychmiast rzucił się na łóżko, nie zdejmując ubrania. Zasnął jednak dopiero, gdy ucichła wrzawa na dole.

Opuścił Kautta wczesnym rankiem. Zaopatrzył się w prowiant, wydając tym samym resztę pieniędzy.

– Możesz jeszcze zmienić decyzję – powiedział mu gospodarz na odchodnym.

Wędrowiec zbył go milczeniem.

– Kiedy na swojej drodze zobaczysz jezioro, zatrzymaj się tam, prześpij się. Przemyśl wszystko. To ostatnie miejsce, z którego będziesz mógł zawrócić.

– Dziękuję – odparł szczerze wędrowiec i opuścił gospodę.

Gdy wychodził na zewnątrz, drogę zastąpiła mu niewolnica, która poprzedniej nocy tańczyła dla miejscowych. Padła przed nim na kolana.

– Zabierz mnie ze sobą, panie! – prosiła, szarpiąc jego spodnie. – Dokądkolwiek się udajesz, zabierz mnie stąd!

Patrząc w jej nieszczęśliwe oczy, wędrowiec poczuł litość. Przypomniał sobie, jak traktowano wczoraj dziewczynę i przez moment zapragnął zabrać ją ze sobą. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić, gdyż podróż z nim przyniosłaby jej jedynie śmierć.

Dziewczyna natomiast nie zdawała sobie z tego sprawy i łkając u jego stóp, krzyczała:

– Mogę pracować, mogę…!

Ale nie zdążyła powiedzieć, co jeszcze może, bowiem w tej chwili pojawił się gospodarz i zagnał ją do tawerny. Przeprosił za zamieszanie i jeszcze raz pożegnał cudzoziemca.

Wędrowiec odszedł, odprowadzany przez ciekawskie spojrzenia miejscowych, którzy pomimo wczesnej pory śledzili zza okien jego odejście. Cieszył się w duchu, że opuszcza tę ksenofobiczną osadę, choć wiedział, że niedługo będzie za nią tęsknił.

Trzy dni szedł samotnie, nim dotarł do jeziora, o którym wspomniał gospodarz. Teren wciąż się wznosił, prowadząc go ku wzgórzom; porastały go rzadkie lasy, ciche i opustoszałe. Prócz ptaków nie usłyszał i nie dostrzegł żadnych zwierząt. Nie spotkał ani jednego człowieka. Powoli zaczynał odczuwać gorzki smak samotności. Wcześniej towarzyszył mu przynajmniej koń, teraz jedynym towarzyszem był jego własny cień.

Zgodnie z radą zatrzymał się nad jeziorem, ale namysł nie był mu potrzebny, bo swoją drogę wybrał dawno temu.

Podobnie jak w trakcie poprzednich krótkich postojów, nie mógł zasnąć. Leżał w cieniu drzewa, a umysł wbrew jego woli przywoływał obrazy z przeszłości. Wspomniał wizytę w Kautta, gdzie po raz ostatni usłyszał ludzki głos. A potem odpłynął w jeszcze odleglejsze czasy, poprzedzające wyprawę, które stopniowo zacierały się w jego pamięci. Tęsknił za tamtymi dniami, a ta tęsknota unosiła się w wieczornym powietrzu niczym krzyki orłów w górach.

Wstał, gdy świat spowiły ciemności. Spojrzał na ciche, mroczne wzgórza, a wówczas po raz pierwszy w czasie tej wędrówki poczuł autentyczny strach.

Jezioro stanowiło punkt graniczny, za nim rozpościerała się dzika i tajemnicza kraina Vapautan – miejsce, do którego zmierzał od tak wielu dni.

Odegnał złe myśli i ruszył na północ.

Bębny

W ciszy rozbrzmiewała symfonia strachu.

Przypadkowe odgłosy były jedynie tłem: cykanie świerszczy, bliższe i dalsze trzaski gałęzi, pohukiwanie sowy. Każdy najmniejszy szelest liści rozlegał się donośnie. Najgorsze były jednak szepty, które przyszły wraz z bębnami.

Wędrowiec ostrożnie stawiał każdy krok. Dotarł do partii lasu tak gęstej, że panowała w niej niemal całkowita ciemność. Wydawało mu się, że zmierza wciąż na północ, ale gdy zatrzymał się na moment i rozejrzał, nie był już tego pewien.

Wiele razy wędrował w nocy, ale takiego mroku się nie spodziewał. Postanowił poczekać, aż poranne słońce wskaże mu właściwą drogę. W dziewiczym lesie trudno było jednak o miejsce, w którym mógłby się zatrzymać. Usiadł pod rozłożystym drzewem, starając się nie zasnąć w obawie przed żyjącymi w puszczy stworzeniami. Wsłuchał się w nienaturalnie głośne leśne dźwięki.

Wtedy to rozległy się tępe uderzenia bębnów. Początkowo odległe, wydawały się wędrowcowi jedynie echem w jego głowie, zwiastunem nadchodzących snów. Ale rozbrzmiewały coraz głośniej, aż wreszcie nie mógł ich dłużej ignorować.

Wstał. Cały las dudnił; powietrze drżało w rytmicznym pulsie, niczym krew w gigantycznym sercu. Stłumione uderzenia dochodziły z różnych stron. Coś go otoczyło. Wokół w równych odstępach zapaliły się wątłe światełka, niczym krąg gwiazd.

Zaczęły szeptać. Szepty mieszały się z dudnieniem bębnów i wzmacniały je. Wdzierały się do mózgu wędrowca. Nie potrafił się im przeciwstawić – a nie mógł ich po prostu zlekceważyć, musiał zachować czujność. Potem zmieniły się w rozdzierające głowę wrzaski. Powstrzymywał się, aby nie krzyknąć z bólu.

Wszytko nagle ucichło. Światła zgasły, pozostało tylko jedno. Wędrowiec ruszył w jego kierunku.

Czuł się osłabiony. Do światła prowadziła go wąska ścieżka wydeptana przez zwierzęta. W gąszczu paproci spoczywało martwe ciało.

Zbliżył się do niego. Wyciągnął z gęstwiny starego mężczyznę w podartej i poplamionej krwią zielonej szacie z lnu, typowej dla jego rodaków. Szybko przekonał się, że mężczyzna żyje, choć oddech miał płytki, urywany i z pewnością nie zostało już w nim wiele życia. Nie było dla niego nadziei – z rany w boku wypłynęło mnóstwo krwi. Wędrowiec zastanawiał się, kim jest ten mężczyzna i co się mu stało, jeżeli rzeczywiście pochodził z południa. Ale ten wówczas wzdrygnął się, wciągnął gwałtownie powietrze, a potem rzygnął krwią – i na wędrowca spojrzały martwe oczy jego ojca.

Bicie bębnów rozległo się na nowo; dołączyło do niego jeszcze więcej szeptów. Ciało starca rozsypało się w rękach wędrowca. Krzyknął i rzucił się biegiem przez leśny gąszcz, starając się uciec przed odgłosami rozsadzającymi mu czaszkę. Nieświadomie kierował się ku światłu.

Szepty ucichły, kiedy dotarł do porosłego mchem kamiennego ołtarza. Zatrzymał się przed nim, próbując opanować drżenie. Błyszczący kamień u szczytu wysokiego krzyża był źródłem światła. Małe wgłębienie w ołtarzu wypełniała woda. Wędrowiec obmył w niej twarz. Zamieniła się w krew. Krople, które upadły na kamienną płytę, wypełniły wyryte w niej rowki. Szkarłatem zajaśniały litery:

Z A W R A C A J

Usłyszał ryk.

Schował się za ołtarzem, modląc się, by nadchodząca bestia nie odnalazła go. Coś rzuciło na niego cień; zadarł głowę.

Stał przed nim jego ojciec, ociekający krwią. Wyciągnął w kierunku wędrowca rękę trzymającą pęk siwych włosów – jego własnych włosów, odciętych przez morderców. Starzec spoglądał na syna z wyrzutem.

Z nienawiścią.

Wędrowiec zapłakał. Nie potrafił tego wytrzymać. Pragnął zawrócić.

Kolejny ryk bestii rozdarł widmo ojca, które ulotniło się w powietrzu niczym mgła.

„To nie moja wina, nie moja wina” – powtarzał w duchu wędrowiec, łkając w cieniu ołtarza. Lecz bębny odgrywały własną melodię:

– Łżesz, łżesz, łżesz…

Nie przeze mnie zginął.

– Łżesz, łżesz, łżesz…

Wiatr zawył w gałęziach. Przerażony wędrowiec rzucił się do ucieczki. Biegnąc jak oszalały, przebrnął przez pas zarośli i wpadł na polanę pokrytą trupami.

Zabrakło mu tchu. Gdzie nie spojrzał, leżały martwe, poszarpane ciała. Trawa poczerwieniała od krwi. Niektóre zwłoki były rozczłonkowane, odcięte kończyny leżały w nieładzie, często daleko od reszty ciała. Wiele z nich miało wydłubane oczy i odcięte włosy.

Zimne powietrze rozlało się w płucach wędrowca; targnął nim spazm.

Znał ich wszystkich.

Padł na kolana. Zakrył twarz dłońmi i zapłakał, aż zabolało go gardło. Znajome twarze, martwe twarze.

Bestia przypomniała o sobie rykiem. Zbliżała się. Zbierając resztki sił, wędrowiec wstał i pobiegł przez pole trupów.

– Łżesz, łżesz, łżesz…

Szybko dotarł pod osłonę drzew, lecz tam czekała na niego pułapka. Potknął się o wystający korzeń i upadł na twarz. Poczuł ucisk wokół kostek. Przewrócił się na plecy i spostrzegł, że korzenie drzewa owijają się wokół jego nóg. Kolejne dwa pędy złapały go za nadgarstki i unieruchomiły ramiona. Drzewo pociągnęło go ku sobie. Przywarł do starego, próchniejącego pnia, nie mogąc wyrwać się z uścisku morderczej rośliny, która owinęła się wokół jego klatki piersiowej.

Tymczasem nadeszła bestia.

Łamiąc mniejsze drzewa i depcząc krzewy, powoli zbliżyła się do swojej ofiary. Jej oczy jarzyły się w mroku niczym dwa księżyce. Rozwarła pysk, ukazując rząd długich jak miecze kłów. Jej piekielny smród przyprawiał o mdłości.

Próbował rozpaczliwie uwolnić się z więzów, ale pędy tylko mocniej wbijały się w jego żebra.

Bestia rzuciła się na niego.

Bębny umilkły.

Pustelnik

Wędrowiec ocknął się w niewielkiej grocie. Nieopodal płomień ogniska oświetlał surowe wnętrze.

Zrzucił z siebie stary, wypłowiały koc i wstał; zakręciło mu się w głowie, oparł się ręką o ścianę. Bolały go wszystkie kości. Kiedy zawroty ustały, przyjrzał się dokładnie jaskini. Na ziemi leżały szmaty, podobne do koca, którym był przykryty. Ognisko powoli gasło. Podniósł swój kapelusz, ale nigdzie nie znalazł torby.

Wyszedł na zewnątrz.

Zmierzchało. Długie cienie, rzucane przez kamienie i nierówności, rozlewały się po trawiastym stoku. W dole rozległy las kołysał się delikatnie. Morze ciemnej zieleni pokrywało wzniesienia. Niebo miało pomarańczową barwę, w której tonął nawet księżyc na wschodzie.

A więc dotarł wreszcie do tych gór, które obserwował tam, z dołu, z okolic jeziora. Ale kiedy to było? Dwa dni temu? Tydzień? Nie pamiętał, jak tu trafił – niejasne, urywane wspomnienia mieszały się z sennymi majakami. Pomyślał, że może z powodu głodu zaczyna tracić kontakt z rzeczywistością. Za mało jadł ostatnio i za bardzo nadwyrężał siły. Na dodatek nie wiedział, gdzie zostawił torbę, w której przechowywał cały prowiant. Może wszystkie zapasy już się skończyły. Może przygotował sobie tę jaskinię, aby w niej umrzeć.

Lecz mimo tych wszystkich ponurych myśli nie czuł strachu. Cisza wieczoru i chłodny powiew wiatru działały na niego uspokajająco. Widok był tak rozkosznie idylliczny, że zupełnie przestał przejmować się swoją misją. Chwila, gdy obejmował wzrokiem Vapautan, rozciągała się w wieczność.

– To piękna ziemia – usłyszał głos z lewej strony – ale zimna i okrutna.

W jego kierunku zmierzał mężczyzna, niosący w jednej ręce gałęzie, a w drugiej dwa martwe króliki. Pogwizdując, wszedł do jaskini, wrzucił kilka gałęzi na żarzące się ognisko i cisnął resztę obok, po czym usiadł na skórzanym kocu.

– Miło widzieć cię przytomnego – rzucił wesoło. – Spałeś cały dzień. Jak się czujesz?

Wędrowiec wszedł za nim do jaskini i usiadł naprzeciw. Płomienie wesoło zatańczyły w ognisku.

– Nie wiem… Nic nie pamiętam. Jak się tu znalazłem?

Mężczyzna w zielonym stroju uśmiechnął się szeroko.

– Masz niesamowite szczęście, że znalazłem cię w tym szalonym lesie. W przeciwnym razie pewnie zgniłbyś tam jak wielu innych – najpierw, oczywiście, doprowadzony do obłędu. Na pewno jesteś głodny. Zaraz będziemy mieli pyszną wieczerzę.

Wyciągnął z kurtki długi, szeroki nóż i zabrał się za oprawianie królików. Wędrowiec zastanawiał się, czy fakt, że rozmawia z tym dziwnym człowiekiem, nie jest oznaką obłędu.

– Jak mnie znalazłeś?

– Widziałem, jak niedźwiedź cię obwąchiwał. Widocznie uznał, że jesteś martwy, skoro cię nie tknął. I ja tak początkowo myślałem, kiedy niedźwiedź już odszedł. Prawie nie oddychałeś. I wyglądałeś jak trup, he, he. Pomyślałem, że jak zabiorę cię do siebie, to może przeżyjesz. Masz cholerne szczęście! – dodał, śmiejąc się głośno.

– Niedźwiedź… – Wędrowiec przypomniał sobie sen, w którym próbowała go pożreć ogromna bestia. – Nic nie rozumiem. Pamiętam, że przeprawiałem się przez ten las… ale nie wiem, co się tam stało. Dlaczego straciłem przytomność. Jakieś… dziwne sny…

– To szalone miejsce. – Siwowłosy pokiwał głową z powagą. – Ogłupia ludzi. Nie da się go przejść, nie dostając przy tym pomieszania zmysłów. Właściwie… wszyscy tam giną. Mówiłem, że masz cholerne szczęście! – Roześmiał się.

Wędrowcowi trudno było zrozumieć, co tak bardzo cieszyło tego mężczyznę. Czuł się coraz bardziej skonfundowany.

– Sądziłem, że w Vapautanie nie ma żadnych ludzi…

– Też tak myślałem, ha, ha! A poważnie, jesteś pierwszą żywą osobą, którą tu widzę.

– Ale jakim cudem ty tu trafiłeś? Jak przeszedłeś przez las i zachowałeś rozum?

– Pierwszy raz ktoś nazywa mnie normalnym! No cóż, słyszałem opowieści o Vapautanie, więc nie byłem tak głupi, żeby próbować przedostać się przez las w ciągu jednej nocy. Zajęło mi to wiele miesięcy. Posuwałem się bardzo powoli. Chciałem, żeby Vapautan mnie zaakceptował. Nie wpuszcza nikogo, kto próbuje wedrzeć się do niego siłą. A może też miałem szczęście, he, he.

Ustawił nad ogniskiem prowizoryczny ruszt z kilku badyli i nabił nań obdarte ze skóry i wypatroszone króliki. Zapach pieczonego mięsa szybko rozprzestrzenił się po całej jaskini. Wędrowiec poczuł jeszcze większy głód i pragnienie.

– Czy teraz, gdy przeszedłem przez las, Vapautan również mnie zaakceptował?

– To się okaże, przyjacielu, to się okaże.

Wędrowiec próbował złożyć w sensowną całość wspomnienia i to, co usłyszał od swojego wybawcy. Wszystko, co pamiętał, wydawało się być snem; lecz nadal bolały go żebra, wciąż pamiętał uścisk rośliny.

– Od jak dawna tu mieszkasz?

– O, przestałem liczyć dni już dawno. Czasami wydaje mi się, że jestem tu od zawsze.

– A czarownik, który rządzi tą ziemią? Czy to prawda, co o nim mówią? Podobno ma moc… podobno potrafi dokonać wszystkiego.

– Mówisz o Vuortenie? Nigdy go nie widziałem. Stary trep w ogóle nie wychodzi ze swojego zamku. Może już dawno nie żyje. Albo wygrzewa się w gorących południowych krajach. Ja bym tak zrobił, gdybym potrafił dokonać wszystkiego, hehehe. Już gotowe.

Podał wędrowcowi nóż, by mógł odkroić sobie kawałek mięsa.

– Tamten niedźwiedź poszarpał torbę, którą miałeś ze sobą i zeżarł to, co było w środku. Ale może to i dobrze, bo z pewnością nie miałeś przy sobie niczego równie dobrego, heh.

Wędrowiec łapczywie zjadł kawałek mięsa. Już po pierwszym kęsie, gdy poczuł ciepło pieczeni na języku, a tłuszcz przyjemnie oparzył mu dziąsła, poczuł się dużo lepiej.

– Masz przy sobie wodę? – zapytał, na co jego towarzysz wybuchnął śmiechem.

– Lepiej, przyjacielu, lepiej! Najlepszej jakości wino prosto z Kautta! – rzekł, wyciągając z tobołu butelkę. – Proszę, skosztuj.

– Odwiedzasz Kautta? – zapytał zdziwiony wędrowiec, odbierając butelkę.

– Tak… Ach, wiem, co masz na myśli. Nie wiedzą, że mieszkam tutaj. Nie mówiłem im, bo i tak mają mnie za dziwaka. Sprzedaję to, co upoluję tutaj, i mam na wino. Ale nie tylko. Uważaj.

To mówiąc, wyciągnął fajkę i odrobinę tytoniu zawiniętego w kawałek tkaniny.

– Mam tylko jedną fajkę, ale pozwolę ci skosztować. O tych pijakach z Kautta można mówić wiele, lecz tytoń mają przewyborny.

Wędrowiec posmakował wina i uznał, że nigdy nie pił lepszego. Przypomniał sobie, kiedy ostatnio spożywał ten trunek – w swoim rodzinnym mieście.

– Przyszedł chyba czas, abyś wyjawił swe imię, skoro mam się z tobą podzielić fajką.

Słońce zaszło i już tylko ogień oświetlał pieczarę. Wędrowiec milczał. Od tak dawna nie używał imienia, że niemal zatarło się ono w jego pamięci. Nie chciał go wymawiać, gdyż należało do dawnych czasów. Od kiedy opuścił dom, nazywany był po prostu cudzoziemcem lub południowcem.

– Rozumiem. Nie masz imienia. Wiem coś o tym… tak, wszyscy z czasem tracimy imię. Ja sam stałem się tylko pustelnikiem, jakich wielu. Ale jedynym w Vapautanie, haha!

Zapalił fajkę i wypuścił z ust kółko z dymu. Odetchnął z błogim wyrazem twarzy i zapytał:

– A więc czemu szukasz Vuortena?

– Nie powiedziałem, że go szukam.

– Mogę więc zapytać, dlaczego postanowiłeś wybrać się do Vapautanu, ale podejrzewam, że sprowadza się to do tego samego.

Wędrowiec nigdy nie zdradził nikomu celu swojej podróży. Nie znalazł jednak powodu, by ukrywać go przed mieszkańcem Vapautanu. Przed kimś, kto ocalił mu życie.

– Wysłano mnie, abym odnalazł czarownika i nakłonił go do pomocy moim rodakom. Od lat dręczą nas najeźdźcy i jeżeli nie uzyskamy wsparcia, zostaniemy niewolnikami Turvatulty. Próbowaliśmy wszystkiego… pozostała nam tylko wiara w legendarnych magów za górami.

– Wysłano tylko ciebie?

– Miałem… kilku towarzyszy. Ale droga była trudna.

– Od jak dawna jesteś w drodze?

– Przestałem już liczyć dni – odparł wędrowiec, uśmiechając się cierpko.

– A więc od dawna. Nie myślisz czasami, że… tam, skąd pochodzisz… jest już po wszystkim? Że za późno na jakikolwiek ratunek?

– Każdego dnia – odparł wędrowiec, zastanawiając się, czy to wino skłania go do zwierzeń. Cieszyło go jednak, że znalazł kogoś, komu mógł wyjawić swoje problemy. – Czasami… czasami śni mi się, że wracam. I widzę ich wszystkich martwych. Pole trupów.

Zamilkli obaj, wpatrując się w płomień. Pustelnik dołożył kilka gałęzi.

– Ale nie mam innego celu – ciągnął wędrowiec. – Dlatego robię to, co mi kazano, nawet jeżeli nie ma już nadziei. Nie wiem, co będzie potem. Nie mam do

czego wracać. Moja rodzina zginęła podczas walk. Nawet jeżeli najeźdźcy zostawią nas w spokoju, a ja wrócę bezpiecznie do domu – dla mnie to już nie będzie to samo.

Magiczna moc alkoholu przywróciła setki wspomnień. Na kilka chwil wędrowiec powrócił do domu, przypomniał sobie uczucie ciepła i miłości. Oparł się jednak tej sile, by wrócić do niej dopiero wtedy, gdy wypełni – lub nie – powierzone mu zadanie.

– A ty? – zapytał. – Co ciebie sprowadziło do tej przeklętej krainy?

Pustelnik długo nie odpowiadał. Stracił wesołość, prawdopodobnie z powodu opowieści wędrowca. Przyglądał się uważnie, jak ten przegryza mięso, a potem rzekł:

– Wygnano mnie z mojego miasta. Długo szukałem dla siebie miejsca, aż znalazłem je tutaj. Nie pytaj o szczegóły.

Wędrowiec przytaknął. Nie czuł urazy do pustelnika, że się przed nim nie otworzył.

– A Vapautan wcale nie jest przeklęty. Po prostu dobrze broni swych granic, nie pozwala wejść byle komu. Im dłużej ludzie nie będą tego świadomi, tym lepiej dla tej krainy. Być może stanie się kiedyś ostatnim miejscem niesplamionym przez ludzkie żądze.

Zjadł ostatni kawałek królika, schował butelkę i zawinął się w koce.

– To prawda, że żyją tu kruki o dziobach twardszych niż kamienie. Niedźwiedzie tak silne, że łamią największe drzewa, i orły, które na nie polują. No i rosomaki, najgorsze z tych wszystkich bydlaków, cholernie sprytne. Ale wystarczy przestrzegać kilku prostych zasad, żeby przeżyć: ufać własnym siłom i zmysłom, ufać wiatrowi i strzałom, ufać ogniowi, a przede wszystkim ufać pustelnikowi!

Wybuchnął śmiechem i ułożył się do snu.

– Wiem, gdzie leży siedziba Vuortena. Jak tylko będziesz czuł się na siłach, możemy tam wyruszyć.

***

Wybrali się w podróż o świcie. Pustelnik podarował wędrowcowi sztylet o długim i szerokim ostrzu.

– Na pewno nieraz ci się przyda – rzekł. – To najważniejsza rzecz potrzebna tutaj do przetrwania.

Szli zarówno w dzień, jak i w nocy, zależnie od kaprysów pogody. Chcąc odwdzięczyć się za pomoc, wędrowiec sam nosił torbę z rzeczami pustelnika. Ten zgodził się, ale wziął łuk, kołczan ze strzałami i drugi sztylet. Zatrzymywali się na sen, gdy znajdowali odpowiednie ku temu pieczary. Sypiali na odkrytym terenie tylko wówczas, gdy nie było innego wyjścia.

Przechodząc przez niższe partie gór, zatrzymywali się na dłużej w lasach, by zapolować. Pustelnik nauczył wędrowca, jak podkradać się do zwierzyny, jak najlepiej ją zabijać, wreszcie jak ją wypatroszyć i upiec. Wędrowiec doskonalił się przy nim w strzelaniu z łuku. Ich łupem padały zające, króliki, sarny i jelenie, czasem nawet dziki. Podobnie jak tytoń, wino szybko się skończyło, ale na tyle często napotykali strumienie lub mniejsze jeziora, że ich bukłaki były zawsze pełne.

Gdy nie polowali, pustelnik gwizdał, podśpiewywał pijackie piosenki i śmiał się w głos. Jego humor udzielał się wędrowcowi. Z pewnością był to najekscentryczniejszy towarzysz, jakiego poznał, ale bardzo szybko zżyli się ze sobą. Nie pytali się nawzajem o przeszłość. Cieszyli się wspólną wędrówką.

Zdarzało im się napotkać olbrzymie zwierzęta, o których wspomniał pustelnik podczas ich pierwszego spotkania. Często wysoko nad nimi szybowały orły, rzucając na górskie stoki ogromne cienie. Nocami budziły ich ryki niedźwiedzi. Nigdy jednak żadne zwierzę nie zaatakowało podróżników. Gdy wędrowiec głośno zastanawiał się nad tym faktem, pustelnik odpowiadał, że: „Vapautan cię zaakceptował”. Ale te słowa nie uspokajały południowca. Bo dlaczego w takim razie Vapautan pozwalał im zabijać zwierzęta?

Idąc razem, nie mieli czasu myśleć o przeszłości. Zdarzały się jednak momenty, kiedy wędrowiec samotnie podziwiał piękno krainy o zachodzie słońca lub podczas nocy, tuż przed zaśnięciem, gdy nawiedzały go wspomnienia – opanowywała go wtedy melancholia, rezonująca wśród samotnych gór jak echo. Gdy szedł, czuł się szczęśliwy. Lecz coraz bardziej dręczyła go świadomość nadchodzącego końca, zbliżania się do celu, którego tak naprawdę nie chciał osiągnąć. Nieustanna wędrówka nadawała sens jego życiu. Jej koniec będzie końcem wszystkiego.

Wkrótce pozostawili za sobą lasy i znaleźli się w odkrytym, górzystym terenie, gdzie trudniej było o pożywienie. Wędrowali wzdłuż grzbietów ostrych jak brzytwy. Przecinali lodowato zimne, lśniące strumienie, w których się odświeżali. Dni robiły się krótsze i zimniejsze. Pustelnicze koce stopniowo przestały im wystarczać, nie grzejąc wystarczająco w mroźne noce.

Pewnego wieczoru, gdy spadł pierwszy śnieg, pustelnik wskazał wędrowcowi wyniosły, spiczasty szczyt. Ten dopiero po kilku chwilach uważnego wpatrywania się dostrzegł, że taki kształt nadaje mu wieża wzniesiona z czarnego kamienia.

– To tam. Dom Vuortena. Stary cholernik nie mógł sobie znaleźć bardziej niedostępnego miejsca.

– Może lubi spać w mrozie – mruknął wędrowiec, szukając miejsca na spoczynek.

Spodziewał się, że pustelnik opuści go teraz, ale okazało się, że chce go odprowadzić aż do samej wieży. Był mu za to wdzięczny z całego serca, bowiem nawet sine od zimna usta nie odbierały humoru Vapautańczykowi. Niczego więcej wędrowiec nie potrzebował w tych ostatnich chwilach.

Dotarli na miejsce dwa dni później o zmroku. Cały ostatni dzień zabrała im wspinaczka po niemal pionowym, oblodzonym stoku. Śnieg sypał gęsto, wiał silny wiatr, gdy więc wspięli się na szczyt, byli głodni, zmarznięci i u kresu sił. Stali po kolana w śniegu, wpatrując się w bramę, która dzieliła ich od wieży. Jej sklepienie

było potężne, wysokie, podparte z obu stron bryłami ciemnych skał, wielokrotnie wyższe od człowieka. Na kamieniach widniały bruzdy, wyżłobione przez wiatry i deszcze.

– To magiczna brama – rzekł pustelnik. – Vuorten dobrze chroni swą siedzibę.

– Jak więc mamy przez nią przejść? Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz?

Wzrok pustelnika zaniepokoił go. Nie pozostał w nim nawet cień dawnej wesołości, a jedynie melancholia, będąca jakby odbiciem duszy wędrowca.

– Ty przejdziesz bezpiecznie. Ale ja nie. Cokolwiek się wydarzy, zaufaj mi i przeprowadź mnie przez bramę. Tylko o to cię proszę.

– Dlaczego?…

– Zaufaj mi.

Wędrowiec bał się tego, co skrywało spojrzenie pustelnika. Do tej pory zawsze mu ufał i nigdy się nie zawiódł. Postanowił i tym razem zawierzyć jego słowom. Kiwnął głową; ruszyli ramię w ramię ku wieży.

Gdy przechodzili pod łukowatym sklepieniem, pustelnik jęknął i potknął się. Wędrowiec zbliżył się, by mu pomóc, lecz ten odepchnął go od siebie. Zadrżał gwałtownie. Jego ubranie pociemniało, ręce skurczyły się, twarz wydłużyła, siwiznę zastąpiły gęste, czarne włosy.

Na jego miejscu stał teraz skulony wilk – tylko oczy pozostały po poprzedniej postaci. Wędrowiec przyglądał się uważnie zwierzęciu, które nie poruszało się i nie spuszczało z niego wzroku.

„Zaufaj mi”.

Odwrócił się i przeszedł przez bramę. Wilk szedł równo z nim, jak pies posłuszny swemu panu. Kiedy już znaleźli się w połowie drogi między bramą a wieżą, pustelnik odzyskał ludzką postać.

Spojrzeli na siebie. Wędrowiec milczał, czekając na wytłumaczenie.

– Przepraszam cię, przyjacielu, że musiałem to przed tobą ukryć. Przepraszam, że nie pozwolę ci wypełnić misji, ale twoja sprawa jest od dawna przegrana. A ja muszę zabić Vuortena.

Vuorten

Wiatr umilkł; płatki śniegu opadały pionowo, powoli jak puch. Wszystko inne wokół wędrowca zastygło, spokojne i oczekujące, jakby na przekór burzy szalejącej w jego głowie. Jedna myśl dudniła jak grom – myśl o stracie przyjaciela.

Głos pustelnika zdradzał zdenerwowanie.

– To Vuorten mnie tutaj uwięził. On zamienił mnie w demona, snującego się bez celu po ziemi. Przybyłem tu wiele lat temu, by tak jak ty prosić o pomoc. Ale Vuorten nie spełnia próśb. Jest przesiąknięty złem. Gardzi ludzkimi problemami. Bawi go cudze cierpienie. Za moją śmiałość skazał mnie na wieczne więzienie w Vapautanie. Jego granice mogę przekroczyć jedynie pod zwierzęcą postacią.

– Dlaczego przyprowadziłeś mnie aż tutaj? – Słowa z trudem wydobywały się z gardła wędrowca. – Czyżby ciebie także bawiło cierpienie?

– Nie, przyjacielu. To ty mnie tu przyprowadziłeś. Czekałem setki lat, by komuś udało się dotrzeć do Vapautanu. Żyłem nadzieją na możliwość zemsty, aż wreszcie zacząłem wątpić, że ten dzień nadejdzie. Nie mogłem sam przekroczyć bramy Vuortena. Ktoś musiał mnie przez nią przeprowadzić. Dzięki tobie w końcu tutaj dotarłem. Nie mogłem ci niczego zdradzić wcześniej, bo nie zgodziłbyś się na to.

– Jak masz zamiar zabić czarownika?

– On nadal jest człowiekiem… w przeciwieństwie do mnie. Nieważne, jak go zabiję, ważne, że mam ku temu sposobność. Szczerze mówiąc, wątpię, czy mi się uda. Ale spróbuję mu zadać choć odrobinę tego bólu, na jaki on mnie skazał; będę próbował tak długo, aż go zabiję albo sam zaznam ukojenia w śmierci.

– Nie mogę ci na to pozwolić. On jest moją jedyną nadzieją.

– Pogódź się z tym, że dla twoich rodaków nie ma żadnej nadziei! A nawet gdyby istniała, Vuorten ci nie pomoże! Opuść ten kraj i zamieszkaj z dala od wszelkich problemów, ułóż sobie życie, póki jesteś młody. Albo dołącz do mnie, pomóż mi go zabić. Wraz z nim umrze ciążąca nade mną klątwa. Wtedy razem opuścimy tę przeklętą ziemię.

– Nie mogę zrezygnować. Nie tutaj, u bram jego domostwa.

– Ostrzegam cię, przyjacielu, że nie przyniesie to niczego dobrego. Nie licz na to, że Vuorten cię wysłucha. Zamieni cię w widmo, które będzie żyć jedynie wspomnieniami.

„Zatem już jestem widmem” – pomyślał wędrowiec.

– Ty nie wiesz, jak to jest – rzekł pustelnik. – Wieczna samotność i świadomość jej wieczności. Wyobraź sobie: żywisz się, bo bez jedzenia głodujesz, jak każdy. Ale nie czujesz smaku. Każdy posiłek jest przykrym obowiązkiem. Nie możesz nawet odebrać sobie życia, bo wszystkie rany natychmiast się goją. Cholerna nieśmiertelność. Pytałeś, dlaczego nie atakowały nas zwierzęta. Bo one wiedziały, kim jestem, co we mnie siedzi. I bały się tego demona.

Wędrowiec pamiętał, jak pustelnik przyglądał się mu podczas posiłków – jak kontemplował każdy kęs towarzysza. Mówił prawdę, ale mimo że rozumiał sytuację Vapautańczyka, nie mógł zawrócić z obranej ścieżki.

– To ponad moje siły – ciągnął pustelnik. – Chcę to wreszcie przerwać. W ten sposób nie można żyć. Więc pomóż mi albo zejdź mi z drogi…

– Nie.

To była trudna decyzja, lecz inna nie wchodziła w grę.

Natarli na siebie równocześnie. Wędrowiec przewrócił pustelnika na ziemię, lecz ten zaraz zepchnął go i obrócił się, a gdy znalazł się nad nim, zamienił się w wilka. Podróżnik chronił twarz przed ugryzieniami zwierzęcia, które zaczęło

wściekle kąsać jego ręce i szarpać ubranie. Wyciągnął sztylet i wbił go w brzuch przeciwnika. Wilk zaskomlał i padł obok niego.

Wędrowiec wstał i przyglądał się, jak krew zabarwia śnieg. Wilk leżał na boku, dysząc ciężko z wywieszonym językiem, coraz wolniej i słabiej. Więc jednak był śmiertelny.

– Miałeś rację – rzekł podróżnik, czyszcząc sztylet o rękaw. – Przydał się.

Ruszył w kierunku wieży, starając się oczyścić umysł z myśli. „Zapomnij o tym, co się stało. Jesteś już u celu. Dotarłeś tu i tylko to się liczy. Minęło dużo czasu, ale dopiąłeś swego. Nie myśl o krwawiącej ręce. Vuorten jest blisko".

Schował sztylet i pchnął drewniane drzwi. We wnętrzu ledwie dostrzegł zarys pierwszych kilku stopni schodów, prowadzących spiralnie w górę. Wspiął się po nich, uważnie stawiając każdy krok i błądząc dłońmi po zimnych, kamiennych ścianach. Serce biło mu jak szalone, a lewa ręka płonęła żywym ogniem po starciu z wilkiem. Ale ból nie miał dla niego żadnego znaczenia.

W pewnym momencie poczuł, jak na jego karku rozbijają się zimne krople. Sięgnął ręką w ciemność nad sobą i dotknął mokrego, drewnianego sufitu. Palce przypadkiem natrafiły na zapadkę. Wędrowiec wstąpił na jeszcze jeden stopień i pchnął obiema rękami klapę. Zobaczył nad sobą ciemność, ale innego rodzaju – ciemność nocnego, zachmurzonego nieba. Śnieg wpadał przez otwarty właz.

Obawiając się, że nie znajdzie tam czarownika, wędrowiec szybko podciągnął się i wyszedł przez otwartą klapę na dach wieży.

Najpierw zobaczył jedynie ogień unoszący się w powietrzu. To on roztapiał cały śnieg, który opadał na dach. Magiczny płomień nie gasł i nie posiadał źródła.

Za nim, na pozłacanym krześle, siedział drobny starzec. Jego broda, w przeciwieństwie do krótkich nóg, sięgała mokrej podłogi. Oczy miał zamknięte i nie poruszał się – wydawał się pogrążony we śnie. Żaden płatek śniegu nie spadał na niego – wszystkie roztapiały się w powietrzu.

Radość wędrowca tłumił pewien niepokój. Dlaczego Vuorten siedział w tym dziwnym miejscu? Zastanawiał się też, czy starzec na pewno śpi, ale nim zbliżył się o krok, czarownik otworzył oczy.

– Witaj, wędrowcze. Czekałem.

Jego głos był szorstki i słaby; nawet w panującej ciszy, niemal wibrującej w uszach, wędrowiec ledwo go dosłyszał. Czy to była ta potężna istota, o której mówiono nawet w najdalszych zakątkach świata? Jego wargi prawie się nie poruszały, gdy mówił, a oczy patrzały tępo przed siebie, jakby był ślepy.

– Czy ty jesteś Vuorten?

– Tak mnie teraz nazywają – odparł starzec, lecz wędrowiec nie miał pewności, czy było to stwierdzenie, czy pytanie.

– Przybyłem prosić cię o pomoc…

– Słyszałem wiele próśb, przed laty. Lecz żadna nie była warta mojej pomocy. Zamieszkałem w Vapautanie, by tylko nieliczni mieli prawo wypowiedzieć życzenie. W ciągu tysiąca lat zjawił się tylko jeden nikczemnik. Lecz jego prośba była równie zła jak on sam. Teraz twoja kolej. Wypowiedz życzenie.

Wędrowiec opowiedział więc Vuortenowi historię swojego miasta, ale nim skończył, czarownik przerwał mu:

– Nie ma już twojego grodu, a jego mieszkańcy polegli lub zostali niewolnikami. Za późno na ratunek. Ale to nie jest prośba, z którą przyszedłeś i na którą ja czekałem tysiąc lat, na którą warto poświęcić całą moją moc. Wypowiedz to jedno doskonałe życzenie, które układałeś w myślach każdej bezsennej nocy.

Wędrowiec zadrżał, lecz nie z zimna. Wypełniło go ciepło, a gardło ścisnął ból. Oczyma wyobraźni – tak wyraźnie jak nigdy dotąd – ujrzał w swych ramionach dziewczynę, uśmiechniętą, szczęśliwą, kochającą. Jej biała sukienka lśniła czystością, nie splamiona krwią, jak w jego snach.

Nie zdawał sobie dotąd sprawy, że tego właśnie pragnął, jednak Vuorten miał rację – nieświadomie modlił się o to od lat. Ale czy naprawdę o tej samolubnej żądzy mówił czarownik? Czy było to życzenie doskonalsze od chęci uratowania setek ludzkich istnień?

Otworzył usta, ale nie potrafił wymówić tych słów. To był niedojrzały, egoistyczny kaprys. „Wskrześ ją. Wskrześ ją dla mnie".

Ciszę rozdarł ryk. Nim wędrowiec zdążył zareagować, ciemna sylwetka przeskoczyła płomień i rzuciła się na Vuortena. Starzec nawet nie krzyknął, gdy rosomak przegryzł mu gardło.

Podróżnik złapał zwierzę i zrzucił je z czarownika. Wściekły rosomak skoczył na niego, zaczął gryźć i drapać. Wędrowiec odparowywał ataki, ale z rannym ramieniem nie mógł sprostać przeciwnikowi. Nie mógł też pomóc sobie sztyletem, gdyż wiedział, że nie zabije zwierzęcia – oczy rosomaka, wypełnione szaleńczym śmiechem, były oczami pustelnika.

– Mówiłem ci – rzekł rosomak, przybrawszy ludzką postać. – On nie przyjmie żadnego życzenia. Przestań go bronić.

Wędrowiec nie słuchał. Cisnął w niego sztyletem, ale ostrze tylko musnęło ramię demona. Zaczęli się ze sobą mocować, ale żaden z nich nie mógł uzyskać przewagi nad przeciwnikiem. Pustelnik ponownie przemienił się w rosomaka.

Ugryzł podróżnika w kostkę i zacisnął szczęki. Nie myśląc o rozdzierającym bólu, wędrowiec użył wszystkich sił, aby złapać i unieść drapieżnika. Zrzucił demona z wieży; długie, przeciągłe skomlenie urwało się nagle.

Vuorten zsunął się z krzesła. Wędrowiec złapał go, ale nie mógł nic poradzić na jego ranę – krew wypływała szybko, a wraz z nią życie. Tak samo trzymał przed laty ojca. Dopiero teraz spostrzegł złote kajdany, którymi starzec przykuty był do krzesła.

– Zabij mnie…

Wędrowiec drżał z rozpaczy. Czy czarownik nie mógł uratować się przed śmiercią? Czy nie przewidział, że pustelnik przybędzie, by go zabić? Czy on, wędrowiec, przebył całą drogę tylko po to, by zobaczyć jego śmierć?

– Przebij moje serce… – szepnął Vuorten, dławiąc się krwią. – Otrzymasz… moją moc.

Coś na kształt promyka nadziei zajaśniało w duszy wędrowca, ale szybko przysłonił go strach. Wiele pytań dręczyło podróżnika, wiedział jednak, że już nie pozna na nie odpowiedzi.

– Uderz… albo moc przejdzie na demona.

Wędrowiec podniósł leżący nieopodal sztylet i wbił go w pierś starca.

Twarz czarownika rozjaśniła się. Wyszeptał ostatnie słowo, którego wędrowiec nie dosłyszał. Pod wpływem silnego podmuchu wiatru jego ciało rozpłynęło się. Znikły też kajdany i ślady krwi na dachu. Zgasł płomień.

***

Wędrowiec klęczał u stóp krzesła, nie myśląc o niczym. Upuścił sztylet. Nie poczuł żadnego dreszczu, fali ciepła czy chłodu, niczego, co świadczyłoby, że otrzymał moc Vuortena. Czarownik oszukał go. Zakpił z niego. Tylko po co?

Potem przyszedł smutek. Wędrowiec wspomniał dziewczynę, ale nie potrafił już przypomnieć sobie jej twarzy.

Zdał sobie sprawę z ucisku na nadgarstkach i kostkach. Zobaczył na rękach kajdany pozbawione zamka. Wówczas zrozumiał. Moc Vuortena była jego przekleństwem…

Zakrył twarz dłońmi i zapłakał. Krzyknął z rozpaczy i sięgnął po sztylet. Ale kajdany trzymały mocno. Nie mógł dosięgnąć broni.

Spojrzał na własną rękę, wyciągniętą w bezsilnym geście i niemal zabrakło mu tchu. Była zdrowa, a plamy krwi zniknęły z rękawa.

Rozbłysło światło i pojawił się nowy płomień, znacznie większy i jaśniejszy od poprzedniego.

Wędrowiec spojrzał na nieskazitelnie czyste dłonie. Jeżeli nawet ukryła się w nich ta legendarna moc, to czy mógł wypowiedzieć życzenie dla siebie samego?

Usiadł na krześle, zamknął oczy i próbował przypomnieć sobie imię dziewczyny.

Nie pamiętał. Usiłował wyłowić z otchłani pamięci własne imię, ale jego również nie znalazł. Tylko jedno rozbrzmiewało w jego głowie: Vuorten. Vuorten.

Tak musiał się nazywać.

Chciał wymówić życzenie, ale zapomniał słów, jakie powinien dobrać. Wydawało mu się, że musi na coś czekać. Że przyjdzie ktoś, kto zna właściwe słowa. Ułożył się więc najwygodniej jak mógł na krześle i zdrzemnął się. Na pewno obudzi się we właściwym czasie.

Chłodny wiatr owiał jego ciało i umilkł. Płatki śniegu opadały pionowo, powoli jak puch. Wszystko wokół czarownika zastygło, spokojne i oczekujące, tak jak on.

Dariusz Kankowski

ŻABY i GOŁE BABY

Żaby

W życiu Rudolfa S. nigdy nie wydarzyło się nic ciekawego.

W noc przed kolejną wigilią Bożego Narodzenia Rudolf jechał z żoną do swojej matki mieszkającej na wsi. Był to dla niego niezwykle przykry obowiązek, bowiem wysłuchiwanie zrzędzenia o reumatyzmie i opowieści o ostatnich zgonach nie należało do najprzyjemniejszych przeżyć. Mimo to co roku odwiedzał samotną matkę w święta. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić.

Przez całą drogę milczał, ponurym wzrokiem lustrując zatopioną w ciemności ulicę. W samochodzie panowało napięcie niemal tryskające iskrami. Jak zawsze zresztą, kiedy jechali do matki Rudolfa. Barbara, jego żona, również nienawidziła świąt w rodzinnym gronie.

Życie Rudolfa S. płynęło jak rzeka bez ujścia. Nic się nie zmieniało: jeździł tą samą starą Astrą, miał wciąż tę samą nudną pracę i te same nużące święta. Jego żona nie była ani ładna, ani brzydka. Nie była ani dobrą, ani złą żoną. Po prostu była i fakt ten wręcz przytłaczał Rudolfa.

Cały jego świat trwał w marazmie, wiecznie stały, niezmienny i nudny.

Nawet gdy Rudolf S. jechał do matki, tak naprawdę pędził bez celu.

Wtem coś plasnęło o przednią szybę po stronie Barbary. Kobieta podskoczyła na siedzeniu, patrząc na ohydną, zastanawiająco gęstą plamę.

– Co to jest?

Rudolf nie odpowiedział. Co go obchodziło jakieś ptasie gówno. Miał zamiar wytrzeć plamę po dotarciu na miejsce. Nie zamierzał włączać wycieraczek, by nie rozmazać jej po całej szybie. Barbara musiała ścierpieć ten widok przez resztę drogi.

Potem coś głucho stuknęło o dach. W kilka chwil auto znalazło się pod ostrzałem: rozległy się kolejne uderzenia i setki plam rozpaćkało się po karoserii i na szybie, zasłaniając Rudolfowi widok. Przeraził się i stracił panowanie nad kierownicą. Barbara krzyczała, aż wóz wjechał w przydrożny rów.

Rudolf odetchnął z ulgą, kiedy auto zatrzymało się. Dał sobie kilka chwil oddechu.

Szyby usmarowane były tajemniczą, obślizgłą substancją. Oboje z żoną nadal słyszeli stłumione uderzenia.

Barbara zbladła i spojrzała z lękiem na męża.

– Poczekaj – mruknął Rudolf i osłaniając ręką głowę, wyszedł z samochodu.

Poczuł, jak miękkie pociski rozbijają się mu na plecach. Ostrożnie zadarł głowę; nie chciał oberwać w twarz. Z czarnego bezmiaru nieba spadały żaby. Kumkając donośnie w nocnej ciszy, rozbijały się o ziemię jak meteoryty. Samochód Rudolfa pokrywała gruba warstwa zgniecionych wnętrzności, z której gdzieniegdzie wystawały chude kończyny i gałki oczne. Ulicę i okalającą ją łąkę zapełniały ciała płazów.

Żabi deszcz nie ustawał.

Strzepując z ubrania organy lepiące się niczym smarki z nosa, Rudolf wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi. Spojrzał na Barbarę, wstrząśniętą jego wyglądem.

– Spokojnie, kochanie – rzekł sucho. – Jak dojedziemy do mamy, umyję samochód. Tylko musimy przeczekać deszcz, bo w tej pogodzie nie da się wyjechać.

Po czym ułożył się wygodnie na fotelu i zamknął oczy.

W życiu Rudolfa S. nigdy nie wydarzyło się nic ciekawego.

Gołe baby

Doktor Kocioł był pewien, że jego prezent przypadnie solenizantowi do gustu.

Wprawdzie urodziny Stefana wypadały dopiero następnego dnia, ale specyfika niespodzianki nie pozwalała na ujawnienie jej na urodzinowej imprezie w domu. Dlatego zawiózł przyjaciela do świeżo wybudowanego lokalu na obrzeżach miasta.

– Mówię ci, stary – rzekł, w podnieceniu gwałtownie kręcąc kierownicą – to będzie bomba. O czymś takim nie śmiałeś marzyć!

Alfred Kocioł, specjalizujący się w chirurgii plastycznej, nawet żonie nie wspomniał o tym, że rozkręca własny interes (a biada, jeśli się dowie!). Ostatecznie bar ze striptizem raczej by jej nie zachwycił. Znając Zuzannę, w najlepszym razie czekałby ich rozwód.

Kocioł nie przejmował się. I tak żyli w separacji. Chciał po prostu uniknąć procesowania się najdłużej, jak to możliwe. Poza tym zbyt ekscytowała go wizja nowego interesu.

Oficjalnie otwarcie miało nastąpić jutro, ale specjalnie dla uczczenia urodzin przyjaciela, Alfred otworzył lokal już tego wieczora. Tak, Stefan będzie pierwszym klientem.

Na jedną noc stanie się niepodzielnym władcą tego miejsca. O tak, nikt nigdy nie sprawił nikomu lepszego prezentu.

Sam Stefan był jednak problemowym człowiekiem. Trudno o bardziej bezbarwną istotę, tak nijaką, że aż przezroczystą. Żył z dnia na dzień jak roślina skazana na bezcelową egzystencję. Stefan nie wiedział, po co żyje, ale zapewne niewiele go to obchodziło. Byle do pierwszego. Bo Stefan prostym człowiekiem był. Pracował w firmie budowlanej i sumiennie wypełniał obowiązki, jednakże nie przywiązując do nich wielkiej wagi. Ważne, że dostawał wynagrodzenie. Nigdy na nic się nie uskarżał, a w każdym razie nikt nie słyszał o takim przypadku. Nie

widziano go też wściekłego, bo prawdopodobnie niczym nie dało się go wyprowadzić z równowagi. Ze swoimi gęstymi wąsami i czupryną przypominał starego lwa, pozbawionego wrogów naturalnych i spokojnie przeżuwającego upolowaną przez lwice zebrę.

I tu leżał pies pogrzebany. Stefana nic nie ruszało. Nic nie zachwycało. Nic nie wywierało na nim żadnego wrażenia, jakby zwiedził już cały świat i widział wszystko, a przecież nie zobaczył w życiu więcej niż dwóch miejscowości.

Doktor Kocioł do tej pory głowił się, jak to możliwe, że zostali przyjaciółmi. Musiały za tym stać dawno zapomniane zabawy w piaskownicy. Uczuciowa i zachowawcza homeostaza Stefana w połączeniu z wiecznie bezpłciowym wyrazem twarzy często działały ludziom na nerwy. Lecz na swój osobliwy sposób Alfred lubił go, lubił szczerze. Zbyt wielu dziwaków poznał, by indyferencja Stefana specjalnie go irytowała.

„Ale dziś w końcu się rozruszasz” – pomyślał Kocioł, uśmiechając się do siebie i zatrzymując wóz na parkingu przed budynkiem.

– Chodź szybko, za mną! – rzucił towarzyszowi, wyładowując swoje cielsko z auta.

Stefan, mimo wrodzonej niemrawości, dotarł pod drzwi lokalu dużo szybciej. Ważył jakieś sto kilogramów mniej niż Kocioł, więc grawitacja nie ograniczała go aż tak bardzo,jak Alfreda, który zdążył się zasapać, nim otworzył drzwi.

– Witaj w moim raju! – rzekł doktor, puszczając przyjaciela przodem.

Wnętrze było przestronne, mnóstwo stolików stało w równych odstępach, na lewo bar, na prawo, pomiędzy stolikami, trzy sceny z aluminiowymi rurami. Grała przyjemna, lekko usypiająca muzyka.

– Oto moje królestwo, dziś tylko dla ciebie, zupełnie za darmo! – wykrzyknął uradowany Kocioł. – Sto lat, stary pryku!

Na twarzy Stefana wykwitły, niczym pierwsze wiosenne kwiaty, oznaki zainteresowania sytuacją – jego oczy rejestrowały każdy zakamarek lokalu. Kocioł poprowadził go do stolika blisko jednej ze scen. Usiedli, a gdy Alfred klasnął dwukrotnie, zjawiła się striptizerka, odziana czy raczej ozdobiona pobłyskującym kawałkiem materiału, niezbyt skutecznie zakrywającym ciemny trójkąt między udami.

Rozpoczęła taniec na rurze, gdy tymczasem ze Stefanem stało się coś dziwnego. Jego policzki pociemniały, a oczy zabłysły. Nogi rozwarł szeroko, niby przypadkiem, a karkiem targnął specyficzny tik, sterujący jego głową to w kierunku tancerki, to w kierunku stołu.

„Mam cię! – Kocioł uśmiechnął się szeroko. – Wiedziałem, że to cię zmieni na powrót z drewna w człowieka".

– Widzisz – zwrócił się do Stefana – od kiedy chirurgia plastyczna stała się tak tania, że dostępna niemal dla każdego – „i cholernie nieopłacalna", dodał w myślach – klientki zaczęły walić do mojej kliniki drzwiami i oknami. Postanowiłem jednak zająć się bardziej dochodowym interesem. Dzięki nabytym w pracy znajomościom otworzyłem ten bar, zatrudniając wszystkie moje klientki, które nie miały pieniędzy na opłacanie zabiegów upiększających; lub które po prostu chciały zakosztować odrobinę, ekhem, adrenaliny. Dziś, przyjacielu, możesz wybrać sobie którąkolwiek z moich dziewczyn, żeby zatańczyła specjalnie dla ciebie. Na koszt firmy.

Głowa Stefana nadal wykonywała charakterystyczny ruch, coraz jednak wolniejszy. Jego wzrok dłużej zatrzymywał się teraz na striptizerce, wirującej zmysłowo wokół rury.

– To Natasza – rzekł Kocioł, patrząc z dumą na tancerkę. – Doznała niegdyś pęknięcia czaszki w wyniku wypadku w pracy… Długa historia… Załatałem ją włóknami poliestrowopolipropylenowymi z dodatkiem syntetycznego hydroksyapatytu, który posiada skład chemiczny podobny do kości, dzięki czemu

ubytek szybciej się zrósł. Dziś po wypadku nie ma najmniejszego śladu, najmniejszej skazy na tym pięknym ciele. Dodam tylko, że musieliśmy też operować jedno oko, wymagało wstawienia pleksiglasu. Zgadnij, które? – I zanim Stefan byłby w stanie coś powiedzieć, Kocioł sam sobie odpowiedział: – Oczywiście, że nie zgadniesz, bo nie ma w Polsce lepszego chirurga ode mnie. Nie dopuszczam, by na moich pacjentkach pozostał jakiś widoczny efekt. Nigdy. Kto wie, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby nie spotkała mnie? Gdzie znalazłaby pracę z jednym okiem? A teraz spójrz, nigdy nawet byś się nie domyślił, że kiedykolwiek przeszła operację! No, już starczy, zawołaj następną – rzucił do Nataszy, która posłusznie oddaliła się, zalotnie kręcąc tyłkiem.

– Gdybyś zapoznał się z nią bliżej – Kocioł uśmiechnął się znacząco do Stefana – przekonałbyś się, że ma kilka plomb ze światłoutwardzalnych materiałów kompozytowych, bardzo ostatnio zresztą popularnych, bo zdolnych do adhezji. Ale chyba nie przeszkadzałoby ci to zbytnio, prawda?

Stefan patrzył tępo na scenę, nie odzywając się słowem. Kocioł uznał to za przytaknięcie. Pojawiła się kolejna striptizerka, o bardzo ciemnej cerze i wprost oszałamiającej figurze. Stefan otworzył usta w niemym zachwycie i teraz już nic nie byłoby w stanie odciągnąć go od spoglądania na rurę, która chyba tylko cudem nie spłonęła pod pieszczotami gorącego ciała dziewczyny.

Nawet Kocioł, choć już nieraz widział ją nago, zdobył się na ciche westchnienie, czując kropelki potu na karku.

– A oto i Tamara – moje arcydzieło! Musisz wiedzieć, Stefan, że to ja wymodelowałem te boskie piersi. I nic, że trzeba było zużyć sporo silikonu. Ten biust to dzieło mojego życia i jeszcze wiele lat będzie rozpalał mężczyzn, pobudzając w nich – czy raczej w nas – najdziksze instynkty.

Tamara tańczyła wolniej i subtelniej, ale dopiero teraz Alfredowi i Stefanowi zaczęło naprawdę dokuczać uwieranie w spodniach. Nie spuszczając z niej wzroku,

Kocioł nachylił się do przyjaciela. Opowiedział, jak Tamara przyszła do jego kliniki z porażeniem nerwu twarzowego. Kocioł wyleczył ją i zaproponował zabieg liposukcji i powiększenia piersi.

Tamara nie miała pieniędzy, ale przystała na lekarską propozycję odpracowania kosztów. Gdy mówił, twarz Stefana kilkakrotnie, prawie niezauważalnie, skrzywiła się; Kocioł to zauważył, lecz zignorował.

– Dostrzegłem w niej talent. I, jak widzisz, nie pomyliłem się. Moje opus magnum…

Nieprędko Tamarę zastąpiła Tania.

– To największa szczęściara, jaką kiedykolwiek poznałem. Spójrz tylko, jak się wygina; pracowała kiedyś jako kobieta-guma. Cudem przeżyła wypadek samochodowy. Trzeba jej było zastąpić staw biodrowy endoprotezą oraz wszczepić rozrusznik, no i załatać nitinolem naczynia krwionośne. W uszy wstawiono jej implanty ślimakowe, tylko dzięki nim teraz słyszy. Mnie pozostało wymodelować jej twarz, by wyglądała tak, jak przed wypadkiem. Musiałem na przykład wypełnić przegrodę nosową siateczką tytanową, włożyć kilka implantów zębowych z tytanu… Stefan, co jest?

Stefan zbladł, był zlany potem i drżał. Wciąż wpatrywał się w striptizerkę, a na jego twarzy malowało się coś, co najbardziej przypominało przerażenie. Kocioł kazał Tani wezwać koleżanki.

– Stefan, nic ci nie jest?

W odpowiedzi uzyskał niemrawe kręcenie głową. Zadowolony, kontynuował:

– W każdym razie, jak widzisz, połataliśmy Tanię, nie pozostawiając najmniejszych śladów po jakichkolwiek obrażeniach. A teraz wybierz sobie, którą chcesz – dodał, gdy zjawiły się tancerki. – Zatańczy specjalnie dla ciebie. Choć już wiem, która wpadła ci w oko – dodał, uśmiechając się znacząco.

Spodziewał się, że Stefan po prostu wskaże palcem którąś z dziewczyn – najprawdopodobniej Tamarę – ale on się odezwał, głosem bardzo słabym i zachrypniętym, jakby od tygodnia go nie używał.

– Sorry, Alfred… Ale stara na pewno czeka w domu z kolacją… Muszę już iść.

To powiedziawszy, czmychnął w kierunku drzwi i nim rozbrzmiały słowa protestu, zniknął za progiem, pozostawiając oszołomionego Kocioła samego z gołymi babami.

NOTKI O AUTORACH

Dawid Juraszek

Urodzony w Bielsku-Białej, zamieszkały w Chinach, autor kilkudziesięciu opowiadań artykułów, publikowanych w prasie i antologiach, twórca kilkunastu przekładów książkowych z angielskiego i jednej – jak dotąd – powieści. Nakładem Oficyny RW2010 ukazał się jego zbiór opowiadań awanturniczo-przygodowych „Cairen. Drapieżca".

Martyna Goszczycka – urodzona 12 grudnia 1991 roku w Ciechanowie. Mieszka w Glinojecku. Aktualnie „szkoli" się w Warszawie na tytuł technika informatyki, a w wolnych chwilach zajmuje się hobbystycznie grafiką komputerową. To nasza najmłodsza autorka, absolutna debiutantka, która jednak bez kompleksów, za to z rozmachem wprowadza nas w świat swojej wyobraźni w debiutanckiej powieści „Odrodzenie".

Agnieszka Hałas – z wykształcenia doktor nauk biologicznych, aktualnie tłumacz. Autorka opowiadań publikowanych w czasopismach oraz w zbiorze „Między otchłanią a morzem" (2004), a także dwóch tomików poezji: „Królewna liść" (1999) i „Ostatni z żyjących" (2006). Laureatka I miejsca w konkursie literackim Horyzonty Wyobraźni 2010 i w 36. edycji konkursu poetyckiego „Jesienna Chryzantema". Autorka powieści „Dwie karty" – tom 1 cyklu „Teatr węży". Od stycznia 2011 r. kieruje działem literackim w internetowym magazynie kulturalnym Esensja. W naszej oficynie wydała mroczny zbiór opowiadań fantasy „Po stronie mroku".

Dariusz Kankowski – absolwent Technikum Informatycznego, zafascynowany literaturą. Pisze, od kiedy nauczył się składać literki, i ma zamiar czynić to, póki będzie w stanie uderzać w klawiaturę lub utrzymać pióro. Swoją debiutancką powieść „Re-Horachte. Pierwsze spotkanie" zaczął pisać w wieku lat trzynastu, a gdy skończył, powierzył ją w nasze ręce. Jest także autorem zbioru opowiadań „Tęsknota", wydanym przez RW2010.

Marian Kowalski – urodzony w Wielkopolsce, wychowany na Dolnym Śląsku, związany ze Szczecinem. Morze inspirowało pierwsze jego powieści, opowiadania, słuchowiska, utwory sceniczne. Ukończywszy wrocławskie studia polonistyczne, pracował w oświacie szkolnej oraz w szkolnictwie wyższym. Pływał na statkach handlowych jako chief praktyki. Debiut prozatorski w 1958, książkowy – w 1973. Współpracował z czasopismami regionalnymi i centralnymi. Członek ZLP, później SPP. Autor kilkudziesięciu magazynów radiowych, recenzji teatralnych, esejów, słuchowisk radiowych, sztuk teatralnych, powieści, opowiadań. Pod pseudonimami ukazywały się także jego powieści przygodowe, kryminały oraz romanse. W oficynie RW2010 wydał dwie powieści: „Wołanie mew" i „Mroczne dziedzictwo".

Grzegorz Krzyżewski – urodzony w 1976 roku w Pułtusk. Od kiedy pisze? Nie pamięta. Pożółkłe kartki, na których wykaligrafował pierwsze opowiadanie, dawno pokryła gruba warstwa kurzu. W 2006 roku wyjechał wraz z żoną na Islandię. Tam urodził się ich syn Alan. Jak twierdzi, Islandia to dobre miejsce do tworzenia. Ulubione formy to obyczaj, kryminał, horror, nierzadko o zabarwieniu erotycznym. Wraz z naszą oficyną RW2010 wydał debiutancki zbiór opowiadań „Tercet i inne historie".

Joanna Łukowska – z wykształcenia matematyk, w wyboru pisarka. Pierwszą powieść wydała w 1944 pod pseudonimem Joan Bowen. Autorka powieści,

felietonów oraz licznych opowiadań, publikowanych w pismach kobiecych. W oficynie RW2010 wydała ebooki: romans „Nieznajomi z parku", powieść obyczajową „Państwo Tamickie", powieść fantasy „Pierwsza z rodu: Znajda", zbiór opowiadań dla dzieci „Z krainy kucyków", zbiór felietonów „Kura pisząca. Tom 1: Ssaki, ptaki i robaki", zbiór opowiadań z dreszczykiem „Dreszcze".

Piotr Mrok – czyli Piotr Michalik, urodzony w Lublinie (1975), magister filozof, zaciekły publicysta, pisarz z pasji. W latach 2008-2010 był redaktorem naczelnym kwartalnika fantastyczno-kryminalnego Qfant. Pisanie prozy traktuje jako formę absurdoterapii dla siebie, oraz dla czytelników. Kryzys wieku średniego rozpoczął zapisaniem się na studia magisterskie z psychologii. Autor zbioru opowiadań sf „Olimpiada szaleńców" wydanego przez naszą oficynę.

Tomasz Mróz – urodzony 20 października 1973. Zafascynowany od dziecka literaturą i czytaniem, wcześnie zaczął eksperymentować ze słowem pisanym. Początkowo niezdarnie, próbując naśladować innych, ale w końcu dorobił się stylu, który nie mieści się w żadnym zaszufladkowanym nurcie. Stworzona przez autora postać komisarza Wątroba ma duże szanse stać się postacią kultową, podobnie jak kultowymi powoli stają jego paranormalne kryminały z pogranicza obyczajowej groteski i absurdalnego realizmu. Oficyna RW2010 miała dużą przyjemność wydać jego dwie powieści „Szary cień" oraz „Przejście A8".

Romuald Pawlak – o sobie mówi skromnie: „Urodzony i zamieszkuje. Opublikował kilkanaście książek, w Fabryce Słów, Runie, Naszej Księgarni, zdobył parę nagród". W oficynie RW2010 wydał e-publikacje swoich dwóch powieści fantasy „Rycerz bezkonny" oraz „Czarem i smokiem".

Andrzej Rodan – pisarz, publicysta, filozof, historyk kultury. Nakłady jego czterdziestu dziewięciu, dotąd wydanych książek przekroczyły trzy miliony

egzemplarzy. Autor wielu bestsellerów, które dały mu ogólnopolską popularność, jak choćby: „Okolice porno shopu", „Ostatnie dni Sodomy", „Moje życie z Marilyn Monroe" czy popularno-naukowa „Historia erotyki". W naszej oficynie zdecydował się wydać cyfrowe wersje swoich powieści „Ostatnie dni Sodomy" i „Świat według fejsbuka, czyli Mokre Pyski atakuję!".

Aneta Rzepka – urodzona 16 stycznia 1980 roku w Wołominie. Studiowała filologię polską na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Z wykształcenia historyk literatury polskiej i teatrolog, z zamiłowania mól książkowy, z powołania żona i matka. Autorka bajek, tworzonych na własny użytek, oraz licznych opowiadań i tekstów prozatorskich. W 2010 r. zadebiutowała powieścią „Tohańska branka", w 2011 r. wydała powieść „Na strunach marzeń", a w 2012 „Świat w pastelach Ingi". W oficynie RW2010 opublikowała powieści: „Gra o duszę", „Sonata o marzeniach" oraz „Magia kasztana".

Andrzej W. Sawicki – autor dwóch powieści i kilkunastu opowiadań, które ukazały się w czterech antologiach, a także w magazynach: Science Fiction Fantasy i Horror oraz Magazyn Fantastyczny. Ostatnio upodobał sobie tworzenie fantastyki historycznej, z możliwie wiernym odtworzeniem realiów i obyczajowości epoki. Autor powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg", historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny. Z tego świata pochodzi zbiór opowiadań „Kolce w kwiatach" wydanych przez Oficynę RW2010.

Jan Siwmir – kryminalista, poeta, harcownik… Nauczyciel z powołania, kryminalista z zamiłowania, poeta z wściekłości na rzeczywistość. Nikt nie wie, jak się do niego zwracać, ponieważ jest… dwuosobowy. Dla relaksu ucieka w fotografię, krwi upuszcza (sobie i innym), pisząc teksty publicystyczne. Członek Stowarzyszenia

Dziennikarzy Polskich. W naszej oficynie opublikował powieść kryminalną „Żabeł trojański".

Maciej Służyński – urodzony w Poznaniu, ukończył filologię polską na UAM, ale całe dorosłe życie przepracował w agencjach reklamowych. Startował od junior copywritera, aż został dyrektorem kreatywnym. Przez pięć przebywał na dobrowolnej wcześniejszej emeryturze, ale wrócił do zawodu, bo jest jeszcze wiele do zrobienia. Natomiast nigdy nie przestał pisać, choć nie zawsze była to beletrystyka. W Oficynie RW2010 opublikował: „19 razy byłem na Kubie", „Cygara. Vademecum", „Reklamacje. Felietony o reklamie", pierwszą część trylogii „W pełnym biegu" opowiadającą o świecie reklamy.

POSŁOWIE

Maciej Służyński
ROK W EBOOKACH

www.rw2010.pl

Na początku podsumowania roku 2012 na rynku ebooków musimy się przyznać do dwóch naszych największych porażek. Po pierwsze – obiecaliśmy, że dołożymy wszelkich starań, aby utwory naszych autorów znalazły się w ofercie polskiego „oddziału" Amazona. Słowa nie dotrzymaliśmy, choć nie z naszej winy – od zapowiedzi wejścia do Polski giganta nie tylko na rynku sprzedaży ebooków minął rok i… gigant po prostu nie wszedł. Po drugie – mieliśmy ambitny plan, aby wydać pięćdziesiąt tytułów w ciągu pierwszego roku, a niniejsza antologia jest czterdziestą czwartą premierą w naszej oficynie. Zatem plan wydawniczy wykonaliśmy zaledwie w 88%. Powodem był oczywiście brak czasu i tak zwane „obiektywne trudności"…

A teraz, już na poważnie, co się nam w mijającym roku udało. Po pierwsze – dzięki podpisaniu umów z trzema największymi dystrybutorami (Azymut, Nexto, Virtualo) oraz kilkunastoma księgarniami (w tym z Almaz, Bookio, Bookoteka, eBookpoint, Publio) ebooki naszych autorów są dostępne praktycznie we wszystkich polskich e-księgarniach. Po drugie – wydaliśmy jednak czterdzieści cztery tytuły, czyli przez rok średnio co osiem dni była u nas kolejna premiera.

Każdy współpracujący z naszą oficyną autor może liczyć na życzliwą pomoc, redakcję, korektę, projekt okładki, konwersję na trzy najpopularniejsze formaty, ogólnopolską dystrybucję i wsparcie marketingowe. I – zupełnie jak w „normalnym" wydawnictwie – wszystkie nasze prace na rzecz autora i jego utworu są bezpłatne.

I jeszcze o serwisie self-publishing www.rw2010.pl – bo tu też mamy się czym pochwalić. Przetrwaliśmy ponad półtora roku, w tym czasie stu czterdziestu dwóch twórców opublikowało u nas czterysta trzydzieści swoich utworów, a serwis liczy sobie prawie dwa i pół tysiąca użytkowników. Serwis zaczął działalność 11 maja 2011 roku. Założył go Mateusz Ślużyński, który… jednocześnie zdawał wtedy maturę. Już w sierpniu narodził się pomysł, aby równolegle prowadzić działalność jako oficyna wydawnicza; a konkretniej – pierwsza polska firma wydająca wyłącznie ebooki. Prace ruszyły pełną parą i do końca roku mieliśmy na koncie osiemnaście wydanych tytułów. Pod koniec stycznia 2012 roku serwis mógł się pochwalić okrągłą liczbą sześciuset użytkowników. Ale wszystko tak naprawdę zaczęło się w lutym…

Siódmego lutego, na tydzień przed Walentynkami, wydaliśmy antologię „Słodko gorzko. Opowiadania o miłości" pod redakcją Piotra Mroka i wspólnie z autorami zdecydowaliśmy się rozpowszechniać ją za darmo, w ramach „budowania rynku". Do tej pory, czyli w ciągu niecałych dziesięciu miesięcy, to dzieło zbiorowe zostało pobrane ponad osiem tysięcy razy! Średnio co pięćdziesiąt minut ktoś ściąga ten utwór na swój czytnik. Jeśli chodzi o wielkość „sprzedaży", jest to jak do tej pory nasz największy sukces.

W marcu udało nam się podpisać umowę wydawniczą na e-publikację dwóch powieści Andrzeja Rodana, a w kwietniu na swojego partnera na rynku e-publikacji wybrał nas Romuald Pawlak. Zaraz potem do drużyny dołączyli Dawid Juraszek i Agnieszka Hałas, a także Marian Kowalski i Edward Zyman. Publikowaliśmy zatem utwory nie tylko autorów z całej Polski, ale… także z całego świata. Dawid Juraszek mieszka obecnie w Chinach, Edward Zyman – w Kanadzie, Grzegorz Krzyżewski na Islandii, Katarzyna Woźniak w Holandii, a Andrzej Paczkowski – w czeskiej Pradze.

Jednak na obecną chwilę najjaśniej świeci nam gwiazda Joanny Łukowskiej, autorki mieszkającej… w Poznaniu, naszym rodzinnym mieście. Jej trzy powieści

sprzedały się w nakładzie prawie 800 licencji i wszystkie trzy znalazły się na liście bestsellerów TOP księgarni Empik.com („Nieznajomi z parku" miejsce 8., „Pierwsza z rodu: Znajda" miejsce 23., „Państwo Tamickie" miejsce 104. – stan na 28 listopada 2012 r.).

Jeśli jednak miałbym powiedzieć, co jest naprawdę naszym największym osiągnięciem, to nieskromnie uznam, że… współpraca z „blogującymi mamami" pod wodzą Doroty Smoleń. Wydaliśmy jak do tej pory dwa zbiory tekstów najpopularniejszych w Polsce blogerek piszących o dzieciach, cały dochód ze sprzedaży przeznaczając na wsparcie dla Mikołaja, cierpiącego na rdzeniowy zanik mięśni – SMA1. Do tej pory konto Fundacji zasililiśmy kwotą ponad pięciu tysięcy złotych… I mamy wielką nadzieję, że to jeszcze nie koniec, tym bardziej, że blogujące mamy dopiero się rozkręcają. Zupełnie jak my…

Maciej Tyran

CYFROWE WYDAWNICTWA SZANSĄ DLA EDUKACJI

Wstęp

Rozwój nowoczesnych technologii, jaki dokonał się na przełomie XX i XXI wieku, zmienił praktycznie wszystkie dziedziny życia człowieka. Co ciekawe – najbardziej oporną na zmiany kategorią ludzkiej aktywności jest… edukacja. Być może dlatego, że stanowi zamknięty system, a więc zmiana w tej dziedzinie musiałaby być zmianą systemową, a być może dlatego, że tradycja szkoły takiej, jaką znamy, sięga ponad dwieście lat wstecz.

Ale i szkoła nie ucieknie przed wyzwaniami, jakie stawiają przed nią czasy współczesne. Postępująca cyfryzacja życia nie może ominąć kwestii nowoczesnej edukacji. A ponieważ – jak już wspomniano – szkoła stanowi zintegrowany i zamknięty system, więc zmiana, która tu się dokona, wymagać będzie wiele pracy, wysiłku wielu osób i zaangażowania ogromnych nakładów finansowych.

Jeśli jednak potraktuje się proces stworzenia nowoczesnej szkoły wyłącznie w kategoriach kosztów, wtedy zmiana nie będzie pełna i spotka się z oporem nie tylko środowiska i grupy zawodowej, ale również administracji. Dlatego należy wyraźnie zaznaczyć, że wprowadzenie szkoły w nowoczesne systemy edukacyjne jest inwestycją w przyszłość całego narodu. Inwestycją, która z pewnością się opłaci.

Celem tego artykułu jest pokazanie (na razie dość krótkiej) historii zmian w systemach edukacyjnych na świecie i w Polsce, przedstawienie koncepcji szkoły cyfrowej (e-szkoły), wskazanie szans i zagrożeń płynących z procesu cyfryzacji w obrębie dydaktyki i metodologii nauczania, a także zaprezentowanie rozwiązań, dzięki którym cyfryzacja szkoły dokona się w sposób pełny i optymalny, przynosząc maksimum korzyści, a jednocześnie nie generując niepotrzebnych kosztów i nie wywołując bezsensownych konfliktów.

Krótka historia cyfryzacji szkół na świecie

Pierwsza poważna i kompleksowa próba wprowadzenia technologii cyfrowych do szkoły miała miejsce w Stanach Zjednoczonych w roku 2006. Wtedy w Filadelfii powstała pierwsza, eksperymentalna Szkoła Przyszłości. W jej programowych założeniach była między innymi koncepcja, aby w ogóle nie posługiwać się w procesie dydaktycznym tradycyjnymi, czyli drukowanymi podręcznikami. Nauka miała tu być oparta o cyfrowy, wysoce zindywidualizowany program edukacyjny. Mimo tak rewolucyjnego jak na tamte czasy podejścia do Szkoły Przyszłości zapisało się zaledwie 67% z zakładanej liczby uczniów. A jej absolwenci podkreślali, że największym dla nich dyskomfortem była praca w stale modyfikowanym systemie. Jeden z absolwentów stwierdził nawet, że bardziej tradycyjny, a co za tym idzie – bardziej stabilny model edukacji daje mu większy komfort nauki[4].

Warto dodać, że elektroniczne podręczniki stworzyli na potrzeby tego programu sami nauczyciele, bardzo zaangażowane w projekt. Jednak, jak już wspomniano, e-szkoła nie cieszyła się tak dużym powodzeniem, jak zakładali jej twórcy; po latach zarówno nauczyciele, jak i uczniowie przyznawali, że podstawowym problemem była frustracja wynikająca z ciągłych zmian w systemie nauczania. Brak jasno sprecyzowanych celów edukacyjnych, które wraz z przyjętą nowoczesną metodologią pracy powinny stanowić spójny i nowoczesny system, stanowił główną przeszkodę w powodzeniu przedsięwzięcia[5].

Rok później (2007) powstał plan cyfryzacji szkól poprzez program jeden laptop dla jednego ucznia („one laptop per one child”[6]). Jego ideą było rozdanie tanich i wytrzymałych komputerów uczniom z krajów rozwijających się. W ramach tej akcji w Peru rozdano prawie 850 000 urządzeń, a całość okrzyknięto wielkim edukacyjnym sukcesem. Kosztowało to 225 milionów dolarów.

4 http://edula.pl/articles/show/1131

5 http://gosc.pl/doc/1156482.Kto-sie-boi-cyfryzacji-szkol

6 http://one.laptop.org/

Niestety, zakończone w lutym 2012 roku badanie[7] dowiodło, że rozdawnictwo urządzeń w żaden sposób nie wpłynęło na wyniki poszczególnych uczniów. Na podstawie analizy wyników edukacyjnych wykonanych przez prawie półtora roku na próbie 319 uczniów okazało się, że wyniki w nauce nie poprawiły się w żaden sposób (matematyka), nie poprawiła się także umiejętność czytania (literatura, język ojczysty). Badacze (Julián P. Cristia, Pablo Ibarrarán, Santiago Cueto, Ana Santiago i Eugenio Severín) nie znaleźli żadnych dowodów na postawienie tezy, iż laptopy w jakikolwiek sposób przyczyniły się do zwiększenia motywacji uczniów do nauki lub wpłynęły na większą systematyczność w zakresie odrabiania prac domowych. Jedynym efektem programu było (co można przewidzieć)… znaczące zwiększenie się liczby komputerów w Peru. Według danych współczynnik dostępnych dla uczniów komputerów wzrósł w ciągu roku z 0,28 komputera na jednego ucznia do 1,18. Biorąc pod uwagę fakt, że komputery rozdawane były za darmo, nie jest to rezultat, który uznać można za dość oczywisty skutek całej akcji…

W amerykańskim magazynie The Economist[8] ukazała się analiza omawianej akcji, w której zwrócono uwagę na kilka błędów w założeniach. Według Autorów analizy prawdopodobnie największym problemem był fakt, że dzieci zdecydowanie szybciej i łatwiej przyjmują nowe technologie niż ich nauczyciele, a zatem nastąpiło powiększenie przepaści między „cyfrowymi" uczniami a „analogowymi" nauczycielami. Ale chyba trudno będzie obronić taką tezę, bo przecież umiejętność obsługi komputera ma się nijak do tabliczki mnożenia[9].

W Katalonii[10] cyfryzacja szkół przebiegała również zgodnie z modelem 1 uczeń – 1 laptop, choć zastosowano tu rodzaj współfinansowania. Wszyscy zainteresowani uczniowie otrzymali dofinansowanie do zakupu laptopów w wysokości połowy

7 http://idbdocs.iadb.org/wsdocs/getdocument.aspx?docnum=36706954

8 http://www.economist.com/node/21552202

9 http://gizmodo.pl/laptop-dla-ucznia-czyli-peruwianska-klapa/

10 http://gosc.pl/doc/1156482.Kto-sie-boi-cyfryzacji-szkol

kwoty (50%) oraz dofinansowanie do zakupu e-podręczników w wysokości 30 Euro, oraz dodatkowo 5 Euro na opłacenie dostępu do e-platformy. Szkoły z kolei otrzymały tablice cyfrowe i dostęp do Wi-Fi. Niestety, po przegranych wyborach i zmianie rządu, a także w wyniku europejskiego kryzysu gospodarczego dalsze współfinansowanie projektu stanęło pod dużym znakiem zapytania. Według najnowszych informacji[11] prawdopodobnie koszt kolejnych zakupów, w tym kupna laptopów, materiałów edukacyjnych, a także utrzymania szkolnych sieci przeniesiony zostanie w całości na rodziców. Podobny los spotkał okrzyczany „wielkim sukcesem" projekt cyfryzacji szkoły w Portugalii. Choć początkowe wyniki wydawały się bardzo obiecujące (wzrost wyników PISA), dziś projekt jest dość powszechnie krytykowany. Wykorzystanie sprzętu okazało się w rzeczywistości niewielkie, a wspomniany już kryzys ekonomiczny spowodował, że zabrakło środków na kontynuację całego spektrum działań i ciężar ekonomiczny musieliby w całości przejąć na siebie rodzice uczniów.

Cyfrowa szkoła w Polsce.

30 kwietnia 2012 roku minął termin składania wniosków o pomoc z programu pilotażowego „Cyfrowa szkoła"[12]. Wnioski mogli składać wszyscy szefowie placówek oświatowych, którzy byli zainteresowani wzięciem udziału w projekcie. W planach jest przeznaczenie kwoty 50 milionów złotych na wyposażone w niezbędny sprzęt wspomagający edukację, w tym w przenośne komputery i tablice multimedialne. Ponadto w ramach programu uczniowie i nauczyciele będą mogli korzystać z 18 darmowych e-podręczników do 14 przedmiotów.

Program „Cyfrowa szkoła" ma niestety dość ograniczony zasięg. Objętych nim ma być zaledwie 380 z blisko 14 tys. szkół podstawowych, a zatem na jedno województwo programem pilotażowym objęte zostaną tylko 24 szkoły. Tak więc

11 http://edula.pl/articles/show/1131

12 http://serwisy.gazetaprawna.pl/edukacja/artykuly/608936,nie_wszystkie_szkoly_podstawowe_maja_rowne_szanse_na_cyfrowa_szkole.html

mimo ogromnego zainteresowania ze strony placówek oświatowych szanse na wzięcie udziału w programie są, niestety, niewielkie.

Ponadto bardzo poważnym ograniczeniem dostępności programu jest kwestia uzyskania tak zwanego „wkładu własnego"; wkład taki jest warunkiem koniecznym, aby placówka mogła być rozpatrywana i brana pod uwagę podczas kwalifikacji do programu pilotażowego. A problem wcale nie dotyczy wyłącznie szkół z mniejszych ośrodków miejskich. „– Nie wyślemy wszystkich wniosków z 98 szkół, bo nawet gdyby choćby 20 z nich zostało wyłonionych, to nie będzie nas stać na wkład własny – mówi DGP[13] Anna Domańska, kierownik referatu do spraw pozyskiwania środków finansowych oraz statystyki i analiz w wydziale edukacji Urzędu Miasta w Krakowie[14]".

Dodatkowo wiele wskazuje na to, że zawiodły kanały przekazywania informacji i szkoły nie były wcześniej poinformowane o konieczności posiadania własnych środków. „Samorządy podkreślają, że nie wiedziały wcześniej o programie i nie zabezpieczyły środków w budżecie na wkład własny, który musi wynieść co najmniej 20%. W przypadku wsparcia szkół na kwotę 200 tys. złotych, gmina musi wygospodarować 40 tys. zł. – Jesteśmy zainteresowani programem, ale barierą może być udział organu prowadzącego. W poprzedniej wersji programu dopuszczalny był wkład materialny, a teraz tylko finansowy – mówi Ryszard Stefaniak, naczelnik wydziału edukacji Urzędu Miasta w Częstochowie[15]".

Już podczas wstępnych dyskusji o pilotażu pojawiały się liczne obawy, że wiele szkół zostanie pozbawionych możliwości aplikowania do programu, a przyczyną tego miały być właśnie – oprócz braku odpowiedniej infrastruktury technicznej –

13 DGP – Dziennik Gazeta Prawna – *przyp. mój*

14 Cytat z: http://serwisy.gazetaprawna.pl/edukacja/artykuly/608936,nie_wszystkie_szkoly_podstawowe_maja_rowne_szanse_na_cyfrowa_szkole.html

15 ibidem

ograniczenia finansowania poprzez samorządy lokalne[16]. I choć optymizm osób związanych z projektem jest spory; jak twierdzi na przykład Joanna Berdzik, wiceminister edukacji: „– Te obawy się nie potwierdziły. Zgłosiło się prawie dziesięciu chętnych kandydatów na jedno miejsce w pilotażu, mimo krótkiego czasu rekrutacji[17]", to jednak reakcja specjalistów i obserwatorów niezależnych jest chłodna. Według ich opinii „– Zgłosiły się głównie mniejsze szkoły, bo wtedy wkład własny samorządu jest mniejszy – mówili w kuluarach uczestnicy konferencji i podawali przypadki blokowania chęci przystąpienia do pilotażu właśnie ze względów finansowych. Gminy nie miały bowiem w tegorocznych budżetach pieniędzy zaplanowanych na takie cele[18]".

Cyfrowa szkoła – zagrożenia dla programu

Cyfryzacja szkół, zarówno w Polsce, jak i na świecie, napotyka ogromne trudności, które nierzadko stawiają pod znakiem zapytania sens i celowość działań podejmowanych na rzecz unowocześnienia edukacji (a przynajmniej – działań w ich obecnym kształcie). Spróbujmy przedstawić największe zagrożenia dla programu „Cyfrowej szkoły", które występują w Polsce.

Każdy projekt, którego zadaniem jest trwała zmiana środków dydaktycznych, musi uwzględniać dwa podstawowe aspekty zagadnienia, czyli dostęp do sprzętu (hardware plus infrastruktura) oraz dostęp do kontentu (software; przy czym tu nomenklatura stricte komputerowa jest nieco nieprecyzyjna).

Zagadnienia sprzętowe – to jest problem przede wszystkim natury finansowej. Technologicznie istnieją rozwiązania, których wdrożenie z pewnością rozwiązałoby większość kłopotów, ale są to technologie drogie, oparte na najnowszych odkryciach i dość wyspecjalizowanym sprzęcie. Zauważmy, że cały świat boryka się przede

16 http://www.glos.pl/node/6721

17 ibidem

18 ibidem

wszystkim właśnie z tym problemem, bo jego rozwiązanie niesie ze sobą największe koszty. Program „laptop dla każdego ucznia" bez znaczącego wsparcia finansowego nie ma szans na powodzenie. Dowiodły tego przykłady Katalonii i Portugalii. Z kolei rozwiązanie problemu metodą administracyjną i refundacja wszystkich kosztów inwestycji przez instytucje państwowe także nie jest rozwiązaniem kompleksowym, bo oprócz sprzętu nie zapewnia dostępu do kontentu i samego kontentu, o czym świadczyć może przykład Peru.

W Polsce uparcie lansuje się koncepcję wyposażenia uczniów w tablety, a szkół – w tablice multimedialne. To również jest rozwiązanie relatywnie drogie, a jednocześnie – jak się wydaje – niewystarczające zwłaszcza przy następnych mankamentach, związanych z infrastrukturą.

„Jak powiedziała DGP[19] Ewa Józefowicz, dyrektor Gimnazjum nr 21 w Gorzowie Wielkopolskim, program jest wprowadzany bez wcześniejszego sprawdzenia, czy placówki w ogóle będą mogły z nowych rozwiązań korzystać. W wielu miejscach problemem jest dostęp do szerokopasmowego Internetu. W małych miejscowościach jego prędkość to około 1Mbps. W tych warunkach tablety, którymi mają posługiwać się uczniowie, mogą okazać się bezużyteczne, bo wczytywanie potrzebnych stron internetowych będzie trwało zbyt długo. To może zniechęcić zarówno nauczycieli jak i uczniów do tej formy zajęć[20]".

Tu także pojawia się problem natury logistycznej, związany z usytuowaniem i dostępnością do zawartości, czyli materiałów dydaktycznych. Rzeczywiście, bez potężnych inwestycji w rozbudowę sieci komputerowych oraz stacji bazowych, operujących w technologii Wi-Fi, nie można w ogóle myśleć o przeprowadzeniu udanej cyfryzacji szkół, jeśli dostęp do kontentu będzie uzależniony od wydajności połączeń sieciowych.

19 DGP – Dziennik Gazeta Prawna – *przyp. mój*

20 http://gosc.pl/doc/1156482.Kto-sie-boi-cyfryzacji-szkol

Z drugiej jednak strony problemem „nie jest zapewnienie uczniom urządzeń, na których mają pracować czy dostępu do Internetu. Z danych GUS cytowanych przez Marka Jędrykę wynika, że około 70 proc. gospodarstw domowych ma obecnie dostęp do sieci. E-podręczniki również istnieją. Trzeba jedynie pokazać uczniom, jak mają z nich korzystać, tymczasem nauczyciele sami nie potrafią dobrze z tego typu pomocy dydaktycznych korzystać. Jak mówił Jędryka, w polskich szkołach jest około 18 tysięcy tablic interaktywnych, a niewiele z nich jest właściwie wykorzystywanych[21]".

Okazuje się więc, że szerokopasmowy internet w szkole i równoległy dostęp do aplikacji on-line dla kilkuset uczniów wcale nie jest niezbędny, aby system mógł funkcjonować. Choć jednocześnie trzeba przyznać, że proponowane w cytowanym fragmencie rozwiązania charakteryzują się pewną niedoskonałością i znów przerzucają ciężar (głównie finansowy) na rodziców.

Zagadnienie dostępu do materiałów dydaktycznych jest więc jak na razie jednym z „wąskich gardeł" całego procesu. Niestety, jeszcze większym problemem jest ich jakość.

E-podręcznik – jeden czy sto jeden?

Najprostszym, najbardziej efektywnym i sprawdzonym sposobem dostarczenia uczniom treści (kontentu) jest idea e-podręcznika. Na temat takich rozwiązań bardzo pozytywnie wypowiedziała się między innymi Komisja Europejska i UNESCO[22].

„Idea otwartej dostępności do zasobów edukacyjnych, w której mieści się także cyfryzacja szkoły ma zwolenników w Radzie Europy. Za Otwarte Zasoby Edukacyjne uznaje się powszechnie dostępne: podręczniki, kursy, scenariusze lekcji i inne materiały – udostępniane swobodnie, za darmo wraz z prawem do ich dalszego wykorzystywania i adaptacji. Rada Europy w rekomendacji z 2008 roku zaleciła

21 http://gosc.pl/doc/1156482.Kto-sie-boi-cyfryzacji-szkol/2

22 http://www.men.gov.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=3199%3Ae-podrczniki-komisja-europejska-i-unesco-s-za&catid=29%3Aministerstwo-pozostae-wydarzenia-edukacyjne&Itemid=53

stosowanie Otwartych Zasobów Edukacyjnych jako metody zwalczania cyfrowego wykluczenia i wyrównywania szans edukacyjnych. Dokumentem strategicznym, który ma pomóc rządom w konstytuowaniu tak rozumianej polityki otwartościowej, jest przyjęta podczas Kongresu Otwartych Zasobów Edukacyjnych UNESCO w Paryżu, w dniach 20-22 czerwca br. Deklaracja Paryska.

Sir John Daniel, przewodniczący Commonwealth of Learning, przedstawił na Kongresie kluczowe zapisy Deklaracji, wskazujące na istotne z punktu widzenia edukacji problemy jak: podnoszenie świadomości na temat otwartych zasobów i możliwości ich wykorzystania; wspieranie rozwoju strategii i polityk narodowych, w tym otwierania zasobów finansowanych ze środków publicznych; promocja i wsparcie wdrożeń systemów otwartego licencjonowania treści; większe zaangażowanie w tworzenie zasobów w różnych językach, formatach, zróżnicowanych pod względem kulturowym; umożliwienie efektywniejszego wyszukiwania i ponownego wykorzystania otwartych zasobów.

Deklaracja Paryska nie ma charakteru wiążącego dla rządów państw, a głównym jej celem jest możliwie szerokie wdrożenie polityki otwartościowej przez kraje o różnych potrzebach i różnym stopniu otwarcia. Podczas Kongresu członkowie Koalicji Otwartej Edukacji z Polski przeprowadzili panel o otwartych zasobach edukacyjnych w naszym kraju, na którym zaprezentowali program „Cyfrowa Szkoła" oraz problemy i szanse wolnych e-podręczników, które mają powstać w jego ramach. Program „Cyfrowa Szkoła", a zwłaszcza sposób tworzenia w nim otwartych podręczników, wzbudził bardzo życzliwe komentarze przedstawicieli innych krajów[23]".

Niestety, rozwiązanie takie, choć teoretycznie idealne, w praktyce będzie bardzo trudne do wdrożenia. Wysokość nakładów finansowych może okazać się wbrew pozorom jeszcze większa, niż zapewnienie sprzętu niezbędnego do korzystania z

23 ibidem

takich zasobów. Nie można tu także pominąć niechęci obecnego środowiska wydawców podręczników papierowych, którzy bardzo zdecydowanie występują przeciwko idei „wolnych e-podręczników". Znaczna część wydawców tradycyjnych materiałów edukacyjnych zdecydowała się wyrazić swój protest na forum międzynarodowym, ale okazało się, że ich argumentów przeciwko przygotowywaniu przez rząd darmowych e-podręczników nie poparł m.in. przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Barroso, do którego trafił list wydawców.

„W odpowiedzi udzielonej im w imieniu przewodniczącego przez Detlefa Eckerta – dyrektora ds. mediów i danych osobowych Komisji Europejskiej czytamy m.in., że „*dziś technologie cyfrowe powodują przekształcenia, wpływając na wszystkie aspekty życia głównych gałęzi gospodarek oraz sektor publiczny. W sposób nieunikniony stanowią wyzwanie dla obowiązujących systemów formalnego kształcenia we wszystkich państwach członkowskich UE*[24]*"*. Komisja Europejska wręcz wzywa państwa członkowskie do wprowadzenia e-nauczania w główny nurt polityk krajowych w celu modernizacji systemu edukacji, zwłaszcza gdy aspiruje do tego, żeby nadążać za zmianami życia społecznego i zawodowego.

Program „Cyfrowa Szkoła" uruchomiony przez polski rząd należy do tej kategorii – podkreśla w liście przedstawiciel Komisji Europejskiej. Dodaje także, że wydawnictwa edukacyjne z ich cennym doświadczeniem w dostarczaniu wysokiej jakości źródeł edukacyjnych są przygotowane do odegrania ważnej roli w zmianie wprowadzanej przez resort edukacji[25]".

Niestety, występuje tutaj tak rażący konflikt interesów, że prawdopodobnie żadne apele nie odniosą pożądanego skutku. Obecnie na rynku książki papierowej w Polsce segment podręczników stanowi równowartość jednego miliarda złotych[26] – i o

24 http://www.men.gov.pl/images/stories/list_KEx.pdf

25 http://www.men.gov.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=3199%3Ae-podrczniki-komisja-europejska-i-unesco-s-za&catid=29%3Aministerstwo-pozostae-wydarzenia-edukacyjne&Itemid=53

26 http://wyborcza.pl/1,76842,12173031,Nastepna_bitwa_o_e_podreczniki.html

tę właśnie kwotę toczy się bitwa. A konkretniej – o różnicę, bo rząd i MEN na opracowanie darmowych e-podręczników przeznaczył kwotę… zaledwie 45 milionów złotych[27].

Według zapowiedzi MEN w ciągu trzech lat do każdego nauczanego przedmiotu ma być dostępny co najmniej jeden darmowy e-podręcznik. Ta koncepcja wywołuje lawinę protestów, nie tylko wydawców, ale również kół naukowych[28] oraz oskarżenia o „dewastację rynku wydawniczego w Polsce"[29]. Wiele nieprawidłowości podczas przetargu na stworzenie e-podręczników[30], unieważnienie pierwszego przetargu[31], unieważnienie drugiego przetargu[32], nieustający problem z wyborem wykonawców[33] – to wszystko sprawia, że całość zaczyna przypominać wojnę, a nie współpracę. Wystarczy powiedzieć, że wydawcy grożą Ministerstwu sądem w przypadku udostępnienia za darmo treści w e-podręcznikach i usilnie namawiają Autorów, aby nie angażowali się w tą inicjatywę[34].

Z drugiej jednak strony – wydawcy protestujący przeciwko programowi darmowych e-podręczników w formie, którą próbuje wdrożyć Ośrodek Rozwoju Edukacji, zrzeszeni w Porozumieniu Nowoczesnej Edukacji (PWN, WSiP, Nowa Era), nie protestują przeciwko samemu procesowi cyfryzacji szkoły.

„– Nikt o tym nie dyskutuje. Koszty dodatkowe, wynikające z uplasowania tradycyjnych podręczników są naprawdę duże. Koszty dystrybucji, podatki to też jest przestrzeń do poprawy – uważa Marcin Roszkowski[35]".

27 http://www.biztok.pl/E-podreczniki-zniszcza-rynek-wydawniczy-a5337

28 ibidem

29 http://biznes.onet.pl/instytut-jagiellonski-rzadowy-projekt-e-podrecznik,18553,5230783,news-detal

30 http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114877,12352788,MEN_odpowiada_na_zarzuty_Polskiej_Izby_Ksiazki_ws_.html

31 http://wyborcza.pl/1,76842,12071917,Powtorzony_konkurs_na_e_podreczniki__Po_skargach.html

32 http://wyborcza.pl/1,76842,12179768,Konkurs_na_platforme_dla_e_podrecznikow_uniewazniony_.html

33 http://wyborcza.pl/1,76842,12341998,Karuzela_z_konkursami_na_e_podreczniki.html

34 http://wyborcza.pl/1,76842,12173031,Nastepna_bitwa_o_e_podreczniki.html

35 http://biznes.onet.pl/instytut-jagiellonski-rzadowy-projekt-e-podrecznik,18553,5230783,news-detal

Wydawcy zdają się doskonale rozumieć choćby fakt, że za podręcznikami w formie elektronicznej najbardziej przemawia konieczność i potrzeba dokonywania częstych aktualizacji, co w przypadku podręczników tradycyjnych jest bardziej czasochłonne i zdecydowanie droższe. Dlatego najlepszym rozwiązaniem wydaje się być stworzenie jednej wspólnej platformy, zawierającej zarówno materiały powszechnie dostępne i darmowe, publikowane przez rząd i powołane do tego instytucje, działające w ramach budżetów publicznych, a także rozbudowa tej bazy o podręczniki płatne.

„– Ci, którzy mają wpływ na dzieci, czyli nauczyciele i ci, którzy mają tzw. trusted content, czyli wypracowaną wiedzę, jak pracować ze źródłami, mają te treści, powinni brać wspólnie w tym udział, a nie zostać wyeliminowani z tego projektu, bo to duże zagrożenie – zaznacza ekspert. (…) – Ceny podręczników to ważny zarzut. Ale trzeba je wymieniać, bo świat się zmienia, często zmieniają się minima programowe. Więc e-rozwiązania są tu dobrymi rozwiązaniami. Rząd wyszedł temu naprzeciw, pokazując, że podręczniki powinny być w obiegu trzy lata i nie mogą być co chwilę zmieniane. Musi być rynek wtórny, żeby uczniowie mogli kupować książki taniej – zauważa Roszkowski[36]”.

Specjaliści zwracają także uwagę na jeszcze jeden aspekt używania podręczników elektronicznych; „w Korei na decyzję o wycofaniu tradycyjnych e-podręczników wpłynęła fala obaw przed zbytnim uzależnieniem młodych ludzi od Internetu – w kraju, gdzie jest najgęstsza i najszybsza sieć szerokopasmowa, a narodowym sportem są gry komputerowe, to poważny problem. Według rządowego badania co 12 uczeń w wieku 5-9 lat zdradza objawy uzależnienia[37]”.

36 ibidem

37 http://mac.gov.pl/dzialania/trendy-e-podrecznik-%E2%80%93-tak-ale-jaki/

Podsumowanie

Jeżeli projekt wprowadzenia w nasze życie (a konkretniej – w życie naszych dzieci bądź wnuków) e-szkoły ma się udać, musi zostać spełnionych kilka podstawowych warunków.

Po pierwsze – należy pamiętać o tym, że w przypadku unowocześnienia procesu dydaktycznego mamy do czynienia ze zmianą systemową. Brak myślenia o kompleksowych rozwiązaniach, wprowadzanie rozwiązań tymczasowych, połowicznych lub skupiających się jedynie na wąskim wycinku szkolnej rzeczywistości prowadzić będzie do mniejszych lub większych niepowodzeń, bo tylko rozwiązania całościowe mogą przynieść określony rezultat. Równie nieskuteczne mogą okazać się wszelkiego typu programy pilotażowe, jeśli nie nastąpi po nich pełne wdrożenie wypracowanych dzięki nim rozwiązań.

Po drugie – nie może być absolutnie mowy o „monopolu" na wiedzę, czyli rozwiązaniach zapewniających tylko jednemu czynnikowi prawo do tworzenia pomocy dydaktyczno-naukowych wszelkiego typu, od e-podręczników poczynając, a na rozwiązaniach teleinformatycznych kończąc. Takie podejście nie daje żadnej gwarancji wysokiej jakości materiałów i rozwiązań sprzętowo-narzędziowych, może być natomiast polem niekończących się konfliktów, które w żaden sposób nie przyczynią się do skutecznego wdrożenia nowoczesnych metod nauczania, spowodują za to zamęt i mogą w rezultacie doprowadzić do utraty przychylności ze strony społeczeństwa na wprowadzenie jakichkolwiek zmian.

Po trzecie – kluczem do sukcesu jest swobodny (ale nie darmowy!) dostęp do najlepszego jakościowo e-kontentu, a to można zagwarantować tylko i wyłącznie poprzez zastosowanie reguł wolnorynkowych. Wyłącznie „państwowe" zasoby, nawet opracowane przez wybitnych dydaktyków, nie rozwiążą żadnego problemu; z zasady „jeden podręcznik do jednego przedmiotu" wycofano się już dawno temu, więc dlaczego ta reguła miałaby się sprawdzić w przypadku e-podręczników?

Pozbawienie nauczycieli możliwości wyboru, z jakich pomocy dydaktycznych będą chcieli skorzystać, i arbitralne narzucenie im jednego tytułu, nie rozwiąże z pewnością żadnych problemów, za to stworzy wiele nowych.

Po czwarte – niezbędnym warunkiem powodzenia jest zapewnienie wysokiego poziomu e-podręczników, który z kolei jest możliwy tylko i wyłącznie przy uwzględnieniu założeń gospodarki wolnorynkowej; żadne odgórne regulacje nie zagwarantują najlepszej jakości materiałów wyjściowych, nie zapewni tego także monopol państwa na e-podręczniki. Z kolei obecny potencjał wydawnictw działających w tym sektorze jest wystarczający, aby zagwarantować dostęp do rzetelnej wiedzy najwyższej jakości, opracowanej przez najlepszych specjalistów. W tej chwili praktycznie wszystkie wydawnictwa, mające w swej ofercie podręczniki „tradycyjne" w mniej lub bardziej otwartej formie kontestują wszelkie działania państwowe zmierzające do „wyprodukowania" podręczników elektronicznych.

Po piąte – niezbędne jest stworzenie bądź udoskonalenie istniejącej infrastruktury, ze szczególnym uwzględnieniem infrastruktury informatycznej (szerokopasmowy internet, dostęp do sieci z urządzeń mobilnych). Bez dobrych rozwiązań, gwarantujących szybki, łatwy i jak najtańszy dostęp do kontentu nie może być mowy o efektywnym wdrożeniu całego systemu.

Po szóste – wymagana jest standaryzacja, czyli opracowanie wspólnych reguł dotyczących poziomu e-podręczników, jednolitych systemów ich dystrybucji, odpowiednich technologii zapisu plików i – odwrotnie, niż miało to miejsce do tej pory – dopracowanie unowocześnionych metod nauczania i programów nauczania uwzględniających w większym zakresie wdrażane nowe technologie.

Po siódme – niezbędne jest opracowanie i przeprowadzenie systemu szkoleń dla nauczycieli, tak aby stali się oni biegłymi użytkownikami nowych technologii. Tylko w przypadku wysokiego poziomu kształcenia kadr zasób wiedzy i nowoczesne

metody mogą zostać wykorzystane zgodnie z ich przeznaczeniem i z uwzględnieniem ich specyfiki.

Po ósme – sama technologia nie może być jedynym elementem kosztowym w całym procesie, bo to nie technologia stanowi cel, lecz jest jedynie środkiem do osiągnięcia celu. Wprowadzenie na rynek nowoczesnych, tanich i funkcjonalnych tabletów czy e-czytników w technologii e-ink wraz z wprowadzeniem umiejętności sprawnego i efektywnego posługiwania się tymi narzędziami jest warunkiem koniecznym do dokonania zmian w całym systemie, ale nie jest warunkiem jedynym.

Po dziewiąte – e-szkoła musi być traktowana nie jako byt sam w sobie, lecz jako element całego procesu nauczania. I nie wolno przy wielkim zachwycie dla nowoczesnych technologii informatycznych lekceważyć tradycyjnych metod edukacyjnych. Osobistego kontaktu ucznia z doświadczonym i kompetentnym pedagogiem nie da się w żaden sposób zastąpić i nigdy nie należy z tej formy edukacji rezygnować.

Po dziesiąte wreszcie – z pewnością konieczne jest ujednolicenie stawki podatku od wartości dodanej (VAT) na podręczniki tradycyjne i e-podręczniki. Przypomnę, że w chwili obecnej ebooki wszelkiego typu, które kupuje się i pobiera bezpośrednio z sieci traktowane są jako usługa, a nie produkt, a więc obowiązuje na nie stawka podatku VAT w wysokości 23%, podczas gdy na podręczniki „papierowe” stawka ta wynosi tylko 5%.

Oficyna wydawnicza RW2010

Na każdą kieszeń
na każdy czytnik

Dobre ebooki
w dobrej cenie

szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach

RW2010
REWOLUCJA WYDAWNICZA!

Zakupiono w NEXTO: 2622765